



Cudowna książka.
Kiedy skończyłam, brakowało
mi palącego żaru słońca
i bezkresnego błękitu nieba
omańskiej pustyni.

KATE RIORDAN

Angielka

KATHERINE
WEBB

W kraju pełnym tajemnic
sama ustalasz reguły gry

KATHERINE WEBB

Angielka

przełożyła

Olga Siara

 **insignis**

Tytuł oryginału
The English Girl

First published in Great Britain in 2016 by Orion Books
an imprint of the Orion Publishing Group Ltd
Carmelite House, 50 Victoria Embankment, London ec4y 0dz

An Hachette UK Company

www.orionbooks.co.uk

Copyright © Katherine Webb 2016

All rights reserved.

Przekład

Olga Siara

Redakcja i korekta

Maria Brzozowska, Dominika Pycińska, Julia Diduch

Skład i przygotowanie do druku

Tomasz Brzozowski

Projekt okładki

www.emmagraves.co.uk

Zdjęcia na okładce

Richard Jenkins & Shutterstock

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65743-39-8



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Bedford, Anglia, październik 1939

Po wizycie stryja Godfreya tata Joan na sześć dni stał się gałgankowy. Joan sama wymyśliła to określenie, bo w takich momentach przypominał jej szmacianą lalkę z wyszytymi nitką krzyżykami zamiast oczu i bez części waty. Daniel też zaczął używać tego słowa, chociaż miał dopiero pięć lat i nie wszystko jeszcze rozumiał. Dwa lata starsza Joan też nie wszystko jeszcze rozumiała. Zwykle zamiast taty widzieli tylko rozmazany kształt. Był w niemal ciągłym ruchu i robił przy tym mnóstwo hałasu; śpiewał, rozwodził się nad czymś z przejęciem, zonglował jabłkami albo stepował, stukając obcasami o wyszczerbione brązowe kafelki w kuchni. Za to w gałgankowym stanie zachowywał się cicho. Prawie się nie odzywał, a ruszał się tak, jakby w połowie drogi zapominał, dokąd idzie. Miał zwieszane ramiona i zwiotczałe mięśnie twarzy; przestawał się golić i kąpać – i przez cały tydzień nosił ten sam pulower. Nie zdarzało się to bardzo często, ale Joan nienawidziła tych momentów z całego serca. Czuła się wtedy tak, jakby nadchodził koniec świata.

David, tata Joan, był niskim i drobnym mężczyzną z włosami mysiego koloru, które zaczesywał do tyłu przy pomocy brylantyny. W pociągłej twarzy lśniły jasnoniebieskie oczy, skryte za okularami w drucianych oprawkach, a jego policzki przecinały głębokie zmarszczki od uśmiechu. Pachniał tytoniem, pianką do golenia i mentolem, którym nacierał klatkę piersiową. Z kolei jego starszy brat Godfrey był wysoki i elegancki. Przyjechał największym samochodem, jaki Joan widziała w życiu, przypominającym jej mokre pingwiny w zoo – szare i śliskie. Miał na sobie ciemny garnitur i kapelusz, którego nie zdjął po wejściu do domu. Obrzucił ich ciasny przedpokój krótkim, oburzonym spojrzeniem i posłał dzieciom tak lodowaty uśmiech, że bały się odezwać.

– To twoja wina, że nie chcą się z tobą zobaczyć. Zdajesz sobie z tego sprawę. – Joan rozpoznała głos stryja, który zwracał się do jej ojca. Wiedziała, że nie powinna podsłuchiwać, ale w ich małym domu o cienkich ścianach trudno było tego nie robić. – Chryste, gdyby się wydało, że cię odwiedzam... Sam jesteś sobie winien, że cię wydziedziczyli, Davidzie.

– Godfreyu, po co ty tu w ogóle przyjeżdżasz? – zapytał tata, a jego głos już zaczynał brzmieć gałgankowo.

Kiedyś Joan podsłuchiwała też, jak jej matka mówi pani Banks spod dwunastki, że rodzina Davida jest bogatsza niż sam Krezus. Nie miała pojęcia, co to właściwie znaczy.

Rodzice Joan nie byli bogaci – bogaci ludzie mieszkali w zamkach i jeździli takimi samochodami jak stryj Godfrey, zamiast tłuc się autobusami. Joan niespecjalnie ciekawiło, jakie to uczucie. Jej tata był kierownikiem Rex Theatre, miejscowego kina, budynku z zasłonami pachnącymi stęchlizną i sznurami z czerwonego aksamitu. Regularnie zabierał tam dzieci. Oglądali filmy na jego kolanach w kabinie projekcyjnej, a później opowiadał im cudowne historie o miejscach, które właśnie zobaczyli: o najróżniejszych krajach, miastach i narodach świata. Zdaniem Joan żaden samochód ani zamek nie mogły się równać z Rex Theatre. Wszyscy koledzy z klasy jej zazdrościli.

– I tak nie możesz się zaciągnąć... – powiedziała mama do taty po wyjeździe Godfreya, nie podnosząc wzroku znad obieranych właśnie ziemniaków. Mówiła urywanymi słowami, a po nich nastąpiła chwila napiętego milczenia. – Nie z twoją kłatką piersiową. I twoim wzrokiem – dodała.

David siedział za nią przy stole kuchennym i bez słowa przecierał okulary chustką do nosa.

Sposobem mamy na gałgankowość taty była dobra kuchnia – ich posiłki stawały się wtedy tak obfite i wykwintne, jak tylko pozwalał na to asortyment sklepu spożywczego. Na podwieczorek dostawali wystawne, skomplikowane desery – na przykład dziwaczne, zapadające się ciasto obłożone cząstkami mandarynek z gigantycznej puszki, które przypominało filet z ogromnej złotej

rybki. Ale jedyny efekt był taki, że tata dorobił się brzuszka. Kiedy któregoś wieczora Joan i Daniel poprosili go o bajkę na dobranoc, uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

– Poproście mamę, skarby. Tata jest dziś wykończony.

Ale w jego wykonaniu bajki były zwykle dużo ciekawsze, niż gdy opowiadała je mama. Sprawiał, że postaci nabierały życia – miał w zanadrzu setki głosów, min i gestów; potrafił wcielić się w starą wiedźmę, niegodziwego złodziejaska czy maleńką wróżkę.

Joan przyszło do głowy, że może chodzić o wojnę. Tuż przed wizytą stryja Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Joan teoretycznie wiedziała, czym jest wojna, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ona wygląda ani co oznacza. Już od kilku dni trochę się martwiła, bo jej nauczycielka, panna Keighley, któregoś ranka rozplakała się przy sprawdzaniu listy; ale wkrótce wszystko wróciło do normy i można było odnieść wrażenie, że wojna nie będzie się różnić niczym szczególnym od pokoju.

– Wszystko będzie dobrze, tatusiu – pocieszyła go, mając na myśli wojnę, ale nic nie odpowiedział, a jego uśmiech zgasł, co jeszcze bardziej ją zdezorientowało.

Szóstego dnia wiedziała już, co musi zrobić: sięgnąć po *Baśnie tysiąca i jednej nocy*. To był talizman i tajna broń Joan, bo tata uwielbiał tę książkę tak samo jak ona. Poszła z nią do niego poprosić, żeby im przeczytał, zdecydowana nie poddawać się, dopóki nie ustąpi. Wdrapała mu się na kolana, żeby nie mógł jej zignorować, ale kiedy na nią spojrzął, miała wrażenie, że jest gdzieś daleko, więc wcisnęła mu książkę do rąk, tężając z napięcia. Jej brat Daniel stał tuż za nią z kocem pod pachą i kciukiem w ustach.

– Przeczytasz nam jedną baśń? Prosimy! – Wpatrywała się w twarz ojca, zauważając zarost na jego policzkach i cienie pod oczami. – Prosimy – powtórzyła.

David wziął głęboki oddech, a potem chwycił Daniela i posadził go sobie na

kolanach obok Joan.

– No dobrze, urwisy – powiedział cicho.

Joan poczuła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie.

Daniel już zasypiał, więc wtulił się Davidowi pod ramię i słuchał raczej głosu ojca niż samej historii, za to Joan siedziała skupiona, żeby nie umknęło jej ani jedno słowo. Nie miało dla niej znaczenia, którą baśń wybierze tata, ale zdecydował się na *Ali Babę*. Kiedy zaczął czytać, przerwała mu pytaniem, gdzie leżą opisywane miejsca i jak wyglądają. Znała odpowiedź, ale i tak je zadała, bo z każdym opisem tata coraz bardziej wracał do siebie.

– Och, Joanie, nie wiesz o tym, że Arabię przepięknie magia? Jak inaczej ktokolwiek mógłby mieszkać na takiej pustyni? Arabia to ocean piasku, i to największy na świecie. Ciągnie się setki mil w każdym kierunku; potrafisz to sobie w ogóle wyobrazić? Falujące wzgórza i doliny: i to wszystko ze złotego piasku, suchego jak pieprz.

– I nie ma tam zupełnie nic oprócz piasku? – zapytała.

– A jak myślisz, dlaczego mieszkańcy nazywają ją Pustym Kwartałem?

– Ale w takim razie jak można tam mieszkać? Co jedzą ci ludzie?

– To jest właśnie ta magia, o której ci wspominałem. Są tam też dzinny, które pomagają ludziom. Dżinn potrafi zamienić piasek w złoto, wodę, jedzenie i co tylko sobie wymarzysz, więc lepiej zrobić wszystko, żeby go sobie zjednać. Ale to straszni krętacze, zawsze próbują dobić z tobą targu...

– Jakiego targu, tato?

– Wiesz, kiedy tam byłem, spotkałem dżinna imieniem Derwisz, który...

Im dłużej David czytał i odpowiadał na jej pytania, tym mniej był gałgankowy. Joan zalała falą radości. Wiedziała, że rano tata nie będzie już pachniał nieupranym swetrem ani za długo parzoną herbatą, tylko pianką do golenia i mentolem jak zwykle. Znów stanie się sobą – niewyraźną plamą w ciągłym ruchu, zamiast być zagubionym milczkiem. Joan wierzyła niezachwianie, że jej tata jest magikiem, że *Baśnie tysiąca i jednej nocy* to magiczna księga, a Arabia – magiczne miejsce. I wiedziała, że pewnego dnia

tata ją tam zabierze.

Maskat, listopad 1958

– Gotowa? – Rory wyciągnął rękę i niepotrzebnie poprawił kapelusz Joan. – Wyglądasz bardzo ładnie. Bardzo elegancko – pochwalił ją.

Zaprzątnięta myślami Joan zapomniała mu podziękować. Wzięła głęboki oddech i skinęła głową. Gorące i suche powietrze miało osobliwie morski posmak, lecz nie niosło orzeźwienia. Było jej niewygodnie w koszuli z długimi rękawami i spodniach, które musiała włożyć pod spódnicę. Z nerwów nie mogła ustać w jednym miejscu.

– Wydaje mi się, że bardziej gotowa już nie będę. Idź już, dobrze? Kazała mi przyjść samej i nie chcę, żeby zobaczyła, że mnie odprowadziłeś.

– Przecież musiałem cię odprowadzić, nie jesteśmy już w Bedford. A przy okazji, nie ma za co.

– Przepraszam, Rory. Dziękuję. Po prostu jestem... – Położyła mu na barku lekko drżącą dłoń i wzruszyła ramieniem.

– Wiem. Rozumiem, ile to dla ciebie znaczy. Obyś tylko nie była... Zresztą, nieważne. Mam nadzieję, że to spotkanie spełni wszystkie twoje oczekiwania. I że ona też je spełni.

Rozmawiali niemal szeptem, bo niewielka uliczka była pusta, a cienie między budynkami zdawały się stać na straży ciszy niczym surowi bibliotekarze.

Słońce oświetlało Rory'ego od tyłu, ukazując jego sylwetkę w zarysie, przez co stał się ciemną, niewyraźną wersją samego siebie. Okrągła twarz narzeczonego zawsze przypominała Joan pyszczek pluszowego misia – Rory miał miękkie policzki, brązowe oczy, lekko wydęte wargi i ciemne kręcone włosy, takie same jak ona. Upał i kilka bezsennych nocy sprawiły jednak, że pod oczami pojawiły mu się sińce, a jego skóra nabrała woskowego koloru. Wyglądał inaczej niż zwykle. Joan z niepokojem zmrużyła powieki, patrząc na

bryłę starożytnej wieży strażniczej na skałach ponad nimi, odcinając się na tle olśniewającego błękitu nieba. Stali przed skromnym domem z suszonej cegły w Harat al-Henna, dzielnicy za murami Maskatu, niedaleko bramy. O zachodzie słońca rozlegał się huk wystrzału z zabytkowego działa w jednym z nadmorskich portów, a potem bramę zamykano na noc, odcinając dzielnicę od reszty miasta. Od tej chwili nikt bez oficjalnego zezwolenia nie mógł wrócić do Maskatu.

– Oczywiście, że spełni moje oczekiwania – odpowiedziała z uśmiechem.

– Wiesz, czasem spotkanie z mistrzem może się skończyć... rozczarowaniem. To znaczy, kiedy się okaże, że jednak jest tylko człowiekiem.

– Bzdura, to zbyt wyjątkowa postać. A poza tym przeczytałam wszystko, co kiedykolwiek napisała, więc mam wrażenie, jakbym już ją знаła.

– No dobrze. Masz zapalną, żeby w drodze powrotnej zapalić lampę?

– Mam wszystko, czego mi trzeba, naprawdę, Rory.

Nagle nie mogła się doczekać, aż sobie pójdzie. Ten moment powinien należeć tylko do niej. Potrzebowała czasu i przestrzeni, żeby się tym rozkoszować, i wołała, żeby nikt widział jej zdenerwowania, bo wtedy zawsze robiła się jeszcze bardziej niespokojna.

– W porządku. Powodzenia. Nie zostań na noc za bramą, dobrze? – Pochylił się, żeby pocałować Joan w policzek, ale ona uchyliła się przed jego ustami, cmokając z niezadowoleniem.

– Rory, nie przy Arabach, pamiętasz? – skarciła go.

Zaczekała, aż echo jego kroków całkiem ucichnie, a potem nabrała powietrza do płuc i odwróciła się w stronę niczym niewyróżniających się drzwi, przy których stała. Były wykonane ze starego drewna akacjowego jak wszystkie inne, choć pod wpływem bezlitosnego arabskiego słońca stały się gładkie i twarde jak kamień. Ściany z suszonej cegły kiedyś pomalowano na biało, ale teraz spękania farby przypominały żyłki liścia, przez które przeświecała kruszejąca zaprawa. Dom, wysoki na zaledwie dwa piętra, miał płaski, kwadratowy dach i zamknięte okiennice wychodzące na wschód. Stał

wpasowany w podnóże gór, więc nie mógł mieć tylnego wyjścia. Rdzawobrzazowe wzgórza piętrzyły się wszędzie wokół niczym strzępiaste ręce, tulące miasto z niezrozumiałą troską.

Otaczały ją głązy, skały, ostre słońce i ostre cienie – nigdzie nie widziała ani śladu miękkości. Upłynęła minuta, a Joan zbeształa się za tchórzostwo – stała i rozglądała się po okolicy, odwlekając chwilę, na którą tak czekała. Z sercem w gardle zapukała do drzwi.

Niemal natychmiast uchylił je wysoki czarny służący ubrany w omańskim stylu w szary diszdasz – długą i luźną tunikę, przepasaną pasem, z którego zwisał na środku zakrzywiony sztylet zwany chandzarem. Mężczyzna miał zapadnięte policzki, białka oczu koloru kawy z mlekiem i czarne jak noc źrenice. Jego broda i kilka kępek włosów wystających spod turbanu były siwe. Joan nie umiała odgadnąć, ile może mieć lat; z twarzy wydawał się sędziwy, ale plecy miał proste, a ramiona wyprężone. Patrzył na Joan z pełnym powagi milczeniem godnym golema, czym całkiem zbił ją z tropu. Jego dłonie zwisały swobodnie wzdłuż boków ciała, a Joan zwróciła uwagę na ich rozmiar – miał długie palce przypominające odnóża pająka. Po chwili ciszy odezwał się:

– Nazywa się pani Joan Seabrook. – Głos miał piskliwy.

– Tak – potwierdziła Joan. Zarumieniła się zawstydzona. – Nazywam się Joan Seabrook – powtórzyła niepotrzebnie. – Czy to dom Maude Vickery? Chyba się mnie spodziewa.

– Spodziewa się pani, inaczej nie otworzyłbym pani drzwi – odparł starzec. Uśmiechnął się lekko, wykrzywiając pomarszczone wargi. Mówił po angielsku niemal bez akcentu, z rozmysłem formując na języku słowa gładkie jak otoczaki. – Proszę wejść na górę. Pani czeka. – Cofnął się, żeby ją wpuścić, a Joan przeszła obok niego.

W domu cuchnęło jak w stajni. Nim Joan zdołała się opanować, odruchowo zasłoniła nos dłonią. Duszący koński odór nie był gorszy niż w angielskich stajniach, ale tu się go nie spodziewała. Za jej plecami zamknęły się drzwi i nagle zapanowała ciemność, w której z trudem mogła cokolwiek dojrzeć.

Miała wrażenie, że słyszy dobiegający z tyłu chrapliwy chichot starca. Zerknęła na niego, ale twarz służącego skrywał cień; nie poruszył się ani nie odezwał, ale zauważyła w półmroku błysk jego czujnych oczu. Speszona i niezdarna jak dziecko podeszła do kamiennych schodów i ruszyła na górę.

W połowie drogi stopnie skręcały w bok, a w świetle wpadającym przez otwarte okno ukazały się kępki siana i warstwa bobków, przypominających odchody owcy albo kozy. Joan zmarszczyła brwi, nie wiedząc, co o tym myśleć. U szczytu schodów znajdowały się tylko dwa pomieszczenia, po jednym z każdej strony niewielkiego podestu. Przystanęła niepewnie, a chwilę później z pokoju po prawej rozległ się czyjś głos.

– Proszę tam nie tkwić. Z kimkolwiek mam do czynienia, zapraszam do pokoju. Przepraszam, że nie wstaję, ale nie mogę tego zrobić z oczywistych względów. – Był to ostry głos z płacziwą nutą i akcentem wprost z hrabstw podlondyńskich, na którego dźwięk Joan znów skoczyło tętno.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu; przez moment miała ochotę zachichotać, ale weszła posłusznie do kwadratowego pokoju o białych ścianach. Niskie łukowe okna naprzeciwko wejścia zasłonięto drewnianymi okiennicami. Otwarte było tylko jedno, z widokiem na strome wzgórze na południu, a wpadające przez nie promienie słońca oświetlały wnętrze łagodnym blaskiem. Joan zauważyła staroświecki czarny rower, oparty o skraj wąskiego, schludnie posłanego łóżka ze spłowiałymi kocami zatkniętymi ściśle pod materac. Po obu stronach miało ogromne palmy w donicach, a obok niego stała misternie zdobiona metalowa latarenka. W pokoju znajdowało się również uporządkowane biurko i długa biblioteczka z pustymi górnymi półkami – książki wypełniały regał do wysokości półtora metra, a reszta tomów, na które zabrakło tam miejsca, leżała na ziemi. Środek podłogi zakrywał przetarty dywan. Stały tam dwa drewniane krzesła oraz umieszczona naprzeciwko czerwona kanapa z pikowanej skóry. Podłoga obok niej zarzucona była arabskimi i angielskimi czasopismami, które zsunęły się z wysokiej sterty.

W głębi pokoju spały na posłaniu z koców dwa złote charty perskie, zwinięte

tak, że nie wiadomo było, które łapy, uszy i ogon, należą do którego zwierzęcia. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko ich ciche pochrapywanie; później jeden otworzył bursztynowe oko i wlepił je w Joan. Psi zapach wzmagął jeszcze panujący w pokoju zaduch. Za stolik kawowy służyła inkrustowana drewniana skrzynia, przy której w staroświeckim, rattanowym fotelu inwalidzkim siedziała Maude Villette Vickery. Joan próbowała się na nią nie gapić. Ogarnęło ją to niepokojące, surrealistyczne uczucie, które pojawia się, gdy człowiek staje twarzą w twarz z kimś, kogo wyobrażał sobie tak często, że już prawie nie wierzy w jego istnienie w prawdziwym świecie.

Pierwszym, co zauważyła Joan, była filigranowość Maude. Wyglądała niemal jak dziecko. Szczupłe kolana i łokcie odznaczały się wyraźnie przez staroświecką spódnicę z wysokim stanem i bluzkę ze szczypankami i sztywnym kołnierzykiem, a kostki i stopy, oparte na podnóżku, wydawały się delikatne jak u lalki. Mimo upału siedziała w grubych pończochach. Proste stalowoszare włosy ściągnięte miała w ciasny kok z tyłu głowy, a pod skórą jej pomarszczonej twarzy z zapadniętymi policzkami widać było silnie zarysowane kości. Po kilku sekundach jej rysy ułożyły się w wizerunek, który Joan знаła ze zdjęć Maude z młodości: zobaczyła niebieskoszare oczy o przenikliwym spojrzeniu i haczykowaty nos. Stała dość daleko od staruszki, nie chcąc górować nad nią wzrostem.

– Niechże pani podejdzie bliżej, nie gryzę – rzuciła Maude. Joan posłusznie zrobiła kilka kroków naprzód. Jej stopy wzbijały obłoczki kurzu z dywanu. Maude zadarła głowę i przyjrzała się jej, mrużąc oczy. – No, no, ależ pani wysoka! A może wcale nie. Mnie wszyscy wydają się wysocy. Abdullah! – krzyknęła nagle w stronę drzwi, a Joan wzdrygnęła się z zaskoczenia. – Abdullah, herbata! – dodała, chociaż służący nie odpowiedział.

Odwróciła się z powrotem do Joan, wruszając lekko ramionami.

– Wiem, że mnie słyszy. Ten starzec ma słuch niczym nietoperz – rzuciła. Nastąpiła chwila milczenia.

– Cudownie panią poznać, panno Vickery – zaczęła Joan. – To dla mnie naprawdę ogromna przyjemność. Śledzę pani karierę od... – W tym momencie głos uwiązł jej w gardle, bo z korytarza niespiesznym krokiem weszła do pokoju gazela.

Joan wpatrywała się w nią w milczeniu. Gazela przystanęła, żeby przyjrzeć się jej błyszczącymi oczami, otoczonymi grubymi czarnymi i białymi paskami, które przywoływały na myśl przesadny makijaż, a potem z cichym sapnięciem podeszła do Maude i zaczęła obwąchiwać jej palce. Staruszka rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Co za chciwe zwierzę. Dostaniesz daktyle razem z nami, kiedy przyniesie je Abdullah, nie wcześniej – oznajmiła.

– Ma pani gazelę – wyrwało się Joan.

– Owszem. Znalazłam ją na suku, miała trafić pod nóż rzeźnika. Abdullah chciał z niej coś przyrządzić, ale proszę spojrzeć na tę boską mordkę. Któż mógłby się jej oprzeć? A do tego te absurdalnie ogromne uszy. Wydała mi się taka żalosna. Nie mogłabym się zmusić, żeby ją zjeść. – Maude zerknęła na Joan ze skruchą. – Wiem, że to żaden argument.

– Sądziłam, że kobietom nie wolno chodzić na suk – zdziwiła się Joan.

– To prawda – przyznała Maude, głaszcząc gazelę po sierści między oczami, ale nie wyjaśniła tej sprzeczności. Złota skóra zwierzęcia wyglądała na jedwabiście miękką i gładką.

– Ach, to przynajmniej tłumaczy te... – Joan w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć za dużo.

Maude podniosła na nią wzrok.

– Bobki? Tak. Pewnie strasznie tu cuchnie, prawda? Cóż, proszę mi wybaczyć. Jestem do tego tak przyzwyczajona, że przestałam to zauważać. Udaje mi się rządzić w tym pokoju, ale mam bardzo ograniczoną kontrolę nad tym, co się dzieje w pozostałej części domu. Rozmówię się z Abdullahem.

– Proszę wybaczyć, panno Vickery, naprawdę nie chciałam być niegrzeczna – zapewniła ją Joan, ale Maude machnęła tylko swoją drobną dłonią.

– Dużo lepiej się ze sobą dogadamy, jeśli będzie pani mówiła bez ogródek. Ja zawsze tak robię, to wielka oszczędność czasu.

– Nie gonią jej psy? – Joan wskazała głową śpiące charty.

– Skądże. Proszę na nie spojrzeć! Od dawna za niczym nie goniły; najlepsze lata miały za sobą już w chwili, kiedy dostałam je od tego przebiegłego starca, ibn Himjara. Władca Zielonej Góry. To mi dopiero wątpliwy komplement. Wie pani, dawniej miałam też oryksa. Dostałam go w prezencie od samego sułtana Tajmura ibn Fajsala, kiedy pożaliłam mu się, że nigdy żadnego nie ustrzeliłam w czasie moich podróży. Chyba chciał dać mi okazję, ale uznałam, że to niesportowe zachowanie, skoro zwierzę stoi przywiązane do słupa. Ale mój oryks był dziki, więc nie mógł mieszkać w domu. Jakież one mają rogi! Mogą nimi zabić. Szybko mi uciekł. Nigdy więcej nie zobaczyłam mojego oryksa i musiałam skłamać sułtanowi, że go zastrzeliłam i zjadłam, a potem opowiadać, jaki był pyszny. Na dowód sprawiłam sobie nawet to. – Maude wskazała na parę ciemnych karbowanych rogów umocowanych na ścianie. – Strata czasu. Wątpię, czy w ogóle pamiętał, że podarował mi to stworzenie.

– Czytałam, że przyjaźniła się pani z sułtanem Tajmurem jako jedyna kobieta z Zachodu.

– I z jego ojcem też. No cóż – rzuciła Maude wymijająco. – Może w tamtych czasach, owszem, byłam czymś niespotykanym, sama pani rozumie. A on zawsze lubił nowe zabawki. Jak każdy mężczyzna.

Zapadła cisza, a wysoki starszy służący, który otworzył Joan drzwi, w milczeniu wniósł do pokoju tacę z cynowym imbrykiem, szklaneczkami, miską daktyli i cukiernicą. Schylił się wolno, położył bezgłośnie tacę na skrzyni i nie czekając na polecenie, nalał herbaty.

– Abdullah, pamiętasz tego oryksa, którego dostałam od sułtana Tajmura? – zapytała go Maude.

– Tak, proszę pani. Pamiętam.

– Jak go nazwałam? Przypominasz sobie?

– Nazwała go pani Śnieżynka. – Abdullah postawił szklanekę z herbatą

w zasięgu jej dłoni.

– Śnieżynka! Właśnie. Cóż za błyskotliwość. – Maude westchnęła. – Miał najbielsze futro, jakie można sobie wyobrazić. Wiem, że do daktyli powinnyśmy pić kawę, ale obawiam się, że już jej nie trawię. Przypomnij mi, jak masz na imię, młoda kobieto?

– Nazywam się... Joan Seabrook, panno Vickery.

– Rzeczywiście. To pani przysłała mi te wszystkie listy. Całe stopy listów. Dziękuję, Abdullah. Zastanawiam się, co się stało ze Śnieżynką? Może wróciła z powrotem na pustynię, ale wątpię, czy jej się udało. Na pewno tego chciała, podobnie jak ja. Obu nam lepiej było na pustyni. A czego pani chce, panno Seabrook? – Nagle w głosie Maude pojawiło się wzburzenie, niemal złość. Wygładziła spódnicę, a potem złożyła dłonie. – Mimo wszystkich pani listów wciąż nie mogę tego pojąć.

Joan poczuła, jak Abdullah omiata ją spojrzeniem, wychodząc z pokoju. Mimowolnie obejrzała się za nim. Poruszał się z niezwykłą gracją.

– Cóż, ja... – zaczęła niepewnie.

– Przyciąga uwagę, prawda? – wtrąciła się Maude, wbijając w Joan świdrujący wzrok.

– Rzeczywiście, pani służący jest... niezwykle przystojnym mężczyzną.

– Och, nie jest moim służącym, panno Seabrook. Jest moim niewolnikiem. Mam go na własność. Kupiłam Abdullaha na aukcji w jaskini we wzgórzach niedaleko Nizwy. I co pani na to?

– Słyszałam, że wciąż się to tu praktykuje – odrzekła Joan ostrożnie. Zbiła ją z tropu ta starsza wersja jej mistrzyni, nie umiała nadążyć za jej nastrojami ani odczytać usposobienia.

Maude oparła się na fotelu z rozczarowaną miną.

– No cóż. Widzę, że będę się musiała bardziej postarać, jeśli mam panią zszokować, panno Seabrook.

– Na pewno będę bardzo zszokowana, kiedy to do mnie dotrze, panno Vickery. Na razie nie zdążyłam się jeszcze otrząsnąć z szoku z powodu gazeli.

Nastąpiła chwila ciszy; Maude zmrzyła powieki, a potem posłała Joan szelmowski uśmieszek.

– Ha! – rzuciła, zamiast się roześmiać. – Grzeczna dziewczynka. Nie jesteś przesadnie uprzejma. Podoba mi się to.

Joan usiadła na czerwonej kanapie blisko biurka i obie kobiety zaczęły jeść daktyle, popijając je herbatą słodką od cukru i gorzką od mięty. Z zewnątrz dobiegał stukot oślich kopyt i kroki ludzi w skórzanych sandałach. Światło zaczęło słabnąć, a po pokoju krążyło z cichym brzęczeniem kilka ospałych much. Od pytania Maude o powód przyjścia Joan upłynęło już zbyt dużo czasu, żeby mogła na nie odpowiedzieć, więc błędziła wzrokiem po pokoju, czekając, aż usłyszy je ponownie. Maude przeżuwała wolno daktyla; wzrok miała rozkojarzony, ale znów wydawała się spokojna, a nawet nieobecna. Oczy Joan przyciągnął palisandrowy piórniki na biurku – pusty, nie licząc niewielkiego, ale ciężkiego pierścionka ze skręconą cynową obrączką i nieoszlifowaną bryłką jasnoniebieskiego kamienia.

– Ciekawy pierścionek – powiedziała, pochylając się nad nim. – Jaki to...

– Niech go pani nie dotyka! – warknęła głośno Maude.

– Nie, nie, ja tylko... – Joan pokręciła głową, bo wcale po niego nie sięgała.

– Niech go pani nie dotyka – powtórzyła starsza kobieta, a Joan zdała sobie sprawę, że gniewne spojrzenie staruszki wlepione było w pierścionek, a nie w nią.

Zaplotła dłonie przed sobą i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak zmienić temat.

Nie śmiała zadać kolejnego pytania o pierścionek.

– Panno Vickery, czy ten dom też był prezentem od sułtana Tajmura? Po tym, jak podarował pani oryksa? – odezwała się.

Maude zamrugła kilka razy, a potem odpowiedziała, jak gdyby nigdy nic.

– Co to, to nie. Sama za niego zapłaciłam, i to niemało. Ojciec Tajmura, Fajsal, wydał zgodę na to, bym spędziła resztę moich dni w Omanie, więc okazał wystarczającą hojność. Widzi pani, chyba jestem jedyną taką osobą.

Jedyną Europejką, która mieszka tu wyłącznie dlatego, że ma na to ochotę, a nie z przyczyn administracyjnych czy handlowych. Obecny sułtan, Sa'id, jest wnukiem Fajsala; za każdym razem, gdy któryś z nich umiera, zastanawiam się, czy jego następcą mnie nie wyrzuci, ale jak dotąd mam szczęście. Z Sa'ida konserwatysta jakich mało, ale ma też swoje dziwactwa: na przykład tych amerykańskich misjonarzy. Nie mam pojęcia, dlaczego pozwala im zostać. Uroczy ludzie, ale głupi jak but. Chyba naprawdę im się wydaje, że dzięki nim Arabowie przejdą na chrześcijaństwo. Ale prowadzą jedyny szpital w całym kraju. – Wycelowała palcem w Joan. – Lepiej żeby nie złapała tu pani tyfusu, panno Seabrook. Ani gruźlicy. W mleku aż roi się od bakterii. Proszę się upewnić, czy jest przegotowane, zanim je pani wleje do kawy. Kiedy dostałam zgodę na osiedlenie się w Maskacie, mogłam kupić tylko tę rudę, nic więcej. Odmówiono mi sprzedaży lepszych domów. Podejrzewam, że gubernator Maskatu postanowił pokazać Brytyjce, gdzie jej miejsce, rozumie pani? Poznała go pani już? Gubernatora Sayida Shahaba? Przerażający jegomość, w dodatku praktycznie wszechwładny, bo sułtan Sa'id jest daleko stąd, w Salali. Shahab dopilnował, żeby okazano mi szacunek... ale nie nadmierny. – Maude uśmiechnęła się lekko.

– Tutejsze władze wydają się bardzo rygorystyczne.

– Owszem. Dlatego muszę zapytać, jakim cudem udało się pani zdobyć pozwolenie na przyjazd do Omanu, panno Seabrook? Ten kraj nie wita z otwartymi ramionami gości z zagranicy ani ciekawskich podróżników. Nigdy go nie interesowali. – Maude podała daktyla gazeli, która delikatnie wyjęła go spomiędzy jej palców.

– Och – westchnęła Joan z zakłopotaniem. – Mój ojciec chodził do szkoły z obecnym wezyrem, ministrem spraw zagranicznych sułtana. On pomógł to wszystko załatwić. Zatrzymaliśmy się u niego w Rezydencji: ja i Rory, mój narzeczony.

– Nadal nazywają ten urząd „wezyrem”? Jakież to urocze. Ale Oman wciąż jest protektoratem brytyjskim, prawda? Nawet jeśli nie używa się już tego

określenia, bo wszystkich tak deprymują skojarzenia z kolonializmem.

– A poza tym od sześciu miesięcy stacjonuje tu mój brat Daniel. Widzi pani, jest żołnierzem oddelegowanym do Sułtańskich Sił Zbrojnych. Otrzymałam zgodę na to, żeby go odwiedzić.

– Ale tak naprawdę nie po to tu pani przyjechała.

– Tak. To znaczy, między innymi po to... tylko... – Joan umilkła i na sekundę ogarnęło ją uczucie bliskie rozpacz. Miała wrażenie, że usiłuje schwytać coś, co ze wszystkich sił stara się jej wymknąć.

W rzeczywistości nie była pewna, jak wyrazić słowami swoją potrzebę zobaczenia Arabii. Nosila ją głęboko w sercu od tak dawna, że przestała się nad nią zastanawiać, więc kiedy Daniela wysłano do Omanu, Robery Gibson został wezyrem, a ona odziedziczyła po ojcu trochę pieniędzy, wszystko wydawało się sprzyjać temu, żeby wreszcie tam trafiła. Do Omanu, niewielkiego, odległego zakątka świata – ale zakątka Arabii. I choć nie umiała tego wyjaśnić, miała wrażenie, że jej ojciec w pewien sposób wciąż może być tam obecny. Upłynął niemal rok, zanim wstrząs po jego śmierci osłabł i zaczął kiełkować w niej ten pomysł, ale kiedy ziarno zostało zasiane, wiedziała, że nic jej od tego nie odwiedzie.

Joan trudno było powiedzieć matce, na co postanowiła przeznaczyć niewielki spadek po ojcu. Poczekała z tą wiadomością do chwili, gdy Olive Seabrook zabrała się do gotowania, bo wtedy była najszcześniejsza.

– Nie wystarczy, że jedno z moich dzieci tkwi w tej zapadłej dziurze?! – zawołała matka, nieruchomiejąc z dużym nożem w dłoni; do ostrza przylepiły się kostki bekonu. Drżał jej głos, co stawało się już normą. – Nie poradzisz sobie tam, Joanie. I jak mogłabyś zostawić mnie całkiem samą? – Wyciągnęła z kieszeni fartucha zmiętą chustkę do nosa i przetarła oczy, a Joan zalała falą wyrzutów sumienia, uczucie znane jej coraz lepiej. Zaczęła mieć wątpliwości. Roztrzęsiona Olive wyglądała żałośnie. Tak łatwo było ją teraz zranić. – Przecież twój ojciec nigdy tam nawet nie pojechał, wiesz o tym.

Rzeczywiście. Kiedy Joan była dość duża, żeby to zrozumieć,

z niedowierzaniem przyjęła informację, że jej tata nigdy nie dotarł dalej niż do Francji – mimo tych wszystkich opowieści, mimo swoich marzeń i entuzjastycznych planów. Ale chciał, żeby Joan podróżowała, to wiedziała na pewno; chciał, żeby zrealizowała choćby część swoich marzeń. A Joan zawsze marzyła o Arabii. W uszach dźwięczał jej głos ojca; wyobrażała sobie jego oczy, wytrzeszczone z podekscytowania. „Oto kraj Sindbada Żeglarza, Królowej Saby, kadzideł, dżinnów i życzeń!” Zawsze wszystko wyolbrzymiał – ale robił to celowo; uwielbiał odnajdywać w życiu cuda i magię.

Joan próbowała walczyć z ogarniającą ją desperacją, ale audiencja u Maude Vickery nie przebiegała tak jak w jej fantazjach i marzeniach.

– Panno Vickery, podziwiam panią, odkąd byłam małą dziewczynką. Chcę pojechać na pustynię tak jak pani. Zobaczyć Ar-Rab al-Chali, czyli Pusty Kwartal. Największą pustynię piaszczystą świata... wiem, że od tamtej pory przemierzyło ją już wielu ludzi, ale ogromne połacie wciąż pozostają nietknięte ludzką stopą. Chcę dotrzeć do Fortu Dżabrin i przeprowadzić oględziny, a przy okazji zrobić szkice elewacji. Może pani pamięta, jak wspominałam w listach, że jestem archeologiem? To znaczy, prawie nim jestem. Skończyłam studia, ale dotąd nie pracowałam w zawodzie. Ubiegam się właśnie o posadę w miejscowym muzeum – oczywiście, na bardzo niskim stanowisku. Zacznę od nowego roku, o ile mnie przyjmą, ale powinni, jeżeli pokażę im jakieś badanie, przeprowadzone podczas pobytu tutaj; i naprawdę chciałabym... – Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza, ale we wzroku Maude zobaczyła taką dezaprobatę, że całkiem umilkła.

– To dość długa lista życzeń, panno Seabrook. – Maude wycelowała w Joan palcem zakończonym ostrym, brudnym paznokciem. – A chciałabym zauważyć, że nadal jest pani małą dziewczynką.

– Mam prawie tyle samo lat co pani, kiedy pierwszy raz przemierzyła pani pustynię. Dwadzieścia sześć.

Maude prychnęła z niechęcią.

– Wygląda pani młodziej. Ale nawet jeśli to prawda, to obawiam się, że goni

pani za marzeniami. Chce pani pójść w moje ślady, ale cóż dobrego może to przynieść? Nie ma w tym nic odkrywczego. Nie ma w tym żadnej przygody. A sądzę, że to właśnie przygód pani szuka. Trzeba wytyczyć własną ścieżkę, samodzielnie ją dla siebie wykarczować. Kilka lat temu sułtan Sa'id też przemierzył Pusty Kwartal. Na motocyklu. Pustynia nie kryje już żadnych tajemnic. – Staruszka wydawała się rozgoryczona; wychyliła się powoli w stronę Joan z wyraźnym przejęciem, drząc z wysiłku. – Musi być pani pierwsza. Inaczej to nic nie znaczy.

– To nie może być prawda! Pani nie przemierzyła Pustego Kwartalu jako pierwsza osoba na świecie, a jednak to coś znaczyło. Pustynia jest olbrzymia... poza tym Fortu Dżabrin nie opisał jeszcze żaden Europejczyk, nie mówiąc już o archeologu. Z map nie można się nawet dowiedzieć, gdzie się dokładnie znajduje. A pani tam była, prawda? Pani go widziała.

– To zwykła ruina, w której roi się od węży. – Maude machnęła ręką. Pomacała się po ubraniu, jakby czegoś szukała. Zmarszczyła brwi ze wzburzenia. – Nie jest nawet taki stary, ma zaledwie kilkaset lat, a jego lokalizacja to żaden sekret: wystarczy dojechać do Bahli, a później skręcić w lewo.

– Ale podobno są tam ukryte ogromne skarby...

– Proszę nie wygadywać głupstw. Żaden Arab nie zostawiłby skarbu na pustyni. Jest pani nie lepsza od Beduina. Oni mają obsesję na punkcie zakopanego skarbu, wie pani? Czyta się tyle bzdur o tym, jak to ludzie pustyni nie cenią złota, tylko wodę. Nieprawda, cenią wodę, gościnność, pastwiska, broń i złoto. – Wyliczyła na palcach. – To właśnie jest dla nich ważne. Nie ma żadnego ukrytego skarbu, panno Seabrook.

– Ale... nie rozumie pani, że samo to miejsce jest skarbem?

– A niby jak zamierza się pani tam dostać? Obcokrajowcy nie mogą podróżować na wschód od Rezydencji w Maskacie ani na zachód od kwatery głównej wojsk w Matrahu. Nie mają nawet wstępu w góry poza granicami miasta, a co dopiero na pustynię... Zawsze tak było. Sułtan Sa'id jest bardzo

niedostępnym człowiekiem, a kraj pod jego rządami stał się taki sam. W dodatku trwa chyba coś na kształt wojny, o ile się nie mylę? – Maude podniosła głos niemal do krzyku, chociaż Joan nie rozumiała, co wywołało gniew jej gospodyni.

Upiła nerwowo łyk herbaty.

– Właściwie to żadna wojna... – odparła. – Nie w porównaniu z prawdziwą wojną, wojną światową. Pan Gibson nazywa to powstaniem. A walki toczą się teraz jedynie w górach, prawda?

Maude przez chwilę piorunowała ją wzrokiem, a potem znów wychyliła się do przodu, mierząc w nią sękatym palcem.

– Panno Seabrook, jest pani zwykłą turystką. Nikim więcej.

Zapadła krępująca cisza. Po jakimś czasie Maude opadła broda na klatkę piersiową. Milczała, a zawstydzona Joan siedziała sztywno na kanapie. Kiedy Abdullah wszedł do pokoju po tacę, skinął na nią głową.

– Proszę za mną – rzucił cicho, kierując się w stronę schodów. – Pani nie przywykła do gości. Musi teraz odpocząć.

Joan ruszyła za nim z wdzięcznością. Abdullah wypuścił ją bez słowa, ale trudno było zignorować jego baczne spojrzenie. Miała wrażenie, że ją ocenia, jakby w jakiś sposób go zawiodła. Słońce zniżyło się nad horyzont, ale niebo wciąż było jasne. Nie wystrzelono jeszcze z dział w hucznej ceremonii wyznaczającej początek godziny policyjnej.

Joan włożyła kapelusz i przemierzyła krótką drogę do bram miasta. Tam uśmiechnęła się nieśmiało do strażników, którzy skłonili przed nią głowy, usiłując wydusić z siebie coś po angielsku.

Zatrzymała się niedaleko za bramą. Maude Vickery nie zaprosiła jej ponownie do swojego domu. Joan zalała falą rozczarowania, przed którym ostrzegał ją Rory, ale więcej pretensji miała do siebie niż do Maude. Stara podróżniczka słynęła z trudnego charakteru – już w młodości zarzucano jej upór, brak taktu, a czasem wręcz grubiaństwo; świadczyły o tym jej dzieła, biografie i zbiory listów. Joan była na to przygotowana, ale i tak wierzyła

niezachwianie, że ją do siebie przekona; że Maude rozpozna w niej pokrewną duszę. Jednak najwyraźniej nie powiedziała tego, co trzeba. Nie zrobiła na Maude wrażenia osoby autentycznie zainteresowanej pustynią – a ściślej mówiąc, nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Pogardliwe określenie „turytka” ubodło Joan dlatego, że było zbyt bliskie prawdy. Zapadał zmrok. Zdenerwowana Joan przysiadła na schodku i z przygnębieniem obserwowała przechodniów, którzy spieszyli się, żeby zdążyć wejść albo wyjść przez bramę, zanim ta zostanie zamknięta. Patrzyła na Omanki w czarnych szatach i chustach na głowie, na Beludżyjki z terytorium sułtana w północnym Pakistanie z odsłoniętymi włosami w strojach barwnych jak kwiaty, na Hindusów, Persów i czarnych niewolników takich jak Abdullah. Właściwie wyglądało na to, że w Maskacie jest więcej obcokrajowców niż Omańczyków.

Zmierzch zapadał tu wcześniej, tuż przed osiemną. Nawet pod koniec roku słońce paliło mocno, a przekraczająca trzydzieści pięć stopni temperatura była uciążliwa dla osób przyzwyczajonych do chłodnego, wilgotnego klimatu Anglii. Cierpiał zwłaszcza Rory. Ciągłe miał rumieńce i często ziewał. Dużo lepiej służyła mu rześka i wietrzna brytyjska zima, gdy jego zaróżowione policzki wyglądały na oznakę zdrowia, a nie choroby. Byli w Maskacie dopiero od trzech dni. Do Kairu przylecieli liniami BOAC – a był to pierwszy lot w życiu Joan. Stamtąd przesiedli się w samolot do Salali, a ostatni odcinek pokonali statkiem, który sunął zółwim tempem wzdłuż wybrzeża.

– Nie byłem pewny, czy dolecimy – oznajmił Rory, kiedy schodzili z pokładu. – Wiesz, skąd się wziął skrót BOAC? Bo ich pasażerom może pomóc tylko Bóg, Opatrzność Albo Cud. – Joan znała ten żart, ale Rory wyraźnie nie mógł się doczekać, aż go opowie.

Jej zdaniem lot był magiczny. Kiedy podchodzili do lądowania w Kairze, przez moment widziała w okienku piramidy i przeszył ją dreszcz ekscytacji.

Nie udało im się jeszcze zobaczyć z bratem Joan, Danielem, który przebywał w bazie wojskowej Bait al-Faladż w Matrahu, po przeciwnej niż Maskat stronie cypla. Mogli dostać się tam łodzią albo drogą gruntową prowadzącą

skalistym zboczem, ale, tak czy inaczej, musieli poczekać, aż Daniel wróci do bazy. Dostali wiadomość od jego dowódcy, że obecnie przebywa na posterunku w głębi kraju, skąd prowadzi patrole zwiadowcze w góry. Kiedy Joan napisała Danielowi, że planuje przyjechać do Maskatu, wysłał jej list o powstaniu w Omanie. Była to jego główna, choć niejedyna, próba wyperswadowania siostrze tego pomysłu.

Chociaż Wielka Brytania od dawna uznaje sułtana za władcę zarówno Maskatu, jak i Omanu, to tradycyjnie sułtan rządził Maskatem i wybrzeżem, zostawiając w rękach imama „Oman”, interior, czyli pustynię i góry. Przez wiele pokoleń świetnie się dogadywali, dopóki nie pojawiły się pogłoski, że na pustyni jest ropa. Wtedy sułtan Sa'id zaczął narzucać tam swoją władzę. Sytuacja zrobiła się poważna, ale w 1955 roku imam Ghalib został zmuszony do abdykacji – przy niewielkiej pomocy z naszej strony. Szybko jednak wrócił, podjudzany i wspierany przez swojego brata Taliba. Zmusiliśmy ich do odwrotu, więc zaszyli się w górach ze swoimi bojownikami, ale sułtan nie będzie zadowolony, dopóki nie wypłoszymy stamtąd ostatniego powstańca. Atmosfera jest napięta, Joanie – to kiepski moment, żeby wybrać się tu na wakacje. Być może w ogóle się nie spotkamy – nie wiem, czy wrócę do bazy. Czy nie ma innych miejsc na świecie, które wolałabyś zobaczyć? A jeśli to musi być Oman, przyjeźdź w przyszłym roku, kiedy walki dobiegną końca.

Myśl o wojnie przestraszyła Joan; po liście brata była bliska zarzucenia swojego planu. Wojna kojarzyła się jej z uczuciami zapamiętanymi z dzieciństwa; niekończącym się śmiertelnym przerażeniem i straszliwym dygotem w środku, nad którym nie potrafiła zapanować. Ale kiedy napisała do Roberta Gibsona, starego przyjaciela swojego ojca, zapewnił ją, że właściwie trudno już mówić o wojnie, a w samym Maskacie z pewnością nic nie będzie jej groziło. Poza tym po zakończeniu działań wojskowych Daniel bez wątplenia zostanie przeniesiony gdzieś indziej. I wreszcie, co najważniejsze, nie było żadnego innego miejsca na świecie, które Joan wolałaby zobaczyć. Rory podszedł do jej pomysłu z entuzjazmem, więc kiedy w końcu dostali oficjalne pozwolenie na przyjazd, nie chciała czekać ani dnia dłużej. Od śmierci ojca życie w domu toczyło się z przygnębiającą monotonią. Ostry ból po nieoczekiwanej stracie ustąpił miejsca uporczywej apatii, smutkowi, przez który każda czynność wymagała wysiłku. Joan chciała, żeby jej życie znów

nabrało tempa, a podróż do Omanu była na to najlepszym sposobem, jaki przyszedł jej do głowy. Poza tym rozpaczliwie potrzebowała zobaczyć się z bratem.

Rozległy się werble i huk wystrzału z działa. Nagły rumor odbił się echem od skał niczym grzmot. Joan sięgnęła po swoją lampę naftową – prawo nakazywało, żeby miał ją przy sobie każdy, kto po wystrzale znajduje się poza domem. Otworzyła drzwiczki i zaczęła szperać w torbie w poszukiwaniu zapalniczki. Musiała jak najszybciej wracać do Rezydencji; dla kobiet przebywanie na ulicy po zmroku było niewskazane, nawet jeśli pamiętały o wymaganej lampie. Ale posiedziała jeszcze chwilę w ciszy przerywanej ledwo słyszalnym sykiem płomienia, wpatrzona w majaczące niedaleko bramy Maskatu. Chciała przypomnieć sobie, gdzie jest, i jeszcze raz się tym zachwycić. Nie mogła uwierzyć, że znalazła się tak daleko od domu, w tak dziwnym miejscu; nie mogła uwierzyć, że już dotarła dalej, niż jej rodzice w ciągu całego życia. Joan znalazła się w miejscu ze swoich marzeń i zamierzała zrobić z tego jak najlepszy użytek, nawet jeśli to oznaczało, że musi dostosować oczekiwania do okoliczności. Ojciec często ostrzegał ją przed wyrabianiem sobie z góry opinii na temat ludzi i miejsc. „Poczekaj, sprawdź, czego się dowiesz; nie podchodź do świata z gotową miarą, do której będziesz wszystko przykładać”. Wstała, odetchnęła ciepłym powietrzem i ruszyła przez miasto, a para tak białych, że nie niemal świetlistych mew poszybowała cicho ponad jej głową.

Rezydencja Brytyjska zajmowała jeden z największych budynków w Maskacie. Stał on nad samym morzem na wschodnim krańcu miasta, niedaleko siedziby urzędu celnego i pustego pałacu sułtana. Sułtan Sa'id wolał mieszkać w Salali, oddalonej od Maskatu o setki kilometrów na południowy zachód; od lat nie był w Maskacie. Ogromny, jasny, kwadratowy gmach Rezydencji miał dwa piętra, dach zwieńczony blankami i zadaszone werandy z każdej strony. Z osobnych pokoi gościnnych, które przydzielono Joan i Rory'emu, rozciągał się widok na przystań w kształcie podkowy –

połyskującą zieloną wodę z mnóstwem statków oraz strome mury, na których załogi przez stulecia wypisywały ich nazwy – sułtan nazywał to swoją „księgą gości”.

Wejścia do przystani strzegły dwa siedemnastowieczne forty, zbudowane przez Portugalczyków po ich inwazji – Al-Mirani, skąd rozległ się wystrzał działa, i Al-Dżalali, fort więzienny. Ten ostatni, ogromna nieprzystępna twierdza, uczepiona niczym gigantyczny rzep swojej skalistej wychodni ze stopniami wykutymi w kamieniu, majaczył złowrogo na horyzoncie, górując nad Rezydencją. Pierwszej nocy po przyjeździe Joan stanęła w oknie i zobaczyła kilka zapalonych w forcie świateł, które zdawały się jeszcze bardziej podkreślać ciemność pozostałej części twierdzy. Miała wrażenie, że wiatr niesie ze sobą fetor ludzkiego cierpienia. Jeden ze służących powiedział jej, że czasem z oddali słychać, jak więźniowie dzwonią łańcuchami.

Kiedy Joan zbliżała się do Rezydencji, brytyjska flaga zwisała smętnie ze strzelistego masztu, aż w pewnej chwili wydał ją nagły powiew morskiej bryzy. Inne rozciągnięte na linkach chorągwie załopotwały gwałtownie, sycząc jak płomienie. Joan podeszła do głównego wejścia, a odźwierny wpuścił ją do środka z niedbałym ukłonem. Zdmuchnęła swoją lampę i oddała mu ją, a potem ściągnęła kapelusz i przeczesła włosy palcami. Młody mężczyzna wpatrywał się w nią, więc posłała mu wymuszony uśmiech. Nie była przyzwyczajona do służących i nie miała pewności, jak z nimi rozmawiać.

– Dobry wieczór, Amit – powiedziała. Postawiła sobie za punkt honoru, żeby zapamiętać jego imię. – Czy mogłabym prosić o przysłanie mi na górę lemoniady?

– Lemoniada, sahib – powtórzył, zrozumiałwszy najważniejsze słowo.

Joan przeszła przez hol i wbiegła po schodach na górę. Pograżone w półmroku wnętrza rozbrzmiewało echem jej kroków. W ciągu dnia gabinety były pełne urzędników i sekretarek, zajętych pisaniem na maszynie i segregowaniem dokumentów, ale teraz w Rezydencji zostali już tylko ci, którzy w niej mieszkali. Joan żałowała, że w budynku nie panuje większy

hałas. Poczwała się jak w swoim domu po śmierci ojca – miała wrażenie, że zaraz udusi się w takiej ciszy.

Sypialnia Rory'ego znajdowała się na najwyższym piętrze. Joan dostała pokój niżej, a za sąsiadów miała gospodarzy, państwa Gibsonów, więc nie było szans na potajemne schadzki po zgaszeniu świateł. Gdy nie zastała narzeczonego w pokoju, przeszła do małej łazienki na końcu korytarza, sprawdziła, czy nikt jej nie widzi, i zapukała.

– Joan? – zza drzwi rozległ się głos Rory'ego, więc weszła.

Leżał w wannie z zamkniętymi oczami. Mokre włosy skręcone miał w ciemne loki, a między kciukiem a palcem wskazującym lewej dłoni trzymał zapalonego papierosa. Joan wiedziała, że woda jest chłodna, ma temperaturę ciała – tak Rory próbował walczyć z upałem. Sama zamknęłaby drzwi na klucz, gdyby brała kąpiel. Jeszcze nigdy nie pokazała mu się bez ubrania, ale to, że sama widzi go nago, wydawało się jej mniej nieprzyzwoite. Może dlatego, że przygotowywała mu kąpiel, kiedy pierwszy raz zatrzymał się u nich w domu jako jedenastolatek; a może dlatego, że nie krępował go jej wzrok, chociaż postanowili nie spać ze sobą przed ślubem. Rory po prostu dobrze się czuł w stroju Adama. Często żartowali na ten temat, bo w innych sytuacjach bywał nieśmiały i niepewny siebie. Żałowała, że jego nagość nie jest dla niej czymś tak naturalnym jak dla niego.

Podeszła do Rory'ego, wyjęła z jego dłoni papierosa, strzepnęła popiół przez okno i zaciągnęła się mocno. Widziany przez chmurę dymu narzeczony stał się zamglony i szary. Matce nie podobało się, że Joan pali, więc robiła to rzadko; zazwyczaj jedynie wtedy, gdy chciała dodać sobie animuszu.

– Tylko nie zaśnij, bo się utopisz, kochanie. Albo zaproszysz ogień – powiedziała z uśmiechem, gdy Rory otworzył jedno oko.

– Nie spałem, tylko dawałem odpocząć oczom i rozkoszowałem się wolnością od wrażenia, że zaraz eksploduję z gorąca. To jak poszło?

Odwrócił głowę w jej stronę, a ona oddała mu papierosa. Ucałowała go w wilgotne czoło. Pachniał mydłem i twardą wodą ze źródeł w Maskacie.

Zamiast oblizać wargi, osuszyła usta wierzchem dłoni. Zwracali uwagę na to, żeby pić tylko przegotowaną wodę, ale miała wrażenie, jakby ścierała z nich pocałunek.

– Było... ciężko. – Wróciła do okna i oparła się o parapet, stając na tle fioletowego nieba i morza, usiłującego zatrzymać ostatnie przebliski światła.

– Ciężko? Ojej, czyli inaczej niż się spodziewałaś?

– Tak, można tak powiedzieć – westchnęła Joan z rozczarowaniem. Miała wrażenie, że poniosła porażkę. Turystka. Nie czuła się na siłach powtórzyć Rory'emu tej miażdżącej opinii, jaką wydała na jej temat Maude. – Wydawała się starsza niż w rzeczywistości. Chwilami stawała się... rozkojarzona. A potem zasnęła.

– Ile ma teraz lat?

– Siedemdziesiąt sześć. – Joan umiała precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała, kiedy urodziła się Maude Vickery: 25 maja 1882 roku. Wiedziała, kim byli jej rodzice i jak przebiegała jej edukacja. Wiedziała, że Maude skończyła studia na Oksfordzie, znała trasy jej podróży i całą jej twórczość. Wiedziała o wszystkich ważnych wydarzeniach w jej życiu. Nie wiedziała tylko jednego: jak z nią rozmawiać, pomyślała z przygnębieniem. Znowu odezwała się w niej lekka melancholia. Przez chwilę żuła skórę przy kciuku, ulegając złemu nawykowi z dzieciństwa. Próbowwała odnaleźć w sobie wcześniejszą iskrę ekscytacji. – Żałuj, że nie słyszałeś, jak się wysławia... ma niesamowitą dykcję. I jest taka afektowana. Mama byłaby pod ogromnym wrażeniem.

– Chodź tu. – Rory wstał, ociekając wodą. Pozwolił, by papieros wpadł do wanny, wyszedł z niej i owinął biodra lnianym ręcznikiem. – Chodź tu i przytul się do mnie. Przybiła cię ta wizyta, mam rację, kochanie? – Joan skinęła głową, a on zamknął ją w objęciach, wciskając jej policzek w mokre włosy na swojej piersi.

Otoczył ją cudowny zapach jego umytej skóry. Ta bliskość fizyczna, wciąż nowa i na wpół zakazana, wywoływała w niej fascynującą mieszanię

poczucia bezpieczeństwa i zagrożenia.

– Przejdzie mi – powiedziała stłumionym głosem.

– Pewnie, że tak. – Uniósł jej brodę i pocałował ją delikatnie. Poczowała niewinny, ale serdeczny nacisk zamkniętych ust. – Zawsze ci przechodzi.

– Przed koktajlami będziesz musiał coś na siebie włożyć, Rory.

Joan odwróciła się, żeby dać narzeczonemu się wytrzeć, i obróciła na palcu pierścionek zaręczynowy. Należał do babki Rory’ego – kwadratowy topaz i dwa diamenciki na przetartej złotej obrączce. Pasował na nią tak, jakby od początku był jej przeznaczony.

Od wielu pokoleń stanowisko ministra spraw zagranicznych w Maskacie zajmował Brytyjczyk – początek tej tradycji dały pierwsze traktaty podpisane przez Wielką Brytanię z sułtanem na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Urzędnik ów, zwany wezyrem, miał za zadanie pomagać sułtanowi we wszelkich kwestiach związanych ze stosunkami zagranicznymi i polityką handlową; mógł służyć radą i wsparciem, lecz nigdy nie wydawał rozkazów. I, oczywiście, informował o wszystkim brytyjski rząd.

W Rezydencji kolację podawano punktualnie o ósmej wieczorem, ale kwadrans po siódmej wszyscy gromadzili się na tarasie na pierwszym piętrze, gdzie aktualny wezyr, Robert Gibson, szczerze rozlewał gościom gin, dopełniając szklaneczki odrobiną toniku. Ogromną przestrzeń ozdabiały niemal dwumetrowe oleandry w donicach, obsypane różowymi kwiatami, a ze spadzistego dachu zwieszała się fioletowa bugenwilla. Z tarasu dało się podziwiać ziemie zakazane, tereny po drugiej stronie granicy, której nikt nie mógł przekroczyć bez wyraźnego zezwolenia sułtana: krajobraz na wschodzie, za murami miasta i przylądkiem Ras al Hadd, gdzie wybrzeże odbijało na południe i ciągnęło się setki kilometrów aż do Adenu i cieśniny, łączącej Morze Arabskie z Morzem Czerwonym. Było tam widać góry i suchą pustynię; zasoloną nadbrzeżną równinę, muskaną każdego roku przelotnym monsunem, po którym pokrywała się trawą i kwiatami; ziemię o duszy tak starej, tak obcej i dziwnej, że Joan łaknęła jej, wpatrując się w nią z zamkniętego tarasu.

Pragnęła ją poznać i nie chciała pogodzić się z tym, że prawdopodobnie nigdy to nie nastąpi.

Spojrzała przez taras na Rory'ego. Stał w swoim letnim garniturze z wilgotnymi włosami zaczesanymi starannie w tył i rozmawiał z ich gospodarzami. Uśmiechnęła się. Zaskoczyło ją, że tak chętnie zgodził się przyjechać z nią do Arabii. „Arabia? Brzmi fantastycznie”. Wiedział, że Joan od dawna marzyła o takiej wyprawie, tylko zawsze wydawała jej się niemożliwa. Żartowali później, że podróż poślubna zazwyczaj odbywa się po ślubie, ale oni odwrócili tę kolejność.

Rory pracował dla swojego ojca w skromnym domu aukcyjnym – sprzedawali niemodne meble i niepraktyczne srebra, przejęte po zmarłych właścicielach. Firma należała do jego rodziny od wielu pokoleń, więc nietrudno było mu dostać trochę wolnego. Joan miesiąc wcześniej straciła posadę sekretarki w drukarni, bo zamiast wypisywać faktury, wolała czytać drukowane tam książki, na czym została przyłapana zbyt wiele razy. Od tamtej pory żyły z wdowiej renty Olive, która nie chciała, żeby Joan wydała spadek na zamorską podróż między innymi dlatego, że uznawała to za rozrzutność. „Wyrzucasz w błoto pieniądze na sześć miesięcy jedzenia i opału dla nas obu!” Joan czuła się winna za każdym razem, kiedy przypominała sobie przerażenie, z jakim jej matka przesuwiała palcami po każdym otrzymanym rachunku. Niektóre opatrzone były złowieszczym czerwonym napisem: „Pilne”. Rodzinnymi finansami zajmował się zawsze jej ojciec. Teraz Olive bacznie przypatrywała się każdej sumie, trzymając pióro nad książeczką czekową, jakby obawiała się, że obleje jakiś egzamin. Ale chociaż jej matce ta podróż wydawała się wielce nieroztropna, Joan wiedziała, że musi się w nią wybrać.

Kiedyś Rory zapytał ją, dlaczego Arabia – czemu ze wszystkich miejsc na świecie, jakich nie widziała, wybrała właśnie ten region. To było sześć lat wcześniej, gdy nic ich jeszcze nie łączyło. Daniel przebierał się do wyjścia, a Rory wszedł do ciasnego salonu posiedzieć z Joan, odrywając ją od lektury

Południowych bram Arabii Freyi Stark. Panowała bardzo brytyjska pogoda: za oknem co chwilę zrywała się ulewa, a krople bębniły gwałtownie o szybę. Powietrze pachniało octem i ziarnami gorczycy, bo w kuchni jej matka rozlewała do butelek chutney, który przyrządzała przez cały poranek. Jego gryząca woń utrudniała oddychanie. Joan dzieliła wtedy swój czas między szkołę jazdy konnej, gdzie pomagała przy zwierzętach w nadziei na darmową lekcję, a książki o Arabii. Zamiast zdjęć Johnniego Raya wyciętych z magazynów, w jej sypialni wisiał portret T. E. Lawrence'a i wizerunki szejków pustynnych, które znalazła w starych tomach w bibliotece. Ale kiedy Rory zadał jej pytanie: „Dlaczego Arabia?”, musiała się chwilę zastanowić nad odpowiedzią.

Oczywiście, wszystko zaczęło się od ojca, który czytał jej *Baśnie tysiąca i jednej nocy*, ale tamtego deszczowego popołudnia Joan łatwiej było opowiedzieć Rory'emu o Aladynie. Aladyn był inny od wszystkich koni, jakie dotąd widziała. Razem z pozostałymi dziewczynami stajennymi zastygła z rozdziawionymi z zachwytu ustami, gdy stukając podkownikami, wyszedł z przyczepy na dziedziniec i rozejrzał się wokół. Z napięcia drgały mu wszystkie mięśnie; ogon zarzucał wysoko na zad. Jego małe kopyta zdawały się tańczyć na betonie. Właścicielka Aladyna, zgrabna i wyniosła dziewczyna o imieniu Annabelle, postawiła sprawę jasno – Stajnie Broadbrooków to tylko krótki przystanek, zanim nie znajdzie dla swojego pupila bardziej odpowiedniego miejsca, w którym będzie mniej drutu kolczastego, szpagatu rolniczego, kałuż i podszczypujących kucyków.

Aladyn miał jasnokasztanową sierść koloru ognia i długą grzywę. Jego piękny łeb zdobił biały pas, a kiedy stawiał zaokrąglone uszy, ich koniuszki niemal stykały się ze sobą. Joan nigdy nie widziała piękniejszego stworzenia. Gdy usłyszała od Annabelle, że to koń czystej krwi arabskiej, wiedziała już, że Arabia musi być równie cudowna, jak w jej wyobrażeniach. W takim miejscu galopowało się przez drgające żarem powietrze w stronę horyzontu, zamiast kłusować w kółko po grząskim polu z widokiem na włochaty zad konia przed

sobą. W takim miejscu czuło się na skórze jedwab zamiast wilgotnego, drapiącego swetra. Tam nie było błota, deszczu, nieba zasnutego szarymi chmurami ani sennych podmiejskich uliczek. Czysta, ciepła, piękna Arabia wydawała się zupełnie inna od życia, które znała. A Joan zaczynała sobie właśnie zdawać sprawę, jak bardzo pragnie życia, które by się od niego różniło.

Z zadumy wyrwał ją głośny śmiech Roberta Gibsona. Na jego prośbę Joan nie włożyła spodni, które nosiła najchętniej, tylko przebrała się na wieczór w sukienkę – prostą lnianą tunikę z zielonym plastikowym paskiem. Jej skórzane sandały miały gruby rzemyk i klamerkę, przez co kojarzyły jej się z butami, które nosiła do szkoły. Nie wyglądały elegancko, ale matka wybrała je dla niej w ramach prezentu pożegnального, a Joan nie miała serca wybrzydzać. Tu, w Omanie, z jakiegoś powodu wydawały się bardziej odpowiednie i gustowne. A Joan i tak zawsze czuła się jak uczennica przy człowieku, którego nazywała wujkiem Bobbym. Robert Gibson był potężnym, zadbanym mężczyzną. Przypominał jej lwa; miał bladozielone oczy i ekstrawaganckie jasne szczeciniaste wąsy, a jego szeroki nos niemal nie zwężał się na grzbiecie. Siwiejące i przerzedzone włosy zaczesywał gładko, by przylegały do czaszki. Nie był ojcem chrzestnym Joan jedynie dlatego, że David Seabrook jako żarliwy ateista nie ochrzcił swoich dzieci.

Robert miał zwyczaj stawać obok Joan, otaczać jej barki swoim ogromnym ramieniem i ściskać je tak długo, aż czuła trzask w stawach. Zrobił to poprzedniej nocy, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Najwcześniejszym wspomnieniem Joan o wujku Bobbym był taki sam uścisk i przerażenie, jakie w niej wzbudził – miała dopiero pięć lat, a jej ojciec parsknął śmiechem na widok zszokowanej miny córki. Po trzech drinkach Robert wyprostowałby się przy tym w pełni, a stopy Joan zawisłyby w powietrzu. Tak obejmowało się raczej dziecko niż dorosłą kobietę, ale jej wciąż się to podobało. Nie lubiła myśli, że we wszechświecie nie został po jej ojcu już żaden ślad, choć według niego to właśnie działo się po śmierci. Może jakieś zakurzone szczątki jego

ciała tkwiły nadal w popiele, który matka trzymała na gzymsie kominka w kiczowatym hebanowym pudełku ze świeczkami po bokach, ale nie było tam istoty ani duszy Davida Seabrooka. Joan miała jednak wrażenie, że ojciec w jakimś sensie wciąż żyje w swoim najstarszym przyjacielu, Robercie, i jego brutalnych uściskach.

Żona Roberta, Marian, była wysoką kobietą o szerokich barkach. Nieciekawą twarz szpeciły końskie zęby. Na jasnych włosach zawsze nosiła opaskę; usta niezmiennie malowała na różowo, a jej buty były równie praktyczne jak sandały Joan. Zachowywała się tak poprawnie i przewidywalnie, że Joan czasem nie zauważała nawet, że Marian jest w pokoju. Obie przyjęły wypełnione po brzegi szklanki od Roberta, który przemieszczał się z przesadną ostrożnością, żeby nie rozlać ani kropli, a potem usiadły na fotelach ogrodowych.

– Zdrówko – powiedział Robert, unosząc swoją szklankę.

Nie licząc słabego światła elektrycznego na tarasie, otaczał ich granat nieba, które nie zdążyło jeszcze zrobić się czarne. Przystań opływało spokojne, senne morze, szumiąc cicho w tle. Joan upiła odrobinę ginu i wzdrygnęła się lekko. W pierwszym momencie język cierpł jej od alkoholu, ale później było już łatwiej. Łyk Marian przypominał raczej haust, a kiedy przełknęła gin, jej napięte dotąd ramiona wyraźnie się rozluźniły.

– No dobrze, Joan, opowiadaj. Jaka jest wielka Maude Vickery? – zapytał Robert.

– Och... – Joan umilkła, zastanawiając się, co powiedzieć, a co przemilczeć.

– Okazała się bardzo drobna. To najszczuplejsza kobieta, jaką widziałam w życiu. I trochę drażliwa. Dość... ekscentryczna, tak można to nazwać. Ale na pewno nie odbiera jej to wielkości.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza, którą Joan wykorzystała, żeby znów napić się ginu.

– Ale... chyba zdradzisz nam coś więcej? – W głosie Roberta słychać było niedowierzanie. – Joan, przecież od przyjazdu mówisz wyłącznie o niej:

Maude Vickery to, Maude Vickery tamto! A teraz, kiedy w końcu ją poznałaś, nie masz do powiedzenia nic poza tym, że jest drobna i nieprzyjemna? – zaśmiał się.

– Jaki ma dom? – chciała wiedzieć Marian.

– Mniej wytworny, niż się spodziewałam... Właściwie było w nim bardzo brudno. – Joan znów przechyliła swoją szklaneczkę. Gin cwałował już w jej żyłach, niosąc ze sobą uczucie ciepła i odwagę. – Trzyma tam oswojoną gazelę, parkę chartów perskich i... no cóż, wszędzie jest pełno łajna.

– Boże jedyny, naprawdę?! – zawołała Marian. – Przecież musi mieć kogoś do sprzątnięcia? I kim trzeba być, żeby trzymać w domu oswojoną gazelę?

– Ma też niewolnika – ciągnęła Joan.

– Tak? – Robert uniósł jasne brwi. – Cóż, niewolnictwo odbiega tu trochę od naszych wyobrażeń, przynajmniej w dzisiejszych czasach. Ci ludzie zazwyczaj urodzili się w niewoli i często są traktowani jak członkowie rodziny. Ale w czasie następnej wizyty powiedz mu, że wystarczy, żeby wybiegł z domu i dotknął tego masztu na dziedzińcu, a będzie wolnym człowiekiem. Tak stanowi prawo.

– Maude jeździ na wózku inwalidzkim, więc nie mogłaby go powstrzymać.

– Och, biedactwo – rzuciła Marian odruchowo.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak podupadła na zdrowiu – powiedział Robert. – Może powinienem zawiadomić sułtana. Wiem, że kiedyś był bardzo zainteresowany jej losem. Z drugiej strony, może nie powinienem się wtrącać; ta kobieta wyraźnie ceni sobie swoją prywatność. Odmawia za każdym razem, kiedy próbuję ją tu ściągnąć na kolację, a o ile się orientuję, tak samo reagowała na zaproszenia wszystkich moich poprzedników.

– Rzeczywiście, nie zrobiła na mnie wrażenia szczególnie towarzyskiej osoby – przyznała Joan.

Kiedy podnieśli się, żeby przejść do środka i zająć miejsca przy stole, Robert stanął obok Joan i dotknął lekko jej ramienia na znak, żeby została z nim w tyle. Mimo słusznych rozmiarów, a może właśnie dzięki nim, potrafił być

niezwykle delikatny. Czuć było od niego olejkiem cytronelowym, który odstraszał muchy.

– Moja droga... – zaczął cicho. – Nie jest moim zamiarem cię zasmucić, ale chciałbym zapytać, jak się miewasz. To znaczy... jak sobie radzisz. Byłaś tak mocno związana z kochanym Davidem. Ostatni rok musiał być dla ciebie bardzo trudny.

– Tak. – Joan natychmiast przeniosła uwagę na swoje poczucie straty. Było trochę jak twarda narośl w brzuchu, która nigdy nie znikwała ani nie malała; miała mniej więcej ten sam rozmiar i kształt jak tydzień po śmierci ojca, kiedy Joan w końcu przyjęła do wiadomości, że odszedł. Traktowała ją jak pewnego rodzaju upośledzenie, z którym uczyła się funkcjonować, i odkryła, że potrafi je ignorować, kiedy skupia się na innych rzeczach. Szło jej to już tak dobrze, że czasem zapominała o jego śmierci, dopóki z jakiegoś powodu nie przypomniawszy sobie o niej z nagłym bolesnym wstrząsem. Wzruszyła lekko ramionami, nie czując się na siłach, by mu to wszystko wytłumaczyć. – Chyba dobrze sobie radzę. Potwornie za nim tęsknię. Wszyscy za nim tęsknimy. Ale trzeba...

– Człapać naprzód? – Robert posłał jej życzliwy uśmiech.

To było jedno z ulubionych powiedzonek jej ojca.

– W końcu jaki mamy wybór? – odpowiedziała Joan. Pomyślała o swojej matce, w której po śmierci męża coś pękło. Sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła się całkowicie załamać. Coraz bardziej wycofywała się ze świata, stając się jeszcze bardziej eteryczna niż wcześniej. – Pomaga mi myśl, że tego chciałby tata.

– Tak, słusznie. O to właśnie chodzi. A co z twoją matką? Ty masz wolę przetrwania po ojcu, ale obawiam się, że Olive jej brakuje.

– To prawda. Jeszcze nie doszła do siebie. – To wszystko, na co było stać Joan.

Przypomniała sobie blady uśmiech na twarzy Olive – jej źle udawany spokój, kiedy patrzyła, jak córka pakuje się przed wyjazdem do Maskatu. Joan

walczyła ze sobą, ale nie umiała powstrzymać lekkiego rozdrażnienia, przez które czuła się winna. Cierpienie matki trzymało ją w domu niczym kajdany, chociaż świat wokół kręcił się dalej. Robert poklepał ją w ramię swoją ogromną dłoń.

– Czas to najlepsze lekarstwo, ale taka strata zostawi trwałą bliznę. Możesz tylko spróbować pomóc Olive przejść przez ten trudny czas. I postarać się jej to wybaczyć – dodał.

Joan zerknęła na niego z niepokojącym wrażeniem, że czyta jej w myślach. W spojrzeniu Roberta zobaczyła tylko spokój i mądrość, bez żadnej oceny. Poczwała gorąco na policzkach.

– Tak. Oczywiście – rzuciła.

– I masz rację. Trzeba ruszyć naprzód. Masz ślub do zaplanowania. Musimy pocieszać się wspomnianiem twojego ojca takim, jaki był naprawdę. Opowiadałem ci już, jak zakradliśmy się do piwniczki z winami dyrektora naszej szkoły?

– Tak – odpowiedziała Joan z uśmiechem. – Ale opowiedz mi raz jeszcze.

Temat Maude wrócił podczas kolacji, a rozmawiając o jej dawnych sukcesach, Joan zaczęła zapominać, jak dziwne i niezręczne okazało się spotkanie twarzą w twarz z mistrzynią. Uświadomiła sobie na nowo, jaka ważna była dla niej zawsze Maude.

O jej istnieniu dowiedziała się z rozdziałiku w książce o pionierkach takich jak Gertrude Bell, Amelia Edwards i Alexandra David-Neel. Zaintrygowały ją fotografie drobnej kobiety o pospolitej urodzie, z haczykowatym nosem i zaciętą miną, pozującej do portretu z nieskrywaną niecierpliwością. Maude Vickery już w młodości podróżowała samotnie po dzikich obszarach Bliskiego Wschodu, odwiedzając ruiny starożytnych cywilizacji. Swoje wyprawy opisywała w książkach. Została też szanowaną filolog klasyczną i uznaną tłumaczką zarówno z perskiego, jak i z arabskiego. Była pierwszą kobietą w historii, która przemierzyła Pusty Kwartał Arabii – i to jedną z najtrudniejszych tras, jaką można sobie wyobrazić, bo przez wydmy Uruq al-

Szajba. Wyczyn Maude przyćmił jednak jej przyjaciel i rywal Nathaniel Elliot, który wyprzedził ją o kilka tygodni. Cieszył się znacznie większą sławą – był w końcu mężczyzną, a jego kariera trwała znacznie dłużej. Pokonana na ostatniej prostej Maude Vickery popadła w zapomnienie, by po latach odnaleźć się w Maskacie, gdzie znów zaczęła wydawać przekłady klasycznej poezji perskiej. Nigdy nie opisała tamtej przeprawy przez pustynię, nie licząc krótkiego artykułu dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, który ukazał się wiele lat później.

Joan chciała ją zapytać, dlaczego nie podzieliła się wrażeniami ze swojej najwspanialszej podróży w książce. Chciała ją zapytać, jak się czuła kobieta w męskim świecie, i to w czasach, kiedy ten podział był jeszcze bardziej wyraźny; chciała ją zapytać, jak udało jej się przekonać Beduinów, żeby zabrali ją na pustynię. Miała do niej tyle pytań, których nie zdążyła zadać. A teraz, jedząc kotlet jagnięcy i twarde pieczone ziemniaki, kiepską imitację angielskiego dania w arabskim wykonaniu, Joan doszła do wniosku, że stoi przed wyborem. Mogła wybrać porażkę i rozczarowanie: dalej żywić się udawaną kuchnią europejską, zostać pod skrzydłami wujka Bobby'ego i nie oddalać się zanadto od Rezydencji. Jeszcze do niedawna prawdopodobnie właśnie na to by się zdecydowała. Ale mogła też obrać inną drogę. „Bądź odważna” – tak poradziłby jej ojciec. Powiedział to pierwszego dnia, kiedy Joan szła do szkoły, a potem powtórzył te same słowa, kiedy nie chciała iść do koleżanki na urodziny, kiedy w szkole jeździeckiej dali jej większego kucyka i kiedy wyjeżdżała z domu na studia. „Bądź odważna” – słyszała za każdym razem, gdy obawiała się zmian i bała się ruszyć z miejsca. Postanowiła wrócić do domu Maude za dzień lub dwa, żeby nie wydać się zbyt natarczywa. Postanowiła wrócić i spróbować jeszcze raz; czuła, że musi to zrobić, jeśli cokolwiek ma się zmienić. Jeśli ona chce się zmienić. Jeśli chce zmienić własne życie. Jej zniechęcenie rozwiało się niczym poranna mgła.

Robert wyrwał ją z zamyślenia, stukając czubkiem noża w krawędź jej talerza.

– A przy okazji, moja mała Joan, dowiedziałem się dziś czegoś, co może cię zainteresować.

– Naprawdę?

– Tak. Wygląda na to, że ten twój brat wrócił do bazy. Jeśli chcesz, możemy tam jutro pojechać.

Patrzył z uśmiechem, jak Joan wciąga gwałtownie powietrze, a jej twarz się rozjaśnia.

– Dostałeś od niego wiadomość? I czekałeś aż do deseru, żeby mi o tym powiedzieć? Co za okrucieństwo!

– Nie chciałem, żebyś straciła apetyt z podekscytowania.

– Wujku Bobby, nie mam już dwunastu lat.

– Więc nie jesteś podekscytowana? Cóż za rozczarowanie.

– Przestań, oczywiście, że jestem podekscytowana! To cudowne wieści. Pojedziemy tam jutro? Obiecujesz?

Nie mogła przestać się uśmiechać, chociaż żołądek ścisnął jej się z niepokoju. Poczowała dziwne mrowienie na skórze.

Rory złapał ją za rękę pod stołem. Rozumiał, ile znaczy dla niej brat, szczególnie teraz. Wiedział, że martwi się powtarzającymi się nieobecnościami Daniela i niebezpieczeństwami, jakie grożą mu na służbie. Daniel wstąpił do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, gdy tylko skończył osiemnaście lat, a zaraz po dyplomie poleciał do Malezji walczyć z komunistami. Stamtąd w 1956 roku wysłano go na wojnę sueską, skąd rok później trafił do Omanu. Wszyscy się ucieszyli, że jest dużo bliżej domu, chociaż Joan zawsze wydawał się potwornie daleko. Nawet Rory nie wiedział, że jego narzeczoną w snach widzi Daniela zastrzelonego, rozerwanego przez minę albo przygniecionego wywróconym dżipem ani że ból, który utrzymywał się jeszcze chwilę po przebudzeniu z tych koszmarów, był najstraszliwszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

– Nie potrzebujesz mojej obietnicy, pojedziemy – zapewnił ją Robert. – Rano mam spotkania, ale zajrzemy tam na lunch. Jedzenie w kantynie jest

bardzo dobre, podają przysmaki, o jakich tu możemy tylko pomarzyć. – Dźgnął ze smutkiem niedopieczone ziemniaki na swoim talerzu. – Marian, naprawdę powinnaś przestać udawać, że jemy w pubie Pod Psem i Kaczką w Putney. To bez sensu.

– Po prostu mam już po dziurki w nosie tych wszystkich przypraw... tych wszystkich smaków – poskarżyła się Marian.

– Poszłabym do tej kantyny, nawet gdyby podawali tylko chleb i wodę, byleby Dan tam był – oświadczyła Joan.

– Oczywiście. Jak my wszyscy. – Marian poklepała ją po dłoni.

Białka jej oczu były lekko zaróżowione, podobnie jak policzki. Cała twarz żony Roberta przybrała odcień szminki, którą miała umalowane usta, przez co jej rysy wydawały się nieco rozmazane. Patrząc na nią, Joan widziała tylko gładką powierzchnię, jakby Marian była powleczona twardym werniksem, przez który trudno się przebić, żeby sprawdzić, co tkwi pod spodem – i co każe jej pić. Joan podejrzewała, że chodzi o nudę.

– Biedny Dan. Rzucę się na niego jak opętana przy wszystkich kolegach. Będą się za to później z niego wyśmiewać, ale i tak to zrobię – powiedziała.

Została na dole z Rorym po tym, jak Robert i Marian poszli spać. Służący przy drzwiach służył im za przyzwoitkę, chociaż taktownie zajęli przeciwległe krańce kanapy. Pokój oświetlały słabe żarówki, które od czasu do czasu migwały i przygasały przez kaprysy generatora, dlatego na stole przed nimi stała na wszelki wypadek lampa naftowa. Rezydencję zbudowano na planie typowym dla omańskich budynków, pokoje rozmieszczone były w kwadracie wokół pustej przestrzeni na środku, sięgającej aż po dach. Dzięki temu rozgrzane powietrze unosiło się i rozpraszało, a na niższych piętrach robiło się chłodniej. Z kolei wystrój wewnątrz wydawał się stuprocentowo brytyjski: na podłodze leżał orientalny dywan podobny do tego, który Joan znała z domu, a wokół stały przedwojenne meble z polerowanego mahoni. Ogromny globus krył w sobie barek, zaś na ścianach wisiały niekorzystne portrety władców: królowej Elżbiety i księcia Filipa oraz sułtanów – dawnych i aktualnie

rzządzającego. Między obrazami wyeksponowano broń, która wprawdzie wyglądała na ceremonialny oręż omański, ale stwarzała podobny efekt co strzelby w angielskiej posiadłości. Sofy zostały wyprodukowane przez firmę Ercol; łóżko i szafa w sypialni Joan wyszły z fabryki Waring & Gillows. Gdyby nie wysokie białe ściany, lampy naftowe oraz smak i temperatura powietrza, równie dobrze mogliby być w Bedford. Joan znów poczuła tęsknotę za tymi wszystkimi miejscami, do których nie mogła dotrzeć; za światem za oknem, który miała niemal w zasięgu ręki. Dręczyło ją wrażenie, że zbyt słabo starała się go poznać.

Wieczorny chłód wprowadził Rory'ego w lepszy nastrój. Jego skóra straciła woskowany połysk, ale pod oczami wciąż miał głębokie cienie. Ze względu na problemy ze snem przez cały dzień nie napił się mocnej, omańskiej kawy, chociaż ją uwielbiał.

– Mam nadzieję, że dziś w nocy porządnie się wyśpisz, Rory – odezwała się Joan.

Chciała wziąć go za rękę i musiała się przed tym ciągle powstrzymywać. Trzymając w palcach jego szeroką, silną dłoń, natychmiast czuła się pewniej, jakby złapała się poręczy na szczycie stromych schodów.

Byli parą od pięciu lat, a oświadczył się jej przed dwoma, więc zaręczyny trwały już na tyle długo, by sprawiać wrażenie trwałego stanu, a nie preludium do czegoś innego. Od czasu do czasu Joan martwiło, że odkładają ustalenie daty ślubu, i robiła się niespokojna, ale zastygli w swoich rolach podobnie jak Marian i trudno było zrozumieć, dlaczego tak się stało. A Joan nie do końca chciała się w to zagłębiać w obawie, że odnajdzie przyczynę, która jej się nie spodoba.

– A ja mam nadzieję, że ty w ogóle zaśniesz. Pewnie odliczasz minuty do jutra – odpowiedział.

– To prawda. – Uśmiechnęła się. – Nie mogę się doczekać. Kochany Dan. Będzie w trybie wojskowym, rozumiesz, czysta kompetencja i odpowiedzialność. Rozzłości go mój nadmierny entuzjizm, ale nie będę

umiała go pohamować.

– Nie spodziewa się po tobie niczego innego. Ale pewnie będzie wykończony; pamiętaj, że jest w czynnej służbie.

– Wiem – rzuciła Joan, dotknięta, że jej o tym przypomina. – Przecież wiem. Ale nie widzieliśmy się pięć miesięcy. Pięć miesięcy! To zdecydowanie za długo.

– Cóż, na szczęście nie ma możliwości, żeby to spotkanie cię rozczarowało – powiedział Rory z uśmiechem.

– To prawda, Daniel nigdy mnie nie rozczarował – odparła Joan i dopiero w ciszy, jaka zapadła po tych słowach, uświadomiła sobie, że mogły zabrzmieć krytycznie, choć nie miała nic złego na myśli. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Rory sięgnął po swoją filiżankę herbaty, chociaż od wielu minut stała pusta, a Joan milczała, nie wiedząc, czy go przeprosić, czy pozostawić ostatnie zdanie bez komentarza. Paraliżowało ją niezdecydowanie. W końcu Rory nabrał powietrza do płuc i wstał.

– No dobrze, im wcześniej się położymy, tym wcześniej przyjdzie ranek. Jak w Boże Narodzenie – powiedział, rozciągając znów usta w uśmiechu, choć w jego oczach dostrzegła cień nieufności.

Joan również podniosła się z ulgą. Blask jej marzeń o Arabii jeszcze nie przygasł i wierzyła, że wciąż może je spełnić, jeśli tylko się postara. Czowała, że jej brat jest niedaleko, cały i zdrowy, i pozwoliła, by ogarnęło ją szczęście z tego powodu, chociaż była też zdenerwowana. Wiedziała, że musi zadać Danielowi pewne pytanie i obawiała się tego momentu.

Lyndhurst, Hampshire, 1890

Tym, czego naprawdę nie mogła znieść Maude, było regularne, głuche tykanie zegara. Sprawdziła nawet najdalsze zakątki Marsh House – od sklepionych piwniczek z winami aż po labirynt pokoi dla służby pod samym dachem – ale, choć wydawało się to niemożliwe, miała wrażenie, że wszędzie słyszy ten dźwięk. Przeszkadzał Maude w zabawie i wdzierał się w jej fantazje, dręcząc ją skojarzeniami z ćwiczeniem gam na pianinie i niekończącymi się lekcjami matematyki, gdy czas gęstniał i zaczynał biec przeraźliwie wolno. Tego dnia też biegł przeraźliwie wolno. Tykanie czuć było nawet w powietrzu; skóra swędziała ją od niego jak od ukąszeń komara, którego nie dało się pozbyć. Od czasu do czasu szarpała z rozdrażnieniem swoje ubranie, bo materiał wrzynał jej się pod pachami i napinał na ramionach. Był czerwiec, ale świat tonął pod szarym, zapadniętym nisko niebem. Od śniadania nieprzerwanie padało. Wszystkie okna były zamknięte, a na schodach i w korytarzu unosił się zapach grzanek i wędzonego śledzia. W milczącym domu panował półmrok. Maude nie mogła wyjść na dwór nawet po to, żeby pobawić się w szklarniach albo pojeździć na swoim kucyku. Od czasu do czasu słyszała szmerzący świergot kosa, próbującego rozsiewać radość wśród przemoczonych bzów, przez co bezruch wewnątrz wydawał się jeszcze gorszy.

Jej ojciec pojechał do Londynu – załatwiał coś ważnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, choć Maude nie była pewna co – a jej matka siedziała w salonie, nakłuwając na jedwabiu wzór następnego haftu. Maude podejrzewała, że musiały zdarzać się dni, kiedy mama nie ma ochoty haftować, ale nie pamiętała, kiedy to się ostatnio zdarzyło. Doniosłość nowej informacji, ranga konkretnego gościa, powaga występu dziecka – miarą wszystkich tych zdarzeń było to, czy mogły skłonić Antoinette Vickery do odłożenia igły i tamborka. Antoinette tak często miała wzrok spuszczonego na swoją robótkę

i skupiony na ściegach, że gdy patrzyła komuś w twarz, efekt był porażający. Szeroko otwarte oczy matki wytręcały Maude z równowagi; miała ochotę się w nie wpatrywać i równocześnie się przed nimi schować. Przypominały wypolerowane kamienie albo skarb, który połyskuje z dna skalnej sadzawki. Kryło się w nich osobliwe piękno. Zawsze przesuwwały się po Maude przelotnie, ale ich spojrzenie wywoływało w niej niepokojące wrażenie, że nie ma ze swoją matką nic wspólnego. Czasem przystawała na progu pomieszczenia, w którym przebywała akurat Antoinette. Wierciła się w miejscu, przestępując z nogi na nogę, gnębiona pragnieniem, by matka ją zauważyła, ale zbyt nieśmiała, żeby się odezwać.

Mając osiem lat, Maude wciąż była wzrostu sześciolatniego dziecka, co przydawało się przy zabawie w chowanego, ale nie pomagało wspinać się na drzewa ani zyskać szacunku braci, Francisa i Johna, starszych od niej odpowiednio o cztery i pięć lat. Nazywali ją Karzełkiem, lubili kłaść rzeczy tak wysoko, żeby nie mogła ich dosięgnąć, i rzucać je do siebie ponad jej głowę albo przewieszać ją sobie przez ramiona i kręcić nią, dopóki nie zzieleniała na twarzy ze złości. „Chyba się nie rozpłaczesz, Karzełku?” Ale gdy słyszał to ich ojciec, często mówił: „Nonsens, Maude jest twardsza od was obu”, a ją przeszywał dreszcz rozkoszy. Tego dnia chłopcy mieli przyjechać do domu na wakacje, a Maude z trudem powstrzymywała podekscytowanie. Ich rychły powrót spowalniał czas w takim samym stopniu jak cisza i deszcz. Zaczęła się denerwować. Po długich okresach nieobecności Johna i Francisa zawsze czuła się przy nich onieśmielona i przestraszona. W ciągu semestru ich twarze zmieniały się, byli też coraz wyżsi, więc w pierwszej chwili wyglądali dla niej jak para obcych chłopców, którzy wcale nie przypominali jej braci. Zwykle nie trwało to długo – wystarczało mniej więcej pół godziny, żeby wyciągnęli jej wstążki z włosów i schowali jej buty, a wtedy wszystko wracało do normy.

Kwadrans po drugiej Maude usłyszała, jak Thorpe wyjeżdża dwukółką, by odebrać chłopców z pociągu. Żołądek jej się ścisnął i podbiegła do okna

w korytarzu, żeby patrzeć, jak pojazd znika za wierzbami przy bramie, które zwiesiły przemoknięte gałęzie do samej ziemi. Zaczęła się zastanawiać, ile musiałoby upłynąć czasu, żeby ogród wchłonął ich dom; żeby drzewa i pnącza objęły budynek w swoje władanie i ukryły go pod liśćmi i konarami, aż świat o nim zapomni, tak jak w jej odczuciu zapomniał o niej i wszystkich w tych czterech ścianach. Doszła do wniosku, że trwałoby to dość długo. W końcu dom był ogromny. Wkrótce ucichł tętent kopyt i skrzypienie kół wozu. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić przez mniej więcej czterdzieści minut, jakie dzieliły ją od powrotu Thorpe'a, Maude szybko przećwiczyła pozycję, w której planowała powitać braci. Postanowiła stać u stóp schodów z książką w dłoni i opanowanym wyrazem twarzy na tle portretów wszystkich swoich przodków, zerkających na nią ze ścian za jej plecami. Mogła też uśmiechnąć się z roztargnieniem, robiąc dorosłą minę, jakby zapomniała, że mają przyjechać, i nie czekała na to z lękiem i podekscytowaniem.

Potem weszła do biblioteki, wzięła z biurka taty jego egzemplarz magazynu „The Fortnightly Review” i wdrapała się po drabinie na wąską antresolę, biegnącą wzdłuż trzech ścian pokoju. W jednym z rogów leżała stara, spłaszczona poduszka, na której Maude lubiła czytać. Rzuciła się na nią nieelegancko, kichając od kurzu, który wzbił się w powietrze. Odgłos tykania zagłuszyła, nucąc pod nosem melodię *Greensleeves*, którą zawzięcie katował z nią na lekcjach jej nauczyciel gry na pianinie. Zastanowiła się, co ją tak niepokoi, bo wiedziała od ojca, że to najlepszy sposób na opanowanie nerwów. Była ze sobą na tyle szczerą, żeby przyznać, co najbardziej ją przerażało w powrocie braci: oznaczał rozpoczęcie odliczania do ich ponownego wyjazdu, gdy znów miała zostać w tyle, czego nienawidziła z całego serca. Ogarnięta rozpaczliwą bezsilnością wbiła sobie paznokcie w nasady dłoni.

Ssąc kciuk, sięgnęła po magazyn i skupiła się na czytaniu. Ojcu podobało się, kiedy czytała teksty, które powinny być dla niej dużo za trudne, więc pod jego nieobecność Maude pilnie się w tym ćwiczyła. Czasem obok książki musiała

mieć otwarty słownik, ale nigdy nie zapominała słów, które sprawdziła. Tak samo było z francuskim, niemieckim i łaciną, więc nie rozumiała, dlaczego jej bracia mają takie problemy z koniugacją czasowników. „Maskat uchodzi za najgorętsze miejsce na całym świecie, gdyż jest zwrócony ku Oceanowi Indyjskiemu, a przed chłodnymi podmuchami chronią go urwiste wzgórza wulkaniczne bez choćby skrawka upraw...” Artykuł był pełny obco brzmiących nazw i imion oraz słów, których nie знаła, takich jak „autokratyczny” i „zasłużony”. Czytała o kobietach z zasłoniętymi twarzami i tłocznych bazarach z mnóstwem dziwnych ludzi i przedmiotów, a potem o egzotycznych chorobach. Zastanawiała się, jak wyglądają i pachną chorzy na drakunkulozę i febrę. Gdy zatopiła się w lekturze, tykanie stało się słabsze. Deszcz ucichł, a Maude nie czuła już wędzonego śledzia, tylko aromat olejku różanego i ostry odór krwi na ladzie u rzeźnika w jakimś gorącym, zakurczonym zaułku. Tak pochłonęła ją lektura, że trzaśnięcie drzwi wejściowych wprawiło jej serce w nerwowy dygot. Bracia wrócili do domu, a ona przegapiła okazję, żeby w chwili ich wejścia pozować u stóp schodów. Ścisnęło ją w gardle z rozczarowania i paniki.

Maude czekała, nastawiając uszu. Chłopcy wpadli do salonu, gdzie przywitał ich niezbyt uważny pomruk zachwytu Antoinette, później pognali po schodach na górę, a po chwili zbiegli znów do kuchni, jak zwykle głodni i niecierpliwi. Trudno było uwierzyć, ile robią we dwójkę hałasu. Maude usłyszała w oddali rechotliwy śmiech kucharki – uwielbiała tupet i łakomstwo chłopców, chociaż udawała, że tak nie jest. Dziewczynka nie mogła już skupić się na czytaniu, więc wpatrywała się w stronę, którą miała przed sobą, nasłuchując z wyczekiwaniem. Miała nadzieję, że bracia spróbują ją znaleźć, zamiast zniknąć w sali bilardowej albo pójść do matki i opowiadać jej jeden przez drugiego o wszystkim, co widzieli, słyszeli i robili, albo zacząć planować wakacje, chociaż nie miało to sensu, bo nie można było nic postanowić, nim ojciec nie wróci do domu. Nie wiedziała, którą z tych opcji wybrali, ale na pewno nie szukali swojej młodszej siostry. Maude

nienawidziła uważać się nad sobą. Nie pozwoliła sobie na płacz, zamiast tego zaczęła ssać dolną wargę, aż ta spuchła. Poczowała na języku smak krwi i pomyślała, że lepiej będzie już przestać. Mijające minuty zamieniły się w pełne udręki pół godziny, ale postanowiła, że zostanie na tej antresoli już na zawsze, bo jest zbyt dotknięta i zła, żeby kiedykolwiek zejść na dół i przypomnieć Johnowi i Francisowi o swoim istnieniu.

Jakiś czas później usłyszała, jak Clara, pokojówka, woła ją na podwieczorek. Chociaż zaburczało jej w brzuchu, nie mogła jeszcze zejść na dół. Od siedzenia na podłodze miała zdrętwiałe nogi i bolały ją mięśnie, w dodatku ścierpła jej lewa stopa, ale oparła się z powrotem o półki, koncentrując się na swojej urażonej dumie. Nie była w stanie spotkać się teraz z braćmi. Próbowwała wymyślić jakieś rozwiązanie: musiałyby potraktować ich wyniośle, jakby byli jej całkowicie obojętni tak jak ona im. Nie stanowiłoby to większego problemu – chwilowo nienawidziła jednego i drugiego. Letnie wakacje byłyby długie i nudne, gdyby nie chciała się z nimi bawić albo gdyby oni nie włączali jej do swoich przygód. Z rozpaczony znów zaczęła ssać wargę, ale w tym momencie drzwi biblioteki otworzyły się z cichym jękiem i zalała ją fala nadziei. Podniosła magazyn i ukryła za nim twarz. Gdy usłyszała skrzypienie drabiny i kroki na antresoli, zaczęły ją palić policzki. Ktoś wreszcie po nią przyszedł – i wiedział, gdzie jej szukać. Skręcało ją z ciekawości, czy to Francis czy John, ale nie mogła podnieść wzroku. Nie śmiała tego zrobić z przyczyn, które były zbyt skomplikowane, żeby teraz w nie wnikała.

Chłopak usiadł obok niej z cichym westchnieniem, napierając kolanem na jej nogę. Kątem oka zobaczyła długie czarne skarpetki ze smugami kurzu, krótkie flanelowe spodnie od mundurka szkolnego i zniszczone buty. To wystarczyło, żeby zorientowała się, że nie jest to żaden z jej braci. Nathaniel Elliot, który tak samo jak Francis miał dwanaście lat, z jakiegoś powodu zajmował przestrzeń inaczej niż chłopcy z rodziny Vickerych. Był synem bliskiego przyjaciela ich ojca, pułkownika Henry'ego Thomasa Elliota, zabitego

w Afryce przez nagich, uzbrojonych w dzidy dzikusów – fakt ten wydawał się Maude tak niesamowicie interesujący, że łatwo wylatywało jej z pamięci, iż w rzeczywistości doszło do tragedii i potwornej zbrodni. Matka Nathaniela podupadła na zdrowiu, więc wyjechała do Nicei, żeby je podreperować, a wizyty syna w jej nadmorskim apartamencie zazwyczaj trwały krótko. Karmiła go homarami i ostrygami, poila szampanem i pozwalała mu siedzieć z nią i jej przyjaciółmi do rana, gdy pili, palili i grali w karty, a po kilku dniach oznajmiała, że jest nim już zmęczona, i odsyłała go z powrotem do Anglii. Miał ciotkę w Londynie, ale zamiast ją kłopotać albo wałęsać się samotnie po spartańskich wnętrzach opustoszałej szkoły, często zatrzymywał się w Marsh House. Maude nigdy nie wiedziała, kiedy się zjawi. Po powrocie od matki miał zaczerwienione, zapuchnięte oczy i był nerwowy i kłótlivy, jakby coś mu dolegało. Po powrocie ze szkoły zachowywał się spokojnie i wyglądał zdrowo, za to wydawał się bardziej wyciszony i zamknięty w sobie.

Maude poczuła, jak się odprężyła. Nathaniel nie był jej nic winien i *vice versa*. Ich relacją rządził kodeks osób niespokrewnionych; traktowała go bardziej jako przyjaciela, a właściwie znajomego, ponieważ różnica czterech lat stanowiła przepaść niemal nie do pokonania, a poza tym był przecież chłopcem. Pachniał lekko pastą do butów, brudnymi skarpetkami i miętą. Przez chwilę milczeli, a potem Maude powiedziała:

– Lepiej nie spóźnij się na podwieczorek, inaczej wszystko zjedzą moi bracia.

Nadal miała wzrok wbity w magazyn, więc posłała mu ukradkowe spojrzenie. Nathaniel był drobniejszy od obu jej braci; miał szczupłą i gibką sylwetkę, a z powodu chudych jak patyki goleni stopy chłopca wyglądały na nieproporcjonalnie duże. Twarz Nathaniela, pociągła jak reszta jego ciała z nosem na czele, była blada i bez wyrazu, ale oczy płonęły mu dziwną intensywnością, przez którą zdawały się widzieć więcej, a zdradzać mniej niż oczy innych ludzi. Miały ten sam ciemnobrązowy odcień co jego włosy.

– Cześć, Maude – rzucił.
– Cześć.
– Tak myślałem, że cię tu znajdę, z nosem w książce. Albo bardzo poważnym magazynie. – Pstryknął palcami w róg strony.

Maude wzruszyła ramionami.

– Nie miałam dziś nic lepszego do roboty – odparła nonszalancko.
– Nie chcesz się przywitać z Johnem i Francisem? – zapytał. Maude znów wzruszyła ramionami, niepewna, czy uda jej się cokolwiek wykrztusić. – Poza tym tobie też może przepaść podwieczorek. A dziś są racuchy. – Maude znów uświadomiła sobie, że znalazła się w położeniu bez wyjścia i nim zdołała się opanować, magazyn zatrzęsł jej się w dłoniach. Poczwała na sobie badawcze spojrzenie Nathaniela. Krępowowało ją jego zaciekawienie. – A w ogóle, to o czym czytasz?

– O Brytyjskim Protektoracie Maskatu i Omanu – odpowiedziała nieco wyniośle.

– Ojej. – Uśmiechnął się szeroko. – Brzmi jak totalna nuda.
– Wcale nie. To jedno z najgorętszych miejsc na świecie, pełne średniowiecznych królów, mędrców, a nawet złoczyńców. Kobiety muszą zakrywać twarze, bo są takie piękne, że nikomu nie wolno na nie patrzeć. Mieszkańcy żeglują jak Sindbad, a sułtan mógłby cię rzucić swojemu lwu na pożarcie, gdyby naszła go taka ochota. Trzeba być niesamowicie odważnym, żeby tam pojechać i prowadzić badania, bo mężczyźni noszą przy sobie sztylety, a wystarczy byle drobiazg, żeby cię wypatroszyli, poza tym można złapać różne choroby, a wszędzie są wilki i pantery.

Na koniec swojej gorączkowej tyrady Maude wzięła głęboki oddech i zauważyła, że Nathaniel się uśmiecha.

– W porządku, cofam moje słowa. To wcale nie brzmi nudno – stwierdził.
Jej bracia nigdy nie przyznaliby się do błędu. Powiedzieliby, że ma wspaniałą wyobraźnię i zachwycaliby się, jakie to urocze, że lubi zmyślać takie historyjki. Aprobata Nathaniela podcięła Maude skrzydła.

– W każdym razie, pojedę tam i sama się o tym przekonam. Kiedy będę dorosła. Będę jeździć wszędzie, jak najdalej stąd – dodała. Jak najdalej od tykającego zegara i kamiennych oczu matki. Ta myśl wydała jej się kusząca i ekscytująca.

– Przecież jesteś tylko dziewczyną, Maude. Nie chcesz wyjść za mąż jak wszystkie dziewczyny?

– Nie! Ja nigdy nie wyjdę za mąż. – Małżeństwo oznaczało tykanie zegara i haftowanie. Ośmioletnia Maude była o tym absolutnie przekonana. – Zwiedzę cały świat. Jeszcze zobaczysz. – Nathaniel patrzył na nią z powątpiewaniem, ale nie zakwestionował jej słów. Nagle poczuła, jak potrzebuje, żeby w to uwierzył; sama potrzebowała w to uwierzyć. – Tak będzie. Zobaczysz – powtórzyła bliska łez.

– No dobrze – odparł Nathaniel. – Zdradzić ci pewien sekret?

– Jaki?

– Ja chcę robić to samo. Chcę zostać odkrywcą. – Zniżył głos i pochylił się nad nią; jego spojrzenie się wyostriżyło, a Maude zrozumiała, że chłopak wierzy w to całym sercem. Znalazła pokrewną duszę. Nieoczekiwanie poczuła się lekka i gotowa do drogi; ze szczęścia zakręciło jej się w głowie. – Wpadłem na to, kiedy uczyliśmy się na historii o ekspedycji Lewisa i Clarka. Zdobędę taką sławę jak oni, a moje wyprawy będą równie długie i niebezpieczne. Ale chyba nie powinniśmy wyruszać z pustym żołądkiem, prawda? Chodź – rzucił, wstając i otrzepując nieco ubranie.

Maude podniosła się z trudem. Nie podał jej ręki. Był to jeden z drobnych, subtelnych sposobów, na które okazywał, że traktuje ją jak równą sobie; a skoro to właśnie on przyszedł przyprowadzić ją na podwieczorek, to nie było nic prostszego, niż na niego pójść. Tak jak nie było nic prostszego, niż przywitać się z braćmi i nie obrazić się, że zaczęli jeść bez niej.

Maskat i Matrah, listopad 1958

Po krótkiej dyskusji postanowili jechać do Matrah i bazy wojskowej trasą okrążającą cypel na zachód od Maskatu, zamiast popłynąć jedną z łodzi, które zabiegały o pasażerów wzdłuż nabrzeża. Sprawę przesądziła Marian, oświadczając, że niezależnie od tego, co zadecyduje reszta, ona wybiera samochód. W słońcu późnego poranka wydawała się równie ostra i wyrazista jak granica między światłem a cieniem; włosy miała ściśle upięte, ale i tak włożyła na nie opaskę, jakby nie chciała ryzykować, że zdoła się wymknąć jakikolwiek kosmyk. Jej uśmiech sprawiał wrażenie wymuszonego.

– Naprawdę nie mam ochoty szukać po drugiej stronie kogoś, kto nas podwiezie do koszar. Obawiam się, że czasy jazdy na wielbłądach mam już za sobą – powiedziała.

– Och, ja bym chciała przejechać się na wielbłądzie! – zawołała Joan.

– Nonsens, jestem pewny, że pułkownik wysłałby po nas Land Rovera. Poza tym nie musisz z nami jechać, jeśli nie masz ochoty, kochanie – rzekł Robert.

– No cóż – rzuciła Marian, poprawiając białą rękawiczkę. – Zawsze to jakaś odmiana. I przyjemnie będzie zobaczyć Daniela.

Nie brzmiała zbyt przekonująco, ale Joan się tym nie przejęła; za bardzo jej zależało, żeby jak najszybciej wyruszyć.

Przed schody Rezydencji podjechał samochód, prowadzony przez młodego, chudego Omańczyka z małymi oczami i ziemistą cerą, i cała czwórka wsiadła do środka.

– Następnym razem możemy wziąć łódź – zaproponował Robert. – Nawet dau, jeśli będziecie chcieli. Trzymalibyśmy się przez jakiś czas wybrzeża. Czasem podpływają tam niewiarygodnie ogromne raje, żeby przyjrzeć się intruzom.

– Och, to brzmi cudownie – odpowiedziała Joan. – Ale Rory dostaje

potwornej choroby morskiej, prawda?

– Jak pijany marynarz – przyznał Rory.

Wzdłuż górnej wargi perliły mu się kropelki potu. Joan miała ochotę powiedzieć narzeczonemu, żeby je wytarł. Sfrustrowana tym widokiem przesunęła sobie dłonią po twarzy. Rory siedział wciśnięty w drzwi samochodu, spinając mocno barki.

– Nic ci nie jest? – zapytała cicho, kiedy samochód ruszył. – Wyglądasz trochę... dziwnie.

– To tylko ten upał. – Uśmiechnął się przelotnie. – Jakoś nie mogę się do niego przyzwyczaić.

– No dobrze, skoro nie chodzi o nic więcej... – urwała niepewnie, wykorzystując chwilę prywatności w samochodzie, żeby wziąć go za rękę. – Nie wstydź się mówić, że źle się czujesz. Zapomnij o fałszywej dumie. Nie martw się, że stracisz twarz, honor czy cokolwiek innego, co mężczyźni chcą utrzymać za wszelką cenę.

– Joan, naprawdę nie jestem zbyt dumny, żeby przyznać się do słabości – zapewnił ją lekkim tonem.

– Nie jesteś słaby, tylko... spocony.

Parsknęła śmiechem, a Rory wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć twarz. Wydawał się rozkojarzony i miała przeczucie, że coś przed nią ukrywa.

– Gotowa na spotkanie z bratem? – zapytał Robert, uśmiechając się szeroko do Joan.

Nabrała powietrza tak głęboko, że prawie uwięzło jej w płucach, i energicznie pokiwała głową.

Przeciskali się ostrożnie krętą drogą przez miasto, mijając domy o płaskich dachach i meczety. Nie miały minaretów ani kopuł; gdzieniegdzie widać było tylko ozdobne blanki i eleganckie maszarabije, czyli dekoracyjne drewniane kraty na oknach. Wyjechali bramą główną, pomalowaną na olśniewająco biały kolor, którego nie zdążyły jeszcze przygasić upał ani wiatr. Strażnicy schronili się w cieniu; ich broń stała oparta o mur w równym rzędku. Im bardziej

zbliżali się do jałowych wzgórz, tym rzadsza stawała się zabudowa. Joan wyciągała szyję, żeby dojrzeć dom Maude Vickery, ale nie umiała go rozpoznać. Na kamieniach za domami suszyło się pranie, stwarzając wrażenie, jakby ludzie położyli się w nich, a potem po prostu wyparowali. Joan miała rozbiegany wzrok, chciała zobaczyć wszystko, poznać każdy szczegół. Zadarła głowę, żeby spojrzeć na wzgórza. W niczym nie przypominały zmiętego sukna Alp ani innych europejskich łańcuchów górskich, które znała ze zdjęć. Wyglądały na skrajnie nieprzystępne, surowe i wrogie. Głębokie wąwozy między zboczami wypełniały głazy i bloki skalne.

Te nagie wzniesienia nie były przytłaczająco wysokie ani majestatyczne, a mimo to ich widok budził w Joan strach i poczucie porażki – może dlatego, że tak nagle wypiętrzały się z płaskiej nadbrzeżnej równiny. Wydawało jej się, że patrzą na nią spode łba. A to właśnie tam walczył Daniel – jakimś sposobem odnajdywał wśród nich drogę i tropił wrogów.

Al-Dżabal al-Achdar to będzie ciężki orzech do zgryzienia, napisał jej w ostatnim liście. Nazywają go tu Zieloną Górą. Jego centralny płaskowyż, położony na wysokości około dwóch kilometrów, otaczają ogromne, ostro zakończone skały, sterczące nawet trzy kilometry w górę. Przedostać się przez nie można tylko jednym z kilku wąskich wąwozów. Wyobraź sobie, że naciągasz na cegłę materiał, dopóki się nie rozedrze – zostaną wokół niej wąskie skrawki tkaniny. Nawet gdy uda nam się wspiąć się wąwozem między tymi skrawkami – które stanowią idealne kryjówki dla snajperów przeciwnika – docieramy jedynie do podnóża gigantycznego, niemożliwie stromego klifu, wznoszącego się na półtora kilometra wwyż. Bojownicy imama śmieją nam się w twarz ze szczytu cegły.

Joan nagle przypomniała sobie, jak Daniel wspinał się po ścianie starego kamieniołomu w Derbyshire, gdy odwiedzili dziadków na Wielkanoc. Przed oczami stanęła jej spocona skóra brata, jego ściągnięte w skupieniu brwi, rozchylone usta i wzrok skupiony jedynie na następnym miejscu, którego mógłby się przytrzymać.

Czasy, kiedy dawał jej sobą dyrygować, minęły bezpowrotnie, więc nie mogła wykorzystać swojego autorytetu, żeby kazać mu zejść na dół. Mając dziesięć i pół roku, Daniel zdążył przerosnąć dwunastoletnią siostrę, a już od

dawna przewyższała ją uporem i śmiałością. Patrzyła, jak napinają się mięśnie na jego chudych ramionach. Strużka krwi z obtartego kolana ciekła mu wolno na skarpetkę. Jedynymi dźwiękami były osypywanie się żwiru i skrobanie jego butów i palców o skałę. Joan nie śmiała się odezwać z obawy, że Daniel straci koncentrację i spadnie. Był coraz bliżej szczytu, a jego mała sylwetka wydawała się Joan tak wysoko i daleko, że musiała zamknąć oczy i przenieść się w myślach gdzieś indziej. Ze strachu o brata dudniło jej w uszach. Mdliło ją tak, jakby i pod nią znajdowała się otwarta przestrzeń i piekielnie głęboka czeluść. Daniel nie rozumiał jej lęku. Kiedy po wszystkim próbowała złapać go za rękę, strząsnął jej rozczapierzone palce z dłoni. „Wiedziałem, że dam radę to zrobić, więc to zrobiłem – oświadczył. – Gdybym nie wiedział, czy dam radę, nie robiłbym tego”.

Samochód wjeżdżał wolno pod górę krętą drogą, wzbijając za sobą kurz. Raz musieli gwałtownie skręcić, żeby ominąć objuczone osły i sznur wielbłądów, które kroczyły statecznie za obdartym mężczyzną. Joan świerzybiły palce, żeby sięgnąć do torby po aparat kompaktowy, ale zawahała się, bo w uszach zadźwięczało jej znów określenie „turystka”. Robert poradził jej, żeby robiła zdjęcia tylko z samochodu, bo sułtan nie chciał, żeby jego poddani mieli kontakt z technologią, której nie potrzebowali, więc i tak trudno byłoby zawsze wszystko w kadrze. Zanim wreszcie wyciągnęła aparat i zdjęła osłonę obiektywu, skręcili za róg, a wielbłądy zniknęły im z pola widzenia.

– Joan, jeśli chcesz, zatrzymamy się na górze i opuścimy szybę, żebyś mogła pstryknąć zdjęcie – powiedział Robert. – Jest stamtąd wspaniały widok na miasto i morze. Ale będziesz na to miała jeszcze mnóstwo czasu.

Joan korciło, żeby zapytać, ile dokładnie będzie tego czasu, ale nie chciała prowokować wujka do podjęcia takiej decyzji. Na razie ich wizyta nie miała wyznaczonego końca – zdobycie pozwolenia na przyjazd wymagało tyle wysiłku i planowania, że najwyraźniej nikt jeszcze się nie zastanawiał, kiedy wyjadą. Na myśl o Forcie Dżabrin i pustyni Joan poczuła znajomą tęsknotę. Ale chwilowo liczyło się tylko to, że zaraz zobaczy się z bratem.

Maskat był politycznym centrum Omanu, za to Matrah ze swoim kłębowskiem suków, sklepów i domów pełnił funkcję ośrodka handlowego i leżał nad znacznie szerszą zatoką niż stolica. Gdy Robert wskazał im pole pełne odpoczywających wielbłądów, w samochodzie rozniósł się odór ich łajna i tłustej sierści.

– Dalej nie wolno wprowadzać wielbłądów – wyjaśnił. – Dlatego karawany zatrzymują się tutaj, żeby rozładować towar.

Wśród stada stało kilka namiotów, a z rozpalonych przed nimi ognisk unosiły się smugi dymu. Kierowca przystanął, żeby Joan mogła zrobić zdjęcie.

– Wspaniałe zwierzęta – stwierdziła.

Spojrzała na Rory'ego, ale on posłał jej tylko nieobecny uśmiech.

– Lepiej trzymać się od nich z daleka – ostrzegł Robert. – Widziałem ślad po ugryzieniu wielbłąda i nie wygląda to przyjemnie. Spójrzcie tam, widzicie ten szeroki prześwit między wzgórzami? To Wadi Sumail. Jadąc tą drogą, o ile można tu użyć tego słowa, znajdziecie się na dzikiej, niezamieszkałej pustyni.

– Myślałam, że *wadi* to znaczy „rzeka” – zdziwiła się Joan.

– Dokładniej „koryto rzeki”, ale takie, które zazwyczaj jest wyschnięte. Wadi wypełniają się wodą tylko w pewnych okresach roku. Wadi Sumail jest na tyle szeroki, że zostaje tam mnóstwo miejsca na drogę i kilka wsi nawet, kiedy rzeka wzbiera – odpowiedział Robert.

Joan wpatrywała się w głęboką wyrwę między wzgórzami, marząc, żeby zobaczyć na drugim końcu pustynię.

Siedziba Sułtańskich Sił Zbrojnych znajdowała się w Bait al-Faladž – co po arabsku oznacza „dom kanału irygacyjnego” – mniej więcej półtora kilometra w głąb lądu. Był to ogromny, surowy teren ogrodzony drutem kolczastym, zdominowany przez stary wybielony fort z wieżą, z której łopotała czerwona flaga Omanu. Wewnątrz stały namioty oficerów, długie i niskie koszary z suszonej cegły dla szeregowych żołnierzy oraz kilka osobnych kwater wyższych rangą dowódców. Robert wskazał im też ogromny zakurzony namiot, w którym znajdowała się kantyna. Przez otwarte okna do samochodu wpadł

mineralny zapach spękaney ziemi i fala gorąca – w obozie musiało być o kilka stopni cieplej niż w Maskacie. Za ogrodzonym terenem na krótkim pasie startowym czekały dwa samoloty Pioneer z oknami zmatowiałymi od pyłu.

Kiedy samochód zatrzymał się w bazie, Joan zaczęła się wiercić. Przyglądała się twarzom i sylwetkom żołnierzy w zasięgu jej wzroku, szukając wśród nich brata. Miała nadzieję, że usłyszał samochód i wyjdzie im na spotkanie. Rozpoznałaby go natychmiast z każdej odległości – umiejętność tę doskonaliła w dzieciństwie, szczególnie w czasie wojny, wyczekując przy oknie, aż wróci ze szkoły, ze zbiórki skautów, od przyjaciela. Nagle wróciły do niej rozmaite zapachy, które kojarzyła z tamtym okresem: aromat wątróbki, bekonu i puddingu z łojem i dżemem, gdy matka gotowała; stęchlizna zasłon w salonie, bijąca z fałd zakurzonego materiału; woń płynu po goleniu, która unosiła się w korytarzu po wyjściu ojca. Kiedy Olive i Joan zostawały same, dom wydawał się równocześnie pusty i za mały. Joan zawsze wypatrywała powrotu Daniela po części z niecierpliwością, a po części z niepokojem.

Wojna zdominowała jej dzieciństwo – podobnie jak dzieciństwo Daniela, chociaż w odróżnieniu od wielu kolegów i koleżanek ze szkoły mieli to szczęście, że ich ojciec został w domu. Kiepski wzrok i astma wykluczyły go ze służby wojskowej, więc zamiast tego wstąpił do Home Guard, czyli struktur obrony cywilnej. Bedford zalali ludzie ewakuowani z południowego wschodu kraju, a Joan i Daniel poznali nowych przyjaciół. Któregoś dnia zbierali całą grupą jeżyny, gdy przeleciał nad nimi niemiecki bombowiec – pojedynczy samolot, który Daniel natychmiast zidentyfikował. Rzucił w niego kamieniem, a Joan wybuchła płaczem. Później dowiedziała się, że samolot zrzucił bombę na grupę mijanych rolników. W inny rześki, słoneczny poranek w lipcu 1942 roku na Bedford spadły cztery bomby burzące, a dziesięcioletnia Joan i jej matka tkwiły pod stołem jeszcze wiele godzin po odwołaniu alarmu, zbyt przerażone, żeby się ruszyć. Paraliżowały je wizje pożaru, walących się na nie ścian i braku powietrza; siedziały w ukryciu, wdychając ostry zapach własnego strachu. Kiedy w końcu wyszły spod stołu, natychmiast

przyprowadziły Daniela do domu, chociaż do bombardowania doszło daleko od jego szkoły. Chciał zobaczyć leje po wybuchach, ruiny domów i kłęby dymu; on i jego przyjaciele zbierali odłamki pocisków i łuski z takim samym zapałem, z jakim przed wojną kolekcjonowali karty dodawane do paczek papierosów. Joan nie odzywała się przez trzy dni. W Dzień Zwycięstwa wybuchła płaczem, ale na zabawie ulicznej usłyszała, jak matka mówi do sąsiadki: „Moja biedna Joanie jest kłębkim nerwów”, więc później próbowała nadrabiać miną. Pamiętała jednak, że jeszcze wiele razy budziła się w środku nocy z koszmarów, a mama tuliła ją do siebie i kołysała w miękkich ramionach, póki dziewczynka znów nie zasnęła.

Wysiedli z samochodu, pokrzykując przy zderzeniu z upałem. Joan rozglądała się po bazie, ale większość mężczyzn w Bait al-Faladż wyraźnie nie pochodziła z Wielkiej Brytanii. Marian wachlowała sobie twarz dłonią, chociaż nic to nie dawało; nawet Joan zaczęła się pocić. Wokół głów bzycały im muchy. Schronili się w cieniu fortu w pobliżu faladżu – jednego ze starożytnych omańskich kanałów irygacyjnych z kamienia, doprowadzających cenną czystą wodę z górskich strumieni do każdej wsi i miasta. Tam powitał ich łagodny, przyjaźnie wyglądający mężczyzna, ubrany w swobodną wersję brytyjskiego munduru tropikalnego: koszulę khaki z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami, luźne szorty i kefiję narzuconą na kark dla ochrony przed słońcem. Jego bose stopy tkwiły w skórzanych omańskich sandałach z odkrytymi piętami. Miał szerokie czoło, łagodną linię szczęki, dołek na podbródku i jasnoniebieskie oczy o spokojnym spojrzeniu.

– Panie Gibson, dostałem pana wiadomość – powiedział do Roberta, ściskając mu dłoń. – Jak się pan miewa?

– Wyśmienicie, panie pułkowniku, wyśmienicie. Oczywiście zna pan już moją żonę.

– Miło panią znów widzieć, pani Gibson. Jak się pani miewa?

– Ociekam potem, panie pułkowniku. Ociekam potem – odpowiedziała Marian z wytwornym akcentem.

– No tak, to zrozumiałe. – Singer zmrużył powieki i zerknął w górę na słońce w zenicie. Ich sylwetki nie rzucały cieni. – Jak to się mówi, tylko wściekle psy i Anglicy wychodzą na słońce w południe. Witamy w Bait al-Faladz, na moje oko najduszniejszym miejscu w tym jakże dusznym kraju.

– To Joan Seabrook i jej narzeczony Rory Cole – przedstawił ich Robert.

Joan uścisnęła z roztargnieniem dłoń pułkownika, za jego plecami szukając wzrokiem Daniela.

– Siostra kapitana Seabrooka. Nareszcie pani do nas dotarła.

– Tak, nareszcie – odparła Joan.

Pułkownik Singer uśmiechnął się, niezrażony jej brakiem taktu.

– Przez cały poranek nie mógł się skupić, bo na panią czekał. Jego namiot stoi tam, jest trzeci po prawej. Może chciałaby pani do niego zajrzeć? Potem zapraszam wszystkich do mojego gabinetu w forcie. Poproszę, żeby podano tam kawę. Pan oczywiście będzie towarzyszył narzeczonej, prawda? – zwrócił się do Rory'ego, który zachnął się lekko.

– Idźcie, idźcie. I tak nie będziecie zwracać na nas najmniejszej uwagi, dopóki się z nim nie zobaczycie – dodał Robert.

Joan z wdzięcznością ruszyła we wskazanym kierunku, a Rory trzymał się pół kroku za nią.

Tuż przed namiotem dotknął jej ramienia, żeby zwolniła. Podniosła na niego wzrok z zaskoczeniem.

– O co chodzi?

– Joan... wiem, że to twój brat, ale ja też znam go od dawna. Po prostu... spróbuj nie... – urwał, wyraźnie zakłopotany, szukając właściwego słowa.

– Czego mam nie robić? – zapytała zbita z tropu Joan. – Nie narobić mu wstydu? To chciałeś powiedzieć?

– Nie przytłoczyć go uczuciami.

– Och, będę się starała ze wszystkich sił, ale to mój młodszy brat, Rory.

– Wiem, Joan. Nie gniewaj się. Tylko... pamiętaj, gdzie jesteśmy. On tu pracuje, to wszystko. – Rory spojrzał na nią niepewnie, a Joan wbiła w niego

wzrok, usiłując się zorientować, co miał na myśli.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego uważasz, że musisz mi... – zaczęła, ale w słowo wszedł jej szczupły czarnowłosy mężczyzna, który wyłonił się z namiotu:

– Możecie na pięć minut przestać paplać, żeby się ze mną przywitać? A może wcale nie przyjechaliście tu do mnie?

– Dan! – zawołała Joan i na przekór wszystkiemu zamknęła brata w objęciach.

Poczuła twarde pasma mięśni na łopatkach i żebrach Daniela oraz jego charakterystyczny zapach, który niemal ginął pod wojskowymi zapachami mydła, skarpetek, płótna i oleju maszynowego. Był równocześnie znajomy i obcy – przy każdym spotkaniu spodziewała się, że zobaczy wychudzonego chłopca, którego pamiętała z dzieciństwa, bo pamięć uparcie podpowiadała jej obrazy z tego krótkiego okresu, kiedy była od niego większa i silniejsza. Wcisnęła nos w jego kołnierzyk i wzięła głęboki oddech. W jednej chwili wezbrały w niej wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek w niej wzbudził: złość, strach, rozbawienie, podziw; wszystkie odcienie ich relacji – a przede wszystkim idealna prostota siostrzanej miłości. Na sekundę przeniosła się w przeszłość – wiele lat wcześniej, kiedy byli jeszcze mali, gdy ich matka miała bardziej promienne spojrzenie, ich ojciec był słońcem, wokół którego wszyscy krążyli, a cały świat i wszystko, czego potrzebowała, zawierało się w czterech ścianach ich praktycznego, niczym nie wyróżniającego się domu. Ale to wrażenie nie mogło trwać – rozwiało się, pozostawiając po sobie dręczący smutek po tym wszystkim, co stracili, kiedy oboje dorośli.

Kilka sekund później odsunęła brata na odległość ramienia na wypadek, gdyby czuł się skrępowany jej uściskiem, ale Daniel patrzył na nią z szerokim uśmiechem. Ostre arabskie słońce raziło go w oczy, więc za czarnymi rzęsami widziała tylko przebliski szaroniebieskich tęczówek. Światło rzucało mu skośne cienie pod kośćmi policzkowymi i wybrzuszeniem jabłka Adama, a jego twarz wyglądała na wymizerowaną. Była to już twarz mężczyzny,

wychudła, bez śladu zbędnego ciała, ale wciąż piękna. Przednie zęby Daniela zachodziły lekko na siebie, co pasowało do jego krzywego uśmiechu – prawy policzek zawsze unosił i marszczył mu się bardziej niż lewy.

– Boże, ale dziwnie was tu widzieć! W miejscu, do którego zupełnie nie pasujecie – stwierdził. Wymienili z Rorym mocny uścisk dłoni i klepnęli się po ramionach. – Jak się masz, Taps? Mam nadzieję, że opiekujesz się moją siostrą?

– Oczywiście. Chociaż ona wcale tego nie potrzebuje. Właściwie częściej bywa na odwrót – przyznał Rory. – Wciąż jestem dla ciebie Tapsem? Wiesz, tylko ty jeden używasz tego przezwiska. Cała reszta dała sobie z tym spokój. – W jego słowach zabrzmiała nuta skargi.

– Sam ci nadałem tę ksywkę i będziesz ją nosił do końca moich dni. Zamiast narzekać, lepiej się z tym pogódź – odpowiedział Daniel. Było to przezwisko z czasów ich wspólnej nauki w szkole. Joan wiedziała tylko, że jest skrótem od słowa „tapioka”, ale żaden z nich nie chciał wyjaśnić jej dokładniej, skąd się wzięło. – Zostaniecie na lunch? Przejdźmy się najpierw trochę; może znajdziemy jakieś miejsce w cieniu? W namiotach panuje piekielna duchota.

– Dobrze, ale najpierw musisz się przywitać ze wujkiem Bobbym i Marian, są w forcie z pułkownikiem Singerem.

– Joan, naprawdę nadal nazywasz go wujkiem Bobbym? – zapytał Daniel z rozbawieniem.

– Wiesz, on nadal nazywa mnie małą Joan.

– Ciekawe dlaczego.

Gabinet pułkownika Singera znajdował się w jednym z pokoiów na piętrze fortu. Wentylatory sufitowe młóciły bezradnie gorące powietrze, a much było jeszcze więcej niż na zewnątrz. Młody kulis wniósł tacę z mrożoną kawą i daktylami.

– Proszę się częstować. O ile nie przejadły się państwu jeszcze daktyle – powiedział Singer.

– Ja już ich nie trawię – oświadczyła Marian. – Dawniej lubiłam daktyle, ale

przekonałam się, że nawet przysmak może się znudzić. Zamówiłam z Anglii zwykłe herbatniki.

Joan nagle zdała sobie sprawę, jak fatalnie Marian znosi pobyt w Omanie. Rozmawiali o wojnie i buntownikach, zwolennikach Imama Ghaliba, którzy nadal przeciwstawiali się rządowi sułtana w swoim bastionie zwanym Al-Dżabal al-Achdar, czyli Zielona Góra. Szejk górskiego plemienia, niejaki Sulejman ibn Himjar, popierał imama, wśród wzgórz było mnóstwo jaskiń, w których mogli się ukrywać bojownicy, wioski, których mieszkańcy zapewniali im żywność i dach nad głową, i ścieżek dla mułów, którymi przemycano dla nich broń.

– Nie rozumiem, dlaczego nazywa się ją Zieloną Górą. Chyba nigdy nie widziałem miejsca, które byłoby mniej zielone – stwierdził Rory.

– Cóż, może jest zielone tylko w porównaniu z pustynią, ale słyszałem, że na szczycie wygląda zupełnie inaczej – odparł Singer. – Nie udało mi się jeszcze tam wspiąć i przekonać o tym na własne oczy. Nikt z Zachodu jeszcze tam nie dotarł, ale na płaskowyżu jest ponoć chłodniej, bardziej wilgotno... uprawiają tam owoce i zboża, które tu, na dole, nie dałyby rady przetrwać. Mają nawet ogród.

– Z trawą? – zapytała Marian tęsknie.

– Z trawą, pani Gibson. – Pułkownik skinął głową.

– Musimy jakoś wykurzyć drani z tego rajku – wtrącił Daniel.

– Ale... czytałam, że ostatni raz górę zdobyli Persowie. Dziewięćset lat temu – powiedziała Joan.

– Rzeczywiście, ale mamy nadzieję pójść w ich ślady. Właśnie odkryliśmy szlak, którym prawdopodobnie można dostać się na płaskowyż, wykorzystując stopnie, które wycięli we wschodniej ścianie skały – wyjaśnił Daniel. Powiedział to spokojnym tonem, ale w jego oczach zalśniła dobrze znana Joan determinacja. „Wiedziałem, że dam radę to zrobić, więc to zrobiłem.” – Chociaż to dość ciężkie podejście, a oni będą nas nieustannie ostrzeliwać z góry. W dodatku nie ma tam wody. Musimy ją zabrać ze sobą na osłach,

a osły nie wszędzie wejdą...

– Więc perskie schody się zachowały? Och, bardzo chciałabym je zobaczyć – rzuciła Joan.

– Słyszałem, że jest pani archeologiem? – Pułkownik przyjrzał jej się uważnie, ale nie bez sympatii. Joan rzuciło się w oczy, jak rzadko mruga. – Cóż, panno Seabrook, bardzo mi przykro, ale nie mogła pani wybrać gorszego momentu na prowadzenie badań archeologicznych w interiorze.

– Ale skoro buntownicy tkwią na szczycie Al-Dżabal al-Achdar, to przecież nie będą nikogo niepokoić tu, na dole, prawda? – zapytała. Daniel roześmiał się z niedowierzaniem.

– Niepokoić? Joan... my toczymy z nimi wojnę – oświadczył, kręcąc głową.
– Nie wygaduj głupstw. – Skarcona Joan wcisnęła plecy w oparcie krzesła. Pułkownik dolał jej kawy.

– Na pewno znajdzie się mnóstwo interesujących miejsc, które będzie pani miała okazję zobaczyć podczas swojego pobytu – pocieszył ją. – I oczywiście, może pani zażyć cudownej morskiej kąpieli. Ale bez wątpienia zdążyła się już pani zorientować, że sułtan utrzymuje wszystko, co się dzieje w jego kraju, w ścisłej tajemnicy, panno Seabrook. Naukowcy, obserwatorzy, zwiedzający i dziennikarze nie są tu mile widziani.

– Podobnie jak szkoły, drogi i szpitale – dodał Daniel.

– Przecież... sułtan wie, że po części dlatego tu jesteśmy, prawda? Wujku Bobby, nie wspomniałeś o tym, kiedy ubiegałeś się o nasze pozwolenie na przyjazd? – zdziwiła się Joan.

Robert przeniósł ciężar ciała na drugą stronę, przesuwając się na swoim twardym krześle, i spojrzał na nią z zakłopotaną miną.

– Pisałem ci w liście, żebyś nie robiła sobie na to większych nadziei, Joan. Gdybym powiedział, że chcesz zorganizować tu wykopaliska, nigdy by się na to nie zgodził. Odwiedzasz Oman głównie jako moja przyjaciółka i członek rodziny oficera na służbie.

– Ale... tym razem nie prowadziłabym rzecz jasna żadnych prac. To

należałoby dokładnie zaplanować, zgromadzić zespół i odpowiednie narzędzia. Spodziewałam się tylko, że będziemy mogli pojechać na pustynię, żeby zrobić wstępne analizy i rysunki... Może gdybym mogła pokazać sułtanowi, czym dokładnie zamierzamy się zająć... – urwała, bo Singer pokręcił głową.

– Wykluczone. Poza wszystkim innym, jedyna droga do interioru jest zaminowana. Rozmieściliśmy wzdłuż niej askarysów, lojalnych miejscowych żołnierzy, ale za każdym razem, kiedy ją oczyszczamy z materiałów wybuchowych, buntownicy schodzą z gór nocą i rozkładają nowe miny. W tej chwili to nasze największe wyzwanie; tracimy za dużo ludzi i samochodów.

– Aha – szepnęła Joan.

– Właściwie w ogóle nie powinno tu pani być, panno Seabrook. Musieliśmy nazmyślać innym oficerom, że pani wizyta u brata to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności przy okazji załatwiania innych spraw, bo inaczej wszyscy zażądaliby pozwolenia na odwiedziny żon czy ukochanych. Każda wyprawa do interioru byłaby nie tylko złamaniem prawa, ale też czystym szaleństwem. – Po słowach pułkownika zapadła cisza. Robert odchrząknął, ale nic nie powiedział, a z pokoju obok dobiegły ich strzępy nerwowej rozmowy telefonicznej po arabsku. – Interesuje panią głównie fort Dżabrin, prawda? – zapytał Singer. Joan przytaknęła z iskierką nadziei. – No tak, przyznaję, że jest całkiem przyjemny. Ma ładne sufity. Są bardzo kolorowe – oznajmił.

Joan wpatrywała się w niego z niemą rozpaczą.

Niedługo potem przeszli do kantyny na lunch. Panował tam zaduch, chociaż kilka bocznych płacht było podwiniętych, żeby zapewnić przewiew. Powietrze ani drgnęło; zaległo w środku niczym wyczerpane zwierzę. Joan podciągnęła rękawy najwyżej, jak mogła, i walczyła ze sobą, żeby nie potrzeć spoczonej linii włosów.

– Szkoda, że nie przyjechałaś w lipcu – rzucił Daniel. – W porównaniu z tamtym upałem teraz jest praktycznie chłodno. W bazie stacjonowało wtedy około pięćdziesięciu brytyjskich żołnierzy, z czego czterdziestu pięciu, łącznie

ze mną, dostało porażenia ciepłego. Dwóch zmarło.

Szeregowi żołnierze pochodzili w większości z Omanu, ale wielu oficerów, zwłaszcza starszych rangą, było Brytyjczykami. Walczyli jako najemnicy albo zostali oddelegowani z armii do pomocy sułtanowi podczas trwającego kryzysu. Na tle Omańczyków wydawali się wyjątkowo wysocy i osobliwie bladzi, mimo opalenizny. Wielu miało poparzone od słońca nosy i czoła oraz wściekle czerwone karki; we włosach lśniły im złote pasma, a wszędzie unosił się ich zapach – cierpka, lecz dość przyjemna woń rozgrzanych ciał. Joan czekała na jedzenie w ciszy, apatyczna i milcząca. Czuła się pokonana. Chociaż od początku знаła reguły swojej wizyty w Maskacie i wiedziała o toczącej się tu wojnie, mimo wszystko wierzyła, że uda im się jakoś obejść te przeszkody i dotrzeć do Dżabrin. Na pustynię. Ale słowa i zachowanie pułkownika Singera nie zostawiły jej żadnej nadziei.

Zerknęła na drugi kraniec stołu, gdzie siedział zatopiony w dyskusji z Robertem i jakimś starszym rangą oficerem. Nie wyglądał na to, ale był groźnym przeciwnikiem. O sprzeciwie nie było mowy.

– Jest twardy jak skała – potwierdził Daniel, gdy mu o tym wspomniała. – Właśnie taki powinien być dowódca. Przestań się mazać, Joan. Myślałem, że przyjechałaś zobaczyć się ze mną? Zaczynam podejrzewać, że to był tylko pretekst, żeby dostać się do tego całego fortu – powiedział.

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyła Joan żalonym głosem.

Na ich stole pojawiły się parujące talerze z pikantnym gulaszem z raków, grillowaną makrelą, aromatycznym ryżem i podpłomykami.

– Rany, wygląda pysznie – zachwycił się Rory.

– Tak, dobrego jedzenia nam tu nie brakuje. Za to kiedy ostatnio jadłem u Roberta i Marian, sprawy miały się zupełnie inaczej.

– Dżabrin. To ten fort chciałam... chcieliśmy zobaczyć. Fort Dżabrin – doprecyzowała Joan. – Ale myślałam, że żaden Europejczyk go jeszcze nie widział. Sądziłam, że jest opuszczony i... nietknięty. A pułkownik Singer wspominał o nim tak, jakby zajrzał do środka dla zabicia czasu.

– Słuchaj, to niedaleko Nizwy, prawda? Stacjonuje tam jeden garnizon, a kilka innych zajmuje kluczowe stanowiska u podnóża góry. Jasne, że był w tym forcie, on bywa praktycznie wszędzie. Taką ma pracę, Joan. Próbujemy powstrzymać buntowników rozstawiających miny i zablokować wszystkie szlaki zaopatrzeniowe w górach. Nie można tamtędy przejechać samochodem, a miejmy nadzieję, że wkrótce nie przejdą tam również osły, więc będą musieli zacząć wysyłać kobiety.

– Dlaczego kobiety? – zapytał Rory.

– Nie wolno nam ich zatrzymać, ani tym bardziej przeszukać. Buntownikom też nie. – Daniel wzruszył ramionami i błysnął zębami w uśmiechu. – To idiotyczne, ale tak już jest. Każda wojna ma swoje zasady. Poza minami naszym największym problemem jest woda, a dokładniej jej brak. Wspinamy się po tych skałach w pełnym słońcu, a do picia mamy tylko to, co ze sobą przyniesiemy. Ostatecznie idziemy z kilometrowym zaprzęgiem mułów, ale kiedy robi się naprawdę stromo, zwierzęta nie dają rady. Słyszałem plotkę, że będziemy tresować kozice górskie, żeby nosiły nam beczki. – Umilkł na chwilę i uśmiechnął się do siostry. – Rozchmurz się, Joanie. Nie ma sensu walić pięściami w zamknięte drzwi. Słyszałaś Singera, masz szczęście, że w ogóle udało ci się tu przyjechać.

W głos Daniela wkradła się nuta niecierpliwości, a Joan wiedziała, że to przez jej dziecinne dąsy. Często sprawiał, że czuła się jak młodsza z rodzeństwa. Przez jakiś czas jadła w milczeniu, a jej brat i narzeczony wspominali starych znajomych i rozmawiali o pracy. Opowieści Rory'ego o aukcjach w Bedford brzmiały dziwnie w zderzeniu z historiami Daniela o patrolach zwiadowczych, wsparciu z powietrza i zasadzkach. Widać było, że Rory trochę zazdrości Danielowi jego niebezpiecznych misji, a równocześnie próbuje mu dać do zrozumienia, że to, czym sam się zajmuje, również wymaga wiedzy i organizacji. Mężczyźni droczyli się ze sobą wesoło, a Joan poczuła się niepotrzebna i pogrzyżyła się jeszcze głębiej w cichej melancholii, która prześladowała ją od spotkania z Maude Vickery. Już postanowiła, że to zły

moment, żeby zadać Danielowi pytanie, które ją nurtowało. Nie chciała zepsuć tej pierwszej wizyty i wolała być w lepszym stanie, kiedy poruszy ten temat.

Po jakimś czasie chłopcy zauważyli jej milczenie. Rory trącił ją lekko ramieniem, proponując jej następny podpłomyk, a Daniel zapytał:

– Jak się czuła mama, kiedy wyjeżdżałaś?

Na tę myśl Joan ścisnęło się serce. Podniosła wzrok z talerza, próbując odczytać wyraz twarzy brata. W jego pytaniu krył się jakiś podtekst – wcześniejsza niecierpliwość i coś jeszcze. Może poczucie winy. Za to, że wyjechał na tak długo albo że dopiero pomyślał o tym, żeby zapytać o ich matkę. Chwilę zastanawiała się, jak odpowiedzieć.

– Bez zmian. No, może trochę lepiej. Próbuje się pozbierać. – Atmosfera zrobiła się gęsta od frustracji ludzi, którzy nie mogą pomóc bliskiej osobie. – Nie wiem, co ci powiedzieć, Dan. Potwornie za tobą tęskni.

– Naprawdę? – rzucił bezbarwnym głosem.

– Oczywiście! – Joan poczuła przypływ siły. Miała wrażenie, że słowa, które od tak dawna w sobie nosiła, płyną same. – Nie rozumie, dlaczego nie przyjeżdżasz jej odwiedzić. I... ja też tego nie rozumiem.

– Tak powiedziała?

– Tak! Chociaż może nie ujęła tego w ten sposób... ale to oczywiste!

– Wiesz, Joan, zawsze widziałaś tylko tyle, ile chciałaś zobaczyć.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Spokojnie, stary – wtrącił cicho Rory.

Daniel wbił wzrok w dal i pogładził się po szczęce. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, a potem Daniel wyciągnął rękę i zamknął dłoń Joan w swoich dłoniach.

– Pewnie myślisz, że... zostawiłem cię z tym wszystkim na głowie – zaczął.

– Ale mam tu do wykonania pewne zadanie.

– Przecież dostajesz przepustki. Wiem, że tak jest... wszyscy żołnierze je dostają. Tak ci trudno przyjechać i zobaczyć się z matką? Nie wiesz, jak to jest siedzieć z nią w domu... z tą jej wieczną... żałobą.

– Masz rację – westchnął Daniel. – Nie wiem. Ale potrafię to sobie wyobrazić.

– Od śmierci taty nic nie jest jak dawniej. Ja też... ja też chcę uciec. Chcę zostawić to za sobą. Tylko jak?

– No pewnie, że nic nie jest tak jak dawniej – powiedział Daniel łagodnym tonem. – Już nigdy nie będzie jak dawniej. Takie jest życie.

– Odwiedzisz ją? Na następnej przepustce? Proszę cię, Dan. – Wpatrywała się w srebrzyste oczy brata, tak różne od swoich, usiłując utrzymać je na sobie. Nigdy nie umiał jej kłamać i widziała, jaką niechęć budzi w nim ta prośba, choć nie rozumiała, dlaczego tak jest.

– Postaram się. Obiecuję – rzucił wreszcie.

Coś zaszło między Danielem a matką, kiedy przyjechał do domu na przepustce po śmierci ojca. Coś sobie powiedzieli, ale Joan nie miała pojęcia, co to mogło być. Nawet się nie domyślała, chociaż w tych ciężkich pierwszych dniach po śmierci ich ojca wszystko wydawało się dziwne i niebezpieczne. Przez jakiś czas codziennie zdarzało się kilka takich momentów, kiedy cała trójka stawała się sobie całkiem obca. Wystarczyło jedno źle zinterpretowane spojrzenie czy gest; jedno wspomnienie, którego reszta nie pamiętała albo które widziała inaczej. Wszyscy szukali u siebie nawzajem pociechy, siły i otuchy, ale bez powodzenia, a ta porażka zatruwała atmosferę wraz z żalobą i strachem. Niedługo przed wyjazdem Daniela Joan wpadła na niego w chwili, gdy wychodził z sypialni matki. Twarz miał kamienną, szczęki zaciśnięte, a oczy szkliste od niewylanych łez. Zszokowało ją to. Daniel nigdy nie płakał. Przy grobie ich ojca miał na twarzy wypisane cierpienie, przez co wydawał się dużo starszy – ale nie płakał. Tamtego dnia minął Joan bez słowa, a owinięta pikowaną lizeską Olive została na łóżku zarzuconym wciąż kartkami z kondolencjami i mokrymi chusteczkami do nosa, blada i roztrzęsiona. Ale od nagłej, gwałtownej śmierci męża przez cały czas była blada i roztrzęsiona, a kiedy Joan zapytała, co się stało, mama pokręciła tylko głową w milczeniu. Wyjazd Daniela przed końcem przepustki doprowadził

Joan do łez. Kiedy znów dostał urlop, nie przyjechał do domu, ale mimo dociekań Joan, matka odmawiała rozmowy na ten temat.

Zanim wyruszyli w drogę powrotną do Maskatu, Daniel pokazał im swój skromny, uporządkowany namiot. Miał w nim łóżko, kufer, biurko z krzesłem, szafę i kilka półek – praktyczne, nieładne wyposażenie. Joan wzięła do ręki czerwony beret brata i przesunęła palcami po srebrnej odznace Sułtańskich Sił Zbrojnych, dwóch skrzyżowanych chandzarach. Jego karabin, pistolet i amunicja leżały w bezpiecznym miejscu, a na ich widok Joan przeszył dreszcz. Były zbyt realne; nie mogła się przyzwyczaić do myśli, że jej młodszy braciszek obsługiwał taki sprzęt i używał go przeciwko innym istotom ludzkim. Już od sześciu lat pełnił służbę w strefach konfliktu, ale ona wciąż nie umiała o nim myśleć jak o zabójcy.

– A co, jeśli buntownicy zejną z góry? Nie powinniście mieć czegoś solidniejszego niż namioty, na przykład schronu z cegły? – zapytał Rory.

– Pewnie powinniśmy. Problem w tym, że tak naprawdę sułtan nie ma zbyt dużo pieniędzy, a ludzi i samochodów potrzebujemy bardziej niż dobrego zakwaterowania – wyjaśnił Daniel. Joan rozejrzała się po wnętrzu, szukając jakichś pamiątek z domu, ale ich tam nie było. Nie zauważyła nawet żadnego zdjęcia. – Mogło być gorzej. Przynajmniej jestem na terenie obozu. Bungalow pułkownika Singera stoi tam, za drutem kolczastym, po drugiej stronie wadi. Kilka tygodni temu straszliwie padało, a wadi zamieniło się w rwący potok. Pułkownik utknął u siebie na dwa dni. Właśnie sprowadził tu swoją żonę, a w bungalowie nie było nawet kanalizacji, tylko przenośny klozet w łazience.

– Och, biedna pani Singer! A skoro o tym mowa, to gdzie jest latryna? – zapytała Joan.

– Musisz iść? Nie używaj tych przenośnych, bo śmierdzą, chociaż skorpionom najwyraźniej to nie przeszkadza. Trzeba wejść do fortu i skręcić w prawo. Zaprowadzę cię.

– Nie, spokojnie, sama znajdę drogę. W tym upale za przewodnika wystarczy mi własny nos.

Joan ruszyła w stronę olśniewająco białego fortu, a kurz, który wzbijała swoimi krokami, porywały pierwsze podmuchy gorącego wiatru. Nie przynosił orzeźwienia, ale był lepszy niż nic, więc zaczerpnęła głęboko powietrza. Za jej plecami rysował się Al-Dżabal al-Achdar – Zielona Góra, czujna i złowroga. Joan niewiele wiedziała o teleskopach, lornetkach i odległościach, na które działały. Zaczęła się zastanawiać, czy mógł ją obserwować jakiś oddalony o wiele kilometrów snajper, gotowy w każdej chwili pociągnąć za spust. Poczowała, jak napina jej się skóra między łopatkami, ale kiedy się odwróciła, pogrążone w cieniu wąwozy i strome zbocza wydały jej się niemożliwie daleko i zrozumiała, że nie ma się czego obawiać. Na przekór tym lękom spróbowała wyobrazić sobie, jak by to było podejść bliżej. Miała wrażenie, że rzuca samej sobie wyzwanie. „Wiedziałam, że dam radę to zrobić, więc to zrobiłam”. Otrząsnęła się z tej myśli, gdy w jej głowie rozległ się głos Daniela, upominający ją, żeby nie zachowywała się tak dziecinnie. Mimo to pomachała w stronę góry – z rozmachem, całą ręką. Nie mogła się powstrzymać; robiła tak od dzieciństwa, bo ojciec wykonywał ten gest za każdym razem, kiedy weszli na wysokie wzgórze albo mieli przed sobą imponujący widok. Trzeba było pozdrowić ludzi, którzy znajdowali się akurat na odległym, opalizującym horyzoncie, nawiązać więź ze światem wokół siebie i bliźnimi, którzy na nim żyją. A jeśli rodzina nie była w komplecie, zwracali się w kierunku domu i machali do tego, kto w nim został. „Machaliśmy do ciebie ze szczytu wzgórza – widziałeś nas?”

Później wróciła do namiotu Daniela. Robert i Marian stali przy samochodzie, a wujek na jej widok postukał palcem w swój zegarek. Skinęła głową i wskazała namiot, ale gdy podeszła bliżej, zaczęła się wahać, czy powinna wejść do środka. Słyszała dobiegające stamtąd głosy Rory’ego i Daniela – teraz nie gawędzili już beztrudnie ani nie żartowali. Nie prowadzili nawet poważnej rozmowy. Porozumiewali się napiętym szeptem, a każde niezrozumiałe dla niej słowo wibrowało wzburzeniem. W ciemnym wnętrzu namiotu ich twarze były równie niewyraźne jak ich słowa. Zobaczyła, jak Rory

przeczesała włosy palcami. Daniel stał z rękami opuszczonymi sztywno wzdłuż boków tuż przed jej narzeczonym, jakby był gotów się z nim bić. Zwolniła kroku. Nigdy wcześniej nie była świadkiem ich kłótni, a przyjaźnili się od dwunastu lat. Nie umiała sobie wyobrazić, o co mogło chodzić. Rory zaczął mówić coś jeszcze, ale Daniel mu przerwał; obaj umilkli, a Joan pokonała resztę drogi do namiotu, stąpając najgłośniej, jak potrafiła.

– Dań, obawiam się, że musimy już wracać – oznajmiła od progu.

Rory odwrócił się i wbił wzrok w biurko Daniela, jakby coś go tam zafascynowało. Jej brat mrugnął; poza tym jego twarz była nieruchoma jak maska. Później spojrzał na nią i uśmiechnął się krzywo.

– Racja, Joanie.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Rory odwrócił się z dziwną miną. Uśmiechał się blado, ale mięśnie wokół oczu miał napięte. Podeszedł do wejścia do namiotu i zaoferował Joan ramię.

– Tak, oczywiście. Czemu miałyby nie być w porządku? – zdziwił się Daniel.

Joan wzięła Rory'ego pod rękę i popatrzyła na niego. Teraz wyglądał na całkiem odprężonego, więc nie była pewna, czy coś się jej nie przywidziało. Podeszli w trójkę do samochodu, a Robert zaprosił pułkownika Singera, Daniela i kilku innych oficerów na kolację do Maskatu pod koniec tygodnia.

Kiedy samochód wypuł ich przed Rezydencją, Joan rzuciła się w oczy postaci na dziedzińcu, obserwująca ich z cienia budynku służby celnej. Od razu rozpoznała Abdullaha, niewolnika Maude. Stał wyprostowany i nieruchomy jak posąg, nie dając Joan żadnego znaku ani sygnału, chociaż jego oczy śledziły każdy jej ruch.

– Kto to? – zapytał Rory, podążając za spojrzeniem narzeczonej.

– Niewolnik Maude Vickery. Wejdz do środka beze mnie, sprawdzę, czego chce. – Joan podeszła do miejsca, w którym czekał starzec. Stali pod wysokim masztem z flagą brytyjską, która tego dnia marszczyła się jak tafla wody, głaskana bryzą. – Witaj, Abdullahu. Salam alejkum – powiedziała, używając

dwóch z trzech arabskich słów, jakie znała.

– Alejcum salam, sahib – odparł Abdullah piskliwym głosem, a potem przerzucił się na swoją bezbłędną angielszczyznę: – Moja pani chciałaby, aby odwiedziła ją pani jeszcze raz, jeśli to możliwe.

– Ja... oczywiście. Oczywiście, że ją odwiedzę, jeśli o to prosi – zapewniła Joan.

– Prosi. – Abdullah odwrócił się, żeby odejść.

– Zaczekaj, proszę – kiedy mam przyjść?

– Kiedy pani odpowiada, sahib. – Mężczyzna skłonił siwą głowę.

– W takim razie jutro? Przyjdę jutro.

– Inszallah, tak się stanie.

– Abdullahu, chciałam ci coś powiedzieć... Panna Vickery powiadomiła mnie o twoim... statusie. Widzisz, wystarczy, że dotkniesz tego masztu, a będziesz wolny. Może to zrobić każdy niewolnik. Będzie to... wiążące prawnie – wyjaśniła Joan z wahaniem.

Oczy starca przesunęły się wzdłuż białego masztu. Zmrużył powieki, wpatrując się we flagę na tle rozjarzonego nieba, a później znów przeniósł wzrok na Joan. Wydawało jej się, że nim odwrócił się i odszedł, dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu.

Nocą statki stłoczone na przystani stawały się niemal niewidzialne. Znaczyły powierzchnię wody srebrzystymi zadrami, ukazując się w przelotnych przebłyskach światła z miasta i znów znikając w ciemnościach. Na kotwicy stała też fregata marynarki wojennej, ukryta w mroku poza murami przystani. Jej komandor i oficerowie byli teraz w Rezydencji – pili whisky z Robertem, palili cygara i rozmawiali o sprawach, które nie nadawały się dla turystów. Od czasu do czasu zza ścian rozlegało się stłumione dudnienie męskiego śmiechu. Joan stała przed budynkiem, oparta o niskie barierki nad wodą, wsłuchując się w delikatny plusk fal. Na tle nieba widziała mglistą, potężną bryłę fortu więziennego Al-Dzalali, w którym nie paliło się żadne światło. Była zmęczona – ciało ciążyło jej z wyczerpania, ale ani trochę nie chciało jej

się spać. Na początku sądziła, że to z podekscytowania ponownym zaproszeniem do Maude Vickery, bo entuzjazm, który w niej wzbudziło, niemal zrekompensował jej rozczarowanie, że pułkownik Singer był w forcie Dzabrin, a ona nie może tam pojechać. Ale tak naprawdę spokoju nie dawała jej na wpeł podpatrzona, na wpeł podsłuchana kłótnia między Rorym a Danielem. Joan była pewna, że dobrze odczytała tę sytuację. Rozważała kilka możliwych powodów, z których mogli się kłócić. Na zamglonym niebie wschodził złowrogi, rozmazany księżyc; wodę marszczyły kolejne fale, a statki pojawiały się w świetle i znikwały z widoku. W końcu Joan wróciła do Rezydencji i ruszyła na najwyższe piętro.

Na opustoszałych korytarzach panowała cisza, ale Joan mimo to zawahała się, stając na najwyższym stopniu schodów. Trzęsła się ze zdenerwowania. Powinna poczekać do rana; gdyby ktoś zobaczył, jak wchodzi do pokoju Rory'ego o tej godzinie, wybuchłby skandal. Ale nie chciała czekać do rana i wiedziała, że nie zaśnie, dopóki z nim nie porozmawia. Zakradła do jego drzwi najciszej, jak potrafiła, zapukała lekko, ale wślizgnęła się do środka, zanim usłyszała odpowiedź, bo wolała lekko go przestraszyć, niż dać się przyłapać. W pierwszej chwili pomyślała, że już zasnął i coś mu się śni, bo z łóżka przy ścianie naprzeciwko drzwi dobiegał szelest ruchów i ciche pomruki.

– Rory? Nie śpisz? – wyszeptała.

W świetle księżycy zobaczyła, jak jej narzeczony nieruchomieje, a potem siada gwałtownie.

– Kto tu jest? – warknął.

– Ciii! Na litość boską, cicho bądź! To tylko ja.

– Joan! Mój boże, serce mi prawie stanęło – wyszeptał.

– Dlaczego tak się wierzciłeś?

– Co? Wcale się nie... Co się stało? Dlaczego nie śpisz?

Joan podeszła do okiennic, uchyliła je lekko, żeby wpuścić do pokoju więcej blasku księżycy, i usiadła obok narzeczonego na skraju jego łóżka. Rory

pozwoił, by prześcieradło osunęło mu się do pasa; wiedziała, że lubi spać nago, szczególnie w arabskim upale. Ta myśl wytrąciła ją z równowagi.

– Nie mogłam zasnąć – powiedziała. – Wyszłam na zewnątrz i patrzyłam na morze. W każdym razie... chciałam cię o coś zapytać.

– Mam nadzieję, że nie paliłaś przed budynkiem. Ostatnie, czego nam trzeba, to żebyś trafiła do aresztu.

– Przynajmniej zobaczyłabym wewnątrz jakiegoś fortu, choćby Al-Dżalali. Rory... O co się dziś kłóciliście z Danielem? Przed naszym wyjazdem?

– Co? Nie kłóciliśmy się – zaprzeczył.

Nawet gdyby nie była pewna tego, co widziała wcześniej, teraz miała ostateczny dowód – teatralny ton narzeczonego zdradził, że kłamie.

– Przestań, Rory. O cokolwiek by wam poszło, możesz mi powiedzieć. Nie będę zła. Wiesz, że kocham was obu.

– Joan, to nic ważnego, naprawdę. Nie masz się absolutnie czym martwić. – Jego sztuczny ton i wystudiowana, przesadna beztroska zdenerwowały ją jeszcze bardziej.

Przyjrzała mu się; w miarę jak jej oczy przyzwyczajały się do półmroku, stawał się coraz wyraźniejszy. Dłonie splecione na podołku, szeroka płaszczyzna ramion na tle drewnianego wezglowia łóżka, klatka piersiowa ciemna od mocno skręconych włosów. Oczy nieprzeniknione, skryte w cieniu; lekko połyskująca skóra. Joan przesunęła wzrokiem po całej jego sylwetce aż po szerokie stopy wystające spod prześcieradła.

– Daniel zawsze ci się zwierzał. Wiem, że dzieli się z tobą sprawami, które przede mną ukrywa – zaczęła cicho. – I nie ma w tym nic złego, może tak właśnie powinno być. Jestem tylko jego siostrą. Ty jesteś jego najlepszym przyjacielem.

– On cię uwielbia, Joan. Dobrze o tym wiesz.

– Tak. Wiem. – Złapała Rory'ego za rękę i splotła z nim palce. Dłoń miała lepka od potu. – Może... może powiedział ci, co zaszło między nim a mamą? Dlaczego nie chce przyjeżdżać do domu? Wydaje mi się, że są na siebie źli.

– Nie. Nie, Joan, nic mi nie mówił.

Joan wbiła w niego spojrzenie. Żałowała, że nie ma odwagi zapalić światła, żeby lepiej go widzieć.

– W takim razie może chodziło o mnie? To znaczy, o nas? O ślub? – Od razu zauważyła, że ma rację. Rory zacisnął szczęki i uciekł oczami w bok. Palcami wolnej dłoni przesunął wzdłuż brzegu prześcieradła i wyczuła, że chciałby uwolnić też drugą rękę. Ścisnęła ją mocniej. – Rory – szepnęła, czując puls w gardle. – Nadal chcesz się ze mną ożenić?

– Joan... – Rory odwrócił do niej głowę i przełknął ślinę. – Och, Joan, oczywiście, że chcę! Nie rozumiem, jak możesz w to wątpić... i dlaczego w ogóle o to pytasz!

Przyciągnął ją bliżej. Joan przekręciła się na łóżku, położyła nogi obok niego i wtuliła się w jego klatkę piersiową w ten zakazany sposób, który dodawał jej otuchy. Ostrożnie położyła mu dłoń na brzuchu. To było jedyne ciało poza jej własnym, którego dotykała w ten sposób, a różnice między nimi niezmiennie ją fascynowały. Chciała je poznać w całości. Przesunęła dłoń na łuk jego żeber.

– Po prostu... minęło już tyle czasu. Od naszych zaręczyn. I minęło już tyle czasu, odkąd w ogóle rozmawialiśmy o tym, żeby ustalić datę ślubu. – Wiesz, kiedy twój ojciec zmarł... wydawało mi się... – Rory'emu załamał się lekko głos. Odchrząknął; jego język otarł się o podniebienie i słychać było, jak zaschło mu w gardle. – Wydawało mi się, że już to przedyskutowaliśmy i doszliśmy do porozumienia. Na razie twoja matka potrzebuje cię w domu, a ślub przyniesie nam dużo więcej radości, kiedy... nie będzie już nad nami wisiał cień żałoby. I potrzebujemy czasu, żeby oszczędzić pieniądze. Na wesele, o jakim marzymy, na dom, który chcielibyśmy kupić... Nie ma sensu brać garsoniery, żeby się przeprowadzać, jak tylko pojawi się pierwsze dziecko, skoro od razu możemy zamieszkać w odpowiednim miejscu. – Im dłużej mówił, tym pewniej brzmiał jego głos.

– Tak, wszystko to wiem. Tylko że... strasznie się nudzę, siedząc w domu

z mamą. Chyba wolę, żeby reszta mojego życia zaczęła się wcześniej. Szybciej, niż to przedtem ustaliliśmy.

– Joan...

– Czy ty nie marzysz o ślubie? Nie marzysz, żeby... być razem, jak mąż i żona? Bo ja tak.

Czuła, jak jego żebra unoszą się i opadają pod jej policzkiem; słyszała szmer jego przyspieszonego oddechu.

– Oczywiście, że marzę, Joan. Po prostu... sądziłem, że chcesz poczekać, to wszystko.

– Więc ustalimy niedługo datę?

– Tak. Niedługo, obiecuję. Jak tylko wrócimy do domu, weźmiemy kalendarz i porozmawiamy o tym. – Pocałował ją w czubek głowy.

Ciepło jego ust obudziło coś w głębi jej ciała.

– I o to się kłóciliście? Daniel cię dręczył, żebyś zrobił ze mnie uczciwą kobietę?

– Daniel... po prostu chce dla ciebie tego, co najlepsze – powiedział Rory, a Joan skwitowała to uśmiechem.

– Tak często się na mnie złości, że czasem o tym zapominam.

– Ale tak jest. Naprawdę.

– Dziękuję, Rory. Dziękuję, że tu ze mną przyjechałeś. Nie wiem, czy zdobyłabym się na to, gdybyś odmówił, a... a bardzo się cieszę, że tu jesteśmy – wyznała.

Rory znów ucałował ją we włosy.

– Nie ma za co – mruknął niewyraźnie.

Została z nim trochę dłużej, a gdy głęboki płomień jej pożądania przygasł, ogarnęła ją senność. Pocałowała go w usta i poczuła, że z jego ciała zniknęło całe napięcie. Zauważyła, jak cudownie znajomy był jego zapach i smak. Miał równie miękkie wargi jak ona. Po jakimś czasie wstał i sprawdził, czy droga wolna, żeby mogła wymknąć się z jego pokoju.

Na progu wyszeptała:

– Kto wie, może to twój ostatni piętnasty listopada w stanie kawalerskim. – Uśmiechnęła się do niego, ale było za ciemno, żeby mogła zobaczyć jego wyraz twarzy. Czasem miłość do narzeczonego przepływała przez nią jak fala.

– Możesz być tego pewna – odpowiedział. – A teraz idź spać, zniewalająca kusicielko.

„Zniewalająca kusicielko”. Joan uśmiechnęła się do siebie w swojej pustej sypialni. Nie myślała o sobie w ten sposób; jej związek z Rorym funkcjonował zupełnie inaczej. Schodzili się ze spokojną pewnością jak dwa drzewa, których gałęzie stopniowo się splatają. A najpierw, w ciągu burzliwego pierwszego tygodnia szkoły średniej, zaprzyjaźnił się z Danielem.

Ich ojciec od narodzin syna odkładał pieniądze, żeby móc posłać go jako eksterna do własnej alma mater, St Joseph’s Hall. Twierdził, że pięć lat, które tam spędził, były jednym z najszcześniejszych okresów jego życia. Joan musiała zadowolić się lokalną szkołą dla dziewcząt, ale nie przeszkadzało jej to, bo od nauki dużo bardziej interesowały ją kucyki. Rory też był eksternem i to zbliżyło ich do siebie z Danielem, bo uczniowie mieszkający w internacie traktowali tych dochodzących jak wyrzutków. Potem spędził z Seabrookami ferie bożonarodzeniowe. Był wtedy niezdarnym jedenastolatkiem, który już przewyższał jej brata o głowę. Joan nie miała jeszcze skończonych trzynastu lat, ale czuła się bardzo dorosła. Nie zaprzętała sobie głowy kędzierzawym przyjacielem brata, chociaż widząc jego łagodny uśmiech, miała ochotę go przytulić.

Od tamtej pory zagościł na dobre w życiu Daniela, więc wszedł też do świata Joan, gdy w powojennej szarzyźnie wszystko wydawało się pachnieć ceglany pyłem, jedzenie było okropne, a dyrektorka jej szkoły podczas hymnów odśpiewywanych na apelu ciągle opłakiwała poległych synów. Musiało upłynąć siedem lat, zanim niespełna dwudziestolatka Joan zobaczyła w znajomym osiemnastolatku kogoś więcej niż przyjaciela Daniela i swojego kolegę. Kogoś znacznie ważniejszego. Kiedy skończyła studia, wypili za dużo po jej uroczystości wręczenia dyplomów i w trójkę spacerowali ulicami

miasta aż po blady, bezbarwny świt. Zerkali na siebie w oszołomieniu, dumni z nieprzespanej nocy i rozbawieni swoim szaleństwem, a zmęczenie nadawało wszystkiemu surrealistyczny wymiar. W końcu znaleźli taksówkę, która miała ich zawieźć z powrotem do wynajętego pokoju Joan. Na tylnym siedzeniu pachniało stęchlizną, tapicerka była szara i zawilgocona, a Daniel zasnął między Joan a Rorym, osuwając się z rozchyłonymi ustami na ramię siostry. Poczula, jak Rory nakrywa ręką dłoń, którą położyła na ramieniu brata. Potem przechylił się ponad przyjaciелеm i przywarł do niej ustami, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Połączył ich długi, delikatny pocałunek. Nagle taksówka podskoczyła na wyboju i zderzyli się podbródkami na głowie Daniela. Parsknęli śmiechem, ale nie rozłączyli dłoni, splecionych na ramieniu śpiącego.

Joan obudziła się późno. Słońce kryło się za gęstymi chmurami, a powietrze było ciepłe, nieruchome i wilgotne.

– Może dziś padać? – zapytała Roberta, jedząc w pośpiechu śniadanie na tarasie.

Jej gospodarz miał lekko zielonkawą cerę i popijał Krwawą Mary z ponurą determinacją.

– Może. Wychodzisz?

– Odwiedzam znów pannę Vickery, pamiętasz? – Robert chrząknął i skinął głową. Marian jeszcze się nie pokazała tego ranka. Rory czytał gazetę sprzed trzech dni na leżaku ustawionym w stronę morza. – Co będziesz robić, kiedy mnie nie będzie? – zapytała go Joan.

– Moje plany ograniczają się do tego, co tu widzisz – odpowiedział z uśmiechem. – W końcu jest niedziela. Wolałbym jednak, żebyś pozwoliła mi się odprowadzić. Naprawdę nie powinnaś się tu błąkać sama.

– Nonsens, nic mi nie będzie. Miłej lektury. – Ucałowała go lekko w policzek i wymknęła się na zewnątrz.

Inaczej niż przed pierwszym spotkaniem, tym razem spacer do domu Maude

Vickery nie wzbudził w Joan żadnych złowieszczych przeczuć. Zaproszenie było lepsze niż wymęczona zgoda na wizytę, więc pokonała całą trasę lekkim krokiem i powitała Abdullaha promiennym uśmiechem. Mężczyzna go nie odwzajemnił. Jego twarz wydawała się równie niewzruszona i nieprzenikniona jak zawsze. Joan zaczęła się zastanawiać, czy lekkie rozbawienie, jakie zobaczyła na niej dzień wcześniej, nie było jedynie wytworem jej wyobraźni.

– Mam iść prosto na górę? – zapytała go.

– Jeśli taka wola sahib – odpowiedział, skłaniając sztywno głowę, a Joan zorientowała się, że Abdullah tym subtelnym gestem okazuje jej większy szacunek niż wcześniej.

– Czy to panna Seabrook? Proszę, niech pani wejdzie! – zawołała z góry Maude. Parter i schody zostały w dużej mierze uprzątnięte. W powietrzu wciąż wisiał ostry fetor amoniaku, ale teraz maskowało go nieco kadzidło. Ciemność rozpraszał snop światła z otwartego okna albo drzwi w głębi domu – Joan nie widziała, skąd wpada. Idąc po schodach, czuła na skórze świeże powietrze, poruszające się razem z nią.

Charty spały na posłaniu przy ścianie, tak jak poprzednio. Natomiast Maude siedziała tym razem bliżej biurka, zarzuconego papierami i piórami, jakby nad czymś pracowała. Pierścionek z niebieskim kamieniem, którego tak stanowczo zakazała ruszać Joan, leżał w piórniku w dokładnie tym samym miejscu co wcześniej. Najwyraźniej Maude też go nie dotykała. W bladym świetle pochmurnego dnia jej twarz i włosy wydawały się poszarzałe, co dodawało jej lat.

– Pracuje pani nad nową książką, panno Vickery? – zapytała Joan po tym, jak przywitały się ze sobą uprzejmie.

– Nie. To znaczy, być może. Zastanawiałam się nad spisaniem wspomnień. Ale widzi pani, jest ich bardzo dużo, a większość dotyczy tak odległych spraw, że nawet nie wiem, od czego zacząć. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Poza tym, taka książka pewnie łechtałaby tylko moją próżność, nic więcej.

Jestem przekonana, że nawet gdybym ją napisała, nikogo by nie zainteresowała.

– Zainteresowałyby mnóstwo osób! Zwłaszcza gdyby opowiedziała pani o przejściu przez pustynię. Ludzie... wielu ludzi nie słyszało o pani osiągnięciu, bo nie mieli skąd się o nim dowiedzieć, sama pani rozumie. – Maude skinęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Jej usta zacisnęły się w wąską kreskę. – Zastanawiałam się... dlaczego podjęła pani taką decyzję? – zapytała Joan ostrożnie. – To znaczy, dlaczego nigdy pani o tym nie napisała.

– Cóż – zaczęła Maude, a potem wzięła ostry wdech przez nos. – Nie było sensu, skoro dotarłam na miejsce po tym całym Elliocie... Kogo obchodzi zdobywca drugiego miejsca w wyścigu? Historia o niego nie dba. Zawsze tak było – stwierdziła. – Więc w Anglii nie wiedzą już, kim jestem?

– Wiedzą. Przecież ja wiem, prawda? I proszę mówić do mnie po imieniu.

– W porządku, Joan. Czy ludzie nadal o mnie mówią? Wymieniają moje nazwisko, kiedy piszą o historii wypraw badawczych po Arabii?

– Oczywiście – zapewniła Joan po chwili wahania. To było drobne, życzliwe kłamstewko. W rzeczywistości poza pewnymi specjalistycznymi kręgami Maude Vickery popadła w niemal zupełne zapomnienie. – W końcu jest pani pierwszą kobietą, która przemierzyła pustynię...

– A czy piszą o Nathanielu Elliocie?

– Och... oczywiście. Nadal cieszy się ogromną sławą. Był jednym z największych odkrywców.

– Był? Czy on umarł? – wtrąciła Maude obcesowo.

– Nie. Ale, oczywiście, przeszedł już na emeryturę. Musi być teraz po osiemdziesiątce...

– W tym roku skończył osiemdziesiąt lat – uściśliła Maude.

– To prawda. Zapominam, jak dobrze go pani знаła. Przyjaźniliście się w dzieciństwie, prawda? Czytałam, że był praktycznie członkiem pani rodziny. Utrzymuje pani z nim kontakt?

– Od blisko pół wieku nie widziałam się z tym człowiekiem i nie zamieniłam

z nim ani słowa – oświadczyła Maude wyniośle. – Więc mówisz, że jest na emeryturze... nie umiem sobie tego do końca wyobrazić. Trudno mi uwierzyć, że kiedykolwiek zarzucił podróże.

– Cóż, może w życiu każdego z nas nadchodzi taki moment, kiedy mądrzej jest trochę... zwolnić.

– Och, zobaczymy, jak łatwo będzie ci się z tym pogodzić, kiedy przyjdzie kolej na ciebie, Joan – skwitowała cierpko Maude. – W każdym razie, nie zaprosiłam cię na drugą wizytę po to, żeby rozmawiać o Nathanielu Elliocie – ciągnęła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Bądź tak dobra i przenieś mnie na sofę, dobrze? A potem usiądź tak, żebym cię widziała.

Joan ostrożnie odsunęła fotel Maude od biurka. Wbrew jej oczekiwaniom okazał się lekki. Z bliska zobaczyła jeszcze wyraźniej, że z jej mistrzyni zostały skóra i kości. Wydawała się krucha jak szkło. Na jej karku przy linii włosów Joan zauważyła bliznę – srebrzysty pas skóry długości palca, pomarszczony jak ślad po oparzeniu.

– Ojej, skąd ma pani tę straszną bliznę, panno Vickery? – zapytała, orientując się natychmiast, że zachowała się nieuprzejmie.

Przez chwilę panowała krępująca cisza, a potem Maude odpowiedziała:

– To? Beduini mnie oznakowali. Bolało jak diabli.

– Oznakowali panią? Co za barbarzyństwo! Dlaczego tak panią potraktowali?

– Och, po prostu próbowali mi pomóc. Beduini wierzą, że porządne oznakowanie leczy mnóstwo różnych dolegliwości, od bólu zęba po złe oko. Chyba doszli wtedy do wniosku, że zostałam opętana. – Mówiła lekkim, lecz wystudiowanym tonem, za którym kryło się coś bardziej mrocznego. Joan chciała dowiedzieć się więcej, ale czuła się zbyt nieswojo, żeby kontynuować ten temat. Abdullah wniósł tacę z herbatą, ale Maude prawie nie zwróciła na to uwagi. – Powiedz mi, Joan, odwiedziłaś już brata? – zagadnęła.

– Tak, wczoraj. Cudownie było go zobaczyć, chociaż mieliśmy za mało czasu.

– A jak poszła próba przekonania wojskowych, żeby zabrali cię do Dżabrin?
– dopytywała Maude z życzliwym rozbawieniem.

– Zgodnie z pani przewidywaniami, panno Vickery. – Joan nie zdołała ukryć rozczarowania. Maude zachichotała.

– Och, nie rób takiej ponurej miny, moja droga. Nie znalazłabyś w Dżabrin tego, czego szukasz.

– Tak, uprzedzała mnie pani. Mimo wszystko miałam chyba nadzieję, że znajdzie się jakiś sposób – odparła. Maude prychnęła w odpowiedzi.

– Sposób znajdzie się zawsze. Teraz znasz już obowiązujące zasady i wiesz, jakie możliwości daje ci prawo. Pytanie brzmi, czy pozwolisz, żeby cię to powstrzymało, skoro tak marzysz o tym miejscu?

Joan odczekała chwilę, usiłując odczytać intencję Maude Vickery. Twarz starszej kobiety ożywiła się, a w jej oczach rozbłysły figlarne iskierki.

– Nie... nie mam wyboru. Muszę na to pozwolić – powiedziała w końcu Joan. – Nawet gdyby sułtan Sa'id nie zakazał takich wypadów, to nie znam nikogo, kto by mnie tam zabrał. Jedyne drogi do interioru są zaminowane. Armia była moją jedyną nadzieją, ale pułkownik Singer mówi, że...

– Tak, tak, wszyscy z pewnością zaklinali się, że to niemożliwe. Mnie też mnóstwo ludzi wbijało do głowy, że nie da się przejść Pustego Kwartалу. Że kobieta nie może o tym nawet marzyć. Że taka próba skończy się dla mnie śmiercią. – Maude dźgała palcem wskazującym podłokietnik, stukając weń paznokciem po każdej kropce.

– Rozumiem, co ma pani na myśli. Ale przecież trwa wojna... Sama mi pani mówiła, że...

– E tam! Z tego co słyszę, ta wojna to nic wielkiego.

– A... pani miała przecież pomoc. – Zapadła grobowa cisza, którą Joan spróbowała pośpiesznie zapełnić. – To znaczy... pani przewodnikami byli Beduini i... i znała pani mniej więcej trasę. Przeszedł nią wcześniej Nathaniel Elliot, więc... – Urwała, bo na twarzy Maude rysowały się intensywne emocje; wszystkie mięśnie pod cienką skórą zeszywniały, a jedynym ruchem

było leciutkie drganie jednego kącika ust.

Milczenie przeciągało się. Joan przez kilka sekund wierciła się na swoim miejscu pod przerażającym spojrzeniem Maude, a potem zdała sobie sprawę, że stara podróżniczka już wcale na nią nie patrzy. Jej wzrok skupiony był na czymś, co wydarzyło się dużo dalej i dużo wcześniej. Po jakimś czasie usta kobiety poruszyły się bezgłośnie, układając się w słowa, których Joan nie potrafiła rozpoznać.

W końcu Maude zamrugła i uciekła oczami w stronę okna. Jej palce oplotły poręcz fotela. Zaciskała je i rozluźniała na zmianę delikatnymi ruchami. Potem wzięła kilka wolnych oddechów.

– Jaki dziś dzień? – zapytała.

– Niedziela, panno Vickery – odpowiedziała ostrożnie Joan.

– Tak myślałam. Minęło prawie pięćdziesiąt lat, odkąd byłam w kościele, ale nadal potrafię rozpoznać niedzielę. Wciąż czuję się tego dnia inaczej. – Westchnęła i upiła łyk herbaty. – Tęsknię za chodzeniem do kościoła. Za otuchą, jaką przynosi rytuał. Rozumiesz, co mam na myśli? Było w tym coś bardzo angielskiego – człowiek spotykał swoich sąsiadów, śpiewał dobrze znane hymny, a po wszystkim popijał sherry i jadł na lunch pieczeń. Tęsknię nawet za naszym przeraźliwie zimnym kościółkiem w Lyndhyrst i wikarym z twarzą cherubina, który próbował straszyć nas w kazaniach ogniem piekielnym, żeby wynagrodzić wiernym ziąb. – Westchnęła jeszcze raz. – Czasem nie wierzę, że to wszystko wydarzyło się w ciągu jednego życia.

– Cóż... mogłybyśmy odmówić razem kilka modlitw, jeśli ma pani ochotę? – zaproponowała Joan z wahaniem.

Sama nie była w kościele od poprzedniego Bożego Narodzenia, a wtedy poszła tylko dlatego, że lubiła śpiewać kolędy. Subtelna wiara anglikańska matki nie miała szans z zagorzałym ateizmem jej ojca. Kiedy Joan była dzieckiem, tata namawiał ją, żeby sama podjęła decyzję, czy jest wierząca, ale wiedziała, do jakiego wniosku powinna dojść jego zdaniem, więc wybór był prosty.

– Modlitw? – Maude pokręciła głową, kuląc się nieco na fotelu inwalidzkim.
– Już nie mogę się modlić. Ani chodzić do kościoła. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Po tej wizycie Joan zaglądała do Maude codziennie. Przychodziła wczesnym rankiem, przed zajęciami i wycieczkami, które zaplanowali z Rorym, albo po powrocie do domu, w czasie podwieczorku, żeby opowiedzieć jej o swoich przygodach. Starsza kobieta chłonęła zachłannie słowa Joan – ciekawostki na temat Maskatu i Matrahu, informacje o statkach w przystani i o bazie wojskowej, opisy rozmaitych gości, odwiedzających Rezydencję. Joan zaczęła się zastanawiać, ile upłynęło czasu, odkąd Maude odważyła się wyjść na zewnątrz.

– Mogłybyśmy wybrać się na spacer, jeśli ma pani ochotę – zaproponowała któregoś dnia. Maude uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała tęsknie przez okno, ale potem westchnęła.

– Raczej nie. Dziękuję. – Urwała, spuszczać głowę. – Widzisz, już nigdy nie wrócę w góry ani na pustynię. Czasem lepiej nie widzieć tego, czego nie można mieć. Inaczej zaczyna się tego pragnąć jeszcze bardziej.

– Rozumiem. Rzeczywiście – przyznała Joan, myśląc o niedostępnych krajobrazach, na które patrzyła każdego dnia z Rezydencji, i desperackiej tęsknocie, jaką w niej budziły. Maude spojrzała na nią z wymuszonym uśmiechem.

– Wystarczają mi twoje historie. Mów dalej. – Wskazała głową lewą dłoń Joan. – Chcę posłuchać o tym pierścionku, a raczej o mężczyźnie, który ci go wręczył.

Więc Joan opisała jej Rory'ego. Mówiła, jak długo się znają, jak wkroczyli razem w dorosłość i zakochali się w sobie. Opowiadała o jego dobroci, odpowiedzialności i spokoju, którego nigdy nie tracił. Na koniec wspomniała, że Rory pracuje w domu aukcyjnym, który kiedyś przejmie od ojca.

– To znaczy, że zostaniesz w Bedford? Po tym, jak się pobierzecie? – zapytała Maude, przyglądając się bacznie Joan.

– Tak – potwierdziła. – Myślę, że tak. W końcu gdzie indziej mielibyśmy zamieszkać? Tam zawsze był mój dom.

– No tak, gdzieżby indziej. Dwa lata to długie narzeczeństwo. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale Joan zaczęła pośpiesznie wyjaśniać:

– Och, widzi pani, musimy oszczędzać. Zebraliśmy już prawie tyle, ile potrzebujemy, ale rok temu straciliśmy... zmarł mój ojciec. Wszystko inne musiało poczekać. Mama nie umiała sobie z tym poradzić i... właściwie nadal nie potrafi. A potem straciłam pracę.

– Ale przecież nie zostaniesz z nią na zawsze?

– Nie. Mam nadzieję, że nie.

– To nie jest kwestia nadziei, Joan. Musisz podjąć decyzję i zacząć działać – oznajmiła Maude zdecydowanym tonem. – Wiem, że to bywa trudne. Więzy rodzinne są... silne. – Wzruszyła ramionami. – Ja nie miałam absolutnie nic wspólnego z moją matką. Nie rozumiała, czego chcę od życia, a mnie nie mieściło się w głowie, jakim cudem nie chcąc od życia niczego, nie umarła z nudów. Chociaż być może tak właśnie skończyła. W tamtych czasach nie było wyjścia, musiałam być jej posłuszna, ale zawsze nienawidziłam tego poczucia, że mnie ogranicza. Miałam o to do niej ogromne pretensje. Brzmi okropnie, ale tak właśnie było.

– Och, ja nie mam do mojej żadnych pretensji, kocham ją i naprawdę chcę być dobrą córką, tylko... – Joan szukała właściwych słów. – Trudno to wyjaśnić. Wiem, że dużo bardziej wolałaby, żebym została w domu, więc ta myśl nigdy mnie nie opuszcza. I wpływa na moje decyzje. Mama twierdzi, że nie poradziłaby sobie beze mnie, i może mieć rację. Pewnie byłaby bardzo samotna, gdybym wyjechała, a ja czułabym się z tym paskudnie.

– Jak dla mnie sama powinna ruszyć się z domu i poznać nowych ludzi. A o tym, czy sobie bez ciebie poradzi, przekona się tylko wtedy, gdy jej na to pozwolisz.

– Wiem. Wiem o tym. Tylko... dopóki nie kupimy domu z Rorym, i tak właściwie nie mam gdzie się podziać. On wciąż mieszka z rodzicami i siostrą.

Jego zdaniem... – Zawstydzona Joan umilkła na chwilę. Czuła na sobie przenikliwy wzrok Maude, a własne słowa nagle zaczęły brzmieć w jej uszach jak marne wymówki. – Jego zdaniem nie ma sensu marnować pieniędzy na wynajem. – Badawcze spojrzenie Maude paliło ją jeszcze przez moment, a potem starsza pani wzruszyła znów ramionami.

– No cóż. Zapewne ma rację. – Oparła się na fotelu i złożyła dłonie na kolanach. – Liczę na to, że kiedyś go poznam.

– O tak! Bardzo bym tego chciała. Już nie mogę się doczekać, kiedy wezmę ślub i założę rodzinę, naprawdę – oświadczyła najbardziej przekonującym tonem, na jaki było ją stać. Nie chciała się zdradzić z tym, jak onieśmiała ją myśl o dziecku. Po prostu nie czuła się wystarczająco kompetentna do roli matki ani wystarczająco dojrzała, chociaż jej koleżanki ze szkoły miały już dwoje, a nawet troje dzieci. Doszła do wniosku, że jej lęk to wynik zbyt długiego mieszkania z własną matką. Miała nadzieję, że kiedy urodzi dziecko, poczuje się bardziej dorosła i pewna siebie. – To będzie wspaniała przygoda – dodała, bo Maude przyglądała jej się w milczeniu.

– Przygoda? Tak... podejrzewam, że tak – odpowiedziała w końcu. – Ja nigdy się na nią nie zdecydowałam.

Za to spędzając czas z Rorym, Joan opowiadała mu ze szczegółami o Maude. Któregoś dnia wynajęli wielbłądy i wybrali się na przejażdżkę po plaży w Matrah. Joan była zachwycona. Od dzieciństwa jeździła konno, więc bez trudu przyzwyczaiła się do rozkołysanych ruchów wielbłąda, poddając się rytmowi jego kroków. Rory siedział sztywno i chwiejnie. Gubił równowagę i było mu bardzo niewygodnie. Uśmiechnięta Joan trzymała lejce w jednej dłoni, a drugą oparła na udzie. Pomyślała o Aladynie, koniu arabskim, dzięki któremu zaczęła marzyć o przyjeździe w to miejsce. Kiedyś taka podróż wydawała jej się nieziszczalnym snem. Przez jakiś czas jechała w milczeniu, rozkoszując się chwilą.

– Jeśli myślisz, że taka jazda jest niewygodna, to spróbuj ukłęknać jak Beduini – powiedziała, odwracając się lekko w siodle. – Nawet Maude nie

opanowała tej pozycji.

– No, skoro nawet fenomenalnej Maude Vickery się to nie udało, to pozwól, że nie będę próbował – odparł lekko skonsternowany Rory. Joan posłała mu szeroki uśmiech. Jej narzeczony potarł twarz dłonią, a potem kichnął spazmatycznie trzy razy z rzędu. – Chyba mam alergię na wielbłądy – stwierdził.

Spróbował wydmuchać nos, używając jednej dłoni, ale upuścił chusteczkę na ziemię.

– Biedny Rory. Już niedaleko – zapewniła go Joan, a on uśmiechnął się do niej czule.

– Pojedziemy tak daleko, jak tylko będziesz chciała, Joan.

Pod koniec tygodnia Joan przyszła do domu Maude z ekscytującą wieścią, że następnego wieczora Daniel przyjeżdża do Rezydencji na kolację. Abdullah wpuścił ją z ponurą miną. Nie rozumiała jego złego nastroju i martwiła się, że czymś go rozgniewała, dopóki nie weszła na górę, gdzie zastała rozgorączkowaną Maude. Jej fotel inwalidzki stał pusty, na podłodze leżały ściągnięte z półek książki, biurko było zarzucone papierami, z których część spadła na ziemię, a Maude siedziała wśród tego rozgardiaszu, niecierpliwie kartkując magazyny sprzed kilkadziesiąt lat.

– Panno Vickery, co się stało?! – zawołała Joan, kucając obok niej.

Maude prawie nie zauważyła, że ma gościa. Twarz zasłaniały jej kosmyki włosów; wyglądała niechlujnie, a Joan postanowiła postępować ostrożnie, pamiętając o wybuchowym temperamencie kobiety.

– Nie mogę znaleźć tego przekłętą tekstu – wymamrotała Maude pod nosem. – Wiem, że musi gdzieś tu być! – Podniosła następny magazyn, przerzuciła niecierpliwie kilka stron, a potem cisnęła go na bok.

– Pomogę pani usiąść w fotelu, wtedy będzie pani mogła...

– Ręce przy sobie, dziewczyno! Wiem, że tu jest, i muszę go znaleźć! Pisał o czystości... czy chodziło o czystość? A może o prawdę? Pisał... pisał... widzisz, nie mogę sobie przypomnieć. Nie pamiętam.

– Ale kto o tym pisał, panno Vickery?

– Nathaniel Elliot! A któż by inny? Wiem, że ten tekst gdzieś tu jest. Czytałam go, na pewno...

Joan zebrała się na odwagę, ujęła jedną z rozedrganych dłoni Maude i przytrzymała ją nieruchomo.

– Spokojnie, panno Vickery. Poszukam go razem z panią; znajdzie się, obiecuję. A teraz pomogę pani wstać i napijemy się herbaty, dobrze?

Maude nadal ciężko dyszała, a Joan poczuła, jak ciałem starszej kobiety wstrząsa dreszcz. Jej oczy wciąż przesuwały się po stosie papierów na podłodze, ale pozwoliła Joan się podnieść i powoli posadzić z powrotem na fotelu inwalidzkim. Dziewczyna wygładziła jej spódnice, a potem przesunęła nieco fotel, odwracając go tyłem do bałaganu.

– To teraz częstujesz mnie herbatą w moim własnym domu? – zapytała Maude po dłuższej chwili.

Joan uśmiechnęła się do niej.

– Przepraszam – odpowiedziała. – Po prostu się zdyszałam.

– Abdullah zaraz ją przyniesie. Na pewno nas podsłuchuje, jak zwykle zresztą.

– Martwi się o panią. – Joan spojrzała ponad jej ramieniem na dokumenty i magazyny rozrzucone na ziemi. – Jeśli pani chce, mogę szukać dalej, tylko muszę wiedzieć, co mam znaleźć.

Ale Maude westchnęła i pokręciła głową. Teraz, gdy jej emocje opadły, wyglądała na zmęczoną i zrezygnowaną.

– Może to bez znaczenia – powiedziała. – Kiedyś napisał, że pustynia to świat bez ludzi: przed nimi i po nich; nie liczy się z nami, nie ma do nas ani krzty szacunku. Napisał, że na pustyni można odkryć najczystsza prawdę dostępną człowiekowi. Czy coś w tym rodzaju – ciągnęła. – Nie mogę sobie przypomnieć, jak to dokładnie ujął. Ale widzisz, on miał rację. Miał rację, a równocześnie szalenie się mylił.

– Nie rozumiem. – Joan pokręciła głową. Maude patrzyła na nią

w zamyśleniu niewidzącym wzrokiem. Nie odpowiedziała. – Czy to na pewno było w jakimś magazynie? Pamięta pani w którym?

– Widzisz, on poszedł za ciosem. Po tym, jak przeszliśmy Pusty Kwartał, dalej podróżował i prowadził badania; zjeździł cały świat, tak jak zapowiadał.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego pani przestała, panno Vickery. A może pani też poszła za ciosem? – Joan podeksycowała ta myśl; nagle stanęła jej przed oczami wizja, jak pomaga Maude opracować jej wspomnienia. – Może pani też dalej podróżowała, tylko już nie opisywała swoich wypraw?

Podniosła z podłogi kilka magazynów, zerkając na ich spłowiałe okładki, a potem spojrzała na Maude. Twarz starszej kobiety była pełna emocji, zboląła i udręczona. Joan odłożyła czasopisma.

– Coś... coś się ze mną stało – wyznała cicho Maude. – Tam na pustyni. Zgubiłam jakąś część siebie... a może ona umarła? Może jakaś część mnie tam umarła. Rozumiesz? – zapytała.

Joan pokręciła głową.

– Nie. Przykro mi, ale nie rozumiem. Co się stało? – Stanęła znów obok Maude.

– Może odnalazłabym ją, gdybym wróciła na pustynię. I znów byłabym w pełni sobą. Ale nie, nie mogę tam wrócić, nie teraz. Już nigdy nie wrócę. I taka już umrę, tu, w tym pokoju.

– Niech pani nie płacze, panno Vickery, bo ja też zacznę płakać, zawsze tak jest. Nie powie mi pani, co się wydarzyło? – ponowiła pytanie Joan.

Ciężko jej było patrzeć na łzy lśniące w oczach Maude. Starsza kobieta otarła je pospiesznie, jakby nie zdawała sobie sprawy, że płacze, i wstydziła się tego. Odetchnęła kilka razy, zacisnęła wargi i poklepała Joan po dłoni.

– Powiedz mi, Joan, czy uważasz się za zrównoważoną osobę? – zagadnęła.

– Och... tak, chyba tak. – Joan przypomniało się, jak matka nazwała ją kłębkim nerwów. I rady ojca, żeby była odważna. – Chociaż nie wiem do

końca, co ma pani na myśli – dorzuciła.

Maude znów umilkła, a cisza trwała tak długo, że Joan zaczęła się zastanawiać, czy starsza kobieta nie straciła wątku, gdy ta nagle zacisnęła dłonie na poręczach fotela inwalidzkiego i chrząknęła.

– Joan, zastanawiam się, czy mogę cię prosić o pewną przysługę.

– Jeśli to będzie w mojej mocy, panno Vickery, to oczywi...

– Ale musi ona pozostać tajemnicą. I to całkowitą, nie możesz nic zdradzić nawet swojemu narzeczonemu ani tym bardziej żadnemu innemu mieszkańcowi Rezydencji. Czy potrafisz zachować to w sekrecie?

Maude mówiła absolutnie poważnie, a jej prośba natychmiast wydała się Joan podejrzana. Dziewczyna przez chwilę wahała się w milczeniu, co zrobić. Nie miała pojęcia, o co może poprosić Maude. Nienawidziła kłamać, ale słowa staruszki rozpały w niej ciekawość. Do tej pory niemal każdy aspekt wizyty w Omanie w pewnym sensie zawiódł jej oczekiwania; miała wrażenie, że sama zawiodła własne oczekiwania, bo wydawała się sobie taka jak zawsze. Tylko Maude okazała się niezwykła, ona jedna wykraczała ponad szarą zwyczajność. Podejrzliwość Joan ustąpiła szybko ekscytacji, że miałyby sekret – co w końcu nie jest tym samym co kłamstwo – oraz zadowoleniu, że Maude Vickery darzy ją zaufaniem i potrzebuje jej pomocy. Joan pomyślała o tym, co jeszcze czeka ją w Omanie: spotkania z Danielem i świadomość, że ją kocha, ale nie potrzebuje jej w swoim życiu; obserwowanie, jak Marian pije, a statki wpływają do przystani i ją opuszczają; kolacje tu i tam; kąpiele morskie; pstrykanie zdjęć wielbłądom i ewentualnie wyprawa dau. Turystyka. Na tym skończy się ta podróż, jeśli Joan na to pozwoli. Zaschło jej w gardle, ale wiedziała już, co chce odpowiedzieć.

– W porządku – oświadczyła, patrząc Maude w oczy. – Nikomu nie powiem.

– Grzeczna dziewczynka. Mam dla ciebie zadanie. To szalenie, szalenie ważna sprawa.

Egipt, kwiecień 1895

Hotel w Kairze miał duży centralny dziedziniec pod gołym niebem. Pod otaczającymi plac kolumnadami stały sofy i fotele obite jedwabnym adamaszkiem, a także ogromne doniczkowe palmy, aspidistry i czerwone lilie o woskowatych liściach w tak ciemnym odcieniu, że wydawały się niemal czarne. Na środku znajdowała się fontanna: woda tryskała z paszcz lwów do sadzawki z bladymi wąsatymi rybami, które od świtu do zmierzchu zataczały w niej leniwe koła. Każdego popołudnia o szesnastej goście hotelowi raczyli się podwieczorkiem pod kolumnadami. Służący mącili duszne powietrze wachlarzami ze splecionych liści palmowych, osadzonych na długich rączkach, a milczący kelnerzy w białych rękawiczkach wynosili srebrne patery z koreczkami i herbatnikami. Maude była zawiedziona. Nie podobało jej się, że podwieczorek w Egipcie wygląda tak samo jak w Hampshire i nie chciała co wieczór jeść kolacji z innymi Brytyjczykami z hotelu. Marzyła o tym, żeby przenocować w jednej z piramid i spotkać duchy starożytnych faraonów. Chciała jechać przez pustynię z twarzą zasłoniętą jak Szeherezada i patrzeć, jak zachodzące słońce oświetla złoty piasek.

Był kwiecień, a Nathaniel spędzał z nimi przedłużone ferie wielkanocne. Elias Vickery bez mrugnięcia okiem zabierał chłopca w każdą podróż zaplanowaną dla Maude i jej braci, pokrywając naturalnie wszelkie koszty. Rodzina Vickery była zamożna od tylu pokoleń, że nikt oprócz Eliasa nie wiedział dokładnie, ile mają pieniędzy ani skąd się tak naprawdę wzięły. Rzecz jasna, dzieci nigdy nie kwestionowały tego stanu rzeczy. Nathaniel przyjechał od matki z Francji i przez pierwszy tydzień cierpiał w milczeniu, odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień i rozmów o wizycie. Dużo spał. Maude obserwowała go bacznie i widziała, jak stopniowo wraca do siebie niczym drzewo, które odradza się do życia po zimie. Najpierw rozluźnił ramiona

i uniósł wyżej głowę. Później na jego twarz wróciły rumieńce i wyostrzyło mu się spojrzenie, a na koniec odzyskał głos. Zadawał pytania, snuł różne historie i żartował z chłopakami. Gdy pierwszy raz wybuchł niekontrolowanym śmiechem na widok jakiejś wpadki Francisa, Elias poklepał go po ramieniu z uśmiechem. Maude знаła ten uśmiech – oznaczał milczącą pochwałę: dobra robota. Chciała pogratulować Nathanielowi, ale nie umiała do końca wyjaśnić, czym na to zasłużył. Miała ochotę go przytulić, ale nigdy wcześniej tego nie robiła, więc ostatecznie nie zdobyła się na ten gest.

Większość upalnych dni upływała Maude na czytaniu albo nauce arabskiego ze służbą. Francis i Nathaniel mieli siedemnaście lat, więc mogli towarzyszyć ojcu w załatwianiu różnych spraw. Chełpili się przed nią swoją niezależnością: sypali jak z rękawa opowieściami o studiach, przyjaciołach, tańcach i zakładach, próbując wyrażać się po dorosłemu, chociaż wciąż najbardziej cieszyły ich dziecinne rozrywki. Maude musiała siedzieć w domu i dotrzymywać towarzystwa matce, bo Antoinette Vickery miała zostać sama w Kairze przez drugą część ich wyjazdu, planowaną wyprawę przez pustynię do oazy Siwa. Na myśl o czekającej ją przygodzie Maude czuła takie podekscytowanie i niecierpliwość, że dosłownie nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Od czasu do czasu zrywała się nieoczekiwanie z krzesła, na co jej matka za każdym razem reagowała stłumionym okrzykiem przestachu.

W wieku trzynastu lat Maude uważała się za wystarczająco dorosłą, żeby samodzielnie rozporządzać własnym czasem, ale ojciec postanowił, że ma być z matką, więc na tym stanęło. Jej najstarszy brat John wspinał się w Alpach z grupą przyjaciół. Antoinette Vickery zabrała do Egiptu przybory do haftowania i kilka powieści; chociaż od ich przyjazdu upłynęło już osiem dni, nadal dużo odpoczywała, kładąc to na karb zmęczenia podróżą; zaprzyjaźniła się też z korpulentną kobietą z Esher, niejaką Mary Wilson. Czasem Maude łapała się na tym, że obserwuje ojca, szukając u niego oznak rozdrażnienia zachowaniem matki, bo sama czuła się nim coraz bardziej zirytowana. Rytm jej dni wyznaczała potrzeba odpoczynku i spokoju Antoinette. Maude miała

dotrzymywać jej towarzystwa, ale matka zwykle milczała, dlatego dziewczynka zaczęła na próbę chodzić krok w krok za służącymi, zadreńczając ich, żeby mówili do niej po arabsku. Okazało się, że Antoinette prawie nie zauważa jej nieobecności. Ale Elias zawsze traktował żonę z życzliwością i troską, dlatego Maude trochę się wstydziła, że chwilami ma ochotę przechylić krzesło matki i zrzucić ją na ziemię.

Nie było jednak mowy, żeby Maude została w domu, kiedy reszta pojedzie zobaczyć piramidy – i sfinksa, zerkającego z fałszywą skromnością z piasku w Gizie. Nawet Antoinette wybrała się z nimi na mule, chociaż ani razu nie zsiadła ze swojego bocznego siodła, a starożytne zabytki wydawały się nie robić na niej żadnego wrażenia. Pozostali jechali konno – Maude głośno zaprotestowała, kiedy przyprowadzono dla niej osiołka. Przewodnik popatrzył na nią z zaskoczeniem, gdy łamanym arabskim oznajmiła, że woli konia – i to dorosłego. Przyjrzał się Maude dokładniej, więc uznała, że musiał ją wziąć za znacznie młodsze dziecko. Często jej się to zdarzało.

– Osioł lepiej do ciebie pasował, Karzełku – rzucił Francis, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Kojarzył mi się z tobą, Frank – odparowała lodowatym tonem.

Wyruszyli przed świtem, gdy na niebie koloru gołębich piór gasły ostatnie gwiazdy, a muezini zaczęli lekko pokasływać, by przygotować głosy do wezwania miasta do modlitwy.

Wyjechali z Kairu w szeregu, jedno za drugim. Maude wpatrywała się w horyzont, a kiedy pojawiły się na nim piramidy, wyobraziła sobie, że jest pierwszą osobą na świecie, która je widzi i zbliża się do nich przez kilometry pustej, piaszczystej przestrzeni, zupełnie sama i oniemiała z wrażenia. W swoim marzeniu nie miała żadnego towarzystwa. Zatrzymali konie na szczycie łagodnego zbocza, skąd rozciągał się dobry widok na piramidy. Stali obok siebie, czekając, aż dołączy do nich Antoinette na sennym mule, prowadzonym przez służącego.

– To jak, kto się ściga? – zapytał Francis, patrząc na Nathaniela i Maude. –

Założę się o szylinga, że będę pierwszy przy Wielkiej Piramidzie.

– Nie, dzięki – odpowiedział Nathaniel.

Nie czuł się pewnie w siodle: stopy przesuwał za daleko w przód, a ciężar ciała przenosił za bardzo w tył. W dodatku miał za długie lejce.

– Frank, czy ty o wszystko musisz się zakładać? – skwitowała Maude. – A w ogóle to hazard jest grzechem.

– O co chodzi, Mo? Boisz się, że przegrasz?

– Ty masz lepszego konia – zwrócił mu uwagę Nathaniel.

Maude zauważyła, że ojciec przysłuchuje się im uważnie. Zawsze obserwował ich w milczeniu. Lubił pozwalać im realizować różne pomysły, komentując je dopiero po wszystkim. Kiedy Antoinette protestowała, Elias wyjaśniał jej, że w ten sposób dzieci się uczą.

– Koń nie jest najważniejszy, nie na tym terenie. Liczy się dżokej.

– Albo dżokejka – dodała Maude.

Czasem nienawidziła Francis'a i jego durnego uśmiešku, zwykle dlatego, że to ona najczęściej była źródłem wesołości brata. Chętnie zobaczyłaby, jak spada ze swojego konia – gniadego, energicznego ogiera o lekko obłąkanym wzroku. Wystarczyłby jeden solidny zamach szpicrutą, pomyślała.

– To co, ścigasz się, Karzełku?

– Francis, nie odzywaj się tak do siostry – wtrącił ojciec.

Maude wpatrywała się w brata przez kilka sekund bez mrugania, więc zobaczyła, jak zaciska dłonie na lejcach i wciąga powietrze do płuc. Szybko dźgnęła piętami swojego konia, a on poderwał się do biegu dokładnie w chwili, kiedy Francis krzyknął: „Start!”

Z tyłu rozległ się jakiś pisk. Maude obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że muł Antoinette kłusuje za nimi koślawo, nie chcąc zostać w tyle. Jej matka wczepiła się rozpaczliwie palcami w jego krótką grzywę. Koń Nathaniela też pocwałował ich śladem. Sadził długie susy i nabierał prędkości, gdy przerażony chłopak usiłował szarpnąć zbyt długie lejce. Maude przeniosła wzrok przed siebie. Kątem oka widziała brata. Jej początkowa przewaga

szybko topniała. Francis miał młodszego i szybszego konia, za to ona ważyła tyle co nic, więc klacz z lekkością sunęła nad piaskiem. Maude czuła na twarzy napór powietrza. Po skórze smagała ją rozwiana końska grzywa. Przywarła do grzbietu klaczy; z oczu pociekły jej łzy i zgubiła kapelusz, bo przytrzymujące go spinki wysunęły się z włosów. Nagle zauważyła przed sobą pasmo głębszego piachu – łagodną wypukłość bez żwiru i kamieni. Uświadomiła sobie, że Francis skręcił w lewo, żeby ją objechać, więc pociągnęła za prawą wodzę, wybierając drugą stronę. Zdawało jej się, że przez huk wiatru znów słyszy z tyłu krzyk, ale tym razem nie śmiała się odwrócić. Klacz wylądowała na skraju grząskiego pasma, zapadła się w piasku i lekko zachwiała, niesiona pędem, z trudem unikając wywrotki. Maude odchyliła się i ściągnęła wodze, żeby zwierzę zwolniło i osiadło pewniej na tylnych nogach. Złościła ją myśl, że Francis może wygrać. Po chwili szamotaniny wróciły na twardszy piasek, wzbijając za sobą tuman pyłu, a klacz przyspieszyła z gniewnym wierzgnięciem, kładąc po sobie uszy, jakby zirytowała się na Maude za to opóźnienie.

Nagle z prawej minął je koń Nathaniela. Galopował ile sił w nogach, strzemiona obijały mu się o boki, ale siodło było puste. Maude spojrzała za siebie. Włosy wpadały jej do oczu i nie widziała dokładnie, co się stało, ale nigdzie nie zauważyła Nathaniela. Francis już prawie się z nią zrównał, chociaż musiał stracić więcej czasu w miękkim piasku. Maude z rozpaczą uświadomiła sobie, że brat może ją minąć i pokonać, chociaż była tak blisko zwycięstwa. Zacisnęła zęby, ale nie zdołała opanować emocji i wrzasnęła na swojego konia:

– No, dalej!

Zamachnęła się w tył szpicrutą, a klacz wierzgnęła, stękając z rozdrażnieniem, ale później wysunęła nos i wyrwała jeszcze szybciej do przodu, a pod kopytami zachręściły jej kamyki. Krajobraz rozmył się Maude przed oczyma; kierunek jazdy wyznaczała tylko potężna piramida. Przyłgnęła do końskiego karku, czując pod palcami pot, perlący się na sierści zwierzęcia.

Kiedy niebo przesłoniła starożytna budowla, Maude wyprostowała się i okręciła klacz w miejscu. Francis pędził w jej stronę, dzieliło ich najwyżej dziesięć metrów. Ale wygrała, i to z wyraźną przewagą.

– Ha! – krzyknęła do brata, kiedy zatrzymał się obok niej. – Francisie Henry Vickery, jesteś mi winny szylinga!

Ich konie dyszały ciężko, szarpiąc za wodze, żeby wyciągnąć szyje.

Francis pokręcił głową.

– To był rażący falstart, Mo. Ruszyłaś, zanim dałem sygnał. Oszukiwałaś, więc to się nie liczy.

– Och, zawsze to robisz, Frank! – Była tak wściekła, że miała ochotę go uderzyć. – Wcale nie oszukiwałam! Ruszyłam dokładnie w chwili, kiedy zawołałeś „start”!

– Właśnie, że nie...

Wciąż jeszcze się o to kłócili, kiedy ojciec podjechał do nich miarowym kłusem. Miał kamienną twarz.

– Dzieci – zaczął, a jego ton natychmiast ich uciszył. – Czy którekolwiek z was choć przez chwilę pomyślało o Nathanielu? Albo spróbowało złapać jego konia?

– O nie! – zawołała Maude, przypominając sobie puste siodło. Zalało ją poczucie winy.

– O tak – odparł Elias.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytał Francis.

– Nie. Trzeba było ruszyć głową i przed startem ustawić się z boku, z dala od innych koni. Trzeba było wziąć pod uwagę, że jazda po niepewnym gruncie z taką prędkością może się okazać niebezpieczna. – Przenosił wzrok z syna na córkę, a oni milczeli, zawstydzeni. Na twarzy Francisza pojawił się rumieniec. – Wygląda na to, że po upadku z konia Nathan złamał nadgarstek.

– O nie! Nie mów tak, ojcze! – jęknęła Maude.

– Ale może mimo to jechać do Siwy? – dopytywał Francis.

– Na razie nie wiadomo. Ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. A teraz

pojedziecie razem, spokojnie, po konia Nathaniela. I żebym nie słyszał już ani słowa od żadnego z was o tym, kto wygrał, a kto przegrał w tej małej eskapadzie. Jeśli o mnie chodzi, przegraliście oboje.

Tego dnia nie zwiedzili piramid, tylko wrócili wolno do Kairu z bladym, milczącym Nathanielem, który podtrzymywał lewą dłoń prawą ręką. W hotelu brytyjski lekarz założył mu szynę i zabandażował nadgarstek, a po jego wyjściu do pokoju zajrzała Maude. Nathaniel siedział w wiklinowym fotelu przy otwartym oknie, wychodzącym na chaotyczną mozaikę kairskich dachów. Nadal był blady, a twarz lśniła mu od potu, ale uśmiechnął się lekko, kiedy Maude usiadła naprzeciwko niego.

– Nathanie, bardzo cię przepraszam – zaczęła z zakłopotaniem. – Nie powinniśmy byli ruszać tak nagle.

– No cóż. – Nathaniel uśmiechnął się sardonicznie, ale w jego oczach zamigotała złość. – Kimże ja jestem, żeby z mojego powodu jakiś Vickery odmówił sobie czegoś, na co ma akurat ochotę.

Maude zrobiła się czerwona. Pomyślała, że to niesprawiedliwa ocena, przynajmniej jeśli chodzi o nią, ale nie zdołała z siebie tego wykrztusić.

– Francis twierdzi, że oszukiwałam, więc wcale ze mną nie przegrał. Zawsze, kiedy go pokonam, znajduje jakąś wymówkę, mówi, że to się nie liczy albo że to nie to samo, albo coś w tym rodzaju. To nie w porządku!

– W takim razie może nie powinnaś za każdym razem podejmować jego wyzwania. A zawsze to robisz.

– Masz rację. Po prostu... nie umiem się powstrzymać. Chciałabym chociaż raz wygrać tak, żeby nie mógł tego w żaden sposób podważyć! – Pokręciła głową ze złością. – Pojedziesz z nami do Siwy? Powiedz, że pojedziesz, proszę.

– Ciężka sprawa. Jeśli za kilka dni dalej będzie mnie tak bolało, to... nie wiem, jak miałbym jechać konno. Nie mówiąc już o rozsiodłaniu konia albo rozstawieniu namiotu.

– Och, przecież to wszystko mogą zrobić za ciebie służący! W końcu robią to

za mnie.

– Tak, ale ty jesteś dzieckiem, Maude. Nikogo nie dziwi, że do niczego się nie nadajesz.

Maude spuściła wzrok na swoje dłonie i wpatrywała się w nie przez dłuższą chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czy jego słowa bardziej ją ranią, czy złością. Kiedy chłopcy skończyli trzynaście lat, bez przerwy przechwalali się swoją dorosłością – mówili, że są już prawie mężczyznami i nie potrzebują niczyjej pomocy ani rad. Teraz oni mieli siedemnaście lat, a ona trzynaście, ale nadal była dla nich dzieckiem, które do niczego się nie nadaje. Uświadomiła sobie, że nigdy ich nie dogoni. Nie mogła wygrać tego wyścigu, już na zawsze miała pozostać Karzełkiem. Z frustracji oczy nabiegły jej łzami i zaswedział ją czubek nosa. Ciężko zniosła reprimendę ojca, a teraz, kiedy Francis z niej szydził, a Nathaniel się na nią gniewał, poczuła, że to dla niej za dużo.

– Ale bez ciebie to nie będzie to samo – powiedziała i ku własnemu przerażeniu zaczęła szlochać. Usiłowała przestać, ale nie mogła.

– Och, jestem pewny, że wcale mnie nie potrzebujecie – odparł chłodno. – W końcu ty mówisz już płynnie po arabsku i twój ojciec jest z ciebie bardzo dumny, a Francis ma pewne miejsce na Oksfordzie, chociaż ledwo potrafi pisać po angielsku, nie wspominając nawet o łacinie. Nie rozumiem, do czego ja miałbym być wam potrzebny.

– Nie mów tak, Nathanie. – Maude spojrzała na niego. Gorycz w jego głosie tak ją wstrząsnęła, że przestała płakać. – Tak nie wolno. To brzmi, jakbyś nas nienawidził.

Przez moment piorunował ją wzrokiem, a potem twarz mu złagodniała i westchnął.

– Przepraszam, Maude. Nie słuchaj mnie. To nie twoja wina, naprawdę.

– Powiedz, że z nami pojedziesz. Proszę. Naprawdę cię potrzebujemy. Ja cię potrzebuję. Bez ciebie nie będę się dobrze bawić. Ani przez chwilę. – Dopiero kiedy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że to prawda. Przy Nathanielu czuła się lepiej. Nie wiedziała, dlaczego jego obecność poprawia

jej samopoczucie, ale tak po prostu było. Nathan szarpał krawędź bandaża. – Bardzo boli? – zapytała Maude, patrząc na opatrunek z wyrzutami sumienia.

– Jasne, że boli! – warknął. Jego oczy wydawały się wyjątkowo roziskrzzone na tle poszarzałej nagle cery. – Przepraszam – dodał.

– Może powinieneś się położyć?

Skinął głową i nie protestował, kiedy zaproponowała, żeby się na niej oparł. Gdyby dużo przytył, ugięłaby się pod jego ciężarem, ale wciąż ważył niemal tyle samo co wcześniej. Przez materiał sukienki Maude poczuła kształt i ciepło zdrowej ręki Nathaniela. Ujęła go za dłoń i zobaczyła na jego palcach plamy od atramentu; paznokcie miał przycięte bardzo krótko, a na knykciach zrobiły mu się czerwone obtarcia od upadku z konia albo od czegoś innego. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale znajomy zapach Nathaniela równocześnie ją uspokajał i dodawał jej energii.

Tydzień później uznano, że Nathaniel może jechać konno z ręką na temblaku, używając podnóżka przy wsiadaniu i zsiadaniu. Powozami pokonali drogę wzdłuż wybrzeża aż do początku Masrab al-Istabl, czyli Drogi Stajennej, prowadzącej na południe przez pustynię do oazy Siwa. Tą trasą Aleksander Wielki udał się do wyroczni Amona – Maude dużo o tym czytała i to głównie jej wielokrotne sugestie, nazywane przez Antoinette żądaniami, sprawiły, że zdecydowali się pojechać właśnie tamtędy. Był to znany szlak, a nieutwardzona droga nie prowadziła przez głębokie wydmy ani grząski piasek, dlatego zamiast wielbłądów mogli wybrać konie i muły juczne. Maude podobała się wizja przejażdżki na wielbłądzie, więc poczuła się tym rozczarowana, ale tylko odrobinę. Nic nie mogło zmącić jej radości z tej wyprawy – zwłaszcza że Nathaniel jednak wybrał się razem z nimi. Prawie zapomniała pomachać mamie na pożegnanie, gdy zostawiali ją w hotelu w Kairze „samą” z nowymi przyjaciółmi i mniej więcej trzydziestoma służącymi do pomocy. Zgodnie z planem podróż do Siwy z wybrzeża miała im zająć tydzień. Zamierzali odpoczywać w oazie najwyżej pięć dni, a potem wrócić tą samą drogą. Mimo wielu starań Maude nie zdołała przekonać ojca,

że powinni się zmierzyć z dłuższą trasą, prowadzącą na wschód przez pustynię aż do samego Kairu.

Każdy dzień podróży przebiegał według stałego harmonogramu. Służący budzili ich o szóstej, wnosząc kubki gorącej kawy do obu namiotów – Maude dzieliła swój z ojcem. Godzinę później wszyscy byli już umyci, uczesani, ubrani i po przygotowanym dla nich śniadaniu, które składało się ze świeżych podpłomyków, jaj, sera, dolewki kawy i daktyli. Później pomagali siodłać konie i pakowali swoje rzeczy do worków marynarskich, podczas gdy służący zwijali namioty, składali łóżka polowe, stoły, krzesła i koce, gotowe pakunki ładując na muły. O ósmej ich mała karawana mogła już ruszać w drogę. Piach mieli wszędzie: na ubraniach, we włosach i na skórze. Maude padała ze zmęczenia, bo nocą robiło się zimno i trudno jej było rozgrzać swoje drobne ciało na tyle, żeby zdołać zasnąć, ale i tak nie posiadała się ze szczęścia. Czuła bezkres pustyni i podziwiała, jak wiosenne promienie słońca zmieniają kolor piasku i nieba w ciągu dnia. Nie brakowało jej Anglii, matki ani wygód Marsh House. Nie tęskniła za Johnem i nawet Francis nie mógł jej zepsuć humoru. Nie słyszała już tykania dławiącego czas zegara – zniknęło bez śladu.

Jechali przez cały dzień z przerwami na lunch i podwieczorek, a mniej więcej godzinę przed zachodem słońca wybierali rozsądne miejsce na nocleg i służący zaczęli rozstawiać obóz na nowo. Pewnego popołudnia, kiedy reszta kończyła jeszcze lunch, Maude zapuściła się sama nieco głębiej w pustynię. Ich wynajęte konie dobrze znały szlak Masrab al-Istabl i nie spodziewały się, że ktoś będzie chciał zejść z niego choćby o centymetr, więc musiała wymierzyć swojemu obcesowemu kopniaka, żeby odłączył się od grupy. W końcu udało jej się odjechać na tyle daleko, by przestać słyszeć głosy innych i brzęk dzbanka do kawy. Poprowadziła konia na niewysokie zbocze, pokonała zagłębienie pełne kamieni, a potem wjechała na kolejne wzniesienie i tam się zatrzymała. Natychmiast ogarnął ją osobliwy spokój, jakby znalazła się poza sobą. Musiało upłynąć kilka chwil, zanim zrozumiała, skąd się bierze to uczucie.

Powietrzem nie kołysał nawet najlżejszy podmuch. Niezdyszany koń stał pod nią bez ruchu. Jej własny oddech był niemal niesłyszalny, a wokół panowała absolutna, niezmacona cisza. W tym momencie Maude zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej ciszy. Zawsze słyszała tykanie zegara, krzątanie służących albo ich głosy, szum wiatru, szmer deszczu albo skrzypienie domu, gdy się nagrzewał lub wychładzał. Zawsze otaczały ją dźwięki, choćby najsubtelniejsze. Teraz było zupełnie inaczej. Oszołomiona Maude wsłuchiwała się w tę ciszę. Stopniowo docierało do niej, jak ogromna i niewiarygodnie stara jest Ziemia. Wreszcie uświadomiła sobie błahość i nietrwałość swojego istnienia. Ale wydało jej się to piękne, a nie przygnębiające. Przecież w końcu zrozumiała, kim jest, i poznała swoje miejsce na świecie, a ta wiedza przyniosła jej absolutny spokój. Miała wrażenie, że może dotrzeć wszędzie i osiągnąć wszystko, co tylko zapragnie; czuła, jak kula ziemiska obraca się pod nią spokojnym, zdecydowanym, niekończącym się ruchem. Ta cisza była jak magiczne zaklęcie; jak obietnica nieskończoności, że Maude uda się dokonać wszystkiego, o czym marzy. Siedziała na swoim koniu, chłonąc to uczucie. Była zakochana. Kiedy usłyszała, że reszta ją dogania, cisza rozplynęła się z wolna jak topniejący lód, a Maude od razu wiedziała, że znów spróbuje ją odnaleźć. Że już zawsze będzie jej szukać.

Dotarli do Siwy ósmego dnia od wyjazdu z wybrzeża, zgodnie z planem. Po długiej jeździe konnej mieli zeszywniałe mięśnie i piasek pod kołnierzykiem i mankietami. Wszyscy marzyli, żeby zanurzyć się w wannie albo opaść na wygodny fotel.

– Dałbym się pokroić za papierosa – oświadczył Francis z demonstracyjnym znużeniem, uważając, żeby nie usłyszał go ojciec.

Nathaniel wymienił spojrzenie z Maude, a ona nie zdołała się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

– No co? – zapytał jej brat podejrzliwym głosem. – Po prostu cieszę się, że jesteśmy na miejscu. Karzełku, nawet ty musisz przyznać, że pustynia wygląda

wszędzie tak samo. Bardzo szybko robi się bardzo nudna.

– Myślę, że powinienes otworzyć szerzej oczy, Frank – poradził mu Nathaniel, a Francis się skrzywił.

– No cóż, przynajmniej tym razem nie spadłeś po drodze z konia – odparował.

Przez kilka kolejnych dni zwiedzali oazę pieszo – podziwiali starożytne i opuszczone już miasto Aghurmi oraz nowe miasto Siwa, które powstało na południe od niego; oglądali ogromne słone jeziora z ich tajemniczymi wyspami, gaje daktylowe i oliwne, ogrody i pasterzy kóz. Maude wiernie towarzyszyła ojcu. Robiła notatki i szkice w swoim notesie, ćwiczyła rysowanie prostych map i pozowała najcierpliwiej jak umiała, gdy Elias z namaszczaniem ustawiał aparat, przygotowywał się do zrobienia zdjęcia i fotografował ją na tle interesujących widoków albo zabytków. Francis dostał rozstroju żołądka i cały trzeci dzień spędził biegając między pokojem a wychodkiem. Maude próbowała bez większych rezultatów wykrzesać z siebie współczucie do brata. Piątego i ostatniego rana wstała wcześniej i ubrała się w milczeniu. Wzięła z kuchni garść daktyli, napiła się trochę wody, a potem najciszej, jak potrafiła, wymknęła się na zewnątrz w smugach szarego światła przed świtem.

Powietrze było chłodne, nieruchome i bezwonne jak kamień. Maude zostawiła w tyle nowe miasto i przeciskała się zagraconymi uliczkami zrujnowanego Aghurmi. Na tle nieba resztki jego murów i wież przypominały wybielone drzewa w martwym lesie. Wśród gruzów wiło się kilka ścieżek i było za wcześnie na węże albo skorpiony. Miasto wspinało się zboczem, by osiąść u stóp żłobionego stoliwa górskiego, wyrastającego z ziemi niczym dziwaczny grzyb. Maude ostrożnie weszła na wąską półkę skalną, obiegając stoliwo. Wydawała się krucha i zdradliwa. Warstwa piasku osunęła się w dół pod jej stopą, a Maude zaczęła się zastanawiać, jak duży był dawniej ten występ i ile minie czasu, nim wiatry pustynne obrócą go w niwecz. Posuwała się powoli wzdłuż krawędzi, wyciągając ręce dla zachowania równowagi. Ze

strachu, że spadnie, ścisnęła ją w żołądku. Chciała dojść na północno-wschodnią stronę skały. Tam zamierzała usiąść i obejrzeć wschód słońca, rozkoszując się ciszą. Gdy pokonała ostatni zakręt, ruszyła w upatrzone miejsce, a po chwili stanęła jak wryta. Ktoś już tam był – siedział dokładnie tak, jak sobie to zaplanowała, oparty plecami o skałę, z kolanami pod brodą. Sekundę później rozpoznała Nathaniela.

Z uśmiechem rozlokowała się obok niego. Miała ochotę zapytać: „Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że oboje wpadliśmy na ten sam pomysł i wybraliśmy to miejsce do siedzenia?”. Albo: „Zauważyłeś, jak tu cicho? Nie uważasz, że ta cisza jest szalona, niesamowita i po prostu cudowna?”. Miała ochotę powiedzieć: „Żałuję, że musimy stąd wyjechać, ale równocześnie chcę już wyruszyć, żeby podróżować dalej i zobaczyć jeszcze więcej”. Miała ochotę powiedzieć mu to wszystko, ale nie odezwała się nawet jednym słowem. Nathaniel spojrział na nią bez zaskoczenia czy urazy. Przesunął się, żeby zrobić dla niej więcej miejsca w najszerszym punkcie występu i razem obserwowali w milczeniu, jak niebo zmienia kolor. Szarość ustąpiła chłodnej turkusowej zieleni, a potem niemal bieli, by wraz z eksplozją słońca zaśnić złotem, czerwienią i pomarańczem. Równocześnie unieśli dłonie, żeby osłonić oczy. W ich uszach rozległ się szmer delikatnej bryzy, a z Siwy zaczęły dobiegać stłumione dźwięki miejskiego życia; cisza pustyni nie mogła przetrwać tak blisko cywilizacji. Ale poczuli ją przez długi, spokojny, prawie idealny moment. A Maude zdała sobie sprawę, że nikt inny by tego nie zrozumiał, z nikim nie mogłaby dzielić tego przeżycia tak jak z Nathanielem.

Kiedy słońce weszło ponad horyzont na wysokość rozpostartej dłoni, Nathaniel wziął głęboki oddech.

– Chyba powinniśmy już zejść – powiedział. Oparł brodę na zdrowym nadgarstku i popatrzył na nią ze swobodnym uśmiechem. – O to właśnie chodzi, prawda, Mo? Tak powinno być.

– Tak – potwierdziła od razu. Poczwała, że jakaś ważna myśl, jakaś zasadnicza prawda kiełkuje jej w głowie tuż poza zasięgiem świadomości. Przez chwilę

próbowała uchwycić tę refleksję, ale wciąż jej się wymykała. – Tak – powtórzyła po prostu.

Nathaniel wyciągnął do niej zdrową rękę, żeby pomóc jej wstać, a potem otrzepali kurz z ubrań i ostrożnie zeszli na dół, nie odzywając się już ani słowem. Od tamtej pory wszystko, co składało się na świat Maude od chwili jej urodzenia – swojskość domowego życia, jego zasady, jego spokój i poczucie bezpieczeństwa – wydawały się jej dziecinne i ograniczające, sterowane nieznośnym tykaniem zegara. Wiedziała, że zacznie tęsknić za pustynią od pierwszej chwili, gdy ją opuści.

Maskat i Matrah, listopad 1958

Joan usiadła do kolacji naprzeciwko oficera z potarganymi włosami koloru ciemny blond, które wyraźnie potrzebowały podcięcia. Sądziła, że w armii obowiązują pewne reguły – Daniel i inni Brytyjczycy, których widziała w Bait al-Faladz, mieli bardzo krótkie fryzury. Lubiła widok ich wrażliwej białej skóry na linii włosów, za uszami i na karku zaraz po stryżeniu. Przypominał jej dzieciństwo, kiedy myła Danielowi głowę, spłukując ją wodą z dzbanka nad zlewem kuchennym, a oboje byli tak niscy, że musieli stać na stołkach. Blondyn zaczesał włosy do tyłu, ale niesforne kosmyki wciąż opadały mu na czoło. Był wysoki i postawny, a jego brązowe oczy omiotły salę, jakby szukał drogi ucieczki. Potem najwyraźniej doszedł do jakiegoś wniosku, bo rozluźnił się i spojrzał na nią z uśmiechem, wyciągając rękę.

– Dzień dobry, nie zostaliśmy sobie przedstawieni na etapie ginu z limonką.
Kapitan Charlie Elliot.

– Joan Seabrook. Pewnie jest pan jednym z nowo przybyłych żołnierzy – odpowiedziała.

Robert wspominał, że do bazy przyjechał kolejny szwadron, ale Joan nie mogła się skupić na jego słowach. Jej myśli wciąż uparcie krążyły wokół Maude i jej sekretów. Jak palce, które ciągnie do zadry na gładkiej powierzchni, i ona nieustannie wracała do przysługi, którą zgodziła się wyświadczyć staruszce.

– To prawda. Dotarliśmy na miejsce kilka dni temu. Sądziłem, że w kraju toczy się wojna, a tu proszę – rzucił z przyjaznym uśmiechem. – Kolacja z wyższymi sferami we wspomniałym pałacu. – Uniósł kieliszek w geście toastu i upił spory łyk.

Joan uśmiechnęła się niepewnie.

– Och, to wcale nie takie wysokie sfery. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Jestem archeologiem, a przynajmniej mam nadzieję nim zostać. Przyjechałam odwiedzić brata, kapitana Seabrooka.

Spojrzała na Daniela, siedzącego w dalszej części stołu. Był zatopiony w rozmowie z Marian i brzuchatym mężczyzną, którego nie знаła. Na jego tle jej brat wydawał się chudy i wygłodniały jak wilk po ostrej zimie.

Kolacja odbywała się w jadalni Rezydencji – długiej sali z podłogą wyłożoną wymyślną terakotą i wysokimi oknami z widokiem na morze. Elektryczne lampy na suficie sprawiały, że było tam odrobinę za jasno i za ciepło. Nic nie pozostawało w cieniu, a rozżarzone światło pozbawiało oczy gości głębi. Blondyn siedział na tle otwartego okna, przez które Joan widziała fort Al-Dżalali. Nad bramą od strony wody wisiała jedna lampa, oświetlająca wąskie, wykute w kamieniu stopnie, prowadzące z grobli na górę. Wyglądały na onieśmielająco strome. Nikt nie mógłby się po nich wspiąć niezauważony. Joan patrzyła na nie, rozmyślając o tym, na co się zgodziła. Dreszcz, który ją przeszył, był w niemal równym stopniu oznaką podekscytowania co paniki. Przez swoje rozterki straciła apetyt, więc napiła się tylko wina, usiłując nie wpatrywać się w fort zbyt intensywnie. Po jakimś czasie zaczęła mieć wrażenie, że to fort obserwuje ją.

– Jak długo tu pani jest? – zapytał Charlie.

– Och, dopiero od dziesięciu dni. Dość długo, żeby rozeznac się w sytuacji. Odwiedzić Daniela i inną osobę, którą od dawna chciałam poznać. Ale za krótko, żeby wyjechać poza miasto, nie licząc bazy wojskowej.

– Cóż, obcokrajowcy nie mogą chyba liczyć na wiele więcej, prawda? – odparł.

– Owszem. Z tego co słyszę.

– To brzmi, jakby nie do końca się pani podobało to, co pani słyszy. I jakby nie do końca pani w to wierzyła – zauważył z uśmiechem.

Joan wzruszyła ramieniem.

– Nawet jeśli mi się to nie podoba, nie mam innego wyjścia, niż w to uwierzyć. I chcąc nie chcąc, zastosować się do tego. Miałam nadzieję

odwiedzić ważny stary fort na pustyni niedaleko Nizwy, po drugiej stronie gór. Teraz okazało się, że to niemożliwe. Chyba że armii uda się zdobyć górę i zakończyć wojnę w ciągu najbliższych dwóch tygodni. I tak to wygląda. A pan? Skąd pan przyjechał? Jest pan bardzo opalony. Jak wszyscy żołnierze z jednostki AS.

– Właściwie to SAS. Es jak siły specjalne. Dopiero co przyjechaliśmy z Malajów.

– Ojej, to prawdziwa zmiana otoczenia.

– Rzeczywiście, tu rośnie trochę mniej dżungli – zgodził się z nią. – Strasznie ponure miejsce, nie sądzi pani? Tak między nami, mam nadzieję, że zdołamy szybko opanować tę małą rewoltę. Nie powinno być z tym większych problemów, podobno to zwykli chłopci, wyposażeni w osły i uzbrojeni w stare karabiny Martini Henry. Zanim się obejrzą, już będzie po nich. Więc proszę jeszcze nie tracić nadziei na odwiedzin w tamtym forcie, panno Seabrook.

Joan przyjrzała się Charliemu Elliotowi. Siedział przygarbiony, opierając przedramiona na stole, ale nawet z tej swobodnej pozy było opanowanie, które sugerowało, że nie jest choćby w połowie tak odprężony, jak udaje. Zanim na stole pojawiły się wszystkie potrawy, oderwał kawałek podpłomyka i zaczął go żuć z ostentacyjną pogardą dla konwenansów, która wydała się Joan sztuczna i obliczona na efekt. Jego dłonie były silne i pokryte bliznami. Mankiety miał rozpięte, ale koszulę zapiął aż po kołnierzyk i włożył elegancki krawat. Sprawiał wrażenie lekko zbuntowanego ucznia, który jest na tyle arogancki, żeby łamać zasady, zwracać na siebie uwagę i budzić dezaprobatę. Ale gdy spojrzał na Joan, w jego oczach dostrzegła błysk inteligencji i wesołości, więc przyszło jej do głowy, że może się tylko bawić jej kosztem. Młody żołnierz siedzący po lewej stronie Joan po słowach Charliego chrząknął i pokręcił głową.

– Nigdy nie wolno lekceważyć wroga – oświadczył poważnie. – Może się to na tobie zemścić.

Sąsiad Joan miał szczupłą twarz i ponurą minę; przez czoło i między

brwiami biegły mu głębokie zmarszczki, jakby w każdej chwili był gotów się wykrzywić. Nie wyglądał, jakby kiedykolwiek się śmiał. Charlie westchnął teatralnie.

– Joan, poznałaś Waltera Coxa? – zapytał. – Znanego również jako Wesolek.

– Miło cię poznać, Walterze – odpowiedziała Joan. Wino rozgrzało jej pusty żołądek i zaczynała się lepiej bawić. Walter skinął poważnie głową, ściskając jej dłoń. – A jaki on ma przydomek? – spytała, wskazując brodą Charliego Elliota.

– Och, on nie potrzebuje przydomka – odparł Walter, rzucając Charliemu nieprzeniknione spojrzenie. – Czasem nazywamy go Tatuśkiem.

Charlie posłał jej uśmiech, od którego zmarszczyły mu się policzki. W prawym pojawił się dołeczek, który nadał mężczyźnie chłopięcy wygląd, chociaż Joan szacowała, że jest po trzydziestce.

SAS było nową, świetnie wyszkoloną i niezwykle groźną jednostką specjalną, sprowadzoną przez pułkownika Singera dla przełamania impasu na górze. Gdy Daniel mówił o nich Joan, w pewnym momencie umilkł, by po chwili zastanowienia dodać:

– Właściwie to nigdy nie spotkałem takich ludzi jak oni. To najbardziej opanowani i skuteczni zawodowi mordercy, z jakimi miałem do czynienia.

Joan trudno było odnaleźć w tym opisie Waltera o poszarzałej twarzy i nonszalanckiego Charliego; ale równie trudno było jej wyobrazić sobie Daniela jako zabójcę – a przecież wiedziała, że zabijał ludzi. Nawet jeśli w Omanie jeszcze nie miał do tego okazji, bez wątpienia robił to na wcześniejszych misjach. Składał się do strzału, znajdował ofiary w celowniku, naciskał spust. Wołała, kiedy mówił o nich „cele” albo „siły wroga”, ale chodziło o ludzi. Mężczyzn i chłopców, bo wielu prawdopodobnie było młodszych od niej. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z doniosłością tych faktów, więc zwykle starała się nie zaprzętać sobie nimi głowy, ale czasem zaczynała o tym myśleć i ogarniało ją niepokojące poczucie, że świat, który zna, nie jest do końca prawdziwy. A raczej, że w ogóle nie zna świata,

a zwłaszcza mężczyzn – ze swoim bratem na czele.

– Nie przejmuj się Wesołkiem – rzucił Charlie, kiedy służba przyniosła jedzenie. – Traktuje wojnę bardzo poważnie, tak jak całe życie. Ja wolę się z niego śmiać.

– To który z was jest lepiej przygotowany do misji? – zapytała Joan.

– Och, obaj jesteśmy przygotowani, nie martw się. To tylko kwestia osobowości – wyjaśnił Charlie.

– Czyli kiedy dochodzi do walki, jesteś równie poważny jak Walter?

– Stuprocentowo – odparł i znów się uśmiechnął. – Śmiertelnie poważny.

Joan rozmawiała przez jakiś czas z kobietą po swojej prawej stronie, żoną starszego oficera pułku w Maskacie, która opowiadała o potwornym wpływie twardej omańskiej wody na skórę i włosy oraz pytała, czy Joan widziała przed przyjazdem film *Gigi*. Charlie Elliot mówił trochę głośniej niż reszta gości przy jej końcu stołu, a jego donośny śmiech rozbrzmiewał w całej sali, przebijając się przez ogólny szmer rozmów. Joan zerknęła na niego podczas jednego z tych hałaśliwych wybuchów wesołości: siedział rozparty na krześle z brodą wciśniętą w klatkę piersiową i śmiał się z nieskrępowaną swobodą, zaciskając powieki.

Przeniosła spojrzenie dalej i napotkała wzrok Rory’ego, który siedział po drugiej stronie sali. Przewróciła lekko oczami, a Rory popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem, posyłając jej uśmiech.

– No dobrze, panno Seabrook, to z kim się pani przyjaźni w Maskacie? – odezwał się nagle Charlie.

Joan miała nadzieję, że nie zauważył jej kpiącej miny.

– Z kim się przyjaźnię?

– Tak, wspomniała pani o odwiedzinach u...

– A tak. Oczywiście. Właściwie nie można tego nazwać przyjaźnią. Przynajmniej jeszcze nie teraz. To raczej moja mistrzyni. Pewnie nigdy pan o niej nawet nie słyszał, ale na początku wieku Maude Vickery była jedną z pierwszych wielkich odkrywczyń. A właściwie jednym z pierwszych

wielkich odkrywców, zarówno wśród kobiet, jak i wśród mężczyzn, i... – Urwała urażona, bo Charlie patrzył na nią roztańczonym wzrokiem, znów szczerząc zęby w uśmiechu. – Powiedziałam coś zabawnego, kapitanie Elliot?

– Nie. To znaczy, być może, ale niechący – rzucił. Oparł się na łokciach i wychylił w jej stronę. – Widzi pani, moim ojcem jest Nathaniel Elliot. Więc owszem, słyszałem o Maude Vickery.

– Nathaniel Elliot? Ten słynny Nathaniel Elliot? – powtórzyła, nie kryjąc oszołomienia.

– Ten sam.

– Właśnie dlatego nazywamy go Tatuśkiem – dorzucił z boku Walter. – Bo musi o nim wspomnieć w każdej rozmowie.

Joan wpatrywała się w Charliego przez kilka sekund z tym samym wrażeniem odrealnienia jak przy pierwszej wizycie u Maude.

– Błagam, tylko niech pani nie zacznie teraz wychwalać jego ojca – mruknął Walter żalnym tonem. – Zrobi się nieznośny.

Joan zdała sobie sprawę, że rozdziawia usta ze zdziwienia, i szybko je zamknęła.

– Czyli słyszała pani o nim? – upewnił się Charlie bardziej trzeźwo.

– Oczywiście, że o nim słyszałam. To naprawdę niebywałe... – powiedziała Joan. – I co za szalony zbieg okoliczności, spotkać tu pana zaraz po tym, jak poznałam pannę Vickery. Przecież nie dalej niż wczoraj rozmawiała ze mną o pana ojcu. Czy to nie dziwne?

– Nie podejrzewam, żeby miała o nim wiele dobrego do powiedzenia. Ale to miły staruszek, naprawdę, niezależnie od tego, co pani słyszała.

– Liczyłam na to, że usłyszę coś ciekawego, w końcu byli ze sobą kiedyś tak blisko. Ale ona wcale nie chce o nim rozmawiać.

– Sęk w tym, że jest zazdrosna. Po prostu nigdy nie przeboleła, że ją pokonał i pierwszy przemierzył pustynię. Zaczęli traktować tę wyprawę jak wyścig, a on wygrał. To wszystko. Wątpię, czy w ogóle by sobie tam poradziła, gdyby nie mogła iść śladami mojego ojca. Powinna się cieszyć, że jej się udało.

Nikommu nie przyszłoby to łatwo, a co dopiero kobiecie.

– No tak, co dopiero kobiecie – powtórzyła Joan oschle. – Pański ojciec skończył właśnie osiemdziesiąt lat, prawda?

– Ominęło mnie jego przyjęcie urodzinowe – przytaknął Charlie. – Ale wybaczy mi to. Obowiązek wzywał.

– Jest pan jego najmłodszym dzieckiem?

– Tak. Było nas sześcioro: pięciu chłopaków, jedna siostra. – Rozejrzał się znów po pokoju jak w chwili, gdy zajęli miejsca przy stole. Szukał drogi ucieczki. – Teraz została nas już tylko dwójka. Jemima i ja. Rodzice mieli paskudnego pecha, jeśli chodzi o utrzymywanie nas przy życiu.

– Och, tak mi przykro. To straszne – powiedziała Joan.

Od razu przypomniał jej się warkot samolotu na letnim niebie i szloch dyrektorki szkoły w czasie hymnów na apelu. Charlie zabębnił palcami po blacie, a potem zaczął się wiercić na krześle w milczeniu, strzelając oczami na wszystkie strony, więc Joan odwróciła się do Waltera. Pytała go o rodzinę, dorastanie i zainteresowania; każdy temat był dobry, żeby odwrócić uwagę od Charliego i dać mu czas na dojście do siebie.

Po kolacji panowie przeszli do jednego pokoju, a panie do drugiego, tak samo, jak mogłoby się to odbyć sto lat wcześniej. Wśród gości były jeszcze tylko trzy kobiety. Joan siedziała z nimi przez chwilę na tarasie, słuchając ich rozmów o życiu w Anglii i dzieciach. Nie udzielała się zanadto, ale w pewnym momencie rzuciła:

– A poznały panie kapitana Elliota? Wiedzą panie, kim jest jego ojciec?

– Tak, to słynny odkrywca – odpowiedziała żona oficera, która siedziała obok Joan przy kolacji. – Poznałam go lata temu w Londynie na przyjęciu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; był czarujący. Nieco wyniosły, ale niezwykle czarujący. Ależ przystojny ten jego syn, prawda?

– Mówicie o tym chłopcu naprzeciwko ciebie, Joan? Rzeczywiście, bardzo przystojny – przyznała Marian.

– Żaden z niego chłopiec – zaprotestowała Joan.

– Moja droga, kiedy będziesz miała tyle lat co my... – Marian uśmiechnęła się lekko. – Słyszałam, że umie zawrócić kobiecie w głowie... Na twoim miejscu uważałabym na niego, Joan.

– Nie muszę, skoro jest ze mną Rory – odparła.

Uśmiech Marian jakby przybladł, ale chwilę później skinęła głową i odwróciła wzrok.

– Oczywiście, plotę głupstwa – rzuciła.

Rozmowa znów zeszała na sprawy, które nie interesowały Joan, więc przez jakiś czas siedziała w ciszy, popijając kawę i patrząc na zamgloną bryłę Al-Dżalali za plecami towarzyszek, a gdy nie mogła już dłużej znieść tego widoku, przeprosiła je i wyszła.

Zdenerwowana ruszyła do pokoju, w którym powietrze gęste było od dymu papierosowego i gwaru męskich głosów. Spowita ciemnością korytarza, zajrzała do środka przez otwarte drzwi. Robert, pułkownik Singer i podpułkownik Burke-Bromley, dowódca SAS, walczyli z rozbawieniem, usiłując prowadzić poważną dyskusję. Jeden kraniec kanapy zajmował milczący Walter, a na drugim siedzieli obok siebie Rory i Daniel, pogrążeni w cichej rozmowie. Gdy Joan zobaczyła ich razem, serce podskoczyło jej w piersi; przy kolacji nie zamienili ani słowa, dlatego martwiła się, że po kłótni nadal panuje między nimi lodowata atmosfera.

Zamierzała poruszyć ten temat z Danielem, ale nie udało jej się złapać go samego. Żałowała, że nie może wejść do tego pokoju, opaść na kanapę obok nich i włączyć się do rozmowy, ale tak nie wypadało. Poczowała się jak dziecko, któremu nie wolno siedzieć z dorosłymi. Obserwowała ich minutę czy dwie w nadziei, że napotka wzrok Rory'ego albo Daniela i wywabi któregoś z nich na zewnątrz. Już miała się poddać i pójść do swojej sypialni, kiedy rozległ się za nią jakiś głos. Wzdrygnęła się ze strachu.

– Kogo pani podgląda? – zapytał Charlie Elliot. Usta miał blisko jej ucha. Za blisko. Cofnęła się o krok i nadepnęła mu na stopę. – Au! Niech pani uważa, co pani depcze.

– Przepraszam! Chociaż właściwie nie mam za co. Nie powinien się pan tak skradać – ofuknęła go. Nie słyszała, kiedy do niej podszedł.

– Nie skradałem się, tylko zwyczajnie szedłem.

– A gdzie pan się podziewał? Był pan na przespiegach?

Pomyślała o jego rozbieganym wzroku przy kolacji.

– Jeśli musi pani wiedzieć, poszedłem do toalety. – Wzruszył ramionami.

Światło z pokoju oświetlało mu tylko połowę twarzy.

– Aha. Przepraszam. – Cieszyła się, że ciemność skrywa jej zażenowanie. – Tak naprawdę nikogo nie podglądałam. Próbowałam przyciągnąć wzrok Rory’ego, żeby powiedzieć mu dobranoc. Właśnie miałam dać sobie spokój.

– A czemu nie wejdzie pani po prostu do środka?

– Nie mogę! Nie przy tych wszystkich mężczyznach... – Urwała z zakłopotaniem. Nie wyobrażała sobie, żeby Charlie Elliot mógł zrozumieć, na czym polega nieśmiałość. Nienawidziła się za to, że wciąż paraliżuje ją to uczucie, ale myśl, że miałyby przejść przez cały pokój, gdy oczy wszystkich będą zwrócone na nią, wydawała jej się potworna. – W każdym razie, to nic ważnego. Dobranoc – rzuciła nerwowo, mijając go.

– Joan, zaczekaj – poprosił, łapiąc ją delikatnie za ramię.

Posłała mu gniewne spojrzenie; przez tę nadmierną poufałość znów poczuła się jak małe dziecko.

– O co chodzi, kapitanie Elliot? – odparowała ostrym tonem, ale on tylko uśmiechnął się szerzej.

– Rory to ten duży gość z kręconymi włosami, który siedzi na kanapie?

– Owszem.

– Kim on dla ciebie jest? Oczywiście, jeśli mogę zapytać. – Charlie puścił jej ramię. Stał teraz tak, że blokował światło z pokoju swoją wysoką, smukłą sylwetką.

– To mój narzeczony. Dlaczego pytasz?

– Twój narzeczony? – Charlie założył ręce na piersi i milczał przez chwilę. – Jaka szkoda. Poczekaj tu, wyślę go do ciebie – obiecał, po czym odwrócił się

i wszedł do pokoju.

Następnego ranka Joan odwróciła się od lustra, czekając na werdykt Maude, która przyglądała jej się spod przymrużonych powiek.

– Nieźle – oświadczyła wreszcie staruszka. – Tylko więcej kajalu wokół oczu. I rozmaż go. Nie upiększaj się; nie masz wyglądać jak gwiazda filmowa, tylko jak arabska służąca, która od świtu gotuje i szoruje podłogi.

Joan była ubrana w długą czarną suknię – abaję – która wraz z zasłoną zakrywała ją od linii włosów aż po pięty. Materiał przylegał jej ciasno do czoła jak habit zakonnicy.

Gdy Abdullah wniósł do pokoju udrapowaną na swoich długich ramionach abaję, jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Jeśli miał jakąś opinię na temat tej misji, nie zdradził się z nią. W komplecie znalazła się też czarna maska z miejscem na nos, więc odsłonięte miały zostać tylko oczy Joan. Widziała, jak omańskie gospodynie domowe załatwiają sprawunki w takim stroju. Ich kostium pozwalał Joan przyglądać im się bezkarnie, ponieważ nie mogła wiedzieć, czy zauważyły jej badawcze spojrzenie ani czy im ono przeszkadzało. Pomyślała, że to dość nieoczekiwany efekt, skoro kobiety miały być dzięki temu ukryte przez wzrokiem gapiów. Odwróciła się znów do lustra, żeby się przejrzeć.

– Cóż za niedorzeczność, nie sądzisz? – zapytała Maude. – Nigdy nie rozumiałam, jak one mogą cokolwiek zrobić w tym worku. Z drugiej strony, nie daje im się chyba zbyt wiele do roboty. Beduinki nie uświadczysz w takim zwoju materiału. Mają za dużo obowiązków.

– Ale w tym wypadku strój się przyda – zwróciła uwagę Joan.

Jej głos zabrzmiał zbyt radośnie, niemal piskliwie. Nie mogła opanować drżenia rąk, więc zacisnęła palce na abaji, żeby to ukryć.

– No dobrze, słyszałam, jak mówisz kilka słów po arabsku, i według mnie najlepiej, żebyś się w ogóle nie odzywała – oznajmiła bez ogródek Maude.

– Ma pani rację – przyznała Joan ze smutkiem.

– Nie załamuj się, Joan. Ja tylko stwierdzam fakty i zastanawiam się, jak

najlepiej podejść do tego przedsięwzięcia. Trzeba znać własne ograniczenia. Pokaż im list i pozwól przeszukać swój koszyk; wezmą pieniądze, a ty pójdziesz dalej. Albo cię wpuszczą, albo nie. Miejmy nadzieję, że się uda. Masz zbyt jasne dłonie; trzymaj je schowane. Powodzenia. Tylko spróbuj nie drżeć tak wyraźnie. Chociaż to chyba zrozumiałe, że człowiek się trzęsie, kiedy idzie w takie miejsce.

– Czy tam jest... strasznie? – zapytała Joan.

– Tak. Tam jest naprawdę strasznie.

– A co, jeśli mi nie uwierzą? To znaczy, jeśli nie uwierzą, że jestem Omanką. Mogłabym mieć z tego powodu duże kłopoty.

– Nie mają prawa cię dotknąć. Nawet takie szumowiny jak dozorczy więzienni tego nie zrobią. A pamiętaj, że będą tam też strażnicy z Wielkiej Brytanii, na pewno okażą się wzorem wszelkich cnót. Żeby się dowiedzieli, kim jesteś albo skąd pochodzisz, musiałabyś odsłonić twarz albo zacząć trajkotać po angielsku. Nie rób żadnej z tych rzeczy, a wszystko pójdzie jak z płatka.

– Będą tam też brytyjscy strażnicy? Jak to... nie wiedziałam o tym! O Boże, jeśli się zorientują...

– Nonsens. Niby jak mieliby się zorientować? – Maude zbyła ją machnięciem drobnej dłoni.

Joan nadal nie mogła uwierzyć, że zgodziła się pójść do Al-Dżalali i odwiedzić jednego z więźniów – syna Abdullaha o imieniu Salim. Większość osadzonych nie miała prawa przyjmować gości, ale więźniom politycznym służba mogła przynosić jedzenie i ubrania.

– Więc nie jest... pospolitym przestępcą? – upewniła się Joan, kiedy Maude zwróciła się do niej z tą prośbą.

– Oczywiście, że nie – obruszyła się starszka. – Jest myślicielem politycznym, a to wystarczy, żeby narobić tu sobie problemów.

– Powiedział coś, co uraziło sułtana?

– Sułtana Sa'ida łatwo urazić.

Salim został aresztowany i osadzony w więzieniu ponad rok wcześniej. Nie odbył się żaden proces i nikt go nie poinformował o długości wyroku. Siedział za kratkami, skazany na łaskę i niełaskę sułtana – nie on pierwszy miał zgnić w więzieniu, zapomniany przez wszystkich. Rzecz jasna, członkowie rodziny nie mogli go odwiedzać, więc Joan w przebraniu służącej była ich jedyną nadzieją. Problem polegał na tym, że oprócz pułkownika Smileya, szefa sztabu, obcokrajowcy mieli wyraźny zakaz wstępu do Al-Dżalali. Joan nie chciała nawet myśleć, co stałoby się z nią – albo z Robertem – gdyby gość wezyra został przyłapany na łamaniu tej zasady. Ale zgodziła się, bo pochlebiało jej, że Maude w ogóle przyszło do głowy, żeby powierzyć jej tak ważną i niebezpieczną misję. Nie chciała zawieść ani jej, ani siebie samej. Jeśli miała wziąć życie we własne ręce i stać się kimś więcej niż zwykła turystka albo wiecznie zahukana dziewczyna, musiała zdobyć się na odwagę, żeby od czasu do czasu złamać zasady. A nie ulegało wątpliwości, że Salim został niesprawiedliwie uwięziony.

Wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze z płuc, usiłując się opanować. Kompletnie zaschło jej w gardle i czuła, że ze strachu ledwo trzyma się na nogach. Miała ochotę się wycofać. Mimo to przykucnęła obok fotela Maude, żeby staruszka nałożyła jej maskę i przyczepiła ją do skraju abaji.

– Gotowe. Teraz się przejrzyj. Rodzona matka by cię nie rozpoznała.

Joan stanęła przed lustrem.

Jej obrysowane kajalem oczy majaczyły niewyraźnie pod maską. Bez swoich włosów, nosa, ust czy kształtu twarzy mogłaby być kimś zupełnie innym. Odprężyła się trochę.

– W porządku – powiedziała, biorąc kolejny głęboki oddech. Materiał tłumił jej głos, więc odgarnęła go, żeby móc mówić swobodnie. – W porządku. A przy okazji, skoro już mowa o rodzicach, to nigdy pani nie zgadnie, kogo wczoraj poznałam.

– Masz rację, nie zgadnę. Kogo?

– Charliego Elliota, najmłodszego syna Nathaniela, z którym się pani przyjaźniła. Przyjechał do Omanu z jakimś specjalnym szwadronem wojska, który ma pomóc pokonać buntowników. Niezwykłe, prawda? Ależ ten świat jest mały!

Joan przesunęła dłońmi po przodzie czarnej sukni, żeby wygładzić zmięty materiał. Dopiero po chwili zauważyła milczenie Maude i odwróciła się do niej.

Staruszka wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Joan знаła już to spojrzenie. Twarz Maude była nieruchoma, nie licząc dwóch plam czerwieni, które wykwitły jej na kościach policzkowych, przez co wyglądała, jakby dostała gorączki. Joan przykucnęła znów i położyła dłoń na ramieniu Maude, spoczywającym na podłokietniku jej ratanowego fotela.

– Dobrze się pani czuje, panno Vickery?

Maude zamrugła i spojrzała na nią, a Joan dostrzegła w jej oczach przeblask głębokich, intensywnych uczuć, graniczących z dzikością. Później badaczka opanowała się i rzuciła z typową dla siebie przenikliwością:

– Całkiem dobrze. Dlaczego miałoby być inaczej? – Odsunęła rękę. – Ten człowiek spłodził tyle potomstwa, że trudno się dziwić, wcześniej czy później któreś z jego dzieci musiało się tu pojawić.

– Tak, Charlie powiedział, że miał pięcioro rodzeństwa. Ale teraz został już tylko on i jego siostra. Pozostałych czterech braci nie żyje, ale nie udało mi się dowiedzieć, co się z nimi stało. Podejrzewam, że zginęli na wojnie.

– Mówisz, że czterech nie żyje? – upewniła się Maude tak cicho, że jej głos przerodził się niemal w szept.

– Tak, wszyscy jego starsi bracia. Co za straszliwa tragedia. – Joan podniosła się, nie wiedząc do końca, jak ma się zachować.

Maude przesunęła sobie dłonią przed oczami, przymykając je na moment, a jej pergaminowe powieki zdrząły. Joan zdziwił ten gest. Wydał jej się zaskakująco uniżony, jakby staruszka kapitulowała przed kimś albo uznawała czyjąś rację. Ale ta chwila minęła i Maude podniosła wzrok z miną równie

hardą jak zwykle.

– Cóż. Życie nigdy nie jest proste. No dobrze, jesteś gotowa? Abdullah odprowadzi cię do grobli, ale nie dalej. Jeśli w forcie go zauważą, nasz plan spali na panewce.

– Zrobię... zrobię co w mojej mocy, panno Vickery.

– Grzeczna dziewczynka. Postaraj się nie skończyć w areszcie, a kiedy go zobaczysz, przekaz mu... – Maude urwała z dziwnym westchnieniem, a Joan dopiero po chwili zorientowała się, że staruszce załamał się głos. Zerknęła w lustro, udając, że niczego nie zauważyła. Maude odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz. – Kiedy go zobaczysz, przekaz mu, że za nim tęsknimy i że robię, co mogę, żeby odzyskał wolność.

– Dobrze – odpowiedziała Joan, zastanawiając się, dlaczego Maude tak przejmowała się losem człowieka, którego nazwała jedynie synem swojego niewolnika; a raczej, dlaczego tak go nazwała, skoro najwyraźniej był dla niej kimś więcej.

Słońce paliło ramiona Joan przez czarny materiał; jej własny wilgotny oddech dławiał ją pod maską. Szła w milczeniu u boku Abdulla, a gdy zbliżali się do Rezydencji, za którą rozciągała się grobla prowadząca do Al-Dżalali, krew zaczęła jej głośniejsz szumieć w uszach. Nie śmiała podnieść wzroku na taras z obawy, że będzie tam Rory albo inna znajoma osoba, chociaż nie rozpoznaliby Joan w tym przebraniu. Poza tym sądzili, że jest wciąż u Maude i słucha jej opowieści, popijając herbatę. Prawie parsknęła śmiechem – stres i ekscytacja wezbrały w niej, uchodząc w postaci dziwnego, stłumionego jęku. Abdullah zatrzymał się w cieniu ostatniego budynku przed groblą.

– Zostanę tutaj – oznajmił.

Joan przełknęła ślinę i skinęła głową. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, ale wzięła od niego kosz z jedzeniem i pieniędzmi na łapówkę dla strażników.

– Dobrze – odpowiedziała drżącym tonem.

Abdullah spojrzał na nią, a chociaż wyraz jego oczu nie zmienił się ani na

chwilę, zadrżały mu kąciki ust.

– Spokojnie, panno Seabrook. Robi pani coś dobrego. Tych ludzi zamyka się po to, żeby cierpieli. Nie wiedzą, kiedy stąd wyjdą, nie dostają znikąd pomocy, nie mają jak się uwolnić, więc tracą nadzieję. Żyją i umierają zależni od kaprysów sułtana. Pani przyniesie naszemu Salimowi trochę nadziei.

– Rozumiem – odpowiedziała Joan. – Oby mi się udało.

Abdullah milczał przez chwilę, nieruchomy jak posąg.

– To dobry chłopak – dodał w końcu. – Dobry człowiek. Proszę mu powiedzieć, że modlimy się za niego. A teraz musi już pani iść. – Starzec cofnął się głębiej w cień i obserwował ją z tego miejsca.

Joan nie miała wyboru. Odwróciła się od niego i ruszyła w dalszą drogę sama.

Gdy szła groblą, oślepiały ją promienie słońca odbite w wodzie. Bryza była ciepła i słona. Joan poczuła, jak po plecach cieknie jej strużka potu. U stóp kamiennych stopni przystanąła i przesunęła wzrokiem po prostym, stromym wzniesieniu. Drzwi na szczycie były zamknięte. Przy wejściu siedzieli dwaj omanscy strażnicy z karabinami na kolanach. Obaj patrzyli w dół, obserwując ją z zaciekawieniem. Joan zaczęła się wspinać, dysząc tak mocno, że z wdechem wciągała materiał maski do ust, by z wydechem go wypuścić. Czuła za plecami czujną obecność Rezydencji, Pałacu Królewskiego i całego Maskatu. Miała wrażenie, że zaraz ktoś wykrzyknie jej imię, zatrzyma ją i skarci. Śmiałkowie, którzy łamali prawa sułtana, zdawali się na jego kapryśne poczucie sprawiedliwości – wymierzał surowe kary wedle własnego uznania, więc Joan mogła trafić w to samo miejsce, do którego zamierzała się włamać. Krok po kroku, z sercem w gardle, szła coraz wyżej i zanim się obejrzała, była już na górze. Stała zaskoczona przed strażnikami, ściskając w dłoniach koszyk. Mężczyźni wymienili spojrzenia, a potem przenieśli wzrok na nią. Zobaczyła, że to jeszcze chłopcy – nie mieli nawet zarostu. Wpatrywali się w nią bacznie, a na ich twarzach malowała się niecierpliwość typowa dla znudzonych młodych mężczyzn na całym świecie. Joan wyleciały z głowy

wszystkie instrukcje Maude; za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, co powinna teraz zrobić.

W końcu jeden ze strażników parsknął śmiechem.

– Salam alejkum – powiedział, a potem dodał coś szybko po arabsku.

Przyływ paniki zmusił Joan do działania. Wyciągnęła z koszyka list, który napisała dla niej Maude, i wymamrotała:

– Alejkum salam. – A potem uświadomiła sobie, że miała się przecież nie odzywać.

Strażnik zmarszczył brwi, słysząc jej akcent, ale wziął od niej list i przeczytał go. Kiwnął głową i z chrząknięciem przekazał kartkę towarzyszowi, a jego twarz znów przybrała wyraz znudzenia. Pokazał jej, żeby podeszła bliżej, i sięgnął po koszyk. Przejrzał przedmioty spakowane przez Maude i wyjął zwitek banknotów wsuniętych z boku. Pieniądze zniknęły w jednej z jego kieszeni tak szybko, że Joan prawie tego nie zauważyła. Później wstał i walnął w drzwi, mówiąc coś jeszcze, czego nie zrozumiała. Rozległ się szcęk i zgrzyt odsuwanych rygli, a więzienie stanęło przed nią otworem. Joan minęła pośpiesznie strażników i weszła do twierdzy, wstrzymując oddech.

Wewnątrz musiała natychmiast przystanąć – po przejściu z ostrego światła w mrok przestała na chwilę cokolwiek widzieć. Drzwi zamknęły się za nią i poczuła ostry fetor, od którego zrobiło jej się niedobrze. Uniosła dłoń, żeby zakryć nos i usta, i na chwilę zdezorientował ją materiał maski, który poczuła pod palcami. Usłyszała za sobą czyjś chichot, więc odwróciła się gwałtownie. W holu siedzieli dwaj kolejni wartownicy. Byli Brytyjczykami i mieli na głowach czerwone berety szkockie, charakterystyczne dla pułku w Maskacie. Na ich widok Joan prawie krzyknęła ze strachu.

– Nieżle capi, co, kotku? – zagadnął jeden z nich, pulchny mężczyzna z rudymi wąsami, po czym obaj uśmiechnęli się smętnie. Joan zrobiła drżący krok w tył i odwróciła się od nich, przekonana, że mimo jej przebrania i maski odgadną, kim jest. – Jeśli któryś z nich będzie ci się naprzykrzał, po prostu

wrzaśnij – dodał ten sam strażnik.

Joan ruszyła chwiejnie korytarzem i weszła po schodach nieco wyżej na skalistą wychodnię twierdzy. Uznała za dobry znak, że strażnicy nie przywołują jej z powrotem. W środku było chłodniej; kiedy skręciła za róg i zniknęła rodakom z pola widzenia, zatrzymała się i oparła plecami o ścianę, czekając, aż serce przestanie jej łomotać w piersi. Była w forcie Al-Dżalali. Z ulgi aż zakręciło jej się w głowie, a twarz skrytą pod maską rozjaśnił uśmiech.

Kiedy oderwała plecy od ściany, zauważyła, że stoi naprzeciwko drzwi, za którymi ciągnie się długa sala, przywodząca na myśl sypialnię w internacie szkolnym. Maude mówiła, że w forcie osadzonych jest niemal stu więźniów, z których większość tkwi w takich wspólnych, pozbawionych wygód celach. Do nielicznych uprzywilejowanych wyjątków zaliczał się stryj sułtana Sa'ida, wtrącony do twierdzy za pijaństwo i przynoszenie wstydu rodzinie. Tacy więźniowie nie byli skrupowani łańcuchami; w ich prywatnych celach stały łóżka i mieli do dyspozycji własnych kucharzy. Zdaniem Maude Salim najprawdopodobniej siedział w drugiej wspólnej celi.

Mijając pierwszą, Joan zerknęła do środka. Zobaczyła mniej więcej dwudziestu pięciu mężczyzn w brudnych, podartych ubraniach, którzy siedzieli albo leżeli z kostkami przykutymi do ciężkiej żelaznej sztaby i dłońmi, przymocowanymi do niej za pomocą łańcuchów. W pomieszczeniu nie było materacy ani żadnych mebli. Wszędzie latały muchy, a światło wpadało przez okna umieszczone zbyt wysoko, żeby przez nie wyjrzeć. Metalowe łańcuchy grzechotały i zgrzytały na kamiennej podłodze. Niektórzy więźniowie rozmawiali albo grali w kości, słóczeni w grupki, ale wielu siedziało po prostu w ciszy, opierając się plecami o mur. Z ich bezczynności biła rozpacz, a Joan zrobiło się wstyd, że na nich patrzy. Minęła tę celę i weszła po schodach na następny poziom twierdzy. Były tam inne pomieszczenia, niewielkie cele i stopnie, prowadzące w różnych kierunkach. Ona szła jednak prosto przed siebie i wkrótce stanęła przed kolejną długą salą. Wzięła wolny

oddech, żeby się uspokoić, a potem weszła do środka.

Druga duża cela przypominała pierwszą – też zajmowało ją dwudziestu albo trzydziestu mężczyzn. Joan rozejrzała się i z ulgą stwierdziła, że nie było wśród nich strażników. Zaczęła szukać kogoś, kto odpowiadałby opisowi, jaki usłyszała od Maude. Salim miał być przystojnym, wysokim mężczyzną po czterdziestce z długimi ciemnymi włosami i delikatnymi rysami. Siedzący niedaleko niej więzień obserwował ją uważnie. Po kilku sekundach wstał sztywno, pociągnął za skórzany pasek, żeby podnieść żelazną sztabę, która leżała mu między kostkami i podszedł bliżej, szurając nogami po ziemi. Z wychudzonej, zapadniętej twarzy wyzierały szkliste oczy. Joan nie zrozumiała go, kiedy się odezwał, ukazując brudne połamane zęby. Gdy nie odpowiedziała, zagadnął ją jeszcze raz i wtedy rozpoznała słowo, które powtarzał bez przerwy. *Ma. Woda.* Pokręciła głową.

– Salim ibn Shahin? – zapytała z nadzieją, że wymawia to imię właściwie.

Z mężczyzny jakby uszło powietrze; blask w jego oczach zgasł, zastąpiony urazą i gniewem.

Wskazał niedbale drugi koniec sali, a potem wrócił na swoje miejsce przy ścianie, z brzękiem opuszczając sztabę. Joan spuściła oczy i przeszła szybko w wyznaczonym kierunku. Zastała tam szczupłego, muskularnego mężczyznę z czarnymi włosami przetykanymi siwymi pasmami. Miał wąską kwadratową szczękę, długi nos, ciemnobrązowe oczy, czarne brwi i rzadką brodę bez śladu siwizny. Był ogorzały od słońca i wiatru, a czoło znaczyły mu głębokie zmarszczki. Pasował do opisu Maude. Widząc jego uważne, inteligentne spojrzenie, Joan podeszła bliżej i przykucnęła przed nim.

– Szukam Salima ibn Shahina – wyszeptała tak, żeby tylko on mógł ją usłyszeć.

Na dźwięk jej głosu i angielskich słów mężczyzna wytrzeszczył oczy. Pochylił się w jej stronę skwapliwie, płonąąc z ciekawości.

– I go znalazłaś – odpowiedział. Wpatrywał się w nią z krępującą natarczywością. – Kim jesteś?

– Jestem... Nazywam się Joan Seabrook. Przysłała mnie Maude Vickery. Kazała ci to przekazać. – Wyciągnęła kosz, ale Salim to zignorował. Rozmawiali ściszymi głosami, żeby nikt ich nie podsłuchał.

– Ty... jesteś Angielką? Dlaczego przysłaś do fortu? Jeśli cię przyłapią...

– Nie mogą mnie przyłapać – syknęła przerażona Joan.

Salim zerknął w stronę drzwi ponad jej ramieniem, a potem przeniósł wzrok z powrotem na nią, kiwając głową z niedowierzaniem.

– Dziękuję, że przysłaś. Dziękuję, że podjęłaś dla mnie takie ryzyko.

Joan nie odpowiedziała; prawdę mówiąc, to nie dla niego tam przysłała. Chodziło raczej o to, żeby nie rozczarować Maude i zakraść się do Al-Dżalali. O to, żeby wreszcie zacząć działać.

– Ale kim jesteś dla Maude? Co robisz w Maskacie?

– Jestem jej... przyjaciółką. Przyjaźnimy się. – Joan zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Czuła, że zaczyna rozumieć Maude, ale nadal zdarzały się momenty, kiedy wydawała się jej tajemnicza i nieodgadniona. – Odwiedzam w Maskacie brata, jest oficerem w armii. – Salim słuchał jej ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Sułtan Sa'id pozwala teraz żołnierzom przyjmować rodzinę?

– Nie do końca. Mam pewne... znajomości. Mieszkam w Rezydencji.

– Przydatne znajomości. – Salimowi drgnęły brwi. – Mimo wszystko przychodząc tu, bardzo się narażasz. Gdyby to się wydało, nie wiadomo, czy znajomości by ci pomogły. Zastanawiam się, czy Maude cię o tym uprzedziła – powiedział cicho w zamyśleniu.

– Tak, zdaję sobie sprawę z ryzyka i...

– W porządku, skoro tak twierdzisz. – Przyglądał się Joan przez chwilę. Przesuwał wzrokiem po zasłoniętej twarzy dziewczyny, a potem znów skupił się na jej jedynej widocznej części. Uśmiechnął się. – Umalowałaś oczy jak Beduinka. Można cię wziąć za Arabkę. To znaczy, dopóki się nie odezwiesz. Na szczęście nie masz niebieskich oczu. – Salim mówił po angielsku doskonale, choć z gardłowym omańskim akcentem.

– Miałam ci przekazać, że modlą się za ciebie. To znaczy, że Abdullah się za ciebie modli. A panna Vickery robi wszystko, co może, żebyś odzyskał wolność. – Salim rozważał jej słowa w milczeniu. Przesunął dłonią po podbródku, zwracając twarz ku światłu. Pod grubą warstwą potu i brudu jego skóra była ciemnobrązowa. – Może zamierza wykorzystać swoje wpływy u sułtana, żeby ci pomóc? – podsunęła Joan.

Salim pokręcił głową, marszcząc brwi.

– Nie ma u niego żadnych wpływów. Może poprzedni trochę się z nią liczyli, ale nie ten. Nie rozumiem, jak mogłaby mi pomóc... – Przez jego twarz przemknął cień rozpacz. – I może wcale nie powinna. Każdy człowiek ma swój los.

– Więc... przyznajesz się do swojego przestępstwa?

– Mojego przestępstwa? – Uśmiechnął się z goryczą. – Moim przestępstwem było to, że kocham swój naród i nie mogę patrzeć, jak sułtan Sa'id utrzymuje go w pętach przeszłości, podporządkowując nas obcym mocarstwom. Moim przestępstwem było pragnienie, żeby nasze dzieci chodziły do szkoły, a nasi chorzy mogli wyzdrowieć. Pragnienie, żebyśmy dołączyli do reszty świata w tym stuleciu, zamiast trwać samotnie w poprzednim. – Nieświadomie podniósł głos, ściągając na nich wzrok siedzących w pobliżu więźniów. Oczy rozbłysły mu strachem. Sięgnął po koszyk, grzebał w nim przez chwilę, a potem wyciągnął garść daktyli i migdałów, które rzucił sąsiadom. Chwycili je łapczywie, szczerząc zęby w uśmiechu. – Moim przestępstwem było to, że protestowałem, kiedy sułtan ogłosił fałszywą suwerenność interioru tylko po to, żeby móc zagarnąć naszą ropę i sprzedać ją swoim brytyjskim przyjaciołom. Jego władza nigdy nie obowiązywała na pustyni i w górach. Twierdzi, że ropa to kwestia zagraniczna, więc należy do jego kompetencji; ale czarna krew pustyni to nasza wewnętrzna sprawa. Kieruje nim chciwość.

Joan milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Sądziła, że buntownicy imama to garstka zagubionych ludzi, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą myśleć o sobie inaczej i mieć słuszne powody, żeby kwestionować rządy sułtana.

– Widzisz tego mężczyznę pod ścianą naprzeciwko? – zapytał cicho Salim. Joan zerknęła przez salę na opartego o mur więźnia, któremu ogromny brzuch wylewał się na uda. – To oszust, pijak i agresywny bydlak, który pobił żonę prawie na śmierć za to, że przypaliła mu kolację. Spędzi tu trzy lata i będzie wolny. A ja? Za to, że chciałem dla Omańczyków tego, co najlepsze, mogę gnąć w tym więzieniu do śmierci. Trudno zaakceptować taki los. – Jego głos ucichł do nerwowego szeptu.

– Musi być jakiś sposób! Nie możesz tracić nadziei!

– Łatwo powiedzieć, kiedy samemu jest się wolnym. – Salim zajrzał znów do koszyka i wyciągnął butelkę wody. Zerknął ukradkiem na innych więźniów, a potem wypił połowę duszkiem. – Bóg jest łaskawy – powiedział po arabsku, wzdychając i zamykając oczy. – Sayid Shahab, gubernator Maskatu, lubi, kiedy cierpimy. Mówi, że zasługujemy na to za nasze przestępstwa. Nie wystarcza mu, że odebrano nam wolność i godność, więc pilnuje, żebyśmy dostawali też za mało wody. Każdy z tych mężczyzn jest na wpół obłąkany z pragnienia.

– To odrażające!

– Ale to prawda. – Wyjął paczkę podpłomyków i zaczął odrywać z nich pasma, które wkładał złożone do ust. – Przez to słabniemy i tracimy rozum. – Przetraszał dalej koszyk, marszcząc brwi, a potem spojrzał na Joan. – Nie ma żadnego listu? Żadnych instrukcji ani informacji?

– Przykro mi... to wszystko, co od niej dostałam. – Sfrustrowany Salim oparł się o ścianę, pozwalając, żeby jego głowa uderzyła o kamień. – Może ma jakiś plan, Salimie... moja wizyta miała ci przynieść nadzieję; tego pragnęli Maude i Abdullah.

– Czy mój ojciec dobrze się czuje?

– Tak – potwierdziła Joan. Salim nie był podobny do starego niewolnika, więc uznała, że jego matka musiała być Omarką. – Tak, wydaje się silny. Na początku się go bałam, bo jest bardzo... poważny. I niewzruszony. Ale chyba już mnie zaakceptował. – Umilkła, zastanawiając się, czy nie wyraziła się zbyt swobodnie o członku rodziny Salima. Uświadomiła sobie, że to przez maskę.

Wyzwoliła ją od ograniczeń, narzucanych przez zasady savoir-vivre'u.

– W dzieciństwie nie lubiłem go denerwować, bo wiedziałem, jak na mnie spojrzy. Ale jeśli Maude cię zaakceptowała, to i on to zrobi. Tak już z nimi jest.

W tym momencie na korytarzu rozległy się kroki, a do środka wszedł nieśpiesznym krokiem gruby mężczyzna o nieprzyjemnej żabiej twarzy. Był w towarzystwie umundurowanego oficera i szczupłego chłopca w drelichach koloru khaki. Joan zerknęła na nich przez ramię i nagle miała wrażenie, że całe powietrze uchodzi jej z płuc. Chociaż klęczała przed Salimem, zachwiała się i straciła równowagę, siadając na ziemi gwałtownym ruchem. Oficerem w sali był pułkownik Singer.

– Co się stało? – zapytał szeptem Salim. Nie dotknął Joan, żeby pomóc jej wstać; było to zakazane. – Znasz pułkownika? A co ważniejsze, czy on zna ciebie? – Joan skinęła leciutko głową. – Spokojnie. Nic nie mów. On cię nie widzi.

Joan z trudem łąpała oddech. Znów miała poczucie, że dusi się pod maską na twarzy. Nie mogła nabrać wystarczająco dużo powietrza; krew huczała jej w głowie.

– Joan! Nie ruszaj się! – syknął Salim.

– Doprawdy, skoro mężczyźni muszą być skuci w ten sposób, skoro nie mogą mieć łóżek ani materacy, to powinni przynajmniej dostawać wodę, kiedy chcą – powiedział Singer.

Chłopak obok niego przetłumaczył jego słowa, a gruby mężczyzna wzruszył ramionami i odpowiedział bezbarwnym, wrogim tonem.

– Mówi, że więźniów trzeba ukarać – wyjaśnił młody żołnierz. – Mówi, że nie są tutaj po to, żeby się z nimi cackać jak z dziećmi.

Singer pokręcił lekko głową i burknął:

– Będę musiał wrócić do tego tematu z Shahabem. Nie tłumacz tego. To cholerne barbarzyństwo.

Troje przybyszów skierowało się ku wyjściu. Pułkownik szedł z dłońmi

splecionymi na plecach, przesuając po celi spojrzeniem, dopóki nie padło na Joan. Ich oczy spotkały się, a dziewczyna przez sekundę nie była w stanie odwrócić wzroku ani oddychać. Potem spuściła głowę i przekręciła ją w bok w nadziei, że Singer uzna to za przejaw skromności. W duchu modliła się, żeby nic go już nie zatrzymało w celi.

– Już po wszystkim, Joan. Wyszedł – powiedział Salim. – I chyba lepiej, żebyś ty też już poszła. Widziałem, jak Ropuch patrzy na ciebie ze zdziwieniem. Jeśli zostaniesz zbyt długo, będą kłopoty. Zabierz ze sobą koszyk. – Wyciągnął resztkę jedzenia i kilka czystych ubrań. – Poproś ją, żeby następnym razem spakowała więcej wody. Jest bardzo potrzebna, a mam tu kilku przyjaciół, z którymi chciałbym się nią podzielić. Tylko musisz odczekać przynajmniej kilka dni, zanim wrócisz; inaczej zwrócą na ciebie uwagę i mogą cię nie wpuścić.

– Następnym razem? – powtórzyła Joan.

Czuła się wyczerpana; wizyta w forcie kosztowała ją tyle nerwów i strachu, że całkiem opadła z sił, a widok pułkownika Singera to już było stanowczo zbyt wiele. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, była przekonana, że ją rozpozna. Przycisnęła dłonie do spoconej twarzy, osuszając skórę o materiał.

– Nie rób tak. Arabka nigdy by tak nie zrobiła. – Salim pochylił się znów w jej stronę, rozejrzał się ukradkiem, a potem chwycił ją za dłoń obiema rękami. Poczuła jego twardą, zrogowaciałą skórę. Była sucha i chłodna. We wzroku mężczyzny pojawił się cień bezradności, żarliwa desperacja, której nie potrafił do końca stłumić. – Przyjdiesz jeszcze? Proszę?

– Och... nie wiem, czy będę mogła.

Joan nie umiała spojrzeć mu w oczy. Od panującego w celi fetoru piekły ją zatoki; słyszała wokół siebie bzyczenie much. Niczego nie pragnęła bardziej niż uwolnić się od tego miejsca i jego spragnionych, pozbawionych nadziei mieszkańców. Nienawidziła się za to tchórzostwo. Spróbowała wyobrazić sobie życie ze świadomością, że nigdy nie wydobędzie się na zewnątrz. Nie miała prawa się bać.

- W porządku. Zgoda. Postaram się jeszcze przyjść – obiecała.
Salim odprężył się; puścił jej dłoń i skinął głową.
- Jesteś odważna. Zawsze będę ci wdzięczny za to, że tu przyszałaś. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł jakoś się odwzajemnić.
- Nie jestem odważna. – Joan z trudem przełknęła ślinę. Marzyła o łyku wody. – Chcesz im coś przekazać? Maude i swojemu ojcu?
- Oczy Salima zasnuł smutek.
- Pozdrów ich i podziękuj im ode mnie. Powiedz, że staram się zaakceptować swój los. Że są w moich modlitwach i że modlę się o to, żeby ich niedługo zobaczyć – odpowiedział cicho.
- Powiem im.

Pułkownik Singer rozmawiał w holu ze strażnikiem, nie kryjąc niezadowolenia. W drodze do wyjścia Joan musiała go minąć na tyle blisko, że poczuła zapach jego płynu po goleniu. Tak mocno zaciskała palce na ręczce koszyka, że zbieleły jej kostki.

– Jak rozumiem, dysydemtom można przynajmniej coś przynieść – mruknął pułkownik, kiedy przeszła obok. – Ale co z resztą tych nieszczęśników?

Mężczyzna z rudymi wąsami otworzył przed nią bramę, a ona wzdrygnęła się, wychodząc na oślepiającą jasność. Ruszyła niepewnie w stronę stopni. W połowie schodów przystanęła, podziwiając widok – nieprawdopodobnie intensywny błękit morza i nieba oraz brąz i biel budynków w Maskacie, okalających zatokę. Wysoko nad jej głową krążyły dwa orły. Podmuch wiatru załopotał szatą i zasłoną Joan, a pod materiał dostało się trochę powietrza. Poczowała, jak chłodzi jej skórę. Wzięła głęboki wdech, a przy wydechu parsknęła śmiechem z niedowierzaniem: udało jej się, dotarła w miejsce, które widziało niewielu ludzi Zachodu, włożyła przebranie i złamała wszelkie zasady, a potem bez żadnych problemów wyszła na zewnątrz.

Wprawdzie zrobiła coś niezgodnego z prawem, ale gdy przypomniała sobie łapczywość, z jaką Salim pił wodę, doszła do wniosku, że to, co nielegalne, nie zawsze bywa niesłuszne. Ogarnęła ją euforia. Czowała się niezwyciężona,

miała wrażenie, że mogłaby rozłożyć ramiona i poszybować nad miastem. Pośpiesznie pokonała resztę stopni, podbiegła do budynku, przy którym czekał Abdullah, i impulsywnie zarzuciła mu ręce na szyję z radości.

Gdy wrócili, Maude zasypywała ją niecierpliwymi pytaniami, dopóki Joan nie opisała w najdrobniejszych szczegółach swojej rozmowy z Salimem, jego zachowania i warunków, w jakich go zastała. W końcu usatysfakcjonowana Maude opadła na oparcie fotela z westchnieniem.

– Ach, ta cholerna muzułmańska wiara w przeznaczenie i wolę Boga! Każdy jest kowalem własnego losu, zawsze mu to powtarzałam. No cóż. Dziękuję, Joan. Może po Abdullahu tego nie widać, ale jest zrozpaczony, że Salim trafił do więzienia. Uważał, że nie powinnam cię prosić o tę przysługę, ale teraz nie posiada się z radości, że to zrobiłam.

– Nie posiada się z radości? – powtórzyła Joan z powątpiewaniem. – Jest pani pewna?

– O tak. Służę u mnie tak długo, że umiem to rozpoznać, i możesz mi wierzyć, że Abdullah jest w tej chwili cały w skowronkach.

Gdy to mówiła, niewolnik wniósł do pokoju tacę z herbatą. Jego twarz była równie poważna i nieprzenikniona jak zawsze, a Joan nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Wydaje mi się, że i pani zależy na Salimie – zauważyła. – Co się stało z jego matką?

– Co się stało? – Maude wzruszyła ramionami, strzepując sobie okruchy z kolan. – Umarła. Dlatego Abdullah wychował go tu, w moim domu.

– Aha. Powiedziałam Salimowi, że jeszcze go odwiedzę. Oczywiście, jeśli pani będzie tego chciała. Prosił, żeby napisała pani do niego list i przekazała mu, co się dzieje. Chyba bardzo się ucieszył z gościa.

Maude przez jakiś czas wyglądała przez okno, a później znów westchnęła.

– Nie mogę o to prosić nikogo innego, rozumiesz? Nikomu innemu nie ufam i nikt inny nie ma dość rozumu, żeby na cokolwiek się przydać. Ale to dla ciebie ryzyko. Nie mogę żądać, żebyś poszła tam jeszcze raz – powiedziała.

Jeden z chartów wstał i przeciągnął się z cichym pomrukiem. Joan wyciągnęła dłoń, żeby mógł ją powąchać, ale odwrócił się i położył z powrotem na posłaniu. Pomyślała o Salimie: o tym, z jaką godnością znosi cierpienie i niewygodę, chociaż rozpacz kąsa go po piętach jak głodny pies. Przypomniała sobie uczucie, które ogarnęło ją po wyjściu z Al-Dżalali, gdy miała wrażenie, że może wszystko, nawet latać. Jeszcze się z niego nie otrząsnęła i zaczęła się zastanawiać, czy nie nosiła go w sobie przez cały czas, skoro była zdolna do takiego czynu, skoro wtedy ważne było tylko to, żeby postąpić słusznie, nie przejmując się strachem czy niepokojem. Nie mogła uwierzyć, że było jeszcze przed lunchem; czuła się tak, jakby od chwili, kiedy się obudziła, minęło wiele dni.

– Przecież pani mnie o to nie prosi – sprostowała. – Sama się zaoferowałam.

Następnego popołudnia Joan i Rory wynajęli na nabrzeżu łódź przypominającą canoe. Towarzyszyła im para służących pełniących funkcję pomocników i przyzwoitek. Popłynęli wzdłuż brzegu na zachód, do miejsca na cyplu, gdzie wśród głazów kryła się piaszczysta plaża. Linie przyływu wyznaczało grube pasmo muszli i połamanych koralii; głębiej między skałami tkwiły chatki rybackie z beczek po ropie, liści palmowych, suszonych cegieł i kawałków koralii. Kilka małych łodzi rybackich wracało z połowu, a kołujące nad nimi mewy wypełniały powietrze trzepotem białych skrzydeł i kłótliwym pokrzykiwaniem. Mężczyźni pracowali spokojnie, ignorując ptaki; liny w ich rękach przypominały ścięgna.

Łódź wysadziła pasażerów w rogu zatoczki obok skalnej wychodni. Rzuciła cień, w którym można było ustawić leżaki, i zapewniała dość prywatności, żeby Joan mogła pływać i opalać się, nie wywołując większego poruszenia. Na jednoczęściowy kostium włożyła luźne bawełniane spodnie i koszulę, a włosy ukryła pod szalem na głowie. Rory szukał na skałach miejsca, z którego będzie mógł zanurkować, a na tle otaczającego ich błękitu i brązu jego skóra nabrała mlecznobiałego połysku. Po chwili wynurzył się uśmiechnięty, wypuszczając ze świstem powietrze i strzepując z twarzy mokre

kosmyki.

Joan wypłynęła nieco dalej, a potem unosiła się w wodzie, obserwując spod przymrużonych powiek odległą bryłę Al-Dżabal al-Achdar. Góra zdawała się błyszczyć w rozedrganym upałem powietrzu. Joan nie mogła oderwać od niej wzroku. Żaden człowiek Zachodu nie wszedł na jej zakazany, tajemniczy szczyt; ludzie tracili życie, usiłując się na niego wspiąć. Zaczęła się zastanawiać, kto pierwszy tam dotrze, Daniel czy Charlie Elliot – pionierzy mimo woli. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie i potrzebowała chwili, żeby się zorientować, że zazdrości im tej szansy. To było niedorzeczne; w końcu wiedziała, że żołnierzom grozi realne, śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale mogli stanąć na niezdobytym dotąd płaskowyzu, nie zdając sobie nawet sprawy, jakiego dostąpili zaszczytu; mogli zapomnieć o tym, żeby się rozejrzeć i zachwycić widokiem.

Spojrzała w dół, gdzie dno morskie zmieniało kształty i kolory, przechodząc od ciemnego granatu w lazurowy błękit; jej stopy wydawały się przy nim świetliście białe, roziskrzane promieniami słońca. Rory podpłynął do niej.

– Robert wspominał niedawno, że w morzu jest mnóstwo starych armat i fragmentów statków, pozostałości po rozmaitych inwazjach i wojnach. Może jednak będziesz miała szansę na badania archeologiczne, wystarczy, że załatwimy ci rurkę do nurkowania – powiedział. – Albo akwalung. – Słońce skrzyło mu się na mokrej twarzy.

– Może. Chociaż wraki statków średnio mnie interesują – przyznała Joan. Odwróciła się na plecy i położyła na wodzie. – Jak cudownie. Myślisz, że są tu rekiny?

– Wreszcie zaczynam się czuć jak na wakacjach – stwierdził Rory. – I tak, są tu rekiny. Ale te niebezpieczne trzymają się dalej od brzegu.

– Ty panikarzu, pytałeś o nie Roberta, przyznaj się!

– Oczywiście. Nie chciałem ryzykować, że zjedzą mi narzeczoną. – Skóra na ramionach Rory’ego zaróżowiła się i zaczynała brązowieć. – Mogliśmy tu przypląć dużo wcześniej, gdybyś nie poświęcała tyle czasu na wizyty

u Maude Vickery.

– No wiesz – zachnęła się Joan. – Zaprzyjaźniłam się z nią.

– Z tego co mówi Robert, to nie lada wyczyn. Ale nie ma co się dziwić, w końcu jesteś urocza.

Opływał ją wolno, a woda, która pluskała jej w uszach, chwilami tłumiła jego głos. Joan pozwoliła sobie na chwilę dumy, że nie poddała się i przekonała do siebie Maude.

Zza cypla widać było skraj przystani w Maskacie, a za nią najdalszą wieżę Al-Dżalali. Joan pomyślała o spragnionym, skutym łańcuchami Salimie, który nie wiedział, czy i kiedy zobaczy znów niebo. Korciło ją, żeby opowiedzieć Rory'emu, gdzie była i czego dokonała; miała to na końcu języka, odkąd wróciła do Rezydencji. Wtedy wyprawa, która zaczęła już wydawać się jej snem, znów stałaby się rzeczywistością. Wiedziała, że nikt nawet by jej o nie podejrzewał o coś takiego. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że może narazić się na kłopoty, złamać reguły, wtargnąć w zakazane miejsce. Przecież biedna Joanie jest kłębkim nerwów. Sama się tego po sobie nie spodziewała. Jej sekret drażnił ją jak swędzące miejsce, które ma się ochotę podrapać, ale milczała. Nie dlatego, że obiecała dochować tajemnicy. Po prostu gdyby powiedziała Rory'emu, na pewno w jakiś sposób powstrzymałby ją przed powrotem do Al-Dżalali. Bałby się o nią; rozumiałby, jakie niebezpieczeństwo groziłoby jej ze strony więźniów, strażników i władz, gdyby została zdemaskowana. Wyobraziła sobie, jak strofuje Maude, jak rozmawia z Robertem, Danielem, może nawet z pułkownikiem Singerem. Wyobraziła sobie, jak prowadzi ją, okrytą hańbą, na statek do Anglii. Nie umiała dokładnie przewidzieć, co by się stało, gdyby mu o tym powiedziała, ale była przekonana, że nie mogłaby już tam wrócić. A ona chciała tam wrócić. Jej lęk nie zniknął, ale teraz miała pewność, że jest w stanie wejść do więzienia i z niego wyjść, nie ujawniając swojej tożsamości. Już raz jej się udało, więc udałoby się i drugi. „Wiedziałam, że dam radę to zrobić, więc to zrobiłam”. Nie miała wątpliwości, że na jej miejscu Daniel postąpiłby tak samo. Ani on,

ani ich ojciec by się nie przestraszył.

Poczuła, jak mokra skóra Rory'ego muska jej ciało.

– O czym wy właściwie rozmawiacie? Opowiada ci swoje historie wojenne i pokazuje blizny z pola bitwy? – zapytał. – Przesiadujesz u niej całymi godzinami. Dan na pewno uznał, że o nim zapomniałaś.

– Nie mów tak! Wcale o nim nie zapomniałam. A poza tym on ma tu zadanie do wykonania. Nie mogę go ciągle nachodzić, sam mnie o tym uprzedzał. A z Maude po prostu rozmawiamy. Ciężko wytłumaczyć, o czym się rozmawia z przyjaciółką. – Joan przekręciła się w wodzie, żeby unosić się w wyprostowanej pozycji. Uświadomiła sobie, że to raczej Rory czuł się zaniedbywany i zapomniany. – Chyba ci nie przeszkadza, że tam chodzę?

– Nie. Naprawdę nie. Tylko chyba trochę się bez ciebie nudzę, to wszystko. Gdybyś czasem zabrała mnie ze sobą, żebyśmy też mógł ją poznać, przestałbym myśleć, że odstawiałaś mnie na boczny tor.

– Poznasz ją, oczywiście, że ją poznasz. Ale nudziłbyś się jeszcze bardziej, gdybyś chodził ze mną za każdym razem – odpowiedziała szybko, zaskoczona tym, jak łatwo przyszło jej kłamstwo. – Tak naprawdę, to głównie... plotkujemy.

– Aha. Czyli niewiele tracę, tak? – upewnił się Rory.

To był idealny moment, żeby mu powiedzieć, że zrobiła coś niesamowitego i zakazanego. Nastąpiło długie milczenie. Joan zdołała utrzymać język za zębami i poczuła ulgę.

– Niespecjalnie. Przypomnę jej, że chcesz ją poznać. Może zaproponuję, żeby wpadła do nas na kolację? Chodź, wracajmy na brzeg i bierzmy się za piknik. Umieram z głodu.

– Przewiduję, że będą podpłomyki – rzucił Rory.

Joan zaśmiała się, ale płynąc obok niego w krystalicznie czystej wodzie, zauważyła, że jej milczenie wprowadziło między nich jakiś dystans, barierę, której nigdy wcześniej tam nie było.

Urządzali sobie następne wycieczki łodziami, wypływając w górę i w dół

wybrzeża najdalej, jak to było możliwe. Spacerowali ulicami Maskatu i Matrahu, chociaż Joan miała zakaz wstępu do suków i meczetów. Wybierali się na krótkie wspinaczki po stromych skałach na obu krańcach Maskatu, skąd zdyszani podziwiali widoki i nieliczne ptaki, które udawało im się dojrzeć: turkawki i popielate orły stepowe; czarno-żółte gwarki oraz wróble, wyglądające dokładnie tak samo jak ich angielskie odpowiedniki, tylko mniejsze i chudsze, dostosowane do pustynnego klimatu. Raz zobaczyli czarno-białego ścierwnika, który krążył nad brzegiem, oszałamiając ich swoim rozmiarem i gracją.

Oprócz tego między wizytami u Maude albo w Bait al-Faladż Joan większość czasu spędzała na tarasie Rezydencji, pisząc listy i czytając. Czekala z niecierpliwością na każde spotkanie z wielką podróżniczką, ale kiedy pukała do jej drzwi, nie zawsze się otwierały. Czasem słyszała dobiegające z wnętrza odgłosy rozmowy po arabsku Abdullaha z innym mężczyzną. Czasem mijała się przed domem Maude z kimś, kto właśnie wychodził z płócienną torbą albo zawiniątkiem w dłoniach.

Skłaniała przed nimi uprzejmie głowę, chociaż oni zazwyczaj rzucali jej gniewne spojrzenia albo obserwowali ją podejrzliwie, gdy podchodziła do drzwi. Jeśli rano została odprawiona z kwitkiem, wracała po południu i za każdym razem pytała o następną wizytę w Al-Dżalali. Maude sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała, próbując wybrać sprzyjający moment – ale nigdy nie wyjaśniła, na czym miałyby polegać. O zachodzie słońca, gdy generatory w mieście zaczynały szumieć i dudnić, światło przybierało barwę sorbetu pomarańczowego. Joan znała ją już doskonale, ale zasięg jej podróży po Omanie pozostawał jasno ograniczony.

Któregoś piątku Maude wreszcie uznała, że chce wyjść na zewnątrz. Przez dłuższą chwilę panowało zamieszanie i chaotyczne poszukiwania odpowiedniego żakietu oraz kapelusza. Potem Joan i Abdullah ostrożnie znieśli po schodach najpierw fotel inwalidzki, a następnie staruszkę. Jasne charty obudziły się i szły krok w krok za Abdullahem. Sierść wokół pyska

miały niemal białą; przez skórę sterczały im kości. Ich wiek był teraz dużo bardziej oczywisty, niż kiedy spały, zwinięte na posłaniu. Maude narzekała nieprzerwanie, dopóki z kapeluszem upiętym dla bezpieczeństwa szpilkami nie znalazła się z powrotem w swoim fotelu. Abdullah wydawał kojące pomruki i przemawiał do niej łagodnie po arabsku, ani razu nie okazując jej zniecierpliwienia. Joan uświadomiła sobie, że pod pewnymi względami przypominają stare małżeństwo. Wzdrygnęła się ze wstydu na wspomnienie, jak wyjaśniała Abdullahowi, co ma zrobić, żeby zyskać wolność.

Przeszli przez bramy miasta i ruszyli w dół, w stronę morza. Abdullah pchał fotel Maude, a Joan szła obok nich z chartami. Początkowo staruszka milczała, rozglądając się wokół, a później prychnęła.

– Wiesz, to miejsce wygląda prawie tak samo, jak gdy przyjechałam tu po raz pierwszy – orzekła.

– Nic dziwnego – odparła Joan. – Chyba nie zmieniło się specjalnie przez ostatnich sto lat.

– Jest trochę więcej budynków i kabli elektrycznych. Zakładam, że część z nich to kable telefoniczne. – Z dezaprobatą machnęła dłonią w kierunku nieba.

Idąc, przyciągali zaciekawione spojrzenia sklepikarzy i przechodniów; gospodyń domowych z zasłoniętymi twarzami i służących, mężczyzn prowadzących objuczone osły albo idących blisko siebie i zatopionych w rozmowie. – Podjechałam pod bramę na swoim wielbłądzie, spodziewając się niemal, że... Widzisz, sądziłam, że ktoś mnie zauważy i... i powiadomi wezyra. Ale jeszcze nie wiedziałam... nie zdawałam sobie sprawy...

– Że... pokonał panią Nathaniel Elliot? – dokończyła Joan ostrożnie.

Maude nie odzywała się przez jakiś czas.

– Dużo bardziej interesowała ich moja wielbłądzica, wiesz? Ha! – zachnęła się. – Z drugiej strony, to była piękność. Biała wielbłądzica z wybrzeża Batinah; stamtąd pochodzą wszystkie najlepsze zwierzęta: są wysokie, mają długie nogi i uroczą białą sierść. Widzisz, dla Araba dobry wielbłąd jest

piękniejszy i cenniejszy niż dobry koń. Chociaż to nie na niej przemierzyłam pustynię, tamta wielbłądzica nazywała się Karzełek. Biedny Karzełek. Kiedy dojechaliśmy do Maskatu, byliśmy u kresu sił. Dwa i pół dnia wcześniej skończyła nam się woda.

– Mój Boże! Nie sądziłam, że tak niewiele brakowało do tragedii.

Gdy dotarli na skraj wody, stanęli, żeby popatrzeć na mury po drugiej stronie przystani, pokryte graffiti żeglarzy. Maude westchnęła i zerknęła na Joan.

– Naprawdę nie masz bladego pojęcia, jak to wyglądało, Joan, ale nie mówię tego, żeby cię skrytykować. Nie dowie się tego nikt, kto nie rzucił wyzwania pustyni.

– Ale pani je rzuciła i podbiła ją pani. A po wszystkim nawet nie wróciła pani do Anglii. Dla mnie to byłoby coś strasznego. Może cudownie jest znaleźć swoje nowe miejsce na ziemi, ale ja po takich męczarniach marzyłam o odpoczynku w domu.

– Nie. – Maude pokręciła głową. – Po niektórych przeżyciach dom zaczyna się wydawać... zbyt odległy. Po niektórych przeżyciach człowiek jest zagubiony. Pustynia mnie zmieniła. Każdego zmienia. – Maude przesunęła się na fotelu z zażenowaniem. – Zaczęłam od nowa na tym pogórzcu. Życie w tych wioskach jest takie proste i uczciwe... I w pewnym sensie ponadczasowe. Tam postanowiłam odzyskać siły.

– No cóż, moim zdaniem jest pani niesamowicie odważna. I wyjątkowa. Większość ludzi wróciłaby jak najprędzej do domu, żeby...

– Lizać rany? – dopowiedziała Maude kwaśno.

– Wrócić do siebie. I upajać się swoim osiągnięciem! Bo dokonała pani czegoś niezwykłego, panno Vickery, nieważne, czy przekroczyła pani pustynię jako pierwsza, czy jako druga. W końcu była pani pierwszą kobietą, której się to udało. Mam nadzieję, że rozpierała panią duma. Mam nadzieję, że wciąż panią rozpiera.

– Duma? – Maude pokręciła lekko głową. Przymrużyła powieki i zapatrzyła się w dal. – Nie pamiętam, żebym czuła się wtedy szczególnie dumna z siebie.

Umilkli, bo ich wzrok przyciągnął fort Al-Dżalali, wciśnięty w skały na wschodzie. Jego małe okienka wyglądały jak wykrzywione złośliwie oczy. Joan nabrała powietrza, żeby powiedzieć coś o Salimie albo zapytać, kiedy powinna go znów odwiedzić, ale ugryzła się w język. Wiedziała, że nie musiała im o nim przypominać.

– Jak długo tu zostaniesz, Joan? – odezwała się Maude.

– Właściwie, to nie jestem pewna – przyznała. – Spodziewam się, że będziemy musieli wrócić do Anglii na Boże Narodzenie. Moja matka została sama.

– Opowiedz mi o Charlesie Elliocie.

– O kapitanie Elliocie? Ale... naprawdę nie wiem, co miałabym powiedzieć. Spotkałam go tylko raz.

– Czy jest przystojny? Czarujący? Poważny? Awanturniczy? – Głos Maude był zaskakująco wyprany z emocji.

– Przystojny, to na pewno. Wysoki i zbudowany jak prawdziwy żołnierz. I ewidentnie przekonany o własnym uroku. Jest bardzo pewny siebie w tej kwestii. I w większości innych, jak podejrzewam.

– To tylko pycha czy reprezentuje sobą coś więcej?

– Jest pełen pychy. Z tego co pamiętam, nazwał buntowników imana wieśniakami uzbrojonymi w patyki i kamienie.

– Doprawdy?

– Ale musi reprezentować sobą coś więcej. Ten nowy szwadron, do którego należy... podobno są w nim najlepsi z najlepszych. Przeszli specjalne przeszkolenie i używają innej broni niż reszta. Wykonują tajne misje i tak dalej. Chociaż ich emblemat to Excalibur otoczony płomieniami. Raczej rzuca się w oczy.

– Excalibur? Ten miecz? Mój Boże, cóż za dramatyzm. A co to za przeszkolenie? I jaką mają broń?

– Ojej, nie wiem, pewnie mogłabym zapytać Daniela. Odniosłam wrażenie, że kapitan Elliot jest dość bystry. Być może bardziej, niż daje to po sobie

poznać.

– Czyli pod pewnymi względami wciąż jest dziecinny.

– Możliwe. Chociaż ma już swoje lata. Na pewno jest po trzydziestce – stwierdziła Joan.

– Rzeczywiście, poważny wiek – skomentowała cierpko Maude.

Joan posłała jej przepraszający uśmiech.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Chyba po prostu... jestem ciekawa, jakie są dzieci z małżeństwa Nathaniela.

– Pani nigdy nie chciała wyjść za mąż, panno Vickery?

Nastąpiła długa cisza. Joan zorientowała się, że popełniła nietakt, ale zdążyła się już nauczyć, żeby nie cofać swoich słów. Jedyne, co mogła zrobić, to przeczekać moment napięcia. Abdullah uchwycił jej spojrzenie i przez chwilę patrzył na nią z przyganą we wzroku.

– Małżeństwo to kajdany – odpowiedziała w końcu Maude. Jej oczy znów powędrowały w stronę Al-Dżalali. – Jeśli spotkasz jeszcze kapitana Elliota, dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz. – Zerknęła na Joan z zasznurowanymi wargami, jakby była z siebie niezadowolona. – Jestem po prostu wścibska, to wszystko. Chciałabym... – zawiesiła głos z godnością, a potem dokończyła: – ... usłyszeć trochę plotek.

– W takim razie zasięgnę języka – obiecała Joan z uśmiechem. – Ale mogłaby go pani zobaczyć na własne oczy, gdyby przyjęła pani kiedyś zaproszenie na kolację do Rezydencji. Jestem pewna, że dałoby się to zorganizować. Mój Rory też chciałby panią poznać. Jest zazdrosny, że spędzamy razem tyle czasu. – Spodziewała się, że taka propozycja zostanie z miejsca odrzucona, jak to ponoć miało miejsce wcześniej, ale Maude zdawała się ją rozważać.

– W takim razie zgoda. Przyjdę, jeśli wszystko załatwisz – zdecydowała starszka. – A teraz ruszajmy dalej, muszę iść do banku.

– Proszę zaczekać, chciałabym mieć z panią zdjęcie, dobrze? Może Abdullah

mógłby je zrobić? Musimy się pospieszyć; nie powinnam pokazywać swojego aparatu na ulicy.

– W porządku – zgodziła się Maude.

Joan pokazała Abdullahowi, jak spojrzeć przez wizjer i który guzik nacisnąć, a potem stanęła za Maude i położyła dłoń na jej fotelu, uśmiechając się z dumą. Musiała poczekać na wywołanie kliszy, żeby zobaczyć wyraz twarzy staruszki w chwili zwolnienia migawki.

Tej nocy Joan, Rory, Robert i Marian zostali zaproszeni przez pułkownika Singera na kolację do kantyny w Bait al-Faladż. Robert zdobył przepustki, dzięki którym mogli wrócić do Maskatu po wystrzale z dział. Wyruszyli o siódmej, kiedy niebo przybrało odcień głębokiego, aksamitnego błękitu, na którym iskrzyły się pierwsze gwiazdy. Joan włożyła najlepszą suknię, jaką zabrała do Omanu, skrojoną z zielonego jak mech jedwabiu, sięgającą do kolan. Dobrze wyglądała w tym kolorze, a materiał otulał jej dość chłopięce kształty w sposób, który subtelnie przydawał im kobiecości. Przypudrowała twarz i uszmiłkowała usta, chociaż poczuła się z tym trochę nieswojo; miała nadzieję, że dzięki temu Charliemu Elliotowi rozwiąże się język. Gdy zeszła na dół, Rory uśmiechnął się i okręcił ją wokół. Jego skóra lśniła od upału, ale wreszcie zaczynało być na niej widać opaleniznę.

– Zawsze uwielbiałem cię w tej sukience – powiedział, a ją ogarnęły wyrzuty sumienia, że nie włożyła jej dla niego.

Wypili drinki z pułkownikiem i jego żoną w bungalowie po drugiej stronie wadi, gdzie w powietrzu wisiał ciężki zapach woskowatych kwiatów plumerii, a potem razem udali się do kantyny na kolację. Chociaż towarzyszył jej Rory, Joan siadając do stołu, czuła na sobie spojrzenia kilku żołnierzy, przyciągnięte połyskiem jedwabiu i ukrytymi pod nim kształtami. Radość i wstyd zabarwiły jej policzki.

Fascynowało ją przebywanie wśród tyłu mężczyzn, niski szmer ich rozmów, zapach płynu po goleniu i olejku do włosów zmieszany z przenikliwą stęchlizną płóciennych ścian. Miała ochotę oddychać głębiej niż zwykle; czuła

się całkowicie bezpieczna, chociaż nie umiałyby określić, czego mogłaby się lękać. Do posiłku podano znów gin z limonką i piwo; wina nie było. Joan siedziała naprzeciwko opalonego Daniela, który wydawał się odprężony po kilkudniowym odpoczynku w bazie. Wygładziła mu się skóra, a cienie pod oczami przybladły. Zapadnięte policzki zdążyły się trochę wypełnić, więc jego rysy nie były już tak wyostrome.

– Niedługo wracam w góry – powiedział, kiedy skomentowała jego wygląd.

– Wszyscy wracamy. Chłopaki z SAS sądzą, że znaleźli nową trasę na płaskowyż z wąwozu, który już spenetrowaliśmy. Wywiadowcy zastanawiają się, kiedy najlepiej zaatakować i czy powinniśmy zmylić wroga i zakraść się tam po cichu, czy wysłać samoloty RAF, żeby zbombardowały komitet powitalny. Słyszałem plotkę, że Singer może przenieść kwaterę główną do Nizwy i będziemy działać stamtąd. To znacznie lepsza baza do wypadów w góry.

– Kiedy? – zapytał Rory.

– Czy będziemy mogli cię tam odwiedzić? – dorzuciła Joan.

Daniel przenosił spojrzenie z siostry na przyjaciela, uśmiechając się z mieszaniną czułości i irytacji.

– Niedługo, Taps. I nie, nie będziecie mogli mnie tam odwiedzić, Joan. – Upił drinka i zabił sobie komara na przedramieniu rutynowym, mimowolnym gestem. – To byłby dla was dobry moment na powrót do domu.

– Przecież dopiero przyjechaliśmy! – zaprotestowała Joan.

– Jesteście tu już ponad dwa tygodnie – uściślił Daniel.

– Nie mówmy o tym teraz. Cieszymy się po prostu naszą kolacją – powiedział Rory, gdy szczupły czarnooki kelner wniósł pierwsze danie, zupę z soczewicy doprawioną curry.

– W porządku. Opowiedzcie, co porabialiście – poprosił Daniel.

Joan od razu pomyślała o forcie Al-Dżalali i Salimie, ale zamiast tego zaczęła relacjonować bratu, jak pływali w morzu. Chwilę później przerwał jej Charlie Elliot.

– Czy mogę się dosiąść? – zapytał, odsuwając wolne krzesło obok Daniela.
– Przepraszam za spóźnienie. Chciałem się ogolić, ale upuściłem żyletkę do faladzu i porwały ją ryby. – Potoczył po nich wzrokiem. – To szczerą prawdą
– dodał.

Joan zerknęła na Daniela, spodziewając się, że zobaczy na jego twarzy wyraz pogardy, ale jej brat wydawał się rozbawiony, choć uśmiechał się z rezerwą. Zbiło ją to z tropu. Zazwyczaj Daniel nie przepadał za arogantami, określając ich lekceważąco mianem „szkolnych łobuzów”, ale tym razem zauważyła, że to Rory lekko zamyka się w sobie. Wyczuła, że Charlie budzi w nim niechęć.

– Nie uwierzyłbym, gdyby to samo nie przytrafiło się mnie – powiedział Daniel do Charliego. – Te małe szatany rzucają się jak piranie na wszystko, co wpadnie do wody.

Charlie rozłożył swoją serwetkę zamaszystym gestem i machnął na kelnera, żeby doniósł dla niego talerz zupy. Później spojrział na Joan z uśmiechem.

– Seabrook, muszę powiedzieć, że twoja siostra wygląda dziś oszałamiająco. Nie sądzisz? – Daniel popatrzył na Joan tak, jakby wcześniej nie zwrócił na nią większej uwagi. Uśmiechnął się, a Rory nakrył jej dłoń swoją na stole. Joan pomyślała, że chce ją obronić. Albo podkreślić, że należy do niego. – Doprawdy, jest najbardziej zachwycającą kobietą przy naszym stole – dodał Charlie, a Joan dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jest tam jedyną kobietą.

Jedli, pili i zaśmiewali się, rozmawiając o wojnie i o Anglii. Joan zagadywała Charliego o jego rodzinę, podróże i kontakty z ojcem, próbując dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

– Chciałabyś zobaczyć aktualne zdjęcie? – zapytał w pewnym momencie. Z portfela w kieszeni koszuli wyciągnął małą fotografię i podał ją Joan.

Przyglądała się czarno-białemu wizerunkowi Charliego, który stał z wyprężoną pierśią obok chudego, starszego mężczyzny o nieufnym spojrzeniu. Nathaniel Elliot miał wąską, lisią twarz ze szpiczastym nosem

i ciemnymi oczami; jego rzadkie, cienkie włosy całkiem posiwiały, a chociaż był wysoki, garbił plecy i ramiona. Coś w kształcie jego ust i zmarszczkach w kącikach oczu nadawało mu żalorny wygląd.

– Zrobiono je w zeszłym roku, kiedy byłem w domu na przepustce – wyjaśnił Charlie. – Tata mało już podróżuje, ku własnemu oburzeniu. Ciągłe przeklina swoje stare kości za to, że go zawiodły.

– Wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach, które znam z książek – zauważyła Joan.

Przypomniała sobie, jak na nich wyglądał – wyprostowany i silny, z mnóstwem ciemnych włosów i brodą. Miał spękane wargi, lśniąca ciemną skórę i szalone, nieobecne spojrzenie. W koszuli, sarongu i kefiji, z karabinem w rękach przypominał Arabów, z którymi przemierzył pustynię. Był jakiś tragizm w tym, że ta romantyczna postać zamieniła się w starego, smutnego człowieka. Joan zalała falą współczucia na myśl o jego czterech zmarłych synach.

– Pewnie ucieszyła go wiadomość, że przyjeżdżasz do Omanu. W miejsce jego największego triumfu – powiedziała, oddając mu zdjęcie.

Charlie przyjął je od niej, marszcząc lekko brwi.

– Można by się tego spodziewać, prawda? – odparł.

– Maude Vickery przyjęła zaproszenie na kolację do Rezydencji.

– Naprawdę? – zdziwił się Rory.

– Tak, przepraszam, miałam ci powiedzieć. Muszę porozmawiać z Robertem i Marian, żeby wszystko ustalić. Może chciałbyś przyjść i ją poznać? – zwróciła się do Charliego.

Rozważał jej propozycję z uśmiechem.

– Mam się spotkać z największą rywalką ojca?

– To już stare dzieje. Teraz jest wąta i bywa dość roztargniona. Miewa swoje humory, ale ogólnie jest urocza. Co ty na to? Myślę, że ona chciałaby poznać ciebie.

– Cóż, podejrzewam, że tata dostałby białej gorączki. Nawet nie wie, że ona

tu jest. A jeśli wie, to nie wspomniał mi o tym ani słowem.

– Więc przyjdiesz? – nalegała.

Charlie zapalił papierosa i wychylił się do przodu z łokciami opartymi na stole, uśmiechając się do niej tak, że wolałaby, żeby Rory tego nie widział.

– Jeśli jesteś gotowa zadać sobie tyle trudu, żebym zjadł z tobą kolację, to przyjdę, Joan.

Kiedy sprzątnięto po posiłku, Joan odciągnęła Daniela na bok. Na myśl, że brat wraca w góry, zrobiło jej się ciężko na sercu.

– Piszę list do mamy... – zaczęła. Twarz Daniela zastygła w napięciu. Zdezorientowana Joan ciągnęła, walcząc z narastającą rozpaczą: – Dodasz kilka słów od siebie na końcu? Chociaż jedną czy dwie linijki. Proszę.

– Joan, nie możesz sobie odpuścić? Nie wiesz wszystkiego. Nie zostałeś głową naszej rodziny po śmierci taty. – Powiedział to bez złości, ale jego słowa i tak ją ubodły.

– Nie próbuję być głową rodziny, tylko naprawić coś między wami. A poza tym kto jest głową naszej rodziny? Wydaje mi się, że już jej nie mamy. Przystajemy w ogóle przypominać rodzinę. Rzeczywiście, nie wiem wszystkiego i jest mi z tym naprawdę ciężko. Ale nie mogę już wytrzymać, że życie z mamą w dwóch odrębnych światach. Zaczynam mieć wrażenie, że... oddaliśmy się od siebie. Jakby tata był jedynym, co nas ze sobą trzymało.

– Może był – odpowiedział Daniel, marszcząc brwi. Odwrócił wzrok.

Joan zastanawiała się przez chwilę, jak do niego dotrzeć.

– Dan, a jeśli nie wrócisz? – zapytała w końcu cicho, a oczy zaszyły jej łzami.

– Zaraz pójdziesz znów w te przerażające góry, pełne snajperów... i min lądowych... A jeśli stamtąd nie wrócisz?

– Joanie...

– A jeśli twoimi ostatnimi słowami do mamy będzie... będzie to, co powiedziałaś, wybiegając z jej sypialni? Tego właśnie chcesz?

– A co z jej ostatnimi słowami do mnie? – wyszeptał z wściekłością. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Nie wiem, jakie to były słowa, ale wiem, że mama cię kocha, a ty kochasz ją. Jedno z was musi się odezwać pierwsze. Proszę cię, Dan, po prostu... po prostu napisz coś do niej. Proszę.

Nie odezwał się, więc wyjęła z torebki list i wygładziła go na stole, a potem położyła obok kartki pióro. Gdy Daniel po nie sięgnął, bezgłośnie odetchnęła z ulgą. Skreślił kilka słów i podpisał się, a potem przeprosił towarzystwo i wstał od stołu. Joan podniosła list i zaczęła czytać.

Wciąż jestem Twoim synem – okazuje się, że słowa mimo wszystko nie mogą tego zmienić. Toczymy tu wojnę, a Joan przypomina mi, że mogę z niej nie wrócić. Dlatego chciałem napisać, że mam nadzieję, że dbasz o siebie i odnalazłeś spokój. Pozdrowienia, Daniel.

Czytała te słowa kilka razy. Obok niej Charlie opowiadał Rory'emu niestworzoną historię o gigantycznych nietoperzach w malajskiej dżungli, a jej narzeczony słuchał go z wyraźnym niedowierzaniem. „Wciąż jestem Twoim synem”. Złożyła list i schowała go do torebki. Nie rozumiała, co Daniel miał na myśli, ale postanowiła na razie o tym nie myśleć i nie domagać się od brata dalszych wyjaśnień tego wieczora.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał Rory, pochylając się w jej stronę kilka minut później.

Joan skinęła głową.

– Po prostu Dan był jakiś drażliwy – odpowiedziała, ale nie zdołała się zdobyć na uśmiech.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że wróci, żeby się pożegnać, zanim odjedziemy.

– Nie przejmuj się tak, kochanie, na pewno wróci. Pójdę po niego. – Rory podniósł się niezdarnie, zahaczając o stół.

Chwiał się lekko na nogach, a przechodząc obok Joan, chwycił oparcie jej krzesła, żeby utrzymać równowagę.

– Obawiam się, że twojemu narzeczonemu gin uderzył do głowy – skomentował Charlie, opróżniając własną szklanę, kiedy Rory wyszedł z namiotu.

Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały brązowe przedramiona, pokryte niewielkimi bliznami.

– To co? Jest piątkowy wieczór, a my przyjechaliśmy tu na wakacje.

– Nie czujesz się jak stuletnia staruszka, kiedy mówicie do siebie „kochanie”? Brzmicie jak dwójka dzieciaków, które tylko udają dorosłych. Przecież macie dopiero po dwadzieścia lat.

– Ja mam dwadzieścia sześć, a Rory dwadzieścia cztery.

– Tylko dwadzieścia cztery? – Uniósł brwi.

– Tak. I co? – odparowała. Miała wrażenie, że musi się przed nim tłumaczyć. Charlie uniósł dłonie w geście niewinności. – Przepraszam – rzuciła, wstając od stołu i wyszła na zewnątrz.

Noc była cicha i ciepła. Niebo zamieniło się w jednolitą połąć czerni. W obozowym świetle Joan widziała czerwoną omańską flagę, zwisającą smętnie z masztu na szczycie fortu. Z baraków dobiegał wartki potok arabskich słów i śmiech. Grupa żołnierzy stała w ciasnym okręgu, wpatrując się intensywnie w ziemię. Zaciekawiona Joan podeszła bliżej, a potem wydała z siebie stłumiony okrzyk. Na piasku stał ogromny blady pająk; z włochatego odwłoku długości jej dłoni sterczały krótkie grube odnóża. Joan dostała gęziej skórki i instynktownie założyła ręce na piersiach. Mężczyźni się śmiali, pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a pająk siedział obojętnie, ignorując publiczność i przeżuwając rytmicznie coś, czego Joan na szczęście nie widziała.

– To solfuga – odezwał się za jej plecami Charlie Elliot, a Joan odwróciła się na pięcie. Stał niedaleko niej z jedną ręką w kieszeni, w drugiej trzymając papierosa. – Zwana też pająkiem pustynnym.

– Jest ohydna! – zawołała wytrącona z równowagi Joan. – Dlaczego po prostu jej nie zabiją?

Charlie wzruszył ramionami.

– Ohydna czy nie, to kwestia gustu. Jeden z żołnierzy znalazł ją w plecaku, kiedy wrócił z Nizwy; o, tamten, chyba nazywa się Karim. Opiekuje się nią

i przyjmuje zakłady, czy istnieje coś, czego nie zje.

– A co, jeśli go ukąsi? – zapytała Joan.

Odwróciła się, żeby spojrzeć jeszcze raz na blade stworzenie, nadal poruszające miarowo szczękami, i raczej poczuła niż usłyszała, że Charlie podszedł do niej bliżej.

– Na razie tego nie zrobiła, ale te pająki mają w ślinie substancję paralizującą, więc mogą zjeść człowiekowi pół stopy, zanim się zorientuje. – Joan przebiegły ciarki po plecach. – Wiesz, chyba nie powinnaś chodzić sama po obozie po zmroku – dodał. – Jestem prawie pewny, że nic by się nie stało, ale niektórzy z tych mężczyzn od bardzo dawna nie widzieli swoich żon. A większość jeszcze nigdy nie widziała dziewczyny w obcisłej zielonej sukience.

– Wysłałam tylko po to, żeby znaleźć Dana i Rory’ego – wyjaśniła, stając znów twarzą w jego stronę.

Chciała mu powiedzieć, że jest niezwyciężona, że miała dość tupetu, żeby zakraść do fortu Al-Dżalali i wyjść z tego cało. Ale w tym momencie wcale nie czuła się niezwyciężona.

– Pomogę ci ich szukać – zaproponował.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

– Pewnie masz rację. A jednak pójdę z tobą.

Przewróciła lekko oczami, wywołując uśmiech na twarzy Charliego, a potem minęła go i podeszła do fortu. Wewnątrz nie paliło się żadne światło. Joan przystanęła przed zamkniętymi drzwiami.

– Daniel był zdenerwowany.

– Jest już dużym chłopcem, Joan.

– Och, co ty możesz o tym wiedzieć? Co ty możesz wiedzieć o czymkolwiek?

– rzuciła zaskoczona własnym wybuchem.

Charlie spuścił wzrok na piaszczystą ziemię, a potem spojrzał na nią spod ściągniętych brwi.

– Ja tylko próbuję pomóc, Joan – powiedział poważnym tonem.

Nie wiedziała, jak rozumieć tę nagłą, uderzającą żarliwość.

– Pewnie są w jego namiocie – stwierdziła, ruszając w tamtą stronę.

– Może lepiej, żebyśmy po prostu zaczekali na nich w kantynie? – zaproponował Charlie, ale Joan go zignorowała.

Zatrzymała się kilka metrów przed kwaterą Daniela, wciąż skryta w ciemności. Poły wejścia wisiały spuszczone, ale nie zapięte; została między nimi kilkucentymetrowa przerwa. W środku paliła się pojedyncza lampa naftowa, ukazując fragmenty sylwetek Daniela i Rory'ego. Stali blisko siebie w głębi namiotu, niemal poza zasięgiem wzroku. Rozmawiali ściszymi głosami, a właściwie to Rory mówił coś zaniepokojonym, niemal błagalnym szeptem. Po chwili Daniel wyjrzał na zewnątrz, dokładnie na Joan, a ona zastygła ze strachu. Ale nie zobaczył jej. Była niewidoczna z namiotu, tak samo jak Charlie.

Joan czekała, obserwując brata i narzeczonego. Chociaż się nie kłócili, to wyraźnie coś się między nimi działo. Coś tajemniczego. Czekala i zastanawiała się, co dalej, bo kiedy stał obok niej Charlie, niczego już nie była pewna: ani co powinna zrobić, ani jak się za to zabrać. Jakiś głęboki instynkt podpowiadał jej, żeby na to nie patrzeć. Miała ochotę odwrócić się, wrócić do kantyny, tak jak proponował Charlie, i pozwolić im wyjaśnić to, co mieli sobie do wyjaśnienia. Ale nie ruszyła się z miejsca. Wciąż stała przed namiotem, kiedy Rory wyciągnął rękę i musnął palcami szczękę Daniela, obracając ją delikatnie do siebie; stała tam, gdy pocałował Daniela tak, jak nigdy nie pocałował jej, z zamkniętymi oczami i rozwartymi ustami. Stała tam, gdy Daniel odwzajemnił jego pocałunek, a każdy mięsień ich ciał napiął się... czym? Joan próbowała nazwać to uczucie, aż w końcu zdała sobie sprawę, że jest nim napiętność i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Charlie pociągnął ją za rękę.

– Joan, chodź – powiedział łagodnie.

Wyszarpnęła ramię z jego dłoni, obróciła się na pięcie i uciekła w noc.

Lady Margaret Hall, Oksford, 1901

Maude jak zwykle straciła poczucie czasu nad książką. Snop czerwcowego światła przyjemnie nagrzewał jej miejsce w czytelni w budynku Old Hall. Po dwóch latach nauki na wydziale Historii Starożytnej w Oksfordzie przyszedł czas na egzaminy końcowe; następnego ranka punktualnie o dziesiątej miała *viva voce* – obronę pracy, a jej rodzice przyjeżdżali, żeby zobaczyć to na własne oczy. Nie była zdenerwowana; ogarnęło ją raczej poczucie niemal absolutnego skupienia; spokój płynący ze świadomości, że wie dokładnie, czego się od niej oczekuje i co musi zrobić. Wszystko inne zeszło na dalszy plan. To znaczy, prawie wszystko inne. Rodzice planowali zostać kilka dni, żeby uczcić z nią jej dziewiętnaste urodziny.

Za to Nathaniel Elliot przejeżdżał przez Oksford w drodze do Londynu i miał tylko ten jeden dzień. Maude czytała godzinami w całkowitym skupieniu, od czasu do czasu robiąc notatki. Niekiedy podnosiła oczy znad książki, by jakiś fakt albo argument zapadł jej w pamięć. Siedziała zapatrzona w przestrzeń, nie rejestrując niewidzącym wzrokiem drobinek kurzu w rozświetlonym słońcem powietrzu.

Gdy dzwon w kaplicy wybił pierwszą, wzdrygnęła się z zaskoczenia. Spojrzała ze zdumieniem na zegar na ścianie, a potem zerwała się na nogi, w pośpiechu wygładzając włosy i wciskając na głowę słomkowy kapelusz. Zostawiła książki tam, gdzie leżały, i wybiegła na zewnątrz, a pęd powietrza przewrócił kartki w tył, zatrzymując je w zupełnie innym miejscu. Nathaniel czekał przy bramie college'u – mężczyznom nie wolno było ich przekroczyć – a na jego widok serce Maude jak zawsze zaczęło bić w szaleńczym tempie. Próbowwała nie zwracać na nie uwagi, ale miała wrażenie, że podeszło jej do gardła i utkwilo tam, dudniąc głucho. Bała się, że Nathaniel to usłyszy, kiedy się do niego odezwie. Jego zmięty beżowy garnitur i rozpięta marynarka

z odrzuconymi w tył połami tylko wzmagały efekt osobliwej, zawadiackiej elegancji. Maude uświadomiła sobie nagle, że ma zdarte buty i krzywo zawiązaną apaszkę, a mankiety jej koszuli pokrywają smugi kurzu z półek bibliotecznych. Żadna z około pięćdziesięciu studentek Lady Margaret Hall nigdy nie nakładała makijażu, więc przynajmniej Maude nie musiała go teraz sprawdzić. Dobrze pamiętała, jak wstydziła się za Alice, ostatnią dziewczynę, którą przedstawił im John. Biedaczka przez całą wizytę miała zęby umazane czerwonym smarem. Przez przypudrowane różem policzki i mocne perfumy kojarzyła się Maude z porcelanową lalką – piękną, ale pustą w środku i całkowicie sztuczną. Alice wyraźnie nie przypadła do gustu Eliasowi Vickery’emu, co zniechęciło Maude do pacykowania się w ten sposób, chociaż czasem czuła drobne ukłucia żalu, oglądając w lusterku swoją małą, pospolitą twarz z okropnym nosem, który nie pozwalał dostrzec urody jej oczu i ust. Ale zawsze szybko i stanowczo tłumiała w sobie ów ból. Miała mózg i wolę działania. Ładna twarz nie była jej do niczego potrzebna.

Nathaniel stał z jedną ręką w kieszeni, kołysząc się na piętach. Palił papierosa i patrzył przez przymrużone powieki na kopułę kaplicy. Maude zwolniła kroku, żeby jak najdłużej rozkoszować się tym, że może go obserwować niezauważona. Był od niej znacznie wyższy, jak większość ludzi. Włosy miał równie czarne i jedwabiście proste jak zawsze, ale zgodnie z obowiązującą modą zaczesał je w tył, używając olejku makassar. Zachował długą, szczupłą sylwetkę, choć miał teraz nieco szersze barki, co nadało mu męskiego wyglądu. Jego stopy wydawały się już proporcjonalne do reszty ciała. Był gładko ogolony, a od przebywania na słońcu nabrał lekkiej opalenizny. W okresie dorastania bardzo zmieniła mu się twarz. Teraz w pierwszym momencie Maude zawsze zaskakiwały jego mocno zarysowane skronie, ostre kości policzkowe i wydatna szczęka, a potem uśmiechał się i znów wyglądał jak chłopak, którego znała prawie przez całe życie. Oderwał wzrok od kopuły, zobaczył Maude i pomachał do niej, a ona nie zdołała powstrzymać znieawidzonego rumieńca.

– Cześć, Mo – rzucił.

– Cześć, Nathanie – odpowiedziała, a kiedy uścisnął jej dłoń, roześmiała się, nie rozumiejąc, dlaczego to robi.

Może to jego dotyk sprawił jej przyjemność. Może wyjaśnienie było tak proste.

– Dobrze wyglądasz. Nawet bardzo dobrze. Służy ci ta nauka.

– Dziękuję. Chyba faktycznie mi służy.

– Słyszałem, że zmierzasz po bakalaureat. – Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i przydeptał niedopałek czubkiem buta.

– Jeśli dobrze pójdzie. Nie to, żeby przyznali kobiecie prawdziwy tytuł naukowy.

– Cóż, nawet nieoficjalny dyplom z wyróżnieniem według mnie brzmi imponująco.

– Gdybyś się uczył, poradziłbyś sobie znacznie lepiej, Nathanie.

– Trzeba znać swoje mocne strony. A do moich nie należy ślęczenie nad książkami. – Wetknął dłoń do kieszeni i wysunął w stronę Maude łokieć, pod który z radością wsunęła rękę. – Przejdźmy się trochę, żeby nabrać apetytu. Zarezerwowałem dla nas stół w The Randolph.

Posłał jej uśmiech, ale w kącikach jego ust kryło się napięcie. Patrzył na nią z dziwnie skruszoną, a równocześnie wyzywającą miną, bo oboje wiedzieli, że to ona zapłaci za ich lunch. Nathaniel prawie nigdy nie miał pieniędzy.

Pogoda dopisywała, a oksfordzkie ulice były pełne studentów i lokalnych mieszkańców. Ludzie, którzy wyszli na zakupy, przechadzali się wolnym krokiem na słońcu, a chłopcy przeciskali się na rowerach między wózkami ręcznymi, dwukółkami zaprzężonymi w kucyki i dużymi, ciężkimi wozami. Powietrze przesycił zielony, pudrowy zapach rozkwitających pąków i fioletowych wisterii; na drzewach pojawiły się młode listki, niektóre wciąż miękkie i wiotkie jak skrzydła motyla po wyjściu z kokonu. Nathaniel i Maude szli brzegiem rzeki. Włosy i ubrania łopotały im na wietrze, ale wciąż było ciepło. W taki dzień Maude mogłaby iść przed siebie bez końca. Spacerując

w zielonym świetle pod drzewami, pod rękę z Nathanielem, czuła się całkowicie szczęśliwa.

Nathaniel zdobył dyplom Wydziału Filozofii w Cambridge, osiągając kiepski wynik – właściwie to ledwo zdał. Po jego dwudziestych pierwszych urodzinach Elias Vickery dał mu delikatnie, acz stanowczo, do zrozumienia, że nieoficjalny patronat, jakim objął chłopaka po śmierci ojca, dobiega końca. Pozwolił mu zdobyć wykształcenie; bez wsparcia Vickerych Nathaniel na pewno nie mógłby studiować w Cambridge. Jego matka nadal przebywała na południu Francji, oszołomiona, bojaźliwa i schorowana, krążąc między kolejnymi hotelami i pensjonatami, zdana na wsparcie kolejnych męskich dobroczyńców, ponieważ dużo wcześniej zdążyła roztrwonić własny majątek – i spadek swojego syna. Przeciętne stopnie Nathana stały się powodem tarc między nim a Eliaszem i ujawniły kruchość relacji, która przecież nie opierała się na więzach krwi ani na realnych zobowiązaniach. Maude ulżyło, kiedy ten związek został zerwany i Nathan przestał znajdować się pod opieką jej rodziców, choć już zawsze miał ich darzyć miłością i wdzięcznością. Dzięki temu pewne sprawy stały się dla niej dużo prostsze. Nie sprecyzowała dotąd, co właściwie miała na myśli i dokąd prowadziły te drzwi, które jej zdaniem stały teraz przed nią otworem. Nie była jeszcze gotowa się do tego przyznać.

Po ukończeniu studiów Nathaniel spędził sporo czasu w koloniach afrykańskich na podróżach i polowaniach na dużą zwierzynę z różnymi przyjaciółmi, a gdy wrócił do Anglii, próbował różnych ścieżek kariery. Wyglądało na to, że tylko najwyższa konieczność skłoni go do dokonania ostatecznego wyboru – i być może ta pora właśnie nadeszła.

– Słyszałam od ojca, że wreszcie zdecydowałeś się na jakąś posadę – odezwała się Maude.

Droga zwęziła się i Nathaniel puścił jej rękę, żeby pozwolić przejść innym spacerowiczom, idącym gęsiego. Później nie zaoferował Maude ponownie swojego ramienia, więc splotła dłonie przed sobą; nagle wydały jej się zupełnie niepotrzebne.

– Tak. Jestem pewny, że przyjął tę wiadomość z zadowoleniem – odparł Nathaniel z lekkim rozgoryczeniem.

– Tylko jeśli przyniesie ci to szczęście i stabilizację. Jedyne, na czym mu zależy, to twoje dobro.

– Nadal nie dasz nikomu powiedzieć na niego złego słowa, prawda? Nie, nie. Nie odpowiadaj. Przecież ja też nie dam. Przynajmniej nikomu innemu. A jeśli o mnie chodzi... Czasem trudno go usatysfakcjonować. Mówię o tych wszystkich oczekiwaniach.

– Oczekuje, że wykorzystamy w pełni swój potencjał. Każde z nas czworga. Wierzy, że możemy to osiągnąć, dlatego frustruje go, kiedy tego nie robimy – powiedziała Maude lojalnie.

Sama starała się ze wszystkich sił nie tylko spełniać oczekiwania ojca, ale wręcz je przekraczać. Z całej czwórki tylko ona nie sprawiła mu jeszcze żadnego zawodu. John wciąż niefortunnie lokował uczucia, a Francis postanowił nie kończyć studiów i wybrał karierę urzędnika sądowego.

– Och, Mo. Kiedyś może przejrysz na oczy. – Nathaniel wcisnął dłonie do kieszeni, pozwalając, by jego ramię musnęło jej rękę. Maude musiała ze sobą walczyć, żeby nie stracić wątku rozmowy. – Pewnie dopiero wtedy, kiedy pierwszy raz zapragniesz zrobić coś, co mu się nie spodoba.

– Opowiesz mi o tej posiadzie czy każesz mi się domyślać?

Sporadyczne narzekania chłopców na ojca uznawała za przejaw męskiej skłonności do walki i pokazywania swojej siły przez opór.

– Opowiem. Ale nie brzmi zbyt ekscytująco. Najciekawsze jest w niej to, że umożliwia podróże. I prowadzenie badań.

Wrócili do hotelu Randolph i zajęli zarezerwowany stolik, a Nathaniel zaczął mówić o swoim niskim stanowisku w Służbach Politycznych w Sudanie Anglo-Egipskim. Miał tam wyjechać za cztery dni. Przydzielono mu małą placówkę w Kutum, daleko od cywilizacji w Chartum, a interesował go niezbadany dotąd obszar na południe od tego miejsca. Gdy o nim opowiadał, jego oczy przybrały wyraz pełnego przekonania, który widziała u niego już

wiele razy.

– Tam nie skończy się na podwieczorkach i strzelaniu do lwów, jak w Kenii, Maude. Ani na podwieczorkach i piramidach, jak w Egipcie. W końcu odkryję nowe tereny. To moje przeznaczenie.

– Tak szybko wyjeżdżasz – szepnęła Maude, kiedy na stole pojawiły się ich pikantne cynaderki. – Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz się o tym dowiaduję!

Wzięła kęs do ust i język zapiekł ją od pieprzu. Czuła dziwną mieszaninę zazdrości, radości i przygnębienia. Uwielbiała widzieć w jego oczach to światło; była szczęśliwa, że zaczyna robić coś, o czym zawsze marzył. Ale przenosił się tak daleko. Już teraz rzadko się widywali, a nie wiedzieć, kiedy znów się spotkają, było czymś zupełnie innym niż wiedzieć, że do tego nie dojdzie.

– To znaczy nowe tereny dla białych ludzi. Mają tam plemiennych łowców głów, wiesz? Tylko że oni nie kolekcjonują głów. Kolekcjonują jądra.

– Nathanie! Nie przy stole. – Parsknęła śmiechem, rozglądając się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt go nie usłyszał.

– Przecież to prawda! Zawsze należy mówić prawdę, jak powiedziała by nasz drogi Elias.

– Ale można wybrać, którymi prawdami się podzielimy – poprawiła go Maude. Odchrząknęła lekko. – Jak długo tam zostaniesz?

– Nie wiem. Ciężko powiedzieć. Dopóki mi się nie znudzi. – Wzruszył ramionami. – Daję słowo, Maude, chyba nie cieszysz się moim szczęściem.

– Cieszę się, oczywiście, że się cieszę. Jestem tylko trochę zazdrosna. I będę za tobą tęsknić. Wszyscy będziemy tęsknić.

– Ja też będę tęsknić – rzucił od niechcienia, a potem chyba usłyszał swój ton, bo twarz mu złagodniała. – Jasne, że będę tęsknić. I pisać dużo listów. A wkrótce ty też wyjedziesz przeżywać własne przygody. Jestem o tym przekonany. Gdzie się teraz wybierasz?

– Do Palestyny i Syrii.

– Tej jesieni, prawda? Trasa konsulat–placówka regionalna–kolejny konsulat, pokonywana dzięki pomocy usłużnych przyjaciół ojca.

– To niesprawiedliwe, Nathanielu. Jak inaczej miałabym się tam przemieszczać?

– Ale to prawda. Nie, żebym cię winił. Gdybym miał takie kontakty, też bym z nich korzystał.

– Dziewczyna potrzebuje ich bardziej niż mężczyzna.

– Być może. Fakt, czasem nie myślę o tobie jako o dziewczynie, Maude.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Poczowała się upokorzona, a na jej policzki wrócił zdradziecki rumieniec.

– Aha.

– Wiesz, ogólnie rzecz biorąc, dziewczyny to głupiotki stworzenia. Sprawiają wrażenie, jakby nie były w stanie utrzymać żadnej myśli w głowie dłużej niż minutę, i mają obsesję na punkcie sukienek, włosów, a przede wszystkim balów. Ale ty taka nie jesteś, prawda, Maude? Ciebie interesuje znacznie więcej niż... – machnął widelcem – moda.

– Aha. – Nie umiała ocenić, czy to był komplement. – Tak – przyznała w końcu. – Sądzę, że ojciec zamartwia się tym, czy kiedykolwiek się ożenisz.

– Nie potrzebuję się żenić – odparł. – Żony są drogie. Żona chciałaby, żebym siedział w domu albo przynajmniej tkwił w jednym miejscu. A nawet gdyby znalazła się taka, która nie miałaby nic przeciwko temu, żeby podróżować ze mną, to większość miejsc, w które się wybieram, jest zupełnie nieodpowiednia dla damy. – Włożył do ust duży kęs i umilkł, żeby go przeżuć.

– Mógłbyś ożenić się z bogatą damą i wydać cały jej majątek na zwiedzanie świata.

– Żeby resztę przepuściła na picie do lustra i grę w karty? – odparował ostro.

Maude za późno przypomniała sobie o jego samotnej, zrozpaczonej matce, której życie z wolna legło w gruzach.

Ale Nathaniel myślał już o czymś innym. Pokręcił głową.

– Nie. Podobnie jak ty, naprawdę mam wątpliwości, czy ślub mnie w ogóle interesuje. – Kiedy nie odpowiedziała, podniósł na nią wzrok. – Zakładam, że to podtrzymujesz? Chociaż prawdopodobnie prędzej czy później musisz wyjść za mąż.

– Muszę?

Maude wzruszyła ramionami, a potem wyjrzała przez okno na jasną, zatłoczoną ulicę. Upiła łyk wody. Przez jakiś czas nie mogła na niego spojrzeć, chociaż czuła na sobie jego oczy. Słowa Nathaniela wytrąciły ją z równowagi i potrzebowała czasu, żeby zrozumieć, dlaczego tak się stało. Miała niepokojące poczucie, że coś wymyka jej się z rąk, coś, czego naprawdę potrzebuje. Coś niezbędnego do życia. Może chodziło po prostu o to, że on wyjeżdżał pierwszy, że zaczynał swoją przygodę wcześniej, a ona zostawała w tyle. Zawsze wpadała wtedy w rozpacz. Marzyła, żeby dla odmiany zrobić coś jako pierwsza, ale wiedziała na pewno, że nie będzie to małżeństwo. Pomyślała o Arabii, której wciąż jeszcze nie zobaczyła. Pomyślała o niekończącej się pustyni, pełnej starożytnych tajemnic i starożytnych ludów, zaginionych miast i dróg, których nie było na mapach, i nagle ogarnęła ją tak silna tęsknota, że musiała wstrzymać oddech, dopóki nie minęła.

– Dużo bardziej wolałabym podróżować, odkrywać nieznanne miejsca i pisać o nich książki, niż zostać czyjąś żoną – stwierdziła w końcu. Wciąż czuła się tak, jakby była gdzieś daleko. Ale może to Nathaniel już się od niej oddalił. Spojrzała na niego. – Może kiedyś będziemy wspominać ten moment jako punkt, w którym nasze drogi się rozeszły, by już nigdy nie biec równolegle – powiedziała.

Nathan uśmiechnął się do niej.

– Zawsze jesteś taka poważna, Maude. Nic dziwnego, że chcesz przejść od czytania do pisania książek.

– Nie zawsze jestem poważna. A może zostaniesz na moją urodzinową kolację? – zapytała nagle, wychylając się z nadzieją w jego stronę. – Albo wrócisz na nią z Londynu? Och, proszę! Będą rodzice, John chyba też,

i zaprosiłam jeszcze kilka przyjaciółek z Lady Margaret. Możemy przy okazji urządzić ci pożegnanie, nie będzie mi to przeszkadzać. Dziewiętnaście lat to taki bezsensowny, przejściowy wiek.

– Nie mogę. Przykro mi, Maude. Mam wypełniony kalendarz aż do wyjazdu. Dlatego przyjechałam dziś.

Maude opadła na oparcie krzesła z przygaszoną miną. Zdała sobie sprawę, że pragnie zatrzymać Nathaniela. To była niemal fizyczna potrzeba – wyciągnąć rękę, złapać go i zmusić, żeby został. Zacisnęła dłonie w pięści, żeby się opanować. Nie chciała, żeby wyjeżdżał; nie chciała, żeby to był punkt, w którym ich drogi się rozejdą. Po lunchu odprowadziła go na stację i czekała na peronie, dopóki wśród zgrzytu i pisku rozgrzanego metalu nie wjechał nań pociąg, otoczony kłębamii pary z drobinkami sadzy. Nadal towarzyszyło jej to samo pragnienie. Zaprzątnięta nim bez reszty milczała tak długo, aż atmosfera między nią a Nathanielem stała się napięta, co przygnębiło ją jeszcze bardziej. Zawsze czuła się z nim swobodnie – swobodniej niż z własnymi braćmi. Zaintrygowany Nathan zmarszczył brwi, wstając z ławki na peronie. Widziała, że nie miał pojęcia, co ją zdenerwowało.

– No, to do zobaczenia, Mo – powiedział, podając jej dłoń.

Maude uścisnęła ją, a potem pod wpływem impulsu przytuliła się do niego. Musiała pociągnąć go do siebie w dół i zadrzeć wysoko rękę. Szorstkość ubrania Nathaniela na policzku była dziwnym, nieprzyjemnym uczuciem, ale spod materiału biło ciepło jego skóry, więc zamknęła oczy i skupiła się na tym wrażeniu.

Kiedy zdołała wypuścić go z ramion, patrzył na nią z innym wyrazem twarzy – jego oczy zalśniły podobną intensywnością jak w momencie, gdy snuł swoje plany. Ale trwało to tylko przez chwilę, a zaraz potem pojawiło się w nich lekkie zdziwienie. Maude usiłowała wrócić do siebie, znów wejść w rolę, której się po niej spodziewał.

– Spróbuj nie złapać malarii, dobrze? – rzuciła lekko, a Nathaniel parsknął śmiechem.

– Będę się starał. A ty lepiej zdobądź ten bakalaureat, w porządku? Inaczej odpowiedzialność spadnie na mnie, bo odrywam cię od książek na dzień przed obroną.

– Och, nie martw się. Zdam – odparła Maude bez fałszywej skromności.

W tym celu powinna była wrócić do czytelni, gdy tylko pociąg zniknął jej z oczu i straciła ostatnią szansę, żeby zobaczyć Nathaniela. Ale zamiast tego tkwiła jeszcze przez jakiś czas na stacji w gęstniejącej ciszy i czekała, aż znów poczuje się normalnie. Stała blisko brzegu peronu i wbiła wzrok w tory z lśniącej stali. Nie miała ochoty chodzić, siedzieć ani odzywać się do kogokolwiek. W tym momencie kompletnie nie wiedziała, czego chce. W końcu naczelnik stacji podszedł do niej z pytaniem, czy dobrze się czuje, więc wróciła na piechotę do Lady Margaret Hall, weszła do czytelni i usiadła na miejscu, z którego wybiegła kilka godzin wcześniej, kiedy wszystko wydawało się jasne i proste, a ona była skupiona i przekonana do swoich planów.

Próbowała czytać dalej, ale myśli czmychały przed nią raz po raz jak koty. Błąkały się wśród wspomnień, krążyły wokół wyobrażonej przyszłości i stale wracały do Nathaniela Elliota. Zastanawiała się, jak będzie się czuł gdzieś daleko w Sudanie i czy jego życie w Anglii wyda mu się stamtąd błaha, poukładane oraz beużyteczne; czy ona wyda mu się stamtąd błaha, poukładana i beużyteczna.

Złapała się na tym, że mimowolnie zaczyna fantazjować, jak by to było towarzyszyć mu w Sudanie. I wtedy stało się dla niej jasne, że jest zakochana w Nathanielu Elliocie. Kompletnie i beznadziejnie zakochana. Zrozumiała, że od tej pory jedynym sposobem na to, żeby mu towarzyszyć, było wyjść za niego za mąż. Ale wtedy to na pewno ona towarzyszyłaby jemu, nie na odwrót. Wszystkie ich przygody byłyby jego przygodami, a ona uczestniczyłaby w nich po to, żeby nie zostać w tyle. A tego by nie zniosła. Ta wizja wydała się jej równie straszna jak myśl, że mieliby się już nigdy nie spotkać.

Następnego dnia zdołała jakoś skupić się na obronie, w czym pomogło jej

poczucie upokorzenia, gdy dostała zbyt wysokie krzesło, by dosięgnąć nogami podłogi. Wyprostowała się jak struna i zetknęła stopy, trzymając je nieruchomo, żeby nie bujały się jak dziecku. Gniew sprawił, że w jej głosie pojawiła się władcza nuta. Rodzice siedzieli obok niej – ojciec bacznie ją obserwował, matka przesuwała łagodnym spojrzeniem po sali, niekiedy dotykając rękawiczek lub wygładzając suknię. Elias miał założone ręce na piersi, a od czasu do czasu porównywał godzinę na swoim zegarku kieszonkowym ze wskazaniem zegara ściennego. Jego twarz nie zdradzała emocji, ale za każdym razem, kiedy odpowiadała prawidłowo, czuła jego aprobatę, zwłaszcza gdy w pewnym momencie zbyła całą szkołę myśli o upadku Bizancjum jedną szorstką uwagą. Mimo to nawet podczas egzaminu, zdawanego w obecności ojca, jakąś niewielką, choć ważną część jej umysłu trawił niepokój i poczucie osamotnienia. Maude wiedziała, że zdobyła tytuł bakałarza, ale nagle przestało jej to wystarczać. Uczciła urodziny zgodnie z planem i nikt z gości nie zauważył, że nie jest w pełni sobą. Wkrótce zaczęła zapełniać pustkę w swoim wnętrzu planami podróży.

Maskat, listopad 1958

Joan była tak rozkojarzona i półprzytomna z braku snu, że wspinając się po schodach do Al-Dżalali, niemal zapomniiała o strachu. Prawie nie słyszała współczujących pomruków Rory'ego i Roberta tego ranka na widok jej zaczerwienionych oczu, bladej cery i nieumytych, okłapniętych włosów. Prawie nie zauważyła nieruchomej twarzy Marian, która wyglądała, jakby bardzo starała się z czymś nie zdradzić. Wszyscy radzili Joan, żeby została w Rezydencji i odpoczęła, ale ona nie mogła wytrzymać w tym miejscu. Nagle wydało jej się zbyt ciasne. Miała wrażenie, że staje się w nim mniejsza, że traci znaczenie. W lustrze jej skóra wyglądała na zwiotczałą, a oczy zdawały się patrzeć na nią z większej odległości, niż było to fizycznie możliwe; jakby zapadła się głęboko w siebie przez te długie, bezsenne godziny, spędzone w ciemnościach w trzy kolejne noce. Czuła się nieobecna, odizolowana od własnych zmysłów. Frustrowało ją to, ale równocześnie przynosiło jej ukojenie. Pomyślała, że ten stan ją chroni, bo pozwala jej zachować równowagę wewnętrzną. Dzięki niemu przestawała się zastanawiać, co powinna powiedzieć Rory'emu albo Danielowi. Jak dotąd nie powiedziała im nic.

Do łydki przywiązany miała list do Salima. Kartkę skrywała nogawka spodni, które nosiła pod abają, bo korespondencja była ściśle zabroniona. Maude podkreśliła wagę sytuacji, powtarzając, że nikt nie może przyłapać Joan z pocztą dla więźnia, a obojętne milczenie dziewczyny sprawiło, że zmarszczyła brwi.

– Co się z tobą dzieje, Joan? Rozumiesz, co do ciebie mówię? – zapytała wreszcie rozdrażniona, ostrym ruchem wciskając we włosy Joan więcej szpilek niż to było konieczne, żeby przytwierdzić do nich materiał.

Joan skinęła głową, udając spokój. Skupiła się na grudkach kajalu, które

dostały jej się pod powiekę: na początku szczypały ją oczy, ale teraz czuła tylko ciepło, jak po zetknięciu skóry z łagodną przyprawą. Przez dłuższy czas usiłowała ocenić, czy to wrażenie jest nieprzyjemne czy wręcz przeciwnie. Tym razem nie przejmowała się zbyt ciepłą szatą; nie przejmowała się duszącym materiałem; nie przejmowała się ryzykiem, że może zostać zdemaskowana. Tak naprawdę chciała tylko położyć się w jakimś cichym miejscu, zamknąć oczy i zasnąć. Tymczasem przez kilka ostatnich nocy po zaciśnięciu powiek nękały ją wizje Bedford i uczucie, że desperacko czegoś szuka, chociaż nie wiedziała czego. Może bezpieczeństwa i spokoju, którymi powinien tchnąć dom pełen znajomych rzeczy i wspomnień. Ale teraz już ich tam nie znajdowała. Te obrazy były tak realistyczne, że naprawdę ją zaskakiwało, kiedy otwierała oczy i orientowała się, że jest w Omanie. Marzyła o rozmowie z ojcem; z matką też, ale bardziej z ojcem. Tak naprawdę nie miało większego znaczenia, co mówił, żeby ją pocieszyć; liczył się sposób, w jaki to mówił. Wyraz jego oczu, kiedy na nią patrzył, ściskając ją za ramię, dawał jej pewność, że wszystko będzie dobrze. Że nic jej się nie stanie, chociaż czuła się całkiem bezbronna, jak pod stołem kuchennym, gdy na Bedford spadały bomby. Dzięki niemu jej lęk rozmywał się i znikał, podczas gdy matka zdawała się odbijać go jak w lustrze i jeszcze powiększać.

Joan zauważyła zwierzęcy smród więzienia, ale tym razem nie obrzydził jej tak jak poprzednio. Zauważyła podejrzliwy wzrok omańskich strażników i przelotne spojrzenia ich brytyjskich kolegów, ale nie przejmowała się nimi. Ruszyła przez fort do drugiej celi wspólnej, gdzie przez wysokie okna wpadały ukośne snopy ostrego białego światła, a gdy weszła do środka, drogę zastąpił jej szczupły starszy mężczyzna, nagi do pasa. Zatrzymała się zdziwiona. Starzec zaszutował, a potem ukłonił się niezgrabnie, niemal tracąc przy tym równowagę.

– Wasza wysokość – wymamrotał – Wasza wysokość. – Skóra zwisała mu luźno z chudej klatki piersiowej.

Joan wbiła w niego wzrok.

– Przepraszam – powiedziała, mijając go i wchodząc głębiej do celi.

Gdy obejrzała się za siebie, zobaczyła, że mężczyzna patrzy za nią z żalonym, zawiedzionym wyrazem twarzy. Dopiero wtedy zorientowała się, że odezwał się do niej po angielsku, a ona odpowiedziała mu w tym samym języku. Wstrząs, który ją przeszył, wreszcie skruszył jej apatię. Joan wciągnęła gwałtownie powietrze, zwalniając kroku. Skąd wiedział, że może mówić do niej po angielsku? W chwili paniki dotknęła twarzy i ubrań, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Na jej widok Salim wstał i zmarszczył brwi. Był wyższy niż większość Omańczyków, więc musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Witaj, Joan – rzucił cicho. – Nie musisz się obawiać tego staruszka. Nikt nie wie, jak ma na imię, więc nazywamy go po prostu wallahem. Jest obłąkany, ale nigdy nie widziałem, żeby zrobił komuś krzywdę. Nie zabija nawet karaluchów, kiedy pełzają po nim w nocy. – Patrzył jej w oczy badawczo, usiłując ocenić jej nastrój. – Często mówi do odwiedzających po angielsku, ale nikt nie może usłyszeć, jak odpowiadasz w tym języku.

– Wiem – odpowiedziała Joan. Niepokój ścisnął jej gardło i bała się, że wybuchnie płaczem. – Zrobiłam to bez zastanowienia.

Usiedli, a Joan zaczęła w milczeniu rozpakowywać koszyk. Czuła, że Salim obserwuje każdy jej ruch, i miała ochotę ukryć się przed jego spojrzeniem. Przełknęła z trudem ślinę.

– Joan – szepnął. – O co chodzi? Co się stało? Jesteś dziś inna. Poruszona. Proszę, powiedz mi: czy coś się stało Maude? Albo Abdullahowi?

– Nie, ja... – pokręciła głową. – Naprawdę nie mogę o tym mówić. Ale Maude i Abdullah mają się dobrze. Nic im nie jest. Maude... Maude tym razem napisała do ciebie list. Dać ci go teraz?

– Nie, poczekaj trochę. – Salim przeniósł wzrok za nią; jego ciemne oczy były w nieustannym ruchu. – Poczekaj, aż pewne osoby odejdą dalej od nas. Tak będzie lepiej.

– Dobrze. Spójrz: dziś przyniosłam więcej wody, tak jak prosiłeś. Na pewno

jesteś spragniony – powiedziała ze spojrzeniem wbitym w ziemię.

Salim przyjął od niej butelkę, ale nie zaczął pić. Obserwował ją, dopóki nie podniosła na niego oczu. Na jednym z policzków miał opuchliznę i niewielką ranę, ale wydawał się spokojniejszy niż poprzednio. Ręce opierał na zgiętych kolanach. Joan zastanawiała się, jak musi się czuć, skrępowany kajdanami i przykuty do żelaznej sztaby. Widziała czerwone otarcia na jego kostkach w miejscu podrażnianym przez metal. Pokrywała je zaschnięta krew, na której usiłowały usiąść muchy. Cisza zawisła między nimi jak kolejna zasłona, a Joan trudno było to znieść. Musiała się odezwać.

– W Anglii idzie już zima. Pierwszy raz jest mi gorąco w listopadzie. – Jej uwaga była tak absurdalna, że spłonęła rumieńcem, którego nie mógł zobaczyć.

– Tęsknisz za domem. Czy to dlatego jesteś smutna? Chcesz już wracać?

– Nie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Właściwie to... nie wiem, jak miałabym tam kiedykolwiek wrócić. – Salim jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– W takim razie to miejsce nie jest twoim domem.

– Rzeczywiście. Tak, chyba masz rację – przyznała.

Znów zapadło milczenie, a tym razem Joan wytrzymała je tylko przez kilka sekund.

– To miłe z twojej strony, że o mnie myślisz, biorąc pod uwagę twoją... sytuację. Ale proszę cię, Salimie... nie mówmy już o tym.

Salim przechylił głowę i odwrócił wzrok.

– Jak sobie życzysz. – Upił długi łyk wody, otworzył torbę z pieczonym kurczakiem i zaczął jeść.

– Nie... nie wiem, co jest w liście, ale Maude kazała koniecznie ci przekazać, że sami tworzymy własne przeznaczenie. Chyba... nie spodobało jej się, że możesz to zaakceptować jako swój los.

– No tak. – Salim uśmiechnął się szeroko. – To w jej stylu.

– Nie zgadzasz się z tym? – Joan pomyślała o Rorym i o domu rodzinnym; o Danielu i matce, o swoich wspomnieniach o ojcu. To oni określali, kim była dla samej siebie: ich granice, kształty, rozmiary i orbity wyznaczały jej własny

kształt i miejsce wśród nich. Teraz miała wrażenie, że wszystko się przemieszcza, zmienia, staje się czymś obcym. Wszystko łącznie z nią samą. W milczeniu próbowała do tego nie dopuścić. Próbowała trzymać się ich i tego, co знаła.

– Jeszcze nikt nie uciekł z tego więzienia, Joan. – Głos Salima przywołał ją do rzeczywistości. – Nawet gdyby komuś udało się uwolnić z kajdan i wdrapać po murze do okna, roztrzaskałby się o skały. Jedyne wyjście to brama główna, a widziałas, jaka jest solidna. Twierdzę Al-Dżalali zdobyto tylko raz, wiele lat temu, i to dlatego, że dowódca stracił głowę dla kobiety, oszalał z miłości i dał się oszukać.

– Oszukała go?

– W pewnym sensie. Była córką waliego Maskatu. Wiesz, kim jest wali? To przedstawiciel sułtana, który sprawuje władzę nad miastem, ktoś w rodzaju burmistrza albo gubernatora. Portugalscy bandyci musieli wycofać się do Al-Dżalali, ale ich dowódca zakochał się w tej dziewczynie, pięknej jak wschód słońca. Próbował zawrzeć pokój z walim, żeby móc ją poślubić, ale wali był sprytnym i mściwym człowiekiem, więc kiedy fort otwarto na ucztę weselną, jego ludzie wdarli się do środka i wszystkich zabili.

– Ciekawe, czy jego córka wiedziała o tym planie. Ciekawe, czy też była zakochana w dowódcy – powiedziała Joan. – Może w dniu ślubu sądziła, że rozpoczyna nowe życie, a tak naprawdę wszystko straciła.

– Może nie powinna się była zakochiwać we wrogu jej narodu.

– Przecież nie decydujemy o tym, w kim się zakochamy. – Mówiąc to, Joan zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Czy właśnie tak było z nią.

Zastanawiała się, czy to była jej decyzja, żeby zakochać się w Rorym, czy ich losy po prostu splotły się ze sobą tak, że stali się nierozdzielalną częścią swojego życia. Przypomniała sobie powrót taksówką o świcie i pierwszy pocałunek Rory'ego, gdy oboje ściskali Daniela siedzącego między nimi. Przypomniała sobie dłoń Rory'ego na swojej dłoni, opartej na ramieniu brata, a potem zacisnęła powieki, bo wszystko znów zaczęło się przemieszczać,

wymykając się jej coraz bardziej. Teraz, kiedy o tym myślała, miała wrażenie, że dała się biernie ponieść miłości.

– Muszę zaakceptować swój los – stwierdził Salim. – Tylko rozkaz sułtana mógłby dać mi wolność, ale on go nie wyda. I nie zostanie obalony. To niemożliwe, skoro ma wsparcie i ochronę Brytyjczyków. – Po tych słowach oczy Salima rozbliły się groźnie. Zaciął wargi. Joan nie była pewna, czy płonie w nim gniew na sułtana, na Brytyjczyków czy na własne przeznaczenie. – A skoro nigdy nie wyjdę na wolność, to marzenia o innym życiu mogłyby doprowadzić mnie do szaleństwa. Akceptacja to jedyne wyjście, rozumiesz? – Umilkł, rozważając coś w myślach. – Ale może lepiej byłoby umrzeć, próbując się uwolnić, niż gnić tu na zawsze. – Odsłonił zęby w uśmiechu, pokazując szpiczaste zęby. – Nie mów Maude, że to powiedziałem. Nie jestem jeszcze gotowy na śmierć.

Rozejrzał się znów, a potem, nie zmieniając tonu głosu ani kierunku spojrzenia, dodał:

– Teraz możesz mi bezpiecznie przekazać list. Trzymaj go nisko nad ziemią. Schowaj kartkę za koszykiem i nogami, a później popchnij ją w moją stronę.

Joan sięgnęła po list najdyskretniej, jak potrafiła.

– Przesuń się trochę bardziej w swoje lewo, żeby nikt nie widział, że coś czytam – poinstruował ją.

Posłusznie zmieniła pozycję i trwała w niej nieruchomo, dopóki nie zapoznała się z jednostronicowym listem. W pewnym momencie przerwał czytanie i spojrzał na nią. A właściwie nie na nią. Nie patrzył jej w oczy, tylko wbił wzrok wyżej, w linię jej włosów, skrytych bezpiecznie pod materiałem. Przeczytał list dwukrotnie, po czym ostrożnie złożył papier i oddał go Joan.

– Skoro nie chcesz wrócić do swojego domu, to powiedz mi, dokąd pójdziesz? Co będziesz robić?

– Ja... ja i tak tam wrócę – przyznała, czując ucisk w żołądku. – W końcu nie pozostaje mi nic innego.

– Przecież żyjesz w bogatym kraju, który stwarza wiele możliwości,

prawda? I wkrótce wychodzisz za mąż. Maude wspomniała o tym w liście, ale już wcześniej zauważyłem pierścionek na twojej dłoni. Masz już przed sobą wytyczoną ścieżkę, prawda?

– Tak. Być może. – Joan przełknęła ślinę. – Salimie... Naprawdę nie wierzysz, że można odmienić swój los? Naprawdę sądzisz, że przebieg naszego życia jest już... ustalony?

– Wszystko, co się dzieje, dzieje się z woli Boga. To jedno wiem.

– A... a co, jeśli się okaże, że ścieżka, która wydawała się naszym przeznaczeniem, wcale nią nie jest? Czy to możliwe?

– Oczywiście. Bóg wytycza nam ścieżkę, a my musimy podążać nią najlepiej, jak potrafimy. Jednak nie jesteśmy doskonali i popełniamy błędy. Joan, masz zmęczone oczy. Możesz już iść i odpocząć. Ale jeśli chcesz, opowiem ci historię, którą usłyszałem kiedyś od mojego ojca. Jest o próbie zmiany własnego losu.

– Tak, proszę, opowiedz mi ją. – Wyjście z więzienia oznaczało powrót do Maude, a potem w nieunikniony sposób do Rezydencji. Ta myśl ciążyła Joan jak kamień.

– Postaram się mówić zwięźle; nie możesz długo zostać. Kiedyś dawno temu wali Nizwy, czyli jej gubernator, usłyszał, jak jego karin przepowiada...

– Karin? A co to takiego?

– Po arabsku to znaczy „towarzysz”. Tak się nazywa dzimn, który jest przy człowieku przez całe życie.

– I strzeże go jak anioł stróż?

– O aniołach nic nie wiem, ale kariny nikogo nie strzegą... właściwie, to bywają złośliwe. Słuchaj dalej. Wali usłyszał, jak karin przepowiada straszny los jego nowo narodzonemu synowi: że kiedy dorośnie, zabije ojca, poślubi matkę, a potem popełni samobójstwo. Oczywiście, te słowa zasmuciły waliego, który postanowił, że do tego nie dopuści. Zabrał dziecko na pustynię i zostawił je tam, bo uznał, że to będzie lepsze niż życie z takim przeznaczeniem. Ale pustynne plemię znalazło i przygarnęło chłopca. Wiele lat

później wrócił do Nizwy, nie znając swoich prawdziwych rodziców, i mimowolnie wkroczył na tę ścieżkę, która była mu pisana: zabił swojego ojca i poślubił owdowiałą matkę. A kiedy zrozumiał, co uczynił, popełnił samobójstwo, jak w przepowiedni. Próbując zmienić ścieżkę swojego syna, wali tylko ją na niego skierował, rozumiesz? Nie powinniśmy znać własnego losu. Jeśli przypadkiem go odkryjemy, nie przyniesie nam to nic dobrego, więc nie należy dążyć do tego, żeby go poznać, tylko żyć najlepiej, jak umiemy. – Salim znów się napił i otarł usta wierzchem dłoni. – Nie jest rzeczą człowieka rozumieć takie sprawy. Ta zagadka, jak wąż pożerający własny ogon, nie ma początku ani końca. – Salim rozejrzał się wokół, a potem szybko wyciągnął rękę. Nim Joan zdążyła zareagować, wyciągnął jej z włosów dwie szpilki, którymi Maude upinała abaję, i natychmiast ukrył je we wnętrzu dłoni. – Biedna służąca nie użyłaby aż tylu – mruknął.

– Masz w sobie tyle siły, Salimie – odezwała się cicho Joan. – Opowiadam ci o moim domu i czuję się taka bezradna, taka... słaba, chociaż mogę tam w każdej chwili pojechać. Przepraszam, Salimie. – Pokręciła głową.

– Nikt nie jest bezradny, jeśli sam tak nie postanowi, Joan. Wszyscy musimy walczyć o wolność, nieważne, jaką przybiera formę.

– Ale skoro nasza ścieżka została już wytyczona...

– To nie znaczy, że możemy nią iść z zawiązanymi oczami – uśmiechnął się Salim.

– Tak bym chciała, żeby ktoś mi powiedział, co mam zrobić.

– To tchórzostwo. Kolejne uczucie, któremu poddajemy się z wyboru. – Zawstydzona Joan spuściła wzrok na ziemię. – Tchórz nie przyszedłby tu, żeby przynieść otuchę nieznanemu – zauważył Salim.

– Ale tak wielu rzeczy nie jestem pewna. Żałuję... żałuję, że nie mogę porozmawiać o tym wszystkim z ojcem.

– Nie żyje? – Słyszac obcesowe pytanie Salima, Joan skrzywiła się z bólu. – Wybacz. Ale jeśli się nad tym zastanowisz, na pewno odkryjesz, że wiesz, co by ci powiedział. A teraz powinnaś już iść, zanim ściągniesz na siebie za dużo

uwagi.

Oszołomiona Joan wstała posłusznie i wyszła. Mizerny starzec, którego Salim nazwał wallahem, próbował się podnieść, kiedy go mijała – zapewne po to, by znów złożyć jej ukłon, ale metalowa sztaba między jego kostkami okazała się za ciężka i nie zdążył wstać na czas.

Rory wydawał się rozczarowany, kiedy Joan powiedziała mu, że chce odwiedzić Daniela sama. Miała nadzieję, że spotkanie tylko we dwoje coś jej rozjaśni. Miała nadzieję, że uda jej się porozmawiać z bratem i go zrozumieć. Albo zobaczyć w nim coś, czego wcześniej z jakiegoś powodu nie dostrzegła. Dzień był gorący i koszula Rory'ego przesiąkła potem. Joan przypomniała sobie, jak wyglądał w Anglii – gładka, zaróżowiona cera, delikatne i ujmujące rysy, wyraz oczu, usta, włosy. Cały tchnął tam łagodnością. Tu wydawał się roztapiać, deformować, jak nieco przejrzały owoc, który stracił dawną słodycz. Otrząsnęła się z tej myśli; to tylko zmęczenie zwodziło ją na manowce. Ale w jej oczach wraz z tą przemianą zniknęło wszystko, co było w nim znane i kojące. Jego obecność nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa. Trzymając go za rękę, nie miała już wrażenia, że ściska poręcz na szczycie stromych schodów; teraz czuła się tak, jakby ominęła jeden stopień i groził jej bolesny upadek.

– Chyba spodziewa się nas obojga? Ale zgoda. W końcu to twój brat – powiedział wreszcie Rory. – I tak umieram z gorąca, a w obozie panuje zawsze jeszcze większy upał.

– Może idź popływać – rzuciła Joan z roztargnieniem.

– Poczekam, aż wrócisz. Pójdziemy razem. – Spojrzał na nią i nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie skinęła głową.

Miała nadzieję, że nie spróbuje pocałować jej na pożegnanie. Nie chciała się zdradzić ze swoim zdezorientowaniem, strachem i niechęcią do takiej czułości. Stali na tarasie Rezydencji, wystawiając się na lekką morską bryzę. Joan przyglądała się jego czterem rogom, otaczającej go ścianie i rozpiętemu nad nim baldachimowi. Miała wrażenie, że zacieśniają się wokół niej, a ona

kurczy się coraz bardziej.

Gdy samochód zatrzymał się w obozie wojskowym, kierowca wyciągnął komiks i zabrał się do czytania. Joan wysiadła i przeszła sama przez pusty plac do namiotu Daniela, nie przejmując się już zaciekawionymi spojrzeniami żołnierzy. Patrzyła w góry. Często przesłaniało je zapyłone powietrze, ale nie tego dnia. Tego dnia były idealnie wyraźne; miała wrażenie, że stoją niemal na wyciągnięcie ręki. Marzyła, żeby zobaczyć pustynię, rozciągającą się po drugiej stronie; spojrzeć w dół z zielonego cienia drzewa granatu w ogrodzie na płaskowyżu i zobaczyć Maskat i Matrah jako miniaturowe miasta, a ich mieszkańców jako mrówki, jeszcze mniejsze niż ona. Poszarpane szczyty i czarne wąwozy nie wyglądały już groźnie – teraz podobała się jej ich rozległa przestrzeń i ostre krawędzie. Uderzyła ją myśl, że w tych surowych górach pozbyłaby się wrażenia, że napierają na nią ściany. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby się od niego uwolnić i ruszyć z miejsca. Niewielki samolot Pioneer nazaczył pas startowy smugą kurzu i kaszląc, poderwał się do lotu. Skręcił na południowy zachód i wleciał do wąwozu Wadi Sumail, kierując się w stronę interioru. Joan przystanęła i odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zamienił się w małą, bladą plamkę na tle stromych zboczy Al-Dżabal al-Achdar i nie zniknął.

Nie miała jak zapukać do namiotu Daniela, więc zatrzymała się na chwilę przed wejściem, bo nie mogła po prostu wpaść do środka bez zapowiedzi. Już nie.

– Puk, puk – powiedziała w końcu z zakłopotaniem.

– Wchodźcie! – zawołał Daniel. Siedział przy biurku, zajęty pisaniem. Na jej widok uśmiechnął się, nie otwierając ust, a potem przeniósł wzrok za nią. – Gdzie Taps?

– W Maskacie. – Zawód Daniela był tak wyraźny, że Joan musiała przełknąć rozgoryczenie, zanim mogła cokolwiek dodać. Nie śmiała przyznać, że nalegała, żeby Rory został w domu. – Chyba nie czuł się najlepiej. Wiesz, jak reaguje na upał.

– Myślałem, że już się do niego przyzwyczajają? Szkoda... Jutro wyruszam do Nizwy z moją jednostką.

– Jutro? Ale... nic nie mówiłeś! Na jak długo?

– Nie wiem. A nie powiedziałem wam, bo spodziewałem się was obojga, więc chciałem zrobić to dziś. I pożegnać się z wami.

– Przecież... w czwartek Maude przychodzi do Rezydencji na kolację. Miałaś ją poznać – zaprotestowała niemądrze Joan.

Czuła się rozczarowana jak dziecko; wiedziała, że przesadza, ale wiedziała też, jak potrzebuje Daniela. Potrzebowała, żeby pomógł jej zrozumieć, co się dzieje, bo bez niego zostawała sama z Rorym, a już nie umiała sobie z tym poradzić. Przyjrzała się bratu i z ulgą stwierdziła, że on nie zmienił się tak jak Rory. Pozostał sobą. Tylko był coraz dalej i coraz bardziej wymykał jej się z rąk.

– Nie jestem tu na wakacjach, Joan, wiesz o tym. Nie mogę odwołać misji z powodu kolacji. Ale wolałbym zobaczyć się dziś z Rorym. Na wypadek gdybyście wyjechali przed moim powrotem. – Uciekł spojrzeniem w bok, przesuając opuszkami palców kartki papieru po biurku.

– Trudno. Będziesz musiał się z nim spotkać po swojej misji. – Coś w jej tonie sprawiło, że na nią popatrzył; wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale w oczach pojawiło mu się coś nowego, jakby dokonał jakiejś drobnej korekty. – I ze mną oczywiście też. Nie wracam do domu. Jeszcze za wcześnie.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się lekko. – Nie możesz siedzieć wiecznie u Roberta i Marian, bo nadużyjesz ich gościnności, sama rozumiesz. A mama pewnie spodziewa się ciebie niebawem. Możecie rozwiesić dekoracje świąteczne i...

– Nie obchodzą mnie dekoracje świąteczne i nie obchodzi mnie, czego spodziewa się mama. Skończyłam dwadzieścia sześć lat, chyba należy mi się już własne życie? Dlaczego to ja mam wrócić do domu? Dlaczego to zawsze muszę być ja? – Słyszała, jak z rozpaczony jej głos staje się coraz cieńszy. Czuła się jak ćma w słoiku po dzemie, która obija się o szkło.

- Bo to musisz być ty. Bo ja nie mogę, Joan.
- W takim razie może nie powinno to być żadne z nas.
- Joan, o co chodzi? Co się dzieje?

Patrzyli na siebie nawzajem przez dłuższą chwilę, a Joan próbowała dojrzeć w nim chłopca z dzieciństwa: często miała wrażenie, że w szczupłym męskim ciele jej brata ukrywa się małe dziecko, które od czasu do czasu wygląda na zewnątrz, jakby bawiło się w chowanego. Tego dnia wcale go nie widziała.

- Nie wiem, co się dzieje – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Podczas lunchu w kantynie Daniel wspominał dawne święta Bożego Narodzenia. Ich ojciec je uwielbiał. Joan pamiętała, jak wirował z mamą po kuchni do piosenki *Jingle Bells* w radiu, w boa ze złotych i srebrnych papierowych łańcuchów, które zrobiła w szkole, schludnie zapiętej odświętnej czerwonej kamizelce i muszce w grochy dobranej specjalnie tak, żeby kolory się gryzły. Pamiętała, że śpiewał z wokalistą, a roześmiana matka wciąż trzymała w dłoni obieraczkę do ziemniaków. Joan ogarnęło poczucie, że od tamtej pory minęło niesamowicie dużo czasu. Daniel pękał ze śmiechu, patrząc na harce rodziców. Kiedy ostatni raz był taki rozbawiony? Nie mogła sobie tego przypomnieć.

- Nie mam ci za złe, że nie spieszysz się z powrotem – powiedział, wycierając talerz kawałkiem podplomyka. – Bez taty święta to już nie to samo. A poza tym, kiedy jest się tutaj, tamten świat wydaje się trochę dziwny i odległy, prawda? Ale będzie przy tobie Taps. Na pewno trochę cię rozweseli.

- Och, będzie się starał. Ale nie o to chodzi. Nie do końca.

- W takim razie o co? – Daniel wziął siostrę za rękę i ścisnął ją mocno, a jego dotyk sprawił, że oczy nabiegły jej łzami. Nie mogła podnieść na niego wzroku, nie mogła powiedzieć mu prawdy. Postawiła zbyt wiele na jedną kartę i nie była gotowa się poddać.

- Wiesz, jak zareagowała mama, kiedy jej powiedziałam, że przyjeżdżam cię odwiedzić? – zapytała.

- Nie, jak?
- Stwierdziła, że nabawię się niestrawności, że zachowuję się niemądrze i że to nie na moje nerwy.
- Och, chyba rozumiesz, że mówiła o sobie, prawda? – odparł Daniel.
- O sobie?
- Oczywiście. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie pojechali z tatą w te wszystkie miejsca, o których nam opowiadał?
- Myślałam, że nie mieli na to pieniędzy.
- Tak, to jeden z powodów. Ale drugim była mama: boi się latać, boi się statków, boi się zagranicznych potraw i chorób, boi się, że zostanie sprzedana do niewoli. – Uśmiechnął się, a potem znów spoważniał. – Przecież to ona zawsze znajdowała jakiś pretekst, żeby nie ruszać się z domu, pamiętasz? A tata nie znosił, kiedy się nad tobą trzęsła. Kiedyś słyszałem, jak mówi, że zamiast cię uspokajać, jeszcze bardziej cię denerwuje.
- Aha. – Joan zastanawiała się nad tym przez chwilę. Przeniosła się myślami do momentu, kiedy tkwiła uwięziona pod stołem kuchennym; przypomniała sobie, jak kurczowo ścisnęła ją matka za rękę, jak szybki i płytki był jej oddech; kojarzył się Joan z dyszeniem psa. – Cóż, mam już dosyć życia w ten sposób. Mam dosyć bycia „biedną Joanie” i ludzi, którzy traktują mnie jak... głupie dziecko!
- O czym ty mówisz? Kto cię tak traktuje? Nikt nie uważa, że jesteś głupia.
- Na pewno? – zachnęła się, a Daniel nic nie odpowiedział. – Dan, jesteś szczęśliwy? – zapytała pod wpływem impulsu.
- Oczywiście. – Puścił jej dłoń i zaczął przesuwając po stole swój pusty talerz.
- Pytam poważnie. Jesteś naprawdę szczęśliwy?
- Och, Joan, a kto jest? – rzucił z westchnieniem. – Nie znam nikogo, kto byłby naprawdę szczęśliwy.
- Myślałam, że ja jestem – wyznała Joan. Głos jej się załamał, ale Daniel nie wziął już siostry za rękę.

Po lunchu odprowadził ją do samochodu i mocno przytulił.

– Widzimy się niedługo, Dan – powiedziała Joan, podkreślając z uporem, że nie wyjeżdża jeszcze z Maskatu.

Daniel wypuścił powietrze przez nos.

– Być może – odparł. – Być może. Pozdrów ode mnie swojego narzeczonego. Przekaż mu, żeby wziął się w garść.

– Jak to? – zapytała, ale Daniel uśmiechnął się tylko w zamyśleniu.

Przytrzymał drzwi, kiedy wsiadała do samochodu, a potem zamknął je za nią i uderzył dłonią w dach. Joan czuła, jak bardzo pragnie wysłać ją w drogę i pozbyć się jej z obozu. Pomachał raz, a potem odszedł szybkim krokiem do kantyny, nie oglądając się za siebie.

Gdy samochód ruszył w stronę bramy, podbiegł do niego Charlie Elliot. Słońce nadało jego potarganym włosom złoty odcień i zmarszczyło mu skórę wokół oczu. Miał niedopiętą na szyi koszulę i rozwiązane buty. Machając jej z uśmiechem, dogonił samochód i zwolnił, najwyraźniej oczekując, że się zatrzyma.

– Cześć, Joan – powiedział.

Jej policzki spłonęły rumieńcem i nie śmiała na niego spojrzeć.

– Proszę jechać dalej – rzuciła, kiedy samochód zahamował.

Kierowca zerknął na nią w lusterku wstecznym, a potem wzruszył ramieniem.

– Hej, Joan, poczekaj! – zawołał Charlie, ale Joan wbiła wzrok przed siebie, nie zwracając na niego uwagi.

Nie była w stanie spojrzeć na Charliego Elliota ani tym bardziej z nim rozmawiać. Stał tuż obok niej przed namiotem i widział Daniela z Rorym. Przez niego nie mogła udawać, że to się nie wydarzyło. W tym momencie żałowała, że Charlie Elliot w ogóle istnieje. Samochód odjechał, wzbijając chmurę pyłu. Kiedy odjechali kilkadziesiąt metrów, Joan odważyła się spojrzeć w tył. Charlie patrzył za nimi z założonymi rękami. Znów odwróciła wzrok, czując wstyd pomieszany z ulgą, i zignorowała zaciekawione

spojrzenie kierowcy w lusterku.

Szykując się na kolację z Maude w Rezydencji, Joan starała się nie myśleć zbyt wiele. Poprzedniej nocy po drinkach na tarasie podniosła się chwiejnie z krzesła, pewna, że na nim zaśnie, jeśli natychmiast nie wróci do pokoju. Obraz rozmazywał jej się przed oczami. Położyła się na łóżku ubrana i spała jak zabita przez jedenaście godzin. Obudziła się niespokojna, ale zdecydowana. Postanowiła zachowywać się tak, jakby nie widziała pocałunku Daniela i Rory'ego, jakby nie zrozumiała natychmiast, co on oznacza. Zignorowanie tej sytuacji było najlepszym i najłatwiejszym rozwiązaniem, a poza tym nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić. Zastanawiała się nad alternatywą przez kilka dni i nic nie przyszło jej do głowy. Nałożyła na usta szminkę, nie patrząc sobie w oczy w lustrze, bo gdy napotykała swoje spojrzenie, znów zaczynała się czuć jak ćma w słoiku. Bezradna, głupia, przestraszona. Kiedyś złapała srebrzysto-brązową ćmę do słoika, bo obijała się o abażur lampy, nie pozwalając Joan się skupić. Wyniosła ją na zewnątrz i chciała wypuścić, ale chociaż zdjęła nakrętkę, ćma została w środku, uderzając skrzydełkami o szkło.

Włożyła suknię z zielonego jedwabiu, ułożyła porządnie wijące się włosy i uszczypnęła się kilka razy w policzki. Zdążyła nabrać lekkiej opalenizny, ale mimo to jej twarz wydawała się blada, a nawet lekko wychudzona. Wszyscy mężczyźni byli w smokingach; na kolację zaproszono również gości z przedsiębiorstwa naftowego i Brytyjskiego Banku Bliskowschodniego oraz inne ważne postaci. Joan została im przedstawiona, a potem krążyła po sali, dziwnie zdenerwowana wizytą Maude i całym wieczorem. Czowała się jak gospodyni, chociaż nią nie była; zależało jej, żeby kolacja się udała. Za szybko wypija pierwszy kieliszek szampana, a kiedy mijał ją kelner z tacą, sięgnęła po drugi. Szumiący w żyłach Joan alkohol poprawił jej nastrój i przyniósł ze sobą cudowne uczucie obojętności, ale i tak poczuła ucisk w sercu, kiedy na przyjęciu zjawił się pułkownik Singer w towarzystwie dowódcy SAS i garstki oficerów, w tym Charliego Elliota. Odruchowo podeszła do Rory'ego, chociaż

dotąd bezwiednie go unikała. Miała nadzieję, że Charlie jej nie zauważy, ale spojrzał na nią przelotnie, bez uśmiechu, z drugiego końca sali. Joan natychmiast umknęła wzrokiem. Budził w niej nieprzyjemną mieszanię gniewu, poczucia winy i zażenowania.

Wejście Maude było uroczyste niczym przyjazd królowej. Kiedy Abdullah wwiózł ją do sali, przez pomieszczenie przebiegł cichy szmer. Tworzyli osobliwą parę: drobna starsza kobieta w niemodnym ubraniu i grubych pończochach oraz górujący nad nią dostojny czarny niewolnik. Maude przywitała się z Robertem i Marian uprzejmie, nie zaszczycając ich uśmiechem, i pozwoliła, by reszta gości utworzyła coś na kształt orszaku powitalnego, bo wszyscy chcieli oszczędzić jej kłopotu z manewrowaniem wózkiem po sali. Joan podeszła do niej uśmiechnięta i położyła jej dłoń na ramieniu. Maude chwyciła ją i przytrzymała, więc Joan stanęła tuż za nią.

– Nie mów mi, który z nich to Charles Elliot – poprosiła starszka schrypniętym szeptem. – Chcę sprawdzić, czy odgadnę to po jego wyglądzie.

– Dobrze – zgodziła się Joan.

Próbowała wyswobodzić dłoń i odejść, żeby uniknąć rozmowy z Charliem, ale Maude jej nie wypuściła.

– Zostańże tu – rozkazała chrapliwie.

Joan uświadomiła sobie, ile musiało minąć lat, odkąd Maude znajdowała się w pokoju z tyloma ludźmi w tak formalnych okolicznościach. Oczy staruszki przeskakiwały z twarzy na twarz i chociaż sprawiała wrażenie spokojnej, a nawet wyniosłej, jej palce pozostawały zaciśnięte nerwowo na dłoni Joan.

– W porządku. Podać pani kieliszek szampana? Muszę powiedzieć, że wygląda pani bardzo elegancko. Jaka piękna broszka! – Joan zaczęła szczebiotać tak jak w obecności matki, kiedy cisza robiła się nie do zniesienia.

Maude zadarła głowę i spojrzała z nią niemal czule.

– Nie panikuj, dziewczyno. Nie dostanę żadnego ataku i nie narobię ci wstydu – zapewniła.

Joan miała zamiar zaprotestować, ale ostatecznie skwitowała to cierpkim

uśmiechem.

Charlie Elliot podszedł do Maude, uściskał jej dłoń, a potem cofnął się uprzejmie o krok, żeby starszycie łatwiej było na niego patrzeć. Ale zanim zdążył otworzyć usta, żeby się przedstawić, Maude wyrwał się z gardła cichy pisk i Joan zorientowała się, że Charlie został rozpoznany. Nie była do końca pewna, co miał wyrażać ten dźwięk: zaskoczenie, ciekawość czy ból.

– To naprawdę dziwne uczucie panią poznać, panno Vickery. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani te słowa. Pani miejsce jest w artykułach prasowych, które czytałem, i na bardzo starych fotografiach mojego ojca, a nie tu przede mną. Czuję się nieswojo, ale oczywiście jest mi bardzo przyjemnie.

– Doprawdy? Jestem zaskoczona, że pański ojciec zachował jakiegokolwiek zdjęcia sprzed momentu, kiedy zdobył międzynarodową sławę. I nie wyobrażam sobie, żeby miał o mnie coś dobrego do powiedzenia przez te wszystkie lata. – Głos Maude lekko drżał, co usiłowała ukryć swoim surowym tonem.

Charlie zwlekał chwilę z odpowiedzią, a Joan zobaczyła, że jego stosunek do starszyci nieco się zmienia.

– Prawdę mówiąc, przez większość czasu mówił o pani tyle co nic – przyznał, uśmiechając się swobodnie. – Nie mam pojęcia, jak zareaguje, kiedy usłyszy, że panią poznałem. I jestem tego bardzo ciekaw.

– Tyle co nic – powtórzyła Maude.

Zapadło krępujące milczenie.

– No cóż – odezwał się Charlie. – Przynajmniej mi mówił niewiele. Oczywiście, minęło wiele lat. Zanim byłem dość duży, żeby zacząć go uważnie słuchać, to wszystko należało już do zamierzchłej przeszłości.

– To wszystko?

– Tak. Czasy jego odkryć... wyścig przez Pusty Kwartał.

– To nigdy nie był wyścig, młody człowieku – sprostowała Maude stanowczo. – Nie dla mnie. Zawsze uważałam, że stanowimy jedną drużynę. Jako jedni z nielicznych chcieliśmy tu przyjechać i zobaczyć pustynię,

doświadczyć jej. Byliśmy w końcu bratnimi duszami. Tak mi się wydawało. To twój ojciec zamienił tę wyprawę w wyścig.

– Cóż... myślę, że kiedy mamy wybór, czy zrobimy coś jako pierwsi czy jako drudzy, rzadko kto zrezygnuje z pierwszeństwa. – Charlie uśmiechnął się przyjaźnie.

Joan przeniosła ciężar ciała na drugą stopę, marząc, żeby wreszcie się zamknął i odszedł. Miała nadzieję, że Maude się nie rozgniewa.

Ale staruszka milczała dłuższą chwilę.

– Tak – powiedziała w końcu. – Okazało się, że wygrana była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego. Żałuję tylko, że nie zrozumiałam tego wcześniej.

Charlie spojrział na nią z zastanowieniem. Joan spodziewała się, że zirytuje go ta obelga pod adresem jego ojca, ale nie wyglądał na zdenerwowanego. Upił łyk szampana.

– Tata to miły gość – rzucił beztrosko. – Zawsze był dla nas bardzo serdeczny. Nigdy nie podnosił głosu ani nie wpadał w gniew, jeśli na to nie zasłużyliśmy... Niektórzy sądzą, że trudno żyć w cieniu tak wybitnego człowieka, ale my nigdy tego nie odczuliśmy. Zawsze dopingował nas w naszych przedsięwzięciach, niezależnie od tego, czy były heroiczne czy nie. Jeden z moich braci próbował zostać artystą, zanim... zanim odszedł. Sztuka! Wszyscy dokuczaliśmy mu z tego powodu, ale nie tata. Akceptował każdy wybór zawodu, jeśli tylko był honorowy.

– Honorowy? – warknęła ostro Maude.

Charlie przechylił głowę w bok i czekał.

Dłonie Maude zacisnęły się na podłokietnikach fotela, a kobieta wychyliła się naprzód, gromiąc go wzrokiem.

– Powiem ci coś, chłopcze. To szczerza prawda i jesteś już na tyle dorosły, żeby ją usłyszeć: ten wybitny człowiek, którego rzekomo tak dobrze znasz... ten człowiek to kłamca i złodziej.

Głos łamał jej się z gniewu, ale mówiła z pełnym przekonaniem.

Zdezorientowany Charlie wpatrywał się w jej starą twarz z ostrym nosem i jeszcze ostrzejszym spojrzeniem.

– Panno Vickery! – zawołała Joan głośniejszym głosem, niż zamierzała.

W ich stronę odwróciło się kilka głów.

– Nie uciszaj mnie, Joan! Nie jestem twoją matką ani podopieczną. I mówię prawdę. On ma prawo to wiedzieć. Potrzebuje to wiedzieć.

– Może mam prawo, ale nie jestem pewien, czy tego potrzebuję. Panie wybaczą – powiedział Charlie chłodno i odszedł.

Maude patrzyła za nim wygłodniałym wzrokiem – jak drapieżnik, który żałuje, że nie wziął większego kęsa – a urazona jej złośliwą uwagą Joan schowała dumę do kieszeni.

– Na Boga, co to miało znaczyć? Dlaczego tak się pani wyraża na temat Nathaniela Elliota? – zapytała.

Maude cmoknęła językiem o podniebienie, nadal nie spuszczać wzroku z prostych pleców i zaczesanych włosów Charliego po drugiej stronie sali.

– Dowiesz się, kiedy będę gotowa. Powiem ci we właściwym momencie – odparła.

Głos miała równie spięty jak ramiona i dłonie, wciąż zaciśnięte na podłokietnikach.

– No cóż, jeśli chciała go pani poznać, to chyba nie był najlepszy sposób, żeby się za to zabrać – oceniła Joan.

– Poznać go? Dlaczego miałabym chcieć go poznawać? – Maude wymierzyła palec w Charliego. – A poza tym, nim wieczór dobiegnie końca, ten chłopak przyjdzie ze mną porozmawiać, tylko poczekaj. Nie oprze się pokusie, żeby mi udowodnić, jak bardzo się myłę. Tacy jak on nigdy nie potrafią sobie tego odmówić.

– Sama nie wiem. Widać, że darzy ojca wielką miłością.

– O, tak – potwierdziła Maude. Nabrała powietrza, żeby coś dodać, ale zmieniła zdanie i zamiast tego zapadła się na fotelu, jakby nagle uszedł z niej cały ogień i gniew. – Tak, przypuszczam, że tak – powiedziała tylko. – No

dobrze, to gdzie ten twój narzeczony? Dlaczego jego jeszcze nie poznałam?

– Stoi na tarasie. Zawieźć panią tam? – zapytała Joan.

– Tak. Abdullah, znajdź sobie jakieś miejsce do siedzenia, bo wątpię, czy będziesz mógł zjeść razem z nami. Brytyjczycy nadal lubią myśleć, że ich biała skóra jakimś sposobem sprawia, że krew i ten cały bajzel pod spodem stają się czystsze.

– Dobrze, proszę pani – odparł Abdullah.

Uśmiechnął się kącikiem ust, skłonił głowę i wyszedł z sali. Maude złożyła dłonie na kolanach i splotła palce, ale nim je zacisnęła, Joan zdążyła zauważyć, jak się trzęsą.

To Rory jako pierwszy zdołał sprawić, by na twarzy Maude zagościł tego wieczoru uśmiech. Usiadł obok niej na krawędzi jednego z krzeseł na tarasie, żeby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Joan poszła po szampana dla Maude, a kiedy wróciła, Rory pochylał się w stronę staruszki, słuchając jej uważnie z uniesionymi brwiami. Maude opowiadała coś z błyskiem rozbawienia w oczach, a on wydawał się młodszy, bardziej uroczy i całkowicie pochłonięty tą historią. Joan zatrzymała się i obserwowała ich z pewnej odległości. Taras był jasno oświetlony na tle czarnej nocy; wokół lamp tłoczyły się komary i niewielkie ćmy. Przyjęcie skrzyło się światłem, a gdzieś w ciemności kryło się niewidoczne Al-Dżalali. Obejrzała się przez ramię na Charliego, zwróconego do niej plecami na drugim końcu sali, a potem spojrzała na Rory'ego. Wydał jej się znów taki jak dawniej, łagodny i życzliwy. Mimo to nie miała ochoty do niego podejść. Stała samotnie w tym samym miejscu niczym posąg, aż w końcu żona pułkownika Singera to zauważyła i wciągnęła ją do swojej grupy. Joan odzywała się tylko tyle, ile musiała, żeby nie wyjść na nieuprzejmą. Wciąż zerkała na Rory'ego i Maude, zastanawiając się, co czuje, widząc, jak dobrze się dogadują.

Przy stole fotel Maude ustawiono o kilka miejsc od Joan, bliżej Roberta, Marian, pułkownika i jego żony, w uznaniu dla jej wieku i statusu. Joan niewiele jadła. Próbowwała podsłuchiwać w narastającej wrzawie, co mówi

jej przyjaciółka, ale okazało się to niemożliwe wśród osób, które wypily szampana na pusty żołądek. Poczula, jak w goracej sali dostaje rumieńców, a kropelki potu drażnią jej skórę pod pachami. Rory siedział naprzeciwko Charliego Elliota przy drugim krańcu stołu, a ich głęboka dyskusja wytrącała ją z równowagi. Wolała, żeby Charlie nie zbliżał się do Rory'ego; wolała, żeby nie dowiedział się niczego więcej o żadnym z nich – ani o niej, ani o Danielu, ani o Rorym. Nie chciała, żeby w jakikolwiek sposób uczestniczył w ich życiu – miała głębokie poczucie, że samo jego istnienie wystarcza, by zniszczyć to, co było między nimi. Z trudem znosiła, że Charlie rozmawia z jej narzeczoną – a na domiar złego nie wiedziała, co mówią. Po lewej stronie Joan siedział szczupły jasnowłosy Walińczyk, który opowiadał jej o działalności przedsiębiorstw naftowych. Mówił trochę niewyraźnie, przez co Joan ciężko było skupić się na jego słowach, ale też nie starała się zbyt mocno.

Kiedy goście zaczęli wstawać od stołu, Joan natychmiast ruszyła w stronę Maude, ale drogę zastąpił jej Charlie. Joan nie umiała spojrzeć mu prosto w oczy; umknęła wzrokiem.

– Wyglądasz, jakbyś czuła się winna, Joan. I słusznie – powiedział poważnym tonem. – Co cię ugryzło ostatnio w obozie? Chociaż właściwie mogę się domyślić.

– Naprawdę muszę sprawdzić, jak...

– Maude Vickery potrafi o siebie zadbać. Nie musisz biegać za nią jak służąca.

– Nie biegam!

– Biegasz, ale kimże ja jestem, żeby ci się sprzeciwiać. Chciałbym jeszcze z nią porozmawiać, zanim wieczór dobiegnie końca.

– No tak. – Joan uśmiechnęła się lekko. – Spodziewała się tego.

– A ty byś nie chciała, gdyby powiedziała coś takiego o twoim tacie? – odparował Charlie. Joan nie odpowiedziała, bo miał rację. – Nie jestem w nastroju na takie rozmowy. Wczoraj straciliśmy jednego z naszych na górze,

Duke'a Swindellsa. Snajper zastrzelił go na grani. To był cholernie dobry żołnierz. Może będziemy musieli zmienić taktykę i zacząć się przemieszczać raczej nocą niż za dnia.

Charlie zmarszczył brwi i na chwilę zapatrzył się w dal, a potem potrząsnął głową i znów spojrzał na Joan.

– Nieważne. Jak się dogadywałaś z Peterem?

– Z kim?

– Z Peterem Sawyerem. Nie mów mi, że nawet się sobie nie przedstawiliście? Specjalnie zamieniłem się z nim miejscami, żebyś miała z kim rozmawiać.

– A, z nim. Tak. Wydaje się sympatyczny – stwierdziła Joan wymijająco.

Charlie pokręcił głową.

– Chyba cię rozumiem – powiedział łagodnym tonem. – Ale zamykając się w sobie, nie rozwiążesz żadnego problemu, Joan.

– Co? – Skrzywiła się. – Nie ma żadnego problemu. Naprawdę muszę iść...

– oznajmiła, ale Charlie nie schodził jej z drogi.

Wpatrywał się z nią przez moment, a potem znów się odezwał.

– Znamy się z Peterem Sawyerem od dawna. Pracuje w firmie naftowej PDO w Maskacie i jest mi winien jedną czy dwie przysługi. Pojutrze leci do obozu w Fahudzie na spotkanie.

– To fascynujące, kapitanie Elliot, ale...

– To obóz na samym skraju pustyni, widać stamtąd Pusty Kwartał, w powietrzu czuć jego zapach. W drodze leci się nad Nizwą. I nad fortem Dżabrin, jeśli szepnąć pilotowi słówko. Słyszysz, Joan? Rozmawiałem z Peterem i zgodził się zabrać cię ze sobą. Będziesz musiała spędzić noc w obozie i udawać jego sekretarkę. I oczywiście trzeba to wszystko utrzymać w tajemnicy, ale weźmie cię tam. – Charlie wzruszył ramionami. – Tym razem nie będziesz mogła zbadać interioru, ale przynajmniej go zobaczysz. To znaczy, jeśli nadal cię to interesuje. Jeśli w ogóle mnie słuchasz – rzucił na koniec z rozdrażnieniem.

Joan patrzyła na Charliego w osłupieniu, trawiąc jego słowa. Później zerknęła ponad jego ramieniem na Petera Sawyera, mężczyznę, który zanudzał ją w czasie kolacji, a on z uśmiechem uniósł kieliszek i mrugnął do niej niemal niezauważenie. Paraliżowała ją jakaś potężna emocja, która usiłowała za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz. Joan przerażało, co może wtedy zrobić. Martwiła się, że zarzuci Charliemu ręce na szyję i wybuchnie szlochem.

– Tak – powiedziała, a potem poczuła nagły, suchy skurcz klatki piersiowej, nad którym nie mogła zapanować, i załkała. Kiedy minął, wzięła oddech, ale miała wrażenie, że w jej klatce piersiowej zostało mniej miejsca na powietrze, bo wypełniła ją fala euforii i obezwładniającej ulgi. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo marzyła, żeby gdziekolwiek wyjechać. – Tak, nadal mnie to interesuje – dodała drżącym głosem.

– O Chryste, tylko się nie rozpłacz, dobra? Za dużo tu ludzi. Nie będę miał zielonego pojęcia, co zrobić, a wszyscy pomyślą, że mamy romans – upomniał ją Charlie, ale nie umiał ukryć, jaką ucieszyła go jej reakcja.

Uśmiech, który próbował stłumić, ciągle wracał mu na usta.

– Nie rozpłaczę się. – Joan zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w miękką skórę. Najchętniej natychmiast wsiadłaby do samolotu z Peterem Sawyerem.

– Ty... ty naprawdę chcesz zobaczyć interior, co? – zapytał Charlie. Joan skinęła głową. Jej pragnienie, żeby tam pojechać, coraz bardziej się nasilało w połączeniu z przemożną potrzebą, żeby po prostu ruszyć z miejsca. – Trochę szkoda, że urodziłaś się dziewczyną. Ale z drugiej strony... – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale Joan była zbyt szczęśliwa, zbyt wdzięczna, żeby przeszkadzało jej, że z nią flirtuje.

– Kiedy? Kiedy ruszamy? – dopytywała.

– W sobotę, z samego rana. Musisz przyjść do siedziby tej firmy naftowej. Wiesz, gdzie to jest? Mogę ci narysować mapę, ale i tak łatwo tam trafić. Samolot odlatuje z Bait al-Faladż, więc zawiąż chustkę na włosach, włóż okulary przeciwsłoneczne i nie podnoś głowy, dopóki nie wejdiesz na

pokład, żeby nikt w obozie cię nie rozpoznał. Powinno pójść gładko, ale nie wolno wam wpaść. Wszyscy wylądowalibyśmy w kajdankach. Od ciebie zależy, co powiesz swojemu zmiennemu jak kameleon narzeczonemu. Podejrzewam, że najprościej będzie zasłonić się noclegiem u panny Vickery. Joan, powiedz mi, że to wszystko do ciebie dociera.

– Dociera. – Joan wyciągnęła rękę i chwyciła Charliego za przedramię.

Oboje spojrzeli w dół ze zdumieniem. Joan czuła przez rękaw temperaturę jego skóry i nieznajome kontury ścięgien i kości; patrzyła na swoją dłoń, a na serdecznym palcu załśnił jej pierścionek zaręczynowy.

Cofnęła rękę gwałtownym ruchem i bez słowa odwróciła wzrok. Spojrzała prosto na Rory'ego, który obserwował ich z drugiego końca sali. Zmienny jak kameleon. Może dlatego zaczęła widzieć Rory'ego inaczej. Może teraz dostrzegała kamuflaż w tym, co dawniej brała za jego prawdziwą skórę.

Później meble w długim salonie odsunięto pod ścianę, a służący nastawiali stare płyty z muzyką big-bandową i tradycyjnym jazzem. Joan często słuchała tych utworów, dorastając, i nie miała już na to ochoty.

– Powinniśmy byli przywieźć trochę płyt – zauważył Rory, kiedy tańczyli spokojnie na końcu sali przy otwartym oknie z widokiem na morze. – Myślisz, że Maude spodobałby się *Jailhouse Rock*? Albo *Great Balls of Fire*? – Uśmiechnął się.

– Możliwe – oceniła Joan. – Nie jest typową starszą panią. Z drugiej strony, czasem sprawia wrażenie, jakby czas się dla niej zatrzymał. Bo właśnie tak wygląda tu życie, prawda? To jak podróż w czasie, dlatego nie możemy się swobodnie przemieszczać, żebyśmy nie zarazili tego kraju nowoczesnością, zaburzając tę kruchą równowagę. Salim mówi... – Ugryzła się w język, a serce zakłuło ją boleśnie.

– Kto to jest Salim?

– Nikt, jeden ze służących. Nieważne.

– Ale czy to nie jest częścią uroku tego miejsca? To zacofanie? – zapytał Rory.

Joan zdała sobie sprawę, że tańczą jak brat z siostrą, niezbyt blisko siebie.

Dłoń Rory'ego opierała się bardzo delikatnie na jej plecach. Joan zaczęła się zastanawiać, czy zawsze tak tańczyli, a ona dopiero teraz zwróciła na to uwagę. Oficerowie wcześniej opuścili Rezydencję, a Charlie przed wyjściem odszukał ją spojrzeniem, skinął jej głową i uśmiechnął się do niej szelmowsko. Joan pomachała mu najbardziej ukradkowo, jak potrafiła. Nie wiedziała, czy rozmawiał jeszcze z Maude. W ferworze przyjęcia i przypląwie radości z planowanej wyprawy prawie zapomniała, co staruszka powiedziała o jego ojcu i jaka gorycz przebijała z jej słów.

Ruchy Joan stały niezdarne od wina; miała pomiętą sukienkę, a salon mienił jej się w oczach oszałamiającym blaskiem. Czuła pulsowanie krwi pod skórą, a myśli zdawały się unosić tuż za nią, bo niezależnie od tego, co mówiła albo robiła, pojawiały się odrobinę za późno. Była zmęczona, ale nie chciała jeszcze iść spać. Miała wrażenie, że nie udało jej się osiągnąć celu, który wyznaczyła sobie na tę noc. Nagle usłyszała w głowie głos ojca: „Kochanie, dzieci nigdy nie uważają, że czas do łóżka. Dlatego wynaleziono dorosłych”. Poczuła ukłucie bólu i tęsknoty za nim. On wiedziałby, co powinna zrobić; gdyby był przy niej, nie bałaby się żadnej decyzji. Ale nieoczekiwanie w jej uszach rozbrzmiał inny głos – Salima. „Nikt nie jest bezradny, jeśli sam tak nie postanowi”. Żałowała, że nie mogła porozmawiać z nim dłużej.

Zaczynała czerpać z jego obecności taką samą siłę, jaką dawał jej ojciec.

– Chyba powinnam wracać na górę – wymamrotała pod nosem, ale Rory jej nie usłyszał.

– Buntownicy niedługo zazną nowoczesności – powiedział jej narzeczony.
– Charlie Elliot mi opowiadał. Prawie im współczuję.

– Jak możesz tak mówić? Przecież Dan teraz tam jest i z nimi walczy. Może właśnie w tej chwili go tropią albo urządzają na niego zasadzkę.

– Spokojnie, Joan! Przecież świetnie o tym wiem. Myślisz, że ja się o niego nie martwię?

– Jestem pewna, że się martwisz. Może nawet bardziej, niż powinieneś. –

Joan pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała. Spojrzała na niego z iskrą strachu w oczach, ale Rory mówił dalej, jakby niczego nie zauważył.

– Bo są świetnie przygotowani i uzbrojeni? No tak, to prawda. Wprawdzie wróg zdobył przewagę na górze, ale nasi żołnierze są zdecydowanie silniejsi. Musimy sobie po prostu o tym przypominać.

Joan nagle ogarnęła niezrozumiała złość. Wbiła gniewne spojrzenie ponad ramię Rory'ego i dokończyli taniec w milczeniu. Raz czy dwa razy nadepnęła mu na stopę, coraz mniej panując nad ruchami.

– Może pora iść już spać, kochanie – powiedział Rory, kiedy płyta się skończyła.

– Tak. Dobranoc – rzuciła opryskliwie i odwróciła się od niego, zanim zdumienie na jego twarzy mogło złagodzić jej irytację.

Poszła pożegnać się z Robertem i Marian, a potem poszukała wzrokiem Maude.

Starsza kobieta rozmawiała z Abdullahem. Widać było, że mówi mu coś ważnego. Głowy trzymali blisko siebie i wydawali się tak skupieni, że Joan nie chciała im przerywać. Kiedy wreszcie podeszła bliżej, Abdullah podniósł się i zacisnął dłonie przed swoim chandżarem, a Maude spojrzała na nią. Przez chwilę ich twarze były tak nieprzeniknione, obce i nieprzyjazne, jakby jej nie poznawali.

– Ja... dobranoc. Pomyślałam, że przyjdę się pożegnać – powiedziała, a Maude w końcu zdobyła się na lekki, nieuważny uśmiech.

– Dobranoc, Joan – odpowiedziała. – Przypuszczam, że zobaczymy się niebawem. – Odprawiła Joan tak zdawkowo, że ta wycofała się niepewnym krokiem.

Następnego dnia Joan poszła odwiedzić Maude głównie po to, żeby mieć pretekst do wyjścia z Rezydencji. Mimo kaca chciała opowiedzieć odkrywczyni o sobotniej wyprawie do Fahudu, ponieważ była ona jedyną osobą, którą mogła wtajemniczyć.

Kiedy dotarła na miejsce, z domu Maude wychodził właśnie szczupły

mężczyzna z czarnymi włosami i bokobrodami, zarzucając na ramię brudną płócienną torbę. Otaksował Joan spojrzeniem, ale nie zatrzymał się, a potem Abdullah nie wpuścił jej do środka, tłumacząc poważnym tonem, że jego pani musi odpocząć. Trwoniąc bezwstydnie czas, Joan kupiła kawę od handlarza ulicznego, a potem ruszyła do siedziby firmy naftowej w centrum Maskatu, korzystając ze wskazówek udzielonych jej przez nieświadomego Roberta. Chciała być pewna, że trafi tam następnego ranka. Coraz bardziej marzyła o tym, żeby opuścić Maskat i znaleźć się gdzieś indziej.

Charlie powiedział, żeby przysłała do siedziby firmy o świcie, ale Joan i tak nie mogła spać, więc zjawiała się tam jeszcze wcześniej. Wymknęła się z Rezydencji, kiedy służba dopiero zaczynała się budzić. Powiadomiła służącego o zaspanym spojrzeniu, że idzie do panny Vickery i zostanie u niej na kolację, więc nie zdąży przed wystrzałem z działła i wróci nazajutrz. Miała nadzieję, że jej bliscy dostaną tę wiadomość i nikt nie zacznie jej szukać w miarę upływu kolejnych godzin. Liczyła na to, ale właściwie było jej wszystko jedno. Potrafiła myśleć tylko o tym, że zaraz wsiądzie do samolotu i zobaczy pustynię. Niewiele dbała o to, co się z nią stanie później. Zawiązała chustkę pod brodą i sięgnęła po największe okulary przeciwsłoneczne z oprawkami z białego plastiku, które tak rzucały się w oczy, że nie odważyła się ich jeszcze założyć. Do torby zapakowała koszulę i bieliznę na zmianę, koszulę nocną, szczoteczkę do zębów i grzebień. Wzięła tylko te rzeczy, które nadawałyby się na spontaniczny nocleg u Maude na wypadek, gdyby ktoś sprawdził, czy w jej pokoju niczego nie brakuje. Drżącymi palcami niezdarnie włożyła całkiem nową kliszę do aparatu.

Niebo przybrało barwę rybich łusek, a wróble rozcwierkały się w tym samym momencie, gdy w Maskacie zaczęły rozbrzmiewać dźwięki ludzkiej aktywności – trzaskanie i skrzypienie drzwi i okiennic, głos muezzina, nawołujący do pierwszej modlitwy; plusk wody, brzęk zanurzanego w niej wiadra. Joan czekała w małej uliczce obok siedziby firmy, dopóki nie usłyszała szczęku klucza w zamku i męskich głosów na schodach przed

wejściem. Pierwszy mężczyzna mówił z angielskim akcentem, drugi z walijskim.

Kiedy przed firmę podjechał Land Rover, Joan podeszła do niego, starając się śmiało stawiać kroki. Za kierownicą siedział beludżyjski żołnierz w czerwonym berecie pułku w Maskacie. Miała nadzieję, że nie spotkała go w bazie wojskowej. Ze wstydem uświadomiła sobie, że nie zwracała najmniejszej uwagi na twarze Beludżów. Serce podeszło jej do gardła i ugięły się pod nią nogi, ale czuła się znacznie lepiej niż podczas pierwszej wizyty w Al-Dżalali. Zaczynała nawet lubić te doznania – strach i przyływ ekscytacji, gdy go ignorowała; euforię, która ogarniała ją później, gdy udawało jej się zrealizować swój plan bez problemu. Posłała Peterowi Sawyerowi najbardziej przekonujący uśmiech, na jaki było ją stać, i wyciągnęła dłoń, a on potrzęsął nią symbolicznie.

– Panno Seabrook. Proszę do środka – powiedział spokojnie.

Jeśli mężczyzna obok niego sądził, że zostaną sobie przedstawieni, to nie dał po sobie niczego poznać. Wręczył Sawyerowi dyplomatkę wypchaną brązowymi teczkami i uściśnął jego rękę.

– Powodzenia – rzucił do Sawyera. – Spróbuj uzyskać od niego jakąś odpowiedź, o ile to będzie możliwe.

– Jasne – odpowiedział Sawyer. Usiadł z tyłu obok Joan, a Land Rover odjechał sprzed firmy.

– No, całkiem łatwo poszło – stwierdziła, kiedy przekroczyli bramy miasta.

Sawyer uniósł brwi i spojrzał znacząco na kierowcę, a potem na nią, więc Joan ugryzła się w język.

– Proszę nie dzielić skóry na niedźwiedziu – rzekł cierpko.

W Bait al-Faladż Joan nie wysiadała z samochodu do ostatniej chwili. Daniel wyjechał na misję z większością innych oficerów, ale o ile było jej wiadomo, pułkownik Singer nadal koordynował ich działania zza swojego biurka w forcie, a rozpoznać mogło ją też wielu nieznanym żołnierzom, bo kobiety były rzadkim widokiem w bazie. Land Rover potoczył się wzdłuż ogrodzenia

z drutu kolczastego na drugą stronę obozu, gdzie w piaszczystą ziemię wbijał się pas startowy. Oprócz dwóch Pioneerów SAF czekał tam również trzeci samolot – większy i ładniejszy, ze stalowym kadłubem nieprzyprószonym pustynnym pyłem. Po pewnym czasie z bazy wyszedł zamaszystym krokiem pilot i uruchomił bliźniacze silniki, które obudziły się do życia najpierw z terkotem przechodzącym w gromki ryk. Samolot przejechał na początek pasa startowego, a kiedy drzwi się otworzyły, Joan wreszcie wysiadła z samochodu i podeszła dziarsko do schodków na pokład. Znowu czuła się niezwyciężona – spod jej strachu i zdenerwowania przebijała nadzieja, że jest zdolna do wszystkiego.

Spodziewała się, że zaraz ktoś ją zatrzyma, zdemaskuje i odeśle z powrotem do Maskatu pod miażdżącym spojrzeniem Singera, ale ona i Sawyer już wkrótce siedzieli przypięci pasami do siedzeń, otoczeni warkotem silników. Samolot podrygiwał na pasie, nabierając prędkości, a potem poderwał się w powietrze z szarpnięciem, od którego Joan przewróciło się w żołądku. Wykręcała szyję, patrząc przez małe okienko, jak ziemia oddala się coraz bardziej, a stary fort zamienia się w klocek porzucony w piaskownicy przez jakieś dziecko.

Wdychała zapach paliwa i rozgrzanego metalu, zupełnie inny niż w samolocie pasażerskim, i walczyła ze sobą, żeby nie parsknąć śmiechem. Czuła, że radość wzbiera jej w piersiach tak samo jak szloch w chwili, gdy Charlie powiedział jej o tej wyprawie. Siedzący obok niej Sawyer przeglądał dokumenty ze znużoną miną. Kiedy zauważył jej podekscytowanie, posłał jej nieobecne spojrzenie.

– Pierwszy raz w samolocie?! – zawołał, przekrzykując hałas.

Joan pokręciła głową.

– Ale pierwszy raz za górami.

– Dobrze, że buntownicy nadal tak dokładnie zaminowują drogę, bo inaczej wybralibyśmy się w tę podróż ciężarówką. A to dużo mniejsza przyjemność. Elliot mówił, że chce pani zerknąć na Dżabrin i Nizwę?

- Och, bardzo chętnie. Jeśli to możliwe.
- Możliwe – potwierdził Peter. – A od jak dawna jesteście razem?
- Z kim? Z Charliem Elliotem? Nie, nie, nie jesteśmy razem. Ja mam narzeczonego.
- Aha. Rozumiem – powiedział Peter z nieskrywanym sceptycyzmem.
- Mówię poważnie – zapewniła go Joan, ale Peter wrócił do swoich dokumentów. Po dłuższej chwili spojrzął na nią badawczo i dodał:
 - On naprawdę nadstawił karku, żeby znalazła się pani w tym samolocie.Zafascynowana widokiem Joan nic mu nie odpowiedziała.

Lecieli obok pionowych zewnętrznych zboczy Al-Dżabal al-Achdar, dopóki nie wznieśli się na taką wysokość, że patrząc w dół, widziała w oddali płaskowyż. W porannym słońcu wyglądał spokojnie i pusto; wydawało jej się niemożliwe, że żołnierze walczą na nim o życie. Że był tam Daniel, a wkrótce miał do niego dołączyć też Charlie Elliot. Przywarła do okna, jakby w ten sposób mogła dostrzec ich w dole, chociażby jako punkciki na tle skał. Gdzieś tam pojawiały się zielone kępy lasów daktylowych i pól tarasowych, zdradzając lokalizację ukrytych przed wzrokiem wiosek. Były jak tajemniczy ogród z dala od upału i pyłu nadbrzeżnej równiny; zbyt odległy, żeby zaspokoić ciekawość Joan. Gdy mignęły jej przed oczami, jeszcze mocniej zapragnęła zobaczyć je z bliska.

Niewiarygodnie szybko zostawili góry za sobą – w mniej niż godzinę pokonali przeszkodę, która z dołu wydawała się nie do przejścia. Okazało się, że wzniesienia tworzą ścianę, szarpaną bliznę, która biegnie na zachód, znikając we mgle i osłepiającym blasku słońca. Wyglądały potężnie i groźnie, ale były tylko linią graniczną, oddzielającą nadmorskie terytoria sułtana od dzikiego interioru, pustyni rozciągającej się na wiele tysięcy kilometrów. Nagle Joan zrozumiała, dlaczego sułtanowi mogło być trudno przekonać kogokolwiek po drugiej stronie gór, że jest ich naturalnym władcą. To był już inny świat.

Za Al-Dżabal al-Achdar horyzont zniknął w oddali. Samolot odbił lekko

w prawo i leciał niżej, a Peter Sawyer dotknął ramienia Joan, żeby zwrócić jej uwagę.

– To Nizwa – powiedział. Joan spojrzała w dół na bezładne skupisko lepianek i zagród dla kóz i krów, na otaczające je plantacje daktyłowców i ogromny fort w środku Nizwy, którego okrągła wieża przypominała wielki bęben. – Teraz miasto przejął sułtan, ale jeszcze kilka lat temu znajdowała się tu kwatera główna imama. Historycznie zawsze należało do niego. Widzi pani? Tam jest baza wojskowa, z której niedługo będzie działać większość naszych żołnierzy.

– Był pan tam? Na dole?

– Nie. – Peter pokręcił głową. – Nie miałem po co. Sułtan Sa'id bardzo pilnuje, żeby ludzie nie wtrącali się w nie swoje sprawy. Ma pani szczęście, że siedzi w Salali, co?

– Jego gubernator w Maskacie wydaje się równie surowy.

– Sayid Shahab? O tak, czarujący człowiek, nieprawdaż? Na pani miejscu nie wychylałbym się, panno Seabrook. Po co w ogóle chce się pani zapuszczać tak daleko? Nie ma tu nic oprócz piasku i zapchlonych tubylców.

– Ja widzę to inaczej – odpowiedziała po prostu.

Przez jakiś czas milczeli, a miasto przesuwało się pod nimi, by w końcu zniknąć. Później Peter znów wskazał coś palcem.

– Proszę spojrzeć tam: to fort Dżabrin.

Joan wstrzymała oddech, kiedy przelatywali nad miejscem, którego była ciekawa od tak dawna – miejscem, którego miała podobno nigdy nie zobaczyć. Znów rozbłysła w niej iskra emocji i poczuła mrowienie, które mogło zwiastować śmiech albo łzy. Samolot jeszcze raz zakręcił, zataczając łuk w powietrzu, a jego mały czarny cień powtórzył ten manewr na suchej ziemi. Fort składał się z szeregu kształtów, które zdawały się zlewać z podłożem. Starożytna budowla miała kolor bladego piasku.

Ogromne drzewo przed twierdzą rzucało rozległy cień. Joan nie widziała rzeźb ani grobowca dawnego imama; nie widziała malowanych sufitów,

kanałów afladż ani wysokich okien, przez które wpadał zachodni wiatr, niosąc ze sobą żar i smak pustyni. W tym momencie oddałaby duszę za to, żeby przejść korytarzami fortu i odkryć jego sekret. Ale mimo wszystko była tam, była nad Dżabrin i ogarnął ją zachwyty. Poczowała ucisk w żołądku, kiedy samolot zatoczył koło, odbijając ostro w bok, ale nie przejęła się tym. Skoro zdołała tu dotrzeć, to musiał istnieć jakiś sposób, żeby zobaczyć wnętrze twierdzy. A ona mogła go znaleźć. Polecieli dalej, a Joan wykręcała szyję, żeby jak najdłużej nie tracić Dżabrin z oczu w obawie, że to przekonanie zniknie razem z nim.

Podróż trwała jeszcze godzinę. Samolot przemykał nad niewysokimi pagórkami na spękanej płowej ziemi, upstrzonej niekiedy skarłowaciałymi krzewami i wychodniami skalnymi. Obóz nafciarzy znajdował się w zagłębieniu między dwoma płaskimi szczytami, które w porównaniu z urwistym Al-Dżabal al-Achdar wyglądały łagodnie. Joan zobaczyła w oddali gąszcz wież wiertniczych, prostokątne baraki i biura firmy oraz samotny pas startowy, na którym stał jeden samolot.

– Proszę się trzymać – uprzedził ją Peter, kiedy ich maszyna zniżyła lot i ześlizgnęła się na pas, wzbijając potężny kłęb piachu i żwiru.

Po wyjściu z samolotu Joan nie wiedziała, co dalej. Ruszyła za Peterem do czekającego na nich dżipa, nie mając pewności, czy nadal powinna udawać jego sekretarkę. Kierowca, młody mężczyzna z kosmykiem włosów opadającym na czoło i okularami jak denka od butelek, uśmiechnął się do niej wesoło.

– Cześć, kim jesteś? – zapytał, a Joan się zawahała.

– To Joan Seabrook. Przyjechała z wizytą – oświadczył Peter. Poczowała ulgę.

– Joan, to Matthew Jones. Jest geologiem, ale nie mam pojęcia, czym się właściwie zajmuje.

– Chyba nie jesteś dziennikarką? Sułtan dostałby szału – powiedział Matthew.

– Nie. Nie, jestem... turystką – wyjaśniła Joan.

– Aha, to w porządku. Może filiżankę herbaty?

– Poradzisz sobie, Joan? Nafciarze się tobą zaopiekują, a w kantynie zjesz dobry lunch. Najpewniej zobaczymy się tam po moim spotkaniu – rzekł Peter, a Joan skinęła głową.

Obozowe budynki wzniesiono na palach, przez co wyglądały jak ogromne nadmorskie chaty. Wszystkie były niemal sterylne czyste, a ich budowa musiała sporo kosztować. Niedaleko od nich stały chaty z dachami krytymi liśćmi palmowymi. Matthew wyjaśnił, że mieszkają w nich miejscowi pracownicy. Zaprowadził ją do jednego z domów na palach i pokazał jej pokój, w którym miała nocować. Był mały i uporządkowany. Stało w nim w łóżko z białą pościelą, stolik nocny z lampką i niewielki fotel z prostym oparciem. Obok znajdowała się łazienka z prysznicem.

– Cały czas leci ciepła woda. Nie pij jej! Pompują ją spod ziemi, więc jest paskudna. Poza tym dostaniesz od niej sraczki... och, przepraszam! Wybacz, nie widzimy tu zbyt wielu kobiet. A dokładniej: żadnych. Łatwo zapomnieć o dobrych manierach. – Matthew spłonął lekkim rumieńcem, a Joan uśmiechnęła się do niego. Pokój był nieskazitelnie czysty i miał klimatyzację. – Co cię tu sprowadza? To dziwne miejsce na wakacje.

– Lubię być oryginalna – odparła Joan, bawiąc się wizerunkiem, jaki dla siebie stworzyła.

– Bez wątpienia jesteś pierwszą urlopowiczką, jaka nas odwiedziła.

– Czy mogę pójść na spacer? – zapytała. Matthew wyglądał na zaskoczzonego, ale wzruszył ramionami.

– Jasne, jeśli masz ochotę. Tylko nie odchodź daleko, dobrze? I nie zbliżaj się do wieży wiertniczej. Jeśli wpadniesz do jakiejś dziury, będę miał kłopoty. Właściwie najlepiej będzie, jak znajdę kogoś, kto pójdzie z tobą.

– Nie, nic mi nie będzie, naprawdę. Obiecuję, że nie zrobię sobie żadnej krzywdy.

Teren był twardy i kamienisty, ale Joan miała na nogach skórzane sandały z Anglii, więc szło jej się dużo łatwiej niż po miękkim piasku. Ruszyła w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przylecieli, zostawiając za sobą

wieże wiertnicze i góry pokryte dziwnymi żłobieniami. Szła jakieś pół godziny prosto przed siebie, dopóki obóz nacierzy nie zniknął z widoku za lekkim wzniesieniem. Wtedy zatrzymała się i spojrzała na południowy zachód, gdzie zaczynały się piaski Ar-Rab al-Chali, czyli Pustego Kwartału. Nie widziała jego wydm, ale miała wrażenie, że czuje ich smak i zapach. Wiedziała, że latem musiał tu panować znacznie większy skwar, ale słońce i tak paliło jej głowę i ramiona. Nigdy wcześniej nie oddychała równie suchym powietrzem – wchłaniało wilgoć z jej nosa, ust, skóry i oczu. Jedynym dźwiękiem był delikatny szmer bryzy – poza tym panowała cisza.

Joan stała nieruchomo, zapatrzona w odległy horyzont, a jej serce zwolniło, dostosowując się do niewidzialnego rytmu świata wokół niej. Para kruków przysiadła na pobliskiej skale i przyglądała się jej bacznie, ale nie licząc ich, była zupełnie sama z otaczającą ją zewsząd pustynią. Kiedy poczuła pierwszy lekki impuls, żeby ruszyć dalej, nie zatrzymując się, i zobaczyć, dokąd zawiodą ją nogi, zaczęła rozumieć, co skłoniło do tego Maude Vickery i innych.

Nie mogła się nadziwić, że Maude zdołała z tego zrezygnować. Na moment zapomniała o istnieniu swojego brata, matki, Rory'ego. Przez jedną krótką chwilę było tak, jakby sama nie do końca istniała – przynajmniej nie w tej postaci, którą знаła, a to wrażenie niosło ze sobą poczucie absolutnej wolności.

Celowo wróciła do obozu, zanim ktokolwiek mógł zacząć się o nią martwić. Przyszła pora na lunch i kantyna była pełna ludzi, a nawet po tak krótkim czasie w pustynnej ciszy Joan drażnił panujący tam hałas i rozgardiasz. Rozglądała się wokół siebie niepewnie, dopóki nie zauważyła Petera Sawyera, który przywołał ją do swojego stolika. Siedział tam również Matthew Jones i kilku innych mężczyzn, którym została przedstawiona.

– I jak ci się podoba nasza mała oaza? – zapytał Matthew, kiedy usiadła.

– Jest imponująca. Ale prawdę mówiąc, bardziej interesuje mnie pustkowie, które ją otacza.

– No proszę, fanatyczka pustyni. Spotkałem już takich jak ty – stwierdził Peter. – Piwa? Mamy go tu pod dostatkiem, ale obawiam się, że mocniejsze trunki nie wchodzą w grę.

– Dzięki. Byłeś tam kiedyś? – zapytała Joan. – W Pustym Kwartale? A wy? Widzieliście wydmy? – Wszyscy przy stole pokręcili głowami, mrużąc „nie”.

– Niby po co? – zdziwił się Matthew. – Nie ma tam ropy.

– Ale... nie korci was, żeby je zobaczyć, skoro mieszkacie tak blisko? – Mężczyźni spojrzeli po sobie z rozbawieniem.

– Lepiej wsadźmy cię z powrotem do samolotu, zanim całkiem zdiczejesz, mała – odezwał się mężczyzna z australijskim akcentem.

Joan zerknęła z niepokojem na Petera, a on uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie martw się, wracamy dopiero jutro, a jeśli poprosisz o budzenie o świcie, możesz wstać na wschód słońca; bywa naprawdę spektakularny. Poza tym nie możemy dopuścić, żebyś minęła się ze swoim wieczornym gościem – powiedział.

– Z kim?

– Nieważne. Co zamawiasz? Dają tu doskonałe steki i ogony homarów.

Lunch był uderzająco bogaty i smaczny, biorąc pod uwagę, że serwowano go w prostym budynku setki kilometrów od świeżej wody i produktów. Kucharzom udało się jakimś sposobem zdobyć steki z polędwicy wołowej, świeże warzywa, śmietanę i czekoladę.

– Pieniądze – wyjaśnił krótko Peter, kiedy Joan skomentowała ten przepych. – Całe mnóstwo pieniędzy. A jeszcze nie znaleźliśmy nawet kropli tej cholernej ropy.

Joan pomyślała o osadzonych w Al-Dżalali, którzy nie mieli nawet wystarczająco dużo wody do picia. Więzienie i obóz zdawały się należeć do różnych wszechświatów. Choć czuła się winna, objadła się po uszy, a potem musiała odespać ten posiłek. Po przebudzeniu znalazła salę klubową, gdzie pracownicy po skończonej zmianie grali w piłkarzyki i czytali gazety, ale nie zabawiła tam długo. Wypiła szybką kawę i znów zanurzyła się w spokój

i samotność pustynnego krajobrazu. Tym razem odeszła jeszcze dalej i usiadła na niewygodnym głazie, żeby popatrzeć, jak słońce zachodzi wśród niemej eksplozji pomarańcza i rózu. W trakcie tego spektaklu wiatr zmienił kierunek i ze świstem owiewał jej ramiona od tyłu, jakby słońce zabierało ze sobą powietrze. Gdy ostatni skrawek światła zniknął za horyzontem, temperatura wyraźnie spadła. Joan obserwowała to wszystko; zauważała każdy szczegół, dając się całkowicie pochłoniąć tym doznaniom. Świadomie opróżniła swój umysł, co orzeźwiło ją jak dobrze przespana noc. Kiedy usłyszała za plecami terkot uruchamianego w obozie generatora, ruszyła z powrotem przez zapadające ciemności. Czuła się starsza i mądrzejsza – i nie przejmowała się, że to wrażenie mogło być tylko iluzją, a nie rozwiązaniem jej problemów.

Przeszła obok domków krytych liśćmi palmowymi, czyli kwater arabskich pracowników. Zobaczyła tam czterech mężczyzn przykucniętych na piętach wokół rozpalonego niedawno ogniska. Byli ubrani w spłowiałe tuniki i sarongi typowe dla pustynnych plemion, a stopy mieli bose lub wciśnięte w znoszone buty ze skóry. U pasa każdego z nich wisiał sztylet. Siedzieli oparci o kolby starych karabinów Martini, żeby nie stracić równowagi. W blasku ogniska wyglądali jak własni przodkowie sprzed setek lat, parzący kawę we wgniecionym cynowym garnku z ziarnami granatu w pokrywce, których grzechotanie miało odstraszyć dzinna. Nagle Joan zauważyła, że jeden ze starszych mężczyzn nie widzi na jedno oko – było zamglone, a spuchnięte, zaczerwienione powieki niemal się zasklepiły; wzdłuż linii policzka biegł mu zaschnięty ślad brudnych łez. Drugi miał zapadnięty policzek i kręgosłup skrzywiony tak, że jedno ramię sterczało wyżej niż drugie. Ich bezruch zaczął kojarzyć się Joan z apatią; obraz stoickiej beczasowości zaburzyły oznaki cierpienia i rozkładu.

Przed kolacją Joan odświeżyła się na tyle, na ile zdołała w tych warunkach. Nie wiedziała, czy będzie to formalne przyjęcie, ale miała ze sobą tylko koszulę na zmianę, więc po prysznicu założyła ją do spodni, już bez nieporęcznej spódniczki na wierzchu. Przed prostym kwadratowym lusterkiem

przeznaczonym dla mężczyzny wyczesła sobie piasek z włosów. Nagle dotarło do niej, że przez cały dzień nie pomyślała o Rorym ani o Gibsonach. Zaczęła się zastanawiać, czy dostali jej wiadomość i przyjęli ją za dobrą monetę, czy może wyruszyli na poszukiwania i odkryli, że zniknęła. Wydawało jej się to czymś bardzo odległym. Uznała, że chwilowo może zignorować swoją sytuację, chociaż będzie się musiała z nią zmierzyć po powrocie. W końcu podróż do Fahudu była tylko odwlekaniami nieuniknionego – odroczeniem, które zawdzięczała Charliemu. Nie mogła się doczekać, aż powie Maude, że była na skraju pustyni i nawet ów ulotny moment pozwolił jej lepiej zrozumieć to miejsce. Obiecanym gościem, który zjawił się na kolacji, okazał się Charlie Elliot. Nie było w tym nic dziwnego, bo przecież nikt inny nie wiedział, gdzie jej szukać – a jednak Joan zaskoczył jego widok.

Kiedy stanęła w holu kantyny, podniósł się z szerokim uśmiechem i podszedł do niej.

– I jak? Przyjrzałaś się twierdzy Dżabrin? – zapytał spokojnie.

Joan skinęła głową, Nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu.

– Tak. To było niesamowite, Charlie... dziękuję. Dziękuję, że to zorganizowałeś... chyba zapomniałam to powiedzieć w Maskacie.

– Owszem, zapomniałaś – wytknął jej Charlie. – Ale wybaczam ci. W końcu miałaś to wypisane na twarzy. Chyba jeszcze nikt tak się nie cieszył z wycieczki do obozu nafcjarzy.

– Nie chodziło o obóz, przecież wiesz. Chodziło o to, żeby się... wydostać. Z Maskatu.

– Tak, wiem. Pewnie czujesz się jak... w klatce – powiedział.

Zakłopotana Joan odwróciła wzrok, bo miała wrażenie, że nie rozmawiają już o Maskacie.

– Poszłam na skraj pustyni. Jest cudowna.

– Naprawdę? – Głos Charliego zabrzmiał sceptycznie. – A nie cholernie ponura, jałowa i wymarła?

– Nie, nic podobnego.

- Ja zdecydowanie wolę dżunglę. Albo przynajmniej las.
- Dlaczego tu jesteś, Charlie? To znaczy, skąd się tu w ogóle wzięłeś?
- Wczoraj wszyscy przenieśliśmy się do Nizwy. Przekonałem dowódcę, że to dobry pomysł, żebym przyjechał tu porozmawiać z dyrektorem generalnym nafciarzy o problemach z minami. Są nimi trochę rozdrażnieni, mówiąc oględnie, bo ciągle tracą ciężarówki w drodze na wybrzeże, a sporo płacą za prawo korzystania z drogi. Pomyślałem, że warto odwiedzić ich osobiście i poinformować o postępach. Dowódca zorientował się, że coś tu nie gra, ale mam u niego chody. Powiem ci, że to długa i nudna przejażdżka.
- Wszyscy żołnierze wyjechali do Nizwy? Więc zaraz się zacznie, tak? Szykujecie ostateczny atak. – Joan pomyślała o potężnych skałach, o czarnych wawozach, przypominających pułapki gotowe się w każdej chwili zatrzasnąć, i bladym pasie skóry na linii włosów Daniela. Poczuła, jak w brzuchu zaciska jej się mały, zimny supeł.
- Jakiś atak na pewno. Kto wie, czy okaże się ostateczny? Ale postaram się, żeby tak było. – Uśmiechnął się, a Joan przyszło znów do głowy, że ta brawura to tylko poza, a jego arogancja jest maską. – Usiądźmy, Joan. Umieram z głodu.
- Kolacja była równie smaczna jak lunch, a piwo znów lało się strumieniami. Głos Joan niemal nikł wśród wszechobecnego gwaru męskich rozmów; była jedyną kobietą przy stole i przyciągała wiele zaciekawionych spojrzeń, ale nie dostrzegła w nich jawnej urazy. Charlie dużo mówił i dużo żartował, a pozostali zdawali się orbitować wokół niego, jakby próby przyćmienia go nie miały sensu. Joan widziała, jaki wywiera na nich efekt, dlatego potrafiła oprzeć się tej sile grawitacji, którą zjednywał sobie towarzyszy. Przypomniało jej się, co Marian mówiła o jego reputacji. Nie była zaskoczona, że uchodził za kobieciarza. Droczyła się z nim łagodnie i nie poddawała jego urokowi, chociaż z każdym łykiem piwa stawało się to coraz trudniejsze.
- Ile macie czasu? – zapytał go w którymś momencie Peter.
- Wszystkie oddziały brytyjskie mają opuścić Oman najpóźniej do kwietnia
- odpowiedział Charlie. – Tak postanowił Rząd Jej Królewskiej Mości.

Zbliża się szczyt ONZ w sprawie Bliskiego Wschodu, a po tym całym zamieszaniu z Kanałem Sueskim nie chcemy się wydać zbyt kolonialni. Szkoda, że nie słyszeliście, co Radio Cairo bredzi na temat naszego zaangażowania. Można by pomyśleć, że cała armia brytyjska ponieważ niewinną ludność miejscową, chociaż tak naprawdę jest nas tu garstka, a oni stale krzyżują nam szyki ze swojej cholernej góry.

– A czy my w ogóle powinniśmy tu być? – wtrąciła Joan. – Słyszałam, że tylko pomagamy sułtanowi dobrać się do ropy, która w rzeczywistości wcale do niego nie należy. W końcu zgodnie z tradycją nie ma żadnej władzy nad interiozem.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią i zapadła pełna zdumienia cisza. Po chwili rozległy się śmiechy, a kilku żołnierzy uniosło brwi i gwizdnęło z niedowierzaniem.

– Do licha, Joan Seabrook, z kim ty się zadajesz?! – zawołał Charlie, a Joan spłonęła rumieńcem.

– Z nikim – rzuciła szybko. – Po prostu to... podsłuchałam.

– No cóż, ten „nikt” może mieć rację – stwierdził Peter, wzruszając ramionami. – Ale jak sądzisz, kto przekonał imama, że ropa należy się jemu? Jak sądzisz, kto zbroi i szkoli jego wojowników?

– Nie wiem.

– Saudyjczycy – odpowiedział Charlie. – A jak sądzisz, kto rozciąga ambicje Saudyjczyków poza granice Omanu i sprzedaje im broń?

– Amerykanie – odezwał się Australijczyk.

– Och – szepnęła Joan, czując się głupio.

– To gra o strefy wpływów, toczona rękami pośredników – podsumował Charlie. – Jak większość wojen. Zachód na pozór nie ma z tym nic wspólnego, więc jego przywódcy mogą się uśmiechać i ścisnąć sobie dłonie przy fotoreporterach.

– Och, dość tej cholernej polityki – zachnął się Australijczyk. – Pij piwo i nie myśl o tym za dużo, to moje motto.

– Racja! – zawołał Charlie, unosząc kufel, a rozmowa zesłała na mniej poważne tematy.

Joan przez jakiś czas jadła w milczeniu, zastanawiając się, czy Salim wie o warstwach interesów i chciwości, jakie skrywał ten konflikt. Chciał dać Omańczykom wolność, żeby mogli sami reformować swój kraj, bez obcych wpływów; nie wspominał nic o Saudyjczykach ani Amerykanach. Nie była pewna, czy powinna poruszyć z nim ten temat; coś jej mówiło, że popełniłaby nietakt.

– Miałam cię o coś zapytać – zwróciła się do Charliego później, pochylając się w jego stronę. – Jak myślisz, dlaczego Maude wyraziła się tak o twoim ojcu? Rozmawiałeś z nią jeszcze? Dowiedziałeś się, o co jej chodziło?

Z twarzy mężczyzny zniknął uśmiech.

– Próbowałem, ale obstawała przy swoim i nie chciała rozwinąć tematu. Stwierdziła, że nie ma sensu rozmawiać z kimś, kto nic nie słyszy.

– Ojej. To rzeczywiście w jej stylu.

– A dlaczego tak się o nim wyraziła? Nie mam pojęcia. Może to gorycz porażki? Albo coś więcej, może uważa, że źle wyszła na jakichś dawnych rozliczeniach. Ale mój ojciec nie jest kłamcą i na pewno nie jest złodziejem. Nigdy nie spotkałem bardziej honorowej osoby: nie da się go zdeprawować, chociaż Bóg jeden wie, że jako chłopiec starałem się ze wszystkich sił. Jest dużo lepszym człowiekiem niż ja – wyrzucał z siebie Charlie coraz bardziej ściśniętym głosem.

– Skoro tak, to nieważne, co mówi Maude – uspokajała go Joan.

– Racja. Ale niemiło mi się tego słuchało. Pewnie tobie byłoby łatwiej wybadać, o co jej chodziło, niż mnie. W końcu jesteś jej zaufaną emisariuszką.

– Jak to? O czym ty mówisz? – Przez jedną straszną chwilę Joan myślała, że w jakiś sposób dowiedział się o jej wizytach u Salima.

Charlie podniósł wzrok i uśmiechnął się z zastanowieniem.

– O tym, że jesteś jej przyjaciółką. I to prawdopodobnie jedyną. A co masz na sumieniu? Wyglądasz, jakbyś poczuła się bardzo winna.

– Nic, oczywiście, że nic – odpowiedziała, próbując zapanować nad mimiką twarzy.

Charlie zachichotał, kręcąc głową.

– Wiesz, naprawdę nie sądziłem, że tu przyjedziesz. To znaczy, wiedziałem, że spodoba ci się ten pomysł, ale podejrzewałem, że kiedy przyjdzie co do czego, okażesz się zbyt rozsądna i zbyt uczciwa, żeby wyprowadzić wszystkich w pole. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy to nie wierzchołek góry lodowej – powiedział.

Joan uśmiechnęła się do niego; wypite piwo dodało jej animuszu. Miała ochotę opowiedzieć Charliemu o Al-Dżalali, ale zdołała się powstrzymać.

– Możliwe – rzuciła tylko, a on znów parsknął śmiechem. – Tata zawsze mi powtarzał, żebym była odważna. Chyba staram się pójść za jego radą.

– Jak umarł? Jeśli mogę zapytać?

– Och... tak, możesz. – Joan zaschło w gardle i miała wrażenie, że język urósł jej w ustach. – Rozbił samochód – powiedziała. – A właściwie inny samochód rozbił się o niego. Wracał do domu z pracy tą samą drogą, którą wcześniej pokonał tysiąc razy.

To był pierwszy deszczowy dzień od dawna, więc jezdnia zrobiła się śliska od nagromadzonego brudu i wody. Joan poszła na miejsce wypadku i widziała długie, czarne ślady na asfalcie, zostawione przez drugi samochód, który skręcił zbyt ostro, by kierowca mógł nad nim zapanować.

– To... to się stało bardzo szybko. Tak powiedział nam lekarz. – Przełknęła ślinę. – Mówił, że gdy samochód zajął się ogniem, tata już nie żył.

Charlie zmarszczył brwi i na chwilę wbił wzrok w dłonie. Joan widziała, jak bierze głęboki oddech. Gdy opowiadała o wypadku ojca, serce wciąż biło jej jak młot, a palce zaczynały drżeć, jakby wszystko miało wydarzyć się jeszcze raz, jakby mogła temu jakoś zapobiec.

– Przynajmniej tyle – odezwał się w końcu Charlie. – My... nie jesteśmy tego pewni w przypadku Thomasa. – Joan nic nie powiedziała, tylko patrzyła na niego wyczekująco. Spojrzał jej w oczy i zobaczyła, że mówiąc o tym,

czuje dokładnie to samo co ona. – Mojego brata, Toma. Był we flocie handlowej, ale umarł na łądzie. I to w pubie w Hackney, wyobrażasz sobie? Na budynek spadła bomba zapalająca i zapłonął jak pochodnia. On... oni... wielu ludziom nie udało się wydostać.

– Ale ludzie tracą przytomność od dymu dużo wcześniej, niż dotrą do nich płomienie – rzuciła desperacko Joan.

Charlie skinął głową.

– Tak. Lepiej myśleć o tym w ten sposób.

– Miałeś czterech braci – powiedziała Joan.

Znów skinął głową.

– Kenny’ego, Toma, Jamesa i Eliasa. – Oczy Charliego przybrały zawzięty, rozgniewany wyraz. Podniósł cztery palce. – Utonięcie, bomba, Dunkierka, Dunkierka – wyliczył, zginając je po kolei.

– Twoi biedni rodzice – westchnęła Joan.

– Chyba z Kennym było najgorzej. Miał dopiero dziesięć lat. Pływaliśmy razem w rzece, a prąd porwał go i zniósł na drugą stronę tamy. Prześladowała nas myśl, że powinniśmy byli coś zrobić... jakoś do tego nie dopuścić. Mnie, siedmiolatka, dotyczyło to mniej. Ale James i Elias mieli do siebie pretensje.

– Potworność – powiedziała Joan. Wiedziała, że to za mało, ale miała świadomość, że żadne słowa nie pomogą w tej sytuacji. – Potworność – powtórzyła. – A teraz i ty wstąpiłeś do armii. Rodzice na pewno chcieli cię gdzieś schować, owinąć papierem do pakowania i wyjmować tylko na specjalne okazje.

– O tak. Ale nic się nie martw, nie mam zamiaru dać się zastrzelić – odparł, a jego głos zabrzmiał znów zawadiacko.

Joan zobaczyła jeszcze wyraźniej, że to tylko tarcza ochronna, i poczuła żal, że Charlie tak chętnie się za nią chowa.

Olive, Daniel, Rory i Joan nie rozmawiali już ze sobą o wypadku jej ojca. Była pewna, że inni nadal o nim myślą – że wciąż nie daje im spokoju, tak samo jak jej, ale kiedy poruszała ten temat, reakcją było zawsze pełne napięcia

i urazy milczenie, albo, co gorsza, łzy matki i oskarżenia, że niepotrzebnie rozdrapuje rany. „Nie ma co tego rozpamiętywać”, powiedział Rory ostatnim razem, gdy próbowała podzielić się z nim swoim żalem. Dlatego nie wspominała już śmierci ojca przy najbliższych. Dalsi znajomi przestali o nią pytać znacznie wcześniej. Krępowwała się sama zacząć taką rozmowę, żeby nie psuć przyjemnej atmosfery; widziała też, jacy są zakłopotani, gdy o tym mówi. Mimo to źle się czuła, ignorując coś tak ważnego, co odmieniło całe jej życie. A teraz, gdy opowiedziała o tym Charliemu, atmosfera wcale się nie zepsuła. A on nie wydawał się urażony ani skrępowany. Prostota, z jaką mówił o własnych stratach, dała jej kojące poczucie, że rozumiał, dlaczego potrzebowała opowiedzieć o swojej. Chciała dodać coś jeszcze, choć nie wiedziała co. Miała wrażenie, że zwierzenia i otwartość przyniosłyby jej ulgę, ale odpowiednia chwila minęła, a Charlie machał już do kelnera, żeby doniósł im piwa.

Na koniec wieczoru Charlie wyszedł z kantyny razem z Joan, odprowadzany porozumiewawczymi spojrzeniami i mrugnięciami kolegów. Ujął jej dłoń i położył ją sobie w zgięciu łokcia, a Joan podobał się ten gest, choć uruchomił w niej dzwonek ostrzegawczy. Poczowała się dziwnie – zdała sobie sprawę, że oprócz Rory’ego żaden mężczyzna spoza rodziny nie trzymał jej w ten sposób. Minęli domki pracowników i weszli nieco głębiej w ciemność. Zaniepokojona Joan wyswobodziła rękę i zrobiła krok w tył.

– Nie panikuj. Spójrz w górę – powiedział Charlie.

Sięgnął do kieszeni po papierosa i szukał w niej zapalniczki, a Joan uniosła brodę i zapatrzyła się w niebo.

Pierwszy raz widziała tyle gwiazd; tworzyły koc, który zdawał się rozświetlać ciemność. W niczym nie przypominały tych kilku białych punkcików, które znała z Anglii. Droga Mleczna była ogromną, szarofioletową smugą, ciągnącą się przez całe niebo. Joan dostrzegła wszystkich siedem Plejad – dotąd udało jej się zobaczyć tylko pięć. Oszłołomił ją ten ogrom, to bogactwo.

– Robi wrażenie, prawda? – odezwał się cicho Charlie. – To jedno muszę przyznać pustyni. Ma najlepsze nocne niebo na świecie.

– Jest piękne. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Nad ich głowami rozbłysła i zgasła spadająca gwiazda, a kilka sekund później następna. Joan zastanawiała się, czy nie pokazać ich Charliemu, ale ostatecznie postanowiła zachować je dla siebie. To, czego chciała sobie życzyć, nie dawało się jednak ująć w słowa. Zamiast tego przywołała z pamięci niedawne uczucie odwagi i wolności – i właśnie o nie poprosiła.

Oszołomiona piwem zadzierała głowę dopóty, dopóki gwiazdy nie zaczęły wirować jej przed oczami, a wtedy z uśmiechem przeniosła znów wzrok na Charliego. W milczeniu wyciągnął do niej swojego papierosa, a ona go przyjęła.

– Moja matka nie znosi, kiedy palę – powiedziała. – Mówi, że to pospolity zwyczaj. I że robią się od niego zmarszczki na ustach.

– Wiesz, Joan, nie jesteś już dzieckiem. Spójrz tylko, dokąd dotarłaś! Pomyśl o wszystkich zasadach, które złamałaś. Co by powiedziała na to? – zapytał.

Joan nie odpowiedziała. Na myśl o matce poczuła się zawieszona między miłością a niechęcią. Ciągnęło ją do domu i bezpieczeństwa, jakie zapewniał, ale pierwszy raz przyszło jej do głowy, że on też mógł być pułapką, gotową zatrasnąć się w każdej chwili. Pokręciła głowę z uśmiechem, a wtedy Charlie podszedł bliżej, położył jej dłoń na policzku i zaczął ją całować. Przez moment pozwalała mu na to, zafascynowana twardością jego ust po miękkich całusach Rory'ego; sztywnymi, kłującymi włoskami pod nosem i na podbródku mężczyzny; tym, jak napierał na nią, rozchylając lekko wargi, czego nigdy nie robił jej narzeczony. Smakiem piwa i papierosów na jego języku, a potem w jej ustach. Nagle poczuła coś jeszcze: jego własny, charakterystyczny smak, nieznamy, ale przyjemny, tak jak jego zapach, który wypełniał jej nozdrza, i ciepło jego dłoni na jej skórze. Pocałunek stawał się coraz mocniejszy, Charlie objął ją ciasno, a Joan przeszył dreszcz pożądania i zesztyniała w jego ramionach. Później odwróciła twarz i odsunęła się od niego. Wizja

domu i powrotu do dawnego poczucia bezpieczeństwa oddalała się coraz bardziej. Z Charliem nigdzie nie była bezpieczna.

– Przestań! – krzyknęła.

– Co się stało? Joan, chcę tylko... – Trzymał ją jeszcze przez kilka sekund, ale Joan nie rozluźniła się, więc opuścił ręce.

Zrobiła krok w tył, położyła mu obie dłonie na piersi i mocno go odepchnęła.

– Powiedziałam: przestań!

– Dobrze, już dobrze, przecież przestałem, prawda? Nie musisz się na mnie rzucać.

– Co ty sobie wyobrażasz? Jestem zaręczona, poznałeś mojego narzeczonego!

– Wiem, ale...

– Ostrzegano mnie przed tobą, wiesz? Boże, to dlatego zorganizowałeś tę wycieczkę? Myślałam, że chcesz być miły... ale tobie wydawało się, że mnie kupiłeś, tak? Uznałeś, że jestem ci teraz coś winna?

– Nie! To nie tak. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko podobasz mi się, to wszystko. I myślałem, że ja ci się też podobam. – Charlie zaciągnął się papierosem, a w jego słabym świetle Joan zobaczyła, że jej towarzysz zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

Wydawał się speszony i pełen skruchy. Poczwała, że jej gniew słabnie.

– Och, nawet gdybyś mi się podobał, to nie miałyby żadnego znaczenia, prawda? Jestem zaręczona. Niedługo wychodzę za mąż za mężczyznę, którego kocham – powiedziała.

Charlie spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Przecież... nie możesz za niego wyjść, Joan. On jest pederastą. Jakie to byłoby małżeństwo?

– Co? O czym ty mówisz? On mnie kocha. Rory mnie kocha! – zawołała.

Miała nadzieję, że jeśli powie to wystarczająco głośno, Charlie jej uwierzy.

Sama potrzebowała sobie uwierzyć.

– Joan... może to prawda. Może cię kocha, ale nie tak, jak powinien. Oboje widzieliśmy, co się stało w namiocie twojego brata tamtej nocy i...

– Nie! Zamknij się, nie będę cię słuchać! – Joan na chwilę zakryła uszy dłońmi, ale poczuła się idiotycznie.

Serce waliło jej tak szybko, że niemal nie czuła przerw między uderzeniami. Chciała być zła, chciała być zła na Charliego, ale uczucie, które ją ogarnęło, przypominało raczej strach.

– Joan, pamiętasz, jak przed chwilą rozmawialiśmy, że nie jesteś już dzieckiem?

– To nie ma z tobą nic wspólnego. Rozumiesz? Ty nie masz z nami nic wspólnego! – Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie.

Szedł za nią przez jakiś czas, wołając ją po imieniu, ale nie zwracała na niego uwagi. Wróciła do pokoju i stanęła oparta o drzwi, nie włączając nawet światła. Nie chciała zobaczyć swojego odbicia w lustrze; matka zawsze jej powtarzała, że brzydko wygląda zapłakana.

Następnego ranka przyszła na śniadanie z bólem głowy i strachem w sercu, ale Charliego nie było. Peter powiedział jej, że o świcie wyruszył w drogę powrotną do obozu w Nizwie.

Joan z ukłuciem żalu uświadomiła sobie, że nie wstała na wschód słońca – a to mogła być jej jedyna szansa, żeby zobaczyć początek dnia na pustyni. Sięgnęła po filiżankę herbaty i świeżo upieczoną, jeszcze ciepłą bułkę i usiadła bliska łez, obwiniając za wszystko Charliego Elliota. Po śniadaniu wsiadła do samolotu w rozpaczliwym milczeniu, bo spokój i spełnienie, jakie odnalazła poprzedniego dnia, topniały z każdą chwilą. Czuła tylko smak i dotyk warg Charliego, cała reszta zniknęła. Przez dwugodzinny lot wyglądała chciwie przez okno, chłonąc krajobraz, próbując go równocześnie zapomnieć i zapamiętać. Peter Sawyer zostawił ją własnym myślom, wyraźnie zdziwiony tą zmianą nastroju. Około dziesiątej wylądowali bez żadnych problemów w Bait al-Faladż. W obozie panowała nietypowa cisza – zwykła krzątanina

żołnierzy ustała, bo większość przeniesiono do Nizwy. Ten bezruch natchnął Joan melancholijnym poczuciem, że wszystko się kończy, a życie toczy się dalej, zostawiając ją w tyle. Podeszła do czekającego samochodu, nie zadając sobie specjalnego trudu, żeby się zasłonić. Jeszcze nie zaczęła przejmować się rzeczami, na których powinno jej zależeć.

Gdy wróciła do Rezydencji, ogarnął ją jednak lekki niepokój. Robert zniknął już w swoim gabinecie, ale Marian i Rory siedzieli na tarasie, kończąc śniadanie. Zanim Joan do nich wyszła, przystanęła na chwilę, żeby zebrać się w sobie i przywołać na twarz promienną minę.

– O, jesteś. Właśnie się zastanawialiśmy, kiedy wrócisz – powiedziała Marian, zsuwając okulary przeciwsłoneczne niżej na nosie i zerkając sponad nich na Joan. Wyglądała nieskazitelnie. W spojrzeniu żony Roberta było coś znaczącego, a Joan nagle zdała sobie sprawę z pyłu pokrywającego jej ubranie i pieczenia warg w miejscu, gdzie obtarł je pocałunek Charliego. Nerwowym gestem wytarła dłonie o siedzenie spodni. – Dobrze się bawiłaś w wielkim świecie?

– W wielkim świecie? – powtórzyła Joan. Nagle zaschło jej w gardle.

– Tak, po drugiej stronie bram, w domu Maude Vickery?

– Aha! Tak. Dziękuję, spędziłyśmy razem uroczy wieczór. Ale żałuję, że przegapiłam tutejsze śniadanie, bo tam było mało wyszukane.

– Och, zostało mnóstwo jedzenia. – Marian sięgnęła po dzbanek. – Herbaty?

Niedługo później Marian zeszła z tarasu, zostawiając Joan w towarzystwie Rory'ego. Był milczący; Joan uświadomiła sobie, że od jej powrotu nie odezwał się ani słowem. Zbyt późno zorientowała się, że nie chce być z nim sama. Sącząc wystygłą herbatę, zaryzykowała szybkie spojrzenie w stronę narzeczonego i zauważyła jego dziwny wyraz twarzy. Wyglądał na wypoczętego – nie miał cieni pod oczami, ale z jakiegoś powodu wydawał się też trochę starszy: brwi opadły mu niżej i pojawiła się między nimi mała zmarszczka; zaciskał też usta, czego zwykle nie robił. Odniosła niepokojące wrażenie, że w jego skórze kryje się dwóch ludzi, z których jeden jest kimś

zupełnie obcym. Odchrząknęła i spróbowała się uspokoić.

– Nic nie mówisz, Rory – zaczęła. – Wszystko w porządku?

– Nie jestem pewny – odpowiedział, spuszczać oczy na swoje dłonie, którymi kruszył kawałek skórki od chleba na stole. Joan naszło złe przecucie, ale nie odezwała się. – Dziś rano po otwarciu bram poszedłem do domu Maude. Pomyślałem, że odprowadzę cię do Rezydencji albo zaproszę na śniadanie do tej kawiarenki na nabrzeżu, do której przychodzą na kawę wszyscy przewoźnicy. – Rory strzepnął okruchy ze stołu wzburzonym, zamasztyłym gestem. – Ale ciebie tam, rzecz jasna, nie było. Tak samo jak wczorajszej nocy. – Podniósł wzrok, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy; w głowie miała zupełną pustkę. – To jak, Joan, powiesz mi, gdzie byłaś... i z kim?

Palestyna i Syria, kwiecień 1905

Drogi Nathanielu, dziś poznałam niesamowitego człowieka – jestem pewna, że musiał mieć ponad sto lat. Z prawdziwą dumą oprowadził mnie po ruinach bazyliki z piątego wieku, w których mieszka, a ja zastanawiałam się, kiedy się tam sprowadził i czy pamięta jej budowniczych! Dałam się ponieść fantazji, co jest łatwe, kiedy spędza się tyle czasu sam na sam z własnymi myślami.

Maude przerwała, żeby potrzebować zmarznięte palce, w których niemal straciła czucie. „Jak się miewasz? Jak Afryka?” Po tych pytaniach poddała się i odłożyła pióro. Wysyłała ojcu po piętnaście gęsto zapisanych stron, relacjonując szczegółowo trasę podróży i wszystko, czego się dowiedziała w drodze; kreśliła całe mnóstwo krótszych liścików do Franka i Johna z pozdrowieniami dla ich żon i licznych pociech, żeby bracia wiedzieli, co u niej słychać. Ale kiedy siadała, żeby napisać do Nathaniela, z trudem znajdowała odpowiednie słowa.

Zerwał się wiatr, a płócienne ściany wydymały się i wiotczały, jakby namiot oddychał. Małe lustro Maude zakołysało się na haczyku wbitym w centralny palec, posyłając światło jej lampy naftowej w zacienione kąty. Haroun, jej człowiek do wszystkiego, przysadzisty i skromny Palestyńczyk, którego zatrudniła w Jerozolimie, zawsze ścielił jej łóżko polowe z żołnierską precyzją, wsuwając koce pod materac tak ściśle, że czasem miała problem, żeby się pod nie wślizgnąć, ale tej nocy ściągnęła je i owinęła się nimi, żeby móc usiąść przy swoim składanym biurku i pisać. Panował przenikliwy chłód, a zimny podmuch owiewał jej kostki. Miała przemarznięte palce u stóp, bolały ją uszy i nieustannie kapało jej z nosa. *Na pewno jest tam przynajmniej ciepło. U nas padał dziś grad*, napisała. Jechali w nim przez godzinę, czując na twarzach i dłoniach gryzący mróz, a ich zgębione konie kładły uszy po sobie. Później, ku głębokiemu niezadowoleniu Maude, przyznali się do porażki

i poszukali schronienia za kępą mizernych dębów, które niespecjalnie sprawdziły się w tej roli. Stracili trzy godziny jazdy, więc rozbili obóz daleko od miasta Mahin, w którym mieli nadzieję uzupełnić kurczące się zapasy. Czekają ich skromne śniadanie, a konie musiały się zadowolić trawą, którą zdążą zjeść przez noc. Włosy Maude wciąż były wilgotne i nadal nie czuła skóry głowy.

Odłożyła pióro i chuchnęła w złożone dłonie. Dla ochrony przed gradem rozbili namioty pod niewielką wychodnią. Wiatr załamywał się w niej z niskim jękiem, który Maude uznała za najżałośniejszy dźwięk na świecie. Wsłuchiwała się w niego tak długo, aż zaczęło jej się wydawać, że niesie ludzkie głosy – nagle poczuła się o milion kilometrów od wszystkich, którzy ją znali i kochali; o milion kilometrów od domu. Przez sekundę żałowała, że nie ma z nią ojca. Żałowała, że nie ma z nią Nathaniela – trząsłby się bardziej od niej, bo zawsze było mu zimno, a ona mogłaby go pocieszać, wygrać z nim w tryktraka i sama się przy tym rozweselić. *Podróżowanie to nie bułka z masłem, prawda? Nie przez cały czas.* A potem, ponieważ zabrzmiało to pesymistycznie, dodała:

Ale ogólnie rzecz biorąc, niczego nie pragnę bardziej. Czy Ojciec wspominał ci w liście o mojej skromnej książeczce o ruinach pałaców sassanidzkich? Odkąd się ukazała, zebrała całkiem sporo przychylnych recenzji, co jest przyjemne, skoro zadałam sobie trud, żeby ją napisać. Oczywiście, teraz widzę w niej same niedociągnięcia – mogłaby być bardziej rzetelna i wnikliwa, a przede wszystkim lepiej napisana, ale jak powiedziałby Ojciec, od czegoś trzeba zacząć.

Nie napisała o swojej nadziei, że recenzje przełożą się na większą sprzedaż i tantiemy. Na razie zanosilo się na to, że wkrótce będzie musiała napisać do ojca z prośbą o więcej pieniędzy. Fortuna Vickerych bynajmniej by na tym nie ucierpiała, ale było jej trochę wstyd, że straciła kontrolę nad swoim budżetem. Maude żałowała, że nie może ogrzać dłoni o kubek gorącej herbaty, ale Haroun i reszta służących byli już w łóżkach, a nie lubiła ich budzić.

Wyobraziła sobie Nathaniela w chwili, kiedy widziała go ostatni raz, dziewięć miesięcy wcześniej, na pogrzebie jej matki w Lyndhurst. Zobaczyła

przygnębionego młodego mężczyznę w trochę za dużym czarnym garniturze, pożyczonym od Franka, który z każdym upływającym rokiem robił się odrobinę szerszy w pasie. Nathaniel niósł trumnę razem z jej ojcem, braćmi, bratem Antoinette i kuzynem wezwanym do pomocy. Obserwując, z jaką powagą i wdziękiem wypełnia ten obowiązek, Maude zastanawiała się, czy jest jej przykro po śmierci matki. Ostatni rok Antoinette był okresem rosnącej apatii. W lipcu dostała kataru i położyła się do łóżka, by już z niego nie wstać. Jej choroba była eteryczna i trudna do zdiagnozowania. Pięciu różnych lekarzy niezależnie od siebie rozpoznało u niej histerię, puchlinę wodną, anemię i guza. Próbowali wszystkiego, żeby ją wyleczyć, od pijawek i bulionu wołowego po laudanum i kąpiele w wodzie wulkanicznej, ale ich wysiłki spełzły na niczym. Trzeci lekarz wziął Maude na stronę niedługo przed tym, jak został odprawiony, i powiedział: „Panno Vickery, obawiam się, że pani matka nigdy nie wydobrzeje, o ile w jakiś sposób nie wykrzesze z siebie chęci, żeby wydobrzeć”. Jej ojciec wpadł w furję, kiedy mu to powtórzyła; Maude najtrudniej było znieść jego rozpacz, wywołaną stanem żony.

Osobiście uważała, że ten lekarz wiedział, co mówi. Antoinette zawinięta w koronki i kołdry puchowe zdawała się po prostu tracić powietrze – z każdym dniem zapadała się coraz głębiej w pościel. Czuć ją było wodą różaną, solami trzeźwiącymi i nieświeżym oddechem. Maude spędziła w domu wiele miesięcy, czytając matce i przynosząc jej rzeczy, o której prosiła. Jak zwykle sumiennie dotrzymywała chorej towarzystwa, chociaż tak ją niecierpliwiło to odroczenie planowanych podróży, że musiała świadomie o tym nie myśleć, żeby nie oszaleć. Na początku czytała matce te powieści i wiersze, które chora lubiła najbardziej. Antoinette okazywała jednak tak mało radości, że w końcu Maude przerzuciła się na książki historyczne i filologię klasyczną. Często zaczynała czytać głośno, a po jakimś czasie orientowała się, że śledzi tekst po cichu i nie miała pojęcia, kiedy nastąpiła ta zmiana. Ale gdy ogarnięta wyrzutami sumienia podnosiła oczy, zwykle okazywało się, że matka wpatruje się w przestrzeń rozmytym wzrokiem, jakby

nie była niczego świadoma. Skóra Antoinette stawała się coraz bardziej przezroczysta, nabierając wodnistej bladości, która zawsze biła z jej oczu; jej dłonie leżały bezwładnie na kapie, a różowawe paznokcie wyglądały jak muszelki zmyte falami przyływu. Gdy Maude otwierała usta, żeby zapytać, czy matka czegoś potrzebuje, czy można coś dla niej zrobić, zdarzało się, że słowa więzły jej w gardle. Często siedziały razem w ciszy.

To Maude zauważyła, że Antoinette umarła. Służąca, która zajrzała do pokoju, żeby rozpałcić w kominku i rozsunąć zasłony, uznała, że jej pani jeszcze śpi, ale gdy Maude weszła do środka, przygotowując się w duchu na dławiący zapach choroby, zorientowała się natychmiast. W pokoju zaszła jakaś subtelna zmiana – nie umiała ocenić, czy chodziło o brak oddechu albo pulsu matki, które wcześniej podświadomie słyszała, czy o pewien nienaturalny bezruch, ale w jednej chwili zorientowała się, że jest jedyną żywą istotą w sypialni. Słowa powitania zamarły jej na ustach i zatrzymała się na moment, żeby w pełni zdać sobie sprawę, co się stało. Potem podeszła do łóżka od zaciętej strony. Włosy Antoinette leżały na poduszce za jej głową; do czoła matki przylepiło się kilka kręconych kosmyków, wciąż w papilotach. Oczy miała zamknięte. Maude pierwszy raz zauważyła, jak długie i piękne były jej rzęsy w kolorze głębokiego złota na tle fioletowawych powiek. Odczekała chwilę, żeby dojść do siebie, zanim powiadomi resztę domu i zatelegrafuje do ojca w Londynie. Stała tak, dopóki oprócz ulgi, która ją zawstydziła, nie poczuła należytego smutku i żalu. Pojawiły się, ale zajęło to trochę czasu.

Pomagając zrozpaczonemu ojcu planować pogrzeb, znów musiała się skupić na tym, żeby okazywać wyłącznie odpowiednie emocje i żadnych innych. Tłumiła podekscytowanie i radość na myśl, że to wydarzenie ściągnie Nathaniela z powrotem do Anglii. Frank i John zjechali do Marsh House jako pierwsi ze swoimi żonami i małymi dziećmi, które wprost ubóstwiały ciotkę Maude i garnęły się do niej, chociaż ona nie miała pojęcia, co właściwie powinna z nimi zrobić. Lubiła dotyk ich lepkich, tłustych rączek i ciepłych ciałek, gdy wdrapywały się jej na kolana, z jakiegoś powodu zawsze pachnąc

cukrem i błotem. Nadal prześladowało ją echo tykającego zegara z dzieciństwa, dlatego z przyjemnością słuchała ich pisków, krzyków i śmiechów zakłócających ciszę w Marsh House; ich kroków stawianych z pośpiechem charakterystycznym dla dzieci, które w każdej chwili mogą się przewrócić. A potem zjawił się Nathaniel, szczupły i zmęczony, z opaloną skórą i brudnymi paznokciami. Na jego widok Maude serce podeszło do gardła, więc trudno jej było się z nim przywitać. Wziął to zakłopotanie za oznakę żałoby po matce i przytulił ją mocno. Kilka dni po pogrzebie wyjechał, a Maude też zaczęła pakować walizki. Chociaż ojciec nalegał, by realizowała własne plany, miała wyrzuty sumienia, że zostawia go samego, ale nie mogła znieść, że Nathaniel znów ją opuścił. Tylko podróże łagodziły ten ból.

Maude nie dokończyła swojego listu w nadziei, że następnego dnia zobaczy rzeczy, którymi zdoła zapełnić kolejne strony. Czuła, jak przytłaczają ją myśli, o których nie może mu powiedzieć. Pościel i koce były ciężkie, ale wcale jej nie rozgrzały. Czuwała godzinami, zbyt zmarznięta, by zasnąć. W tej podróży spędziła tak wiele nocy i wiedziała, że świt przyniesie jej ponure myśli i zły nastrój. Przyzwyczała się już uśmierzać przygnębienie mocną kawą, a gdy zaczynała się niekontrolowanie trząść, zsiadała z konia i szła przy nim dziarskim krokiem, dopóki krew nie zaczęła jej krążyć szybciej. Gdy to robiła, Haroun i pozostali służący narzekali; nie lubili siedzieć wyżej od niej, ale sami nie mieli ochoty iść.

W krajach Orientu najczęściej witano ją z mieszaniną szacunku i konsternacji, że przybyła cudzoziemka jest taka drobna i taka młoda, a mimo to podróżuje samotnie ze swiątą, jakiej nie powstydziliby się dygnitarz składający oficjalną wizytę. Niektórzy lokalni szejkowie nie chcieli jej przyjąć – uznawali Maude za kuriozum albo podejrzewali ją o szpiegostwo, ale zawsze udawało jej się rozwiać albo obejść ich wątpliwości dzięki pochlebstwom, płynnej znajomości arabskiego i listom polecającym z Konsulatu Brytyjskiego albo od rządu centralnego miejsca, w którym się akurat znalazła. Z konsulatu do placówek regionalnych dostawała się dzięki

życzliwości przyjaciół ojca, o co oskarżył ją kiedyś Nathaniel. Miała wrażenie, że jako mężczyzna nie pojmuje, jakich umiejętności wymaga od niej radzenie sobie nie tylko z przywódcami lokalnymi, lecz także z Brytyjczykami: wszyscy w którymś momencie sprzeciwiali się jej podróżom albo nie rozumieli, dlaczego chce je podjąć. Po śmierci matki przynajmniej nikt jej już nie naciskał, żeby wyszła za mąż, więc miała o jedną przeszkodę mniej.

Dotarli do miasta następnego dnia wczesnym popołudniem. Zatrzymali się tam, żeby służba mogła przetrząsnąć suk w poszukiwaniu zapasów. W tym czasie Maude gościła na lunchu w domu gubernatora. Wizyta wydała jej się niepotrzebnie długa i oficjalna, a ceremonialność i galanteria gospodarza nie licowały z tłustą baraniną i mdłym ryżem, które podano na stół. Maude uzyskała jednak zgodę na dalszą podróż do starożytnych ruin Palmyry, które były ostatecznym celem tej podróży. Niestety, gubernator postanowił wysłać z nią jednego ze swoich ludzi, mężczyznę o imieniu Habib. Mierziła ją jego obecność, ale często musiała przystawać na tego rodzaju warunki. Kiedy znów zerwał się deszcz, Habib skulił się żałośnie pod swoim kocem i zaczął wylewać z siebie nieustanny potok narzekań i obelg pod jej adresem, zakładając zapewne, że cudzoziemka go nie rozumie. Maude uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Zahartowały ją tygodnie spędzone w drodze – doskwierało jej zimno i brak snu, ale nigdy nie pozwalała, żeby wzięły nad nią górę. W tym sensie niechciany towarzysz okazał się pomocny – nie miała zamiaru pokazać mu, że opada z sił.

– Uroczy Habib chyba żałuje, że nie leży teraz w łóżku z żoną – rzuciła do jadącego obok niej Harouna.

– Jego żona pewnie się cieszy, że jest z nami – odparł Haroun z kamienną twarzą, a Maude parsknęła śmiechem.

Wieczorem, gdy zsiadli z koni i rozbili obóz, odwróciła się do Habiba i zademonstrowała mu swoją perfekcyjną znajomość arabskiego, mówiąc słodkim głosem, że ma nadzieję, iż przyjemnie spędził podróż. Z przyjemnością obserwowała, jak mężczyzna próbuje uprzejmiwie skłamać,

a potem z rosnącym zażenowaniem uświadamia sobie, że rozumiała wszystkie potworności, jakie wygadywał przez cały dzień. Przepelniona satysfakcją weszła do swojego namiotu na filiżankę herbaty i ciastka, które przyniósł jej Haroun. Udowodniła człowiekowi gubernatora, że jej nie docenił.

Kiedy dotarli do ruin miasta, okazało się, że stoją na szczycie długiego, niskiego wzniesienia o zboczach porośniętych drobnymi żółtymi i białymi kwiatkami. Wyglądały jak echo ciepła i słońca, które miały niedługo powrócić. Ten widok niezmiernie poprawił wszystkim nastrój; nawet Habib zatarł ręce z zadowoleniem, jakby tylko jego obecność doprowadziła ich bezpiecznie w to miejsce. Maude spędziła tam cztery dni, rysując precyzyjne plany i mapy oraz szkicując elewacje ruin. Jej libański kucharz dobrze wykorzystał ten dodatkowy czas, przyrządzając pyszne, wolno gotowane potrawy i pieczenie.

Habib jadł znacznie więcej, niż wypadało i niż mu przysługiwało, więc nocą przed planowanym wyjazdem Maude porozumiała się szybko z Harounem i po cichu zwinęli obóz dwie godziny wcześniej, niż zapowiadali, wyruszając przed świtem bez nieproszonego gościa. Dogonił ich przed południem na zziąjanym koniu, z bagażami w nieładzie i wyrazem wściekłej paniki na twarzy.

Kilka godzin później Maude zaczęła się trząść, ale nie z zimna. Drgawki zdawały się wydobywać z jej wnętrza, przyprawiając ją o ból głowy i pozbawiając sił. Jechała dalej bez słowa, ale gdy tylko rozstawiono jej namiot, rzuciła się wyczerpana na łóżko i zapadła w głęboki sen. Haroun znał te symptomy – miewała wcześniej gorączkę, katar i krótkie, gwałtowne ataki czerwonki. Pozwolili Maude spać i przetrzymali jej gniew, kiedy po przebudzeniu odkryła, że stracili pół dnia. Popołudnie spędziła w siodle – Haroun nie zdołał jej tego wyperswadować. Jechała zgarbiona, cierpiąc w milczeniu. Nie była w stanie podziwiać krajobrazu, a jej myśli rozpierzchnęły się w malignie, którą mogła przeniknąć tylko jej niezłomna determinacja, by przeć naprzód. Przespała cały następny dzień, a kolejnego ranka poczuła się

znacznie silniejsza. Nadal trzęsły jej się dłonie, gdy podnosiła do ust łyżkę z zupą, więc niespokojny Haroun trzymał się blisko niej. Szczerze się ucieszył, kiedy całkiem doszła do siebie. Nawet Habibowi wyraźnie ulżyło – mógłby mieć kłopoty, gdyby zmarła pod jego opieką. Z powodu jej choroby z opóźnieniem wrócili do konsulatu brytyjskiego w Damaszku, gdzie zauważono jej chudość i bladość. Maude ciągle powtarzała, że wynikało to z ataku gorączki, a nie ogólnych trudów podróży, które, jak utrzymywała, zupełnie jej nie przeszkadzały.

Tak się składało, że Ambasador Wielkiej Brytanii naprawdę był przyjacielem Eliasa Vickery'ego. Chcąc uczcić ostatnie dni córki znajomego w Syrii, zorganizował kolację dla członków lokalnej społeczności expatriantów. Maude od czterech miesięcy nie była w Anglii i marzyła o tym, żeby odwiedzić ojca oraz bratanków i bratanice. O tym, żeby usiąść w fotelu przy trzaskającym ogniem kominka z żołądkiem pełnym pieczeni jagnięcej i ziemniaków; żeby mieć spokój i czas na pisanie w samotności – ustaliła już z wydawcą skromną zaliczkę na poczet książki o tej podróży. Po powrocie ową tęsknotę za domem zastępowało równie silne pragnienie, by znów wybrać się w podróż. Czasem wydawało jej się, że ma w sobie stały poziom tęsknoty, której nie umiała nigdy zaspokoić; mogła jedynie zmienić jej obiekt w zależności od tego, gdzie była i kto jej towarzyszył, jakby nie potrafiła dotrzeć do prawdziwego źródła tego uczucia.

W noc uroczystej kolacji Maude włożyła najlepszą suknię, jaką ze sobą zabrała, okręciła wokół szyi kilka sznurów pereł po matce i poprosiła jedną ze służących o pomoc w upięciu włosów. Kiedy okazała na to pozwalająca, nosiła je najwyżej, jak się dało, żeby dodać sobie kilka centymetrów wzrostu. Eleganckie buty na obcasie, ciasny gorset i szpilki podtrzymujące fryzurę, irytująco ograniczały jej swobodę w porównaniu do luźnych, praktycznych ubrań, które nosiła w podróży. Ze wszystkich sił starała się nie wiercić i była wdzięczna przynajmniej za jedwabne rękawiczki, skrywające jej połamane paznokcie. Ambasador, wysoki i mizerny mężczyzna z wąsami jak szczotka do

butów, uśmiechał się promiennie do Maude, odprowadzając ją do jadalni.

– Co się stało, sir Arthurze? – zapytała. – Wygląda pan na bardzo zadowolonego z siebie.

Zdała sobie sprawę, że rozmawiając z mężczyznami, przybierała specjalny ton. Mówiła z niezachwianą pewnością siebie, którą czuła bardzo rzadko, a w jej głosie pobrzmiewała nuta ironicznego rozbawienia. Miała nadzieję, że nie przerodzi się ono z czasem w gorycz. Było to reakcją na lekceważenie, z jakim nieustannie spotykała się jako kobieta, w dodatku o drobnej sylwetce i delikatnej urodzie. W ten sposób rzucała rozmówcy wyzwanie, by odważył się potraktować ją protekcjonalnie, ale sir Arthur Symondsburry jak na złość wydawał się zupełnie tego nie zauważać, bo zareagował z życzliwą pobłażliwością godną wyrozumiałego ojca chrzestnego. Poklepał jej dłoń na swoim ramieniu i rozpromienił się jeszcze bardziej.

– Och, po prostu powiódł mi się pewien mały projekt, nad którym pracowałem – odparł zarozumiale.

– A czy zamierza mnie pan w niego wtajemniczyć? – rzuciła Maude z pewnym zniecierpliwieniem, a potem zobaczyła na drugim końcu pokoju Nathaniela w smokingu jak spod igły, popijającego szampana.

Sir Arthur jeszcze raz poklepał jej dłoń, zdejmując ją ze swojej ręki.

– Idź już, moja droga – powiedział. – Później mi podziękujesz za to, jaki byłem pomysłowy, że ściągnąłem tu dziś wieczorem twojego ukochanego przybranego brata.

Maude nie mogła oderwać wzroku od Nathaniela. Był szczuplejszy niż kiedykolwiek: marynarka zwisała mu luźno z kościstych ramion i miał zapadnięte policzki. Zarumieniła się z radości i zakłopotania, a później ogarnął ją strach o niego.

– Mój Boże, Nathanie, coś ty ze sobą zrobił? Wyglądasz koszmarnie! – zawołała w ramach powitania.

Przeraziło ją, jak pompatycznie zabrzmiała, udając nonszalancję, do której było jej daleko. Nathan posłał jej krzywy uśmiech i pochylił się nad nią, żeby

pocałować ją w policzek.

– Kochana Maude, przy tobie każdy od razu czuje się lepiej – odparował. – Miałem malarię, co za udręka, prawda? Słyszałem, że teraz stale będzie się pojawiać i znikać. Ponoć trzeba się z tym pogodzić. Z czasem ataki powinny być coraz rzadsze.

– Nathanie! Jakie to nierozważne z twojej strony! Nie mogłeś złapać czegoś pospolitego, na przykład czerwonki, która prześladowuje mnie? – Maude rozgadała się, żeby ukryć panikę na myśl o tym, że mógłby zachorować i umrzeć.

– Cóż mogę powiedzieć? – Nathaniel rozłożył ręce. – Zawsze byłaś twardsza ode mnie.

– Jestem zdumiona, że cię tu widzę. Oczywiście, mile zdumiona. Myślałam, że siedzisz w Afryce, właśnie wysłałam tam do ciebie list. Teraz opowiem ci o wszystkim, co tam napisałam, więc kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekać najnudniejsza epistoła świata, chociaż ślęczałam nad nią godzinami.

– I tak z chęcią ją przeczytam. Zawsze z przyjemnością czytam twoje listy.

– Naprawdę?

Spojrzała na drugi kraniec pokoju, zawstydzona swoim niemądrym pytaniem.

– Postanowili tym razem wysłać mnie w chłodny klimat, żebym mógł wydobrzeć. Zaproponowali Anglię, a ja wolałam przyjechać tutaj. Miałem nadzieję, że zdążę się wymknąć na pustynię, zanim będę musiał wracać, i oczywiście liczyłem na to, że złapię tu ciebie. Chodź, weź kieliszek i opowiedz mi o wszystkim. Już nie mogę się doczekać.

Maude opisała mu miejsca, które odwiedziła, i mówiła, czego się o nich dowiedziała, a on słuchał uważnie, rewanżując się historiami o podróżach po Afryce i niebezpiecznych spotkaniach z sudańskimi plemionami. Jego wyjazdy sponsorowało Biuro Polityczne, które interesowało informacje o źródłach wody, żyzności gleby, szkodnikach zbóż i grzybach.

– Mają obsesję na punkcie szarańczy. Marzą, żeby się dowiedzieć, skąd przylatują roje i gdzie się rozmnażają. Nikt tego nie wie, pojawiają się znikąd.

Jak w Biblii – wyjaśnił.

– I udało ci się rozwiązać tę zagadkę?

– Jeszcze nie. Zastanawiają się, czy nie wysłać mnie na poszukiwania jeszcze dalej. Do Arabii – zdradził z uśmiechem Nathaniel, a Maude wpatrywała się w niego w oszołomieniu.

– Przecież... ja też się tam teraz wybieram! – Zapadła wymowna cisza; sekunda milczenia, w której rozważali, co to oznacza.

– Wspólna podróż byłaby trudna, skoro jadę z oficjalną misją. Musiałbym zdawać ze wszystkiego dokładny raport – zauważył.

– Trudna, ale możliwa – odpowiedziała Maude. Próbowwała zapanować nad głosem, chociaż przeszkadzało jej w tym rosnące podekscytowanie. Miała ochotę podskoczyć i zarzucić mu ręce na szyję. Chciała go zamknąć w uścisku, dopóki nie obieca, że tak właśnie będzie: że znów będą podróżować razem, pierwszy raz od pobytu w Egipcie, gdy postanowili wspiąć się na tę samą skałę, żeby obejrzeć ten sam wschód słońca w takim samym nabożnym skupieniu. – Myślałam o tym, żeby zacząć na zachodzie, na przykład w Dżudzie, i posuwać się na południe szlakiem kadzidlany. Chcę sprawdzić, czy w drodze do Maribu natknę się na ruiny jakichś sabejskich budowli. Oczywiście, najpierw trzeba załatwić wiele spraw. Będę musiała przypochlebić się tamtejszej grubej rybie i zatrudnić miejscowych służących i przewodników. To zdecydowanie za daleka podróż dla mojego Harouna... chociaż może się myłę. Zawsze powtarza, że służyłby mi wszędzie...

– Cóż, ja muszę czekać na wiadomość, kiedy i dokąd będę mógł pojechać – stwierdził Nathaniel nieco chłodniej. – Kiedy trzeba zarabiać na utrzymanie, wszystko wygląda inaczej.

Maude usłyszała wyrzut w jego głosie i umilkła. Wiele lat wcześniej zaoferowała, że pokryje koszt podróży Nathaniela, jeśli będzie jej towarzyszył. Odpowiedział oschle pobladłymi wargami, że nie należy do jej świty i nie potrzebuje już pomocy finansowej od Vickerych, dlatego bała się ponowić tę propozycję. Wiedziała, że mogłaby zapłacić za Nathaniela i nie

czuć do niego żadnej urazy, nie mieć poczucia wyższości czy władzy nad nim – w końcu sama nie zrobiła nic, żeby zarobić te pieniądze ani na nie zasłużyć – ale wyglądało na to, że on nie potrafiłby się z tym pogodzić, więc sprawa była zamknięta. Teraz Nathaniel upił długi łyk szampana i uśmiechnął się, trącając ją łokciem.

– Nie rób takiej ponurej miny, Mo. W końcu dotrzemy tam oboje – pocieszył ją.

– Tak. Ale spróbujmy pojechać razem, dobrze? Po prostu... pamiętaj o tym. Informuj mnie na bieżąco o swoich planach, kiedy się czegoś dowiesz.

– Myślałem, że jesteś samotną pionierką? Że nie chcesz podróżować z nikim innym, nawet ze swoim ukochanym ojcem?

– Nie chcę podróżować z nikim oprócz ciebie – wyznała, nim zdołała się ugryźć w język, i znów się zarumieniła.

Nathaniel uśmiechnął się do niej.

– Moja droga Maude, rzeczywiście, dobrze się dogadujemy. Ale to nie będzie takie proste. – Na chwilę zapatrzył się w dal. – Jak się czujesz? To znaczy, po odejściu Antoinette?

– Och... dość dobrze. Tak dobrze, jak można się tego spodziewać w tej sytuacji – odpowiedziała, wytrącona z równowagi tym pytaniem. Już dawno doszła do wniosku, że wzbudzała w matce wyłącznie apatię. – Nie brakuje mi chociażby jej listów: przychodzących dwa razy na miesiąc nalegań, żebym wróciła do Anglii i wyszła za mąż, jakby to był jedyny sposób na życie.

– Wciąż twierdzisz, że nigdy tego nie zrobisz? Że nigdy nie weźmiesz ślubu?

Maude uniosła kieliszek do ust, żeby zyskać na czasie, bo gdy z jego ust padło słowo „ślub”, serce zaczęło jej trzepotać w piersi niczym spłoszony ptak. Przez cudowny ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie próbuje jej wy badać, bo planuje kiedyś w przyszłości się jej oświadczyć. Gardło miała tak wyschnięte, że szampan je podrażnił i musiała odkaslnąć. Nie śmiała podnieść na niego oczu, więc wbiła wzrok w brzeg kieliszka. Opuszkami palców zdjęła z niego jakiś wymaginowany okruch. Wiedziała, że niczego nie

pragnęłyby bardziej. Chciała należeć do niego; chciała poznać ich wspólne dzieci, chociaż martwiła się tym, jak mogłyby ją ograniczać. Oczywiście, gdyby się z nią ożenił, jej część fortuny Vickerych przeszłaby na niego, więc jego już nic by nie ograniczało. Miała nadzieję, że o tym pomyślał, bo sama nie mogła poruszyć tego tematu.

– Och, nie wiem – odpowiedziała i ku swojemu zdziwieniu zdała sobie sprawę, że jej głos brzmi spokojnie, niemal obcesowo. – Nie zastanawiam się nad tym. Chyba nie mogę sobie wyobrazić mężczyzny, który zechciałby mnie za żonę.

– Nonsens. Ślub z tobą dla każdego byłby zaszczytem – przekonywał Nathaniel. – Jesteś odważna, mądra, lojalna i zawsze szczerza. – Zmarszczył brwi i na chwilę spuścił wzrok na swój kieliszek, a Maude zwróciła uwagę, że nie powiedział „piękna”.

– To bardzo miłe, co mówisz, ale wątpię, by wielu mężczyzn uważało mądrość i odwagę za cechy pożądane u żony.

– Widać to głupcy – skwitował.

Maude znów odwróciła wzrok, żeby ukryć zakłopotanie.

Mimo woli przyszło jej na myśl określenie „stara panna”. Tego jej matka obawiała się najbardziej, chociaż gdy umierała, Maude miała dopiero dwadzieścia trzy lata. Być może Antoinette odgadła prawdę – że jeśli jej córka nie mogła wyjść za Nathaniela Elliota, postanowiła nie wychodzić za nikogo. Maude wyobraziła sobie starość w roli niezamężnej ciotki, posłusznie, choć niechętnie, odwiedzanej przez bratanice i bratanków; wyobraziła sobie pusty dom i tykanie zegara, przed którym nie będzie mogła uciec. Uznała jednak, że woli to niż skończyć z jakimkolwiek innym mężczyzną w konwencjonalnym małżeństwie, spętana więzami przyzwoitości. Życie złożone z samotnych podróży było lepsze od życia bez podróżowania; ale najlepsze byłoby życie złożone z podróży z Nathanielem. W tej jednej chwili, tego wieczora, tak daleko od domu, dopuściła do siebie nadzieję. Pozwoliła sobie zauważyć, jak długą drogę przebył, żeby się z nią zobaczyć. Podniosła

wzrok i uśmiechnęła się, a serce waliło jej tak głośno, że je usłyszała.

– A ty, Nathanie? Nie chcesz mieć żony i domu pełnego dzieci? – zapytała żartobliwie, a on wzruszył ramionami.

– Owszem, chcę. Właściwie, to... Postanowiłem przyjechać i powiedzieć ci to osobiście. Widzisz, zaręczyłem się z cudowną dziewczyną. Nazywa się Faye March; poznaliśmy się w Kairze... – Jego głos ucichł, a Maude mimo przeżytego właśnie szoku zrozumiała, że on wiedział. Wiedział, co do niego czuje i jak wpłynie na nią ta wiadomość. Nie pojmowała, dlaczego uznał, że lepiej będzie przekazać ją osobiście. Gdyby napisał o tym w liście, mogłaby przynajmniej wykrzyczeć swój ból na jakimś skalistym pustkowiu, z dala od ludzkich oczu. Zamiast tego musiała przetrwać całą formalną kolację, słuchając wielu pytań i odpowiedzi na temat Faye March, chociaż czuła się tak, jakby miała w klatce piersiowej ogromną, krwawą wyrwę, którą wyciekała na zewnątrz jej dusza.

Tej nocy, kiedy wreszcie udało jej się zasnąć, śniła o pustyni. Śniła o ciszy, w której wszystko wokół zwalniało tempa, tak że odległa przeszłość i nadchodząca dopiero przyszłość wydawały się w zasięgu ręki – i poczuła się wolna. Śniła o tym spokoju, którego nic – ani samotność, ani miłość, ani wyrwa w jej piersi – nie mogło zakłócić, i obudziła się, płacząc z tęsknoty, bo nagle życie bez niego stało się nie do zniesienia. Pierwszy raz w życiu nie mogła znieść bliskości Nathaniela. Zrobiła wszystko, by znaleźć się od niego jak najdalej. Miała nadzieję, że w domu poczuje się lepiej, więc tydzień przed planowanym powrotem weszła na pokład statku z Hajfy do Southampton, na którym niemal nie opuszczała swojej kajuty. Gdy dotarła do Marsh House, natychmiast zrozumiała swój błąd. W domu nie było nic, co mogło jej przynieść ukojenie. Ucieczka od Nathaniela wcale jej nie pomogła. Nic nie mogło jej pomóc. Przypomniała sobie, jak wiele lat wcześniej ojciec powiedział: „Maude jest twardsza od was obu”. Próbowwała odnaleźć w sobie tamtą twardość, ale czuła się tylko słaba, niechciana i obolała.

Nawet wyraźne rozczarowanie ojca jej wyjazdem nie mogło zatrzymać

Maude w Marsh House, rozbrzmiewającym echem Nathaniela Elliota i tykającego zegara, który przypominał jej, że znów została opuszczona. Że zawsze tak będzie. Została zaledwie tydzień, a potem wyjechała do Konstantynopola, gdzie planowała pisać książkę w hotelu. Czuła, że musi znaleźć się w miejscu, do którego ani ona, ani Nathaniel nigdy nie dotarli – miejscu wolnym od wspomnień o nim, o nich razem. Wielokrotnie zapraszano ją na kolację do konsulatu, a później do domów innych ekspatriantów. Nawiązała kilka przyjaźni, chociaż kobietom zwykle wydawała się zbyt harda i bezpośrednia. Marcus Whittington, najstarszy syn brytyjskiego magnata morskiego, chłonał każde jej słowo, spuszczał nieśmiało głowę, kiedy się do niej odzywał, i zadawał jej niekończące się pytania na każdy temat. Dziwiło ją to, dopóki nie spłonął rumieńcem po niedwuznacznym komentarzu siostry. Mimo swojego bogactwa Maude nigdy wcześniej nie miała konkurenta. Była zbyt niska, zbyt pospolita, zbyt szorstka w obyciu. Młodszy od niej o rok Marcus interesował się naukowo Imperium Bizantyjskim i właśnie pracował nad jego historią. Nie był szczególnie wysoki ani energiczny. Elias Vickery uznalby go za człowieka o „mdłym” temperamencie; ale wydawał się błyskotliwy, miły, zrównoważony, chętny do podróży i skłonny pozwolić jej na samotne wyprawy. Słowem, zgodziłby się na wszystko, byleby tylko przyjęła jego oświadczenia.

Maude próbowała to zrobić. Wiedziała, że trudno jej będzie znaleźć bardziej odpowiedniego kandydata na męża: miał mnóstwo własnych pieniędzy i ją ubóstwiał. Ojciec napisał jej, że matka pochwalałaby ten wybór, czym na swój sposób starał się delikatnie zachęcić ją do ślubu. W głębi duszy Elias Vickery uważał, że kobieta powinna wyjść za mąż. Ale Maude zauważyła, że jawne uczucie Marcusa budzi w niej ból. Wiedziała, że z czasem zgasi w nim tę iskrę szczęścia – że jego miłość zniknie w pustce w jej wnętrzu, nie znajdując echa, które by ją wzmocniło. Odrzuciła go lakonicznie, sfrustrowana nim i sobą. Odchodząc, Marcus drżał, ale oczy miał suche, a Maude uznała jego samokontrolę za godną pochwały. Sama po mistrzowsku panowała już nad

emocjami i szanowała tę umiejętność u innych. „Marcus jest czarujący – napisała ojcu. – Ale za dużo mnie przypomina pod innymi istotnymi względami”.

Niedługo później wyjechała z Konstantynopola i znalazła mieszkanie w Rzymie, w którym komary jadły ją żywcem, za to z okien rozciągał się widok na Forum Romanum. Była w żałobie. Czuła, że straciła dom – swoje wyobrażenie o nim oraz zachwyty i pocieszenie, jakie ze sobą niosło. W którymś momencie niepostrzeżenie jej domem stał się Nathaniel, a ponieważ nie mogła go mieć, była bezpaństwowcem, bez ojczyzny, bez celu podróży. Już żadne miejsce i żadne osiągnięcie nie mogło jej przynieść spokoju. Dlatego musiała być w ciągłym ruchu, nieustannie podróżować i zostawiać przeszłość za sobą, udając się w dziewicze miejsca; miejsca pozbawione echa. Zaczęła rozumieć, że to właśnie robi od studiów w Oksfordzie; nie podąża za nim ani przed nim nie ucieka, tylko wciąż instynktownie prze naprzód, bo nic innego jej nie pozostało.

Maskat, grudzień 1958

Po wizycie w obozie nacierzy Joan nie opuszczało poczucie palącego zniecierpliwienia, jakby wiedziała, że powinna się zająć czymś ważnym i za późno się do tego zabiera. Jej rozgorączkowanie miało jakiś związek ze wspomnieniem lotu – pędu i wznoszenia się potężnej maszyny; przemykającej w dole i coraz bardziej oddalonej ziemi, na której wszystko stało się małe i nieważne. Miało jakiś związek ze wspomnieniem pustyni, gdy stała sama na jej krańcu i patrzyła w stronę wydm z dokładnie tym samym uczuciem pędu i wznoszenia się, przyjemnego oderwania od przyziemnych spraw. Miało jakiś związek ze wspomnieniem pocałunku Charliego, tak szalenie innego od całusów Rory’ego. Na myśl o tamtym wieczorze ścisnęła ją w żołądku, ale nie była pewna dlaczego – ze strachu przed grzechem, z wyrzutów sumienia po zdradzie czy z pożądania. Zastanawiała się, czy nie skontaktować się z Peterem Sawyerem i nie poprosić go, żeby jeszcze raz zabrał ją do Fahudu, ale wiedziała, że to była przysługa wyświadczona Charliemu, jednorazowa wycieczka, która nie może się powtórzyć. Zdawała sobie sprawę, że odkłada coś na później, ale pozostawało to dla niej nieuchwytnie, tuż poza jej zasięgiem.

Musiała powiedzieć Rory’emu o swojej wyprawie, ale pominęła większość szczegółów i wymogła na nim obietnicę, że nie zdradzi niczego Gibsonom. Od tamtej pory traktował ją oziębło, a w jego głosie pojawiła się nuta subtelnej pretensji. Każdym gestem dawał jej do zrozumienia, jak źle postąpiła, a Joan coraz bardziej drażniła ta niesprawiedliwość. W końcu on zrobił coś gorszego, oszukiwał w ważniejszych sprawach. Drugiego dnia po powrocie dostała wiadomość od Charliego. Młody służący Amit przyniósł list, gdy piła kawę z Rorym, i dostrzegła ciekawość narzeczonego, gdy otwierała kopertę. Ogarnęło ją poczucie winy, z którym walczyła, mówiąc sobie, że zachowuje

się śmiesznie – w końcu chodziło tylko o pocałunek.

Przykro mi, że nie pożegnałem się rano. Przykro mi, że uciekałaś w ciemnościach – chociaż miałaś bardzo dramatyczne wyjście. Przykro mi, że byłem tego powodem. C.E.

Przeczytała list dwukrotnie, a potem zgmiotła go w dłoni.

– Kto napisał? – zapytał Rory.

Joan zawahała się, a później postanowiła nie kłamać.

– Charlie Elliot.

– Tak? Organizuje następną nielegalną wycieczkę? – skomentował Rory z poirytowaniem.

– Nie – odpowiedziała Joan najspokojniej, jak potrafiła. Uświadomiła sobie, że nadal się boi. Bała się, że Rory odkryje, do czego doszło między nią a Charliem. Bała się, że rozpęta się burza. Łatwo było zakraść się do Al-Dżalali, a nawet wyprawić się do Fahudu. Łatwo było znaleźć odwagę, żeby złamać te zasady; ale złamanie sobie życia wymagało dużo większej odwagi i nie miała pojęcia, jak ją znaleźć.

– Zakochał się w tobie czy co? – zapytał Rory, marszcząc brwi.

– Och, a jakie by to miało znaczenie? – odparowała Joan, a on nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Źle zrobiłaś, jadąc tam beze mnie. Mogłaś przynajmniej dać mi znać, dokąd się wybierasz – rzekł uparcie. – A gdyby coś ci się stało? Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic, Joan.

Był tak przekonany o swojej racji, tak pełen wyższości, że podsycił gniew Joan.

– Naprawdę, Rory? Zupełnie żadnych tajemnic? – rzuciła, zamykając mu usta tym pytaniem albo swoim tonem.

Atmosfera między nimi była tak napięta, że rozmowa przy kolacji się rwała, co zauważył nawet Robert.

– No dobrze, a jak spędzacie Boże Narodzenie? – zapytał, przerywając ciszę.

Joan wzięła jego słowa za delikatną sugestię, że niedługo powinni wrócić do

Anglii. Nie odezwała się, więc Rory odpowiedział w ich imieniu. Mówił o świątecznym lunchu z Olive i jej sąsiadami, państwem Hibberts, i o Sylwestrze z jego rodzicami w wynajętym domku w Walii.

Joan słuchała tych planów z niedowierzaniem, bo od razu wiedziała, że nie dojdą do skutku, ale nie miała pojęcia, jak nie dopuścić do ich realizacji ani czym je zastąpić. Siedziała w milczeniu. Zaszło jej w gardle. Czuła się jak w chwili, gdy wpatrując się w iluzję optyczną, zobaczyła w miejscu wazy dwie twarze. Miała niepokojące wrażenie, że została oszukana – że sama się oszukiwała, i to od wielu lat. Coraz trudniej było jej nie reagować na to, co odkryła; niewygodna wiedza zdawała się pęcznieć i stawać zbyt duża, by mogła ją utrzymać w środku. Zgniotła list od Charliego w kulkę i wyrzuciła go do śmieci. Później wyłowiła jednak zmiętą kartkę z kosza, wygładziła ją i schowała za swoim egzemplarzem *Wybranych listów Maude V. Vickery*.

Po kolacji Joan poszła do łazienki, a wracając, usłyszała, jak Rory i Robert rozmawiają ściszymi głosami.

– Chyba po prostu bardzo się martwi o Daniela – mówił Rory.

Joan przystanęła, nasłuchując.

– Tak, oczywiście – odparł Robert. – Musi jej być bardzo ciężko po śmierci ojca. W końcu była jego oczkiem w głowie.

– Wiem. Bardzo to przeżywa; myślę, że dużo bardziej, niż daje po sobie poznać. Mam nadzieję, że jej wybaczysz, że niekiedy wydaje się... opryskliwa.

Joan ogarnęła złość.

– Doprawdy, Rory, poznałem Joan, jeszcze zanim przyszła na świat, i wybaczyłbym jej niemal wszystko, i to bez żadnych sugestii. – W życzliwym głosie Roberta zabrzmiała wyraźna nagana.

Joan miała ochotę go uściskać, ale chwilę potem ogarnął ją smutek. Naprawdę martwiła się o Daniela i naprawdę tęskniła za ojcem, ale w tym momencie tęskniła również za Rorym. Tęskniła za tym, jak się kiedyś przy nim czuła – i za tym, co kiedyś czuła do niego. Dwa tygodnie wcześniej nie

podśluchiwałyby jego rozmowy w progach, ciesząc się, że wuj go upomina. Zamiast do nich dołączyć, poszła od razu do łóżka. Rory był tak nieodłączną częścią jej życia, że nie wiedziała już, jak wyglądałoby bez niego; gdyby coś się między nimi zmieniło, zmieniłby się cały świat, który znała. Ziemia zakłócała jej się pod stopami. Przypomniła sobie dom zbombardowany w czasie wojny – jedna ze ścian zawaliła się, ukazując budynek od środka, a konstrukcja, która sprawiała wrażenie solidnego, niezniszczalnego schronienia, okazała się nietrwała jak domek z kart.

Joan nie mogła się doczekać rozmowy z Maude – i ponownych odwiedzin u Salima. Kiedy Abdullah otworzył jej drzwi, jego twarz przybrała osobliwy wyraz, który mógł oznaczać ulgę.

– Sahib – odezwał się, skłaniając głowę. – Brakowało nam pani wizyt przez ostatnich kilka dni.

– Dzień dobry, Abdullahu. Jak się miewasz? – powitała go, ale Abdullah nie raczył jej odpowiedzieć, a Joan przestał już przeszkadzać jego wybiórczy sposób prowadzenia rozmowy. Kiedy pojawiła się na górze, gazela przeszła spokojnym krokiem na drugi koniec pokoju, a wyrwana z drzemki Maude chrząknęła głośno.

– O, jesteś. Gdzieś ty się podziewała? – rzuciła obcesowo, mrugając jak sowa.

– Próbowałam panią odwiedzić, ale zostałam odprawiona z kwitkiem. A później... wybrałam się na krótką wycieczkę – powiedziała Joan z uśmiechem, ciesząc się swoimi nowinami.

Maude przyglądała się jej przez chwilę.

– Wycieczkę? Co się stało? Wydajesz się inna.

– Nic się właściwie nie stało. Byłam na pustyni, panno Vickery. – Znów się uśmiechnęła. – To znaczy, tylko na samym jej krańcu. Pojechałam do obozu nafciarzy niedaleko Fahudu.

– Byłaś w interiorze? Ty?! – zawołała Maude napiętym głosem, a Joan już miała zacząć się usprawiedliwiać, gdy zobaczyła w oczach staruszki łzy

zazdrości.

Maude wzięła głęboki oddech.

– Jak było? – zapytała.

– Było... było cudownie!

Joan podeszła bliżej, uklękła przy fotelu Maude i wzięła ją za rękę. Odkrywczyni skinęła głową ze zrozumieniem.

– Tak. No dobrze. I co teraz?

– Teraz... teraz niczego bardziej nie pragnę, niż tam wrócić – wyznała Joan.

– To jak... to jak usłyszeć tylko połowę opowieści i nie mieć pojęcia, jak się kończy. Czuję, że muszę się tego dowiedzieć.

– Tak, rozumiem. Tylko widzisz, ta opowieść nigdy się nie kończy. No i proszę. Od razu wydałaś mi się inna – stwierdziła Maude. – Przyćmiewa wszystko, prawda? Wszystko, co mogłoby się jeszcze wydarzyć.

– Też tak myślę. A przynajmniej większość z tych rzeczy. Żałuję tylko, że to uczucie mija – powiedziała tęsknie Joan. Maude prychnęła cicho, wpatrując się w twarz dziewczyny.

– Rozumiem twój żal, ale tak to już jest. Nie można zabrać ze sobą kłopotów na pustynię, ale niestety po powrocie odkrywamy, że cierpliwie na nas czekają.

Joan wbiła w nią wzrok, zastanawiając się, jak ma to rozumieć.

– Co... co pani wie o moich kłopotach, panno Vickery? – zapytała. Maude na chwilę zasznurowała usta, jakby choć raz postanowiła ostrożnie dobrać słowa.

– Cóż, według mnie nie ulega wątpliwości, że jesteś zaręczona z zupełnie niewłaściwym mężczyzną – stwierdziła.

Joan wstrzymała oddech, bo teraz, gdy Maude powiedziała to głośno, problem stał się realny i nie można było go dłużej ignorować. Do oczu napłynęły jej łzy i poczuła gorąco na twarzy. Spuściła wzrok i nie mogła go podnieść.

– Spotkała go pani tylko raz i już to pani w nim zobaczyła? – zdziwiła się.

– Widzę to w tobie, głuptasie, nie w nim. O co chodzi? Nie kochasz go?

A może on nie kocha ciebie?

– Kochałam go... chyba nadal go Kocham. I... myślę, że on mnie też. Tylko... tylko wydaje mi się, że bardziej kocha mego brata. Chyba bardziej kocha Daniela. – Mówiąc o tym, poczuła niemal ulgę, chociaż te słowa sprawiły, że zobaczyła wszystko jeszcze wyraźniej i jeszcze mocniej poczuła, że coś musi się zmienić.

Maude odchrząknęła i zastanowiła się przez moment.

– Rozumiem – oświadczyła wreszcie. – No cóż, znałam kilka małżeństw, które dobrze się układały, mimo że mąż, a czasem żona, mieli, przepraszam za wyrażenie, nietypowe preferencje w sypialni. – Joan spojrzała na nią zdumiona. – Widzisz, dzięki temu obie strony mogą bez przeszkód robić, co chcą, i z kim chcą. Ale wyobrażam sobie, że przed decyzją o ślubie wszyscy powinni wiedzieć, jak się sprawy mają. A podejrzewam, że w tym przypadku tak nie było?

– Nie – zdołała wykrztusić zszokowana do głębi Joan.

– Nie. A czy twój brat... podziela uczucia Rory'ego?

– Nie... nie jestem pewna. – Joan pomyślała o pocałunku, który zobaczyła. Był namiętny i żarliwy. Zdezorientowana uświadomiła sobie, że skojarzył jej się z tym, jak Charlie chwycił ją i wpił się w jej usta. – Chyba tak. Chyba je podziela.

– A ty kochasz mego brata i nie chciałabyś zerwać z nim kontaktów?

– Co? Nie! Nigdy. – Tego nie brała nawet pod uwagę; myślała tylko o związku z Rorym, a nie o relacji z Danielem. Rozpłakała się jeszcze bardziej; głowa pękała jej z bólu. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się teraz Daniel ani czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

– W takim razie faktycznie jesteś w kropce – zauważyła Maude spokojnie. – Ale przestań się mazać. Wiesz, w ten sposób niczego nie naprawisz. Jeśli zaczniesz się nad sobą uzalać, to już po tobie. Pytanie brzmi, ile jesteś w stanie znieść i co zamierzasz zrobić z tym, czego nie zniesiesz.

Joan nie znała odpowiedzi na żadne z tych pytań, więc milczała.

Potrzebowała kilku minut, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a Maude w końcu złapała ją za rękę i wbiła w nią wzrok. Jej spojrzenie było przeszywające, surowe i bezwzględne, a Joan poczuła się pod nim jak ofiara w szponach drapieżnika.

– Pomyśl o pustyni. Pomyśl o tej przestrzeni, o tym spokoju... – Oczy Maude zamglily się; nie widziała już niczego prócz wydm.

Wtedy Joan zrozumiała, gdzie ucieka myślami Maude, kiedy coś ją wytrąci z równowagi i potrzebuje się od tego odciąć. Spróbowała zrobić to samo, i chociaż nie udało jej się do końca, łzy przestały kapać.

– Opowiedz mi, jak ci się udało tam dostać. Chcę wiedzieć wszystko – zażądała Maude, więc Joan wzięła głęboki oddech i opisała jej lot wczesnym rankiem i obóz nafcjarzy ze sterylnymi domkami i nadmiarem jedzenia. Mówiła o gwiazdach i o zachodzącym słońcu, które zdawało się wchłaniać cały wiatr.

Maude słuchała uważnie.

– Wiesz, trzy lata temu sułtan odwiedził ten obóz nafcjarzy – powiedziała. – W drodze do Nizwy. Chciał zatriumfować nad rzekomo pokonanymi zwolennikami imama. Sznur ciężarówek, toczących się z rykiem przez pustynię: wyobrażasz sobie coś takiego? Jeśli znajdą ropę, zmieni się bezpowrotnie: pojawią się drogi, nowe miasta, samoloty, samochody i rzesze cudzoziemców. Zasiedlą pustynię. Zniszczą ją – dokończyła cicho.

Joan pokręciła głową.

– Jeszcze niczego nie znaleźli, mimo tego całego wiercenia. A... pustynia jest ogromna. Nie uda im się zająć jej całej.

– Nawet największe skały z czasem mogą ulec erozji. Jak myślisz, skąd się bierze ten piach?

– Wiem, ale... kiedy tam byłam, to wszystko wydawało się takie małe. Obóz nafcjarzy... armia, buntownicy, wszystko.

– Wrócisz tam jeszcze? Czy ten nafcjarz zabierze cię znów ze sobą?

– Wątpię. Zrobił to tylko dlatego, że był winny przysługę kapitanowi

Elliotowi. To Charlie zorganizował tę wycieczkę. Dla mnie – powiedziała, dmuchając nos.

Maude znów umilkła na chwilę, a jej dłonie zacisnęły się na podłokietnikach fotela, jakby miała się z niego poderwać.

– Co się stało, panno Vickery? – zapytała Joan.

Maude zmarszczyła brwi.

– Charles Elliot nie rozwiąże żadnego z twoich problemów, Joan. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

– Dlaczego nie? Wiem, że jest kobieciarzem, przekonałam się o tym na własnej skórze. Ale nie wydaje się taki zły...

– Tak już jest z tym typem mężczyzn.

– Sprawia wrażenie potwornie zarozumiałego i zachowuje się, jakby ciągle musiał być w centrum zainteresowania, ale według mnie trochę udaje. Może dlatego, że był najmłodszy z licznego rodzeństwa... Ale wiem, że to nie wszystko. Mimo tej jego... brawury, dostrzegłam w nim przebłyski czegoś więcej.

– Joan, nie bądź taka głupia – ofuknęła ją Maude, a urażona Joan przysiadła na piętach. – Myślisz, że okazał ci serce? Myślisz, że zobaczyłaś w nim... jakąś głębię? To tylko element jego gry. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Zachował się tak, bo zobaczył, że to na ciebie zadziała. Ten typ mężczyzn potrafi się... przystosować do sytuacji. Szukają sposobu, żebyś się do nich przywiązała, a kiedy do tego dojdzie, robią z tobą, co chcą. Zapamiętaj moje słowa.

– To nie może być prawda... nie wygląda na...

– No dobrze, jesteś dużą dziewczynką, możesz popełniać własne błędy. Nie masz powodu mi wierzyć, chociaż znam to wszystko z doświadczenia – skwitowała Maude oschle.

Joan przypomniała sobie, jak niespodziewanie Charlie przyciągnął ją do siebie, jak mocno ją trzymał; to był skradziony pocałunek, zasadzka. Pomyślała, że po prostu wziął od niej to, czego chciał, i zrobiło jej się głupio,

że zachowała jego list jak pensjonarka.

– Panno Vickery, dlaczego tak nienawidzi pani jego ojca? O co się pokłóciliście? Co pani zrobił Nathaniel Elliot?

– Dowiesz się w swoim czasie, jak wszyscy. – Maude złożyła dłonie na kolanach; palce zbieleły jej w miejscach, które ścisnęła.

– Jak to? – zapytała Joan, ale Maude milczała, ściągając pomarszczone wargi.

Abdullah przyniósł im herbatę, a Joan wstała, bo nogi zdrętwiały jej od klęczenia. Suknia wysokiego mężczyzny kołysała się w rytmie jego kroków. Odpędził gazelę i posłał Maude krótkie spojrzenie. Maude westchnęła z rozdrażnieniem.

– Dobrze, już dobrze, Abdullahu! Nie zapomniałam – warknęła, a on z gracją przechylił głowę i wyszedł z pokoju. – Joan, moja droga, nalej herbatę – poprosiła.

Joan wykonała jej polecenie i podała staruszce filiżankę. Była zmęczona zastanawianiem się nad tym wszystkim, a głowa nadal bolała ją od płaczu. Przygładziła włosy, poprawiła bluzkę i wyciągnęła chusteczkę, w którą wydmuchała nos.

– O czym pani nie zapomniała, panno Vickery? – zapytała.

– Poprosić cię, żebyś odwiedziła dziś Salima – odparła Maude, siorbiąc cicho herbatę. – Zrobisz to?

Joan podeszła ze swoją filiżanką do okna i przyklękła, patrząc ponad dachami domów w Maskacie na pasmo bezlitosnych gór i słońce odbite w tafli morza. Nad Al-Dżalali szybowały mewy. Z tej odległości twierdza wyglądała niemal pięknie. Ale złudzenie piękna rozwiało się, kiedy Joan wyobraziła sobie zamiast mew sępy, krążące nad konającymi ludźmi.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Maude skinęła głową i rzuciła jej przelotny uśmiech.

Joan odwróciła się z powrotem do okna.

– Moją wielką przygodą miało być małżeństwo – wyznała cicho, jakby

mówiła do siebie. – Bycie żoną i matką. To miał być mój następny krok, ogromny skok w przyszłość. Teraz czuję się tak, jakbym nie miała dokąd pójść.

– Twoją wielką przygodą miało być małżeństwo? – W głosie Maude pobrzmiwał sceptycyzm.

Joan obejrzała się na nią, a staruszka odstawiła filiżankę.

– Posłuchaj, Joan, nie musisz grać tylko tymi kartami, które ci rozdano; masz prawo wybrać własne. Mogłaś wydać swój spadek na ten dom, na który podobno oszczędzasz, albo na ślub. Zrobiłaś to? Nie. Postanowiłaś wydać go na podróż do kraju, o którym większość ludzi nawet nie słyszała. Nie sądzisz, że to o czymś świadczy?

– Och, sama nie wiem. O czym by to miało świadczyć?

– Może w głębi duszy wiedziałaś, że chcesz czegoś innego. Że pragniesz czegoś więcej. – Maude uniosła brwi. – Może to jest twoja szansa na prawdziwą przygodę, co? Ja też miałam złamane serce. Miałam... Pozwoliłam komuś... odebrać mi mój dawny dom. Ale czy po wszystkim rozczułam się nad sobą? Nie. Zamiast tego podróżowałam. Zeszłam ze ścieżki, którą miałam podążać zdaniem innych ludzi, i pojechałam w miejsca, do których nikt przede mną nie dotarł. Zbudowałam dla siebie nowy dom. – Podniosła filiżankę i zanurzyła w niej herbatnika. – Więc musisz zadać sobie tylko jedno pytanie: skoro nie chcesz wziąć ślubu z Rorym, co chcesz zrobić zamiast tego?

Joan wstała i obróciła się twarzą do Maude. Zastanawiała się nad tym od wielu dni, ale nagle odpowiedź stała się dla niej zupełnie jasna.

– Chcę wejść na tę górę – oświadczyła. – Na Al-Dżabal al-Achdar. Chcę stanąć na płaskowyzu ze świadomością, że jestem tam pierwszą cudzoziemką od czasu Persów.

– Zaraz, zaraz, Joan...

– Przy naszym pierwszym spotkaniu powiedziała pani, że muszę sama wytyczyć dla siebie ścieżkę. Powiedziała pani, że muszę zrobić coś jako pierwsza, bo inaczej nie będzie to miało żadnego znaczenia. W takim razie chcę być pierwszą osobą, która wejdzie na tę górę. To znaczy, pierwszą białą

osobą.

– No dobrze – rzuciła Maude, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. – W tym konkretnym momencie jestem zdania, że równie dobrze mogłabyś postanowić przespacerować się po Księżycu. Ale co ja tam wiem? Zobaczymy, na co cię stać.

Joan posłała jej uśmiech, który szybko zbladł. Satysfakcja i determinacja, płynące z wiedzy, czego chce, przygasły, gdy dotarło do niej, jak niemożliwe postawiła sobie zadanie. Wzięła głęboki wdech, ale nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać ani jak zabrać się do dzieła.

– Może zanim wyruszysz, zdążysz zajrzeć do Salima? – zapytała Maude lekko kpiącym tonem, który mimo wszystko ubódł Joan.

Przyczepiony do nogi pakunek przeszkadzał Joan przy chodzeniu. Był osobliwie ciężki i twardy; martwiła się, że sznurek nie wytrzyma, a zawiniątko wypadnie spod szaty i wszystko się wyda. Strażnicy przed wejściem do Al-Dżalali przyjrzeni się jej uważnie i sprawiali wrażenie bardziej podejrzliwych niż wcześniej. Byli mniej skorzy do przyjęcia łapówki z koszyka, jakby nie chcieli wpuścić jej do środka. Ale nie mogli przeszukać kobiety, więc ostatecznie wzięli pieniądze. Joan zastanawiała się, co wzbudziło ich czujność, ale czekała cierpliwie, nie okazując zdenerwowania swoją pozą ani zachowaniem. Nie dała im powodu, żeby jej odmówili. Sama była zdumiona własną zimną krwią.

Salim spał, kiedy go znalazła. Leżał skulony na boku z twarzą w dłoniach; nogi przykute łańcuchem do metalowej sztaby miał rozstawione pod dziwnym kątem. Joan ukucnęła obok niego po cichu. Przykro jej było go budzić, bo rozumiała, jak trudno o odpoczynek w tym miejscu.

Patrzyła na łuk kości policzkowej Salima z niemal zagojonym już siniakiem i na ciemne włosy mężczyzny, odcinające się na tle czoła; przyglądała się krótkim czarnym rzęsom, oczom przesuwanym się pod powiekami, ostrym liniom czaszki pod skórą. Nie umiała rozstrzygnąć, czy to sen uczynił go pięknym, czy po prostu wcześniej nie dostrzegła jego urody. W twarzy Salima

było teraz coś znajomego, jakby spotkała go już dawno. Miała wrażenie, jakby obserwowała Daniela, gdy drzemie ze stopami opartymi o krzesło ogrodowe, chłopięcy i spokojny.

– Salimie? – odezwała się cicho.

Zza jej pleców dobiegł chichot, a kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że jakiś mężczyzna z tłustą cerą patrzy na nią, przesuwając sobie dłoń po kroczu. Obrzydzona tym widokiem Joan wyciągnęła rękę i delikatnie potrząsnęła Salima za ramię. Wiedziała, że nie powinna tego robić – muzułmanka nigdy nie dotknęłaby mężczyzny spoza swojej rodziny, ale bała się być bez niego w tym miejscu.

Salim nie obudził się od razu, ale kiedy potrząsnęła nim drugi raz, nim oprzytomniał, jego palce błyskawicznie zacisnęły się na jej nadgarstku, siniacząc go.

– To ja, Joan! – szepnęła przynaglająco.

Zamrugał powiekami, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego imienia.

– Joan?

– Tak! Przepraszam, że wyrywam cię ze snu, ale... ale uznałam, że tak trzeba.

– Oczywiście. – Salim usiadł sztywno.

Metalowa sztaba przesunęła się, a on syknął z bólu. Potarł dłonią policzek, rozejrzał się i chyba przypomniał sobie, gdzie się znajduje i jak wygląda teraz jego życie, bo nagle się postarzał; piękno jego śpiącej twarzy zniknęło pod zmarszczkami niepokoju i rozpacz. Odchrząknął, a potem rozkaszał się i przez jakiś czas nie mógł przestać.

– Co się dzieje? – zapytała. – Jesteś chory?

– Nic mi nie jest. To przez to miejsce.

– Przyniosłam ci coś od panny Vickery. Nie wiem, co przysłała, może lekarstwa? Ale to pakunek, więc trudniej będzie go ukryć niż list.

– Pakunek? Poczekaj, na razie nic z nim nie rób. Muszę się zastanowić.

Salim napił się wody z jednej z butelek w koszyku, a potem zjadł łąpczywie

paszteciki z serem, suszone owoce i chleb.

– Byłam na pustyni, Salimie. Wiem, że to zakazane, ale udało mi się tam pojechać. Chyba... chyba teraz trochę lepiej rozumiem... jak to jest. Jakie to uczucie, wywodzić się stamtąd. I... bardzo mi przykro. Żałuję, że musisz siedzieć w tym miejscu.

Salim wpatrywał się w nią uważnie przez pewien czas, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Jest piękna, prawda? Cieszę się, że ją zobaczyłaś. Cieszę się. Mam nadzieję, że ci to pomogło.

– Żałuję tylko, że nie mogę pomóc tobie.

– Pomagasz mi – powiedział, marszcząc brwi.

– Chyba nie będę mogła więcej przyjść – wyznała. – SAF poszło walczyć w góry, mój brat, Daniel, też. Nikt nie wie, kiedy wróci, być może za wiele tygodni. Robert ciągle robi różne aluzje, żeby z nas wyciągnąć, kiedy wybieramy się do domu... i wiem, że Rory chce już do Anglii. Przynajmniej teraz, kiedy Dana tu nie ma. Chyba prędzej czy później będę musiała wyjechać. Widzisz, nie mogę im podać żadnego powodu. Nie mam powodu, żeby tu zostać.

– Nie chcesz wyjeżdżać. Może to jest wystarczający powód – zaproponował, ale Joan pokręciła głową.

– Nie, to im nie wystarczy. Będą pytać dalej.

– Ale ty nie musisz nic odpowiadać, to zależy od ciebie. Siedząc za tymi murami, przekonałem się o jednej rzeczy: tylko mury mogą nas przed czymkolwiek powstrzymać. Prawdziwymi przeszkodami są tylko mury i kajdany. Resztę pokonasz, jeśli tylko zechcesz. Ale czy zechcesz?

Milczeli przez jakiś czas, a potem Salim wstał i szurając nogami, przeszedł do metalowej kratki, zasłaniającej niewielki odpływ w podłodze. Usiadł tam i pokazał Joan, żeby zrobiła to samo. Potem poluzowała sznurek na nodze i przekazała mu paczkę, a on szybko wsunął ją do otworu i ponownie go zakrył. Nie skomentowali tego ani słowem.

– Byłam w obozie nacierzy w Fahudzie. Panna Vickery martwi się, że znajdą ropę i... zniszczą pustynię. Całkiem ją zabudują.

– „Gwałt na środowisku”. – Salim uśmiechnął się szeroko. – Słyszałem, jak o tym mówi. Ale ten kraj potrzebuje bogactwa, potrzebuje postępu. Dla mnie prawdziwa zbrodnia polega na tym, że kiedy znajdą ropę, bogactwo trafi do marionetkowego władcy i jego zagranicznych sponsorów, a nie do mieszkańców tamtego kraju.

– Tamtego kraju? Przecież teraz Maskat i Oman są jednym krajem. Całym obszarem rządzi sułtan.

– Jeszcze się okaże, czy nim rządzi czy nie – odparł Salim.

– Ale czy to nie byłoby straszne, gdyby pustynia po prostu przestała istnieć? Mam wrażenie, że tam żyje się prościej. Chyba chodzi mi o to, że ludzi nie zatrzymują marzenia o pieniądzu i władzy. I cała ta absurdalna otoczka współczesnego świata.

– Uwierz mi, pieniądze i władza są tu równie ważne, jak wszędzie indziej. A co do prostoty życia... owszem, żyje się prosto. To znaczy w biedzie i niewiedzy. Wielu ludzi umiera młodo. Tracą wzrok przez jaglicę. Wyniszczają ich choroby, które z łatwością można wyleczyć – szeptał gniewnie Salim. – Sułtan chłodzi sobie stopy w morzu w Salali, tysiące kilometrów stąd. Od lat nie przyjechał tu, do stolicy swojego królestwa, a wiesz dlaczego? Mówi, że petenci zalaliby go prośbami o pomoc, a on nic im nie może dać. Nie buduje szpitali, bo twierdzi, że nie ma sensu, żeby dzieci osiągnęły dorosłość, skoro później zabije je głód albo choroba. Nie buduje szkół, bo nie ma odwagi edukować swojego narodu. Boi się, że wtedy jego poddani zrozumieją, w jakich zacofaniu ich trzyma. – Salim odchylił się w tył z płomiennym wzrokiem. – W Omanie mieszka pół miliona ludzi, z których mniej niż połowa uznałaby sułtana Sa'ida za swojego przywódcę. To pasożyt, ale Anglicy wmawiają mu, że jest potężny, bo chcą szukać u nas ropy i prowadzić polityczną grę z Amerykanami i ich saudyjskimi marionetkami.

Słuchając go, Joan poczuła się niepewna jak dziecko. To samo uczucie

wzbudzał w niej czasem Daniel. Zdawała sobie sprawę, że w Omanie była równie nieporadna jak Marian.

– Mówisz, jakbyś nas nienawidził. Jakbyś nienawidził Anglików – zauważyła.

– Mam prawo nienawidzić narodu, który próbuje kontrolować mój lud. W przeszłości wiele zagranicznych mocarstw próbowało osiągnąć siłą to, co Anglicy usiłują sobie zapewnić pochlebstwem. Nikomu nie udało się to na długo i tak samo będzie z tą inwazją. Ale do ciebie nie czuję nienawiści, Joan – powiedział łagodniejszym tonem. – Bardzo wiele ci zawdzięczam.

– Cieszę się, że mogłam się na coś przydać. Cieszę się, że zdołałam komuś pomóc, kiedy byłam w Omanie.

– Już mówisz o swoim pobycie w czasie przeszłym? – zapytał Salim z uśmiechem. – Może jednak jesteś gotowa na wyjazd.

– Nie. Nie jestem, naprawdę. Czuję się strasznie na myśl, że mam wypłynąć do Anglii i zostawić cię w więzieniu. I przykro mi wracać do domu ze świadomością, że mój brat wciąż tu jest. Wiem, że tak wygląda życie żołnierza, ale nie umiem tego zaakceptować.

– Chciałabyś zabrać go ze sobą?

– Tak – przyznała. – Oczywiście. Ale wolałabym do niego dołączyć.

– Na Al-Dżabal al-Achdar?

– Tak. Ja... nie umiem tego do końca wyjaśnić. – Przez moment milczała, wiedząc, że nie będzie w stanie wyrazić słowami swojej dezorientacji z powodu Rory'ego, Daniela i Charliego. – Marzę, żeby zobaczyć ten płaskowyż w sercu góry. Chcę być pierwszą białą osobą, która na nim stanie.

– Znalazłabyś się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Wiem. Wiem, że to niemożliwe, ale i tak tego pragnę. – Przyglądała mu się w sposób, na który nie mogłaby sobie pozwolić bez zasłony. Salim wbił w nią wzrok, jakby czytał jej w myślach.

– Chciałbym zobaczyć twoją twarz, Joan – powiedział.

Uniosła palce do maski. Przez jedną szaloną chwilę chciała pozbyć się

dzielącej ich bariery, ale Salim pokręcił głową i wyciągnął dłoń, żeby ją powstrzymać, a wtedy z dreszczem przypomniała sobie, gdzie jest i jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Wokół jedzenia, które przyniosła, krążyły muchy, a jego zapach połączony z więziennym odorem potu i amoniaku tworzył obrzydliwą mieszankę. Salim uśmiechnął się do niej.

– Zrobiłaś dla mnie wszystko, co mogłaś, Joan. A to więcej, niż zrobiłaby większość ludzi.

– Nigdy cię nie zapomnę – odpowiedziała, a potem wstała i wyszła w pośpiechu, czując, że inaczej nigdy nie zdoła tego zrobić.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, wyjęła pognieciony list Charliego spod książki i przeczytała go jeszcze raz. Trzykrotne przeprosiny i lekko przekorny ton, który nie odbierał im jednak szczerości. Pomyślała o ich pocałunku, a później przypomniała sobie słowa Maude i znów przesunęła dłoń z kartką nad kosz. Ale nie wyrzuciła jej. Joan zdawała sobie sprawę, że musi ułożyć jakiś plan, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. „Pójdź inną ścieżką – poradziła jej Maude. – Znajdź nowy dom”. Niechętnie zaczęła się zastanawiać, co powiedzieć Rory’emu. Przychodziło jej to z trudem; miała wrażenie, że nie zna odpowiednich słów. Wciąż przy niej trwał i wiedziała, że pozostanie u jej boku, dopóki go nie odprawi. Daniel nie mógł przestać być jej bratem, ale nie wiedziała jeszcze, kim stanie się dla niej Rory. Od tak dawna stanowił część jej życia, że z trudem przypominała sobie czas, kiedy go w nim nie było – a na pewno nie znała dorosłego życia bez niego. Na myśl o tym poczuła strach, który osłabiał jej determinację.

Im dłużej się nad tym głowiła, tym więcej miała pytań. Próbowwała zrozumieć, dlaczego Rory w ogóle się do niej zalecał. Przypominała sobie, jak kłócił się z Danielem. Pomyślała o ślubie, który odkładał od wielu miesięcy. Nagle to wszystko miało nowe wyjaśnienie, a Joan tęskniła za szczęściem, które dawała jej wcześniejsza niewiedza.

Teraz przy każdym spotkaniu z Rorym słowa więzły jej w gardle. Nie chciała rozmawiać o tym w gniewie, jak rozkapryszone dziecko, ale nie mając

pretekstu do podjęcia tematu, ciągle wątpiła, czy moment jest odpowiedni, i w efekcie nigdy nie otwierała ust. Pewnego wieczora zeszła wcześniej na taras, nalala sobie ginu i oparła się o balustradę. Patrzyła na Al-Dżalali po drugiej stronie i przesyłała swoje myśli Salimowi. Powinna była życzyć mu siły i odwagi, ale zamiast tego miała nadzieję, że to on ją nimi natchnie.

Niedługo później stanął obok niej Rory. Przeniosła wzrok na zapatrzonogo w morze narzeczonego, podziwiając znajomy łuk jego policzka i szczęki, jasnobrązowe oczy pod gęstymi brwiami, zaokrąglone czoło i kręcone włosy. Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, ale długo go nie odwzajemniał. W końcu nie miał już wyboru. Zerknął na nią przelotnie, uśmiechając się lekko, ale jego rozbiegany wzrok nie zatrzymał się na niej na dłużej. Miał ściągnięte wargi i często mrugał.

Oszołomiona Joan zobaczyła, że Rory się boi. Bał się jej i tego, co mogła powiedzieć. Poczula, że coś w niej pęka – nie była pewna, czy chodzi o jej urazę, determinację czy coś jeszcze innego. Położyła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła je lekko. Oboje mieli świadomość, że zawierają rozejm, choć to tylko tymczasowe zawieszenie broni. Odprężyli się. Rory oparł łokcie na murku, rozluźniając barki. Wyglądał na wyczerpanego. Godząc się z myślą, że tego wieczora niczego nie powie, Joan poczuła, jak ogarnia ją takie samo zmęczenie. Jej napięcie zastąpiła apatia. Wiedziała, że to tchórzostwo; że poniosła kolejną małą porażkę, ale przyjęła to z zadowoleniem.

Noc była wilgotna, ciemna i czarna, bo bezksiężycowa. Na południowym zachodzie, ponad odległą bryłą gór, mrok przesywały błyskawice. Joan obserwowała je przez jakiś czas, myśląc o Danielu. Może próbował właśnie zasnąć gdzieś pod ulewnym niebem? W dzieciństwie bał się burz z piorunami; przychodził do pokoju starszej siostry, wdrapywał się do jej łóżka i przytulał do niej z szeroko otwartymi oczami, sztywny ze strachu. Później Joan miała wrażenie, że widzi ogień artyleryjski albo wybuchy granatów; zastanawiała się, czy na jej oczach nie rozgrywa się wojna. Położyła się zdenerwowana i śniła o chaosie i strzelaninie. Spała niespokojnie, a w środku nocy obudziła

się z niezachwianym przekonaniem, że gdzieś niedaleko rozległ się wystrzał z broni. Usiadła na łóżku, wstrzymując oddech w wyczekiwaniu, ale nic więcej nie usłyszała i w końcu znów zasnęła.

Rankiem Robert nie mógł zjeść spokojnie śniadania, bo nieustannie nachodzili go urzędnicy, szepcząc mu coś do ucha i podsuwając notatki, które czytał ze zmarszczonymi brwiami. W końcu odstawił kawę i wstał od stołu.

– Coś się stało? – zapytała Marian.

– Chodzi o Daniela? – Joan przeszył dreszcz.

– Nie, nie. Nie miałem o nim żadnych wiadomości, Joan. Nie, to sprawa z naszego ogródka. Ucieczka z więzienia.

– Co takiego?! – zawołała Marian z niedowierzaniem. – Nie sądziłam, że to możliwe.

– Cóż, jeśli ów śmiałek wyjdzie z tego bez szwanku, będzie pierwszym, któremu się to uda – przyznał Robert, kiwając głową.

Joan zorientowała się, że nie jest w stanie przełknąć kęsa chleba w ustach. Miała wrażenie, że jej płuca się skurczyły, bo nie mogła nabrać do nich powietrza.

– Z Al-Dżalali? Kto uciekł? – zapytała z wysiłkiem.

Robert zerknął na nią. Wciąż miał zmarszczone brwi.

– Niejaki Salim ibn Shahin. Jakimś sposobem uwolnił się z kajdan i zdobył broń. Podobno zastrzelił jednego ze strażników, a później zmusił drugiego, żeby otworzył bramę. A teraz rozpłynął się w powietrzu.

Joan zamknęła oczy, nie wiedząc, jak zareagować. W pierwszej chwili poczuła radość, zalała ją gorąca fala euforii; ale trwało to krótko, bo zaraz potem przyszło przerażenie.

Przypomniała sobie, jak w nocy obudziła się z poczuciem, że niedaleko rozległ się wystrzał. Wyobraziła sobie, jak siedzi w łóżku, nasłuchując, gdy z rannego strażnika uchodzi krew i życie. Skostniała ze strachu próbowała nie zastanawiać się, na którego z młodych mężczyzn padło; do głębi wstrząsnęło nią, że Salim zabił jednego z nich. Pamiętała spokój i piękno jego śpiącej

twarży i nie mogła uwierzyć, że był mordercą. Nagle uświadomiła sobie boleśnie, że tak naprawdę wcale go nie zna.

– Bóg raczy wiedzieć, jak to zrobił – ciągnął Robert. – Podobno odwiedzała go służąca, więc może tak da się to wyjaśnić. Ci cholerni Arabowie nigdy nie przeszukują kobiet. Jeden ze świadków twierdzi, że widział, jak się dotykają, być może łączyło ich coś więcej.

Joan była na skraju paniki. Cofnęła się w myślach do swoich wizyt, usiłując ocenić ryzyko, że zostanie zidentyfikowana. Przerazało ją, że Robert i pułkownik Singer mogliby się o wszystkim dowiedzieć; ich oburzenie i rozczarowanie byłoby równie straszne jak aresztowanie za współudział w morderstwie.

– Wielkie nieba! Więc jakiś przestępca jest na wolności? Za co trafił do więzienia? – zapytała Marian.

Uniosła ręce w geście przestachu, ale sprawiała wrażenie, jakby zrobiła to tylko na pokaz. Głos miała niemal tak samo znudzony jak zawsze.

– Obawiam się, że sytuacja wygląda poważnie, kochanie. To członek górskiego plemienia ibn Himjara, jeden z bojowników imama, a właściwie jeden z jego dowódców, i to bardzo utalentowany. Wyżej w organizacji jest tylko brat imama, Talib. Z tego co mówią, zbieg to śmiertelnie niebezpieczny snajper. Został aresztowany w zeszłym roku podczas powstania; prowadził na Maskat buntowników od południowego wschodu. Jeśli uda mu się uciec, sułtan będzie wściekły. Nie mówiąc już o pułkowniku Singerze. Należy go natychmiast powiadomić. Ibn Shahin bez wątpienia będzie próbował dołączyć do towarzyszy w górach. Wybaczcie, ale muszę was teraz opuścić.

Roztrzęsiona Joan siedziała w milczeniu. Wiedziała, że Rory przygląda się jej z zaciekawieniem. Czowała też na sobie wzrok Marian, który od niedawna miał w sobie dziwną przenikliwość. Nagle Rory wyciągnął rękę i nakrył palcami jej dłoni.

– Jestem pewien, że złapią go, zanim dotrze w góry – powiedział. – Nie martw się. Danielowi nic nie grozi. To znaczy, nie więcej niż wcześniej.

Joan pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Tylko... – Spuściła oczy na stół i umilkła.

Poczuła się winna, bo dopiero w tym momencie pomyślała o Danielu, a później o Charliem Elliocie. Po prostu nie umiała wyobrazić sobie Salima jako jednego z buntowników, przeciw którym walczyli. To byli bezimienni wojownicy, plemienne dzikusy w łachmanach, uzbrojone w przestarzałe karabiny. Tak opisał ich Charlie. I chociaż przypomniła sobie ostre słowa Salima i jego gniew, cieszyła się, że uciekł z Al-Dżalali – nie mogła nic na to poradzić. Może wcale nie zamierzał wracać w góry i dalej walczyć. Może wiedział, że będą go tam szukać, więc planował po cichu wymknąć się z kraju. Może nie stanowił żadnego zagrożenia dla Daniela i reszty żołnierzy. Joan złapała się tej nadziei i podsycala ją w sobie z rozmysłem, bo pamiętała, jak wyciągnął szpilki z jej włosów, pamiętała ciężki pakunek, który Maude przywiązała jej do nogi i wiedziała dokładnie, jak doszło do jego ucieczki i jaką odegrała w niej rolę. Pod ulgą, że Salim jest wolny, kryło się twarde ziarno strachu. Nie rozumiała jeszcze wagi tego, co zrobiła; nie wiedziała, z czym ma porównać swój czyn, żeby zobaczyć go we właściwej skali. Ale wiedziała, że sprawa jest poważna. Przerażająco poważna. Pomogła więźniowi w ucieczce; pozwoliła na morderstwo.

Zaniosła swój strach do domu Maude Vickery, jedyne miejsca, gdzie mogła go okazać, a staruszka nie wydawała się nawet w najmniejszym stopniu zaskoczona jej rychłym powrotem. Wpatrywała się w nią ze swojego fotela inwalidzkiego z lekceważeniem i nowym poczuciem wyższości. Joan przyszło do głowy, że Maude może zakończyć ich przyjaźń, skoro dostała już to, czego od niej potrzebowała. Dziewczyną wstrząsnęła świadomość, że została wykorzystana.

– Czy pani wiedziała? – zapytała niepotrzebnie.

– Czy wiedziałam o czym?

– Powiedziała mi pani, że Salim to myśliciel polityczny, a jego wyrok jest całkowicie niesprawiedliwy. Czy pani wiedziała, że jest jednym

z bojowników imama? Jednym z jego dowódców?

– Oczywiście, że wiedziałam. Nie bądź niemądra. Wiem o nim wszystko.

– I posłużyła się pani mną, żeby go uwolnić, chociaż mój rodzony brat walczy z buntownikami w górach?

– Ty też wiedziałaś, co robisz! – warknęła Maude. – Nie jesteś idiotką.

– Nie! Nie wiedziałam... – Joan zaczęła się zastanawiać, czy to prawda.

Myślała o tym, dlaczego nie zwróciła większej uwagi na dodatkowe szpilki we włosach i tajemniczy pakunek; dlaczego nigdy nie zapytała o nie Maude. Czyżby świadomie przymknęła na to oczy? Maude wymierzyła w nią palcem z triumfalnym okrzykiem:

– Ha! No właśnie. A nie mówiłam?

– Nie wiedziałam, że jest żołnierzem. Nie wiedziałam, że zabije człowieka, żeby wyjść na wolność.

– Do tego używa się broni – rzuciła oschle Maude. – To była konieczność.

– Nie wiedziałam, że pomagam człowiekowi, który będzie zagrażał mojemu bratu!

– Och, a co to za różnica? – zapytała cierpko Maude. – To wszystko bez znaczenia.

– Jak można powiedzieć coś takiego? Zapomniałaś, ile jest warte ludzkie życie, Maude? Czy już tak długo stronisz od świata?

– A cóż ty mogłabyś wiedzieć o tym, ile jest warte życie? Ledwo zaczęłaś własne. Roisz sobie, że coś wiesz, a tak naprawdę wierzysz we wszystko, co usłyszysz, jak dziecko. Świat nie jest tak bezpieczny i prosty, jak ci się wydaje, Joan. Salim w końcu by tam umarł, a to byłaby większa niesprawiedliwość niż cokolwiek, co się wydarzy z powodu jego wolności. Powinnaś być z siebie dumna. Dla odmiany zrobiłaś coś ważnego.

Joan wpatrywała się w nią, dotknięta do żywego.

– Myślałam, że się przyjaźnimy. Myślałam, że przyjaźni się pani z sułtanem. Nie ma w pani choćby krztyny lojalności? Przecież pozwala pani tu mieszkać, a pani pomaga bojownikom imama.

– Ostatni sułtan, z którym się przyjaźniłam, był innym człowiekiem w innych czasach. On wiedział, gdzie kończy się jego władza. W 1909 roku, gdy przemierzyłam pustynię, w Tanufie pierwszy raz od lat wybrano imama, a Fajsal zrozumiał, że stracił nad nią kontrolę. Interior rządzi się sam. Ludźmi pustyni i górskimi plemionami nie może rządzić ktoś, kto całe życie spędził nad morzem w luksusie. – Zamyśliła się na chwilę, a potem prychnęła. – A może nimi w ogóle nie da się rządzić. Tam wszystko się kręci wokół lojalności: zatargi osobiste, zatargi rodzinne. Salim w tym dorósł, rozumie to lepiej niż ktokolwiek inny.

Maude przeniosła spojrzenie na drugi koniec pokoju, a Joan stała przed nią bezradnie, owładnięta niepokojem i dziwnym wzburzeniem, które plątało jej myśli w supły nie do rozwiązania. W końcu odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Na dole drogę zastąpił jej Abdullah. Na moment oparł swoje duże dłonie na ramionach Joan i spojrzał na nią. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że z jego twarzy zniknął strach, którego wcześniej na niej nie rozpoznała.

– Uwolniła go pani, znów decyduje o własnym losie. Dziękuję pani za to. Mamy wobec pani dług wdzięczności.

– Co ty jej tam mówisz, Abdullah?! – zawołała Maude płaczliwym tonem z piętra.

Staruszek usłyszał ją i uśmiechnął się.

– Moja pani jest wdzięczna. A to ją złości: nie umie sobie poradzić z wdzięcznością. Salim pragnie pani podziękować. Chce się z panią zobaczyć – wyjaśnił cicho Abdullah, a Joan wstrzymała oddech. – Powiedział mi o tym. Będzie czekał o wschodzie księżyca w miejscu, gdzie droga się wznosi i skręca do Matrahu, na skałach od wschodu.

– Dziś wieczorem? Nie wiem, czy mi się uda...

– On nie może czekać.

– Dobrze – odpowiedziała Joan. – Dobrze.

Kiedy Joan oznajmiła, że znów zostaje na kolację i na noc u Maude, Rory rzucił jej podejrzliwe, gniewne spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem.

– No cóż – skwitował Robert. – Będzie nam brakowało twojego towarzystwa, Joan, ale wiem, że nie zostało ci już wiele czasu na spotkania z panną Vickery, więc rozumiem. Chociaż nam też nie zostało już wiele czasu na spotkania z tobą – powiedział z lekkim uśmiechem, kiedy wychodziła.

Długo krążyła wąskimi uliczkami Maskatu, a potem przysiadła na progu jakiegoś budynku, żeby odpocząć. Hindus, którego sklep minęła trzykrotnie, wyszedł, proponując pomoc; sądził, że zabłądziła. Kiedy wyjaśniła, że nie potrzebuje wskazówek, wręczył jej małą torebkę orzechów. Zjadła je łąpczywie, a żona i córka sklepikarza ubrane w jaskrawopomarańczowe suknie i różowe spodnie patrzyły na nią z uśmiechem przez wystawę.

Po chwili rozległ się huk działa w forcie Mirani, więc Joan wyjęła swoją lampę, ale jej nie zapaliła. Ukryła się w cichym zaułku na krańcu miasta i podziwiała zapadający mrok. Gdy miasto pogrążyło się w niemal zupełnej ciemności, poczuła ulgę, że może się w niej schować.

Skrzypnęły zawiasy i usłyszała trzaśnięcie bramy zamykanej przez strażników. Odczekała jeszcze trochę, a gdy niebo nabrało koloru granatowego atramentu, zaczęła się wspinać na wzgórze drogą gruntową. Nie była pewna, kiedy dokładnie wschodzi księżyc, a nie chciała minąć się z Salimem. Na zakręcie zeszła z drogi i chwilę kuśtykała po nierównym terenie, aż znalazła płaski kamień. Usiadła na nim i wytrząsnęła sobie z sandałów kamyki i piasek, a później z rosnącym poczuciem odrealnienia wsłuchiwała się w szum krwi w swoich uszach. Przypomniła sobie słowa ojca, że noc to inny świat. Siedząc na tym wzgórzu i patrząc na nieliczne rozświetlone punkty w widocznym pod nią Maskacie, wreszcie zrozumiała, co miał na myśli. Wszystko mogło się zdarzyć. Kamień, który wybrała, jeszcze nie ostygł po upalnym dniu – miał teraz temperaturę jej skóry. Na wschodzie pojawił się księżyc, skrawek srebra w kształcie rybiej łuski. Nagle Joan zorientowała się, że nie jest sama, i chociaż oddech uwiązał jej w gardle, wstała i odwróciła się spokojnie.

Salima również skrywała ciemność. Joan na sekundę zmylił wzrost i postura

mężczyzny, bo dotąd widziała go zawsze w kajdanach, ale w jego sylwetce i sposobie poruszania się było coś uderzająco znajomego. Zastanawiała się, czy powinna się czuć zagrożona; przypomniała sobie martwego strażnika i pomyślała, że Salim musiał zabić wielu ludzi podczas wojny przeciwko sułtanowi, żeby zasłużyć na swoją reputację. W słabym świetle księżyca dostrzegła pistolet zatknięty za jego pas obok zwykłego, praktycznego chandżara; przez plecy przewieszony miał karabin, a pierś przecinał mu pas z amunicją. Ubrany w tunikę i sarong pachniał mieszaniną kadzidła i tytoniu. Gdy się uśmiechnął, jego zęby zaśniły bielą.

– Czekasz w ciemności jak banita – zauważył cicho. – Nie byłem pewny, czy przyjdiesz, skoro już wiesz, kim jestem. Skoro rozumiesz, co zrobiłaś, dając mi wolność.

– A co zrobiłam? – zapytała Joan nerwowo.

– Zyskałaś przyjaźń wroga swojego kraju i swojego brata – odpowiedział z prostotą.

– Wrócisz, żeby przeciw nim walczyć?

– Oczywiście. Inaczej moja wolność nie miałaby sensu.

– Mógłbyś żyć w pokoju gdzieś indziej. Mógłbyś wyjechać na pustynię.

– A co miałbym tam robić? Zatracić się w niej, aż przestanę poznawać samego siebie, tak jak Maude?

– To nie takie straszne, przestać się poznawać – powiedziała cicho Joan, a Salim znów się uśmiechnął.

– Odwróć się. – Minął ją i stanął plecami do księżyca. – Chcę zobaczyć twoją twarz.

Joan zrobiła to, o co prosił.

Księżyc lśnił mu ponad ramieniem, więc nie widziała jego reakcji. Stał się jeszcze jednym ciemnym kształtem, częścią otaczającej ich czerni. Srebrne światło raziło ją w oczy. Salim długo nie spuszczał z niej wzroku. Chwila przeciągała się; czas ich omijał, a Joan ogarnął spokój. Miała wrażenie, że zostawili wszystko za sobą. W końcu Salim wyciągnął dłoń i dotknął czubkami

palców ciemnych kosmyków na jej skroni.

– Wyobrażałem je sobie jako jaśniejsze – szepnął, pozwalając, by jego kciuk otarł się o jej szczękę. Nie odsunął go i przez moment Joan wydawało się, że ją pocałuje. Ta myśl była zwodniczo kusząca. Ale opuścił dłoń i cofnął się o krok. – Jesteś taka młoda. Ale nie widzę w tobie strachu. Widzę osobę, której nie jest wygodnie w życiu, które dostała.

– Bałam się – powiedziała Joan. – Boję się.

– Nie. – Salim pokręcił głową. – Po prostu zostałam tego nauczona. Nauczono cię myśleć, że powinnaś się bać.

– Nie wiem, co teraz zrobię.

– Ja też nie wiem, co zrobisz. Ale coś na pewno.

– A ty? Wiesz, co zrobisz?

– Wiem, ale nie mogę ci powiedzieć. Tak będzie bezpieczniej. Ale mam dla ciebie propozycję. – Przesunął się w bok, żeby księżyc oświetlał twarze ich obojga, a Joan spojrzała na niego. Zachowywał się zupełnie inaczej niż więzień, którego poznała w Al-Dżalali. Był bojownikiem, przywódcą rebeliantów, tak pewnym siebie, że powinna czuć się przy nim mniejsza, a tymczasem miała wrażenie, że udziela jej się jego siła, tak jak dawniej udzielała jej się siła ojca. – Mam wobec ciebie ogromny dług, Joan. Jestem ci winien moją wolność. Nieważne, czy wiedziałaś, co robisz. Wykazałaś się odwagą i życzliwością w chwili, gdy byłem bliski rozpaczy, i przyniosłaś mi nadzieję. Nie chcesz jechać do Anglii, a nie możesz zostać w Maskacie. Ja muszę pozostać jeszcze dwa, może trzy dni w ukryciu, żeby ludzie sułtana stracili zapał i rozleniwili się w swoich poszukiwaniach. Ale później wracam na Al-Dżabal al-Achdar i oferuję ci to, czego pragniesz. Jeśli ze mną pójdziesz, zabiorę cię na górę.

Joan długo się nie odzywała. Skupiła się na kolejnych wdechach i wydechach. Serce biło jej wolno i głośno; brzmiało jak ciężkie kroki, ale mimo to czuła się za lekka, oderwana od ziemi. Znów miała wrażenie, że mogłaby ulecieć w powietrze – albo runąć w przepaść. Salim czekał

cierpliwie.

– Nie wiem – wyrwało jej się.

Pomyślała o swojej matce, która została sama w domu ze swoją pikowaną lizeską i swoją apatią; pomyślała o wszystkim, czego nie powiedzieli sobie z Rorym, chociaż powinni; pomyślała o Danielu w górach i o Charliem Elliocie.

A potem pomyślała po prostu o górach: rozległym, pradawnym bycie, który rysował się na horyzoncie w każdej sekundzie jej pobytu w Maskacie, obserwując ją wyczekująco, i nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Miała plan. Był nieprzemysłany, pochopny, przerażający – ale miała plan.

– Nie wiem – powtórzyła, chociaż prawda wyglądała inaczej.

W głębi duszy Joan wiedziała, że to będzie zwykła ucieczka, ale i tak chciała ruszyć natychmiast, nie oglądając się za siebie, a to budziło w niej poczucie winy.

– Musisz się zdecydować – powiedział delikatnie Salim. – Nie będę mógł po ciebie wrócić, jeśli zmienisz zdanie, a kiedy stąd zniknę, więcej mnie nie znajdziesz.

– Rozumiem – zapewniła, wierząc w to całym sercem.

– Wiesz, co chcesz zrobić?

– Tak. Chyba tak.

– A czy masz na to odwagę? – To pytanie zawisło między nimi bez odpowiedzi. Salim spojrzał na księżyc, który teraz unosił się na wysokość dwóch dłoni nad horyzontem. – Dwa dni – powiedział. – Pojutrze wrócę tu o tej samej porze. Później wyruszę w góry. Bądź tu, jeśli chcesz, żebym cię zabrał.

Czekał na jakiś znak, że go usłyszała, a kiedy skinęła głową, odwrócił się i odszedł.

Nie usłyszała jego kroków. Zostawił ją z poczuciem, że ziemia faluje lekko pod jej stopami, jakby przed chwilą wyszła z morza na brzeg.

Resztę nocy Joan spędziła w domu Maude – na parterze z Abdullahem.

Otwierając drzwi, niewolnik przytknął palec do ust. Oddał jej swoje łóżko w sypialni na tyłach budynku, a nim zostawił ją samą, przyniósł tam dzban wody, kubek i miękki pakunek owinięty w płótno. Otworzyła go i w świetle pojedynczej świecy zobaczyła czarną abaję, maskę i zasłonę na włosy.

– Jeśli pani z nim pójdzie, proszę je włożyć – polecił. – Moja pani nic nie wie o tym planie.

Joan skinęła głową i podziękowała mu. Przez całą noc nie zmrzyła oka, a w jej myślach wciąż nieodparcie pojawiały się góry. Teraz, gdy miała je niemal w zasięgu ręki, ciągnęło ją w nie jeszcze bardziej; to było niemal fizyczne doznanie. Ale nie zapytała Salima, czy jeśli z nim wyruszy, będzie mogła kiedykolwiek wrócić. Nie zapytała, gdzie pójda i co zrobią. Zastanawiała się, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie. Zastanawiała się, czy nie stoi przed prostym wyborem: żyć dalej tym samym życiem albo zacząć żyć innym – i czy pierwszy krok ku wolności musiał być największy.

W bladym chłodzie wczesnego poranka do drzwi zapukał Rory i wydawał się niemal rozczarowany, że Joan była tam, gdzie zapowiedziała.

– Myślałem, że zostanę zaproszony na śniadanie – powiedział, kiedy szli ramię w ramię w stronę Rezydencji.

Oczy Joan były zaczerwienione od braku snu. Zerknęła na niego, ale moment na odpowiedź minął.

Zapanowała cisza pełna napięcia, którego nie miała siły rozładować.

– Joan, wracamy do domu – oznajmił Rory. – W piątek w przystani zatrzymuje się statek do Adenu, a stamtąd liniami Aden Airways dostaniemy się do Kairu. Robert wszystko dla nas zorganizował.

Czekał na jej reakcję, ale Joan się nie odezwała. Wiedziała, że nie wsiądzie na ten statek, tak jak wiedziała, że nie spędzi Sylwestra w domku w Walii z rodzicami Rory'ego. Na myśl o konsekwencjach tej decyzji przeszył ją dreszcz. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Rory'emu: „Widziałam cię z Danielem. Widziałam, jak go całujesz”. Zastanawiała się, czy nie odwrócić się do niego ze słowami: „Wiem o wszystkim”; czy nie rzucić mu w twarz:

„Okłamujesz mnie od lat”.

– No? Nic nie powiesz? Osobiście nie mogę się już doczekać – ciągnął. – To miejsce nie spełniło moich oczekiwań. Nie ma tu nic oprócz zwietrzałych skał.
– Podniósł głowę i zmrużył oczy, jak gdyby nawet niebo w jakiś sposób go rozczarowało. – Zrobiliśmy już to, po co przyjechaliśmy. Zobaczyliśmy się z Danem i z Gibsonami. Ty poznałaś Maude Vickery. A właściwie praktycznie się do niej wprowadziłaś. I wbrew wszystkim zasadom wybrałaś się sama na pustynię. Powinnaś być zadowolona. – Wcisnął dłonie do kieszeni z nonszalancją, która wydała się Joan sztuczna. Widziała, że ją prowokuje, ale nie podjęła tematu i resztę drogi do Rezydencji pokonali w milczeniu.

Od tego momentu Rory demonstracyjnie zadawał jej pytania o pakowanie i wielokrotnie podkreślał, że już ostatni raz robią to czy tamto, albo wspominał, że powinni czymś się zająć natychmiast po powrocie do domu. Joan kwitowała każdą taką sugestią niezobowiązującym mruknięciem. Gdy Marian powiedziała, że będzie jej ich bardzo brakować, Joan uśmiechnęła się blado, chociaż była przekonana o szczerości tych słów. Rozpraszała ją waga tego, co zamierzała zrobić; bała się, że jednak się na to nie zdobędzie, bo w ostatnim momencie zabraknie jej odwagi.

– Nigdy nie dogadywałyśmy się szczególnie dobrze z twoją matką – rzuciła Marian pewnej nocy po drinkach. Jej głos miał głęboki, miękki tembr, a po alkoholu brzmiał lekko niewyraźnie. – Ale przekaz jej ode mnie pozdrowienia. Pewnie czuje się bardzo samotna bez twojego ojca. Odcięta od świata. Doskonale to rozumiem. To on nadawał kierunek jej życiu, prawda? I całej waszej rodzinie.

– Można tak powiedzieć. Chociaż nie jestem pewna, czy go nadawał. Prowadził nas tylko tam, gdzie wszyscy chcieliśmy dotrzeć.

– Oczywiście. Byli razem bardzo szczęśliwi, prawda?

– Tak, bardzo szczęśliwi.

Marian odstawiła kieliszek i pochyliła się w stronę Joan, ścisząc głos, chociaż Rory i Robert wyszli na taras.

– Odwiedziliśmy twoich rodziców niedługo przed ich ślubem. Pamiętam, że Olive trafiło wiele podobnych kwestii do tych, które teraz, jak podejrzewam, dręczą cię, kochanie.

– Aha – wyjąkała Joan niepewnie. Miała nadzieję, że nikt nie zauważył wątpliwości, z którymi zmagала się od kolacji w Bait al-Faladz, ale w końcu Marian często widziała więcej, niż dawała po sobie poznać. Nie był to temat, który Joan chciała z nią poruszyć. – No cóż, słyszałam, że to naturalne, czuć treść przed ślubem – odparła, wzruszając lekko ramionami.

Marian wyciągnęła rękę i złapała ją za dłoń, żeby zwrócić jej uwagę.

– Wiele podobnych kwestii – powtórzyła znacząco, a Joan wlepiła w nią wzrok. Marian zauważyła, że zdołała do niej dotrzeć, więc puściła jej dłoń i poklepała ją z zakłopotaniem. – Tak. Pamiętam, że poszliśmy z Olive na zakupy, kiedy twój ojciec wyjechał na jeden z weekendowych biwaków z tym swoim przyjacielem... jak on się nazywał? James? Jim?

– John.

– Właśnie. Z nim. Miał na imię John Denton, prawda? W każdym razie Olive zdręczała się ślubem przez cały czas, kiedy twojego ojca nie było. Ale chyba najbardziej obawiała się, że to on się wycofa, twój ojciec. Widzisz, zawsze był bardzo honorowym człowiekiem. Oczywiście, sama dobrze o tym wiesz. Koniec końców uznała, że kocha w nim tak wiele, że woli go mieć w tej czy innej formie, niż nie mieć go wcale. Być może nawet mu to powiedziała, tego nie wiem. Ale, rzecz jasna, ślub się odbył.

Marian oparła się na krzesło i upiła łyk drinka, a Joan wpatrywała się w swój kieliszek, usiłując zrozumieć, co właśnie usłyszała. Nie miało to dla niej większego sensu.

– Lepiej nie podejmować pochopnych decyzji, zawsze to powtarzam – skończyła Marian i odwróciła wzrok, jakby straciła zainteresowanie tematem.

– Tak. Chyba tak – zgodziła się zdezorientowana Joan.

Przecież Marian nie mogła niczego wiedzieć. Nie mogła mieć pewności, chyba że to było oczywiste. Chyba że tylko Joan nie zdawała sobie z tego

sprawy, ale nie wydawało jej się to możliwe. Kładąc się do łóżka, wciąż zastanawiała się nad jej słowami. Głowa bolała ją ze zmęczenia, ale spała niespokojnie, co chwilę budząc się z koszmarów, w których szła przez ciemność z poczuciem, że zaraz się potknie i spadnie w przepaść.

Przed oczami stanął jej John Denton, przyjaciel ojca – nie myślała o nim od lat. Był komiwojażerem, sprzedawał części zamienne do odkurzaczy. Przez całe jej dzieciństwo odwiedzał ich co kilka miesięcy w trakcie swoich podróży. Wszyscy jedli razem kolację, a później John i David rozmawiali i śmiali się do późna. W towarzystwie przyjaciela jej ojciec tak się rozpromieniał, że Joan była zazdrosna, chociaż lubiła Johna i nie chciała iść spać, żeby nic jej nie ominęło. Próbowwała sobie przypomnieć, czy widziała go na pogrzebie ojca, ale cierpienie ją otępiło i ten dzień zatarł się w jej pamięci. „W tej czy innej formie”.

Analizowała słowa Marian, ale za każdym razem, kiedy miała wrażenie, że zaczyna je rozumieć, ich sens znów jej się wymykał. Czuła się tak, jakby próbowała coś dojrzeć w zaparowanym lustrze, ale ogólny przekaz Marian był jasny – małżeństwo mogło być udane niezależnie od tego, co ci się nie podoba w partnerze, pod warunkiem że wystarczająco dużo w nim kochasz. Joan długo nad tym myślała, ostatecznie dochodząc do wniosku, że niekoniecznie uwzględnia to wszystkie ewentualności.

Ziarno wątpliwości zostało jednak zasiane. W dzień wyznaczony przez Salima Joan wymyśliła pożegnalną kolację u Maude, żeby mieć pretekst do wyjścia o zmierzchu i żeby do rana nikt się o nią nie martwił. Wyobraziła sobie długą, samotną noc, jaka czekałaby ją, gdyby ostatecznie nie poszła z Salimem. Gdyby wsiadła na statek do Adenu, poleciała do Anglii i wróciła do Bedford, do domu, w którym się wychowała; gdyby wyszła za Rory'ego i przeprowadziła się z nim do domu bliżej dworca. Wyobraziła sobie ich dzieci. Wyobraziła sobie bożonarodzeniowy lunch z Hibbertsami.

Wyobraziła sobie te wszystkie rzeczy, na które czekała, zanim przyjechała do

Omanu, i zdumiało ją, jakie budziły w niej teraz reakcje – czuła się ociężała i półprzytomna, jakby nie mogła opanować senności, chociaż wołała czuwać.

W porze podwieczorku napisała list zaadresowany do wszystkich, Rory’ego, Roberta i Marian, chociaż był przeznaczony głównie dla jej narzeczonego. Ustawiła kartkę w niezbyt widocznym miejscu. Gdyby ktoś zajrzał przelotnie do pokoju, nie rzuciłaby mu się w oczy, ale po dokładnych poszukiwaniach musieli ją znaleźć.

Napisała bliskim:

Przykro mi, że tak postępuję. Przykro mi, jeśli będziecie się martwić – spróbujcie tego nie robić. Jestem w dobrych rękach i na pewno jeszcze się zobaczymy.

Zastanawiała się, czy choć jedno słowo tego listu było prawdą. Zastanawiała się, czy nie podrze go później i nie upchnie strzępów w walizce, dławiąc się własnym tchórzostwem.

Gdy słońce niknęło na zachodnim niebie, Joan weszła po schodach do pokoju Rory’ego i przystanąła z wahaniem przed zamkniętymi drzwiami. Ze środka dobiegały stłumione odgłosy; słyszała, że chodzi po sypialni. Pewnie się pakował albo przebierał na drinki na tarasie. Uniosła dłoń, żeby do niego zapukać, ale gdy jej knykcie zetknęły się z drewnem, rozległ się tak nieśmiały dźwięk, że nie była pewna, czy go usłyszał. Ale wewnątrz zrobiło się cicho. Na myśl, że Rory mógłby naprawdę otworzyć, Joan ścisnęło się serce. Nie wierzyła, że mogłaby zobaczyć go w tym momencie i mimo wszystko wyjechać. Gdyby miło ją powitał, gdyby odezwał się pojednawczym tonem, gdyby był uroczy i łagodny, gdyby poczuła się z nim bezpiecznie, znów zapadłaby w ten odurzający sen. Zamknęła oczy. Nie miała pojęcia, czy tego chce. Ale Rory nie otworzył drzwi; w środku znów zaczęła się krzątanina, a Joan nie zapukała drugi raz. Nabrała wolno powietrza i odeszła.

Nie zabrała ze sobą nic oprócz małej torby podróżnej z aparatem i zawiniątka od Abdullaha. W pustym zaułku włożyła abaję i zasłonę z maską. Trzęsły jej się dłonie, więc pomyślała o górach; o tym, że jako pierwsza stanie na płaskowyżu, bo jest pionierką, a nie „biedną Joanie” i kłębkim nerwów.

Strażnicy bram miasta prawie nie zwrócili na nią uwagi w jej przebraniu. Mogła być kimś zupełnie innym. I właśnie tak się czuła, wspinając się na wzgórze. Jej determinacja rosła z każdym kolejnym krokiem, jaki dzielił ją od dawnego życia – mogła się stać kimś innym i zdecydować, kto to będzie. Nawet Maude nie widziała szczytu Al-Dżabal al-Achdar. Joan porzuciła zwykłe życie, więc zwykłe reguły już jej nie obowiązywały.

Stała między skałami w miejscu, gdzie ostatni raz widziała Salima, i patrzyła w dół na miasto i morze. Czuła się tak daleko od tego drugiego życia, że zastanawiała się, czy nie istnieje podwójnie – czy jakaś inna wersja niej nie pakuje się właśnie w Rezydencji. Statek, który miał zabrać tamtą Joan do Adenu, już zacumował. Patrzyła, jak podpływa do niego mała lichtuga, znacząc wodę za sobą bladą wstęgą. Ta Joan, które weszłyby na jego pokład, nie powiedziałyby Rory’emu o tym, co zobaczyła w obozie, bo od tego zależałoby, czy z nim zostanie i za niego wyjdzie. Nagle zrozumiała, że musiałyby zachowywać się tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło, a wiedziała, jakie to byłoby trudne. Kłamstwo zatrzałoby ich małżeństwo od pierwszej chwili. „Nie musisz grać tylko tymi kartami, które ci rozdano”, powiedziała Maude. Joan była gotowa wymienić swoje karty.

Gdy usłyszała ciche kroki Salima i poczuła zapach kadzidła i metalu, serce zaczęło walić jej w piersi. Podjęła decyzję; zostało zaledwie kilka sekund, żeby ją cofnąć, i chociaż wiedziała, że tego nie robi, nadal się bała – jakby szła skrajem klifu, wiedząc, że może spaść, chociaż bardzo tego nie chce. Salim przez chwilę się nie odzywał. Popatrzył na nią poważnie, skinął głową, a potem przywołał ją gestem do siebie i położył jej dłoń na ramieniu.

– Wiedziałem, że masz odwagę – powiedział. – Ale muszę cię ostrzec: ta góra cię odmieni i już nigdy się od niej nie uwolnisz. Idź za mną najciszej, jak potrafisz.

Odwrócił się tyłem do drogi i zniknął głębiej między stromymi, ostrymi skałami. Joan poszła jego śladem, dysząc z wysiłku i nie oglądając się za siebie.

Salala i Pusty Kwartał, Oman, marzec 1909

Między śmiercią Faye a swoim wyjazdem do Arabii Maude zobaczyła się z Nathanielem tylko raz. Spotkali się w Boże Narodzenie w Marsh House, a on miał równie zaczerwienione oczy i napięty wyraz twarzy jak w dzieciństwie, gdy wracał z Nicei od matki. Faye przegrała walkę z guzem, który według świadków najpierw w okrutny sposób pozbawił ją alabastrowego piękna, a później życia. Maude miała okazję poznać Faye, ale przebywanie w jej obecności i patrzenie, jaką miłością darzy ją Nathaniel, okazało się tak bolesne, że później na jakiś czas zaniemogła, a problemem nie był jej stan fizyczny, tylko psychiczny. Czuła się tak źle, że nie mogła wychodzić z domu, widzieć się z nikim ani jeść. Wstydząc się tej słabości, ukrywała swoje załamanie przed wszystkimi, zwłaszcza przed ojcem, twierdząc, że wpadła w wir pracy, bo kończy rękopis. Trzyletnie małżeństwo Nathaniela i Faye nie przyniosło potomstwa. Oboje dużo chorowali. Przez większość czasu mieszkali w Trypolisie, a później w Bagdadzie. Ciężki klimat i brak wygód w każdym z tych miejsc odbiły się niekorzystnie na zdrowiu Faye, która stopniowo opadała z sił, chociaż ponoć nigdy nie narzekała. Maude próbowała nie czuć nienawiści do tej niewinnej dziewczyny, ale było to trudne. Na jej śmierć zareagowała taką obojętnością, że przez jakiś czas unikała Nathaniela. Ciężko przychodziło jej znalezienie odpowiednich słów i nie mogła znieść jego cierpienia. Widząc zboląłą twarz Nathaniela miała wrażenie, że się dusi, jakby ktoś bezlitośnie zaciskał dłonie na jej szyi. Wysłała oficjalne kondolencje na kartce z czarną obwódką w nadziei, że będzie zbyt zatroskany, by zauważyć, jak dalece niewystarczający był ten gest.

Gdy zimą 1908 roku spędzali w Marsh House to Boże Narodzenie, Faye nie żyła od sześciu miesięcy. Nathaniel spowazniał i wychudł, jak gdyby żałoba odarła go z ostatnich śladów chłopięcej niefrasobliwości. Nie stał już

z połami marynarki odrzuconymi w tył i rękoma w kieszeniach. Nie opierał się już miękko o gzyms kominka w salonie. Teraz stał prosto z ciężarem ciała przeniesionym lekko w przód jak człowiek, który w każdej chwili spodziewa się kolejnego ataku.

Maude nadal nie umiała rozmawiać z nim z dawną swobodą. Kochała go z niezmienną żarliwością i sama wciąż przeżywała żalobę po śmierci wszystkich swoich nadziei, zdeptanych w chwili, gdy usłyszała o istnieniu Faye. Jej śmierć wcale nie pozwalała ich ożywić; widać było, że Nathaniel ciągle kocha wspomnienie żony, a poza tym i tak nie mógł poczuć niczego więcej do Maude. Rozmawiali głównie o podróżach; o jej planach, żeby przemierzyć Ar-Rab al-Chali – Pusty Kwartał arabskiej pustyni, którego nikt dotąd nie pokonał najdłuższą trasą, wiodącą z południa na północ. Maude nie zależało na tym, żeby zostać pierwszą osobą, która tego dokona. Wzbudzało to w niej przyjemny dreszcz emocji, ale zdobyła już uznanie jako podróżniczka, badaczka i filolog klasyczna; jej książki zbierały niechętnie przychylnie recenzje nawet od najmniej życzliwych uczonych. Niektórzy przestali nawet dodawać do swoich pochwał zastrzeżenie „jak na kobietę”. Ale tym, co najbardziej pociągało ją w Pustym Kwartale, była panująca tam pustka. To była nieskalana, nietknięta pustynia, której nic nie mogło dorównać w jej samotnej chwale. Maude widziała przebłyski tego odludzia podczas poprzednich podróży, a każdy taki moment tylko wzmacniał jej apetyt, zamiast go zaspokoić.

Opowiadała Nathanielowi o swoich planach przy obiedzie nad pieczoną gęsią w sosie z czerwonej porzeczki, a potem podczas konnej przejażdżki w drobnej szarej mżawce i na podwieczorku u pastora, złożonym z sherry i kruchych ciastek; a im dłużej jej słuchał, tym bardziej rozpalał mu się wzrok. Dlatego Maude mówiła dalej – patrząc, jak chłonie każde słowo, czuła, jak żebra rozpira jej uczucie szczęścia.

– Może to jest rozwiązanie, Mo – powiedział któregoś dnia późnym wieczorem, kiedy siedzieli już tylko we dwoje przy dogasającym kominku. –

Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłem, byłem po prostu taki zmęczony i... sam nie wiem. Ciężko mi się skupić, odkąd Faye... odeszła. Ciężko mi myśleć o czymkolwiek. Ale pustynia by to zmieniała, nie mam co do tego wątpliwości. Tak jak za pierwszym razem, w Egipcie, kiedy byłem zły na cały świat i wszystkich wokół. Panował tam taki spokój. Nie umiałem czuć dłużej gniewu. Nie mogłem się niczym przejmować; wszystko po prostu... zniknęło. Boże, właśnie tego teraz potrzebuję, Maude! Tego teraz potrzebuję. – Wychylił się w jej stronę z głodem w oczach.

– Jedź ze mną! – zaproponowała impulsywnie Maude. – Weź trochę wolnego ze Służb Politycznych... Koszty nie grają roli. Proszę, pozwól mi to dla siebie zrobić.

Ale gdy tylko skończyła mówić, żar w jego spojrzeniu zgasł, zastąpiony cieniem zmęczenia. Zorientowała się, że musi tam pojechać sam; nie mógł być jej towarzyszem, członkiem świty kogoś o nazwisku Vickery. Próbowwała nie brać tego do siebie. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, gdy ogień z sykiem dopalał się w kominku, a kiedy spojrzała na Nathaniela, uderzyło ją, jak dobrze go zna. Był jej tak bliski, jakby stanowił część niej, choć na nim Maude zależało nieskończenie bardziej niż na sobie. Może wypijała za dużo brandy po bordo podanym do kolacji, a może natchnął ją półmrok panujący w salonie, ale nagle poczuła, że na usta ciśnie jej się to, co chciała powiedzieć mu wiele miesięcy wcześniej.

– Gdybym mogła wziąć na siebie ten ciężar, zrobiłabym to – zapewniła, a serce podeszło jej do gardła. – Gdybym mogła oszczędzić ci tego bólu, zrobiłabym to bez wahania, nawet gdyby od tej chwili dręczył mnie już na zawsze.

– Wiem – rzekł łagodnym tonem po chwili milczenia. Ale od razu zauważyła, że swoim wyznaniem odepchnęła go od siebie, zamiast go ująć. Wstał, a przed odejściem oparł jej na moment dłoń na ramieniu. – Wiem, Maude.

W kolejnym roku napisała do niego z Salali, najdalej wysuniętego na południe miasta na terytorium sułtana Fajsala ibn Turkiego, z pałacem,

w którym władca spędzał większość czasu. Duże, wychodzące na morze okna stały otwarte, by wpuszczać podmuchy bryzy do środka. Maude siedziała na składanym krzeselku na piaszczystym wybrzeżu pod szarym, zachmurzonym niebem, pocąc się lekko w parnym słonym powietrzu. Jej list do Nathaniela był wilgotny, cienki papier pomarszczył się niebezpiecznie. Pisała na drewnianej tacy opartej na kolanach, a kiedy zmieniała pozycję, kałamarz chwiał się groźnie. Niebo i morze przybrały ten sam kolor; piasek miał barwę bladej gliny. Pejzaż wydawał się harmonijny, spokojny, dziwnie pozbawiony życia.

Dziś po południu mam ostatnią audiencję u Jego Wysokości Fajsala ibn Turkiego. Sądzę, że da mi pozwolenie na podróż, chociaż jeszcze żaden obcokrajowiec go nie otrzymał. Wydaje mi się, że przypadłam mu do gustu – a może po prostu go ciekawię. Kobiety cieszą się tu znacznie mniejszą swobodą działania.

Zatopiała się w myślach, a potem zrezygnowała z tego, co zamierzała napisać dalej, ponieważ miała przekazać list do wysłania ludziom sułtana i zakładała, że go przeczytają. Chciała dodać: *Oczywiście, pojedę niezależnie od tego, czy dostanę pozwolenie. Bez niego będzie po prostu trochę trudniej.* Na pustyni nawet sułtan nie mógł jej nic zrobić – ani przed niczym jej ustrzec. *Potem wszystko będzie zależało od beduińskich przewodników, mojego zdrowego rozsądku i szczęścia. Dziękuję Bogu, że będzie ze mną mój drogi Haroun. Nie umiem tego wyjaśnić, ale mam wrażenie, że dopóki trzęsie się nade mną jak stara kwoka, nie może mnie spotkać nic naprawdę złego.*

Maude była jedyną osobą na plaży, która ciągnęła się wiele kilometrów w obie strony. Kilka bezpańskich psów w towarzystwie paru mew raczyło się resztkami ryb na linii przyływu. Bładożółte kraby skradały się przez twarde piasek bliżej wody, krążąc między morzem a swoimi norami w oszalamiającym tempie. Zostało jeszcze wiele godzin do powrotu rybaków z drugiego połowu tego dnia i wiele godzin minęło, odkąd przyłynęli z pierwszego i zawrócili kutry, żeby znów wypłynąć w morze. Kilka z nich widać było z plaży – małe białe skify i mniejsze, prostsze łajby, w których nie

zdałaby się na łaskę fal. Na północ od niej wzdłuż wybrzeża znajdowały się pozostałości miasta Surmurham, na południe miała ruiny miasta Balid. Maude uzyskała już wcześniej zgodę na oględziny i sporządzenie planu obu tych miejsc, co było wydarzeniem bez precedensu. Te mapy i rysunki były wszystkim, czego potrzebowała do ukończenia pracy nad książką o miastach starożytnych arabskich kadzidlanych szlaków handlowych Arabii; wbrew temu, co powiedziała sułtanowi, wyprawa na pustynię była wyłącznie na jej własny użytek.

Wynajęła pokoje dla siebie i Harouna w domu kupieckim na skraju przystani. Budynek miał zapiaszczone podłogi i spękane ściany, a lata kontaktu z solą i słońcem wymyły kolor z każdej możliwej powierzchni. Harounowi nie podobało się w Omanie. Narzekał przede wszystkim na wilgotność powietrza, ale drażniły go również kąsające muchy, woda pozbawiona smaku, rozbiegane oczy Omańczyków i prymitywne barbarzyństwo członków plemienia z góry Qara, którzy niemal nadzy schodzili ze wzgórz i przechadzali się po targach. Służący zmierzał ku niej właśnie plażą pospiesznym krokiem.

– Szanowna pani, lunch gotowy – oznajmił, stając u jej boku i ocierając skroń białą chusteczką.

Maude pierwszy raz zwróciła uwagę na szare włoski wśród czerni jego wąsów.

– Czy udało ci się znaleźć świeże jabłka? Albo truskawki? – zapytała po arabsku.

– Najpokorniej przepraszam, ale nie. Nie wydaje mi się, żeby je tu hodowali – odparł.

– Szkoda – westchnęła Maude. – Mam wielką chęć na coś świeżego, zanim ograniczymy się do racji podróżnych.

Wstając, podała mu swoją podkładkę do pisania. Bryczesy i koszula lepiły jej się do skóry, ale chociaż niespecjalnie dbała o konwenanse w podróży, to nie posuwała się jednak do szarpania swoich ubrań w miejscach publicznych. Przed oczami krążyło jej kilka much piaskowych, które dostały się siatkę

kapelusza, więc zdjęła go z głowy i potrząsnęła nim z obrzydzeniem.

– Zaczynam się z tobą zgadzać co do insektów, Harounie – powiedziała. Służący skinął głową.

– Więcej ich tu niż ziaren piasku na pustyni – rzekł żałośnie.

Przebierając się na lunch, Maude myślała o swoim ojcu. Sułtan wolał, gdy ubierała się jak kobieta, więc włożyła długą suknię popołudniową z lekkiego beżowego batystu, która wisiała na niej luźno w talii i na żebrach, chociaż już dawno zarzuciła noszenie gorsetów. Materiał wygniół się w kufrze, ale nic nie można było na to poradzić, a wilgotność w Salali miała przynajmniej tę zaletę, że fałdy szybciej się wygładzały. Maude zarzuciła na ramiona szal, żeby wyglądać odpowiednio skromnie. *Nie ma sensu wsadzać kija w mrowisko*, stwierdziła w liście do ojca, wyjaśniając swoje dziwne decyzje w zakresie stroju. Odpisał: *W dalekiej podróży, z dala od domowych wygód, praktyczność jest dużo ważniejsza od konwenansów*. Ostatnimi czasy nabrał zwyczaju powtarzania rad, których udzielał córce w dzieciństwie – i najwyraźniej zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że już je słyszała. Maude zaczynała się o niego martwić, ale nie miała czasu skupić się na tych troskach. Zamierzała zająć się tym, jak tylko wróci do domu z tej podróży. Teraz napisała do swoich braci, instruując ich, żeby często odwiedzali ojca i opiekowali się nim. John i Francis wcześniej weszli w wiek średni i dobrze się w nim odnajdywali. Siostra wyraźnie wytrącała ich z równowagi, a jej napominania tak ich drażniły, że najczęściej robili to, co im kazała.

O wyznaczonej godzinie Maude wyruszyła do pałacu, trzęsąc się z podekscytowania. W budynku o oszczędnym wystroju panował chłód; strzegli go chudzi omańscy żołnierze i ogromni, muskularni czarni niewolnicy w identycznych niebieskich tunikach. Na dziedzińcu szemrała swoje melodie fontanna, korytarze rozbrzmiewały arabskimi szeptami, a z ogrodu dobiegał świergot ptaków. Maude żałowała, że nie ma z nią Nathaniela. Z łatwością umiała go sobie tu wyobrazić, jak pływa w morzu albo śpi w cieniu. Cienkie włosy na skroniach pojaśniałyby mu od słońca. Rozpraszały ją takie myśli,

więc wyrzuciła je z głowy. Sułtan Fajsal ibn Turki był niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną po czterdziestce. Miał proste brwi, brązowe oczy o surowym spojrzeniu i pełną dolną wargę, okoloną krótką bródką. Nosił turban królewski z czerwonego jak jego flaga jedwabiu w złote pasy. Na początku traktował ją wyniośle, niemal oschle – wiedziała, że zgodził się na spotkanie tylko dlatego, że był ciekawy jej wyglądu, jej zagranicznego pochodzenia – i tego, że jest kobietą. Nic dla niego nie znaczyła renoma, jaką zdobyła w innych częściach świata. Podczas kolejnych rozmów zauważyła jednak, że stopniowo nabiera do niej sympatii. Teraz wyglądał, jakby miał rozciągnąć usta w uśmiechu, ale tego nie zrobił. Maude złożyła mu ukłon, a potem usiadła na prostym drewnianym krześle, ustawionym naprzeciwko niego odrobinę za blisko, by czuła się komfortowo. Oczywiście, musiała patrzeć mu w oczy i pamiętać, żeby nie skrzyżować nóg ani rąk. Sułtan pachniał mocno wodą różaną, kadzidłem i kawą. Przez jakiś czas wymieniali tradycyjne powitalne uprzejmości, a potem Fajsal przyglądał jej się dłuższą chwilę, nie mrugając.

– Mam nadzieję, że podoba się pani pobyt w Salali? – zagadnął.

– Bardzo mi się podoba, wasza wysokość. Chociaż uważam, że sułtan powinien wpoić części swoich poddanych poczucie przyzwoitości. – Maude odczekała, aż twarz Fajsala zacznie przybierać wyraz oburzenia, a później dodała z uśmiechem: – Mam na myśli muchy piaskowe, wasza wysokość. Są dość niezdyscyplinowane.

– Ale wszyscy jesteśmy stworzeniami bożymi, panno Vickery – odparł, uśmiechając się przelotnie. – Cieszę się, że dobrze się pani czuje w Salali. Może pani przedłużyć pobyt wedle swojego uznania.

– Dziękuję, wasza wysokość. Sułtan jest niezwykle szczodry. – Maude nie umiała ocenić, czy chciał ją sprowokować, żeby okazała niecierpliwość i zapytała o planowaną podróż, czy też byłoby to katastrofalnym nietaktem.

Sułtan znów długo milczał, a później uśmiechnął się szerzej.

– Może pani pojechać na pustynię zgodnie ze swoim życzeniem, panno

Vickery. Obawiam się o pani bezpieczeństwo w tak dzikim miejscu, ale z pewnością nie jest pani zwyczajną kobietą. I widzę w pani miłość do mojego kraju, a jestem znawcą charakterów.

– Wasza wysokość, pragnę złożyć najpokorniejsze i najszczerze podziękowania – odparła Maude. Uczucie tryumfu zaparło jej dech w piersiach, ale mówiła uległym tonem i nadała twarzy służalczy wyraz.

– Jedno mnie zastanawia – powiedział Fajsał, pochylając się lekko ku niej z błyskiem w oku. – Mianowicie, kogo chce pani zwieść tą udawaną potulnością?

– Wasza wysokość, wiem, że sułtana nigdy nie udałoby mi się oszukać.

Maude nalegała na spotkanie z Beduinami, którzy mieli prowadzić ją przez pustynię. Należeli do plemienia Bait Kathir, mniej wrogiego białym niż inne beduińskie wspólnoty, ale i tak spojrzała każdemu z mężczyzn w oczy, żeby ocenić jego charakter; stargowała do rozsądniejszego poziomu astronomiczne wynagrodzenie, którego zażądali, i odmówiła wypłacenia wyższej zaliczki niż połowa kwoty. Wyklócała się z nimi o to, ile kupić wielbłądów i od kogo, a ostatecznie zabrała ich ze sobą na zakurzony targ na wzgórzach za Salalą, żeby pomogli jej wybrać zwierzęta. Początkowo Beduini okazywali Maude brak szacunku, a nawet jawnie drwili z drobnej cudzoziemki i jej szalonego pomysłu, by przemierzyć pustynię. Wkrótce jednak zorientowała się, że mimowolnie zaczynają traktować ją poważnie – a im bardziej się z nimi kłóciła, tym więcej mieli dla niej uznania. Kłóciła się więc zaciekle.

Cieszyła się zwłaszcza z tego, że w wyprawie weźmie udział niejaki Khalid ibn Fatimah, mocno zbudowany Beduin z niezwykle inteligentnym spojrzeniem. Jego wiek oceniała na gdzieś między trzydziestką a sześćdziesiątką. Słuchał uważnie i bacznie obserwował otoczenie, a zwracał się do niej z umiarkowanym szacunkiem, jakby nie zdecydował jeszcze, czy na niego zasługuje, co Maude wydało się całkowicie uzasadnione. Wskazał, które wielbłądy są przyzwyczajone iść przez pustynię, które przez wzgórze; które okuleją na rumowiskach zwirowych, stanowiących sporą część Ar-Rab al-

Chali, a które zatopią kopyta w wydmach i odmówią dalszej podróży. Ostatecznie skompletowali stado wyłącznie z samic, a wszystkie prócz jednej wydawały się potulne i uległe, choć Maude wiedziała już z doświadczenia, że nawet najmilsze zwierzę miewa gorsze momenty. Niedaleko starożytnego nabatejskiego miasta Petra widziała wielbłąda, który wysłał brutalnego właściciela na tamten świat jednym morderczym, celnym kopniakiem, wymierzonym przednią nogą. Maude przedstawiła się swojej nowej wybuchowej wielbłądzicy – najmniejszej z całego stada – karmiąc ją daktylami.

– Wiem, jakie to uczucie, być małą i wściekłą na cały świat – powiedziała jej. – Będiesz mieć na imię Karzełek, bo to mój dawny przydomek, a jeśli mnie kiedykolwiek ugryziesz, obedrę cię ze skóry i zrobię sobie z twojego zadka sandały i bukłak.

Karzełek trąciła właścicielkę w ramię włochatym nosem, tak że Maude musiała cofnąć się o krok. Wielbłądzica wydała z siebie głęboki pomruk i zerknęła na nią spod długich rzęs, a Maude mogłaby przysiąc, że w jej oczach dostrzegła rozbawienie.

Jutro wyruszamy, napisała do Nathaniela w kolejnym liście, który zamierzała wysłać dopiero po powrocie z pustyni – jeśli uda jej się z niej wrócić. Haroun stosunkowo dobrze dogadywał się z Khalidem, który – na ile to możliwe – zdawał się mieć posłuch u pozostałych Beduinów. Maude pomyślała z niejaką satysfakcją, że nie mogłaby dobrać lepszej grupy. Początkowo nie odróżniała od siebie trzech młodszych Beduinów – wszyscy mieli potargane czarne włosy, cienki wąsik, spłowiałe tuniki i bose stopy. Wszyscy oprócz chandzarów nosili karabiny i pasy z amunicją, a głowy owijali kefijami. Jeden z nich miał na nadgarstku zepsuty szwajcarski zegarek, z którego był niezmiernie dumny. Maude wolała się nie zastanawiać, jak, u licha, go zdobył. Od razu nauczyła się ich imion – Fatih, Ubaid i Kamal – ale w pierwszych dniach nie zawsze miała całkowitą pewność, czy zwraca się odpowiednim imieniem do odpowiedniego mężczyzny. Był z nimi również

starzec, który twierdził, że przemierzył pustynię wzdłuż i wszerz. Miał białe włosy i wąsy, a na świat wyglądał spomiędzy fałd pomarszczonej skóry. Nazywał się Sayyid, a młodszy Beduini odzywali się do niego z pogardą i rozbawieniem, co zaskoczyło Maude. Najwyraźniej starszym ludziom szacunek nie przysługiwał tu automatycznie. Ale obiektem największych drwin stał się kościsty młodzieniec imieniem Majid, zatrudniony przez Harouna w Salali jako chłopak na posyłki. Mało się odzywał, w jego oczach malowało się przerażenie i wyglądał na nie więcej niż trzynaście lat.

Najpierw jechali długo na północny wschód od wybrzeża przez ogromne pola żwirowe upstrzone kulistymi geodami i osobliwymi formacjami skalnymi, przypominającymi skamieniałe kwiaty. Wielbłądy nie zatrzymując się, skubały liście niskich ciernistych drzew. Powietrze drgało od żaru. Czasem płoszyli gazy, a Beduini strzelali do nich na zmianę, śmiejąc się i klnąc mimochodem, jeśli nie udało im się trafić i zwierzę uciekało – a tak było najczęściej. Wieźli zapasy mąki, soli, wody, daktyli, kawy, cukru, cebuli i suszonej kozłiny. Czwartego dnia, kiedy zdołali ustrzelić gazelę, jej świeże mięso stanowiło przyjemną odmianę, a Maude zdała sobie sprawę, jak będzie miała dosyć zapiaszczonego chleba i daktyli, zanim dotrą do celu. Haroun trzymał w zamkniętym pojemniku słodkie herbatniki, czarną herbatę, pomadki kokosowe i rachatłukum do wyłącznego użytku Maude. Kluczyk do pojemnika miał zawsze przy sobie i strzegł go jak skarbu.

– Szanowna pani, jeśli chodzi o słodycze, Beduini są jak dzieci – oznajmił jej poważnie. – I jak dzieci będą próbować je wykraść.

– Harounie, od tych ludzi zależy nasze życie – przypomniała mu rozbawiona Maude. – Chyba nie zaszkodzi się z nimi podzielić?

Narzekając pod nosem, Haroun wyjął pudełko z rachatłukum, a mężczyźni nabrali tyle przysmaków, ile zdążyli, zanim im je odebrał. Zajadali się nimi z szerokimi uśmiechami, a cukier puder przysypywał im brody. Młody Majid, który nigdy wcześniej nie próbował rachatłukum, zamknął oczy z zaskoczenia i rozkoszy. Od tamtej pory Maude dawała mu kawałek codziennie wieczorem,

kiedy nikt nie widział.

Beduinów bawił namiot Maude, jej składane łóżko polowe, stół, toaletka i krzesło. Nie starali się ukryć swoich kąpiących komentarzy ani śmiechu, kiedy Haroun i Majid co noc pośpiesznie rozstawiali jej kwaterę, a także lokum dla Harouna i mały pionowy namiot, który służył Maude za wygodkę. Gdy oni wznosili te konstrukcje, Maude siedziała na krześle przy ogniu, popijając herbatę i wymieniając się opowieściami z Beduinami. Jedli razem – mężczyźni na zmianę piekli podpłomyki na blasze nad ogniskiem, zawijając w nie kawałki suszonej kozłiny i, jak można się było spodziewać, całe mnóstwo piachu. Później przychodziła pora na daktylę i kawę, która nie mogła zatrzeć stęchłego zapachu wody trzymanej w bukłakach na słońcu, ale czyniła go nieco bardziej znośnym. Beduini pili i jedli niewiele. Maude wydawali się równie samowystarczalni, jak ich wielbłądy – nie mogła uwierzyć, jak mało potrzebują do przeżycia. Po tygodniu dowiedziała się, że Fatih, najbardziej wygadany z młodszych mężczyzn, to najstarszy syn Khalida. Nagle uderzyło ją, jak nieustannym potokiem słów, piosenek i niewiarygodnych historii zabiega o uwagę i akceptację ojca. W ciągu dnia mężczyźni śpiewali fragmenty Koranu, modlitwy albo rozwlekłe pieśni ludowe. Maude miała wrażenie, że wybierają pierwszą lepszą melodię, jaka wpadnie im do głowy. Kiedy jedna ballada dobiegała końca, zaczynali następną. Któregoś dnia po kilku godzinach tych zawodzeń Maude wykonała głośno i energicznie hymn *Cudowna Boża łaska*, a mężczyźni słuchali jej z konsternacją, by na koniec ryknąć radosnym śmiechem.

Ich trasę dyktowało rozmieszczenie pastwisk dla wielbłądów i wodopojów, dlatego miała dość zawiły przebieg. Maude starała się nie denerwować wolnymi postęпами, ale niepokoiło ją, jak niewielki dystans udało im się pokonać przez dziesięć dni. Często zerkała na kompas, tworząc szczegółową mapę ich podróży. Robiła zdjęcia i szkicowała urwiste grzbiety mijanych skał oraz widywanych z rzadka przedstawicieli lokalnej flory i fauny: ogromnych bladozielonych skorpionów, czarnych żuków, wron i lisów z uszami jak

nietoperze. Niekiedy po piasku przemykały też w drodze do swoich nor srogie jaszczurki o ogonach grubych jak pałki. W dniu gdy Khalid ustrzelił oryksa, poprosiła, żeby zaczekali pół godziny z rozebraniem mięsa, i w tym czasie narysowała jego piękne czarne rogi i sierść koloru nieskazitelnej bieli wszędzie z wyjątkiem zbryzganych krwią żeber. Wkrótce ze zwierzęcia zostały tylko pasy mięsa, które suszyły się na słońcu na wiklinowej ramie, pokryte warstwą piachu i much. Skóra i rogi zniknęły w bagażu mężczyzn. Życie Beduinów było ciężkie, dlatego nie mieli czasu zachwycać się pięknem dzikich zwierząt. Khalid przyglądał się z zaciekawieniem rysunkom Maude.

– Nie zobaczymy ich wiele – odezwał się w końcu. – Takie stworzenia boją się ludzi i potrafią szybko biegać.

– Dobrze się składa, inaczej wszystkie mogłyby wyginąć – stwierdziła Maude.

– Bóg tak chciał – zgodził się Khalid. – Każdy z nas żyje na swój sposób i umiera na swój sposób.

– A ty strzelasz na swój sposób, dzięki czemu mamy kolację – skwitowała, wywołując uśmiech na twarzy barczystego mężczyzny.

Maude szybko przejadły się daktylami, które stanowiły podstawę ich diety. Dostawała od nich skurczów żołądka, więc nawet w te dni, kiedy mieli niewiele więcej do jedzenia, wołała się przegłodzić. Każdego wieczora jej plecy przeszywał ostry ból od nieustannego kołysania wielbłądźcy, a pośladki miała zdrętwiałe i posiniaczone. Próbowwała klęczeć jej na grzbiecie za garbem, jak Beduini, ale szybko doszła do wniosku, że utrzymanie się choćby przez chwilę w tej pozycji wymaga ćwiczeń od wczesnego dzieciństwa. Starła się od czasu do czasu zsiadać i iść obok swojego wielbłąda, ale ulga była krótkotrwała, bo uświadomiła sobie, jak skąpa dieta osłabiła jej mięśnie. Wargi miała spękane od upału i nieustannie chciało jej się pić, od przebudzenia aż po moment zaśnięcia. Beduini najwyraźniej bez snu obywali się równie dobrze jak bez jedzenia i wody, bo rozmawiali do późnej nocy, nie dając jej wypocząć. Pewnej nocy dwie godziny dyskutowali o śladach,

widzianych w ciągu dnia. Spierali się zażarcie, czy wielbłądy były stare czy młode, grube czy przymierające głodem, obładowane czy lekkie i przygotowane do ataku, a Maude musiała ugryźć się w język, żeby nie wybiec z namiotu i nie zażądać ciszy. Odkryła, że w takich chwilach pomaga jej tylko układanie w myślach listu do Nathaniela. *Pod pewnymi względami są jak chłopcy, którzy kłócą się przy grze w kasztany. Z drugiej strony, przechwalają się między innymi tym, ilu ludzi zabili.*

Oczy łzawiły jej nieprzerwanie od oślepiającego blasku pustego nieba, odbijanego przez piasek niewysokich białych wydm, które przemierzali. Dwa dni ocierała powieki dłonią, za każdym razem podrażniając je piaskiem, aż w końcu pozwoliła Khalidowi nałożyć na nie kajal. Wszyscy Beduini mieli przy sobie małe metalowe tubki z aplikatorami w nakrętce. Khalid przeciągnął ostro patyczkiem wzdłuż dolnej obwódki jej oczu, a Maude zamrugła gwałtownie, czując pieczenie i palące, szorstkie ciepło. Ale kiedy ból zelżał, odkryła, że światło naprawdę mniej ją razi. Tego popołudnia zobaczyli inną grupę Beduinów na szczycie przeciwległego wzniesienia. Mężczyźni zebrali się wokół Khalida, który wpatrywał się przed siebie. Później zsiadł z wielbłąda, przykucnął i podrzucił garść piachu w powietrze na znak pokojowych intencji. Gdy jego gest nie został odwzajemniony, rozległy się niezadowolone pomruki. Nieznajomi po prostu ich obserwowali, a Maude przeszył dreszcz; jej Beduini wzięli do rąk karabiny i wbili wzrok w przybyszów.

– Grupa wypadowa? – zapytała Sayyida, który stał obok niej. Starzec przytaknął.

– Nie są z plemienia Bait Kathir. Może to plemię Rashid. Jest ich mniej niż nas, więc pojedą dalej, ale będziemy musieli na nich uważać w ciemności.

To była nerwowa, bezsenna noc. Wystarczyło mruknięcie wielbłąda, a Beduini zrywali się na nogi, sięgając po broń. Inni napotkani podróżnicy byli bardziej przyjaźni i zatrzymywali się na długie pogawędki, które irytowały Maude, dopóki nie zdała sobie sprawy, że wymieniają się nowinami o pastwiskach dla

zwierząt i grupach wypadowych w okolicy. Któregoś dnia stracili całe popołudnie, bo musieli schronić się przed ostrym wiatrem. Początkowo warunki nie wydawały się bardzo trudne. Maude próbowała pochlebstwami nakłonić mężczyzn do dalszej wędrówki, ale bez skutku – wielbłądy ułożyły się na piasku, a jeźdźcy przycupnęli po ich zawietrznej stronie i owinęli twarze kefijami. Haroun i Majid starali się mimo wichury rozstawić namioty, a Maude stała odwrócona plecami do podmuchów, zafascynowana ruchem piasku, który przesuwiał się pasmami, kłębami i dziwacznymi mackami, zupełnie jak dym. Na wietrze nie dało się mówić i niewiele było widać. Maude żałowała, że nie może narysować, jak piasek nadaje mu fizyczną postać. Kiedy zawierucha zmusiła ją do wejścia namiotu, od stóp do głów pokrywał ją piasek i dzwoniło jej w uszach.

Rankiem zapanował głęboki spokój, a niebo przybrało barwę nieskazitelnego błękitu. Beduini beztrąsko przeklinali piasek, wytrząsając go ze swojego dobytku i otrzepując wielbłądy. Nawet gdy chrząścił im w zębach przy śniadaniu, już po chwili oznajmiali stoicko, że wiatr był wolą Boga. W porannym chłodzie Maude oddaliła się nieco od grupy i wspięła na skały. Była głodna, spragniona, wyczerpana i bardzo szczęśliwa. *Żałuję, że nie ma cię tu ze mną*, napisała w myślach. *Tylko z Tobą mogłabym dzielić to uczucie, nie tracąc go; tylko Ty nie zbeczczyłbyś tego rajy*. Poczwała nagły przypływ optymizmu. Oczywiście, zawsze była pewna, że poradzi sobie na tej wyprawie, a przemierzenie pustyni jest możliwe, ale równocześnie tak dobrze rozumiała, ile rzeczy może pójść źle, zmuszając ich do powrotu, że chyba czekała, aż któraś z nich się wydarzy. W tym momencie przestała na to czekać. Zobaczyła cel swojej podróży, choć był jeszcze daleko; wyobraziła sobie, jak triumfalnie dociera na miejsce i resztę życia spędza w świadomości, że zrobiła to jako pierwsza – a w dodatku jest kobietą. Postanowiła, że książka, w której to opíše, będzie nosić tytuł: *Arabia. Podróże wśród wiatru i gwiazd*. Gdy wstała tego ranka, na zachodzie świeciła wciąż jedna gwiazda – maleńki srebrny pieg, blednący w świetle dnia.

Ale już następne dni nadwątlily jej optymizm. To była najbardziej wycieńczająca podróż, jaką kiedykolwiek podjęła. Nie знаła jeszcze tak surowego i monotonnego terenu. Każdego dnia miała wrażenie, jakby kopała dziurę, która nie pogłębia się ani o milimetr; jakby brnęła w niekończącym się morzu żwiru i pyłu. Którejś nocy marzyła, żeby już się położyć i zasnąć, ale przygotowanie jej kwatery zajmowało Harounowi całe wieki. Kaśliwa ze zmęczenia warknęła:

– Człowieku, na litość boską, czemu to trwa tak długo? Miałeś postawić namiot i zaparzyć herbatę, a ja do tej pory zdążyłabym sobie zbudować zamek z piasku.

– Najpokorniej przepraszam, szanowna pani – zasmucony Haroun złożył jej ukłon. – Jeszcze tylko kilka minut.

Nagle Maude zauważyła, że służący oddycha z trudem, a skronie pokrywa mu pot. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

– Harounie! Źle się czujesz?

– To nic takiego, sahib. Tylko lekka febra. – Ale jego dłonie były słabe i niespokojne, a w podkrążonych oczach malowała się dezorientacja.

– Majid, rozstaw namiot Harouna najszybciej, jak potrafisz – poleciła chłopcu. – Usiądź, Harounie. Nalegam. Kiedy twój namiot będzie gotowy, masz wejść do środka i położyć się spać.

– Ale...

– Bez dyskusji. Poradzimy sobie z Majidem.

– Tak, pani.

Poradzili sobie, ale z trudem. Namiot Maude stał krzywo, ale tylko dzięki pomocy Khalida w ogóle udało im się go rozbić. Po wszystkim zrobiło się już za późno na herbatę. Maude rozłożyła i posłała łóżko, nie zawracając sobie głowy resztą mebli. Noc była lodowata, więc drżała przy ognisku, czekając na swoją porcję chleba i mięsa. Majid wrócił z namiotu Harouna z nietkniętym talerzem i wiadomością, że służący śpi.

– To dobrze – stwierdziła zaniepokojona Maude. – Potrzebuje odpoczynku.

Powinnam była zauważyć to wcześniej; zachowywałam się egoistycznie.

Zaabsorbowana swoimi myślami, zaczęła mówić po angielsku, a Majid patrzył na nią nic nierozumiejącym wzrokiem, wybałuszając oczy ze zdziwienia. Rano Haroun wstał, ale trząsał się na całym ciele i ledwo trzymał się na nogach, usiłując przyrządzić jej śniadanie.

Majid odprowadził go za skały, a później Maude spróbowała wy badać służącego najdelikatniej, jak umiała.

– Harounie, czy to dyzenteria? Proszę, mów otwarcie, nie zawstydzisz mnie takimi sprawami.

– Może to od daktyli albo od wody, szanowna pani.

– Mam taką nadzieję. Ale na wszelki wypadek przygotuję dla ciebie tonik.

– Musi pani oszczędzać leki, sahib. Sama może ich pani potrzebować.

– Teraz ich potrzebuję, Harounie, ponieważ bez ciebie sobie nie poradzę – odpowiedziała, zauważając z przyjemnością, że lekko się uśmiechnął.

Beduini hałaśliwie protestowali przeciwko dalszemu postojowi w tym miejscu – wielbłądy nie miały gdzie się paść, a poza tym kończyły im się zapasy wody. Musieli jak najszybciej dojechać do studni, od której zdaniem Sayyida dzielił ich jeszcze dzień drogi. Maude nie dała się przekonać. Haroun nie był w stanie usiedzieć na wielbłądzie, a nie zamierzała przerzucić go zwierzęciu przez grzbiet, co zasugerował jeden z mężczyzn, ani zostawić na pustyni. Patrzyli na nią spode łba, mamrocząc pod nosem, a potem odeszli na bok i toczyli dyskusję między sobą, dopóki Khalid nie uciął jej kilkoma celnymi słowami.

– Dwóch ludzi pojedzie do studni napełnić bukłaki – oznajmił Maude. – Wielbłądy dwa, może trzy dni mogą jeść daktyle. Potem musimy ruszyć albo zginiemy.

– Świetnie – odpowiedziała. – Dziękuję. Jestem pewna, że do tego czasu Haroun wydobrzeje.

Khalid skinął głową i odszedł, a Maude zaczęła się zastanawiać, czy dwaj młodzi Beduini wysłani do studni wrócą, czy pojedą szukać szczęścia gdzie

indziej. Gdyby to zrobili, zabierając większość bukłaków, skazaliby resztę na śmierć. Nagle uderzyło ją, w jakim znaleźli się niebezpieczeństwie. Zawsze wiedziała, że ryzyko istnieje, ale dotąd nie wydawało jej się tak namacalne. Wystarczyło podjąć jedną złą decyzję, raz zboczyć z trasy, żeby sprowadzić na siebie śmierć. Strach przed nią miał własny smak – Maude poczuła nutę miedzi na języku.

Miejsce, w którym rozbili obóz, otaczały niskie wydmy z twardego piachu, w którym odciskali jedynie płytkie ślady. Maude studiowała narysowaną przez siebie mapę, jakby mogła na niej zobaczyć drogę, jaka ich jeszcze czeka. Pokazała ją staremu Sayyidowi, próbując z niego wyciągnąć, jak daleko zaszli i ile dzieli ich jeszcze od Uruq al-Szajba. Na myśl o tych ogromnych wydmach ogarniał ją niepokój. Kiedy o nich usłyszała, zaproponowała nawet beduińskiemu przewodnikowi, żeby je ominęli. Starzec uśmiechnął się tylko. Na wschód od wydm znajdowały się rozległe ruchome piaski, a na zachodzie rozciągała się pustynia bez żadnych źródeł wody, na której utknęliby na wiele dni. Krótko mówiąc, Uruq al-Szajba nie dało się ominąć, a dopiero po drugiej stronie wydm mogli skręcić na wschód, opuścić pustynię i wjechać w góry, które dzieliły ich od morza i końca wyprawy. Sułtan prosił o wiadomość z Maskatu, kiedy tam dotrze – o ile jej się to uda. Maude analizowała otaczający ich teren i zauważyła, jak łatwo się szło po niskich, zwartych wydmach. Powiedziała do Khalida, że przejście przez Uruq al-Szajba może wcale nie być takie trudne, ale on pokręcił głową.

– Niewielu się to udało. Ludzie rozbijali się o te wydmy, tak jak fale rozbijają się o skały. Z nas wszystkich jedynie Sayyid tego dokonał. Musimy zaufać, że przeprowadzi nas przez nie bezpiecznie; i robi to, jeśli taka wola Boga.

– Jeśli taka wola Boga – powtórzyła Maude ponuro.

Drugiego dnia o świcie Maude czuwała przy śpiącym Harounie, a pozostali lustrowali horyzont w oczekiwaniu na powrót towarzyszy z wodą. Niewiele więcej dało się zrobić. Beduini rozkręcili swoje karabiny, oczyścili je

z piasku i złożyli na nowo, a potem kłócili się i śpiewali. Fatih zniknął na wiele godzin, by zjawić się wreszcie z wiechciem uschniętych buzdyganków, które wielbłądy zjadły z wyraźnym brakiem entuzjazmu. Maude wiedziała, że ich apatia wynika z pragnienia. Haroun kilka godzin mamrotał przez sen, a potem jakby się uspokoił. Nie umiała ocenić, czy to dobry znak. Przyrządziła mu następny tonik na problemy z żołądkiem, dosypując szczyptę sproszkowanego żelaza, żeby dodać mu siłę, ale nie zdołała go obudzić i wmusić w niego lekarstwa. Twarz miał zapadniętą i spoconą; w jego oddechu czuć było siarkę. Maude pomyślała o jego żonie, która została sama z dziećmi w Palestynie, wiele kilometrów od nich.

– Harounie – powiedziała mu do ucha. – Harounie, musisz wyzdrowieć. Proszę. Masz być zdrowy, rozkazuję ci! Nie zostawię cię tu, ale niedługo musimy wyruszyć. Potrzebuję, żebyś wstał i przygotował się do jazdy. Słyszysz mnie? – Próbowała nadać głosowi kategorię ton, ale zabrzmiał cienko i błagalnie.

Przełknęła ślinę. *Haroun trochę mnie wystraszył*, napisała w swoim nieistniejącym liście do Nathana z desperackim optymizmem. *Musiał dojść do siebie po ataku dyzenterii, więc mieliśmy krótki przestój, i to w najmniej odpowiednim momencie, bo zaczynało brakować nam wody. Ale już całkiem wydobrzał i znów jesteśmy w drodze.*

– Musimy go oznakować, żeby wyzdrowiał. To piętno wyleczyło mnie z tej samej choroby w zeszłym roku – powiedział Fatih, podciągając rękaw i pokazując jej trzy krótkie równoległe blizny po oparzeniach na przedramieniu.

– Nonsens – skwitowała jego słowa Maude. – Nie chcę o tym słyszeć. – Fatih odszedł, mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem cudzoziemców, kobiet i bezbożników.

– Sahib – odezwał się niepewnie Majid. – Znakowanie jest najskuteczniejsze. Może go uratować. – Chłopiec patrzył na nią oczami wybałuszonymi ze strachu, więc Maude powstrzymała się od ciętej riposty

i pokręciła tylko głową.

Haroun zmarł, nie robiąc wokół siebie zamieszania – odszedł bez najłżejszego jęku. Jego ostatni oddech zagłuszyły nagłe okrzyki radości i euforyczne strzały z karabinów, bo na horyzoncie pojawili się jeźdźcy z wodą. Maude siedziała obok niego odrętwiała. Nagle nie miała pojęcia, co robić. Przez jakiś czas płakała w namiocie, ale zadbała o to, żeby mieć suchą twarz, gdy w końcu wyszła na zewnątrz powiedzieć reszcie, co się stało.

– Trzeba było pozwolić go oznakować – upomniał ją Fatih.

Beduini przejęli kontrolę nad sytuacją, owinęli Harouna w jego koc i wynieśli z namiotu. Khalid wyrecytował kilka wersetów Koranu, a potem ciało złożono na piasku. Przez resztę dnia zbierali kamienie, którymi o zachodzie słońca przykryli płytki grób. Maude nie uchybiła wierze przyjaciela, odmawiając chrześcijańskie modlitwy nad jego miejscem spoczynku. Szukała w bagażu czegoś, co mogłaby położyć na grobie Harouna, ale Khalid ostrzegł ją, że padnie to łupem następnej grupy, która będzie tamtędy przejeżdżać.

– Myślałam, że dla muzułmanów cmentarze są święte na wieczność? – rzuciła gniewnie.

– Przykro mi, ale to nie jest cmentarz. To pustynia i chociaż mamy tu wiarę, to nie zawsze oznacza ona pobożność. Długo pani służył?

– Tak. Był... był mi bardzo drogi.

Maude prawie nie zmrużyła oka, a kiedy już zasnęła, śniła o zimnej wodzie – przelewała się ze szklanek, których nie mogła dosięgnąć. Obudziła się z wysuszonym gardłem, a gdy ruszali, zauważyła, że tylko ona i Majid wydają się przygnębieni. Ludzie pustyni mieli taki sam nastrój jak zwykle, a nawet lepszy, bo cieszyli się, że jadą w kierunku studni. *Beduini nie mają serc ani uczuć*, napisała w myślach do Nathaniela, chociaż wiedziała, że to nieprawda. Haroun nie był jednym z nich, a na ich oczach umarło już wiele osób. Gdyby po każdej pozwalali sobie na żalobę, szybko wycieńczyłyby ich przytłaczające emocje.

Majid uronił kilka łez, kiedy odjeżdżali, zostawiając kopiec w tyle. Maude była mu za to wdzięczna, chociaż podejrzewała, że chłopak nie płacze po Harounie, tylko ze strachu o własne życie. Zrobił się jeszcze chudszy, niż kiedy do nich dołączył – gdyby stracił jeszcze więcej na wadze, całkiem by zniknął. Wieczorem dotarli do studni, ale woda była słonawa i brudna, a wielbłądy nie chciały jej pić. Powietrze wypełnił bijący z niej odór, oburzone pomruki wielbłądów i przekleństwa ich poganiaczy. Maude zebrała się w sobie, nabrała kubek wody i wypila ją łąpczywie. Smakowała okropnie, ale gasiła pragnienie. Maude była pewna, że dostanie od niej skurczów żołądka, ale znów napełniła kubek i wychyliła go do dna. Najmniejsza wielbłądzica, Karzełek, westchnęła ochryple i poszła za jej przykładem, a wtedy reszta zwierząt przestała się opierać i również zaczęła pić. Khalid, Fatih i pozostali Beduini obserwowali to ze zdumieniem, a potem roześmiali się radośnie.

– Jest pani zaklinaczką wielbłądów! – powiedział jej Ubaid z uśmiechem. – Bóg jest dobry!

Cztery dni jechali przez połyskujące solnisko, położone między ogromnymi, pofalowanymi wydmami. Oprócz śpiewów i kłótni mężczyzn słyhać było jedynie zgrzytanie wielbłądzich kopyt o podłoże. Maude szukała w sobie optymizmu, który czuła jeszcze niedawno, ale nie była w stanie go odnaleźć. Bez Harouna czuła się rozpaczliwie samotna. Pustynia zdawała się nie mieć końca, a pragnienie i głód nigdy nie ustępowały. Od wody dostała biegunki, po której czuła się jeszcze bardziej spragniona, jeszcze słabsza. Nocą nie umiała rozstawić stabilnie swojego dużego namiotu, więc zaczęła używać mniejszego, który wcześniej należał do Harouna. Stos powiązanych linami mebli zostawał na ziemi. Słodczyce już się skończyły, miała tylko reszkę herbaty, którą Majid parzył zgodnie z instrukcjami Harouna. Maude mało się odzywała. Czuła jednak, że Khalid nad nią czuwa – miała wrażenie, że dyskretnie ją obserwuje, za co była mu wdzięczna. Nadal kontrolowała trasę i uzupełniała ją na mapie, ale przestała prowadzić dziennik i rysować to, co widziała po drodze. Któregoś ranka zwróciła uwagę na swoje dłonie – rozedrgane, brudne,

pomarszczone i podrapane.

Pewnego dnia w okolicach południa na horyzoncie pojawiła się wydma. Ich szlak przecięła ogromna, pofałdowana, złota masa, ciągnąca się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. Zbliżali się do niej od zawietrznej, dużo bardziej stromej strony. Na szczycie przerażająco spadzistego zbocza znajdował się ostry grzbiet, spiętrzony niczym fala tuż przed załamaniem.

Maude wpatrywała się w wydnię z niedowierzaniem. Jechali ku niej w milczeniu – nawet Beduini nie potrafili śpiewać w obliczu tak straszliwej przeszkody. Nagle do Maude dotarło, że wydmy, które widzieli dotąd po obu stronach solniska, były jak niemowlęta czy miniatury w porównaniu do tego potwora – i innych, które prawdopodobnie leżały za nim. Modliła się, żeby z bliska okazało się jasne, którądy wspiąć się na górę, ale tak się nie stało. Grzbiet wznosił się pięćdziesiąt albo sto metrów nad nimi – trudno to było ocenić. Serce Maude ścisnęło się z każdym uderzeniem; Beduini wydawali się niespokojni; nawet stary Sayyid zadarł głowę, marszcząc brwi, jakby nigdy wcześniej nie widział tego olbrzyma.

– Przecież to niemożliwe! – rzuciła Maude w przestrzeń. – Nie da się wprowadzić wielbłąda na takie zbocze!

– Sayyid wprowadził. Pokaże nam, jak to zrobić – powiedział Fatih, ale zabrzmiało to tak, jakby sam w to nie wierzył.

– Teraz wszystko w rękach Boga – orzekł Khalid z zaniepokojoną miną. – Oby okazał się łaskawy. – Majid zerknął na niego z przerażeniem.

– To niemożliwe! – powtórzyła Maude, a potem zamilkła, wstydząc się nuty paniki w swoim głosie.

Musieli iść dalej albo zawrócić, co byłoby ryzykowne – mogło zabraknąć im wody, nim dojadą do poprzedniej studni, a gdyby jej nie znaleźli, czego nie dało się nigdy wykluczyć, byłiby skazani na śmierć. Poza tym szczęśliwy powrót oznaczałby koniec nadziei na przemierzenie pustyni. A wtedy wszystkie poświęcenia poszłyby na marne. Śmierć Harouna byłaby na nic. Nie mogli się wycofać.

Maude próbowała się uspokoić. W gardle zaschło jej tak, że nie zdołała przełknąć śliny. Pomyślała o swoim liście do Nathaniela, ale nie umiała już znaleźć słów – nie wiedziała, co jeszcze mu powiedzieć. Nikt nie mógł przyjść jej z pomocą. Oprócz tej garstki mężczyzn nikt nie wiedział nawet, gdzie jest. Żałowała, że nie potrafi potraktować wydmy jak wyzwania, ale na myśl o mozolnej wspinaczce przez zwały piachu miała ochotę położyć się na ziemi i zasnąć – może nawet na zawsze, jak Haroun. Zsiedli z wielbłądów, ułożyli zwierzęta do snu i zaparzyli kawę, a Sayyid ruszył najpierw w jedną, potem w drugą stronę, marszcząc brwi i mamrocząc pod nosem modlitwy. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma pojęcia, co dalej.

Al-Dżabal al-Achdar, grudzień 1958

Szli wiele godzin w ciemnościach na południowy zachód w kierunku Al-Dżabal al-Achdar zostawiając za sobą Maskat i wybrzeże. Piszczele Joan szybko pokryły zadrapania i siniaki od niezauważonych głazów na ścieżce. Ogarnęło ją zmęczenie i stała się niezdarna. Kiedy podnosiła wzrok, gwiazdy zdawały się płynąć po atramentowym niebie. Dyszała ciężko, wdychając powietrze świeże jak woda, z takim samym mineralnym posmakiem. Przed sobą miała ciemną, zwinną postać Salima, ale kosztowało ją dużo wysiłku, żeby nie stracić go z oczu i dotrzymać mu kroku. Zatrzymywał się regularnie, żeby mogła go dogonić i uspokoić oddech.

– To będzie długa noc – zapowiedział, podając jej swoją butelkę z wodą. – Musimy trzymać się z dala od drogi. Ale do rana znajdziemy się w bezpieczniejszym miejscu i będziesz mogła odpocząć.

– Nic mi nie jest – zapewniła go Joan i to była prawda.

Nadal czuła się tak, jakby mogła latać, mimo potu pod pachami, siniaków i suchości w gardle. Miała wrażenie, że porzuciła prawdziwe życie i znalazła się w innym świecie, w którym jest niezwykciona. Chociaż w uszach dźwięczał jej głos, który ostrzegał, że łamie wszystkie reguły i szeptał, że to nie dla niej, postanowiła go zignorować. Nie myślała o Rorym, o Robercie, o Marian ani nawet o Maude. Byli dla niej przeszłością, a ona patrzyła już tylko w przyszłość. Każdy krok zbliżał ją do jej góry.

Przedzierali się dalej w mętym świetle przed świtem, gdy nagle usłyszeli przed sobą ciche zawołanie. Joan wyrwał się stłumiony okrzyk, ale Salim spokojnie odpowiedział przybyszowi, który wyłonił się z szarówki. Mężczyźni rozmawiali półgłosem, śmiejąc się i obejmując szorstko. Joan trzymała się z tyłu. W swojej czarnej masce i szacie była tylko kolejnym cieniem. Gdy wyteżyła wzrok, dostrzegła niedaleko dwa krzepkie muły.

– Chodź, Joan. Możemy dać nogom trochę odpocząć – rzucił Salim wesoło.

W półmroku Joan nie umiała ocenić, czy mężczyzna, który przyprowadził zwierzęta, był zaskoczony widokiem nieznanym kobiecie. Salim zaoferował, że pomoże jej wejść na grzbiet muła, ale Joan zrobiła to jednym płynnym ruchem, odruchowo siadając okrakiem. Zmarszczyła brwi, sadowiając się na twardym siodle o nieznanym kształcie. Wodze były sztywne, wykonane z zasupłanego sznura zamiast ze skóry; pociągnęła za nie, a muł uniósł brodę w geście protestu.

– W porządku – zwróciła się do niego cicho. – Nie martw się. Będę delikatna. Jeszcze nigdy nie jechałam na mule – powiedziała do Salima. – Czy są tak uparte, jak się o nich mówi? Wygląda uroczo z tymi długimi uszami. Jak ma na imię? – Zaskoczony Salim milczał przez chwilę, a potem parsknął cichym śmiechem.

– Nie ma imienia, to muł. A nikt nie uwierzy, że jesteś Arabką, jeśli będziesz siedziała w siodle jak mężczyzna.

– Jakie to ma znaczenie? Nie umiem jeździć po damsku, nie jestem workiem zboża. Poza tym po ciemku i tak nikt mnie nie zobaczy.

Salim wsiadł na swojego muła i zwrócił go w stronę gór.

– Dobrze. Ale w ciągu kilku następnych dni mogą się zdarzyć momenty, kiedy będziesz musiała robić to, o co proszę. Dopóki nie znajdziemy się w bezpiecznym miejscu – rzekł poważnie.

– Tak. Rozumiem.

Joan przypomniało się, jak marzyła o tym, żeby jechać konno przez Arabię. Teraz ten sen się ziścił, ale wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Ale rzeczywistość rzadko dorównywała fantazji. Mimo wszystko spełniła swoje marzenie – wreszcie jej się udało. Na myśl ojców i wszystkich marzeniach, których on nigdy nie spełnił, oczy zapiekły ją tak mocno, że zacisnęła na moment powieki. Obiecała sobie, że niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, nigdy nie pożałuje wyjazdu z Maskatu – cokolwiek się stanie, będzie to warte uczucia, które ją ogarnęło w tym momencie.

– Czy jesteśmy w Wadi Sumail? – zapytała, a Salim odwrócił się i skinął głową.

– Przekraczamy je, nie mamy wyboru. Musimy zachować ciszę, Joan. W pobliżu mogą być askarysi na warcie. Wielu z nich potajemnie nas wspiera, ale nie wszyscy.

– Chcesz powiedzieć, że to podwójni agenci? – Joan odruchowo pomyślała, że powinna uprzedzić pułkownika Singera, a potem otrząsnęła się z tego wrażenia. Zdała sobie sprawę, że nie wie już, komu życzy zwycięstwa, i postanowiła nie opowiadać się po żadnej ze stron. Uznała, że nie uczestniczy w tej wojnie, więc zamknie na nią oczy i nie będzie się zastanawiać, kto ma rację. – A co z minami? Sądziłam, że ta droga jest zaminowana? – dopytywała przestraszona.

– Jest, ale wiem, które odcinki są bezpieczne. Ahmed powiedział mi właśnie, jak się przez nią przedostać.

– Ale jeśli pojedziemy tędy, ktoś nas na pewno zauważy! Przecież w wadi jest mnóstwo strażników. Mój brat mówił, że tą stroną nie da się wejść na górę.

– Cieszę się, że nadal tak myślą – skomentował Salim, a Joan zauważyła błysk jego uśmiechu. – Ale musimy przejechać spory kawałek wzdłuż zbocza, zanim zaczniemy się na nie wspinać. Za wadi będziemy się trzymać blisko podnóża góry. Są tam jaskinie i wąwozy, w których można się schować w razie potrzeby.

Po drugiej stronie wadi wjechali między wysokie głązy okalające zbocze. Pięli się pod górę, dopóki teren nie stał się zbyt stromy, a potem znów skierowali się na południe, oddalając się od wybrzeża. Muły kroczyły wyschniętym łożyskiem rzeki, które przecinało góry. Teren był stosunkowo równy, a Joan ucieszyła ta przerwa od wspinaczki. Czasem trasa wiodła przez uśpione lasy palm daktylowych, a czasem przez osiedla rozsypujących się lepianek, które mogły stać opuszczone dwa miesiące albo dwieście lat. Gdy nadszedł świt, czarna dotąd skała rozblęskła głębokim, złotawym brązem,

a ciemne sylwetki palm zyskały grafitową korę i zielone, skórzaste liście. Joan ogarnęło to samo wrażenie odrealnienia co po jedynej innej nieprzespanej nocy – nocy wręczenia dyplomów, gdy Rory pierwszy raz ją pocałował. Czuła, że odstępstwo od tak zakorzonego zwyczaju jak sen musi przynieść doniosłe konsekwencje. Poprzednim razem chyba tak się stało – ona i Rory zaczęli być razem. Ale te wspomnienia wytrącały teraz Joan z równowagi i dezorientowały ją. Pamiętała Daniela między nimi i ich dłonie na jego ramieniu. Oboje go podtrzymywali. Co to właściwie znaczyło? Kogo stawiali na pierwszym miejscu? Nie umiała już na to odpowiedzieć. Nieśmiało pomyślała o innym pierwszym pocałunku – z Charliem. Poza Rorym był jedynym mężczyzną, którego wargi poczuła na ustach – ale z nim wyglądało to zupełnie inaczej. Zastanawiała się, co oznaczał jego pocałunek. Po rozmowie z Maude zaczęła myśleć, że miał w sobie mniej szczerości niż całusy Rory’ego; teraz przyszło jej do głowy, że mogło być na odwrót.

Niedługo później zatrzymali się przed wioską Sumail, w miejscu, gdzie wąski jar wrzynał się głęboko w klif ponad nimi. Zsiedli z mułów, wprowadzili je w głąb wąwozu i zatrzymali się pod płytkim przewieszeniem.

– Zostań tu. Odpocznij trochę – polecił jej Salim.

W świetle poranka wydawał się mniej władczy i opanowany niż przedtem. Zobaczyła w nim zwykłego człowieka. Zaniepokoił ją wyraz intensywnego skupienia na jego twarzy.

– Gdzie idziesz?

– Do wsi. Zapytam o najnowsze wieści i wrócę. Odpocznij, Joan, tylko nie wychodź z wąwozu. To bezpieczne miejsce.

Joan skinęła głową i usiadła, przywierając plecami do skały. Zdjęła zasłonę i podrapała spoconą skórę głowy. Wiedziała, że po wyschnięciu jej włosy będą sztywne i szorstkie, a loki się zmierzwią, ale nie było na to rady. Muły wyglądały na wyczerpane. Joan żałowała, że nie znaleźli dla nich wodopoju. Oparła głowę o zbocze i zamknęła powieki. Zmęczenie natychmiast zawładnęło jej świadomością, a ona z nim nie walczyła. Nachodziły ją

urywane sny o domu, jeździe w ciemności i spadaniu. Raz obudziła się z przerażeniem, słysząc, jak przez wadi przedziera się z mozołem ciężarówka wojskowa. Ze swojego miejsca widziała tylko krótki odcinek drogi, a w tym prześwicie mignął jej stary, rżący gruchot, jasna cera kierowcy i pasażera z przodu oraz ciemniejsza skóra żołnierzy z tyłu. Zaczęła się zastanawiać, czy już jej szukają – i czy w ogóle będą jej szukać w interiorze. Nie mogli odgadnąć, dokąd się wybiera. Przez dudnienie silnika usłyszała męski śmiech, a zaraz potem wszystko ucichło. Kiedy jej tętno się uspokoiło, znów zapadła w sen.

Salim wrócił po kilku godzinach, niosąc ciepłe podpłomyki. Na czole miał pot i brud, ale wydawał się spokojny i zdecydowany. Joan zorientowała się, że mężczyzna porusza się wśród skał równie pewnie jak muły. Był w swoim żywiole.

– Miałem nadzieję, że od razu ruszymy dalej, ale musimy poczekać do popołudnia – oznajmił. – A to znaczy, że możesz odpoczywać dłużej.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

Salim spojrzał na nią, a przez twarz dorosłego mężczyzny przebiegł błysk chłopięcej radości.

– Do domu – wyjaśnił z uśmiechem. – Wadi Sumail przedostaniemy się na drugą stronę góry, skąd droga na szczyt jest dużo mniej stroma, a potem zaczniemy się wspinać. Najpierw do Tanufu, w którym się wychowałem. Zostały z niego ruiny: w zeszłym roku zniszczyły go samoloty i bomby RAF, ale nadal można w nim znaleźć schronienie. A potem do następnej wsi, Misfat al-Abrijin. Zobacysz w niej prawdziwe piękno tego kraju. Tam możesz się bezpiecznie zatrzymać.

– Jak to... nie mogę pójść z tobą na płaskowyż?

– To zbyt duże ryzyko. – Pokręcił głową.

– Cały czas ryzykuję. Proszę, Salimie, zabierz mnie ze sobą na górę, chociaż na jeden dzień... Chcę... chcę wejść na szczyt; chcę być tam pierwsza. Mówiłeś...

– Dlaczego musisz być pierwsza? – zapytał bezbarwnym głosem. Urażona Joan umilkła. Salim zastanawiał się przez jakiś czas, marszcząc brwi. – Zobaczą, co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję. A kiedy zostaniesz sama w Misfacie, nie będę mógł cię powstrzymać przed wspinaczką na szczyt. I nie chcę tego robić. Twoje życie należy do ciebie. – Zdjął karabin i ustawił go obok siebie przy skale, poprawił pasek, a potem oparł się o kamienną ścianę i zamknął oczy.

Joan poczuła niepokój na myśl o chwili, gdy przestanie być pod jego opieką i sama zacznie o sobie decydować. O chwili, gdy już nikt nie będzie dyktował jej, co ma robić – ani ojciec, ani Rory, ani Salim. Gdyby na to pozwoliła, niepokój ów mógłby przerodzić się w lęk, więc starała się nad tym nie zastanawiać. Zasnęła znów, owiewana ciepłą bryzą, wsłuchana w westchnienia mułów i szuranie ich kopyt, odurzona zapachem skał i odległej pustyni.

Spędzili tak jeszcze trzy doby, często odpoczywając za dnia, a przemieszczając się nocą. Po dwóch Joan przestała pytać, czy są już niedaleko – nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Ani czy chce dotrzeć na miejsce. Dopóki byli w drodze, wiedziała, co robi. Dalszy ciąg stanowił wielki znak zapytania. Próbowwała myśleć jak Maude i rozkoszować się tym brakiem pewności. Czasem Salim wypuszczał się samotnie po jedzenie, a czasem przynosiły im je z pobliskich wiosek kobiety z zasłoniętymi twarzami. Salim rozmawiał z nimi po arabsku, więc Joan nic nie rozumiała. Pili z każdego otwartego faladżu, jaki mijali, napełniając przy okazji butelki Salima. Teren był bezlitosny. Jedno z urwisk, wzdłuż których jechali, wznosiło się tak stromo i wysoko, że zatrzymali się, żeby podziwiać chropawą, jednobarwną powierzchnię.

– Żadne obce wojsko nie zdobyło Zielonej Góry – powiedział Salim.

– Tak, żołnierze sułtana mają tego świadomość. Ale też żaden człowiek nie uciekł z Al-Dżalali. Żaden przed tobą – odparła. Salim milczał, więc zerknęła na niego nerwowo. – Ja w tym nie uczestniczę – dodała ostrożnie.

– Rzeczywiście – przyznał.

W dalszej drodze Joan trzymała język za zębami.

Za górami Wadi Sumail otwierał się na bezkres pustyni, a przejścia między nimi strzegła Nizwa. Dotarli tam którejś nocy pod osłoną ciemności, a Salim skręcił na północ i zaczął wspinać się wyżej, bo zbocza z tej strony były łagodniejsze. Joan obejrzała się za siebie i miała wrażenie, że dostrzega w mroku błysk świateł Nizwy. Tam znajdował się teraz obóz wojskowy, więc Daniel i Charlie byli zaledwie kilka kilometrów od niej. Gdyby się dowiedzieli, gdzie teraz jest, nie mogliby w to uwierzyć. Przez chwilę Joan czuła ciężar w żołądku, a klatka piersiowa ścisnęła jej się boleśnie. Sama nie mogła w to uwierzyć i nagle ogarnęło ją wrażenie, że to niemożliwe. Tak niemożliwe, że w tym momencie nie była pewna, czy to się dzieje naprawdę. Podróż, niespokojny sen, ciemność – wszystko wydało jej się wątpliwe i urojone; zaczęła podejrzewać, że w którymś momencie ocknie się z tego złudzenia. Gdy zasypiała, zbyt wyczerpana, by przeszkadzała jej twarda, zimna ziemia, śniła, że wciąż jedzie na swoim mule – a gdy na nim jechała, czasem miała wrażenie, że śpi. Raz przyśniło jej się, że nigdy nie opuściła Maskatu, a po przebudzeniu nie rozumiała, co się dzieje. Kiedy doszła do siebie, poczuła mieszaninę ulgi i zachwyty.

Muły wlokły się noga za nogą ze stoickim spokojem. Im wyżej wchodzili, tym niżej spadała temperatura. Wczesnym rankiem było tak chłodno i wilgotno, że Joan drżała z zimna. Ciało miała obolałe od długiej jazdy. Zmęczenie otulało ją niczym ciężki koc, ale gdy dotarli do ruin Tanufu, i tak była oszołomiona ich widokiem. Zatrzymali muły i dłuższy moment wpatrywali się przed siebie w milczeniu. Z pękniętych murów wyzierały z rozpaczą puste okiennice; wszędzie leżały stosy gruzu, roztrzaskane drewno i potłuczone naczynia. Tu i ówdzie zachowały się ściany z pięknym łukowym wejściem, prowadzącym donikąd.

– Domy z suszonej cegły są trwałe, jeśli się o nie dba. Inaczej rozsypują się z czasem. Znów łączą się z ziemią – odezwał się cicho Salim. Wskazał na

jedną z ulic i gruzy, wśród których Joan nie umiała rozróżnić budynków. – Mieszkaliśmy tam wiele lat. Pamiętam, jak biegałem tymi ulicami w dzieciństwie, żeby zdążyć do domu przed zmrokiem.

– Salimie... tak mi przykro. To musi być straszne, widzieć go w takim stanie.

– Wszystko się zmienia – rzucił gorzko. – Czy tego chcemy czy nie.

– Czy dużo ludzi... zginęło?

– Nie, dzięki Bogu. Zostali ostrzeżeni przed bombardowaniem. Armii sułtana chodziło tylko o to, żebyśmy nie mieli gdzie się ukryć ani gdzie mieszkać. Ale tak myślą ludzie z miast. I Brytyjczycy. Ludziom gór za mieszkanie wystarczą góry.

Ominęli ruiny i pojechali do odkrytego faladżu pod rozłożystym tamaryndowcem. Kanał był głęboki i pełny czystej wody, chociaż wieś, której kiedyś służył, została zniszczona. Salim rozebrał się do pasa, a potem przywarł biodrami do krawędzi faladżu i pochylił się do przodu, skrywając w wodzie górną połowę ciała. Joan wpatrywała się w niego, zastanawiając się, co w jego wyglądzie tak ją dziwi i zbija z tropu. Wynurzył się z gwałtownym wdechem, wzbijając w powietrze deszcz kropli, a ona odwróciła pośpiesznie wzrok, ale zdążył posłać jej uśmiech.

– Zbliżamy się do bezpieczniejszych terenów, Joan, ale musimy jeszcze zachować ostrożność. Regularnie docierają tu patrole SAF, usiłując przebić się wyżej. Ale możesz się umyć, jeśli chcesz.

Widziała, że Salim jest w lepszym humorze; wyraźnie ulżyło mu, że dojechali do Tanufu bez problemów. Jej stanęła jednak przed oczami szalona wizja, jak natykają się na Daniela w czasie patrolu. Miała wrażenie, że cała jest w piachu; pierwszy raz nie kąpała się tak długo.

– Stanę tam na straży, ale proszę, nie zdejmuj wszystkich ubrań. Prawdopodobnie jesteśmy obserwowani, inni mają się tu z nami spotkać. – Salim spojrzał na długą wstęgę białej wody, spadającej kaskadą wzdłuż bruzdy w zboczu nad nimi. – Wkrótce przekonasz się, dlaczego nazywamy tę górę zieloną! – zawołał na odchodne.

Joan zdjęła abaję, zasłonę z maską i spodnie. Sięgająca jej do połowy ud koszula była uszyta z cienkiego batystu, więc została w niej, wiedząc, że szybko wyschnie. Wdrapała się do faladżu i sapnęła, zanurzając się w zimnej wodzie. Przeciągnęła palcami przez włosy, wytrząsając z nich piach i kurz. Ugasiła pragnienie i pierwszy raz od wielu dni poczuła się w pełni przytomna. Woda miała w sobie coś niezwykłego – sprawiła, że Salim się uśmiechnął, chociaż otaczały go duchy miasta, w którym się wychował; sprawiła, że Joan przestała się martwić przyszłością – tą, od której odeszła, i tą, do której zmierzała. Postanowiła nie układać żadnego planu, tylko zobaczyć, co się wydarzy. Poczowała się wolna. Wokół niej krążyły ławice małych szarych rybek, a jej przypomniawszy się Charlie Elliot i jego opowieść o rybach, które ukradły mu żyletkę. Gdy poczuła, jak delikatnie trykają łebkami jej palce u rąk i nóg, wreszcie uwierzyła aroganckiemu kapitanowi – i złapała się na myśli, że chciałaby mu o tym powiedzieć. Żałowała, że nie odpisała na wiadomość Charliego, chociażby po to, żeby przyjąć jego przeprosiny. Leżała na plecach w wodzie, poruszając rękami, by nie uniósł jej prąd. Patrzyła na puste zbocze i myślała o skórze Salima – szczupłym torsie, który na chwilę odsłonił, bliznach biegnących przez żebra i sterczących łopatkach, zarysowanych pod twardymi mięśniami. Coś jej się tam nie zgadzało, coś wyglądało inaczej, niż się spodziewała, chociaż wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że ma jakieś oczekiwania. Sama nie rozumiała, skąd to poczucie.

Włożyła z powrotem abaję i spodnie, a potem zdjęła koszulę i powiesiła ją na najniższych gałęziach drzewa. Zachmurzyło się; niebo zasnuły pękate chmury, a wiatr przyniósł ze sobą kilka zimnych kropli deszczu. Joan zadrżała. Nieoświetlona blaskiem słońca góra wyglądała ponuro – wydawała się równie wymarła jak wioska.

– Daniel opowiadał mi o ulewach, które się tu czasem zrywają, gdy przez godzinę czy dwie może spaść tyle deszczu, co przez cały rok – powiedziała, siadając obok Salima pod fragmentem zachowanego dachu w ruinach, które kiedyś były czyimś domem. Spróbowała osuszyć włosy brzegiem zasłony.

– Tak. Co prawda przez rok spada tu mniej deszczu niż w twoim kraju, ale to i tak dużo. Zdarzają się takie burze. Woda spływa zboczami jak krew ze świeżych ran. Wadi wypełnia spiętrzona fala, a kilka godzin później nie ma już po niej śladu.

Przespali większość dnia. Joan obudziła raz modlitwa Salima: wypowiedane łagodnie słowa, cichy chrzęst żwiru po jego kolanami. Przez jakiś czas obserwowała twarz klęczącego mężczyzny – oczy miał zamknięte, a całą uwagę kierował w głąb siebie i w górę, ku swojemu bogu. Gdy znów się ocknęła, panowała już szarówka, a Salim czyścił karabin, siedząc na zniszczonym murze niedaleko niej. Zdrętwiała i głodna nasłuchiwała odgłosu, który wyrwał ją ze snu. Usłyszała szuranie kroków, kamyk trącony stopą. Poderwała się z ziemi i usiadła ze stłumionym okrzykiem, ale w tym samym momencie Salim podniósł wzrok i rozciągnął usta w uśmiechu. Zawołał coś po arabsku, a ktoś odkrzyknął mu odpowiedź. Joan odprężyła się, ale pośpiesznie założyła zasłonę i maskę. Salima otoczyła grupa sześciu mężczyzn. Wszyscy uśmiechali się, klepali go po barkach i ściskali za ramiona. Joan obserwowała to powitanie z rezerwą.

– To mój kuzyn Bilal! – zawołał do niej Salim. – Powiedziałem mu, że porusza się dość głośno, by obudzić wyczerpaną dziewczynę. Tylko Bogu zawdzięcza, że jeszcze nikt go nie zastrzelił.

– Obserwujemy cię od dwóch dni, kuzynie. Potrafię się skradać, kiedy jest taka potrzeba – odpowiedział po angielsku z silnym akcentem Bilal, niski i szczupły mężczyzna z kocimi kośćmi policzkowymi i szpiczastym podbródkiem.

– Kiedy byłem dzieckiem, a Maude uczyła mnie mówić po angielsku, ten tutaj podsłuchiwał przed drzwiami – wyjaśnił Salim. – Możesz zdjąć maskę, jeśli chcesz. Przed nimi nie mam żadnych sekretów. To moi bracia.

Gdy Joan go usłuchała, mężczyźni wbili w nią zdumione spojrzenia. Salim uśmiechnął się szeroko, a ona zorientowała się, że chciał ich zszokować.

– Miło cię poznać, Bilal – odezwała się najspokojniej, jak umiała. – I was

wszystkich również, oczywiście.

Przez jakiś czas toczyła się błyskawiczna wymiana zdań po arabsku. Przeszli z powrotem do częściowo zadaszonego domu i rozpięli nad odkrytą częścią płachtę płótna. Później rozpalili ognisko, zaparzyli kawę i wyciągnęli daktyle.

– Wyjaśniłem im, że pomogłaś mi w ucieczce, a ja uratowałem cię przed niechcianym małżeństwem, żeby spłacić mój dług – tłumaczył Joan Salim. – Teraz chcą wiedzieć, czy sam wezmę cię za żonę albo czy jesteś już moją konkubiną.

– I co im odpowiedziałeś? – zapytała.

Salim spojrzał na nią przez ogień, a w oczach zatańczyły mu żółte płomienie.

– Odpowiedziałem, że sama o sobie decydujesz – rzucił. – Nie rozumieją do końca, co to znaczy. Nie wiedzą, jakie zasady obowiązują w twoim kraju. Hassan ibn Altaf, który siedzi tam, stwierdził, że niewiernych nie da się zrozumieć. – Uśmiechnął się. – Ale nie masz się czym martwić; zaręczyłem za ciebie i odtąd będą cię chronić jak członka mojej rodziny. Słynę z dziwnych znajomości.

– Raczej z tego, że jesteś dziwakiem – poprawił go Bilal ze śmiechem.

Wszyscy przerzucili się znów na arabski, więc Joan siedziała w milczeniu nad swoją kawą, obserwując twarze przybyszów, ożywione radością z powrotu Salima. Zakładała, że nie wspomniał im o Danielu, a nie wiedział o jej kontaktach z Charliem. Jego towarzysze nie mieli pojęcia, że brat i przyjaciel Joan należą do obozu wroga odpowiedzialnego za zniszczenie wsi, w której właśnie się znajdowali. Wroga, który chętnie podporządkowałby ich swojej woli. Próbowwała sobie wyobrazić, jak ci jowialni, wychudzeni mężczyźni usiłują zabić jej brata; próbowwała sobie wyobrazić, jak Daniel usiłuje zabić ich. Nie widziała w tym najmniejszego sensu. Jeden z żołnierzy imama, który miał białe bokobrody i zapadnięte policzki starca, wciąż wracał do niej spojrzeniem. W jego wzroku nie było złośliwości, tylko pewien namysł, jakby patrząc na jej włosy obcięte jak u chłopca i bladą, odsłoniętą twarz próbował

ocenić, z jakiego typu istotą ma do czynienia. Później, gdy ogień przygasł, a na niebie pojawił się księżyc, mężczyźni wyszli z budynku.

– Dlaczego nie śpią w środku? – zdziwiła się Joan.

– Bo ty tu śpisz – odparł krótko Salim. – To byłoby nieprzyzwoite.

– Aha.

– Spróbuj odpocząć. Przed świtem wyruszmy do Misfatu.

– Twój przyjaciel nazywa się Hassan ibn Altaf. „Ibn” to znaczy „syn”, prawda? A ja myślałam, że Altaf to imię żeńskie. Jestem pewna, że tak się nazywa jedna ze służących w Rezydencji.

– Tak. W niektórych plemionach mężczyzna przyjmuje jako nazwisko imię swojej matki, a nie ojca. Taki zwyczaj panował w tej wsi i innych wsiach regionu.

– Skoro Bilal jest twoim kuzynem... to czy masz tu też inną rodzinę? Ciotki? Stryjów?

– Jest moim kuzynem, bo dorastaliśmy ramię w ramię; nie łączą nas więzy krwi. Zadajesz dużo pytań, Joan. Lepiej zamiast tego odpocznij. Jesteś bezpieczna: moi ludzie strzegą wjazdu do wsi.

Joan położyła się pod płótnem przy dogasającym żarze, okryta swoją szatą, i zasnęła, wdychając dym i zapach wody na swoich włosach.

Misfat al-Abrijin było wbudowane w zbocze, którego tarasy porastała bujna roślinność. Między domami biegły wąskie uliczki i strome stopnie, a wśród nich torował skomplikowaną ścieżkę faladż – kamienna rynna porośnięta zielenią, z licznymi odnogami i śluzami. Lśniące żaby uskakiwały im spod stóp, a ciepłe zimowe słońce nabierało zielonej barwy, przeświecając przez liście palm, figowców, granatowców i drzew cytrynowych. Rosły tam też żółtobiałe plumerie i różowe bugenwille. Joan ostatni raz widziała tak jaskrawe kolory na strojach Hindusek w Maskacie. Usłyszała dziecięcy śmiech – rozległ się blisko, choć nie widziała, skąd dobiega. Salim odwrócił się, żeby zobaczyć jej minę, i uśmiechnął się do niej.

– A nie mówiłem? To raj, prawda? – zapytał. Joan przyznawała mu rację,

choć i tu kobiety miały zasłonięte twarze, a mężczyźni byli starcami lub kalekami, bo wszyscy młodzi i sprawni przenieśli się wyżej w góry i zamieszkali w jaskiniach, walcząc dla imama. – Pójdziemy do domu matki Bilala. Możesz tam zostać, jeśli chcesz.

– Jak długo?

– Nie mam już dla ciebie odpowiedzi ani poleceń, Joan. Muszę iść dalej i walczyć z moimi braćmi.

– Ale... wrócisz tu jeszcze, prawda? Wrócisz, żeby zabrać mnie na płaskowyż?

– Postaram się. Zamieszkać tu, kiedy wojna się skończy. Jeśli stracimy górę, modłę się, żebym i ja stracił życie. Nie mogę wrócić do Al-Dżalali.

– Nie możesz – zgodziła się Joan. – Rozumiem.

– Żałujesz swojej decyzji? Chcesz wrócić do Maskatu?

– Nie, nie o to chodzi. Tylko że... co będzie, jeśli... widzisz, nie wiem, co mam tu robić. Nie wiem, jak postąpić.

– Joan. – Pokręcił głową, nie spuszczać z niej wzroku – Nie mogę dawać ci rad. Nie jestem twoim ojcem ani bratem. Bo tak mnie widzisz, prawda? – Urwał, ale Joan nie odpowiedziała. – Zastanawiam się, czy mogłabyś zacząć patrzeć na mnie inaczej? – ciągnął miękko.

Zaskoczył ją tym pytaniem, więc milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Salim przez chwilę patrzył jej głęboko w oczy, jakby próbował coś w nich odnaleźć, a później zarzucił te poszukiwania. Zmarszczył brwi i uciekł spojrzeniem w bok.

– Pomogłaś mi odzyskać wolność, a ja odwdzieczyłem ci się tym samym. W tej chwili nie mogę zrobić dla ciebie nic więcej – rzucił.

Joan skinęła głową. Wydawało jej się, że traci nią zainteresowanie. To było znajome uczucie; wcześniej wzbudził je w niej Daniel.

– A co, jeśli pojawi się tu SAF? – zapytała.

– Gdyby tak się stało, załóż maskę i zasłonę na włosy. Będiesz mogła odejść z innymi kobietami.

– Bardzo... bardzo chciałabym cię jeszcze zobaczyć, Salimie ibn Shahinie.

Nagle poczuła strach. Poczuła, że Salim odchodzi – i to na zawsze. Zatrzymał się przy drzwiach z sękatego drewna i z uśmiechem stuknął w nie pięścią.

– A ja ciebie, Joan Seabrook. I zobaczymy się, jeśli taka wola Boga – odparł.

– Czy nasza wola nie wystarczy? – spytała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Znów ogarnęło ją dziwne wrażenie, że widzi w nim coś, czego nie umie jeszcze zrozumieć. Zobaczyła to, kiedy mył się w Tanufie, i usłyszała to w słowach, które padły teraz między nimi.

– A co ze szczytem, Salimie? – upomniała się. – Obiecałeś, że zabierzesz mnie tam ze sobą.

– Obiecałem, że spróbuję cię tam zabrać. Najpierw muszę wejść na górę sam. Muszę porozmawiać z naszymi przywódcami i dowiedzieć się, co zaszło pod moją nieobecność. Jeśli się okaże, że możesz wejść na szczyt, wrócę po ciebie.

Salim przekazał ją pod opiekę matki Bilala, która przyjęła ich bez zaskoczenia. Joan zaczęła się orientować, że górę oplata ściśle powiązana sieć – niezwykle skuteczny system przekazywania informacji. Niedługo potem Salim przeprosił je i wyszedł. Kiedy zniknął, Joan poczuła, że straciła ostatnią kotwicę trzymającą ją przy dawnym życiu i nie ma już wpływu na to, gdzie poniesie ją prąd.

Matka Bilala miała wystający brzuch, a z powodu jaglicy widziała tylko na jedno oko. Była poważna i małomówna, choć nie sprawiała wrażenia ponurej. Nazywała się Farizah, a rytm jej życia wyznaczały modlitwy w ciasnym narożnym pokoju o gołych ścianach, do którego Joan nie wolno było wejść, przygotowywanie posiłków, gotowanie, szycie, sprzątanie, pilnowanie ognia oraz pranie ubrań i pościeli w głębokiej kamiennej sadzawce, gdzie schodziły się wszystkie kobiety, by śpiewać, rozmawiać i napominać się nawzajem. Joan

zobaczyła jeszcze wyraźniej, jak oderwany od współczesności jest Oman. Po zmroku życie toczyło się przy świetle świec, a posiłki przyrządzano na otwartym ogniu. Poza domem wszystkie kobiety nosiły maski i zasłaniały włosy, a mimo to rozpoznawały się nawzajem, nim padło pierwsze słowo. Początkowo Joan nie rozumiała, jak im się to udaje, ale po kilku dniach zaczęła zauważać cechy charakterystyczne Farizah i jej licznych córek, kuzynek i sąsiadek – przygarbione ramię, rozmiar lub odcień tęczy, lekki lub ciężki krok. Ze sposobu, w jaki ją obserwowały, wiedziała, że maska i zasłona na twarzy nie zapewniają jej tu anonimowości.

Dni miały specyficzny, nieodparty porządek, a dla Joan naznaczone były milczeniem – jej własnym. Farizah i pozostałe kobiety nie znały angielskiego. Umiały się tylko przywitać i powiedzieć „dziękuję”, a Joan zupełnie nie wchodził do głowy arabski. Farizah wydawała jej niezrozumiałe polecenia, którym towarzyszyły jednak zrozumiałe gesty; Joan obserwowała ją uważnie i pomagała, jak tylko mogła. Maude takie proste życie zadowalało przez kilkadziesiąt lat, więc Joan też próbowała być zadowolona. Naprawdę szła w ślady swojej mistrzyni. Tyle że Maude mówiła płynnie po arabsku, a bez języka, bez swojego głosu, Joan czuła się odcięta nawet od samej siebie. Była samotna. Każdej nocy siadała przed domem, wpatrując się w nieskończony przestwór nieba i tłusty księżyc, który wschodząc nad pustynnym piaskiem, mienił się czerwienią, a ponad górami nabierał srebrzystej bladości. Śmieszyła ją świadomość, że w Anglii patrzyła na to samo niebo. W takich chwilach znów ogarniał ją zachwyt zapamiętany z dziecięcych marzeń o Arabii, ale pogodziła się już z tym, że to uczucie jest przywilejem dzieciństwa, którego nie można zachować. Żyło jedynie w sercach tych, którzy wciąż wierzyli w magię.

Joan dowiedziała się, dokąd prowadzą strome stopnie między tarasami i kto dba o długowłose brązowe kozy, które skubały krzewy wśród skał. Obserwowała, jak kruki krążą nad ruinami szańców starożytnej okrągłej wieży, a turkawki zalecają się do siebie na dachach. Przez cały czas była

zatopiona we własnych myślach – gdy odganiała muchy znad mięsa, które przygotowywała Farizah, i gdy trzymała jeden bok mokrego prześcieradła, żeby wyjąć z niego wodę. Myślała o swojej matce i o Danielu, pozwalając, by miłość do nich napęczniała, opasując jej żebra żelaznymi obręczami. Myślała o Charliem Elliocie i jego zuchwałości, która skrywała głębsze, szlachetniejsze uczucia – była tego pewna niezależnie od słów Maude. A potem zaczęła myśleć o Rorym.

Jemu poświęciła więcej czasu; ich relacja była bardziej skomplikowana. Otworzyła się na wszystkie wspomnienia: jego zachowania i reakcje; chwile irytacji i wspólnego śmiechu. Myślała o nich bez przerwy, dopóki zdrada Rory'ego nie zyskała konkretnego kształtu i rozmiaru, dopóki nie mogła zobaczyć jej wyraźnie i we właściwej skali. Wtedy skupiła się na niej, próbując zrozumieć swoje uczucia. Przypomniła sobie, jak swobodnie czuł się nago w jej obecności, bardziej jak brat niż narzeczony, i znów zaczęła się zastanawiać, czy celowo nie zwracała uwagi na to, gdzie i jak kierował swoją miłość. Przez cały dzień usiłowała wyobrazić sobie życie w Anglii bez niego, ale nie potrafiła. Przerazała ją monotonia wizji, w której codziennie chodzi do pracy znajomymi ulicami, a potem wraca do domu matki albo do mieszkania dzielonego z jakąś koleżanką. Bez Rory'ego, który poprawiałby jej humor, bez czekania na ślub i wspólną przyszłość, a później bez rozpraszającej krzątaniny wokół ich dzieci wszystko straciłoby dla niej sens.

Po pierwszym tygodniu w Misfacie zaczęło jej się rozjaśniać w głowie. Przesypiała całe noce, a w dzień pomagała w gospodarstwie; tempo życia i uczciwa praca działały na nią kojąco. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka spokojna, przytomna i skupiona. Zdała sobie sprawę, że znów wybrała bierność. Czekwała, aż coś samo się wydarzy; czekała, aż ktoś podejmie decyzję za nią albo powie jej, co ma robić, a zakazany płaskowyż Al-Dżabal al-Achdar wciąż majaczył w oddali jak niedokończona historia. Jednego była pewna: musiała osiągnąć cel, który sobie postawiła. Próbowała dowiedzieć się od kobiet ze wsi, którędy wejść na górę, ale one nie rozumiały

jej pytań, a ona – ich odpowiedzi. Popełniłaby szaleństwo, ruszając na szczyt bez mapy albo przewodnika.

Życie w Misfacie było proste, chociaż nie było łatwe. Joan przyzwyczała się do braku wygod, rozmów i wiadomości o świecie zewnętrznym. Zaczęła się zastanawiać, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby została tam na zawsze jak Maude. Gdyby wyszła za Omańczyka, przyjęła islam i całymi dniami ukrywała twarz – i brytyjskie pochodzenie – pod maską. Mogłaby wziąć ślub z Salimem, gdyby ją zechciał. Poczwała się zakłopotana, choć schlebiała jej ta wizja. Był dużo starszy i mądrzejszy od niej. Widziała w nim dojrzałego człowieka. Wyobraziła sobie gromadkę ich dzieci o skórze koloru kawy, wstawanie o świcie, gaszenie pragnienia w czystym krwiobiegu góry. Wystarczyło tu zostać, a słuch o Joan Seabrook zagałby na zawsze.

Ta ścieżka stała przed nią otworem, ale nie mogła jej wybrać. Czuła, że to nie dla niej. Od czasu do czasu wieś rozbrzmiewała echem odległych wystrzałów z artylerii, szczękiem karabinów maszynowych albo wyciem silników samolotów RAF i nawet liście na drzewach nieruchomiały na kilka sekund. Przez moment panowała cisza, jakby cały świat wstrzymywał oddech, nim znów zacznie się kręcić. Wojna toczyła się tuż obok, nieustannie uświadamiając Joan, że czas ucieka, a życie, które porzuciła, depta je po piętach. Odgłosy walki przypominały jej o Danielu. Marzyła, żeby zobaczyć się z bratem i porozmawiać z nim. Wspominając swoją ostatnią wizytę w obozie, wyrzucała sobie, że nie powiedziała więcej.

Straciła poczucie czasu, ale musiało upłynąć przynajmniej dziesięć dni, nim podjęła decyzję, że opuści wioskę. Do tego czasu Olive Seabrook z pewnością została powiadomiona o zniknięciu córki; Daniel też wiedział już o jej ucieczce. Robert Gibson prawdopodobnie obwinił się o nią i teraz marnował czas i pieniądze na poszukiwania, a Rory szalał z rozpacz. Joan wreszcie sformułowała w myślach pytanie do narzeczonego: chciała się dowiedzieć, co do niej czuł i czy starał się o nią tylko po to, żeby być blisko Daniela. Uznała, że jest gotowa, by usłyszeć odpowiedzi. Sama o sobie decydowała i miała

prawo robić, co jej się żywnie podoba, ale ludziom, którym na niej zależało, też przysługiwały pewne prawa, a ona nie mogła ich lekceważyć. Powoli i nieubłagane docierało do niej, że nie jest Maude Vickery i nie należy do tego świata. Każdego dnia wypatrywała szczupłej sylwetki Salima. Marzyła, że wróci do wsi i pewnym krokiem wejdzie w jej życie. Musiał zabrać ją ze sobą na płaskowyż – nie mogła wyruszyć w drogę do domu, zanim osiągnie swój cel albo zobaczy się z nim ponownie. To dzięki niemu mogła uciec; to on pokazał jej drogę i wsparł ją swoją siłą – tego samego potrzebowała od niego teraz. Chciała usłyszeć, że ma odwagę wrócić i stawić czoła ludziom, których opuściła. Wiedziała, że w jego ustach stanie się to prawdą.

Salim pojawił się we wsi niedługo później. Dzień był chłodny, a niespokojny wiatr niósł ze sobą zapach deszczu. Joan pomagała właśnie drobnej, milczącej dziewczynie imieniem Salwa napełnić dzbany wodą, gdy zauważyła, jak mężczyzna wychodzi zza wyższego tarasu blisko podnóża góry. Przyszło jej do głowy, że w jakiś sposób przywołała go swoją decyzją. Podniosła się gwałtownie z okrzykiem, pozwalając, by dzban z pluskiem wpadł do wody. Salim odwrócił się w jej stronę z badawczym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się i pomachał. Był mocno uzbrojony, a jego twarz nosiła ślady zmęczenia, ale ruszał się energicznie. Salwa zachichotała i rzuciła coś znaczącym tonem, który Joan zrozumiała mimo nieznamości arabskiego. Podniosła pełny dzban z dna kanału, odstawiła go z rozmachem, chlapiąc wodą, i ruszyła na spotkanie Salima.

- Nie umiesz jeszcze zachowywać odpowiedniej skromności, Joan – orzekł.
- Omanka na pewno by tak nie krzyknęła.
- Nie mogłam się powstrzymać – odpowiedziała zdyszana. – Milczałam od twojego wyjazdu.
- Byłaś samotna? – Powstrzymał ją, gdy zaczęła zdejmować maskę. – Nie, nie rób tego w miejscu publicznym.
- Nie. Tak, trochę – przyznała. – Ale... dużo myślałam.
- Chodźmy do domu, tam wszystko mi opowiesz.

– Dobrze, tylko wezmę wodę, którą miałam przynieść. – Poszli razem nad kanał. – Powiedz mi, Salimie, jak się czujesz? Co się działo? Słyszeliśmy tu mnóstwo bomb, mnóstwo... eksplozji.

– Czuję się dobrze. Samoloty bombardują nasze jaskinie i stanowiska wartownicze, a raczej jedynie starają się w nie trafić. Na górze nie robi to wrażenia i na nas też nie.

– Dlaczego wróciłeś? – Joan była zbyt niecierpliwa, żeby czekać, aż sam jej to powie.

– Po ciebie. Muszę cię ostrzec przed niebezpieczeństwem...

– Zabierzesz mnie na górę? – przerwała mu, a on zmarszczył brwi.

– Tak. Ale najpierw muszę cię przygotować.

Jego „tak” zelektryzowało ją na tyle, że przystanęła na chwilę i zamknęła oczy ze szczęścia.

Skryli się w głębi domu i usiedli na zakurzonej macie, żeby porozmawiać. Salim pachniał dymem i stęchłym potem; pod paznokciami miał czarne półksiężycy, a kiedy Farizah podała mu posiłek, jadł szybko, jakby dawno nie miał nic w ustach.

– Próbują zablokować wszystkie drogi na płaskowyż; próbują nas zagłodzić albo zmusić, żebyśmy zdradzili swoje pozycje. I cały czas usiłują znaleźć ścieżkę na szczyt. Nigdy im się to nie uda. Szukają sposobu, żeby wspiąć się na płaskowyż tak, żebyśmy się o tym nie dowiedzieli; nie mają pojęcia, że gdy tylko ułożą jakiś plan, ich strażnicy i poganiacze mułów natychmiast nas o tym informują. Znamy każdy ich ruch, zanim go wykonają; odcinamy każdy patrol; blokujemy każde podejście. Nigdy nie zdobędą tego szczytu. Sułtan Sa'id nie przejmie władzy nad naszą górą – mówił żarliwie, z ponurą pewnością, która z jakiegoś powodu nie brzmiała do końca przekonująco. Joan miała wrażenie, że sam potrzebuje w to uwierzyć. Ale wzdrygnęła się na myśl o dwulicowych omańskich przewodnikach, którzy zdradzają Daniela. Przeraziła ją wizja, że jej brat wpada w zasadzkę, chociaż jego plan miał być tajemnicą. Salim najwyraźniej to wyczuł, bo podniósł na nią wzrok i umilkł.

Przez jakiś czas jadł w ciszy, a potem wymienił kilka uwag z Farizah po arabsku.

– Mówi, że jak na bezbożną poganę nie sprawiasz kłopotów – przetłumaczył z uśmiechem. – Mówi, że jej pomagasz.

– Proszę, powiedz jej, że dni, które z nią spędziłam, były jednymi z najpiękniejszych w moim życiu – odparła Joan szczerze.

Salim rzucił jej przeciągłe spojrzenie, a potem przekazał te słowa Farizah, która skinęła głową i wzruszyła ramionami, jakby się tego domyślała.

– Więc nie zostaniesz tutaj? – zapytał po dłuższej chwili.

Joan pokręciła głową.

– Nie wiem, jak potoczy się moje życie, ale nie może wyglądać tak jak teraz. To nie jest rozwiązanie na zawsze.

– Chyba nie zamierzasz spędzić go, walcząc u mojego boku? Wiesz, że to niemożliwe.

– Wiem. Nie mam żadnego planu. Przeraza mnie to, ale... ale z drugiej strony wcale się nie boję. – Zaskoczyła ją prawda własnych słów. Zanurzenie w egzotyce i całkowitej inności życia w Misfat al-Abrijin pokazało jej, że lęk przed zmianą był tylko nawykiem, takim, który można przełamać. – Kiedy zobaczę szczyt, wrócę do domu. Powiedziałam, że wejdę tam jako pierwsza, i dotrzymam słowa. Wreszcie będę w czymś... pionierką. Muszę to zrobić, zanim zacznę się zastanawiać, co dalej.

– Zabiorę cię tam. O świcie. I tylko na jeden dzień. Wczoraj wypędziliśmy oddział SAF z powrotem do Nizwy; minie kilka dni, a może nawet tygodni, zanim znów spróbują wspiąć się na górę. Tak już jest. Ale nie wiadomo, kiedy i gdzie pojawią się samoloty i bomby. To realne zagrożenie, przed którym nie mogę cię ochronić. I musimy się ukrywać przed obiema stronami. Wtajemniczyłem w nasz plan ludzi, których poznałaś, bo są wobec mnie lojalni, ale nikt inny by się na to nie zgodził. Rozumiesz? To ostatnia rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić, niezależnie od mojego długu.

– Twój dług zostanie spłacony zawiązką, Salimie. Już został –

odpowiedziała.

Mężczyzna skinął poważnie głową.

– Zatem jesteśmy umówieni. Zabiorę cię na szczyt i sprowadzę na dół w ciągu jednego dnia. Wyprawię cię stąd w drogę do Maskatu, do twoich bliskich. Później skupię wszystkie swoje wysiłki na służbie imamowi.

– I być może już nigdy się nie spotkamy, Salimie.

– Spotkamy się, jeśli...

– ... taka wola Boga – dokończyła Joan, a Salim uśmiechnął się do niej.

– Uczysz się – stwierdził.

Musieli wstać tak wcześnie, że Joan prawie nie zmrużyła oka. Nawet koguty jeszcze spały, gdy opuszczali wieś, oświetlając sobie drogę lampą szmuglerską, która świeciła w dół, a nie na wprost. Kiedy niebo zaczęło blednąć, Salim ją zgasił. Poruszał się cicho, a Joan starała się robić to samo, ale trasa była stroma i wkrótce najgłośniejszym dźwiękiem w okolicy stało się jej dyszenie. Paliły ją mięśnie nóg, a serce waliło jej jak młotem, ale dotrzymywała kroku Salimowi, nie chcąc go spowalniać. Czuła przez podeszwy ostre kamienie, a czasem przy wspinaczce musiała pomagać sobie rękami. Jeśli szli utartym szlakiem, to Joan go nie dostrzegała, ale Salim nie wahał się ani przez chwilę. Po pewnym czasie zapomniała o strużkach potu ściekających po twarzy i plecach; skupiła się na rytmie swojego oddechu i kroków. Liczyła do stu i zaczynała od nowa, nie myśląc o niczym prócz podążania naprzód. Przed sobą miała wyprostowane plecy Salima. Nie oglądał się na nią, nie sprawdzał, jak sobie radzi. Przez moment padało, ale gdy wzeszło słońce, deszcz ustał, a niebo załśniło mleczną bielą, która raziła w oczy. Joan wiele godzin widziała jedynie własne niezdarne stopy, stawiane raz po raz między kamieniami.

Na początku nie zorientowała się, że patrzy na ciało żołnierza. Białe kości, prześwitujące przez strzępy ogorzałej skóry, tworzyły dziwaczne, abstrakcyjne kształty. Zatrzymała się, bo tak zrobił Salim, i wpatrywała się w wyniszczone zwłoki, dopóki nie zobaczyła twarzy, zębów, palców u nóg, zapadniętej klatki

piersiowej i szarpanej rany w miejscu po genitaliach. Zasłoniła usta dłonią, a Salim odwrócił się do niej z twarzą bez wyrazu.

– Najprawdopodobniej walczył w Wojskach Polowych Maskatu i Omanu. W zeszłym roku prawie udało im się wejść na płaskowyż, ale przeliczyli się z siłami i odcięliśmy im drogę odwrotu. Zostali wybici prawie co do jednego. Niektórzy uciekli między skały, gdzie umarli z pragnienia. – Joan nie mogła wykrztusić ani słowa; obojętność Salima szokowała ją równie mocno jak wyschnięte zwłoki. – Gdyby należał do górskiego plemienia, jego ludzie przyszliby po niego.

Martwy mężczyzna został rozebrany do naga, nie miał też butów ani broni. Padlinożercy odarli kości do czysta z miękkich tkanek, a góra dopełniła dzieła zniszczenia. Na czaszce zachowała się kępka kręconych czarnych włosów, które powiewały na wietrze.

– Chodź, nie możemy marnować czasu – rzucił Salim i ruszył dalej, nie oglądając się za siebie.

Joan poczuła, jak cierpnie jej skóra na ramionach. Ciałem dziewczyny wstrząsnęło echo niekontrolowanych drgawek, jakie pamiętała z dzieciństwa z okresu wojny. Nagle nie mogła nabrać powietrza do płuc. Podążyła chwiejnie za Salimem, choć widok zwłok przypomniawszy jej, na jakie niebezpieczeństwo się naraża.

Nie zorientowała się nawet, kiedy dotarli na płaskowyż. Sądziła, że zobaczy ścianę klifu i będzie musiała wdrapać się na nią po niemal pionowych stopniach, ale od południa nie było takich przeszkód. Z tego powodu podejścia strzegło wielu buntowników, więc Salim wyjął białą flagę imama, przywiązał ją do karabinu i przez resztę drogi trzymał go wysoko w górze. Daniel opowiedział jej o nieporozumieniu z początkowej fazy konfliktu, kiedy białą flagę imama brano omyłkowo za symbol kapitulacji, a czerwoną flagę ludzi lojalnych wobec sułtana za znak oporu. Teren wyrównał się, a kilkusetmetrowe szczyty piętrzyły się wokół niczym gigantyczni wartownicy. Salim, który wyglądał, jakby wspinaczka nie kosztowała go niemal żadnego

wysiłku, podał Joan wodę.

– Dotarłaś do celu, Joan – oznajmił, uśmiechając się powściągliwie. – Jesteś w miejscu, którego nie zdobyły potężne wojska sułtana. Nie weszła tu nawet Maude. Chodź, tędy.

Prowadził ją dalej, dopóki nie stanęli na krawędzi płaskowyżu, nad przyprawiającym o zawrót głowy urwiskiem. Z tego punktu widać było strome zewnętrzne brzegi, ciągnące się w dal, w stronę wybrzeża. Wydawały się nie mieć końca, jak fale nieprzyjaznego, skamieniałego morza. Joan bez trudu zrozumiała, dlaczego żadna armia nie zdołała podbić tego bastionu.

– Czy jesteśmy naprzeciwko Matrahu? – zapytała.

– Tak, mniej więcej. – Salim wzruszył ramionami. – Ale stąd go nie zobaczysz.

– To nieważne – odpowiedziała Joan.

Stała w miejscu, w które wcześniej tak często się wpatrywała. Choć wydawało jej się to nieprawdopodobne, patrzyła na Matrah z góry, zamiast tkwić na dole, zadzierać głowę i marzyć o niej. Podniosła obie ręce i zaczęła machać. Ogarnięta szaleńczą euforią, nie mogła złapać oddechu. Daniel był za nią, w Nizwie; nie wiedziała, czy Rory podnosi wzrok, szukając jej w oddali; to nie miało żadnego znaczenia. Znajdowali się na poziomie chmur, a słońce pokrywało leżącą daleko pod nimi ziemię mozaiką światła i cienia. Wiatr, który nieustannie zmieniał jej wzór, osuszył skórę Joan i ochłodził ją. Nie słysząc było nic oprócz jego podmuchów. Salim stał przy jej boku, patrząc w dół. Joan zastanawiała się, jakie to uczucie, być częścią tak dzikiego, surowego piękna.

– Co widzisz? – zapytał Salim.

– Wszystko i nic – odparła z lekkim uśmiechem. – Widzę, że... bardzo niewiele rzeczy jest niemożliwych.

Joan całkiem straciła poczucie czasu; nie miała pojęcia, jak długo stoi na skraju płaskowyżu, wpatrując się z tego odległego miejsca w osobę, za którą kiedyś się uważała. Kiedy Salim ujął ją za ramię, żeby przywołać ją do

rzeczywistości, była zmarznięta, ale zdecydowana.

– Chodź, Joan. Musimy już iść – powiedział.

– Tak szybko? Naprawdę musimy?

– Tak. Posłuchaj.

Joan zmarszczyła brwi. Na początku nie słyszała nic prócz szumu wiatru, ale później wychwyciła niskie, uparte zawrozczenie samolotu. Nabrała gwałtownie powietrza i wbiła wzrok w niebo, mrużąc oczy, lecz widziała jedynie chmury.

– Nie szukaj go, tylko rusz się, szybko! – zawołał Salim, a przestraszona Joan zrobiła, co kazał.

Przebiegł lekko przez nierówny teren do wypiętrzonej wychodni. Joan z trudem dotrzymywała mu kroku. Nie rozumiała jego planu, dopóki nie zniknął za ogromnym głazem u podstawy skały. Weszła za nim do jaskini, która wrzynała się w głąb góry jak dziura wydrążona przez robaka w mięszu jabłka. Wewnątrz było chłodno i ciemno. Salim wepchnął ją dalej, za siebie, a potem przykucnął przy wejściu, wpatrując się w niebo. Strach zalewał Joan szybkimi, panicznymi falami. Samolot zbliżał się coraz bardziej, a hałas się nasilał, więc zamknęła oczy, czekając na punkt zwrotny, kiedy ryk silników zacznie cichnąć na znak, że bombowiec przeleciał nad nimi, a teraz oddala się i niedługo będą bezpieczni. Czekala i marzyła, by go usłyszeć. Eksplozja była dla niej całkowitym zaskoczeniem.

Joan miała wrażenie, że wybuch rozniósł się po ziemi, wnikając wprost w jej kości. Poczula go w czaszce jak mocny cios i wrzasnęła z bólu, instynktownie chowając głowę w ramionach. Dłoń Salima zacisnęła się na jej nadgarstku, a jaskinia zatrzęsała się pod nimi. Na sekundę wszystko spowila czerń, a Joan ogarnęła czysta groza: znów znalazła się w Bedford i siedziała z matką pod stołem kuchennym, czekając, aż na ich dom spadnie niemiecka bomba, która je zabije. Obezwładnił ją strach i była pewna, że została na zawsze uwięziona pod skałami w ciemnościach. Na głowę spadł jej deszcz kamyków, a w powietrzu wzbił się pył, ale potem pojawił się przebłysk światła i znów zapanował spokój. Wycie silników słabło, a wraz z nim nikła

panika paraliżująca Joan. Przez jakiś czas słuchała dzwonięcia w swoich uszach i szumu własnego oddechu, a później otworzyła oczy. Salim znów patrzył w niebo, a po chwili odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem.

– Nie bój się, góra ma grubą skórę. Teraz naprawdę jesteś jedną z nas, Joan, chowasz się przed brytyjskimi bombami jak żołnierze imama – rzucił wesoło.

Joan pomyślała o zblazowanym, niemal radosnym podejściu Charliego Elliota do niebezpieczeństwa i zdała sobie sprawę, że to dobry sposób, żeby sobie z nim poradzić. Usiłowała odwzajemnić uśmiech Salima i nawet ta próba trochę ją uspokoiła. Wciąż nie mogła jednak powstrzymać drżenia dłoni.

– Ta bomba... spadła tak blisko nas! – zdołała wyjąkać, dysząc ciężko.

Salim przechylił głowę w bok.

– Wcale nie tak blisko. Wstrząsy niosą się przez skałę szybko i z dużą mocą.

– Nie spadła blisko nas? – powtórzyła z niedowierzaniem, a potem z ust wyrwał jej się stłumiony okrzyk. Była pewna, że słyszy czyjeś kroki w głębi jaskini. – Salimie! – zawołała, podnosząc głos ze strachu.

Gdy rzuciła się w stronę wyjścia, rozległ się trzask zapalanej zapalniczki i w płomieniu lampy zobaczyła w czarnym tunelu jakąś postać. Joan zamarło serce, ale chwilę później rozpoznała w niej Bilalę, mężczyznę, którego Salim nazywał kuzynem. Przybysz posłał jej krzywy uśmiech, chociaż w oczach miał chłód.

– Witamy w Al-Dżabal al-Achdar – powiedział do niej, a potem przerzucił się na arabski i rozmawiał już tylko z Salimem.

Weszli za nim głębiej do jaskini, kucając, dopóki nie dotarli do komory szerokości mniej więcej dziesięciu metrów. Światło lamp tańczyło na pofałdowanych ścianach, z których jedna była śliska od wody. Pozostali członkowie grupy Salima kucali albo siedzieli wokół dogasającego ogniska, które prawie nie dymiło; dzbanek z kawą grzał się na żarze, a na dużym cynowym półmisku leżały resztki jedzenia. Mieli dużo broni – dwa moździerze i zdemontowane części czegoś, co wyglądało na lekką haubicę, a do tego karabiny i granaty. Był tam też przenośny radioodbiornik, stosy map

i papierów, dywany, koce i poduszki. Joan mogłaby uznać jaskinię za przytulną sypialnię, gdyby nie przenikliwa wilgoć i chłód w powietrzu oraz porażająca ciemność na drugim końcu komory, gdzie tunel znów się zwęzał i nikał w czerni. Bilal zauważył, że kobieta nie może oderwać oczu od tej straszliwie mrocznej szczeliny.

– Jaskinia ciągnie się jeszcze wiele kilometrów w głąb skały – wyjaśnił. – Czasem jest sucho, czasem mokro. Czasem można iść, czasem trzeba pełzać jak robak. Setce ludzi nie wystarczyłoby sto lat, żeby narysować mapę wszystkich jaskiń w tej górze.

Joan przeszył dreszcz. Przez głosy mężczyzn słyszała cichą muzykę wody, która nieustannie szemrała, ukryta przed ich wzrokiem gdzieś głęboko pod ziemią. Mężczyźni poczęstowali ją kubkiem mocnej, gorzkiej kawy, a potem długo rozmawiali. Jeden z nich wyszedł na zewnątrz z radiem, a po jakimś czasie wrócił z dalszymi wieściami. Gdy w końcu ustalili dalszy plan działania, wszyscy podnieśli się, zarzucili karabiny na ramiona i pochyliłi się, ruszając ku wyjściu. Salim wstał jako ostatni. Miał zaniepokojony wyraz twarzy.

– Co się dzieje? – zapytała go Joan.

– Musimy iść. Nie spodziewaliśmy się kolejnych manewrów SAF. Ani nowego szwadronu, który się tu zjawił. Oddziału specjalnego.

– Masz na myśli SAS?

– Są niedaleko; zbyt blisko nas. Nie możemy zejść tą samą drogą, którą się wspinaliśmy. Trzeba wybrać inną. Reszta będzie szła z nami, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. – Posłał jej surowe spojrzenie, które po chwili złagodniało. – Są na mnie źli. Nie powinienem był cię tu przyprowadzić. Postąpiłem niemądrze.

Joan zaczęła się bać.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Ale... wrócimy na dół, prawda?

– Ty wrócisz. Być może będziesz musiała zejść sama... to może okazać się dla ciebie mniej ryzykowne. Ale najpierw spróbujmy tego sposobu. Założ

zasłone z maską.

Joan posłuchała go i wyszła za nim z jaskini na ulewę. Deszcz w mgnieniu oka przemoczył abaję i ubrania, które miała pod spodem. Poczwała na skórze jego zimny dotyk, gdy woda przesiąkla przez materiał. W mokrych butach ślizgały jej się stopy, a palce zaczęły drętwieć, ale mężczyźni szli szybko, więc wkrótce się rozgrzała. Chciała przystanąć i jeszcze raz spojrzeć na płaskowyż, by wyrył się w jej pamięci, ale nie było na to czasu.

Deszcz ukrył widoki, które podziwiała wcześniej w oddali. Powietrze zmętniało i poszarzało, ale Salim powiedział, że mają szczęście, bo piloci niczego już nie zobaczą na górze i wrócą do Nizwy. Skały stały się śliskie, a Joan nie raz nadwerężyła sobie kostkę, próbując nadażyć za resztą. Teraz, gdy schodziła z góry w świetle dnia, czwała się bardziej widoczna, niż kiedy się na nią wspinali o świcie; poza tym straciła ostatni powód, żeby odkładać powrót do Maskatu, ostatnią wymówkę, żeby nie wyruszyć do domu.

Ogarnął ją głęboki, niczym niezmacony smutek, równie szary i uporczywy jak deszcz. Szli w milczeniu, zasłonięci przez chmury, zapuszczając się coraz niżej. Joan nie umiała odgadnąć myśli towarzyszy i podejrzewwała, że oni też nie mieliby pojęcia, czym się trapi. Po jakimś czasie doszli do jaru węższego niż rozpiętość ramion. Był stromy jak drabina i schodził zygzakiem w dół, łącząc się z wadi, które biegło niżej zboczem. Środkiem jaru płynął płytki strumyk wody. Mężczyźni zatrzymali się i rozmawiali ściszonymi głowami, a Joan usiadła, żeby dać odpocząć nogom. Była przemoczona do suchej nitki i głodna, chociaż od mocnej kawy rozbolał ją żołądek. Coraz bardziej ciążyła jej samotność i poczucie zagrożenia.

Twarz Salima była ściągnięta z napięcia. Mężczyzna, który wcześniej obsługiwał radio, znów je włączył i nagle wśród zakłóceń rozległ się potok arabskich słów. Salim słuchał ich z jeszcze większym niepokojem.

– Co się stało? – zapytała Joan. Ścisnęło ją w gardle, jakby miała się rozplakać. Wcześniejsze poczucie odrealnienia zdążyło się już rozwiąć. Teraz wszystko wydawało się absolutnie realne.

– W wadi utknęli żołnierze. Sekcja sułtana. Ukrywają się znacznie niżej, w zasięgu broni naszych ludzi, więc nie mogą się stamtąd ruszyć. Musimy tu być, kiedy wyjdą z ukrycia, żeby ci, którzy przeżyją, nie mogli przedostać się dalej.

Joan słuchała z rosnącym zaniepokojeniem. Salim posłał jej ostre spojrzenie.

– Joan, ty w tym nie uczestniczysz. Pamiętasz?

– Tak. Pamiętam – powtórzyła, ale sama słyszała, że w jej głosie nie ma już przekonania. – Czyli musimy zejść inną drogą?

– Nie. – Salim pokręcił głową i odwrócił wzrok. – Ty zejdziesz tędy. Nie zdejmuj zasłony i idź tym jarem jeszcze jakieś dwieście metrów. Dalej po prawej stronie znajdziesz ścieżkę, która odbija na południe. Rozglądaj się za nią. Nie przegap jej i nie schodź do wadi. Rozumiesz? To dla ciebie najlepsza trasa. Ty będziesz na niej bezpieczna, ale ja już nie. Musisz mieć zasłonę, żeby od razu zauważyli, że jesteś kobietą. Nie zatrzymają cię i nie będą do ciebie strzelać. Tylko nie schodź na sam dół do wadi, w którym są żołnierze.

– Ale... po co mieliby opuszczać kryjówkę i wchodzić jeszcze wyżej? Czemu nie zaczekają, aż zapadnie zmrok, żeby zejść z powrotem na dół?

– Niedługo będą musieli się ruszyć – stwierdził ponuro Salim. Joan wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem, czując na sobie czujne spojrzenie Bilala. – Wkrótce wadi wypełni się wodą.

Joan zlizwała nerwowo deszczówkę z warg. Wstała i mimowolnie zrobiła krok w kierunku jaru, a potem zamarła. Bilal śledził ją wzrokiem; już się nie uśmiechał. Joan pierwszy raz uświadomiła sobie w pełni, w jakim znalazła się niebezpieczeństwie... kto jej zagraża. Zaczęła rozumieć, że może już nigdy nie zejść z tej góry. Żałowała, że kuzyn Salima zna angielski.

– Dokąd prowadzi ścieżka przy jarze? – zapytała drżącym głosem.

– Przez kilka mil biegnie wzdłuż zbocza – wyjaśnił Salim.

– Według mnie powinna zostać z nami – wtrącił Bilal. – To zbyt ryzykowne. Niedaleko są żołnierze. – Zwracał się do Salima, nie do Joan, a jego ton był chłodny i podejrzliwy. Salim zacisnął szczęki.

– Joan w tym nie uczestniczy – odparł lodowato. – Nie będzie tu bezpieczna: nie jest żołnierzem, a zbliża się walka. Tak będzie najlepiej. Nie zdradzi nas. – Mówiąc to, Salim spojrział na nią badawczo swoimi ciemnymi oczami, a przestraszona Joan pokręciła głową. W tym momencie poczuła, że jest gotowa iść dalej sama, byle tylko się od nich uwolnić.

– Nie zdradzę was – potwierdziła. – Przysięgam.

– Ścieżka prowadzi do wsi Al Farra’ah – ciągnął Salim. – Uprzedzę ich, przyjmą cię tam, ale musisz narzucić sobie szybkie tempo, żeby dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Stamtąd zejdziesz górami w stronę Nizwy, pokażą ci drogę.

Joan skinęła głową, chociaż prawie go nie słuchała. Myślała o żołnierzach uwięzionych w wadi, którzy musieli wybierać między snajperami a podnoszącym się poziomem wody. Pewnie ogarniała ich narastająca panika; sama poczuła nagły, dławiący lęk, że może być z nimi Daniel. Wpatrywała się w jar przez strugi deszczu, a potem podeszła na jego krawędź, stając nieco na uboczu. Miała nadzieję, że Salim pójdzie za nią i z ulgą zauważyła, że to zrobił.

– Moim zadaniem jest zostać tu i walczyć – powiedział. – Jeśli ci żołnierze zaczną się wspinać jarem, musimy ich powstrzymać. A oddziałów sułtana jest więcej. Stacjonują niżej w wadi, gdzie nic im nie grozi. Nie wiedzą, że pozostali są uwięzieni, a jeśli orientują się w sytuacji, to widać nie kwapią się z pomocą.

– Bilal myśli, że zejdę tam, żeby ich uprzedzić? – zapytała Joan, a Salim odczekał chwilę, nim przytaknął. Zrozumiała, że on też tak uważał. Patrzyli na siebie, długo nie przerywając ciszy. Za nimi znów rozległ się szum radiowych zakłóceń i niewyraźne arabskie słowa. – Czy on w ogóle pozwoli mi odejść?

– Jeśli nie odejdziesz teraz, nie jestem pewny. Im więcej widzisz, tym więcej możesz zdradzić wrogom. Powiedziałem, że ci ufam, ale nie wiem, czy to wystarczy. Lepiej, żebyś ruszyła natychmiast. Rozumiesz?

– Tak – potwierdziła.

Kropla deszczu wylądowała jej na powiece, więc mrugnęła, pozwalając, by ściekła jej po twarzy na brodę.

– Nie wybrałbym dla nas takiego pożegnania – powiedział.

– Wiem. To moja wina. Przekonałam cię, żebyś mnie tu zabrał. – Chciała, by z jej głosu biły spokój i stanowczość, chociaż bała się samotnej wędrówki z boczem góry w poszukiwaniu nieznannej wioski w zapadającym zmroku.

– Musisz teraz podążać własną ścieżką, Joan. Nie potrzebujesz pana, który powie ci, co masz robić. Śpiesz się i zachowaj ostrożność. Nie oglądaj się za siebie. Bóg z tobą.

Joan ruszyła, czując na plecach wrogi wzrok Bilala i pozostałych mężczyzn. Trzęsły jej się nogi; w głębi duszy wiedziała, że już nigdy nie zobaczy Salima. I wiedziała, że musi pomóc żołnierzom uwięzionym w wadi. Wystarczało jej, że wśród nich mógł znaleźć się Daniel. Nawet gdyby okazało się, że go tam nie ma, sama ta możliwość zmuszała ją do działania. Schodziła stromym jarem, ślizgając się i potykając. Chwilami siadała i zsuwała się w dół oparta na dłoniach, bo widok mrozącego krew w żyłach urwiska obracał jej mięśnie w puch. Po skałach spływała swobodnie woda, obmywając podeszwy butów Joan i wdzierając się do środka. Napęczniała skóra zaczęła ją obcierać; już po kilku krokach poczuła pieczenie od pękających na stopach pęcherzy. Raz straciła równowagę i upadła boleśnie na ziemię. Na myśl o tym, jak mało zabrakło, by stoczyła się w dół, zrobiło jej się niedobrze.

Prześiąknięte wodą szaty stały się ciężkie. Mokry materiał na twarzy przesłaniał Joan widok, a abaja ograniczała jej ruchy uciążliwym kołysaniem. Po pewnym czasie zaryzykowała i spojrzała przez ramię, ale nigdzie nie zauważyła Salima ani jego ludzi. Trudno było prześledzić wzrokiem kręty jar, zwłaszcza że oczy zalewał jej deszcz. Schodziła dalej, wpatrując się w prawo, i wkrótce zobaczyła ścieżkę, o której mówił Salim. Była wyraźnie wytoczona i prowadziła lekko w górę, wysoko ponad wadi. Ze swojego miejsca Joan widziała już brązową spienioną wodę w położonym niżej korycie rzeki. Strumień zasilany nieustannie strugi deszczu z wąwozu i otaczających go

klifów. Żołnierze bez wątpienia zdawali sobie sprawę, co im groziło; na pewno wiedzieli, że wkrótce będą musieli zaryzykować śmierć z rąk snajpera albo zostać w kryjówce i utonąć. Joan wyobraziła sobie, jak są przerażeni, i poczuła drżące echo ich lęku, rosnącego z minuty na minutę.

Odwróciła się. Dokładnie naprzeciwko ścieżki, którą wskazał jej Salim, biegła inna droga – a właściwie ta sama, tylko w przeciwnym kierunku, w dół wadi. Według niego czekał tam kolejny oddział wojsk sułtana, żołnierze nieświadomi niebezpieczeństwa, w jakim znaleźli się ich towarzysze. Joan jeszcze raz przebiegła wzrokiem po trasie, którą właśnie zeszła. Spojrzała na szare i brązowe skały spływające wodą; na niekończący się ciąg rozpadlin i wychodni, stromy jak niemal pionowe schody. Czy Salim i pozostali wciąż ją widzieli? Czy Bilal mógł patrzeć na nią przez lornetkę, a reszta przez celowniki karabinów? Stała tam, sparaliżowana niezdecydowaniem. Przysięgła Salimowi, że ich nie zdradzi, ale czy naprawdę dopuściłaby się zdrady, próbując pomóc tym żołnierzom? Nie musiała im mówić, że Salim ukrywa się na szczycie jaru. Mogła ani słowem nie wspomnieć o tym, ilu jest z nim buntowników, jaki mają sprzęt i gdzie znajduje się ich jaskinia.

Rozmyślała długo, czując, jak deszcz spływa jej po plecach i po nogach, jak kapie jej z koniuszków palców. Drżała pod jego zimnym dotykiem, ale nie mogła się ruszyć z miejsca. Dlaczego Salim powiedział jej o żołnierzach w wadi? Wyjaśnił Joan dokładnie, jak zdaniem Bilala mogłaby pomóc ich przeciwnikom. Po co miałyby to robić, gdyby nie chciał, żeby do nich poszła? Lało jak z cebra; Joan wydawało się, że gdzieś rozległ się wystrzał z karabinu. Przez tych kilka minut, gdy zastanawiała się, co dalej, w wadi wyraźnie wezbrała woda. Strumień był teraz szerszy, głębszy i bardziej wartki. Ale Joan pomyślała o Danielu i w mgnieniu oka zorientowała się, że bardziej niż o siebie boi się o żołnierzy w kanale. Wzięła głęboki wdech i zatrzymała powietrze w płucach. Potem ruszyła ścieżką z lewej strony, podświadomie spodziewając się huku wystrzału albo bólu, gdy kula przesyje jej ciało.

Próbowała biec, ale ze zmęczenia zrobiła się niezdarna, więc zdobyła się

tylko na ostrożny trucht. Zejść z góry było łatwiej niż na nią wejść, chociaż często ślizgała się i potykała na ścieżce. Czuła się naga, widoczna, narażona na atak. Omiatała wzrokiem przeciwległą ścianę wadi, usiłując wypatrzeć bojowników, którzy trzymali żołnierzy SAF na muszce; próbowała też dostrzec samych uwięzionych, ale nie miała odwagi przystanąć, żeby ich zlokalizować. Raz wydawało jej się, że widzi ruch – przemykający ciemny kształt, który mógł być chowanym pośpiesznie butem wojskowym albo kolbą karabinu. Rozejrzała się, szukając jakiegoś punktu orientacyjnego, czegoś, co będzie mogła zapamiętać i opisać później. Po chwili zauważyła nad tym miejscem potężny trójkątny kamień, sterczący ze skały jak nos. Co kilka kroków sprawdzała poziom wody, przerażona tym, jak szybko się podnosi; teraz przez szmer deszczu słyszała jej szum – miarowy łoskot wzburzonego górskiego potoku. Miał kolor herbaty z mlekiem, a wił się jak rozwścieczony wąż. Woda wzbierała błyskawicznie, a Joan zaczęła się obawiać, że jest już za późno – nie miała pojęcia, jak daleko stacjonuje reszta oddziału, czy zdąży ich znaleźć i zawiadomić, czy będą mieli czas pomóc kolegom. Dostała zadyszki i musiała zwolnić. Szlochając z frustracji, wbiła nasadę dłoni w miejsce, gdzie odezwała się kolka. Nagle uświadomiła sobie, że może to usłyszeć. Może usłyszeć, w którym momencie żołnierze opuszczą kryjówkę i padną od strzałów wroga. Na myśl o tym ogarnęły ją mdłości.

Teraz uczestniczyła w wojnie, niezależnie od zapewnień składanych Salimowi. Przerazało ją, że czyjeś życie zależy od niej, a równocześnie nie mogła w to uwierzyć. Lustrowała zbocza wzrokiem, szukając żołnierzy sułtana albo imama, aż w końcu zaczęła widzieć kształty, których tam nie było, bo kiedy mrugała, rozplływały się w powietrzu. Znów spróbowała biec, choć bolały ją płuca, a twarz nabiegła jej krwią. Zastanawiała się, czy jest widoczna – czarna drobinka na tle gór – czy może wtapia się w chaos wokół, tworząc kolejny kształt, który zniknął po zmrużeniu powiek. Nagle wyrósł przed nią jakiś mężczyzna. Pojawił się znikąd, a ona wrzasnęła i rzuciła się na niego. Poczuła jego dłonie na swoich ramionach i zaczęła się szamotać, a jej maska

przekrzywiła się, więc nic nie widziała.

– Nie dotykaj kobiety, durniu, to zakazane – odezwał się ktoś perfekcyjną angielszczyzną, więc przestała się wyrywać i niemal usiadła z ulgi.

Dysząc wciąż z wyczerpania, poprawiła sobie maskę i zobaczyła bladą, ponurą twarz mężczyzny, obok którego siedziała przy kolacji w Rezydencji jakieś sto lat wcześniej. Nie pamiętała jego prawdziwego imienia, tylko przydomek, który nadał mu Charlie.

– Wesołek? – wykrztusiła, łapiąc oddech.

Blady żołnierz zawahał się i spojrzał jej w oczy, marszcząc brwi.

– Coś ty powiedziała? – zapytał.

– To... to... – Nie mogła nabrać wystarczająco dużo powietrza do płuc, żeby mu wszystko wyjaśnić. Zamiast tego wczepiła się w niego desperacko, żeby jej wysłuchał.

– Przynosi jakąś wiadomość? – odezwał się inny, znajomy głos, a Joan nie wiedziała, czy ma parsknąć śmiechem czy się rozpłakać.

Obok Wesołka stanął Charlie Elliot, mrużąc oczy na deszczu. W wodoodpornym ponczo jego plecy wydawały się dziwnie zgarbione; był nieogolony i przemoknięty, a zza ucha wystawała mu wilgotna końcówka papierosa. Sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

– No i jak? – zwrócił się do niej, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów. – Masz dla nas jakieś informacje? Gdzie jest Ridwan? Ridwan, potrzebny nam tu tłumacz!

– Charlie – zdołała wyjąkać Joan. Kapitan Elliot znieruchomiał, a ona ciągnęła, sapiąc ciężko. – Wyżej w wadi są uwięzieni żołnierze, nasi żołnierze. Czekają na nich snajperzy. Rzeka wzbiera. Niedługo będą musieli opuścić wadi. Trzeba... im... pomóc – dokończyła, pochylając się do przodu. Kręciło jej się w głowie; przed oczami miała czarne plamy.

– Cholera, kto się tam chowa?! – zawołał Charlie po chwili tonem pełnym niedowierzania, a Joan zorientowała się, że odgadł już prawdę, tylko trudno mu ją zaakceptować.

– To ja – oznajmiła, ściągnając maskę i zasłonę, by poczuć światło i krople deszczu na rozpalonej skórze. – Joan Seabrook.

Charlie gapił się na nią bez słowa. Wesolek wytrzeszczył oczy. Za nimi pojawili się następni żołnierze, którzy również wlepili w nią wzrok. Joan spięła się, jakby spodziewała się ciosu; czuła, że jej się należy. Uniosła podbródek, przygotowując się na jego nadejście, i czekała. I wtedy Wesolek zamrugnął, a Charlie pochylił się do przodu. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił, dopóki nie zdała sobie sprawy, że parsknął śmiechem. Przez chwilę nie mógł nad sobą zapanować, a Joan ku swojemu zaskoczeniu uśmiechnęła się w odpowiedzi. Po dwóch tygodniach pełnych strachu, zwątpienia i dziwnych wydarzeń, śmiech Charliego wydał jej się najprzyjemniejszym dźwiękiem na świecie. Kochała go w tym momencie. Kiedy udało mu się uspokoić, otarł twarz dłonią.

– Joan? Nie mogę się doczekać, aż mi opowiesz, jak tu trafiłaś, na Boga! Wszędzie cię szukają... Próbowałaś znaleźć brata? Nikomu nie przyszło do głowy, że weszłaś na górę.

– Mogę to wyjaśnić – zapewniła, zastanawiając się, czy to prawda. – Ale teraz...

– Racja. Żołnierze. Powtórz to wszystko jeszcze raz, tylko wolniej i jak najbardziej szczegółowo. Chodź, schowaj się tu przed deszczem. Później zajmiemy się tym, skąd o tym wiesz.

– Musicie im natychmiast pomóc! Woda wzbiera tak szybko... są w straszliwym niebezpieczeństwie. Jak tylko wyjdą z wadi, zastrzelą ich snajperzy!

– W porządku. Możesz mi powiedzieć, gdzie teraz są? Ilu snajperów na nich czeka? I jak są rozmieszczeni?

Obaj mężczyźni spowaźnieli, nie tracąc czasu na niepotrzebne pytania, a Joan zalała fala ulgi. Opisała najdokładniej, jak umiała, miejsce, w którym według niej znajdują się żołnierze. Mężczyznom stężały twarze. Wymienili spojrzenia, a potem Wesolek skinął głową i poszedł porozmawiać z resztą

sekcji. Charlie stał obok niej, przygryzając wargę. Coś przed nią ukrywał, a Joan znów przeszył dreszcz strachu.

– Czy... czy... – Musiała przełknąć ślinę, żeby wydobyć z siebie to pytanie.
– Chodzi o Daniela, tak? To jego sekcja tam utknęła. Czuję to. – Rozplakała się, a jej łzy mieszały się z kroplami deszczu. Charlie przytaknął. Ten prosty gest złamał jej serce. Wyciągnęła rękę i oparła się o skałę, bo ugięły się od nią nogi.

Reszta żołnierzy, miejscowy przewodnik i tłumacz SAF podnieśli się w milczeniu i sprawnie przygotowali do wymarszu. Joan wpatrywała się niespokojnie w przewodnika, zastanawiając się, czy nie jest podwójnym agentem, który powiadomi Salima i Bilala o tym, co zrobiła. Charlie sprawdził broń i poprawił sobie plecak. Przeniósł wzrok na Wesółka stojącego za Joan i kiwnął głową.

– Czyli buntownicy wiedzą, że tu jesteśmy? – upewnił się.

– Tak. Ale nie wiedzą, że znacie sytuację tych, którzy są wyżej, to znaczy, że mają kłopoty. Myślą, że na coś czekacie, nie wiem na co.

– Jasne. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Coś, co może się okazać ważne?

Joan spojrzała mu w oczy. Jej łzy wyschły; nie było sensu płakać. Pomyślała o Salimie, Bilalu i reszcie bojowników na szczycie jaru. Ale Charlie nie wspomniał, że planują wspiąć się wyżej, a o ile zdążyła się zorientować, ani ta sekcja, ani SAF nie mieli pojęcia o drodze przez jar. Była pewna, że informacja o grupie Salima była istotna dla akcji ratunkowej, ale mimo to zawahała się. Wiedziała, że nie powinna niczego ukrywać, ale przysięgła, że ich nie zdradzi. Ostatecznie pokręciła głową. Nie była gotowa narazić Salima na niebezpieczeństwo swoimi działaniami.

– Nie – odpowiedziała, modląc się, żeby jej kłamstwo nie miało żadnych konsekwencji. – To już wszystko.

– Wesółek zaraz sprowadzi cię na dół.

– Co? Nie! Najpierw... najpierw muszę mieć pewność, że Dan jest

bezpieczny... muszę się z nim zobaczyć!

– Słuchaj, Joan, żarty się skończyły. Może się tu zrobić gorąco, to nie miejsce dla ciebie. Będziesz przeszkadzać. Niezależnie od tego, co się stanie z twoim bratem, musisz zejść z tej góry w bezpieczne miejsce, i to natychmiast.

Nigdy nie słyszała, żeby mówił tak poważnie. Umilkła na moment pod wrażeniem jego tonu.

– Obiecuj mi, że go uratujesz – poprosiła później jak dziecko, które chce usłyszeć życzliwe kłamstwo. Złapała Charliego za ramię i wpatrywała się w jego twarz, rozpaczliwie szukając na niej otuchy. Po chwili posłał jej kpiący półuśmiech i pogłaskał ją pod brodą brudnymi, zdartymi knykciami.

– Na twoim miejscu nie martwiłbym się o niego, Joan. Jeśli choć trochę przypomina ciebie, pewnie sam się już uratował. – Uniósł rękę, dając sygnał pozostałym, a potem ruszył w górę wadi.

Joan odwróciła się dopiero wtedy, gdy zniknął jej z oczu wśród skał. Miała nieprzyjemne przeczucie, że jego też może już więcej nie zobaczyć. Wesolek czekał na nią, ściskając w dłoniach karabin.

– Nie mogę sobie przypomnieć, jak ma pan naprawdę na imię, Wesoleku – odezwała się łamiącym głosem.

– Kapral Walter Cox, proszę pani – odpowiedział. – Ruszajmy, dobrze? Proszę to włożyć. – Podał jej zapasowe ponczo, a ona wciągnęła je na siebie niezgrabnie. Mięśnie miała sztywne z zimna i zmęczenia. – Wygląda pani na wykończoną. Czyżby miała pani ciężki dzień? – Jego słowa ociekały ironią, ale Joan przytaknęła.

– Chyba okaże się najcięższy w całym moim życiu.

Ścieżka była tak wąska, że musieli iść jedno za drugim. Walter schodził pierwszy, rozglądając się na wszystkie strony z palcem na spuście.

– No cóż, niedługo będziemy na dole. Jeżeli powiem: „kryć się”, proszę nie czekać na wyjaśnienia, dobrze? – rzucił spokojnie. Joan skinęła głową. – Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się stąd niezauważeni.

– Dziękuję, kapralu Cox – powiedziała.

– Pewnie nie może się pani doczekać, aż dotrze pani bezpiecznie do Maskatu, do swoich bliskich.

Walter zerknął na nią przez ramię, obrzucając ją nieufnym, taksującym wzrokiem. Wiedziała, że powrót będzie trudny i wzbudzi dużo emocji, ale teraz pierwszy raz przyszło jej do głowy, że może zostać ukarana za nielegalne wejście na górę, złamanie prawa i kontakty z Salimem – o ile ktoś się o nich dowie. Nic nie odpowiedziała. Szli dalej w milczeniu, a Joan pomyślała, że kara nie ma dla niej żadnego znaczenia, jeśli udało jej się ochronić Daniela. Nie, nie chodziło tylko Daniela – ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że martwiła się też o Charliego Elliota. Ale po mniej więcej dziesięciu minutach marszu za ich plecami rozległy się nagle strzały z karabinów. Joan odwróciła się z krzykiem, ale Walter chwycił ją za ramię, nie pozwalając jej zawrócić. Spojrzał na nią surowo, a jego twarz przybrała zdecydowany wyraz. Próbowwała mu się wyrwać, wiedzona instynktem, by pobiec na pomoc bratu. Nagle z kierunku, z którego przyszli, do wadi wtargnęła ściana wody niczym fala przyływu, tocząc głązy z odgłosem przypominającym grzmot pioruna. Szeroki, mętny strumień porwałby ze sobą każdego człowieka.

– Daniel! – wrzasnęła Joan szaleńczo przez deszcz, choć nic nie widziała.

Walter pociągnął ją za rękę i obrócił do siebie.

– Ruszaj się! – warknął. – No już!

Pusty Kwartał, Oman, marzec 1909

Maude i Beduini w milczeniu czekali na powrót Sayyida. W obliczu niemożliwie wysokich wydm nikt nie miał odwagi się odezwać. Starzec zniknął na trzy godziny. Mruczając coś pod nosem, ruszył na północny zachód wzdłuż podnóża potężnego wzniesienia. Pod jego nieobecność Maude wpatrywała się w wydnię i coraz wyraźniej widziała w niej falę. Zrozumiała, że pustynia jest oceanem piasku, rzeźbionym przez wiatr jak każdy duży akwen. Jej ruchy były ruchami wody – marszczyła się na powierzchni albo tworzyła grzebienie i doliny; mocne podmuchy zrywały z grzbietów wydm bryzgi tak samo jak z fal. W miejscu wielu pustyń znajdowały się dawniej morza. Maude zdawała sobie z tego sprawę. Widziała starożytne malowidła w jaskiniach i znalazła skamieniałe muszle w różnych wyjąłowych zakątkach świata. Zastanawiała się właśnie, czy na pustyni też zdarzają się przyływy i odpływy – potężne, niewidoczne, powolne migracje piasku – gdy Fatih rozdrażnionym okrzykiem ogłosił powrót Sayyida. Zwieszone ramiona starca położyły kres wszelkim nadziejom, że znalazł trasę, którą mogliby wejść na wydnię. Wcześniej Maude spróbowała wspiąć się kawałek w ramach eksperymentu. Miękki piasek zapadał jej się pod stopami. Wciąż zsuwała się w dół i szybko ogarnęło ją zmęczenie. A przecież ważyła znacznie mniej niż wielbłąd. W końcu postanowili rozbić obóz i zatrzymać się na noc.

Na zachodzie majaczyło na niebie rozdęte słońce. W milczeniu pokonali niewielką odległość dzielącą ich od wychodni, za którą rosło kilka małych, zaskakująco zielonych krzewów buzdyganka. Wielbłądy rzuciły się na nie łapczywie, pomrukując i kłócąc się między sobą. Maude i Majid rozstawili mniejszy namiot, a później chłopak zaparzył resztkę czarnej herbaty, którą podał jej w filizance z zaschniętym piaskiem wokół brzegu.

– Gdyby był z nami Haroun, oberwałbyś za to w ucho – powiedziała do

niego ze smutkiem, ale po angielsku, bo nie miała siły udzielić mu prawdziwej reprimendy.

Herbata i tak smakowała skórzanym bukłakiem, jak cały ich zapas wody. Mieli jej dość, żeby wyruszyć następnego dnia, ale na tym koniec. Wszyscy wiedzieli to bez pytania; ten fakt nie podlegał dyskusji. Wody wystarczało im na jedną, maksymalnie dwie doby, więc to było całe ich pole manewru. Musieli jechać dalej albo zawrócić, a ta świadomość niosła ze sobą pewien spokój. Maude już podjęła decyzję – jeśli Sayyid nie znajdzie drogi na wydmnę, zamierzała zrobić to sama. Zdawała sobie sprawę, że to szalony plan, który prawdopodobnie się nie powiedzie, ale na myśl o powrocie ogarniała ją żelazna determinacja. *Niech mnie diabli, jeśli po tak długiej podróży nawet nie spróbuję*, napisała do Nathaniela bez atramentu czy papieru. Cieszyła się, że potrafi kontynuować swój nieistniejący list. Dobrze było odnaleźć w sobie chęć, by znów dzielić się z Nathanielem swoimi przeżyciami. Inaczej naprawdę nie miałyby już nic – i nikogo. Wróciła też do prowadzenia dziennika i naszkicowała wydmnę, z którą musiała się zmierzyć. O zachodzie słońca wiatr wzniecił burzę pyłową i przywiał ją w pobliże ich obozu. Patrzyli na niewielkie tornado piasku, wirujące samotnie w radosnej furii. Sayyid obserwował je, poruszając usta w niemej modlitwie. Na kolację Maude zjadła suche podpłomyki – wołała umrzeć z głodu niż choćby tknąć daktyle, a reszta zapasów już się skończyła.

Tej nocy Beduini zachowywali się cicho. Toczyli swoje dysputy stłumionymi głosami, więc Maude zasnęła z łatwością. Miała wrażenie, że przez cały dzień walczy ze zmęczeniem, jakby nieustannie płynęła pod prąd, dlatego czuła ulgę, pozwalając mu się unieść, kiedy zapadała noc. Śniła o Marsh House i swojej matce, a we śnie wcale nie opuściła domu i miała go nigdy nie opuścić, więc ze wszystkich sił starała się oprzytomnieć, żeby przekonać się, że to nieprawda. Nagle obudził ją czyjś krzyk. Zdezorientowana usiadła na łóżku, wyęzając wzrok w szarówce przed świtem. Nasłuchiwała kolejnych odgłosów, gdy rozległ się huk wystrzału i podniesiony głos, którego nie

rozpoznała. Wyplątała się z koców i wystawiła głowę z namiotu.

– Bandyci! Niech Bóg pokarze ich ślepotą! – wrzasnął Sayyid.

Wokół dogasającego ogniska kłębiło się mnóstwo postaci, które wzbijały tumany kurzu. Słysząc było okrzyki, przekleństwa i mrukliwe protesty wielbłądów. W słabym świetle błyskały jasne ubrania; wszędzie panowało poruszenie, a Maude rozglądała się po obozie z sercem w gardle, obserwując gesty pełne gniewu, przerażenia albo determinacji.

– Khalid! – krzyknęła, ale nie rozpoznała go w tym zamieszaniu. Następny strzał wyrzucił w powietrze piasek przed wejściem do jej namiotu.

Upadła na plecy, mrugając i zanosząc się kaszlem, ale po chwili zawładnął ją strach, że zostanie uwięziona pod płótnem, dlatego na czworakach wy dostała się na zewnątrz, wstała i puściła się pędem do skały. Siniacząc gołe stopy i piszczele, wspięła się wysoko, chociaż panika wyciskała jej powietrze z płuc. Było za ciemno; wpatrywała się w przemykające w dole postaci i na początku nie umiała zorientować się w sytuacji, ale jej wzrok stopniowo się wyostrzał. Czterech ludzi próbowało ukraść im wielbłądy i zapasy, a Khalid i reszta walczyli z nimi, ściskając w dłoniach noże i karabiny. Jeden ze złodziei odjeżdżał właśnie na swoim wielbłądzie, ciągnąc za sobą dwa, które należały do nich, w tym Karzełka.

– O nie! – wrzasnęła Maude z wściekłością.

Nawet gdyby napastnicy odjechali z łupem, zostawiając ich przy życiu, byłoby to krótkie życie. Maude ogarnął niepohamowany gniew. Zastanawiała się desperacko, jak pomóc swoim ludziom. Zobaczyła, jak Fatih z karabinem w rękach goni jeźdźca uprowadzającego ich wielbłądy. Syn Khalida przykląkł i wycelował, ale chybił, więc pobiegł dalej za złodziejem, nie pozwalając, by dystans zanadto się powiększył. Nagle bezpośrednio poniżej Maude rozległ się strzał. Spojrzała w dół i zauważyła niżej na skale jednego z napastników, który mierzył ponownie do Fatiha. Za pierwszym razem nie trafił, ale za drugim mogło mu się poszczęścić. Wzrok Maude przyciągnęła uniesiona twarz Khalida, który pędził już w stronę skał; widziała, że zauważył snajpera

i rozumie, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się Fatih. Ich spojrzenia skrzyżowały się na sekundę, a chwilę później Maude rzuciła się w dół. Spadała kilka metrów z wyciągniętymi rękami i runęła dokładnie na snajpera. Wczepiła mu palce w ubranie i we włosy, starając się nie rozluźnić chwytu, gdy zwalili się ciężko na ziemię. Jej lądowanie było przyjemniejsze; słyszała, jak siła uderzenia wybija mężczyźnie powietrze z płuc, ale wiedziony instynktem wojownika obrócił się błyskawicznie i przygwoździł ją do ziemi całym swoim ciężarem, a chwilę później miała na gardle chandzar. Gdy czubek ostrza zagłębił się w jej skórę, złapała przeciwnika za nadgarstek obiema rękami; poczuła na szyi własną ciepłą krew i wykorzystała ułamek sekundy, jaki jej pozostał, żeby wrzasnąć ze wszystkich sił:

– Złaż ze mnie, ty cholerny Beduinie!

Napastnik zawahał się i wybałuszył oczy – może dlatego, że była kobietą, a może przez nieznaną mu język, którego użyła. Maude nie wiedziała, czemu tak zareagował, ale zamiast się nad tym zastanawiać, wbiła mu kolano w krocze najmocniej, jak potrafiła. Beduin stęknął i zadrżał z bólu, a wtedy skoczył na niego Khalid. Zaszedł go od tyłu i przeciągnął mu chandzar przez gardło, a Maude zbryzgała krew, która trysnęła w powietrze. Mężczyzna przez chwilę patrzył jej w oczy z niedowierzaniem, zaskoczony nagłym końcem walki. Uderzyła ją nieskazitelna biel jego białek, kontrastująca ostro z czernią tęczówek. Był zbyt młody, by umierać. Potem oczy wywróciły mu się do góry i opadł na ziemię z chrapliwym westchnieniem, a Khalid odepchnął go na bok i stanął do nich tyłem, szukając wzrokiem syna. Z każdą sekundą robiło się jaśniej. Fatih szedł w stronę trzech wielbłądów, które bez poganiacza i jeźdźców stąpały wolno przed siebie. Była wśród nich również Karzełek. Beduin, który próbował je uprowadzić, leżał bezwładnie na piasku.

– Bogu niech będą dzięki – powiedział Khalid. Odwrócił się do Maude i łamiąc wszelkie konwenanse, wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej wstać. Otarła twarz zaplamionym rękawem; krew zabitego mężczyzny miała wszędzie: między zębami, w oczach, na włosach. – Rzuciła się pani na niego

jak sokół – ciągnął. – Uratowała pani Fatiha i wykazała się odwagą. Nie jak kobieta – mówił z cichym uznaniem i aprobatą, co dało Maude siłę, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Wstrząsały nią spazmatyczne drgawki, ale miała nadzieję, że Khalid ich nie zauważy. Czowała na języku słony, metaliczny posmak krwi napastnika.

Majid nie żył. Para bandytów również miała na zawsze zostać w miejscu, w którym padli na piasek; dwóch pozostałych poddało się i uciekło z pustymi rękami. Martwe oczy Majida były spokojne i wpatrzone w dal. Już się nie bał. Maude zamknęła mu powieki brudną dłonią. Miał jedną głęboką ranę kłutą w klatce piersiowej i smugę szkarłatu na dolnej wardze. Maude zastanawiała się, czy gdzieś nie czeka na niego matka. Nie wiedziała, jakie uczucia powinna wzbudzić w niej śmierć młodego służącego; nagle przyszło jej do głowy, że staje się równie bezwzględna, pusta i groźna jak pustynia. Khalid obejrzał wielbłądzicę jeźdźca, którego zastrzelił Fatih, i uznał, że im się przyda, choć była brzydka, wychudzona i bardziej nadawała się na żwirowy teren niż na wydmy. Postanowili zabrać nowe zwierzę najdalej, jak się uda, a potem je zarznąć. Fatih i inni młodzi Beduini byli rozradowani. Każdy przechwalał się swoją rolą w ich zwycięstwie, usiłując przekrzyczeć pozostałych. Rozpalili ogień, żeby zaparzyć kawę. W żyłach wciąż krążyła im adrenalina, rozwiewając wszelkie myśli o nadchodzącym wyzwaniu i niebezpieczeństwie.

– Nawet stary Sayyid walczył! – zawołał Fatih. – Przeciął wodze temu facetowi z długą brodą, dlatego musiał jechać wolno i mogłem go z łatwością zastrzelić!

– „Nawet stary Sayyid”, powiadasz! – burknął staruszek. – Zabiłem dwudziestu takich ludzi, kiedy ty ssalesz jeszcze pierś matki, chłopcze.

– To pani powinienesz podziękować, Fatihu – odezwał się Khalid, wskazując Maude czubkiem chandzaru, którym usuwał zaschniętą krew spod paznokci. – Rzuciła się na człowieka, który z pewnością przeszyłby cię kulą, chociaż nie miała żadnej broni prócz pustych rąk i własnej furii. Spadła na niego jak sokół wędrowny. Niczego się nie spodziewał.

Maude zobaczyła, jak przez twarz Fatiha przebiega cień obrzydzenia, ale po chwili przełknął to upokorzenie i skupił się na wdzięczności.

– Bóg jest łaskawy, dziękuję pani za to. Myślę, że odtąd powinniśmy nazywać panią Shahin – oświadczył.

Była to arabska nazwa sokoła wędrownego.

Pozostali przytaknęli, patrząc na Maude z większym szacunkiem i życzliwością.

Wielbłądzica, którą przejęli, niosła wypełniony do połowy bukłak. Gdy Fatih go znalazł, podziękował Bogu i uczcił to trzema wystrzałami z karabinu. Ruszyli na południowy wschód, trzymając się blisko podnóża potężnej wydmy. Maude nie miała wody, w której mogłaby się umyć. Oczyszczyła się na tyle, na ile zdołała, przy pomocy piasku i kawałka materiału, oderwanego ze swojej koszuli, ale zasychająca krew napinała jej skórę na czaszce. Swędziało ją lewe ucho, a gdy się podrapała, pod paznokciami znalazła drobinki przypominające rdzę. Wciąż pamiętała zderzenie czerni i bieli w oczach napastnika; była pewna, że zobaczy je jeszcze w swoich snach. Ale nie żałowała, że umarł; nie mogła się nad nim litować. Przyniósł do ich obozu śmierć; nie było jej przykro, że obróciło się to przeciwko niemu. *Patrzyłam na śmierć człowieka*, napisała do Nathaniela. *Był młody, a mimo to zabiłby nas, gdyby tylko mógł. Ktoś musiał zginąć. Beduini nazywają mnie teraz Shahin.* Nie mogła powstrzymać dumy z nowego przydomka – wydawał się jej romantyczny i dowodził, że grupa w końcu ją zaakceptowała. Była to jednak chłodna, powściągliwa duma, drobny triumf, bo tego dnia Maude nie umiałaby poczuć się naprawdę szczęśliwa. Przed południem, w ostrym świetle słońca, Sayyid skręcił gwałtownie w stronę wydmy. Zadarł głowę, przesunął spojrzeniem wzdłuż jej grzbietu, a później odwrócił się i przywołał innych do siebie.

– Niech Bóg ma nas w opiece: tędy musimy wejść – oznajmił z wyraźną ulgą.

– Na pewno? – zapytała Maude.

Przez wydniętą biegłą zaokrągloną bruzda, ukośną półka, która wiodła na szczyt przerażająco stromą, ale mniej urwistą drogą.

– To właściwe miejsce, Bóg mi świadkiem – zaręczał starzec.

Przez jakiś czas stali ramię w ramię, wpatrując się w górę i rozmyślając o czekającej ich wspinaczce.

– W takim razie nie ma powodu dłużej zwlekać. Ruszajmy – zarządziła wreszcie Maude.

Sayyid zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, taksując wzrokiem jej chudą, drobną sylwetkę, pokrytą zaschniętą krwią i piaskiem. Skinął głową, ale na jego twarzy nie dostrzegła choćby śladu optymizmu.

Nie ulegało wątpliwości, że wielbłądy nie wejdą na wydniętą, jeśli będą nadmiernie obciążone. Namiot Maude, sprzęty do gotowania i wszystkie meble – łącznie ze składanym krzesłem – zostały na dole, rzucone na żalną stertę na piasku. Zabrała jedynie koc i małą płócienną torbę z dokumentami i rzeczami osobistymi. Odtąd miała spać z mężczyznami przy ognisku. Nie przeszkadzało jej to i bez najmniejszych skrępowań pozbyła się reszty dobytku. Żałowała, że w ogóle zmarnowała na nie pieniądze i że tak długo taszczyli je za sobą. Miejsce tych nieporęcznych przedmiotów było w delikatniejszym świecie z delikatniejszą Maude; nie pasowały do Shahin i tej podróży, która przyćmiła jej wszystkie dotychczasowe wyprawy. Khalid pozwolił każdemu wziąć jeden łyk wody.

– Będzie nam potrzebna – uprzedził.

Znów zapanował ponury nastrój; nawet Fatih umilkł. Sayyid zaintonował cichą pieśń i poprowadził swojego wielbłąda naprzód.

Łatwiej szło się po bladym, drobnym piasku, który był twardszy i bardziej zbity. Za to ciemniejszy, gruboziarnisty piasek w kolorze intensywniejszej żółci przesuwiał się i zapadał, wciągając ich głębiej albo osypując się lawiną, która mogła znieść człowieka albo wielbłąda z powrotem na niższą część wydmy. Maude szybko się tego nauczyła. Nie wiedziała, że serce może bić z tak szaleńczą prędkością i tak mocno ciążyć w piersi. Nie uwierzyłaby, że

można dyszeć tak głęboko i nie zemdleć. Przed oczami wirowały jej jasne plamy. Nie była nawet w stanie przełknąć śliny. W gardle czuła ostre pazury pragnienia.

Czasem miała wrażenie, że wciąż się wspina, gdy nagle cucily ją okrzyki: „Shahin! Pani!”, i odkrywała, że siedzi na piasku zapatrzona w przestrzeń, ściskając linę Karzełka. Chwilami każdy z nich padał na kolana, klnąc i modląc się do Boga o litość. Najprościej było iść skrajem wąskiej półki, którą prowadził ich Sayyid, ale ta droga też okazała się zdradliwa. Jedna z wielbłądzic podeszła za blisko krawędzi i zjechała na rozstawionych nogach na sam dół. Stała tam przygnębiona, ze spuszczonego łbem, a jej boki unosiły się ciężko od urywanego oddechu. Kamal zszedł po nią, ale mimo jego czułych namów wielbłądzica nie chciała już wspinać się po wydmie. Mężczyzna ze łzami w oczach zdjął jej uprząż, zarzucił sobie na ramię koc i bukłak, które mu niosła, i wrócił bez niej.

Trwało to trzy godziny; najdłuższe trzy godziny w życiu Maude. Raz sama zachwiała się na krawędzi półki i zaczęła się zsuwać po piasku. Uratowała ją Karzełek, która zaparła się kopytami z całym uporem, na jaki stać wielbłąda. Maude zawisała na linie, a ostatecznie zdołała dosięgnąć okaleczonych kolan zwierzęcia i podciągnąć się w bezpieczne miejsce. Z wdzięczności ucałowała te potłuczone kończyny, wiedząc, że gdyby się ześlizgnęła na dół, zostałaby tam, pokonana przez wydmę jak wielbłądzica Kamala. Gdy dotarli na szczyt i wreszcie mogła się położyć, bez zażenowania wydała z siebie jęk ulgi. Zamknęła oczy. Khalid znów podał wszystkim bukłak z wodą i ojcowskim gestem uniósł jej głowę, żeby mogła wziąć kolejny łyk. Słońce prażyło bezlitośnie. Usta Maude były twarde i odrętwiałe; gdy ruszała wargami, pękała jej skóra. Odpoczywali ponad godzinę. Para kruków zadrwiła z nich, wlatując bez najmniejszej trudności na ten sam grzebień wydmy, który prawie ich zgubił. Wyskubały kilka kosmyków z sierści wielbłądów, przechadzając im się bezczelnie po plecach. Kiedy Maude zdołała usiąść, spojrzała w miejsce, z którego wyruszyli. Patrzyła na płaską połąkę piasku między odległymi skałami

i nie mogła uwierzyć, że wydaje się jej tak daleka, chociaż wciąż jest tak blisko. Potem odwróciła się w drugą stronę i zobaczyła, gdzie wiedzie ich szlak. Pod nimi rozciągała się seria niskich, falistych barchanów, zakończona następnym ogromnym łańcuchem wydm, za którym rysował się kolejny, i jeszcze jeden. Nie widziała nic oprócz piasku. Wtedy pierwszy raz poczuła rozpacz. Miała wrażenie, że jest pusta w środku i została z niej tylko wydrążona skorupa. Wiedziała, że umrze wśród tych wydm – że prawdopodobnie ich wszystkich czeka tam śmierć.

Ciszę przerwał dziwny dźwięk. To Khalid zaczął śpiewać. Ubaid i Kamal podjęli jego pieśń, a potem usłyszała też głos Fatiha. Melodia wydała jej się dziwnie znajoma, ale słowa składały się z sylab i odgłosów, które nie do końca do siebie pasowały. Nie brzmiały jak w języku arabskim, lecz Maude nie rozpoznawała w nich również angielskiego. Nagle dotarło do niej, że Beduini próbują zaśpiewać *Cudowną Bożą łaskę*. Zacisnęła na chwilę powieki, nie mogąc sobie poradzić z natłokiem uczuć. Ten hymn i gest towarzyszy poruszyły ją do głębi. Włączyła się do ich śpiewu cichym, cienkim głosem, ale musiała przerwać, żeby uspokoić oddech.

Podniosła się, choć każdy mięsień drżał jej z wysiłku, a Khalid nagrodził ją uśmiechem.

– Shahin jest gotowa do drogi – oznajmił pozostałym.

Wszyscy wstali i otrzepali się z piasku.

– Ten odcinek był najtrudniejszy – zapewnił Maude Sayyid. – Potrafię znaleźć lepszą drogę przez inne łańcuchy, proszę się nie obawiać, Shahin. Będzie ciężka i długa, ale mniej stroma. – Mówił kojącym tonem, a Maude zrozumiała, że jej wytrwałość przerosła jego oczekiwania: nie spodziewał się, że zajdzie tak daleko. Wyprostowała ramiona tak mocno, jak tylko zdołała, i skinęła głową, bo nie mogła wykrztusić ani słowa.

Ulęgę ze schodzenia łagodniejszą, nawietrzną stroną wydmy rozwiewał widok kolejnych wzniesień do pokonania. Sayyid dotrzymał jednak słowa i zamiast zboczami, prowadził ich krętą trasą przez grzbiety barchanów.

Wspinaczka była wyczerpująca i zdawała się wysysać z nich resztki energii, ale przed zachodem słońca znaleźli się już za drugim łańcuchem wysokich wydm i rozbili obóz u ich podnóża, gdzie przystanęli, zbyt zmęczeni, żeby iść dalej. W pobliżu znajdował się wielki krater, który musiał mieć przynajmniej trzydzieści metrów szerokości i dwadzieścia głębokości. Jego ściany były niemal pionowe. Maude nie umiała sobie nawet wyobrazić, jakie kaprysy wiatru zdołały wyrzeźbić go w piasku. Zadrżała na myśl, że mogłaby wpaść do środka. Z tej czeluści nie dałoby się już wydostać. Ułożyła się tak blisko ognia, że gdy próbowała zasnąć, piekły ją powieki. Odwróciła głowę w stronę nieba, ku zimnemu dotykowi nocy i beztrosko migoczącym gwiazdom. Wbiła wzrok w górę i pozwoliła myślom błądzić swobodnie. Uświadomiła sobie z pełną jasnością, że mimo pragnienia i otaczającej ją śmierci, mimo niebezpieczeństwa i strachu nie zamieniłaby tej chwili na żadną inną.

Khalid wydzieliał im wodę tak skąpo, że Maude nie była pewna, czy to wytrzyma. Zastanawiała się, czy nie rozkazać mu, żeby poił ją częściej, ale wiedziała, że nic w ten sposób nie osiągnie. Nie miała już nad nimi władzy – nie była pewna, czy kiedykolwiek ją miała. Tu, na pustyni, tylko Khalid spajał ich grupę. Tylko dzięki niemu wciąż była bezpieczna – o ile w ogóle mogła być bezpieczna na tej szalonej wyprawie, którą sobie wymarzyła.

W połowie następnego dnia trafili na ślady. Sayyid przyglądał się im uważnie, a Fatih przyglądał się uważnie Sayyidowi – chciał zostać równie dobrym tropicielem jak on.

– Czterech ludzi. Zgubili się, mają niewiele ze sobą. Jeden z ich wielbłądów niedługo padnie, drugi jest coraz słabszy – stwierdził starzec.

– Skąd wiesz, że się zgubili? – chciała wiedzieć Maude.

– Proszę spojrzeć tu. – Sayyid wskazał miejsce, w którym ślady prowadziły na dużą wydnię, a potem na dalszy fragment zbocza, gdzie zawracały. – Zatoczyli koło, szukając przejścia przez ten łańcuch. Zawrócili, pewnie mają nadzieję, że znajdą drogę, którą tu przyszli.

– To bandyci?

– Nie. Podróżnicy. Mają wielbłądy z wybrzeża Batinah, dlatego tak im ciężko. Zwierzęta są w złym stanie.

– Nie powinniśmy pójść tymi śladami, żeby im pomóc? – zapytała Maude. Fatih i Ubaid zaczęli hałaśliwie protestować. Maude spojrzała na Khalida, a on pokręcił głową.

– Pomożemy im, jeśli ich spotkamy. Nie możemy zboczyć ze szlaku na poszukiwania, bo sami zginiemy.

Ruszyli dalej, zacierając ślady nieznanymi własnymi. Maude patrzyła na odciski w piasku, czując litość i echo przerażenia na myśl o zagubionych podróżnikach, z których bez wątpienia zostaną tylko szkielety na wydmach. Przypomniła sobie kruki i bezbronne, niewidzące oczy martwego Beduina. Pomyślała o tym, jak szybko wysycha krew w promieniach pustynnego słońca, i przyszło jej do głowy, że nawet gdyby ci nieszczęśnicy zobaczyli ich z daleka, pewnie byłiby zbyt spragnieni, żeby wezwać pomocy.

Pokonanie wydm zajęło im jeszcze dwa dni. Dwa dni mozolnego marszu, wysiłku, rozpaczliwej wspinaczki i ześlizgiwania się w dół, krzyków na wielbłądy i poganiania ich różgą. Byli zbyt spragnieni, żeby się pocić i żeby ze sobą rozmawiać. Od czasu do czasu serce Maude trzepotało jak uwięziony motyl: czuła w klatce piersiowej lekkie, nieregularne uderzenia, od których kręciło jej się w głowie. W takich chwilach zatrzymywała się i opadała na kolana, klęcząc, dopóki atak nie minął. Raz podniosła się dopiero wtedy, gdy Khalid podszedł do niej, chwycił ją pod pachami i postawił na nogi. Pozwolił jej na kolejny łyk wody – ale tylko jeden. Potem ruszyli dalej. Maude próbowała o niczym nie myśleć. Usiłowała nie zastanawiać się, ile wydm już przeszli i ile im jeszcze zostało. Nie myślała o domu ani o celu wyprawy; nie myślała o braciach ani o ojcu; przez pewien czas nie myślała nawet o Nathanielu. Całą energię poświęcała na to, żeby raz po raz unosić stopy, stawiając kolejne kroki – nie było jej stać na nic więcej. Gdy przystanęli u podnóża niedużego zbocza, w cieniu rzucanym przez wydmę za nimi, Maude na początku nie rozumiała, co się dzieje.

– Przeszliśmy, Shahin – powiedział Sayyid, żeby wywołać w niej jakąś reakcję.

Maude podniosła wzrok. Przed sobą mieli dość niskie i płaskie wzniesienia z twardego bladego piasku – nie widziała już żadnych ogromnych łańcuchów wydm. W oddali lśnił migotliwie horyzont. Maude z trudem przełknęła ślinę.

– Jesteśmy po drugiej stronie? – wyszeptała.

– Jesteśmy po drugiej stronie – potwierdził Khalid.

– Dziękuję – powiedziała do Sayyida, a potem zerknęła na resztę. – Wszystkim wam jestem wdzięczna – dodała i opadła na piasek.

Tej nocy zarżnęli wielbłądzącę bandytów. Odeszła bez walki, osuwając się posłuszenie na ziemię, a reszta stojących niedaleko wielbłądów napięła pęta, czując zapach jej krwi. Beduini pokroili większość mięsa w paski i przywiązali je do wiklinowej ramy do wyschnięcia, ale Fatih poświęcił też część cennego zapasu wody, żeby przyrządzić potrawkę. Pod tą nazwą kryło się tylko gotowane mięso i wątróbka z solą, ale gdy zanurzyli w garnku podpłomyki, poczuli się jak na prawdziwej uczcie.

– Do studni został już tylko jeden dzień jazdy. Umiałbym ją znaleźć nawet z zamkniętymi oczami – wyjaśnił Sayyid Khalidowi, któremu nie podobało się tak ekstrawaganckie rozporządzenie wodą.

Maude tak się najadła, że napięła jej się skóra na brzuchu. Ostatnie cenne chwile przed snem spędziła na uzupełnianiu swojej mapy, nanosząc na nią wszystkie szczegóły, które zdołała zapamiętać.

– Shahin, czy inni biali ludzie będą używać pani mapy? – zapytał ją Ubaid. Blask ognia nikł w zagłębieniach pod kośćmi policzkowymi młodego Beduina, a jego zewnętrzne kąciaki oczu były lekko uniesione; miał twarz dzikiego kota. – Przyjadą na pustynię, żeby iść tym szlakiem?

– To mało prawdopodobne – odpowiedziała z uśmiechem. – Większość białych ludzi nigdy nawet nie słyszała o Omanie, więc nie planują się tu wybrać. I chwała Bogu.

– Więc po co ją pani rysuje?

– Żebym nigdy tego nie zapomniała. Żebym mogła pokazać światu, gdzie dotarłam i co osiągnęłam.

– Wydmy się przesuwały, poruszane dłonią Boga. Drzewa umierają. Studnie wysychają. Może spaść deszcz, po którym zakwitną kwiaty, a piasek się zazieleni.

– Tak, wiem o tym. To obraz pewnej chwili. Tej chwili. Rozumiesz? – spytała, a Ubaid wzruszył ramionami i pozwolił jej pracować dalej.

Rano znów natknęli się na ślady nieznanomych. Sayyid spojrzał na nie i ściągnął brwi.

– Zostawili jednego ze swoich na wydmach – orzekł. – Poruszają się wolno, pragnienie pomieszało im w głowach. Nie potrafią już iść prosto przed siebie.

– Niedługo umrą – podsumował Fatih obojętnym tonem.

– Czy są blisko nas? – zapytała Maude.

Sayyid skinął głową.

– Te ślady zostawili nocą. Nie zatrzymali się na odpoczynek. Nie mogli ująć daleko.

– W takim razie, skoro jesteśmy blisko studni, mamy pełne brzuchy i możemy się podzielić odrobiną wody po przekroczeniu wydm... chyba nie zaszkodzi, jeśli zboczymy trochę z drogi, żeby ich poszukać? – zaproponowała. Z milczenia mężczyzn biła niechęć do tego pomysłu. – Postawcie się na ich miejscu. Znacie różnicę między dobrem a złem.

– Bóg jest łaskawy – zgodził się z nią Khalid. – Shahin ma rację. Będziemy tropić tych ludzi przez pół dnia. Jeśli nie trafimy na nich w tym czasie, pójdziemy dalej, powierzając ich Bożej opiece. – Spojrzał na Maude, żeby sprawdzić, czy na to przystanie, a ona skinęła głową.

Fatih szarpnął niecierpliwie kantar swojej wielbłądzicy, prowadząc ją wzdłuż śladów na piasku, a pozostali też zawrócili i ruszyli za nim. Słońce jarzyło się na niebie, a piasek był blady i jasny. Maude przystanąła, żeby obrysować sobie powieki kajalem przed dalszą drogą.

Minęła zaledwie godzina, gdy zobaczyli przed sobą zagubionych

podróżników. Cztery wychudłe wielbłądy siedziały apatycznie na piasku, a ich trzech jeźdźcy odpoczywali w nienickającym cieniu wydmy. Jeden z nich siedział, a dwaj pozostali leżeli wyczerpani na ziemi. Wokół rozrzucony był ich dobytek, jakby przez chwilę próbowali bez przekonania rozbić obóz: koce, garnek, zwiotczały bukłak, karabiny i pasy z amunicją. Siedzący mężczyzna zauważył ich, dopiero kiedy stanęli tuż przed nim. Sięgnął dłonią przed siebie, wziął garść piasku i podrzucił go w powietrze na znak pokojowych zamiarów. Jego ruchy były ospałe i niezdarne.

– Pokój z tobą! – zawołał Khalid, gdy nieznajomy spróbował sięgnąć po karabin. – Przynosimy pomoc, jeśli jej potrzebujecie.

– Niech Bóg okaże nam litość! Umieramy, nie mamy wody – wychrypiął mężczyzna z obłędem w oczach. Szczęka zwisała mu luźno, a jego twarz wykrzywił strach.

– Pochodzi z północy. Bądźcie ostrożni – ostrzegł ich cicho Khalid, gdy podchodzili bliżej. – Z pragnienia można oszaleć.

Zatrzymał się przy siedzącym mężczyźnie i zaczął go pić niewielkimi porcjami wody. Sayyid i Ubaid podeszli do pierwszego z leżących, a Fatih i Kamal do drugiego, który przyciągnął też wzrok Maude. Był znacznie wyższy od pozostałych. Wyteżyła oczy. Jej umysł pracował powoli, rejestrując szczegóły, których nie spodziewała się zobaczyć. Nie mogła uwierzyć, że je widzi.

Stanęła obok Fatiha i wbiła wzrok w leżącego mężczyznę. Wstrzymała oddech. Patrzyła na jego lisią twarz, ciemne włosy i ciemny zarost. Ubrany był po arabsku, ale schodziła mu skóra i miał błyszczącą cerę białego człowieka z poparzeniem słonecznym. Ugięły się pod nią nogi, a w głowie miała zupełny mętlik. Złapała mężczyznę za rękę i pociągnęła ją gorączkowo, bojąc się, że już zmarł.

– To niemożliwe – szepnęła.

Fatih spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Co się stało, Shahin? – zapytał.

Maude szarpała leżącego za ramię, dopóki nie odwrócił lekko głowy i nie rozchylił minimalnie powiek, a wtedy zatrzęsa się z ulgi. Z ust wyrwał jej się stłumiony okrzyk:

– Nathaniel?!

Nizwa i Maskat, grudzień 1958

Gdy w końcu zeszli z góry, Joan nie była w stanie ocenić, ile czasu im to zajęło. Jej myśli zostały daleko w tyle, w zalanym wadi, gdzie walczyli – może nawet umierali – trzech mężczyźni, którzy byli dla niej ważni, a ten najważniejszy mierzył się z największym niebezpieczeństwem. Wyłoniła się spomiędzy stromych skał na niższym pogórzu od południa i Walter Cox zaprowadził ją na posterunek askarysów w starej okrągłej wieży zwieńczonej anteną radiową.

Na nizinie nie padało; ziemia była sucha, chociaż niespokojny wiatr gonił chmury po stalowoszarym niebie. Joan czuła się otępiała ze zmęczenia. Pamiętała, jak Salim rozmawiał z askarysami, i wiedziała, że nie są godni zaufania, ale nie miała pojęcia, komu o tym powiedzieć i jak to zrobić. Gdyby na nich doniosła, musiałaby wyjawić, gdzie była – i z kim. Do wieży wpuścił ich przysadzisty mężczyzna z rozbieganym spojrzeniem i krótkim nosem osadzonym w głębi twarzy. Zmierzył Joan wzrokiem z wyraźnym zainteresowaniem, a ona zorientowała się, że zostawiła na górze maskę i zasłonę. Bez nich czuła się naga. Zaprowadził przybyszów do małego, dusznego pokoiku cuchnącego potem niemytych ludzi. Z otwartej kłapy w drewnianym suficie zwisała drabinka sznurowa; na górze rozległ się odgłos kroków, a po chwili w otworze pojawiła się zaciekawiona twarz, odwrócona do góry nogami.

Walterowi trudno było dogadać się z askarysami – oni znali kilka słów w łamanej angielszczyźnie, a jego arabski też pozostawiał wiele do życzenia. Ostatecznie pozwolili mu jednak skorzystać ze swojego radia, żeby mógł skontaktować się z bazą wojskową w Nizwie.

– To nie potrwa długo – zapewnił Joan. – Przyślą tu dzipa z bazy. Będzie za jakąś godzinę.

– Dziękuję, kapralu Cox – odpowiedziała. – Dziękuję, że pan ze mną zszedł. Wiem, że wolałby pan być na górze ze swoimi... towarzyszami broni – dokończyła, nie mając pewności, czy użyła właściwego określenia.

– Owszem. Wolałbym.

– Zmarnowałam panu czas. Sprawiałam tylko kłopot – dodała.

Walter patrzył na nią obojętnie, ale po chwili nie wytrzymał.

– Nie mam pojęcia, jak pani się tam dostała ani co pani chciała na tym ugrać. Ale gdyby pani nie zeszła, żeby nam powiedzieć o chłopakach w wadi, na pewno byłiby teraz w gorszej sytuacji. Miejmy nadzieję, że pułkownik weźmie to pod uwagę i potraktuje panią łagodnie. Chociaż na pani miejscu nie liczyłbym na to.

Gdy usłyszeli warkot silnika dżipa, Walter skinął na nią głową. Wstali, a Joan skrzywiła się, czując sztywność stawów i mięśni. Marzyła o tym, żeby się położyć i zasnąć. Zastanawiała się, ile upłynie czasu, zanim to będzie możliwe. Wychodząc z wieży, przygotowała się na najgorsze, ale niepotrzebnie, bo za kółkiem nie siedział, rzecz jasna, pułkownik Singer, tylko omański żołnierz, którego nigdy wcześniej nie widziała, ubrany w zmięte drelichy. W ustach trzymał goździk, a zapach przyprawy unosił się wokół niego, gdy patrzył, jak Joan ściąga z siebie przemoczoną abaję i zwija materiał w dłoniach. Jej spodnie i koszula były równie mokre. Na podłodze dżipa leżało mnóstwo worków z piaskiem.

– Możemy trafić na minę lądową – wyjaśnił Walter, gdy Joan potknęła się o nie, wsiadając do samochodu. – Worki z piaskiem rzadko pomagają, ale są lepsze niż nic.

– Przecież askarysi mieli nie dopuszczać do minowania dróg – powiedziała ostrożnie Joan.

Walter przytaknął.

– Mieli, ale połowa z nich jest w zмовie z Talibem i ibn Himjarem – wyjaśnił, a Joan kiwnęła głową.

Ulżyło jej, że już o tym wiedzą.

Ruszyli z rykiem, wyrzucając żwir spod kół. W porównaniu z wolnym, spokojnym życiem na górze, hałas i samochodu wydały się Joan nierozważne. Patrzyła na rozmazany krajobraz, wiedząc, że z każdą chwilą coraz bardziej oddala się od swojego brata, a potem zamknęła oczy, bo rozboleła ją głowa. Pomodliła się w duszy o to, by Charlie zdążył uratować Daniela, chociaż nie była do końca pewna, do kogo się zwraca z tym błaganiami.

Obóz wojskowy w Nizwie znajdował się poza granicami starożytnego miasta. Patrząc z poziomu ziemi na jego mury, pałace i ogromną twierdzę, które podziwiała z powietrza w czasie poprzedniej niedozwolonej podróży, Joan miała wrażenie, że wraca na znajomy teren, ale ogarnęły ją też wyrzuty sumienia. Pragnienie, by odwiedzić zakazane miejsca, wydawało jej się teraz dziecinne w obliczu tego, z czym musiał mierzyć się Daniel. W obliczu tego, co mogło się wydarzyć. Cała satysfakcja, jaką czerpała wcześniej ze swoich przygód, rozwiała się bez śladu. Przestała myśleć, że ma jakikolwiek powód do przechwałek, nawet przed samą sobą. Na prośbę Waltera jeep zawiózł ich prosto do namiotu, w którym mieściła się kwatery sztabowa pułkownika Singera. Gdy wysiadali, kapral spojrzał na Joan przez zmrużone powieki.

– Może lepiej, żeby chwilę tu pani zaczekała. Spróbuję... odpowiednio przedstawić sytuację – powiedział.

Joan skinęła głową bez słowa. Perspektywa spotkania z pułkownikiem budziła w niej potężny niepokój i niemały wstyd, ale nie czuła strachu. Bała się tylko o Daniela, uwięzionego na górze – nawet niewielkie, choć realne ryzyko, że zostanie lokatorką Al-Dżalali, nie mogło się równać z przerażeniem, jakie czuła na myśl o bracie. Nie miała gdzie usiąść, więc z rękoma wciśniętymi do kieszeni przestępowała z jednej drżącej nogi na drugą przed wejściem do namiotu.

Nim Walter wrócił, minęło ponad pół godziny, a do tego czasu Joan zaczęło się kręcić w głowie. Kapral dostrzegł jej bladość i obojętność na jego twarzy zastąpił wyraz troski.

– Wygląda pani na wykończoną – mruknął. – Przepraszam. Zapomniałem, że nie jest pani do tego wszystkiego przyzwyczajona.

– Czy coś już wiadomo? – zapytała.

Walter pokręcił głową.

– Proszę wejść, pułkownik Singer chce zamienić z panią parę słów. Przyślę tu kogoś z gorącą herbatą i jedzeniem i zapytam kwatermistrza o namiot, z którego mogłaby pani skorzystać – rzucił i zniknął, nim miała szansę mu odpowiedzieć.

Weszła do sztabu pułkownika Singera chwiejnym krokiem i nagle przypomniała sobie, jak została wezwana do dyrektorki szkoły za oblanie farbą dziewczyny, która pociągnęła ją za włosy – pamiętała swój strach i zdumienie, że okazała niesubordynację. Przez całe życie bała się łamać zasady, a teraz odkryła, że nie ma się czego obawiać, bo dopiero w takich chwilach czuje, że żyje. Mrugnęła kilka razy, żeby przyzwyczaić oczy do panującego w namiocie półmroku, i dostrzegła pułkownika za długim biurkiem zarzuconym dokumentami. Na jednym końcu blatu stało radio, przed którym siedział operator w słuchawkach. Był tak skupiony, że gdy Joan weszła do namiotu, nie podniósł nawet wzroku – w odróżnieniu od pułkownika Singera.

Dowódca wpatrywał się w nią bacznie przez dłuższą chwilę. Niebieskie oczy mężczyzny nie zdradzały żadnych uczuć. Były skupione, spokojne, czujne. Twarz miał zupełnie nieruchomą.

– Proszę usiąść, panno Seabrook – odezwał się w końcu. – Z tego co zrozumiałem, nie próżnowała pani ostatnimi czasy.

– Dziękuję – odpowiedziała Joan, opadając z ulgą na płócienne krzesło.

– No dobrze. Czy mogłaby mi pani wytłumaczyć, jak się pani znalazła na Al-Dżabal al-Achdar i skąd pani знаła pozycję swojego brata? Przypuszczam, że kontaktowaliście się w jakiś sposób.

– O nie, nic w tym rodzaju. Trafiłam na nich przypadkowo.

– Przekładkowo trafiła pani na sekcję swojego brata na ogromnej górze opanowanej przez buntowników?

– Tak. W końcu... niewiele jest dróg, którymi można się przedostać przez zewnętrzne skarpy.

– Ach tak. A jak pani wyjaśni, co pani w ogóle robiła na tej górze? Robert Gibson szaleje z niepokoju, a pani narzeczonego też na pewno zainteresuje, że się pani odnalazła.

– Po prostu... potrzebowałam... Miałam pewne problemy z moim... narzeczonym. Musiałam od tego odpocząć.

– Więc wyruszyła pani sama na terytorium wroga, chociaż to kategorycznie zabronione. Chociaż to kompletna głupota.

– Tak.

– Bzdura. Przykro mi, ale nie wierzę w to.

– Czy miał pan już jakieś wiadomości o żołnierzach na górze? Czy Charliemu udało się sprowadzić na dół oddział mojego brata? Błagam, muszę to wiedzieć.

Steward w białym fartuchu wniósł tacę z chlebem, owocami i herbatą do namiotu i postawił ją na biurku przed Joan. Natychmiast wyciągnęła rękę po jedzenie, ale Singer przysunął tacę do siebie tak, że nie mogła jej dosięgnąć.

– Nie tak szybko. Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać – oświadczył, a Joan trochę lepiej zrozumiała swoje położenie. Przełknęła ślinę.

– Czy mogę chociaż napić się wody? – zapytała cicho.

Pułkownik napełnił szklankę z dzbanka, który stał obok niego, i popchnął ją w stronę Joan.

– Zniknęła pani na dwa i pół tygodnia. Gdy panią odnaleziono, schodziła pani z góry w stroju Arabki trasą, która mijała oddziały buntowników i sekcję pani brata. Proszę to wytłumaczyć – zażądał, wbijając w nią wzrok.

Joan upiła łyk wody i zdała sobie sprawę, że to ponad jej siły. Nie potrafiła wymyślić żadnej przekonującej historii, a prawda musiała pozostać tajemnicą. Nie mogła się przyznać do znajomości z Salimem, nie wzbudzając podejrzeń pułkownika. Zacząłby się zastanawiać, jak ją nawiązała, a wtedy ktoś na pewno przypomniałby sobie kobietę z zasłoniętą twarzą, która odwiedzała go

w Al-Dżalali. Milczała, dopóki cisza nie stała się napięta i nieprzyjemna.

– Słyszałem, że mocno zaprzyjaźniła się pani z Maude Vickery – rzucił pułkownik Singer.

– Tak mi się wydawało. Dopóki... – Joan przypomniała sobie chłód Maude po ucieczce Salima i wyprostowała się na krześle. – A co tu ma do rzeczy Maude? – zapytała, zamiast dokończyć poprzednią myśl.

– Wiemy, że popiera walkę imama o władzę nad interiozem. Sułtan Sa'id od dawna podejrzewał o to pannę Vickery. Żyła w górach wiele lat, zanim zaprosił ją do Maskatu, co zrobił głównie po to, żeby mieć na nią oko i nie dopuścić, by dalej szczerze zasilala skarbiec Imama Ghaliba.

– Nic o tym nie wiedziałam. – Joan urwała, bo przed oczami stanęli jej nieznamomi mężczyźni, którzy odwiedzali dom Maude w ciągu minionych tygodni, często opuszczając go z ciężkimi torbami i paczkami. – Sądziłam, że jest w dobrych relacjach z sułtanem Sa'idem, tak jak z jego poprzednikami – powiedziała.

– Zapewne była. Albo tylko udawała.

– Nadal nie rozumiem, co miałoby łączyć Maude Vickery z moim pobytem na górze.

– Ja też tego nie rozumiem. Na razie. Mam jednak nadzieję, że z czasem się to wyjaśni – rzekł Singer.

Znów zapadła cisza. Pułkownik pochylił się do przodu na łokciach i zabębnił w biurko kciukami.

– Istnieją pewne zasady, panno Seabrook. To nie Anglia. Nie może pani chodzić, gdzie się pani żywnie podoba, i myśleć, że obędzie się bez żadnych konsekwencji. – Przyszpilił Joan spojrzeniem. Poczula ciężar jego podejrzeń i znów rozboleła ją głowa. Zrobiło jej się niedobrze z głodu.

– Panie pułkowniku, jestem bardzo zmęczona – powiedziała cicho. – Błagam, niech mi pan powie, czy Daniel jest bezpieczny? – Singer rozmyślał nad czymś przez chwilę, a później przesunął tacę z jedzeniem w jej kierunku.

– Wyjaśnię tę sprawę, panno Seabrook, tego może być pani pewna. Nic

jeszcze nie wiemy o oddziale na górze. To jakieś cholerne bagno. Planujemy ataki z zaskoczenia, ale te gnojki zawsze skądś wiedzą, kiedy i którądy spróbujemy ich podejść.

– Od poganiaczy mułów – wyrwało się Joan, nim zdążyła ugryźć się w język. Singer spiorunował ją wzrokiem.

– Doprawdy? Podejrzewałem ich. Proszę się napić herbaty, panno Seabrook. Potem może pani trochę odpocząć. Tylko niech się pani stąd nigdzie nie rusza. Czy wyraziłem się jasno? Poślę po panią kogoś, jeśli się czegoś dowiemy.

Młody żołnierz zaprowadził Joan do namiotu oficerskiego, który sprawiał wrażenie opuszczonego w pośpiechu. Na łóżku leżała poduszka i koc bez pościeli, a płócienne krzesło z metalową ramą stało odsunięte od biurka, jakby ktoś przed chwilą z niego wstał. Joan usiadła na nim z tacą, ale mimo ogromnego głodu czuła się niemal zbyt zmęczona i zaprzątnięta myślami, żeby jeść. Przyszło jej do głowy, że mogła to być kwatery Daniela, i uderzyło ją, że nie było wiadomo, czy jeszcze do niej wróci. Kładąc się na łóżku, przypomniała sobie pocałunek, który zobaczyła w jego namiocie w Bait al-Faladż. Zastanawiała się, czy w tej sytuacji Rory bałby się o Daniela tak samo jak ona. Zastanawiała się, czy kochali się równie mocno, jak ona kochała kiedyś Rory'ego, jak wciąż kochała Daniela, czy może była to zupełnie inna miłość. Nie potrafiła tego rozstrzygnąć. W głowie miała mętlik myśli i obaw, ale kiedy się położyła, natychmiast zapadła w głęboki sen.

Ocknęła się zdezorientowana. Na zewnątrz było całkiem jasno. Nie miała pojęcia, która godzina ani nawet jaki to dzień. Obudziło ją światło – oślepiający blask słońca, który wpadł do namiotu przez uniesioną połę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ktoś musiał wejść do środka. Walcząc z sennością, usiadła na łóżku, a wtedy materac ugiał się pod ciężarem drugiej osoby i Joan zaparło dech w piersiach. To był Daniel. Twarz miał brudną i posiniaczoną, ale w kącikach ust czaił mu się kpiący uśmiešek. Joan zalała falą ulgi. Objęła go bez słowa i przycisnęła mocno do siebie. Minęła dłuższa chwila, nim zdołała się odezwać.

– Tak się o ciebie bałam, Dan – powiedziała wreszcie stłumionym głosem z twarzą wciśniętą w jego ramię. – Dlaczego musisz służyć w wojsku? Mogłeś wybrać każdy inny zawód na świecie!

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie – rzucił Daniel. – Ty to masz tupet. Wypominasz mi, że się o mnie bałaś. A jak sądzisz, co poczułem, kiedy usłyszałem, że zaginęłaś? I że weszłaś na górę? Joan, co ty tam robiłaś, do cholery?

– Ja... – Joan odsunęła się od niego, ale zostawiła dłonie na jego przedramionach, jakby inaczej mógł rozplynać się w powietrzu. – Po prostu wiedziałam, że mi się uda, więc to zrobiłam. Nie mogę tego lepiej wytłumaczyć. Nie teraz. Myślę... och, myślę, że gdybym ci wszystko wyjaśniła, byłbyś na mnie wściekły.

– I tak jestem na ciebie wściekły – stwierdził, ale znów się uśmiechnął. – A przynajmniej próbuję. Ale słyszałem, że wysłałaś po nas ekipę ratunkową, bez której mielibyśmy poważne kłopoty. Więc chyba nie powinienem mieć ci tego za złe, prawda? – Wziął głęboki oddech. – Chociaż mimo wszystko mam. Jak mogłaś postąpić tak głupio, Joan? I tak lekkomyślnie? Co ci strzeliło do głowy, do diabła?

Joan spojrzała na swoje brudne, połamane paznokcie. Znów miała wkroczyć na nieznane terytorium i narazić się na niebezpieczeństwo, choć tym razem inne. Kiedy podniosła wzrok, napotkała oczy Daniela, a miłość i zaufanie, które w nich zobaczyła, dodały jej odwagi.

– Uciekałam. Uciekałam przed Rorym i naszymi zaręczynami. Przed powrotem do domu, do życia, które znów będzie wyglądać tak samo – wyznała cicho.

Słyszając imię jej narzeczonego, Daniel zeszywniał. Joan wpatrywała się w twarz brata, na której pojawiła się skrywana podejrzliwość.

– Dlaczego? – zapytał. – Pokłóciliście się? – Jego słowa zabrzmiały pusto i nieszczerze, a Joan wiedziała, że oboje to usłyszeli.

– Od jakiegoś czasu zastanawiałam się, dlaczego nasze narzeczeństwo trwa

tak długo. Dlaczego nie mogę go namówić na ustalenie daty ślubu. Martwiłam się, że tak naprawdę nie chce się ze mną ożenić. A teraz... – przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle ze zdenerwowania. – Teraz już wszystko rozumiem. – Urwała, ale Daniel nic nie powiedział. Trwał w absolutnym bezruchu. – Myślę, że... to z twojego powodu, Dan. Myślę, że Rory kocha ciebie, a nie mnie. Myślę, że chciał wziąć ze mną ślub, żeby... żeby zawsze być blisko ciebie. Myślę... – tym razem umilkła, bo Daniel podniósł się gwałtownie i odszedł dwa kroki od łóżka. Stał plecami do niej z rękami założonymi na piersiach. Joan czekała, ale jej brat się nie odezwał. – Nie pomyliłam się, prawda? – zapytała łagodnym głosem. – Nie... nie jestem zła. Tak mi się przynajmniej wydaje. Może powinnam wpaść w furję. O to się pokłóciliście, tak? O nasz ślub. On wcale nie chciał się ze mną ożenić. Prawda?

Zapadła długa, głucha cisza.

– Chciał. Chciał ustalić datę. Ożeniłby się z tobą wiele lat temu, gdybym mu na to pozwolił. Kocha cię, nie możesz w to wątpić. I ja też cię kocham. Obiecał mi, że będzie dla ciebie dobrym mężem, ale jak... jak miałem pozwolić, żeby spotkało cię coś takiego? Jak miałem pozwolić, żebyś w to weszła, nie znając prawdy?

– Pozwoliłeś, żebym się z nim zaręczyła, nie znając prawdy! Pozwoliłeś, żebym go pokochała! – krzyknęła, zaskoczona nagłym ukłuciem cierpienia. Zdała sobie sprawę, że nie jest na niego zła, tylko czuje się zdradzona. Ból był potworny. Oczy Joan wypełniły się łzami, które po chwili pociekły po jej policzkach. – Pozwoliłeś mi zmarnować wiele lat na tę miłość.

– Chciałem ci o wszystkim powiedzieć. Powiedziałbym ci, przysięgam... tylko... – Daniel spuścił głowę. Odwrócił się, ale nie mógł na nią spojrzeć; na jego twarzy malował się żal.

– Kiedy? Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– Niedługo! Nie pozwoliłbym, żebyś za niego wyszła. Nie dopuściłbym do tego. Rory mówił, że to jedyne wyjście, że tak będzie najlepiej, ale to nieprawda. Przekonywał mnie, że skoro nasi rodzice mogli tak żyć, to my też

możemy, rozumiesz? Ale... ale traktował cię jak środek do celu, a ja nie mogłem... nie mogłem tego znieść. Zawsze się mną opiekowałaś i byłaś dla mnie taka dobra. Kocham cię...

– A jego kochasz? – przerwała mu. Łączyły ich dziwne, splątane więzy i nie miała pojęcia, jak się w tym wszystkim odnaleźć.

Daniel zmarszczył brwi; napiął mięśnie, jakby chciał wybiec z namiotu, ale nie mógł ruszyć się z miejsca.

– Tak. Zawsze go kochałem. To takie... trudne. Ludzie tacy jak my nie mają w życiu lekko. Rozumiesz to, Joanie?

– Nic już nie rozumiem – powiedziała, kręcąc głową. – To jedyna rzecz, jakiej jestem teraz pewna. Czy ja... czy ja cię w ogóle znam, Dan? Czy znam Rory'ego? Już nie mam takiej pewności.

– Oczywiście, że mnie znasz! – Daniel uniósł głowę, podszedł znów do łóżka i usiadł na nim, łapiąc ją za rękę. – Spójrz na mnie. Czy stałem się dla ciebie kimś innym? Nie jestem już twoim bratem? – W jego głosie było tyle strachu i rozpacz, że Joan nie mogła tego wytrzymać.

– Oczywiście, że jesteś moim bratem – zapewniła głosem schrypniętym od łez. – Nie może być inaczej!

Siedzieli przytuleni, dopóki łzy Joan nie wyschły, a Daniel nie przestał się trząść. Kiedy wypuścił ją z objęć, naciągnął mankiet na dłoń i wytarł nim twarz siostry.

– Wyglądasz paskudnie, kiedy płaczesz – ocenił, a ona parsknęła śmiechem.

– Jaki uroczy komplement.

– Poradzimy sobie z tym, Joanie, obiecuję. Kiedy znów się spotkamy w trójkę w Maskacie albo gdzieś indziej, wyjaśnimy to raz na zawsze. Koniec z tajemnicami i udawaniem, przynajmniej między nami. Wszystko będzie dobrze, nikt nie będzie już cierpieć. Prawda?

Wyraźnie potrzebował od niej potwierdzenia, ale Joan nie umiała mu go dać. Wiedziała tylko, że nadchodzą zmiany, i że sama skrywa kilka tajemnic.

– Pomachałam do ciebie ze szczytu góry – powiedziała zamiast tego.

– Co? Weszłaś na płaskowyż? – zapytał z niedowierzaniem, a ona skinęła głową.

– Opowiem ci o tym, kiedy wojna się skończy. Teraz nie mogę. Dałam słowo.

– Komu? – chciał wiedzieć Daniel, ale Joan posłała mu tylko przepaszające spojrzenie. – Słuchaj, Joan, jeśli wiesz coś jeszcze... Musisz mi powiedzieć. Wczoraj straciłem na tamtym zboczu trzech kolegów; gdybyś nie przysłała do nas Elliota, mogliby nas powystrzelać co do jednego. Ale nie wszyscy zeszli do bazy. Sytuacja jest wciąż... bardzo zła. Więc proszę, powiedz, jeśli możesz nam jeszcze jakoś pomóc.

– Kto nie zszedł do bazy? Dlaczego sytuacja jest zła?

Daniel odwrócił wzrok, ściskając grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Widziała, że nie wie, ile może jej zdradzić.

– Kiedy Elliot i jego ludzie wydostali nas spod ostrzału snajperów, znaleźli jar, nową drogę na szczyt, której od dawna szukaliśmy. Charlie poszedł na rekonesans z kilkoma naszymi i... od tamtej pory słuch po nich zaginął.

– Co? – Joan przeszył lodowaty dreszcz.

– Długo nie wracali, więc inni ruszyli za nimi wypadek, gdyby mieli kłopoty. Ale ludzie Elliota zniknęli bez śladu. Nie było żadnych ciał, a kilku snajperów oddało strzały ostrzegawcze, żeby nie wpuścić nas do jaru. Dziwna sytuacja... to nie może znaczyć nic dobrego.

– O nie! Och, po co on poszedł wyżej? Myślałam... myślałam, że cię uratuje i wróci na dół! Tak mocno padało... i ta powódź... Myślałam, że zejdziecie wszyscy razem!

– Joan, co jeszcze wiesz? – Daniel chwycił siostrę za ramiona i potrząsnął nią. – Musisz mi powiedzieć! To nie żarty.

– Nic! – Joan zastanawiała się gorączkowo. – Jeśli... jeśli w jarze nie było po nich ani śladu, to nie wiem już nic, co mogłoby wam pomóc. Przepraszam! O Boże, przepraszam!

Daniel wstał i długo wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Na zewnątrz

rozległ się warkot silnika i odgłosy pośpiesznych kroków. Daniel wyrzwał z namiotu, mrużąc oczy na słońcu.

– Coś się stało? – zapytała Joan, podchodząc do niego.

Daniel opuścił połę.

– Nie wiem, ale powinienem iść sprawdzić. Pułkownik odsyła cię do Maskatu. Przyszedłem ci o tym powiedzieć. Samolot, którym masz wrócić, jest już w drodze. Nie wiem, co się z tobą działo, Joanie. – Pokręcił głową. – Ale skoro mówisz, że nie możesz nam pomóc, to muszę ci uwierzyć. Nie mam innego wyjścia.

– Chyba nie... chyba nie wrócisz już na górę? – zapytała bojaźliwie.

– Prawdopodobnie wrócę. W odróżnieniu od ciebie, ja idę tam, gdzie mi każą, Joan – odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. – Tak to działa w armii.

– Nie powinno nas tu w ogóle być. Mówię o Brytyjczykach. To nie nasza walka.

– Cóż, nawet jeśli to prawda, nie ma to większego znaczenia. Moim zadaniem nie jest kwestionowanie polityki rządu, a śmiem twierdzić, że rząd orientuje się w sytuacji trochę lepiej niż ty. Zostań tu. Jeśli dowiem się czegoś więcej, przyjdę ci o tym powiedzieć. A... a resztą zajmiemy się po wojnie. Jakoś to sobie poukładamy. – Pocałował ją w policzek, ścisnął jej ramię i odwrócił się do wyjścia.

– Zaczekaj! – zawołała Joan, łapiąc go za rękaw. Nie mogła znieść, że odchodzi tak szybko, by znów ryzykować życiem. Zacisnęła mocno powieki, usiłując uporządkować rozbiegane myśli, i ostatecznie doszła do wniosku, że musi zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. – Zaczekaj... na szczycie jaru był Salim ibn Shahin.

– Uciekinier z Al-Dżalali? – upewnił się Daniel, a Joan przytaknęła. – Skąd do diabła mogłabyś o tym wiedzieć? – Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami, ale tym razem pokręciła tylko głową.

– Czekał tam z grupą sześciu ludzi. Może... może wzięli Charliego i resztę jako zakładników?

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę, Dan, nie znam odpowiedzi. Nic więcej nie wiem.

Daniel mierzył ją surowym spojrzeniem, w którym dostrzegła podejrzliwość i gniew. Ten widok był dla niej jak cios.

– Czy stałam się dla ciebie kimś innym, Dan? Nie jestem już twoją siostrą? – zapytała.

– Wciąż jesteś moją siostrą – powiedział cicho. – Ale myślę, że mogłaś też stać się kimś innym.

Joan przez jakiś czas czekała na powrót Daniela, ale gdy z pół godziny zrobiła się godzina, zaczęła się niecierpliwić. Chciała go jeszcze zobaczyć przed odlotem, a w każdej chwili spodziewała się ponownego wezwania do sztabu pułkownika Singera, lecz kiedy wyszła przed namiot na słońce, zobaczyła tylko garstkę żołnierzy. Obóz wyglądał na opuszczony. Kilku mężczyzn jadło lunch w kantynie, ale szybko uciekła przed ich zaciekawionymi spojrzeniami. Nie spotkała nikogo znajomego, żadnego Brytyjczyka, którego mogłaby poprosić o wyjaśnienia. Gdy wróciła do użyczonego jej namiotu, wychodził z niego właśnie szczupły beludżyjski żołnierz, który uśmiechnął się do niej szeroko, odsłaniając krzywe zęby.

– Dobrze! – oznajmił, kiwając głową. – Pani pójdzie. Proszę. Do samolotu, teraz.

– Zaraz, gdzie wszyscy zniknęli? Muszę porozmawiać z pułkownikiem. Z pułkownikiem Singerem – zaoponowała Joan, ale młody mężczyzna w odpowiedzi kiwnął znów głową.

– Do samolotu, teraz – powtórzył, a Joan nie pozostało nic innego niż pójść za nim.

Wyglądała przez okno samochodu, który wiózł ją na pas startowy za obozem, ale nigdzie nie zobaczyła ani śladu Daniela. Wchodząc po schodach do samolotu, wciąż szukała go wzrokiem. Czuła się mała, nieważna i odrzucona. Usiadła na swoim miejscu i zapięła pas. Miała wrażenie, jakby kopiąc jeden

kamyczek, wywołała lawinę. Teraz musiała poczekać, żeby się przekonać, jak wielkie będą straty. Samolot poderwał się w powietrze, a Joan patrzyła w dół, jakby mogła wyczytać coś z niknącej pod spodem ziemi. Charlie Elliot i jego ludzie byli w rękach Salima. Nie miała co do tego wątpliwości. Nie wiedziała tylko, jak ci dwaj mężczyźni zachowają się w tej sytuacji. I choć bardzo się starała, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak obaj mogliby wyjść z tego żywi.

W Bait al-Faladż czekał na nią Rory. Joan zauważyła go przez chmury brązowego pyłu. Włosy powiewały mu na wietrze, gdy stał obok pasa startowego, po którym kołował samolot. Serce ścisnęło jej się boleśnie. Żałowała, że przyjechał. Na jej widok wzdrygnął się, prostując mocniej plecy, i zaczął entuzjastycznie machać, ale chwilę później zmarszczył brwi i pozwolił, by jego ramię opadło. Joan uśmiechnęła się do siebie. Nie miała pojęcia, jak ją traktować ani jak zareagować na jej powrót. Czuł się równie niepewnie jak ona.

A to wyjaśniało, dlaczego przyjechał do obozu wojskowego – i to w pojedynkę. Chciał, żeby najgorsza część ich spotkania odbyła się bez publiczności. Uścisnęli się krótko, ale mocno. Jego znajomy zapach i kształt wywołał w niej ukłucie żalu, lekki smutek, niczym wspomnienie uczucia. Zdała sobie sprawę, że wszystko już się między nimi zmieniło, chociaż nie odezwała się jeszcze ani słowem. Rory miał pod oczami ciemne sińce; pachniał potem, a jego twarz wyglądała na ociężałą, mniej ruchliwą niż wcześniej. Pocałował ją w czoło i chwycił jej dłoń.

- Potwornie się o ciebie martwiłem, Joan – powiedział.
- Przykro mi. Nie chciałam tego.
- Nie będę pytał, gdzie byłaś. Ani... z kim. Najważniejsze, że bezpiecznie wróciłaś.
- Widziałam się z Danem. Nic mu nie grozi... przynajmniej w tym momencie.
- To dobrze. To dobrze, cieszę się. – Rory przełknął mocno ślinę, a Joan czekała, aż jego zdrada dotrze do niej w pełni.

Sądziła, że wstrząśnie nią ból i oburzenie, ale jeśli kiedyś nosiła w sobie te emocje, to najwyraźniej zniknęły wraz z osobą, którą była wcześniej – rozwiały się na wietrze na szczycie góry, rozplynęły w czystych wodach Misfatu albo ucichły pod miarowym rytmem wspinaczki wśród starożytnych skał Al-Dżabal al-Achdar. Rory nie miał okazji uwolnić się od swoich uczuć; nie umiała odgadnąć jego myśli, ale widziała, że cierpi, więc ścisnęła jego dłoń.

– Wszystko będzie dobrze, Rory – powiedziała łagodnym tonem, a on spojrzał na nią spod przymrużonych powiek, jakby zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

Joan odwróciła się, żeby popatrzeć na uśpioną bryłę gór. Znowu wydawały się odległe, zamglone, nie do pokonania. Mimo to wciąż czuła je pod stopami; wciąż miała przed oczami widok rozciągający się ze szczytu aż po horyzont. W milczeniu wsiedli do czekającego na nich samochodu, który wtoczył się na dziesięciokilometrową drogę zwirową dzielącą ich od Maskatu. Morze w dole skrzyło się jadeitową zielenią i srebrem. Joan spojrzała na swój pierścionek zaręczynowy. Do oprawy dostał się piach, który zmatowił topaz i diamenciki. Pocierała go o swoją koszulę, dopóki nie zaczął wyglądać trochę lepiej, a potem zsunęła go z palca i oddała Rory'emu. Pierścionek zostawił jasny ślad na jej opalonym, brudnym palcu.

Rory otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał się odezwać. Siedział z zaciśniętym w dłoni pierścionkiem, a w oczach lśniły mu niewylane łzy.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła Joan.

– Niby jak? – zapytał Rory, biorąc długi, urywany oddech.

Pokręcił głową i wyjrzał przez okno, skulony z rozpacz.

– Znajdziesz jakiś sposób – odpowiedziała.

Nagle przypomniała sobie uwagę Daniela, która wcześniej umknęła jej w ferworze dyskusji. „Nasi rodzice mogli tak żyć”. Poraził ją sens tych słów – poczuła fizyczny wstrząs, który rozszedł się dreszczem wzdłuż jej kręgosłupa.

W Rezydencji Robert ścisnął ją tak długo, aż zabrakło jej oddechu, a potem pokręcił głową z niedowierzaniem i smutkiem.

– Na Boga, co się z tobą dzieje, Joan?! – zawołał.

– Nieważne! Spójrz tylko na to biedactwo! – Marian stanęła obok niej i wzięła ją za ramię. – Jej potrzebna jest kąpiel, podwieczorek i odpoczynek. Później zdążysz ją przesłuchać – stwierdziła stanowczo.

– Dziękuję – odezwała się cicho Joan, gdy szły razem na górę.

Marian zasznurowała wargi.

– Czeka cię sporo wyjaśnień. Uznałam, że przyda ci się chwila spokoju, żeby pozbierać myśli.

– Widzę, że narobiłam trochę zamieszania.

– To mało powiedziane. Pozwól, że coś ci poradzę: nie bagatelizuj tego. Robert nie jest gotowy zbyć tego śmiechem.

– Rozumiem. Ja też nie jestem na to gotowa.

Przed drzwiami do pokoju Joan Marian położyła jej dłonie na ramionach i pocałowała ją w policzek.

– Czy konieczne były aż tak drastyczne środki? Mam na myśli twoje zniknięcie. Ten biedny człowiek musiał się wspiąć na wyżyny mistyfikacji, żeby wieści o twoich wybrykach dotarły jedynie do brytyjskich uszu. Mógł wpakować się w ogromne kłopoty. – Westchnęła, kręcąc głową. – Och, mniejsza o to. Wróciłaś; mam nadzieję, że udało ci się osiągnąć to, co zamierzałaś.

– Udało mi się, Marian – potwierdziła Joan, uświadamiając sobie, że to prawda. – Naprawdę mi się udało.

A potem pomyślała o Charliem Elliocie i Salimie; przypomniała jej się rosnąca wrogość Bilala i trzech żołnierze, którzy zginęli w wadi. Nie umiała już ocenić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy jej odpowiedzialność. Lęk, że Charlie już nigdy nie wróci z tego jaru, rozciągał się przed nią jak przepaść; wiedziała, że jeśli nie będzie ostrożna, wpadnie do środka i zginie bez śladu.

Joan wzięła długą kąpiel. Gdy zanurzyła się w ciepłej wodzie, zalała ją fala

zmęczenia i zapadła w drzemkę. Miała wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu, odkąd ruszyła odnaleźć Salima w ciemnościach za bramą Maskatu; jakby od tamtej chwili minęły całe lata, a nie parę tygodni.

Po wyjściu z wanny zastała w pokoju tacę z podwieczorkiem. Herbata zaparzyła się zbyt mocno i zdążyła już ostygnąć, ale Joan i tak ją wypila, pochłaniając trzy kawałki dołączonego do niej miodownika. Później ubrała się i poszła do gabinetu Roberta. Gdy przed nim usiadła, podniósł wzrok i zmarszczył brwi, ale na jego twarzy nie zauważyła gniewu. Widziała rozczarowanie, ulgę i wycieńczenie. Nadal przypominał jej lwa, wydawał się zbyt potężny na swój fotel i biurko. Pióro niemal nikło w jego dłoni. Siedział zgarbiony w niewygodnej pozycji, jakby znalazł się w świecie o niewłaściwej skali.

– Tak mi przykro, że miałeś przeze mnie tyle problemów, wujku Bobby – powiedziała z głębi serca.

– Wierzę, że ci przykro, Joan. – Nabrał wolno powietrza. – Dzięki Bogu, udało mi się ukryć przed gubernatorem Shahabem, że rozpląnąłaś się w powietrzu. Ale nie rozumiem, dlaczego w ogóle uciekałaś... Po co to zrobiłaś, do diabła? I gdzieś ty się podziewała?

– Weszłam na górę.

– Na górę? Chyba nie mówisz o... Al-Dżabal al-Achdar?

– Tak. Wspięłam się na szczyt. Zatrzymałam się na jakiś czas we wsi Misfat al-Abrijin... – Joan urwała, zastanawiając się, ile mu wyjawić. Postanowiła odpowiedzieć na wszystkie jego pytania najpełniej i najbardziej szczerze, jak to będzie możliwe. Nie obawiała się go; ufała mu bezgranicznie. – Na początku było wspaniale. Spokojnie.

– Spokojnie? – powtórzył z niedowierzaniem Robert. – Jeśli zależało ci na spokoju, to nie mogłaś uciec do Walii? – Wstał i podszedł do okna, splatając dłonie za plecami. Joan czekała na to, co powie dalej. – Tak sobie myślę – zaczął cicho. – Może lepiej, żebym nie był zbyt dociekliwy. Może lepiej, żebym nie wiedział o pewnych sprawach. – Spojrzał na nią przenikliwie przez

ramię. – Nie nosisz swojego pierścionka zaręczynowego.

– Nie noszę. Zaręczyny... zostały zerwane.

– Szkoda. Choć nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło.

Robert długo milczał. Joan chciała wspomnieć o Charliem Elliocie i zapytać, czy coś o nim wiadomo, ale nie miała pojęcia, czy Robert zostałby poinformowany o rozwoju sytuacji, więc ugryzła się w język. Ogarniała ją coraz większa niecierpliwość. Mężczyzna wciąż stał plecami do niej i wyglądał przez okno.

– Wiesz, twój ojciec też kiedyś uciekł – rzucił wreszcie.

– Kiedy? Nic o tym nie słyszałam.

– Mieliśmy wtedy po jedenaście lat. Postanowiliśmy odczekać do północy i wymknąć się ze szkoły. To David wpadł na ten pomysł. Widzisz, inni uczniowie mu dokuczali. Zawsze był bardzo schludny, tryskał radością i energią. Tacy jak on przyciągają uwagę osób, które są mniej zadowolone z życia i mniej życzliwe. Ludzie to bardzo zazdrosne stworzenia, sama rozumiesz. Nie miałem pojęcia, dokąd uciekniemy, ale David stwierdził, że wszystko zaplanował. Poprzedniej nocy zakradliśmy się do kuchni. Wzięliśmy trochę herbatników i dwie pomarańcze, a David schował je do swojej poszewki na poduszkę. – Robert odwrócił się, uśmiechając się do swoich wspomnień.

Podszedł do Joan.

– I co się stało?

– Odmówiłem wstania z łóżka. Kiedy przyszedł po mnie w noc ucieczki, spałem jak suseł. W sali sypialnej było zimno, a na dworze padało. Słyszałem, jak krople deszczu uderzają o szybę. Nie chciałem uciekać. Było mi ciepło i wygodnie, więc nie dałem się przekonać, chociaż wiedziałem, że bardzo go rozczarowuję. Ale twój ojciec i tak uciekł. Sam. Następnego ranka znaleźli go na ławce na dworcu. Siedział przemoczony do suchej nitki, drżąc z zimna. Pieniądze, które dostawał od rodziców na słodycze, nie wystarczyły mu na bilet. – Robert znów się uśmiechnął. – Ale, na Boga, spróbował szczęścia,

choć mógł zostać w swoim ciepłym i wygodnym łóżku. I natychmiast mi wybaczył, że go zawiodłem. Kiedy dyrektor z nim skończył, David prawie nie mógł usiąść, ale od razu mi zapowiedział: „Następnym razem pojedę autobusem”.

Joan zastanawiała się nad tym przez chwilę. Przed oczami stanęła jej wizja chłopca na dworcowej ławce, który nie zamierzał się poddawać. Cieszyła ją każda nowa opowieść o tacie.

– Myślałam, że był szczęśliwy w tej szkole – powiedziała. – Zawsze tak mówił, w końcu tyle oszczędzał, żeby posłać tam Dana, chociaż tak naprawdę nie było nas na to stać. – Zdała sobie sprawę, że myśląc o ojcu w dzieciństwie, wyobraża sobie Daniela: to samo kościste ciało, ten sam niepohamowany zew przygody. – Wiesz, Dan też taki jest – zauważyła. – Zawsze zapuszczał się w zakazane miejsca i szukał przygód.

– Opowiedziałem ci to dlatego, że to ty mi go przypominasz, Joan – wyjaśnił Robert. – Gdyby twój ojciec tu był, chciałby usłyszeć ze szczegółami o wszystkim, co widziałaś i robiłaś. Ale to poważna sprawa. – Pokręcił głową. – Naraziłaś się na wielkie niebezpieczeństwo i przysporzyłaś dużo zmartwień ludziom, którzy cię kochają. A twój rząd mógł się przez ciebie najeść wstydu. Dzięki Bogu udało nam się to zatuszować. Singer potraktował cię łagodnie, bo twoja interwencja pomogła uratować żołnierzy w wadi. David nie umiał chować urazy i ja chyba też nie umiem; nie wobec ciebie i twojego brata. – Poklepał ją po ramieniu swoją ciężką dłonią, uśmiechnął się do niej i opadł znów na swój fotel. – Ale musisz wrócić do domu. Razem z Rorem. Najszybciej, jak to będzie możliwe. Chyba to rozumiesz.

– Tak – wykrztusiła Joan przez zaciśnięte gardło. – Tak, rozumiem.

– Nie wiem, co między wami zaszło, ale na pewno sobie z tym poradzicie. Wierzę w ciebie całym sercem, moja droga, lecz ucieczka rzadko bywa właściwym rozwiązaniem. W ten sposób kupujesz tylko czas, nic więcej.

– To prawda. Ale właśnie tego potrzebowałam: czasu. Chciałam się przekonać, że potrafię być inna. Że umiem zerwać z dawną Joan. Musiałam to

sobie udowodnić.

Zerknęła na Roberta, rozpaczliwie szukając jakiegoś znaku, że ją rozumie.

Mężczyzna znów rozciągnął usta w uśmiechu i pokręcił lekko głową.

– Moje biedactwo. Posłuchaj, z dawną Joan wszystko było w jak najlepszym porządku, a ty nadal nią jesteś. Może tylko poznałaś się trochę lepiej, co wyjdzie ci na dobre.

– Dziękuję, wujku Bobby.

– Do końca pobytu zostaniesz w Maskacie. Bardzo cię o to proszę. Jeśli będziesz chciała przekroczyć bramy miasta, nalegam, żebyś mnie o tym wcześniej powiadomiła.

– Dobrze. Obiecuję.

– W takim razie idź odpocząć. Nie będziemy już do tego wracać.

Joan zastanawiała się, czy nie poszukać Rory'ego, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co chciałaby mu powiedzieć. Najwyraźniej nie potrzebował od niej wyjaśnień, dlaczego zerwała zaręczyny, i nie interesowało go, jak poznała prawdę. Wciąż odruchowo gładziła kciukiem lewej dłoni miejsce, w którym przez ostatnie dwa lata tkwił pierścionek jego babci, zafascynowana miękkością odsłoniętej skóry. Pomyślała na próbę o Anglii: o swojej matce i domu, w którym się wychowała, tak pustym bez Daniela i ich ojca. Nawet posada w Bedford Museum, o której wcześniej tak marzyła, teraz wydała jej się mało istotna.

Próbowała zachować otwarty umysł, ale na myśl o tym wszystkim ogarnęła ją apatia, płynąca głęboko z jej wnętrza. Jeszcze nigdy nie czuła takiego znużenia. Zdała sobie sprawę, że nie zna nawet aktualnej daty, więc weszła do jednego z pustych gabinetów w Rezydencji i spojrzała na kalendarz. Był dwudziesty drugi grudnia. Tak czy inaczej, Olive Seabrook musiała spędzić Boże Narodzenie bez niej i bez Rory'ego. Joan poszła do swojego pokoju i położyła się, ale miała taki mętlik w głowie, że nie mogła zasnąć. Dręczyły ją wątpliwości i strach o Daniela, Charliego i Salima. Długo przewracała się niespokojnie z boku na bok, a sen zmorzył ją dopiero nad ranem.

– Próbowaliśmy cię obudzić, ale nie staraliśmy się zbyt mocno – wyjaśnił Rory, kiedy usiadła spóźniona do śniadania. – Uznaliśmy, że pozwolimy ci odpocząć po tym wszystkim, co przeszłaś.

– Dziękuję. Dobrze mi to zrobiło – powiedziała Joan, myśląc, że Rory nie ma pojęcia, co przeszła. Patrzyła, jak siedzi przygarbiony, unikając jej wzroku, i nagle dotarło do niej, że on mógłby powiedzieć to samo. Różowe kwiaty oleandrów w doniczkach zakołysały się na wietrze. – Czy miałeś jakiś kontakt z mamą, kiedy... kiedy mnie nie było? – zapytała.

Rory skinął głową.

– Nie powiedzieliśmy jej, że uciekłaś. Doszliśmy do wniosku, że poczekamy, aż dowiemy się czegoś konkretnego, żeby się nie martwiła.

– Och, to dobrze. Dzięki Bogu. Cieszę się. – Joan odetchnęła z ulgą. Uświadomiła sobie, że zaciska pięści, więc rozluźniła dłonie.

– Więc przemknęła ci w ogóle przez myśl? – rzucił złośliwie. Joan wbiła w niego wzrok.

– Rory, proszę cię, nie...

– Joan, bądź tak miła i podaj mi masło, dobrze? – przerwała jej Marian. Joan przełknęła gniewną odpowiedź. – Dziękuję. – Kobieta posmarowała grzanekę i podała ją Joan. – Proszę, jedz. Straszliwie schudłaś przez ten czas. Widzę, że macie sporo do omówienia, więc zostawię was samych. Ale, jak zwykła mawiać moja dawna niania, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. – Marian podniosła się, zarzucając na ramiona biały sweter. W porannym powietrzu pojawił się nowy chłód; niebo wydawało się bledsze.

Po jej wyjściu Joan jadła swoją grzanekę w milczeniu, a Rory z zaciśniętą szczęką wpatrywał się w obrus przed sobą.

– Oboje znajdziemy dużo powodów do złości, jeśli damy się ponieść emocjom – zaczęła Joan ostrożnie. – Możliwe, że źle się ostatnio zachowywałam. Nie brałam pod uwagę innych ludzi. Ale... jestem pewna, że sam też miałbyś sobie sporo do zarzucenia, gdybyś się nad tym zastanowił. Więc może lepiej byłoby się... nie kłócić. O żadną z tych spraw. Nie sądzisz,

Rory?

Nie odpowiedział od razu. Podmuch wiatru uniósł krańce obrusa i zwiął Rory'emu loki na czoło.

– Przysłała list. Twoja mama. Przyszedł niedługo po twoim zniknięciu. Nie przyjęli cię do pracy w muzeum.

– Aha – skwitowała Joan. – Co jeszcze napisała? Dobrze się czuje?

Rory podniósł na nią spojrzenie.

– Nie zmartwiło cię to? Sądziłem, że ta praca jest szczytem twoich marzeń?

– Była szczytem moich marzeń. Tak mi się wydaje. – Myślała o tym przez chwilę. – Teraz nie ma już dla mnie takiego znaczenia.

– Będziesz się musiała jakoś utrzymywać bez męża, który by na ciebie łożył – wycedził chłodno Rory. – Chyba że zamierzasz już zawsze mieszkać z Olive?

– Och, daj spokój, Rory, proszę. Zachowujesz się jak dziecko.

– A ty, ty zachowujesz się jak... jak... – Wstał gwałtownie, szorując krzesłem po kafelkach. – Jak ktoś, kogo nawet nie znam.

Odszedł sztywnym krokiem, a Joan patrzyła za nim, zaskoczona swoim opanowaniem.

Później wpatrywała się w fort Al-Dżalali po drugiej stronie zatoki, zastanawiając się, co by się wydarzyło, gdyby nie spełniła prośby Maude i nie odwiedziła Salima. On nie uciekłby z więzienia, a ona nie weszłaby na górę; Charlie Elliot nie zniknąłby bez śladu, ale Daniel mógłby utonąć w wadi. Od chwili, gdy podjęła tę decyzję, wydarzyło się wiele rzeczy, dobrych i złych, ale wbrew najszerszym chęciom nie potrafiła jej żałować. Siedząc sama na tarasie, miała jednak wrażenie, że znalazła się bardzo daleko od nich wszystkich – Salima, Charliego, Daniela i Rory'ego. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka samotna, i chociaż nie było to szczególnie nieprzyjemne ani przerażające, wiedziała, że nie zniosłaby takiego życia. Pierwszy raz od powrotu pomyślała o Maude. Salim nie mógł już nigdy wrócić do Maskatu. Wszystko wskazywało na to, że Maude więcej go nie zobaczy.

Joan wyobraziła sobie drobną staruszkę w pokoju na piętrze zaniedbanego domu, gdzie towarzystwa dotrzymywał jej jedynie Abdullah. Co się teraz stanie ze słynną podróżniczką? Joan przypomniała sobie, ile wysiłku włożyła Maude w przygotowanie ucieczki Salima, i chłód mentorki, gdy misja zakończyła się sukcesem. A potem przypomniała sobie, co zwróciło jej uwagę, kiedy wspinali się z Salimem na Al-Dżabal al-Achdar. Teraz, kiedy Joan rozjaśniło się w głowie, dotarło do niej, co to oznacza. Pomyślała o tym, jak szybko i łatwo rozchodziły się informacje na górze. Wyobraziła sobie Charliego przetrzymywanego przez Salima, i serce zaczęło jej bić szybciej.

Wstała, zostawiła Robertowi wiadomość, że idzie odwiedzić Maude, i natychmiast ruszyła w drogę.

Abdullah wpuścił ją do domu z uśmiechem.

– Sahib wrócił – powiedział. – Pani sądziła, że może zostanie pani na górze i wyjdzie za Salima.

– Nie. – Uśmiech Joan był pełen rezerwy. – Chociaż zapewne nie byłoby to złe życie. Gdyby wojna dobiegła końca.

– Nie spodziewaliśmy się kolejnej wizyty – dodał, gdy skierowała się w stronę schodów.

Joan nie wiedziała, co dokładnie chce przez to powiedzieć. Fotel Maude stał przy jej biurku, a ona pisała coś, nachylona nad kartką. Cynowy pierścień z błękitnym kamieniem, który dotąd spoczywał niezmiennie w piórniku, teraz leżał na papierze obok jej dłoni.

– Dzień dobry, panno Vickery – odezwała się Joan, podchodząc do niej wolno.

Charty perskie chrapnęły. Maude dokończyła zdanie, zaciskając usta, a potem odłożyła pióro i podniosła wzrok. Mrugnęła kilka razy, żeby zobaczyć ją wyraźniej.

– Joan! Znów w Maskacie? Sądziłam, że znikniesz w górach albo na pustyni i nigdy nie wrócisz. Bóg mi świadkiem, ja bym tak zrobiła.

– Zastanawiałam się nad tym.

- Dokąd cię zabrał? Do Tanufu? Do Al Farra’ah?
- Do Misfat al-Abrijin.
- Ach! – Maude odchyliła się na oparcie i splotła dłonie na podołku. – Szczęściara z ciebie. Widziałaś kiedyś piękniejsze miejsce do życia? I mimo to wróciłaś? – Pokręciła głową, jakby była nią rozczarowana.
- Joan wbiła w nią spojrzenie.
- Coś się wydarzyło... – zaczęła, a po milczeniu staruszki poznała, że niewiele z tego, co dzieje się na górze, uchodzi jej uwadze.
- Maude parsknęła lekceważąco.
- No tak. W ogóle nie powinnaś tam była trafić, to nie miejsce dla ciebie. Byłam bardzo zła na Salima, kiedy się dowiedziałam, co zrobił.
- Joan wzięła długi oddech, żeby się uspokoić.
- On... on jest pani synem, prawda, panno Vickery? – Patrząc, jak Salim myje się w faladżu w Tanufie, Joan zdała sobie sprawę, że jego śniadość to tylko opalenizna: skóra była ciemna jedynie w miejscach nieosłoniętych ubraniem. – Powiedział mi, że mieszkańcy Tanufu przyjmują jako nazwisko imię matki. Kiedy szła pani przez pustynię, Beduini nadali pani przydomek „Shahin”, prawda? Salim ibn Shahin to pani syn.
- Maude patrzyła na Joan bez mrugania. Jeśli ten wywód zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie, to nie zdradziła się z tym.
- I cóż z tego? – rzuciła wreszcie.
- Dlaczego mi pani po prostu nie powiedziała? Po co te kłamstwa i maskarady? – zapytała, ale Maude milczała. – Przypuszczam... przypuszczam, że nie mogłaby pani zostać w Maskacie, gdyby pani związek z takim człowiekiem wyszedł na jaw? A pani charty... kiedy się poznałyśmy, powiedziała mi pani, że były prezentem od ibn Himjara. Sulejmana ibn Himjara, Władcy Zielonej Góry. Jednego z dowódców w walce przeciwko sułtanowi Sa’idowi. Tanuf to jego rodzinna wieś.
- I cóż z tego, panno Seabrook?
- Wprowadziła mnie pani w błąd, mówiąc o swojej przyjaźni z sułtanem

i jego poprzednikami. Myślałam, że to prawda, a pani przez cały ten czas wspierała buntowników. Przesyła im pani pieniądze. A pani syn jest jednym z najważniejszych poruczników w wojsku imama.

– Nie mam żadnego wpływu na to, co myślisz, Joan. Szczególnie na tematy, które nie powinny cię interesować.

– Teraz mnie to interesuje, panno Vickery. Mam prawo się tym interesować, bo Salim wziął jako zakładników żołnierzy, którzy trafili w jego ręce przeze mnie.

– Doprawdy? – Maude wychyliła się do przodu tak mocno, że skrzyknął pod nią fotel. – Nie wspominał mi o tym. To tłumaczy, czemu wydajesz się taka zdenerwowana. No cóż, teraz już cię to nie dotyczy. Najlepiej nie zaprzataj sobie tym więcej głowy. W końcu masz do zaplanowania ślub. Czeka na ciebie dawne życie.

Joan oniemiała ze złości. Stała wciąż w milczeniu, szukając odpowiednich słów, gdy Abdullah wniósł do pokoju podwieczorek. Robił to przy niej już dziesięć albo piętnaście razy, ale tego dnia odłożył tacę na stół, stanął przed Maude i spojrzał na nią.

– Ona nie jest naszym wrogiem – rzucił cicho i ruszył do wyjścia.

Maude odprowadziła go gniewnym spojrzeniem.

Joan usiadła na krześle stojącym najbliżej gospodyni, nie czekając na zaproszenie, żeby pokazać, że nie zamierza po prostu odejść.

– Ależ ten człowiek zmiękł na stare lata – mruknęła Maude pod nosem.

– Może pamięta, że odwiedzałam w Al-Dżalali jego syna, któremu pomogłam w ucieczce – odparowała Joan.

– Jego syna? Myślisz, że ojcem Salima jest Abdullah? Nie, dziecko. To mój niewolnik; być może został moim przyjacielem, ale nigdy nie łączyło nas nic więcej.

– Och. Myślałam...

– Wiem, co myślałaś. Nalej no herbaty, dobrze? Niedługo spodziewam się całej reszty.

– Reszty? To znaczy kogo, panno Vickery?

– Wygląda na to, że zostajesz, więc niedługo się przekonasz – powiedziała staruszka, opierając się na fotelu z nieobecny uśmiechem. – A skoro już tu jesteś, opowiedz mi o wszystkim, co widziałaś. Nie mogę tam wrócić, żeby zobaczyć to na własne oczy. Przypomnij mi, jak tam jest.

– Panno Vickery, błagam... Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby pomogła pani kapitanowi Elliotowi i jego ludziom? Może poprosi pani, żeby Salim go wypuścił?

– Wypuścić go? Nie wygaduj głupstw. Ten młody głupiec trafił dokładnie tam, gdzie planowałam.

– A po co miał tam trafić, panno Vickery? – Serce Joan zabiło niespokojnie. Przesunęła się na krawędź krzesła, owładnięta uczuciem, którego nie umiała nazwać. Drobną staruszką odczekała chwilę, stukając kciukami o siebie.

– Herbata i szansa na opowieść o twoich podróżach. To wszystko, co mogę ci na razie zaoferować, Joan.

Oburzona Joan przez jakiś czas sączyła herbatę w milczeniu, a potem zaczęła chłodnym tonem relacjonować pokrótce, dokąd dotarła. Jednak po kilku zdaniach znów dała się porwać zachwytowi, a jej opisy stały się bardziej szczegółowe. Mówiła o wszystkim, co zapamiętała; wspominała każdy widok, każdy etap podróży, każdą napotkaną osobę. Opowiadała o kobietach, z którymi mieszkała i pracowała w Misfat al-Abrijin, i o tym, jaki spokój panował we wsi, kiedy wszyscy młodzi mężczyźni poszli walczyć; o bombie, która spadła niedaleko nich na płaskowyżu, o jaskini i bezkresnym widoku, jaki rozciągał się z góry.

– Więc weszłaś na szczyt. Zdobyłaś płaskowyż – skomentowała Maude po długiej chwili ciszy.

Joan przytaknęła.

– Jako pierwsza – oświadczyła z dreszczem głębokiej satysfakcji. – Nikt z zachodu nie był tam przede mną.

Maude przyglądała się jej przez moment.

– Rzeczywiście. A mimo to zesłaś na dół i bez wątpienia będziesz musiała trzymać język za zębami, żeby nie wpakować się w poważne tarapaty.

– Na naszym pierwszym spotkaniu powiedziała mi pani, że muszę zrobić coś jako pierwsza, bo inaczej to nic nie znaczy.

– Hm. Cóż, nawet jeśli jest się pierwszym, czasami nic to nie znaczy.

– Jak może pani tak mówić? Nie wierzę, że pani tak myśli. A dla mnie to zawsze będzie wiele znaczyło, nawet jeśli nikt więcej się o tym nie dowie. Zesłałam na dół, bo... – Joan urwała, przesuając kciukiem po pustym miejscu na palcu serdecznym. Pokręciła głową. – Okazuje się, że jestem inna niż pani.

– Och, mogłam ci to powiedzieć od razu. Ale co dokładnie masz na myśli?

– Nie jestem... odkrywczynią. Nie jestem nieustraszona. Czułam się samotna. Oczywiście nie pomagało mi to, że nie umiałam się z nikim porozumieć, ale chodziło o coś więcej. Zrozumiałam, że... nie chcę zrywać wszystkich więzi z krajem i rodziną. Chyba można powiedzieć, że tęskniłam za domem. – Joan uśmiechnęła się z przygnębieniem. – Nie chciałam zostać tam na zawsze i budować nowego życia. Zupełnie innego, obcego mi życia. Więc jednak żadna ze mnie pionierka.

Maude patrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Myślisz, że nie jesteś podróżniczką, bo tęsknisz za domem? – zapytała cicho. Wpatrywała się w Joan jeszcze przez moment, a potem odwróciła wzrok. – Zdjęłaś pierścioneł. Czyli jednak nie planujesz wyjść za mąż?

– Nie. Akurat ta przygoda dobiegła końca.

– I bardzo dobrze, jak sądzę. – Maude westchnęła lekko i odchyliła się na fotelu.

– Tak – przyznała Joan gorzko. – Już mi pani mówiła, że małżeństwo to kajdany.

– Owszem. A przynajmniej małżeństwo z niewłaściwym mężczyzną.

– Może to nie są jedyne dwie opcje. Może w życiu nie trzeba wybierać między ślubem i utratą wolności a spaleniem mostów za wszystkim, co się znało i kochało. Może istnieje jakiś kompromis.

– Kto wie. Może ty go znalazłaś. Albo znajdziesz – rzuciła opryskliwie Maude, a Joan skinęła głową. – Mnie się to nigdy nie udało. Widziałaś Tanuf?

– Tak – odpowiedziała Joan.

Gdy opisywała upiorne ruiny wsi ibn Himjara, oczy Maude zasły łzami.

– Następny dom, do którego nie mogę już wrócić. Byłam tam szczęśliwa po narodzinach Salima – wyszeptwała. – Przez jakiś czas byłam szczęśliwa. Wiesz, „Salim” znaczy „cały”, „idealny”. Właśnie taki był. I wciąż taki jest, mimo wszystko. Mój syn. – Pokręciła głową ze smutkiem.

– Traktował mnie z szacunkiem i życzliwością. Jest dobrym człowiekiem... dobrym i sprawiedliwym – powiedziała Joan ostrożnie.

– Wiem to i bez ciebie – stwierdziła Maude, ale w jej głosie nie było złości.

– Nie sądzi pani, że chętnie skorzystałby z okazji, żeby okazać litość? Że chciałby postąpić łaskawie i sprawiedliwie? Ci żołnierze z sekcji Charliego... – Przerwało jej głośnie pukanie do drzwi wejściowych. Maude zadarła głowę, a jej oczy rozbłysły. – Co się dzieje? – zapytała Joan.

– Wreszcie. Najwyższa pora – powiedziała Maude. Jej palce zaciskały się i rozluźniały na poręczach fotela. Przesunęła się na siedzisku z ekscytacji albo niepokoju.

– Pora na co? Kto przyszedł?! – zawołała Joan.

Na schodach rozległy się głośnie kroki. Joan wstała i oszołomiona patrzyła, jak do pokoju wchodzi kolejno pułkownik Singer, Robert Gibson i podpułkownik Burke-Bromley, dowódca SAS. Przez jedną straszną chwilę bała się, że przyszli po nią. Cofnęła się o krok, walcząc z impulsem, by zerwać się do ucieczki.

– Panowie. – Głos Maude był napięty ze zdenerwowania. – Przyszliście nieco wcześniej, niż się spodziewałam, ale mniejsza z tym. Może herbaty?

– To nie moment na żarty, panno Vickery – oświadczył surowo Singer.

– Na herbatę też nie? – rzuciła niewinnie, a Joan zdała sobie sprawę, że staruszka dobrze się bawi. Za przybyłymi mężczyznami w drzwiach pojawił się Abdullah: wysoki, złowrogi i nieprzejednany.

– Wyjaśnię tę sprawę do końca, może mi pani wierzyć – ciągnął Singer. – Ale wygląda na to, że w tym momencie czas jest na wagę złota. Stawką jest ludzkie życie.

– To prawda. W rzeczy samej. Zwłaszcza jednego człowieka – skwitowała Maude.

– Panno Vickery, co się tu dzieje? Co pani zrobiła?! – zawołała Joan.

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią, jakby dopiero ją zauważyli, a ona wzdrygnęła się pod ich wzrokiem. Robert zmarszczył brwi i założył ręce na piersiach, unikając jej spojrzenia.

– O, panna Seabrook. Cóż za niespodzianka zastać panią właśnie tutaj – wycedził zjadliwie pułkownik.

– Na twoim miejscu przymknęłabym się, Joan; ci jegomości wyglądają na spiętych. Chyba nie chciałabyś, żeby się dowiedzieli, w jaki sposób ich ludzie trafili w ręce wroga, prawda? – dodała Maude, a Joan poczuła, jak krew bucha jej do głowy, rozlewając się gorącem po skórze.

– Nie wiem, co tam właściwie zaszło, ale tyle udało nam się ustalić: buntownicy na szczycie Al-Dżabal al-Achdar pojмали kapitana Elliota i siedmiu żołnierzy z jego sekcji. Jednym z tych buntowników jest Salim ibn Shahin, niedawny uciekinier z Al-Dżalali. Ibn Shahin przysłał posłańca z wiadomością, że zakładnicy zostaną straceni jutro o zachodzie słońca, zaczynając od Elliota, chyba że na górę dotrze wiadomość, że przystaliśmy na pani żądania. W tym momencie nie mam czasu zgadywać, co panią z nim łączy i co to wszystko ma znaczyć, do diabła. Nie mam wyboru, muszę pani wysłuchać. Więc słucham, panno Vickery.

W pokoju zapadła cisza; nawet psy przestały chrapać i wyrwane ze snu przyglądały się ze zdumieniem tak licznej grupie intruzów. Joan przenosiła wzrok z pułkownika Singera na Maude i z powrotem, usiłując nadążyć za rozwojem wydarzeń. Była oszołomiona, ale przypomniała sobie kolację w Rezydencji, gdy Maude poznała Charliego i okazała mu ogromną wrogość. W uszach zabrzmiały jej wszystkie jadowite przytyki staruszki pod adresem

Nathaniela Elliota i zaczął w niej kiełkować potworny strach. Wszyscy obserwowali Maude, czekając, aż się odezwie. Kobieta wolnym, drżącym ruchem podciągnęła się na krawędź fotela inwalidzkiego, a potem wstała i wyprężyła drobną sylwetkę, walcząc o utrzymanie równowagi. Joan odruchowo podeszła do niej i wzięła ją pod ramię, żeby nie upadła.

– Chcę, żeby sprowadzono tu Nathaniela Elliota – oświadczyła Maude wysokim, władczym tonem.

– Co takiego?! – krzyknął Robert.

– Nathaniela Elliota. Zakładam, że wszyscy o nim słyszeliście? Słynnego ojca Charlesa Elliota. Chcę, żebyście wsadzili go do samolotu i przyprowadzili tu, do tego pokoju, na spotkanie ze mną twarzą w twarz. Tego właśnie chcę i taka jest cena za wolność tych młodych ludzi. Wiem, że wy, wojskowi, zdołacie go tu ściągnąć w dwadzieścia cztery godziny, jeśli się postaracie. Joan opowiedziała mi, jak wam zależy, żeby przeprowadzić operację w Omanie bez żadnej kompromitacji, szybko, gładko i z jak najmniejszą liczbą ofiar – dodała, a Joan znów spłonęła rumieńcem. – Cóż, jeśli chcecie zachować na to jakiegokolwiek szanse, proponuję, żebyście brali się do roboty. W końcu, jak sami stwierdziliście, od tego zależy życie syna pana Elliota.

Pusty Kwartał, Oman, kwiecień 1909

Upłynęło trochę czasu, zanim Maude uwierzyła, że to naprawdę on. Nathaniel Elliot był u podnóża wydm Uruq al-Szajba, a ona go znalazła. Bała się, że popadła w obłąd, że ma halucynacje z pragnienia i wyczerpania, że tylko jej się przyśnił. Długo siedziała obok niego, podając mu po łyku wody, i myślała o tym, jak niewiele brakowało, żeby zostawili zagubionych podróżników swojemu losowi. Dziękowała Bogu za to, że przekonała Beduinów do zboczenia z kursu.

Trzymała Nathaniela za rękę, kiedy spał, a woda powoli wnikała w jego umierające ciało, pozwalając mu się odrodzić. Próbowwała odgadnąć, skąd u licha mógł się wziąć na pustyni. Powinien być w Berberze, w Somali Brytyjskim, setki kilometrów od niej, po drugiej stronie Zatoki Adeńskiej. Tam planowała wysłać list, który do niego pisała. Wpatrywała się w jego twarz, czekając z niecierpliwością, aż się obudzi i wszystko jej wyjaśni. W zmarszczkach wokół oczu miał piach i brud, a z grzbietu nosa schodziła mu skóra, ukazując różowe obtarcia pod spodem. Maude zużyła trochę cennej wody, żeby zmoczyć ręcznik, którym najdelikatniej jak potrafiła obmyła twarz Nathaniela. Miał na sobie resztki lnianej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i wzorem w wąskie szare prążki. Maude już go w niej widziała – nosił ją w Anglii. Wyglądał, jakby czyjaś potężna, wszechmocna dłoń porwała go z ojczyzny i upuściła na wydmy. Nic dziwnego, że się zgubił.

Długo spał, a o zachodzie słońca usiadł chwiejnie i kalecząc język arabski, poprosił o więcej wody. Maude uśmiechnęła się i poprawiła jego wymowę cichym głosem, a on wlepił w nią wzrok. Dopiero po chwili zobaczyła na jego twarzy, że ją rozpoznał.

– Maude? Niemożliwe! – rzucił. Głos miał schrypnięty i osłabiony.

– Jak to niemożliwe? Przecież właśnie tu miałam być! – odparowała. – Za to

ty... Nathanie, co ty tu robisz? – Znow wzięła go za rękę, ale nie odpowiedział; jeszcze nie otrząsnął się z szoku, że ją widzi.

Wyciągnął rękę i ujął Maude za podbródek, przekręcając jej głowę w różne strony.

– Nie mogę w to uwierzyć – mruknął. – To niewiarygodne. Wyglądasz jak Beduin. Twoje oczy... twoje ubranie. Wyglądasz jak beduiński chłopak! Ale to ty... to ty...

– To ja. Nic ci już nie grozi; jesteśmy niedaleko studni i wiemy, jak do niej trafić. Mamy wodę, którą możemy się z wami podzielić, i wielbłądzie mięso.

Nathaniel zacisnął powieki, a na jego czarnych rzesach pojawiła się pojedyncza łza.

– Myślałem, że umrzemy. Myślałem, że umieram. Kiedy poczułem w ustach wodę, bałem się, że tylko ją sobie wyobrażam. Wyobrażałem sobie tyle rzeczy, które mogą nas uratować, ale wszystkie okazały się przywidzeniem, a moje nadzieje się rozwiewały. Och, to było nie do zniesienia! Nie znikaj, Maude. Nie bądź halucynacją. Bądź prawdziwa, Maude...

Zasnął z jej imieniem na ustach. Ścisnęła jego dłoń, trzymając ją blisko swojej twarzy, i przez jakiś czas cicho płakała. Gdy ucałowała mu knykcie, poczuła na nich słoność swoich łez. Wiedziała, że Khalid jest niedaleko, czuła na sobie jego wzrok. Fatih i Ubaid rozpalali ogień i rozciągali koce na żerdziach, żeby rzuciły cień. Maude podniosła się gwałtownie i podeszła do Khalida, zostawiając Nathaniela pogrążonego we śnie.

Beduin wskazał brodą na pozostałych mężczyzn, których uratowali.

– Ci dwaj są z plemienia Bani Kitab. To piraci, nie ufam im. Biały człowiek wynajął ich w Buraimi; wyruszyli stamtąd trzy tygodnie temu. Mieli go przeprowadzić przez pustynię do Salali. Czy pani go zna, Shahin? Skąd? Kim on jest?

– Tak, znam go. To... naprawdę niesamowite. Znam go od dzieciństwa. Jest... jest podróżnikiem, jak ja. Ale nie miałam pojęcia, że się tu wybiera. Nic mi nie powiedział...

Maude zmarszczyła brwi. Pierwszy raz dotarło do niej, jakie to dziwne, że nie zdradził się ani słowem ze swoimi planami.

– Więc jest pani bratem? Pani kuzynem?

– Nie, nie jesteśmy spokrewnieni. – Zdała sobie sprawę, jak nieprzyzwoite musiało im się wydać, że siedziała obok niego, trzymając go za rękę. – Ale jest dla mnie jak rodzina. – Kiedy to powiedziała, Khalid skinął głową, patrząc na bezwładne ciało Nathaniela. – Co dalej? – zapytała.

– Pozwolimy im odpocząć do jutra. Damy im trochę jedzenia i wody. A potem ruszymy w drogę do studni; jeśli Bóg okaże się łaskawy, dotrzemy do niej o zachodzie słońca. To dobre miejsce na krótki postój. Jest tam trochę drzew i staw. Ale nie możemy zbyt długo zwlekać, jeśli ma nam wystarczyć jedzenia do końca podróży.

– Rozumiem. Może przy studni spotkamy kogoś, kto sprzeda nam część zapasów albo zgodzi się na wymianę?

– Jeśli Bóg okaże się łaskawy – zgodził się Khalid, unosząc brwi. – Wciąż mamy przed sobą długą, niebezpieczną trasę. Jeśli chcemy ją pokonać, musimy trzymać się planu. – Zmierzył ją spokojnym spojrzeniem, żeby podkreślić wagę swoich słów, a potem podszedł do ogniska, przy którym Kamal parzył kawę.

Maude wyczuła jego niepokój; nie podobali mu się nowi członkowie grupy ani zwłoka w podróży. Domyślała się, że nie podoba mu się też jej niejasny związek z Nathanielem. Chwilę obserwowała Beduinów, a potem wróciła do niego, żeby trochę odpocząć. Nie była w stanie przejmować się tym, co myślą i czują jej towarzysze, bo przepelniała ją ulga i zachwyty, że Nathaniel jest razem z nią, że zapewniła mu bezpieczeństwo.

Kiedy zbudził ich nocny chłód, trzech odnalezieni mężczyźni wypili więcej wody i zjedli podpłomyki i daktyle, które im podano. Przypalony chleb był cały w piasku, a daktyle wyschły i stwardniały, ale oni rzucili się na nie, jakby od roku nie mieli nic w ustach. Maude starała się nie zadręczać Nathaniela pytaniami, lecz nie umiała się powstrzymać.

– Teoretycznie powinienem szukać szarańczy... Ostatecznie zarząd zdecydował, że mam rozejrzeć się tu za stanowiskami lęgowymi wielkich rojów afrykańskich. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście; od razu wpadłem na pomysł, żeby przyjechać do Pustego Kwartału i spróbować przejść przez pustynię. Nie miałem pojęcia, gdzie dokładnie jesteś, na kiedy planujesz swoją wyprawę ani którą wybrałaś drogę. Wiedziałem, że zaczynasz na południu... Szanse na spotkanie były minimalne, Maude. – Pokręcił głową z udręczonym wyrazem twarzy. – Gdybyś mnie nie znalazła, już bym nie żył. Byłbym martwy.

– Sza, już dobrze. Znalazłam cię i nie jesteś martwy – powiedziała Maude, rumieniąc się z zadowolenia. Rozważała jego słowa przez chwilę. – Nie wiedziałam, że... chcesz przejść przez Ar-Rab al-Chali. Myślałam, że to moje marzenie – stwierdziła.

– Daj spokój, Maude, który podróżnik o tym nie marzy? Ale posłuchaj, bez ciebie wydłużyłbym tylko listę śmiałków, którym się nie udało. Byłbym jeszcze jednym aroganckim głupcem, który stracił życie w starciu z pustynią. – Z jego głosu biła rozpacz, gorycz i autoironia. Blask ogniska przemknął po jego wychudłej twarzy i zalśnił mu w oczach.

Maude uśmiechnęła się do niego czule.

– Jak powiedziała by ojciec, lepszy martwy bohater niż żywy robak.

– Ale ja jestem tym robakiem, Maude. Nie rozumiesz? Nie jestem martwym bohaterem, nie da się ukryć. Czyli muszę być robakiem.

Zauważyła, jak zeszczipłał. Bił od niego nieprzyjemny zapach niemytego ciała. Jeden przedni ząb ukruszył mu się na brzegu, a jego wargi były blade i spękane. Nagle zaczęła się zastanawiać, jak sama się prezentuje: Nathaniel powiedział, że przypomina beduińskiego chłopaka. Wokół oczu wciąż miała roztarty kajal. Brudne włosy lepiły jej się do czaszki, a ubranie przypominało łachmany. Na pewno pachniała nie lepiej od Nathaniela. Przyzwyczaiała się do swojego pospolitego wyglądu, a teraz uświadomiła sobie, że najwyraźniej zagubiła gdzieś całą kobiecość. Z przyzwyczajenia zacisnęła wargi, żeby

nabrały trochę koloru, ale były zbyt suche; miała wrażenie, że pękną, jeśli będzie je dalej napinać. Próbowwała odpędzić od siebie te wątpliwości. Nathaniel dał jej jasno do zrozumienia, że i tak nie myśli o niej w ten sposób – jak o kobiecie. Nie miało znaczenia, że przestała wyglądać jak przedstawicielka własnej płci. Siedzieli przez moment w milczeniu, gdy Beduini i Buraimi wymieniali się opowieściami z podróży.

– Kiedy wyruszyliśmy, było nas pięciu. Pierwszego zabili złodzieje, kradnąc połowę naszych bukłaków. Drugiego straciliśmy na wydmach. Piekielne wydmy! Nikt nie dałby rady przez nie przejść! Ale... oczywiście, tobie się to udało. Udało ci się, prawda, Maude? – zapytał Nathaniel żałośnie.

– Tak – oświadczyła z iskrą dumy. – Tak, udało mi się. Było potwornie ciężko. To jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiłam w życiu, ale Sayyid przeprowadził nas przez nie bezpiecznie. Straciliśmy tylko jednego wielbłąda, to wszystko.

Nathaniel skinął powoli głową, wpatrzony w ogień.

Nie chciała, żeby myślał, że jej podróż przebiegała bez żadnych problemów, więc opowiedziała mu o stracie Harouna, o swoich chorobach i o śmierci Majida z rąk złodziei. Opowiedziała mu o człowieku, na którego skoczyła ze skały, i o tym, jak umarł.

– Khalid wspomniał, że obok studni, do której jedziemy, jest staw. To chyba prawdziwa oaza – dodała po chwili milczenia.

– Staw? Tak blisko wydm?

– Tak. Modłę się, żeby to była prawda. Chciałabym się umyć... Po prostu marzę o kąpieli. Nadal mam na sobie krew tego człowieka. – Wzdrygnęła się.

Nathaniel spojrział na nią z zachwytem.

– Jesteś niesamowita, Maude. To znaczy, wiedziałem o tym już wcześniej, ale nie zdawałem sobie sprawy... do jakiego stopnia. Niewielu dokonałoby tego co ty. A wśród nich nie ma na pewno żadnej kobiety.

– Niewielu? Z tego co rozumiałam, jak dotąd nikt tego nie dokonał. A przynajmniej nikt z Europy.

– Tak. Jesteś pierwsza.

W jego głosie znów zabrzmiała rozpacz, a Maude posłała mu uśmiech.

– Muszę jeszcze dotrzeć do Maskatu. Zaszłam już daleko, ale... nie dzielmy skóry na niedźwiedziu.

– Najtrudniejszą część masz już za sobą. Jesteś zdumiewająca, Maude Villette Vickery. Zdumiewająca. – Wzniósł za nią toast kubkiem z kawą. – Co to za słowo, którym zwracają się do ciebie twoi ludzie?

– Shahin – wyjaśniła z zakłopotaniem. – To znaczy „sokół”. A dokładnie „sokół wędrowny”. To dlatego, że rzuciłam się na tego złodzieja, rozumiesz.

Nathaniel skinął głową i pierwszy raz się do niej uśmiechnął.

– Idealnie do ciebie pasuje, Maude.

Tej nocy Maude długo nie mogła zasnąć. Leżała w przyzwoitej odległości od Nathaniela i wyciągnięta na plecach patrzyła w gwiazdy. Twarz miała zimną i moką od rosy. Długo się nad tym zastanawiała, aż wreszcie doszła do wniosku, że jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa jak w tym momencie. Kątem oka widziała wznoszenie i opadanie klatki piersiowej Nathaniela. Otuliło ją ciepło, bijące z gasnącego żaru ogniska, i w końcu zasnęła, czując w każdym oddechu cierpki posmak dymu.

Uratowani mężczyźni do rana zdążyli nabrać sił, więc wszyscy wyruszyli o świcie, dzieląc dodatkowe obciążenie między wielbłądy z południa, bo wciąż nie było pewne, czy zwierzęta z Batinah zdołają dojść do studni. Był to trudny dzień. Maude ukradkiem obserwowała Nathaniela, ale trzymał się na swoim wielbłądzie i tylko raz zakołysał się na jego grzbiecie, jakby miał zemdleć. Późnym popołudniem przejechali przez niską wydmy i zobaczyli na horyzoncie smugę zieleni, a Sayyid z satysfakcją pokiwał głową.

– Jeszcze godzina i powinniśmy być na miejscu – rzuciła Maude pokrzepiająco.

Nathaniel wbił wzrok w oazę. Marzenie o wodzie miało się ziścić.

– Wygląda na to, że czeka cię upragniona kąpiel, Maude – stwierdził.

Tego dnia Beduini zachowywali się wyjątkowo cicho; nie śpiewali, nie kłócili się, nie opowiadali sobie niestworzonych historii. Ale w pewnym momencie owiał ich lekki, niesforny podmuch wiatru, niosąc ze sobą charakterystyczny zapach zieleni i życia. Wszyscy poczuli go przez jeden oddech, a wtedy Fatih zaśmiał się i zaczął długą, meandrującą pieśń, która towarzyszyła im aż do studni.

Maude rzeczywiście udało się wykąpać. Oazie daleko było do raj, ale po niezmiennie suchym pustynnym krajobrazie sprawiała wrażenie cudownej krainy. Bijąca z ziemi woda zbierała się w płytkim zielonym stawie o szerokości około dziesięciu metrów, wypływała z niego wąskim kanałem i ginęła w plamie splekanego błota. Staw otaczał rząd daktylowców, za którymi rosły mniejsze akacje i krzewy buzdyganka. Wielbłądy siorbały hałaśliwie wodę, a później zniknęły wśród twardych, kłujących liści, by skubać je z cichą determinacją, korzystając z tej niespodziewanej obfitości. Khalid ugasił pierwsze pragnienie i zaczął napełniać ich bukłaki, a Ubaid, Fatih i Kamal chlapali się nawzajem i biegali na bosaka po płyciźnie. Maude zanurzyła się w stawie, nie zdejmując ubrania. Poczła na twarzy dotyk chłodnej wody, która łaskotała ją w uszy, wypełniając je z cichym szmerem. Maude wstrzymała oddech i trwała tak, zawieszona w nicości, dopóki nie zabrakło jej powietrza. Zastanawiała się, kiedy ostatni raz pływała. Woda stała się tak rzadkim dobrem, tak obcym żywiołem, że Maude niemal o niej zapomniała.

Wyszorowała się, żeby zmyć piasek i krew z włosów, skóry i ubrań. Później z uśmiechem i brzuchem pełnym wody wyszła na brzeg i zaczęła opowiadać towarzyszom o morzu, obmywającym południowe wybrzeże Anglii, o Tamizie, o walijskich wodospadach, o jeziorach w Lake District i o deszczu, który pada niemal nieprzerwanie przez cały rok. Słuchali jej, parszając śmiechem, ale widziała, że nie potrafią w to wszystko uwierzyć. Wyglądało na to, że mężczyźni z Buraimi doszli do siebie po swoich ciężkich przeżyciach, które prawie skończyły się katastrofą. Nathaniel wypił dużo wody i zasnął na kilka godzin. Maude obudziła go dopiero na kolację. Na jednym krańcu oazy

obozowała duża beduińska rodzina, złożona z kilku pokoleń kobiet o zasłoniętych twarzach, dzieci i jednego bezzębnego starca. Mieszkali pod kocami i skórami, rozpiętymi między drzewami akacji. Sayyid i Khalid usiedli obok nich i długo z nimi rozmawiali, a później zanieśli im kilka srebrnych talarów Marii Teresy w zamian za mąkę, sól i mleko ich kozy.

Nathaniel miał duży apetyt; wracał do siebie wolniej niż pozostali, ale oczy lśniły mu już zwykłym blaskiem, a jego ruchy były coraz pewniejsze. Wypytywał Maude o trasę jej podróży. Chciał się dowiedzieć, jak ją zaplanowała i jakim cudem dotarli tak daleko, żywiąc się jedynie tym, co wzięli ze sobą z Salali. Maude pokazała Nathanielowi swoją mapę i dziennik. Opowiedziała mu o oryksie i gazeli, napotkanych po drodze, o zajęcach, które udawało się czasem ustrzelić albo złapać w sidła, o wielbłądzie, którego ubili. Zrewanżowała się pytaniami o jego wyprawę i o trasę, którą planował dotrzeć do Salali. Nathaniel też pracował nad mapą swojej podróży, ale była niedokładna i urywała się na długo przed miejscem, w którym w końcu opadli z sił, bo pragnienie, głód i panika zamieszały mu w głowie. Patrząc na swój rysunek, pokręcił głową z dezaprobatą.

– Żałosne. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteśmy. Od wielu dni krążyliśmy po własnych śladach. – Westchnął. – To przerażające, jak szybko plany mogą wziąć w łeb. Jeden nieszczęśliwy zbieg okoliczności... jedna zła decyzja, jeden napad i już. Zasłużyliśmy na śmierć. Mieliśmy tam umrzeć.

– Ja tak nie uważam – zaprotestowała Maude.

– Dlaczego?

– Ciężko to wytłumaczyć. Jak wiesz, nie... nie jestem szczególnie pobożna. Może nasz Bóg po prostu jeszcze tu nie trafił. Beduini opowiadają historie o dzinnach i duchach. Wierzą w nie równie mocno jak w Boga. I twierdzą, że każdy z nas ma karina, czyli dzinna, który od urodzenia zawsze nam towarzyszy. Khalid powiedziałby, że twój karin odszukał mojego i razem doprowadziły mnie do ciebie. Nie mówię, że w to wierzę, ale... chyba chodzi mi o to, że prawdopodobieństwo, że was odnajdziemy, było naprawdę nikłe,

a jednak do tego doszło. I dlatego moim zdaniem wcale nie mieliście tam umrzeć. Wręcz przeciwnie. Rozumiesz?

– Och, Maude – westchnął. Objął ramionami kolana i oparł na nich brodę tak samo jak w dzieciństwie, a Maude zalała fala bezgranicznej miłości. – Może naprawdę wyczułaś moją obecność. Jesteś wyjątkowa pod tyloma względami, że możesz być zdolna i do tego.

Maude odwróciła wstydliwie wzrok. Pomyślała, że może przywiodła ją do niego miłość, ale nie odważyła się tego powiedzieć.

Zostali tam dwa dni i trzy noce. Bujna roślinność, woda i odpoczynek sprawiły, że wielbłądy odzyskały energię. Do oazy przyjechała następna rodzina Beduinów z małym stadem kóz. Jedną zgodzili się sprzedać, a Ubaid upiekł ją na rożnie nad ogniskiem. Zapach pieczenia uruchomił w Maude i Nathanielu lawinę wspomnień. Rozmawiali o Anglii i o rodzinie, a Nathaniel opowiadał o Faye i jej poronieniach w czasie ich krótkiego małżeństwa. Oczywiście mu łzami, ale wydawał się spokojny – smutny, lecz już nie zrozpaczony. Maude zauważyła tę zmianę z iskrą nadziei. Próbowwała ją zgasić, ale ciężko jej to przychodziło. Wciąż byli młodzi – i oboje znów byli wolni. Przypominała samej sobie o swoim pospolitym wyglądzie i innych niesprzyjających okolicznościach, żeby stanowczo stłumić wszelkie myśli na ten temat. Sayyid podzielił kozłinę i każdy kolejno wziął porcję mięsa – najmniejszą, jaka została, zgodnie ze zwyczajem. Jedli w milczeniu. Tłuszcz ściekał im na brodę, a ogień parzył skórę twarzy. Po posiłku Maude i Nathaniel odeszli we dwójkę na skraj wody i usiedli, opierając się o pofałdowany pień daktyłowca.

– Masz czasem ochotę wyłamać się z kolejki i wziąć największy kawałek, żeby zobaczyć ich reakcję? – zapytał Nathaniel z uśmiechem.

– Tak. Za każdym razem – przyznała Maude i oboje zaczęli się śmiać.

Niebo lśniło głęboką czernią, a na powierzchni stawu migotały gwiazdy. W ich odbitym świetle Maude widziała obok siebie tylko zarys sylwetki Nathaniela.

Po kąpeli pachniał zieloną wodą o mocnym mineralnym posmaku. Włosy zrobiły im się od niej sztywne po wyschnięciu. Maude związała je sobie w supeł na karku, ale Nathanielowi sterczały na głowie kępki niesfornej szczeciny, więc spróbowała je przyklepać, wciąż zanosząc się śmiechem.

– Wyglądasz jak prawdziwy dzikus, kolego – stwierdziła.

– A ty wyglądasz, jakbyś odnalazła swoje miejsce na ziemi, Mo.

W jego słowach usłyszała uśmiech. Przestała przyglądać mu włosy i pozwoliła dłoni zsunąć się niżej, opierając ją przez chwilę na jego policzku. Panująca między nimi cisza zmieniła kształt, stała się głębsza i bardziej tajemnicza. Zawstydzona Maude opuściła rękę. Długo milczeli. Nie umiała odgadnąć jego myśli. Miała nadzieję, że Nathaniel pozostawi jej gest bez komentarza. Na pewno nie potrzebował, żeby przypominała mu o swoich uczuciach.

– I może je odnalazłaś – dodał w końcu. – Może to jest twoje miejsce na ziemi. Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś wrócić do życia, które sprowadza się do eleganckich kolacji i przesiadywania w salonie.

– Cóż, kiedyś pewnie będę musiała, choćby po to, żeby zobaczyć się z ojcem. Ale to prawda, takie życie ani trochę mnie nie interesuje.

– Zawsze tak twierdziłaś i pozostałaś wierna swoim zasadom, Maude. Tylko nielicznym się to udaje. Większość ludzi pozwala, żeby ich życie kształtowały okoliczności, ale ty sama je sobie ukształtowałaś.

– Ty także. Mogłeś zostać w Anglii i przyjąć jakąś nudną posadę, jak John i Frank. Ale ty chciałeś podróżować, więc podróżujesz. Chciałeś się ożenić, więc wziąłeś ślub...

Urwała, żałując, że o tym wspomniała.

– Tak. Za to ty zawsze powtarzałaś, że nie wyjdiesz za mąż i nie pozwolisz, żeby ograniczała cię rodzina. I w tym też dotrzymałaś słowa. Jesteś niezwykła, Maude. Tyle w tobie siły i pewności siebie.

Maude na moment zaparło dech w piersiach. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zamierza zdradzić mu swoją najskrytszą tajemnicę. Nie zdziwiłaby

się, gdyby słowa nie chciały jej przejść przez usta. Ale coś w tej ciemności przetykanej blaskiem odległych gwiazd mówiło jej, że to już ostatni moment, ostatnia szansa, by spróbować.

– Jest... jest jeden mężczyzna, za którego bym wyszła – wyznała cicho, a potem głos uwiązł jej w gardle.

Nathaniel sięgnął po omacku po jej dłoń i ścisnął ją mocno.

– Tak. Ja... zastanawiałem się, czy wciąż tak jest. Ale ty nadal mnie kochasz, prawda, Maude?

– Zawsze cię kochałam – zdołała powiedzieć.

– Wydaje mi się, że nikt na świecie nie kocha mnie tak mocno.

– Tak.

– Więc dlaczego nie mielibyśmy się pobrać? Chyba nie można poznać się lepiej niż my. Wiem, że nigdzie na świecie nie ma drugiej tak odważnej, mądrej i uczciwej kobiety, Maude. – Zacisnął dłoń na jej palcach tak mocno, że poczuła niemal ból, ale przyjęła to z radością. – Tobie zawdzięczam życie, więc właściwie powinienem ci je oddać. Całe moje życie.

Odwrócił się do niej, ale ich twarze tonęły w ciemności. Maude chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie się odezwać. Tak jak Nathaniel, gdy przybyli mu na ratunek, miała wrażenie, że wyśniła to wybawienie, że to tylko halucynacja.

– I co ty na to, Maude? Nie trzymaj mężczyzny w niepewności. Wyjdiesz za mnie? – Podniósł jej dłoń do ust i mocno ucałował.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała drżącym głosem, chwiejąc się ze zdumienia.

Poderwała się na kolana, zarzuciła mu ręce na szyję i poszukała jego ust. Ich twarde, znużone podróżą ciała przywarły do siebie. Nathaniel objął jej talię swoimi smukłymi dłońmi, a koniuszki jego palców zetknęły się ze sobą.

– Jesteś drobna jak ptaszek, Mo – szepnął z zachwytem. – Skąd w takim małym ciele tyle siły?

Pocałował Maude zdecydowanie, a potem ułożył ją na ziemi. Oddała mu się

całkowicie, obezwładniona jego dotykiem i smakiem; jego ciepłem na swojej skórze; jego ciężarem, gdy splótł się razem z nią. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę; gdy się kochali, przyszło jej do głowy, że jeśli to sen, to nigdy nie chce się z niego obudzić. Nie dbała o przyzwoitość i konwenanse; nie chciała czekać do ślubu. Należała do niego od tak dawna, że ta intymność wydała jej się czymś naturalnym – najnaturalniejszym na świecie, choć wyczekiwany od wielu lat. Przeciągnęła czubkiem języka po jego złamanym przednim zębie, czując lekkie ukłucie, a potem smak krwi. Szorstkie wąsy Nathaniela drażniły wrażliwą skórę jej warg. Gdy z lekkim pchnięciem wsunął się między jej nogi, zaskoczył ją nieznany wcześniej ból. Każde z tych wrażeń witała z radością.

O świcie obudziła się na brzegu stawu, owinięta kocem. Nathaniel zniknął. Usiadła z grymasem bólu, czując sztywność w kręgosłupie. Przez sekundę świat wydawał się taki sam jak zawsze, a potem przypomniała sobie poprzednią noc i wypełniła ją mieszaniną strachu i nieśmiałej radości. Rozejrzała się wokół z niejasnym lękiem, że to wszystko tylko jej się przyśniło, choć miała obrzmiałe wargi i czuła na skórze jego zapach. A potem zobaczyła, jak Nathaniel wraca z jednego z beduińskich obozów. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że nie śpi, a po chwili opadł przy niej na kolana.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale udzieliłem sobie drobnej pożyczki. Zabrałem ci z torby jednego talara. Wiem, że to brzmi strasznie, ale miałem szlachetne pobudki. – Ujął jej dłoń.

– Nic się nie stało. Bierz, co tylko potrzebujesz – powiedziała Maude.

Zarumieniła się na jego widok, chociaż on wydawał się zupełnie odprężony. Zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę, że to był jej pierwszy raz.

– Uznałem, że to się nie godzi, żeby zaręczona kobieta chodziła bez pierścionka. Więc proszę: wprawdzie to nie diament, ale na razie musi wystarczyć. – Wsunął jej na palec ciężki cynowy pierścień: prostą beduińską ozdobę ze skręconą obrączką i kwadratowym kawałkiem szorstkiego lazurytu w solidnej oprawie.

– Jest idealny – stwierdziła.

– Jak tylko wrócimy do cywilizacji, zwrócę ci tego talara. – Nathaniel wstał i podciągnął ją na nogi. – Chodź. Napijemy się kawy.

Maude posłużyła się niewinnym kłamstwem, żeby wyjaśnić Khalidowi i pozostałym, co się stało. Powiedziała, że w Anglii zaręczyny znaczą tyle samo co ślub. Dzięki temu wywoływali z Nathanielem mniejszy skandal, kiedy się dotykali i uśmiechali do siebie. Nie była pewna, czy Khalid jej uwierzył. Obserwował Nathaniela z neutralnym wyrazem twarzy – bez wrogości, ale i bez sympatii. Zaintrygowało ją to. Pomyślała, że Khalid mógł zacząć traktować ją jak członka swojej rodziny, którego należy chronić. Spodobała jej się ta myśl. Fatih i Ubaid klepali Nathaniela po ramieniu z szerokimi uśmiechami i zaśpiewali mu pieśń pana młodego, gdy o wschodzie słońca wyjeżdżali z oazy. Maude od czasu do czasu oglądała się za siebie; opuszczała ją z bólem serca. Czuła się tam bezpiecznie i chciała zapamiętać to miejsce na zawsze. Oaza szybko zmieniła się w niewyraźną plamę na horyzoncie, która mogła być tylko złudzeniem optycznym. Wielbłądy stawiały długie, rytmiczne kroki. Jechali jedno za drugim, a świąteczny nastrój Maude wkrótce ustąpił powadze i myśłom o trudach podróży. Regularnie spoglądała jednak na swoją lewą dłoń, na której czuła nowy ciężar pierścionka z lazurytem, i za każdym razem uśmiechała się na jego widok. Raz Nathaniel odwrócił się i przyłapał ją na tym. Na głowie miał kefiję, którą zasłonił też grzbiet nosa, by słońce nie drażniło zniszczonej skóry, ale Maude zauważyła, że jego oczy rozjaśnił uśmiech.

W ciągu dnia mało rozmawiali. Maude zawsze wiedziała, że sprawdzą się jako towarzysze podróży. Nathaniel nie oczekiwał żadnych przysług ani specjalnego traktowania tylko dlatego, że był Brytyjczykiem. Wieczorem usiedli blisko siebie, nie dotykając się jednak. Uzgodnili, że tej nocy, bez osłony drzew nad stawem, nie mogą się kochać, bo uraziliby Beduinów. Zamiast tego snuli plany – gdzie i kiedy wezmą ślub i dokąd się później wybiorą.

– Nie musisz już pracować, jeśli nie chcesz – powiedziała Maude, gdy

Nathaniel zaczął się zastanawiać, gdzie zawiedzie go kolejna misja. Umilkł na chwilę, rozważając jej słowa.

– Zupełnie o tym zapomniałem – przyznał z lekkim uśmiechem. – Ależ mądrze postąpiłem, wybierając tak bogatą narzeczoną.

– Mogłeś ją wybrać już dawno temu.

– Do pewnych spraw człowiek musi dojść w swoim czasie, nie sądzisz?

– Tak. Tak, chyba masz rację. – Wzięła go za rękę i poczuła szczęście. Zupełnie zapomniała, jak bardzo nieatrakcyjnie musi teraz wyglądać; że jest zmęczona i brudna.

Wieczorem trzeciego dnia po wyjeździe z oazy Maude spojrzała przez ognisko i zobaczyła, że Nathaniel wpatruje się w płomienie, pochłonięty myślami. Twarz miał pochmurną, zękaną troskami, niemal zrozpaczoną. Mrużył powieki na niespokojnym wietrze, chroniąc oczy przed ziarenkami piasku. Wydawał się obcy, nieobecny. Odczekała do końca posiłku, a później zapytała, co się stało.

– Nic, naprawdę. A przynajmniej nic, na co bym nie zasłużył – odpowiedział cierpko.

– Proszę, powiedz mi, co cię dręczy?

– Po prostu... jestem na siebie wściekły. Kiedy dojedziemy do Maskatu, stanę się pośmiewiskiem. Rozumiesz? Nie zdobyłem sławy w środowisku naukowym jak ty, ale zacząłem wyrabiać sobie nazwisko jako podróżnik. I co? Zginąłbym przy pierwszej próbie przejścia przez pustynię, gdyby nie uratowała mnie ko...

– Kobieta? – dokończyła Maude, krzywiąc się przy tych słowach.

– Niezwykła kobieta, ale... – pokręcił głową żałośnie – ale mimo wszystko kobieta.

– A dokładniej twoja narzeczoną. Nie mógł ci się trafić lepszy ratownik – oświadczyła zdecydowanie tonem, który miał dodać mu otuchy. Ale Nathaniel się nie uśmiechnął. – Nathan... jeszcze tyle podróży przed nami. Przed tobą. Nie musimy wszędzie jeździć razem, jeśli tego nie chcesz. Ja... rozumiem tę

potrzebę samotności, wytyczania własnych ścieżek. Świetnie to rozumiem. A poza tym nikt nie musi wiedzieć, co się wydarzyło tym razem. – Zastanowiła się nad tym przez chwilę. – Powiemy po prostu, że spotkaliśmy się w Maskacie. W końcu miałeś tylko szukać szarańczy – zaproponowała, ale Nathaniel pokręcił głową.

– Wysłałem listy do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, *The Fortnightly Review* i kilku innych magazynów z informacją, że przekraczam Pusty Kwartał. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Uznałem, że wtedy będzie mi się musiało udać, rozumiesz? Bo nie pozwolę sobie na porażkę.

– Och, Nathanie! – Maude złapała go mocno za ramię. – Przecież to nic nie znaczy! Naprawdę. Dokonasz tego kiedy indziej, innym sposobem.

– Łatwo ci mówić, skoro ty masz to już za sobą. Kolejny triumf wspianiałej Maude Vickery; przepraszam, powinienem był powiedzieć: wspianiałej Shahin.

Maude wzdrygnęła się i puściła rękę Nathaniela. Ubodły ją jego słowa.

Nathan znów pokręcił głową.

– Przepraszam! Wybacz mi, Maude. To na siebie jestem zły, nie na ciebie. To siebie nie mogę znieść.

– Czy nie chodziło o to, żeby tu w ogóle dotrzeć? Nie wystarczy ci, że doświadczasz piękna tego miejsca... i jego dzikości? Że mogłeś przyjechać na pustynię i... poznać samego siebie? Czy liczy się tylko to, kto był pierwszy?

– Chodziło o to, żeby dotrzeć tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł. Wiesz o tym, nie zaprzeczaj.

– To też jest ważne. Wiem, że to też jest ważne, ale czy to musi być najważniejsze?

– Po prostu myślałem... myślałem, że wreszcie coś osiągnę. To wszystko, Maude. A skończyło się na największej katastrofie mojego życia. No cóż, muszę stawić czoła konsekwencjom. Jeśli stanę się obiektem kpin, to znaczy, że na to zasłużyłem.

Długo siedzieli w milczeniu, a pustynny wiatr targał płomieniami ze złowrogim trzaskiem. Maude wpatrywała się w profil Nathaniela. Zamknął się

w sobie, a jej trudno to było wytrzymać. Przypomniała sobie, ile razy jej bracia w dzieciństwie namawiali się i wykorzystywali sytuację, żeby zepchnąć Maude i Nathaniela na trzecie i czwarte miejsce. Przypomniała sobie, z jakim wysiłkiem wracał do siebie po każdej wizycie u matki; ile lat spędził na uniwersytecie, cierpliwie czekając, aż nadarzy się okazja do podróży, podczas gdy Maude ruszyła już w świat dzięki fortunie Vickerych. Przypomniała sobie ostatnie chwile swojej matki – i jaką torturą wydał jej się nawet ten krótki moment oczekiwania. Przypomniała sobie te wszystkie momenty, kiedy marzyła, by Nathaniel znalazł się u jej boku, dzieląc z nią każde przeżycie.

– Podzielimy się tym, Nathanie – oznajmiła nagle.

Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem. Nie mogła znieść wyrazu upokorzenia na jego twarzy.

– Czym się podzielimy, Mo?

– Tym – wskazała roziskrzone gwiazdami niebo i bezkresną ciemność wokół nich. – Kiedy dojedziemy do Maskatu, powiemy, że przekroczyliśmy pustynię razem. Kto temu zaprzeczy?

– Mogliby to zrobić Beduini – powiedział, marszcząc brwi.

– Nonsens. Nikt nie będzie ich pytał, a poza tym za odpowiednią liczbę karabinów i monet potwierdzą dowolną wersję wydarzeń. Szczerze kocham tych ludzi, ale trzeba być głupcem, by uwierzyć, że nie można ich kupić. – Urwała na chwilę. Im dłużej o tym myślała, tym łatwiejszy wydawał jej się ten plan. – Możesz powiedzieć magazynom, że zmieniłeś plany; że porozumieliśmy się wcześniej i popłynąłeś na południe, by wyruszyć ze mną w kierunku północnym. Czy przed wyprawą spotkałeś się z kimś ważnym na północy? Czy jest ktoś, kto mógłby podważyć te słowa?

– Nie. – Zastanowił się nad tym. – Nie, widziałem się tylko z miejscowymi urzędnikami, którzy nie znali angielskiego i na widok moich papierów przestawali się mną interesować.

– Świetnie. W takim razie możemy opowiedzieć taką historię, jak nam pasuje.

– Nie podoba mi się to, Maude.

– Wiem. Ale czy alternatywa podoba ci się bardziej? Wrócisz i przejdiesz przez pustynię inną drogą, taką, której nikt jeszcze nie wybrał. Zrobisz to, Nathanie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. W ten sposób zyskasz tylko trochę czasu, ochronisz reputację i podniesiesz się na duchu. – Widziała, że nie jest do końca przekonany, chociaż chciałby jej uwierzyć. – I jeszcze coś – dodała łagodniej, biorąc go znów za rękę i zmuszając, by na nią spojrzął. – Naprawdę byłeś tu razem ze mną, Nathanie. Myślałam o tobie przez cały czas. Gdyby nie to... pewnie już bym się poddała. Więc towarzyszyłeś mi w tej podróży. Przemierzyłeś pustynię u mojego boku.

Nathaniel nakrył dłonią jej palce na swoim ramieniu i mocno je ścisnął. Twarz wykrzywiła mu jakaś silna emocja; oczy miał pełne łez.

– Nie przestajesz mnie zdumiewać, Maude – wyszeptał zduszonym głosem. – Jesteś znacznie lepszym człowiekiem niż ja. Nikt inny nie byłby taki szczodry.

– Nie ma takiej rzeczy, którą bym się z tobą nie podzieliła, Nathanie – zapewniła, wierząc w każde słowo.

Przysunął się do niej i przytknął czoło do jej czoła, a Maude posłała mu uśmiech. Poczowała ukłucie w sercu, a powietrze zdawało się pęcznieć w jej płucach. W tym momencie uświadomiła sobie, że jego szczęście jest dla niej dużo ważniejsze niż własne.

Tej nocy wiatr ustał, zabierając ze sobą chłód – temperatura rosła z każdym kolejnym dniem, zbliżającym ich do lata. Jedynymi dźwiękami było ciche chrapanie Sayyida i rzadkie sapnięcia wielbłądów, więc Maude usnęła głębokim snem. Ogarnął ją taki spokój, że nic jej się nie przyśniło. Obudziła się rześka, z poczuciem, że wkroczyli na ostatnią prostą. Była to myśl zaprawiona goryczą – pragnęła równocześnie skończyć tę podróż i nigdy jej nie przerywać; wrócić do domu i nigdy więcej go nie oglądać. Ale teraz miała u boku Nathaniela. Wiedziała, że gdy odwiedzi ojca w Anglii, będzie jej towarzyszył narzeczonego, który mu się spodoba, gdy pierwszy szok minie.

Ruszając rankiem w drogę, Nathaniel był jeszcze przygaszony i zadumany,

ale w ciągu dnia nastrój mu się poprawił. Wielbłąd Maude szedł jako jeden z ostatnich, więc widziała, jak Nathan nieśmiało zagaduje Sayyida i Ubaida. Porozumiewali się przy pomocy uśmiechów, gestów i skinieć głową, z czego wywnioskowała, że nie opanował jeszcze płynnie arabskiego. Cieszyła się jednak, że próbuje poznać jej Beduinów i że odzyskał wigor.

Pokonali sporą odległość, a wieczorem rozbili obóz w szerokiej kotlinie otoczonej wychodniami, wśród gładkich i skarłowaciałych drzew. Wreszcie mieli zostawić za sobą morze piasku. Zaczynał się twardszy teren, prowadzący do podnóża wysokich gór, za którymi znajdował się Maskat.

– Jak się nazywa to miejsce, Sayyidzie? – zapytała Maude ze swoją mapą na kolanach i ołówkiem w dłoni.

– Ta góra na horyzoncie to Jebel Fahud, Shahin – odpowiedział starzec. – Koniec ze wspinaczką po wydmach. Zostały już tylko skały.

Na kolację zjedli resztę suszonego mięsa wielbłąda, jak zwykle zagryzając je zapieczonymi podpłomykami, a Maude i Nathaniel z rozmarzeniem wymieniali potrawy, które zjedzą po powrocie do Anglii.

– Wybieram pieczonego kurczaka – powiedział Nathaniel. – Soczyste, białe mięso z chrupiącą, złocistą skórką, a do tego ziemniaki zapieczone w śmietanie i sos z odrobiną madery.

– Ja tęsknię za zupą z zielonego groszku. Ze wszystkich potraw na świecie wybrałabym zupę ze świeżego zielonego groszku z miętą, przyrządzoną w godzinę po tym, jak zostały zerwane z ogrodu. Potrafisz sobie wyobrazić tę zieleń? Nie pamiętam dokładnie jej smaku, ale marzę o niej.

– I jeszcze pikantne cynaderki, które jedliśmy w Oksfordzie przed twoją obroną. Z pieprznym kremowym sosem i świeżą natką pietruszki, pamiętasz? – Zmienił temat dopiero wtedy, gdy z głodu dostali skurczów żołądka.

Maude obudziła się o świcie i w pierwszej chwili myślała, że wszystko jest w porządku. Potem poczuła delikatne muśnięcie na klatce piersiowej, więc zadarła głowę. Na piersiach miała pajaka pustynnego. Odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegł ruch, i spojrzał jej prosto w oczy. Maude

zdołała wydać z siebie tylko niski, zdławiony jęk przerażenia. Pająk był ogromny, blady i włochaty. W jego czarnych oczach malowała się absolutna pustka. Choć Maude zawsze sprawdzała buty i pościel, jeszcze nigdy na żadnego się nie natknęła. Teraz nie mogła się ruszyć. Zastanawiała się, jak długo na niej siedział i czy wygryzł jej już swoimi monstrualnymi szczękami dziurę w ciele, której jeszcze nie czuła. Przeszył ją dreszcz bezradnego obrzydzenia. Pomyślała, że to straszliwy omen obudzić się twarzą w twarz z tak bezdusznym stworzeniem.

– Nathanie! – zdołała zawołać stłumionym szeptem.

Zasnęła nie więcej niż półtora metra od niego, ale teraz nie czuła go blisko siebie. Pomyślała, że już wstał i poszedł polować albo oporządzić wielbłąda. Leżała nieruchomo, dopóki nie zdała sobie sprawy, że panuje zbyt dojmująca cisza, a obóz wydaje się wymarły.

Mijały kolejne minuty, a w Maude zaczął kiełkować potworny strach, że nie wszystko jest w porządku. Czuła, że stało się coś bardzo złego. Miała wokół siebie za dużo przestrzeni. Dobiegało ją za mało dźwięków. Nie mogła oderwać oczu od pająka i upłynęło dużo czasu, zanim zmusiła mięśnie do posłuszeństwa. Wreszcie z głośnym okrzykiem przetoczyła się gwałtownie na bok, zrzucając z siebie paskudne stworzenie, i zerwała się na nogi, gorączkowo macając ubranie, żeby sprawdzić, czy pająk nie zdążył jej ukąsić i czy nie było ich więcej.

Kiedy zdołała się opanować, rozejrzała się, nie wierząc własnym oczom. Khalid i Fatih leżeli na przeciwnych krańcach obozu. Obaj byli nieprzytomni. Zniknęły wszystkie wielbłądy oprócz trzech najsłabszych z Batinah, które stały spętane. Nathaniel i pozostali Beduini przepadli bez śladu, a wraz z nimi reszta zwierząt i cały ekwipunek. Z boku na ziemi zauważyła dziwne blade kształty. Gdy podeszła bliżej, żeby się im przyjrzeć, okazało się, że to bukłaki, jeden wybrzuszony, a trzy pozostałe puste. Ktoś je opróżnił, piasek wokół nich był jeszcze wilgotny. Oszołomiona i przerażona podbiegła do Khalida. Wyglądał na pogrążonego we śnie, ale nad lewą brwią rozlewał mu się siniec.

„Napad”, pomyślała Maude, nie rozumiejąc, jak mogła go przespać.

Opadła na kolana i potrząsała Beduinem gwałtownie, dopóki nie ocknął się z grymasem bólu.

– Wybacz mi, Khalidzie. Musisz się obudzić! – zawołała.

– Co się stało?

Przesunął palcami po skroni, krzywiąc się.

– Nie wiem. Nie wiem. – Maude nie mogła złapać oddechu. – Ktoś musiał nas napaść. Ale nie rozumiem... nic nie rozumiem.

Razem poszli ocucić Fatiha, który też został pobity. Maude wspięła się na najbliższą skałę i wbiła wzrok w horyzont, ale nigdzie nie zobaczyła Beduinów, Nathaniela ani ich wielbłądów. Ogarnął ją paniczny, szaleńczy lęk o narzeczonego, o nich wszystkich. Trzęsła się na całym ciele.

– Nie rozumiem – powtórzyła, gdy zeszła na dół.

Khalid miał ponury wyraz twarzy, a Fatih przyglądał się ziemi po wschodniej stronie obozu.

– Zostawili nam dość wody, żebyśmy mogli wrócić do oazy. Zapas na cztery dni jazdy. Wystarczy, żeby tam dotrzeć i napełnić pozostałe bukłaki, nim ruszymy dalej. I zostawili nam dość jedzenia, żebyśmy przetrwali tę podróż, jeśli zachowamy ostrożność. To wszystko – oznajmił Khalid głosem napiętym ze złości.

– O czym ty mówisz? – zapytała Maude. – Kto nam to zostawił? Nie możemy wrócić do oazy! Gdzie reszta?

– Niech będą przekłęci! Wyjechali w środku nocy, jak złodzieje, którymi są! Wylali wodę na piasek! To zabronione! – krzyczał Fatih po swoich oględzinach. – Niech Bóg zaczerni im twarze! Jeśli kiedykolwiek spotkam starego Sayyida, poderżnę mu gardło!

– Sayyid nie odjechałby z własnej woli. Na pewno go zmusili – ocenił Khalid.

– Co się dzieje? – jęknęła Maude bez tchu, ale zaczęła do niej docierać straszliwa rzeczywistość. Cały dobytek mężczyzn zniknął wraz z nimi; miejsce,

w którym położył się spać Nathaniel, było puste; na piasku został odcisk jego koca.

– Spójrzcie na ślady. Przenieśli wszystko na drugą stronę skał. Później zabrali wielbłądy i tam je załadowali, żebyśmy nic nie słyszeli. Skradali się jak demony! Zniknęli jak demony! – Fatih był tak oburzony, że z trudem wydobywał z siebie słowa; z ust pryskała mu ślina.

Khalid stał sztywno, wpatrując się głodnym wzrokiem na wschód.

– Będziemy musieli wrócić do oazy. Nie wiem, gdzie znaleźć dalej wodę. Tylko Sayyid zna położenie studni. Nie możemy próbować ich dogonić, trudno dojrzeć ślady na tym podłożu. Sayyid zdawał sobie z tego sprawę. Zostawili nam dość wody, żebyśmy wrócili do oazy i napełnili resztę bukłaków, bo dobrze wiedzieli, że nie będziemy mieli innego wyboru – wyjaśnił cicho.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – powtarzała rozpaczliwie Maude.

Khalid posłał jej ostre spojrzenie.

– Ten człowiek cię zdradził, Shahin – powiedział. – Widziałem w nim ogromny głód, którego nie rozumiałem. Teraz go rozumiem, ale jest już za późno.

– Nie! Nie, mylisz się! Zostaliśmy napadnięci... na pewno przestraszyli ich złodzieje!

Khalid wpatrywał się w nią bez słowa, a jego nieustępliwość sprawiła, że Maude zrozumiała prawdę. Podbiegła do swojej torby i zobaczyła, że jest otwarta. Gdy ją przetrząsnęła, odkryła, że jej mapa, kompas i dziennik zniknęły. Przykucnęła skulona, nie mogąc złapać oddechu. W uszach huczała jej krew.

Po jakimś czasie podniosła się chwiejnie i wyruszyła na poszukiwania Nathaniela, szaleńczo trzymając się ostatniej, złudnej nadziei. Gdy w końcu pogodziła się z tym, że odjechał, i rozumiała, co zrobił, jej ciało ogarnęło dziwne odrętwienie. Przestała wołać jego imię, przestała go szukać z rozpaczliwym optymizmem, jakby tylko się przed nią chował. Osunęła się na ziemię i leżała bez życia, nie zważając na kamienie, wrzynające się w jej

skórę, ani piach we włosach.

Maskat, grudzień 1958

Przez następne dwadzieścia cztery godziny Joan mogła tylko czekać w Rezydencji na rozwój wydarzeń. Pułkownik Singer i Robert nałożyli na nią coś w rodzaju aresztu domowego, chociaż podsłuchiwała, jak wuj przekonuje dowódcę, że według niego Joan była jedynie pionkiem w tej grze, nie znała żadnych istotnych informacji i nie zaangażowała się świadomie w plan Maude. Przysięgła mu to wszystko wcześniej w rozmowie.

– Nieważne, ta młoda dama miała już aż nadto przygód. Zostanie tutaj. Niech pan nie spuszcza jej z oka, panie Gibson – odpowiedział surowym tonem pułkownik.

Joan przypomniawszy sobie ten dezorientujący, przesiąknięty deszczem moment przy wadi, kiedy mogła powiedzieć Charliemu o Salimie, ale tego nie zrobiła. Nie wyjawiała całej prawdy. Obwiniła się za to, co się stało, bo chociaż Salim też nie powiedział jej wszystkiego, to nie naraził jej życia na niebezpieczeństwo. Uznała jednak, że nie ma sensu wprawiać pułkownika w jeszcze większą wściekłość wyznaniem, że kontaktowała się ze zbiegiem. Podsłuchując dalej, dowiedziała się, że próba odbicia zakładników skończyła się całkowitą klęską. Zniknęli bez śladu, a wejścia do jaru bronili snajperzy. Wojskowi doszli do wniosku, że muszą przystać na żądania Maude, bo inaczej stracą całą sekcję świetnie wyszkolonych żołnierzy i narażą się na kompromitację.

– No to dostałaś oficjalny zakaz wycieczek – rzucił Rory, wychodząc do niej na taras. Stał nad jej fotelem bez uśmiechu. Oczy schowane miał za okularami przeciwsłonecznymi. – Zastanawiam się tylko, czy to cię powstrzyma. W końcu łamałaś już takie zakazy. – W jego tonie usłyszała wystudiowaną lekkość, którą uznała za gałązkę oliwną.

– Powstrzyma mnie – odpowiedziała. – Poza tym chwilowo nigdzie się nie

wybieram. Może usiądziesz, Rory? Jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

Rory przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko niej. Miał na sobie świeżo wyprasowaną koszulę i był ogolony. Wyglądał na bardziej wypoczętego – kiedy zdjął okulary, Joan zobaczyła, że skóra wokół jego oczu jest mniej opuchnięta i zaczerwieniona. Niebo lśniło jednolitą bielą gęstej masy chmur; powietrze tchnęło przyjemnym ciepłem.

– Nadal nie jestem do końca pewny, dlaczego postanowiłaś uciec – przyznał.

– To znaczy skąd się dowiedziałam o tobie i Danie? – zapytała. Przez twarz Rory’ego przebiegł grymas. – Zobaczyłam was w jego namiocie, kiedy pojechaliśmy na kolację do bazy. Zobaczyłam... jak się całujecie.

Rory odwrócił wzrok i wbił spojrzenie w skały za jej plecami, jakby marzył, żeby się w nie wtopić. Z płuc uszło mu całe powietrze. Już nie wyglądał na przekonanego o własnej nieomyślności. Przygarbił się i wykrzywił żałośnie twarz.

– Nie... nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym w taki sposób – wyjąkał.

– Podejrzewam, że w ogóle nie chciałeś, żebym się o tym dowiedziała. Przez ostatnich pięć lat miałeś sporo okazji, żeby o tym wspomnieć.

– Pewnie... pewnie nas nienawidzisz. Zwłaszcza mnie, jak sądzę. – Wydawał się załamany.

Joan zwlekała z odpowiedzią, żeby cierpieć chwilę dłużej.

– To... wiele zmieniło. Ale wolę o tym wiedzieć. Lepiej, że o tym wiem. Nie ma sensu żałować, że nie jest inaczej, prawda?

– Ja czasem żałowałem – wyznał cicho Rory. A potem pokręcił głową. – Ale masz rację. To nic nie daje. – Zacisnął ręce na podłokietnikach gestem, który widywała u Maude.

Joan patrzyła na znajomy kształt jego dłoni i przypomniała sobie, jak bezpiecznie czuła się zawsze, kiedy je trzymała. W takich momentach ogarniał ją taki sam smutek jak po wyjściu z samolotu, gdy zamknął ją w objęciach. Znow miała poczucie, że urwała się z kotwicy i dryfuje bez celu. Rory wziął głęboki oddech.

– Nie... nie wiem, jak będzie wyglądało nasze życie, kiedy wrócimy do domu – powiedział.

Joan skinęła głową i zobaczyła, jaki jest przerażony.

– Nie zamierzam wszystkim o tobie powiedzieć, jeśli tego się obawiasz. Ja też nie wiem, jak będzie wyglądało nasze życie. Ale na pewno się zmieni. Przynajmniej dla mnie. Wydaje mi się, że przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać. Tak może być łatwiej. Wiesz, taki skok...

– Na głęboką wodę? To chyba nie to samo.

Joan milczała przez chwilę. W końcu Rory rozluźnił dłonie i rozparł się wygodniej na fotelu.

– Dan pewnie zwierza ci się ze wszystkiego – rzuciła. Rory wzruszył ramionami. – Czy ta kłótnia z mamą podczas jego ostatniej wizyty w domu, po śmierci taty... była... o to? Czy poszło o was?

– Nie do końca. Nie chodziło konkretnie o mnie.

– Tylko o to, że Dan... – Joan uświadomiła sobie, że nie wie, jakiego słowa użyć. Nie chciała, żeby zabrzmiało obraźliwie. – O to, że Dan jest... inny? – dokończyła pośpiesznie. – Powiedział jej, tak?

Rory spojrzał na nią z wyrazem twarzy, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Ale przytaknął, więc nabrała powietrza do płuc i ciągnęła:

– Rory... czy mój tata też taki był? – Poczła szaleńczy trzepot serca. Nie wiedziała, dlaczego odpowiedź na to pytanie była dla niej taka ważna. Rory znów przytaknął. – Czy mama o tym wiedziała? – Chciała poznać całą prawdę i to natychmiast. Chciała skoczyć na głęboką wodę.

– Tak. To znaczy Dan mówił, że nigdy się o tym nie rozmawiało, ale jego zdaniem wiedziała. Zdaniem twojego ojca też. – Rory spojrzał na nią uważnie. – Jakie to ma znaczenie? Czy kochałabyś go mniej, gdybyś знаła prawdę? Czy teraz kochasz go mniej?

– Oczywiście, że nie! Po prostu... to bardzo dziwne uczucie, zdać sobie sprawę, że nie wiesz czegoś tak ważnego o kimś, kogo uwielbiasz... Nie mogę uwierzyć, że nigdy się nie zorientowałam. To samo z Danem. To najważniejsi

ludzie w moim życiu, a ja nie miałam o niczym pojęcia. Czuję się głupia, ślepa. – Zastanawiała się przez chwilę. – Czy to dlatego rodzina taty go wydziedziczyła?

– Nie wiem, Joan.

– Może tata ożenił się z mamą, bo bał się, że inaczej złamie prawo...

– Bycie... kimś takim jak my nie jest łamaniem prawa – zaprotestował Rory.

– Tacy ludzie istnieli zawsze.

– Ale prawo zakazuje kochać się z drugim mężczyzną.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Jak sądzisz, dlaczego musimy się ukrywać, kłamać i...

– Żenić się z niczego niepodjęzawającymi kobietami?

Słyszając to, Rory zmarszczył ze smutkiem brwi i znów uciekł spojrzeniem.

– Czy twój ojciec nie był dobrym mężem? Czy ja nie mogłem być dobrym mężem dla ciebie? – zapytał cicho.

– Był cudownym ojcem. Najlepszym na świecie. Ale nie mam pojęcia, jakim był mężem.

– Twoja mama powiedziała Danowi, że przestał być jej synem. Rzuciła mu w twarz, że jest dla niej martwy. Potraktowała go strasznie. Chyba liczył na to, że... chyba liczył na to, że go zrozumie, skoro wiedziała o waszym ojcu. Ale stało się inaczej.

– Biedny Dan – jęknęła Joan. – Żałuję... najbardziej żałuję, że mi nie powiedział. Żałuję, że nie powiedział mi już dawno temu.

Zbliżał się wieczór, a Joan wciąż trwała w oczekiwaniu. Siedziała na tarasie, patrząc, jak słońce gaśnie, i niecierpliwiąc się coraz bardziej. Napisała list do Daniela, a potem do matki, choć tego ostatniego nie zamierzała wysłać – wiedziała, że wcześniej sama zjawi się w domu. Chciała po prostu uporządkować myśli. Po jakimś czasie dostała skurczu dłoni. Musiała wyteńczyć wzrok, żeby w półmroku zobaczyć papier, więc przestała pisać. Spojrzała na swoje skórzane sandały, które raziły nowością, gdy przyjechała do Maskatu. Teraz były zdarte i zniszczone; zaniósł ją na szczyt góry i do Al-Dżalali; do

brata w jarze zalanym deszczem i z powrotem do Maskatu. Miała wrażenie, że upłynęło dużo czasu, odkąd zbiegła do wadi i wysłała Charliego Elliota na ratunek Danielowi. Ale Charlie wciąż tkwił na szczycie góry z Salimem i resztą jego oddziału. Czy bał się o życie? Na pewno, przecież nie był głupi, a jednak Joan nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie wierzyła, że dałby to po sobie poznać. Zaczęła pisać kolejny list, którego nie zamierzała nigdy wysłać. *Drogi Charlie. Ciężko mi z myślą, że jesteś w niebezpieczeństwie. Nie chciałam wyrządzić krzywdy tobie ani nikomu innemu. Próbowałam znaleźć najlepsze wyjście z tamtej sytuacji, ale najwyraźniej nie mam pojęcia, co jest najlepsze, więc niepotrzebnie się wtrącałam.* Przypomniała sobie, jak się roześmiała tamtego dnia na górze, kiedy zdjęła maskę i zasłonę. W pierwszym odruchu zawsze wychodził z życia naprzeciw z uśmiechem. *Twój ojciec jest już w drodze. Niedługo będziesz bezpieczny tu, na dole,* napisała, a później dodała: *Wciąż myślę o tym, jak mnie pocałowałaś – pamiętam to bardzo dokładnie. Wydaje mi się, że to był mój pierwszy prawdziwy pocałunek, i cieszę się, że przeżyłam go z Tobą.* Po tych słowach przestała pisać, wyrwała kartkę z notesu i zmięła ją w dłoni.

Wczesnym rankiem następnego dnia do jej drzwi rozległo się pukanie. Joan obudziła się natychmiast. Była Wigilia. Przez chwilę myślała o matce i rodzinnych świętach. Przed oczami stanął jej Daniel jako mały chłopiec, który leży na brzuchu i wpatruje się w szopkę pod choinką. Ale teraz te wspomnienia wydały się Joan zbyt odległe, poza jej zasięgiem. Otworzyła drzwi na oścież, nie dbając o to, że pokaże się komuś w piżamie. W progu stał ubrany i świeżo ogolony Robert. Miał poważną minę.

– Co się stało? Są jakieś wieści?

– Nathaniel Elliot wylądował właśnie w Bait al-Faladz. Jest już w drodze do domu Maude Vickery, która chce, żebyśmy uczestniczyli w tym spotkaniu. Mówi, że potrzebuje świadków. Nadal nie wiemy, czego mamy być świadkami, ale musimy robić, co każe.

– Chyba wiem, o co chodzi. Już się ubieram – powiedziała Joan, zamykając

drzwi.

Wciągnęła te same pogniecione spodnie i bluzkę, które miała na sobie dzień wcześniej, przeczesła palcami skręcone włosy i ochlapała twarz wodą. W lustrze zauważyła swoje szczupłe, opalone odbicie – wyglądała na starszą niż w chwili przyjazdu do Omanu. Nigdy nawet nie marzyła o spotkaniu z Nathanielem Elliotem i z pewnością nie sądziła, że miałoby do tego dojść akurat w takich okolicznościach. Ze zdenerwowania ścisnęła ją w brzuchu. Idąc do Roberta, zaklinała w myślach los, żeby wszystko się dobrze skończyło, chociaż właściwie nie widziała takiej możliwości.

Pojechali do Maude samochodem i dotarli tam przed Nathanielem Elliotem. Abdullah w milczeniu wpuścił ich do środka. Joan znała go już na tyle, by dostrzec troskę na jego twarzy. Nie był biologicznym ojcem Salima, ale wychował go jak własnego syna. Przechodząc obok starszego mężczyzny, Joan chwyciła go za dłoń i mocno ją uściśniła, a on skinął jej raz głową, nim ruszyła z Robertem po schodach na górę. Maude ustawiła swój fotel inwalidzki przed biurkiem. Włożyła na tę okazję elegancki strój. Jej ubrania były staroświeckie i znoszone, ale czyste. Bluzkę z koronkowym kołnierzykiem wsunęła schludnie za talię długiej filcowej spódnicy, a na jej piersi połyskiwała mała zielona broszka z metalu. Włosy zaczesiła gładko do tyłu i zebrała w idealny kok na karku. Wzrok miała skupiony i bystry – nawet jeśli nie zmrużyła oka przed tym spotkaniem, nie dawała tego po sobie poznać. Jediną oznaką wzburzenia Maude był jej bezruch, opanowanie, które sprawiało wrażenie misternej konstrukcji podtrzymywanej wyłącznie żelazną siłą woli. Staruszka złożyła dłonie na podołku. Pierścionek z niebieskim kamieniem, który dotąd zawsze leżał na biurku, teraz tkwił na serdecznym palcu Maude. Kciuk jej lewej dłoni wciąż wracał w to miejsce, by bawić się nieznanym przedmiotem. Joan wreszcie zaczęła rozumieć, co może oznaczać ta ozdoba.

Na ich widok Maude odchrząknęła.

– Dobrze. Wejdźcie i usiądźcie. Chcę, żeby jak najwięcej osób usłyszało

słowa, które tu zaraz padną – powiedziała surowym, opanowanym głosem.

Joan przyglądała się jej bacznie. Wciąż miała przed oczami mimowolną reakcję Maude na spotkanie z Charliem Elliotem i zastanawiała się, co się wydarzy, gdy do pokoju wejdzie jego ojciec.

– Proszę mi przypomnieć: ile czasu minęło, odkąd się widzieliście? – poprosiła.

– Czterdzieści dziewięć lat, osiem miesięcy i dwadzieścia jeden dni – odpowiedziała Maude.

Zerknęła przez ramię na zegar podróży na biurku, a na jej opanowaniu pojawiła się pierwsza rysa. Przez twarz staruszki przemknął cień niepokoju, by po chwili zniknąć.

– Nie musi pani tego robić – odezwała się nieśmiało Joan. – Cokolwiek pani zaplanowała... mogłaby pani już teraz poprosić o zwolnienie zakładników i byłoby po wszystkim.

– Och, cicho bądź, Joan – rzuciła z roztargnieniem Maude. – Od tak dawna czekam na ten moment.

Robert poklepał Joan po dłoni, jakby chciał ją pocieszyć po tej zniewadze, a ona chwyciła go za rękę. Milczał; wyraźnie czuł się zagubiony i wytrącony z równowagi tą dziwną, niepokojącą sytuacją. Nagle na zewnątrz rozległ się warkot silnika i oboje bez zastanowienia poderwali się na nogi, odwracając się z niecierpliwością w stronę drzwi.

Nathaniel Elliot wchodził po schodach. Słyszeli jego wolne, lecz miarowe kroki, a później pytanie zadane pewnym, choć osłabionym wiekiem głosem:

– Tu, na górze?

Maude zeszywniała na swoim fotelu. Joan też szybciej zabiło serce. Była tak rozemocjonowana, że nie mogła ustać w jednym miejscu. Do pokoju wszedł Nathaniel, a za nim w pomieszczeniu pojawili się Singer i Burke-Bromley. Podróżnik ścisnął w prawej dłoni laskę, na której mocno się opierał. Joan poznała go natychmiast ze zdjęcia, które pokazał jej Charlie. Wyczuła, że Maude wstrzymała oddech.

Nathaniel garbił się i miał zwieszony ramiona, przez co sprawiał wrażenie niższego niż w rzeczywistości; jego szczupłe ciało na starość stało się wątłe i kościste. Wolna dłoń wyraźnie mu drżała; jej palce były sękaty, a skórę pokrywały plamy wątrobowe.

Przeszedł przez pokój i zatrzymał się naprzeciwko Maude. Długo wpatrywali się w siebie w milczeniu. Atmosfera zgęstniała. Moment wydawał się tak znaczący i wyczekiwany, że nawet pułkownik Singer nie śmiał przerwać ciszy mimo nieskrywanej irytacji i zniecierpliwienia. Żebra Maude podnosiły się i opadały szybkimi, płytkimi ruchami, ale staruszka patrzyła przed siebie bez mrugania i Joan nie umiała odgadnąć jej uczuć.

W końcu Nathaniel chrząknął lekko.

– Cześć, Mo – powiedział drżącym głosem.

– Nathan – odpowiedziała Maude. – Kopę lat.

Znów zapadła cisza, a Nathaniel zdawał się ugiąć pod jej ciężarem. Zakołysał się na stopach, a koniec jego laski przesunął się po podłodze, więc Joan podeszła do niego i wzięła go pod ramię.

– Proszę spocząć, panie Elliot – zaproponowała, a Nathaniel skinął głową i pozwolił zaprowadzić się do kanapy, na której usiadł sztywno. Maude ani na chwilę nie spuściła z niego szeroko otwartych, roziskrzonych oczu.

– Zestarzałeś się, Nathanie – stwierdziła z zaskoczeniem.

– Zdarza się, choć ty wyglądasz dokładnie tak samo jak zawsze, Maude. Może poza tym – rzekł, wskazując na fotel inwalidzki. – Miałaś wypadek?

– Nie. Po prostu ja też się zestarzałam.

Joan obserwowała Maude, usiłując rozszyfrować wyraz twarzy staruszki. Wydał jej się dziwny, przejmujący, niemal rozpaczliwy. Widziała w nim przede wszystkim głód. Nathaniel wzdrygnął się pod tym spojrzeniem, jakby budziło jego odrazę.

– O co tu chodzi, Maude? – zapytał szorstko.

– Chcę, żebyś im powiedział. – Wzrok Maude stał się lodowaty i nawet Joan zaczęła się bać.

– A co to zmieni...

– Co to zmieni? Dla ciebie może nic, prócz tego, czy jeden z twoich synów przeżyje czy umrze. Ale dla mnie? Bardzo wiele. Dla mnie to zmieni bardzo wiele. Chcę, żebyś to powiedział w obecności tych wszystkich ludzi, bo wtedy nie będziesz mógł się później wycofać ze swoich słów. Chcę, żebyś im powiedział, i chcę, żeby oni powiedzieli reszcie świata.

– Reszcie świata? – powtórzył. – Maude... nikogo to nie obchodzi. To zamierzchła historia!

– Mnie to obchodzi! – Krzyk, który wyrwał się z ust Maude, zburzył jej kruchy spokój. Usta staruszki przez chwilę poruszały się w milczeniu, jakby nie mogły przejść przez nie słowa, które chciała wypowiedzieć. – Odebrałaś... odebrałaś mi wszystko, Nathanielu. – To zdanie wydobyło się z niej z dreszczem, który przeszył ją od stóp do głów, jakby dostała konwulsji albo wstrzymywała szloch.

Nathaniel przytaknął. Przesunął językiem po suchych wargach i z trudem przełknął ślinę.

– Wiem – wyszeptał. – Wiem o tym.

– Więc powiedz im. – Maude ścisnęła podłokietniki dłońmi wykrzywionymi jak szpony niewielkiego jastrzębia. – Powiedz im albo zrobię z twojego syna bratobójcę.

– Co? Co zrobisz? – Nathaniel wydawał się zdezorientowany, za to Joan poczuła, jak kolejny element układanki wskakuje na swoje miejsce.

– Salim jest synem pana Elliota, prawda, Maude? I bratem Charliego! – zawołała nagłym tonem.

– Tak. Urodziłam ci syna, Nathanie. Po tym, jak zostawiłeś mnie na pustyni, żebym na niej umarła.

– Nie... Nie, to niemożliwe – zaprzeczył kategorycznie.

– Doprawdy? – Maude wychyliła się na fotelu i przyszpiliła go spojrzeniem. – Popatrz mi w oczy i powtórz, że to niemożliwe. – Jej twarz była pełna emocji.

Nathaniel milczał. Spuścił wzrok na podłogę i skulił się w sobie.

– Panno Vickery – odezwała się Joan cicho. – Czy Salim wie, że trzyma jako zakładnika własnego brata? Wie o tym?

– Oczywiście, że nie – warknęła staruszka. – Nigdy mu o tobie nie mówiłam, Nathanielu. Skłamałam, że mój mąż zmarł. Dla naszego syna jesteś nikim.

– Och, ale musi mu pani powiedzieć! To podłe stawiać go w takiej sytuacji... podłe! – krzyknęła Joan.

– Jesteś tu po to, żeby patrzeć i słuchać, to wszystko, Joan – oświadczyła Maude, nadal świdrując Nathaniela wzrokiem.

Joan odwróciła się do pułkownika Singera.

– Ktoś musi mu powiedzieć! Salim nie skrzywdziłby własnego brata, jestem tego pewna! Musicie wysłać do niego posłańca! Sama tam pójde! Znam bezpieczną drogę, potrzebna mi tylko zasłona z maską. Błagam, trzeba...

– Już dosyć, Joan! On nie musi o niczym wiedzieć – przerwała jej Maude.

– Prędzej wybrałbym się na szczyt w piżamie, niż posłał tam panią, panno Seabrook – wycedził pułkownik Singer z oburzeniem. – Ale na razie nikt się stąd nie rusza.

– Mam jeszcze jednego syna? – wyszeptał Nathaniel łamiącym się głosem. Do oczu napłynęły mu łzy, ale na ich widok Maude zawzięła się jeszcze bardziej.

– Jeśli mnie nie posłuchasz, nie zostanie ci już żaden inny.

– Czego ode mnie chcesz? Co mam powiedzieć?

– Prawdę. Chcę, żebyś powiedział prawdę. Żebyś przyznał, kto jako pierwszy przemierzył pustynię Ar-Rab al-Chali w 1909 roku.

Znów przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Joan i Robert spojrzeli na siebie bezradnie. Pułkownik Singer założył ręce na piersiach i wbił surowy wzrok w Nathaniela Elliota. Burke-Bromley, dowódca Charliego, okazał zniecierpliwienie rozgrywającą się sceną, bębniąc palcami o przedramiona. Nathaniel Elliot odchrząknął ponownie i spojrzał na Maude. Policzki miał zarumienione, ale patrzył na nią ze spokojem.

– Dobrze. Przypuszczam, że nie ma to większego znaczenia. Nie w porównaniu z bezpieczeństwem Charliego. Ty byłaś pierwsza, Maude. Ty pierwsza przemierzyłaś pustynię. A ja... ja wszystkich oszukałem.

Maude zacisnęła mocno powieki i wzięła długi, wolny oddech.

– Jak śmiesz mówić, że to nie ma znaczenia, skoro zrujnowałeś mi życie, Nathanielu; skoro pozwoliłeś, żeby twoje kłamstwo uchodziło za prawdę przez te wszystkie lata; skoro opublikowałeś moje notatki i moją mapę pod własnym nazwiskiem. Skoro mnie skompromitowałeś, okłamałeś i skazałeś na śmierć na pustyni... Jak śmiesz mówić, że to wszystko jest bez znaczenia?!

– Nie skazałem cię na śmierć! Byłem w tej sprawie nieugięty: zostawiliśmy wam dość zapasów, żebyście mogli kontynuować podróż po powrocie do oazy...

– Zabrałeś ze sobą naszego przewodnika i tropiciela. Sayyida. A co gdybyśmy nie trafili do tej oazy? Co wtedy? Pomyślałeś o tym?

– Tak, pomyślałem. Oczywiście, że pomyślałem!

– A mimo wszystko to zrobiłeś – rzuciła Maude ze smutkiem. Przełknęła ślinę, a potem przeniosła pałający wzrok w dół i zsunęła z palca niebieski pierścionek. Cisnęła nim w Nathaniela; uderzył go w nogę i wyładował na podłodze u jego stóp. – Zrywam nasze zaręczyny, Nathanie – powiedziała miękko. Starzec wpatrywał się w pierścionek tak, jakby rzuciła mu pod nogi pająka. Zatrząśł się, a z oczu w końcu popłynęły mu łzy. – A teraz mów. No dalej. Powiedz im o wszystkim.

Więc Nathaniel Elliot zaczął mówić. Opowiedział im, jak jeden z jego przewodników wpadł na pomysł oszustwa, gdy dochodzili do siebie w oazie. Miał plan, co zrobić, żeby Nathaniel mimo wszystko zasłynął jako pierwszy biały człowiek, który przemierzył pustynię: wystarczyło ukraść mapy Maude i zdobyć nad nią odpowiednią przewagę. Później przekupili jej Beduinów, jednego po drugim, a młody Ubaid ostrzegł ich, żeby nie próbowali z Khalidem, który pozostanie lojalny wobec Shahin do śmierci, ani z jego synem Fatihem. W Maskacie Nathaniel rozesłał telegramy, obwieszczając

świata swój sukces, a później z łatwością opisał wyprawę, korzystając z dziennika i mapy Maude. Nikt nigdy nie zakwestionował jego wersji wydarzeń.

– Spodziewałem się, że lada moment wystąpisz przeciwko mnie, Maude. Myślałem, że postawisz mi się i zdemaskujesz moje kłamstwo. Ale nigdy tego nie zrobiłaś... nie zrobiłaś tego. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – To było szalone, desperackie i haniebne z mojej strony i chyba ani przez moment nie sądziłem, że ujdzie mi to płazem. Dlaczego nie protestowałaś, Maude? – skończył, patrząc na nią. Przeszłość unosiła się nad nim jak przerażający cień, przed którym się kulił.

– Czy to było takie ważne, Nathanie? – zapytała, zamiast mu odpowiedzieć. – Tak bardzo ci zależało na tym, żeby zachować twarz i wygrać, że bez wahania mnie porzuciłeś? Chociaż kochałam cię mocniej niż ktokolwiek na świecie?

– Wtedy... wtedy tak mi się wydawało – przyznał ze smutkiem. – Młodzi mężczyźni to niemądre stworzenia, chociaż sądzą, że zjedli wszystkie rozumy. Popełniłem błąd, oświadczając ci się, Maude. Chciałem, żeby twoja miłość wystarczyła dla nas obojga, ale tak się nie stało. Kiedy zaproponowałaś, że podzielisz się ze mną swoim triumfem, wiedziałem, że nam się nie uda. Ja... ja nie zrobiłbym tego samego dla ciebie, Maude. W tym momencie uświadomiłem sobie własną niegodziwość i chyba wpadłem w rozpacz. Już nic nie było dla mnie ważniejsze niż zwycięstwo. – Pokręcił lekko głową, nie ocierając mokrej twarzy. – Byłem głupcem. Nigdy nie powinienem był prosić cię o rękę – powtórzył.

Maude wzdrygnęła się po tych słowach. Patrząc na jej ból, Joan zrozumiała, że staruszka wciąż jest w nim zakochana, choć upłynęło już tyle lat. Dziewczyna mogła się tylko domyślać, jak wielką złość budziło w Maude to uczucie i ile cierpień przysporzył jej Nathaniel.

– Nie protestowałam, bo byłam pewna, że nikt mi nie uwierzy. Miałam tego próbkę tu, w Maskacie. Przekonałam się, jak zostałam potraktowana: ludzie

widzieliby tylko kobietę, która niemal popadła w obłąd na pustyni i usiłuje przywłaszczyć sobie czyjeś osiągnięcia. A potem zorientowałam się, że... noszę w sobie twoje dziecko, choć jestem niezamężna. Nie mogłam wrócić do domu... – Pokręciła głową, dysząc ciężko. – Czy wiesz, że już nigdy nie zobaczyłam się z ojcem? Nie wróciłam nawet na jego pogrzeb. Byłeś na nim?

– Tak. Oczywiście! I... nazwałem jednego z moich synów Elias, na jego cześć.

– Miałeś tupet. Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś. – Spojrzała na niego. Na jej twarzy malowało się zmęczenie. – I nigdy nie oddałeś mi tamtego talara za pierścionek.

– Maude – zaczął mówić Nathaniel, ale zbyła go machnięciem ręki.

– Spójrz na mnie, Nathanielu – rozkazała, a on spełnił jej żądanie. – Zniszczyłeś całe moje życie. Rozumiesz? Odebrałeś mi wszystko.

– Tak. Rozumiem – powiedział głuchym tonem, w którym pobrzmiwała rozpacz.

– Spisałam całą prawdę, odtworzyłam swój dziennik najdokładniej, jak potrafiłam. – Maude wskazała na stertę papieru na swoim biurku i potoczyła spojrzeniem po zgromadzonych świadkach. – Jedno z was może go opublikować. Może ty, Joan. W końcu potrzebujesz pracy. Nathan, masz jeszcze mapę, którą wtedy narysowałam? I mój dziennik?

– Nie. Spaliłem je – przyznał Nathaniel. – Nie mogłem ryzykować, że ktoś je znajdzie. I... nie mogłem patrzeć na twój charakter pisma, Maude. Czułem się taki winny...

– Nie chcę słuchać o tym, jak wtedy cierpiałeś! – krzyknęła znów Maude, waląc dłonią w podłokietnik. – Ale jeszcze będziesz cierpiał. Będziesz cierpiał. Tak jak ja.

– Co ma pani na myśli? – wtrącił się pułkownik Springer, a na twarzy Nathaniela pojawił się strach i niedowierzanie. Wytrzeszczył oczy jak dziecko.

– Chyba nie zamierzasz... Tylko nie Charlie – wyszeptał. – Powiedziałaś, że jeśli się przyznam, będzie bezpieczny! Obiecałaś mi!

- Nie ty jeden możesz złamać obietnicę – odparowała chłodno.
- Tylko nie mój Charlie... nie mogę stracić i jego – powtarzał Nathaniel, kręcąc głową. – Błagam, Maude. Błagam, tylko nie mój Charlie.
- Poślijcie kogoś do Salima! Poślijcie tam mnie! – zawołała zdesperowana Joan do pułkownika i Burke’a-Bromleya, zrywając się na nogi. – Przekażcie Salimowi, że Charlie jest jego bratem!
- Już za późno – oświadczyła Maude, a wszyscy na nią spojrzeli. Joan ogarnęły mdłości. Jej gardło zacisnęło się i nie mogła złapać oddechu. – Wiadomość dotarłaby za późno. Charlie prawdopodobnie już nie żyje.

Maskat, Nizwa i Tanuf, Oman, kwiecień 1909

Po zdradzie Nathaniela Maude długo leżała bezwładnie na ziemi. Gdy zaszło słońce, Khalid rozpałił ogień. Mrok rozproszyły blade, półmetrowe płomienie, a Maude poczuła ich ciepło na twarzy. Ciało miała zimne i zdrętwiałe; czuła się tak, jakby wstrząs przepłoszył z niego duszę, którą zastąpiła jakaś obca ciemność.

Słyszała, jak Fatih powtarza bez końca:

– Musimy ich ścigać! Niech Bóg ześle na nich zarazę! Umrą za to. I tak już za długo zwlekaliśmy.

– Nie możemy – odpowiadał mu ciągle Khalid. Przyniósł Maude talerz z mięsem i podplomykami i postawił go obok niej. – Shahin, musisz zjeść swoją porcję. Wiem, że mnie słyszysz. Musisz wstać. To nie jest rozwiązanie – przekonywał, ale Maude nie mogła mu odpowiedzieć.

Jej myśli nie chciały połączyć się z ciałem, kośćmi ani krwią. Nie miała ochoty mówić ani ruszyć się z miejsca. Wróciła do życia dopiero wtedy, gdy ją oznakowali.

Drugiego dnia o zachodzie słońca zerwał się wiatr, który przywiał nad wydmy chłód. Żelazo nagrzewało się w ognisku, a Khalid chodził wokół niej, recytując wersety Koranu. Mocne podmuchy porywały jego słowa i unosiły je ku niebu. Nad ich głowami lśnił milion gwiazd, a jedna przemknęła przez czernię, gasnąc piękną śmiercią. Maude widziała ją, ale niczego sobie nie życzyła. Wiedziała, co zamierza zrobić Khalid, i nie miała na ten temat żadnej opinii. Nie czuła strachu. Fatih posadził ją i pochylił jej głowę do przodu. Później Khalid owinał dłoń materiałem, wyjął rozżarzone żelazo z żaru i przytknął je do karku Maude.

Ból był jaskrawy i niewiarygodny. Rozbłysł gwałtownym białym światłem, unicestwiając noc, nie dając się zignorować, wydzierając się Maude z ust potwornym wrzaskiem. Piach wpadał jej do ust i osiadał na zębach; zaczęła się szamotać i poczuła swąd swoich palonych włosów i skóry. Krzyczała bez końca, nawet gdy Beduini zabrali żelazo, a mężczyźni chyba rozumieli, że nie krzyczy tylko z bólu po oznakowaniu – że potrzebuje krzyczeć, żeby zacząć odzyskiwać siły. W tym krzyku kryło się większe cierpienie niż przypalona skóra; jej wrzask wyrażał większy gniew. To był dźwięk ciemności, która się w niej pojawiła. Maude miała złamane serce i oszołomiła ją głębia własnej furii, a gdy patrzyła w czarne niebo przetykane srebrem, czuła się równie zimna jak te odległe gwiazdy – i równie samotna. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła poczuć coś innego.

Następnego dnia ruszyli z powrotem w stronę oazy. Maude wciąż milczała, ale była przytomna i utrzymywała się na wielbłądzie; przez cały czas czuła boleśnie ranę na karku. Dała się prowadzić Khalidowi i straciła poczucie czasu. Nie zwracała uwagi na trasę, nie przejmowała się niknącym zapasem wody, nie podejmowała żadnych decyzji. Do Maskatu dotarli jakiś miesiąc później, a strażnicy bram miejskich przyglądali się podejrzliwie trzem obdartym Beduinom, dwóm dorosłym i jednemu młodzikowi, z bladymi wargami spękany od niemal śmiertelnego pragnienia, na kompletnie wycieńczonych wielbłądach z Batinah. Maude miała przywidzenia. Oszołomiona widokiem Maskatu i jego ogromnych wrót przez sekundę myślała, że dojechała do samego Londynu. Rozglądała się wokół, jakby spodziewała się uroczystego przyjęcia, odświętnego orszaku albo chorągiewek w barwach flagi brytyjskiej. Oczywiście, nic takiego nie zobaczyła; jedynie stare mury i suszone cegły zalane słońcem.

Strażnicy kazali im zostawić wielbłądy przed bramami miasta. Krzywili się nieprzyjemnie, ale dali każdemu z nich kubek wody. Maude miała wrażenie, że pije krew. Wypluła pierwszy łyk, podejrzewając podstęp, i otarła usta dłonią, spodziewając się, że będzie czerwona. We trójkę przeszli wolno przez miasto

do przystani, gdzie oślepił ich niewiarygodny blask morza. Z udręką patrzyli na ogromną połąć wody nienadającej się do picia. Później Maude chwiejnym krokiem podeszła do bramy Rezydencji Brytyjskiej i zapukała.

Zapomniała imię wezyra zaraz po tym, jak się przedstawił. Zmartwiło ją to, bo wiedziała, że kiedyś je знаła – zanim jeszcze wyruszyła z Salali. Był wysokim mężczyzną z głębokimi oczodołami, a Maude mimo starań nie mogła się skupić na jego słowach. Jej wzrok przyciągał portret króla Edwarda VII na ścianie i odbite od morza promienie słońca, tańczące na suficie. Straszliwie swędział ją strup na karku w miejscu, gdzie oznakował ją Khalid. Wzięła duży łyk herbaty, którą przed nią postawiono, i poparzyła sobie język i gardło.

– Proszę – powiedział wezyr, a gdy podniosła wzrok, z zaskoczeniem zobaczyła, że stoi obok niej, wyciągając w jej stronę chusteczkę do nosa. – Co za pech, przegrać na ostatniej prostej. Ale głowa do góry, wkrótce wróci pani do domu, na łono rodziny, a to dużo bardziej odpowiednie miejsce dla damy. – Poklepał ją po ramieniu z zakłopotaniem, a Maude zdała sobie sprawę, że szłocha, pociągając hałaśliwie nosem. Nie pamiętała, kiedy zaczęła płakać.

– Ale to ja przekroczyłam Ar-Rab al-Chali, nie Nathaniel. Rozumie pan? On w ogóle nie przeszedł pustyni... zgubił się. Znaleźliśmy go, a potem... potem...

– Wystarczy, panno Vickery. Pan Elliot jest już w drodze do Anglii. Na własne oczy widziałem narysowaną przez niego mapę ze szlakiem przez pustynię. Przybył do Maskatu z dużą grupą Beduinów, którzy byli razem z nim i potwierdzili, że mu się udało...

– Ale połowa tych ludzi przemierzyła pustynię ze mną! Przekupił ich, to wszystko... – Umilkła, gdy dotarło do niej, że nic nie wskóra.

We wzroku wezyra nie było już współczucia. Teraz patrzył na nią surowo z kwaśną miną. Miała wrażenie, że jest dla niego tylko problemem, którego pragnie się pozbyć. Wezyr potwierdził te przypuszczenia, bo usiadł znów za biurkiem, odchrząknął, a potem z dłońmi złożonymi w daszek przed twarzą oznajmił:

– Tak się składa, że pojutrze odpływa stąd statek towarowy. Jestem pewny, że uda nam się znaleźć dla pani miejsce na pokładzie. Być może nie będzie to komfort, do którego pani przywykła, ale w Salali albo Adenie będzie pani miała szansę na lepsze warunki.

Maude wpatrywała się w niego, zastanawiając się, do jakiego komfortu przywykła jego zdaniem, zważywszy na jej obecny wygląd. Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, czując w dłoni cienki, czysty, niemożliwie miękki materiał jego chustki. Ten drobiazg wydał się jej esencją tradycji i brytyjskości. Spuściła wzrok i zobaczyła, że ktoś wyhaftował w rogu jego inicjały. Na trzecim palcu jej dłoni wciąż tkwił pierścienek zaręczynowy z lazurytem, który kilka tygodni wcześniej dostała od Nathaniela. Znów zaczęła płakać, nienawidząc się za to, co wywołało jej łzy – że nie miała nikogo, kto wyhaftowałby na chusteczce jej inicjały. W środku mroził ją lodowaty chłód; nie była pewna, czy potrafi to znieść. Brytyjski urzędnik o trupim spojrzeniu zaproponował, żeby zatrzymała się w Rezydencji, dopóki jej statek nie odpłynie, ale Maude odrzuciła jego propozycję, podnosząc się chwiejnie na nogi.

– Ma pani gdzie się zatrzymać w Maskacie? – W jego głosie brzmiało powątpiewanie, ale pytanie było zdawkowe.

Wiedziała, że tego nie sprawdzi.

– Tak. Mam tu przyjaciół – zapewniła go.

Wezyr skinął zachęcająco głową.

– Odpoczynek, tego pani potrzeba, panno Vickery. Nie ulega wątpliwości, że przeżyła pani więcej przygód, niż nakazywałby zdrowy rozsądek. Do widzenia. Porozmawiam z kapitanem statku, tylko proszę już skończyć z tymi niemądrymi historiami o pustyni i podstępach, dobrze?

Maude nic nie odpowiedziała. Spojrzała na niego ostatni raz i miała wrażenie, że należy do innej religii, innej rasy, innego gatunku niż on. Ale była zbyt słaba, żeby mu się sprzeciwić, wyśmiać go albo podjąć z nim walkę. Nathaniel odebrał jej wszystko; kiedy zaglądała w głąb siebie, widziała

jedynie pustkę.

Khalid zaprowadził ją do nieumeblowanego pokoju w Matrahu, na ostatnim piętrze domu przy wąskiej uliczce, która śmierdziała kozią skórą. Sufit był kryty liśćmi palmowymi, wśród których aż roiło się od robactwa. Maude położyła się na plecionej macie i zasnęła głęboko. Upłynęło kilka dni. Od czasu do czasu zaglądał do niej Khalid. Przynosił podkłomyki i wodę, pilnując, żeby wszystko zjadła i wypiała. Niekiedy budził ją dźwięk głosów z zewnątrz albo panujący w pokoju skwar, od którego oczy zalewał jej szczypiący pot. Raz czy dwa razy próbowała wstać, ale pokój zaczynał wirować wokół niej w oszalamiającym tempie i opadała na plecy z ustami wypełnionymi śliną, przekonana, że zwymiotuje. Nad twarzą latały jej muchy. Nie myślała o niczym.

Któregoś dnia do jej pokoju wszedł zdecydowanym krokiem Fatih, ale na jej widok jego determinacja osłabła. Patrzył na nią tylko z rękami założonymi na piersi, a potem wyszedł bez słowa, ale Maude wiedziała, co chciał powiedzieć. Wiedziała, że Khalid nie zostawi jej samej, dopóki jest taka osłabiona. Wiedziała, że chcą opuścić Maskat; nic ich tam nie trzymało, a do tego marnowali pieniądze na noclegi. Wiedziała, że stała się dla nich ciężarem. Wiedziała, że musi wstać. Już sama ta myśl była dla niej męcząca.

Lato deptało wiośnie po piętach; każdego dnia robiło się coraz goręcej. Maude wzdrygnęła się na myśl o jeździe przez pustynię w tak morderczej spiekocie. Choć była przyzwyczajona do upałów, czuła, jak słońce parzy jej skórę, kiedy pływała w ubraniu w morzu przy plaży w Matrah. Zdołała dojść tak daleko na drżących nogach, wiedziona potrzebą, żeby zmyć z siebie smród podróży. Mokry piasek pod stopami skojarzył się Maude z Anglią; pamięć podsunęła jej bolesny obraz jedenastoletniego Nathaniela, który prowadzi inspekcję zebranych przez nią muszelek – nazywa gatunki, wybiera najładniejsze okazy. Nie mogła wrócić do domu, bo dla niej domem był Nathaniel.

Kąpiel ją orzeźwiła, a kołysanie fal przyniosło jej spokój i zapomnienie. Unosiła się na plecach, od czasu do czasu poruszając rękami, zapatrzona w ciemny masyw Al-Dżabal al-Achdar. Miała wrażenie, że ta zamglona góra przyzywa ją do siebie, oferując jej schronienie. Leżała na wodzie i rozmyślała o Nathanielu, chociaż to było niebezpieczne. Nie umiała ocenić, czy wciąż go kocha, czy tylko nienawidzi. Na myśl o nim jej wewnątrz rozdzierał skowyt bólu. Zastanawiała się, co robi w Anglii, jak świętuje swój sukces, swoje przełomowe osiągnięcie. Wyobraziła sobie, że mu na to pozwala, że nie prostuje jego kłamstw. Wyobraziła sobie, jak Nathaniel odwiedza Eliasa Vickery'ego, który mu gratuluje i pyta, czy miał o niej jakieś wiadomości, kiedy był w Arabii. Czy rodzina uznała ją za zmarłą? Czy Nathaniel im na to pozwolił? Poczwała, jak ogarnia ją złość, ale po chwili płomień furii zgasł. Brakowało jej energii na takie wybuchy i zdała sobie sprawę, że nie może jeszcze wrócić – ani po to, żeby pozwolić Nathanielowi zatrzymać skradziony sukces, ani po to, żeby spróbować mu go odebrać. Po prostu nie miała siły. Postanowiła napisać do ojca, żeby go powiadomić, że żyje, ale na tym koniec. Żyła, ale nie miała się dobrze.

Kiedy Maude uświadomiła sobie, że jest w ciąży, Khalid zaproponował, że się z nią ożeni. Była tak szczupła i drobna, że gdy jej brzuch zaczął się zaokrąglać mimo nieustających mdłości, od razu zrozumiała, co to znaczy. Ogarnęło ją przerażenie połączone z niedowierzaniem. Chociaż postanowiła już więcej nie płakać, znów nie mogła powstrzymać łez. Khalid zastał ją rozszlochaną, więc wyznała mu wszystko bez zastanowienia.

– Czy w twoim kraju to hańba dla kobiety? – zapytał cicho poważnym tonem.

– O tak – odpowiedziała z rozpaczą. – A może on się ze mną ożeni, jeśli mu powiem? Może powinnam zawiadomić Nathaniela? – zastanawiała się głośno w przyptywie paniki i szaleńczej nadziei.

– Wciąż chciałabyś takiego mężczyznę za męża? – Khalid spochmurniał.

W pierwszej chwili Maude nie śmiała przytaknąć, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większego nabierała przekonania, że odpowiedź brzmi:

„Nie”. Pragnęła takiego Nathaniela, jakim jej się kiedyś wydawał – i tęskniła za dawną Maude. Żadnego z nich nie chciała w obecnym wcieleniu – ani jego, ani siebie samej. Pokręciła głową.

– Więc przyjęłabyś innego? Ja byłbym zaszczycony – powiedział, a dobroć i szlachetność tej propozycji znów wycisnęła jej łzy z oczu.

– Ożeniłbyś się z niewierną? – zapytała. Zdała sobie sprawę, że straciła wszelką wiarę w Boga, zarówno chrześcijańskiego, jak i każdego innego. Wypaliła się w niej gdzieś na pustyni, a ona nawet nie zauważyła, kiedy się to stało. Może wyparła ją ta ciemność, która zagnieździła się w jej wnętrzu po zdradzie Nathaniela.

– Wystarczyłoby, że wypowiesz wyznanie wiary i będziesz żyła jak dobra muzulmanka... – zaczął Khalid, ale po chwili urwał.

Na jego twarzy pojawiła się gorzka rezygnacja.

– To by było kłamstwo – powiedziała cicho. – Zaslugujesz na coś lepszego.

Pojechali do Nizwy, gdzie Maude spotkała się z przedstawicielem sułtana, walim, który zaprosił ją na uroczystą kolację z miejscowymi szejkami. Podano kopiaste porcje ryżu z tłustą koźliną, a później na stół wjechały rozmaite ciastka z miodem. Maude przypomniała sobie Harouna i jego pudełko ze słodkimi przekąskami, którego tak strzegł, gdy wyruszyli z Salali. Miała wrażenie, że od tej chwili minęły całe wieki. Waliemu najwyraźniej spodobało się jej bezgraniczne przygnębienie i osobliwa powaga, bo pozwolił jej zostać w mieście. Khalid i Fatih palili się do powrotu na południe, do swoich rodzin. Maude czuła rosnące zniecierpliwienie młodszego Beduina. Musieli wyruszyć, nim pełnia lata uniemożliwi podróże, ale Khalid wciąż nie chciał zostawić jej własnemu losowi.

– Shahin, co teraz zrobisz? – pytał codziennie z cierpliwością, która mówiła jej, że będzie czekał, dopóki nie poda mu odpowiedzi, niezależnie od tego, ile to potrwa.

– Powinniście stąd wyjechać – przekonywała go za każdym razem. – Nie jesteś mi nic winien. Byłeś najlepszym i najwierniejszym towarzyszem,

jakiego mogłam sobie wymarzyć.

– To prawda, przyjaciele nie są sobie nic winni – odparł. – Ale nie mogę odejść, dopóki się nie dowiem, co zamierzasz.

Płaciła mu za to, że zostali z nią tyle czasu. Khalid niechętnie przyjmował od niej monety, a potem wydawał je na jedzenie, ubranie i pokój dla niej. W końcu do Maude dotarło, że Beduin mówi prawdę, a jej niezdecydowanie może zatrzymać ich w Nizwie na zawsze.

Dom, w którym mieszkali, stał w labiryncie uliczek wokół suku, gdzie smród krwi, sadzy, potu i zgnilizny był niemal nie do zniesienia. Nizwa oznaczała muchy, śmieci i zdziczałe psy, które rzucały się na ludzi, warcząc groźnie. Nizwa oznaczała zawrodozenie muezinów w meczetach i spanikowany wrzask kóz tuż przed tym, jak rzeźnik podrzynał im gardła. Maude tęskniła za czystą, dźwięczącą ciszą pustyni – za spokojem, która panował tam dawniej. Sama też chciała stać się taka jak dawniej, ale zaczynała już rozumieć, że nie odzyska żadnej z tych rzeczy – ani pustyni, ani spokoju, który ją tam ogarniał. Teraz jej wzrok przyciągała wciąż góra: surowa, ogromna i dzika. Daleka. Maude chciała znaleźć się gdzieś daleko. Potrafiła sobie wyobrazić, że wraca tam do równowagi. Już czuła kamienny chłód powietrza, wolny od ludzkiego fetoru.

Gdy przekazała Khalidowi swoją decyzję, Beduin zmarszczył brwi.

– Nic nie wiem o górze ani o tamtejszych plemionach – powiedział zaniepokojony.

– Ja też – przyznała Maude. – Ale wszystkiego się dowiem. Słyszałam, że są tam wsie i ogrody pełne owoców i kwiatów. Myślę, że będzie mi tam dobrze. Nalegam, żebyście wyruszyli z Fatihem w drogę do domu.

– Dlaczego i ty tego nie zrobisz? Dlaczego nie wrócisz do domu, Shahin?

– Bo już go nie mam. – Maude przesunęła dłońmi po brzuchu gestem, który stawał się już bezwiedny. – Muszę znaleźć dla siebie nowy dom.

– Możesz nie być mile widziana na górze. Nie powinnaś jechać tam sama – upierał się.

– Wynajmę przewodnika – uspokoiła go. – I będę podróżować w przebraniu

chłopca. Nic mi nie będzie, Khalidzie. Proszę, wracaj do domu.

Fatih uściskał dłoń Maude i życzył jej powodzenia, nie potrafiąc ukryć radości z wyjazdu. Wręczyła mu prezenty: nową koszulę, pas z amunicją i wytłaczaną skórzaną torbę, a on przyjął wszystko ochoczo, nie okazując nadmiernej wdzięczności. Khalid zachowywał się inaczej. Był bardziej milczący i powściągliwy, jakby już się rozstali. Przytrzymał dłużej jej dłoń, chociaż żegnali się w miejscu publicznym – mógł to zrobić, bo Maude miała na sobie męskie przebranie. Ścisnął ją długo, wpatrując się badawczo w jej twarz, jakby usiłował odnaleźć coś, co utracił. Albo miał zaraz utracić.

– Chciałbym, żebyś mnie odszukała, kiedy twoje dziecko przyjdzie na świat – powiedział, chociaż oboje wiedzieli, że już nigdy się nie zobaczą.

– Może pewnego dnia to zrobię. Mam nadzieję, że kiedyś wrócę na pustynię – odrzekła Maude i musiała zamilknąć, bo bała się, że głos ją zawiedzie.

– Jeśli taka wola Boga – szepnął.

Maude odwróciła się i odeszła, zanim dosiedli swoich wielbłądów. Nie mogłaby znieść widoku, jak odjeżdżają.

Na porośniętym krzakami pogórzcu Maude i jej przewodnik natknęli się na jaskinię pełną ludzi – szeroką i płytką grootę, rozbrzmiewającą echem głosów i kroków. Pieniądze, które przechodziły z rąk do rąk, śmierdziały równie mocno jak niemyte i nieogolone twarze zgromadzonych mężczyzn. Transakcje odbywały się sprawnie jak na targowisku, ale było w nich coś mrocznego, cień głęboko zakorzenionej, bezdusznej pogardy. Handlarze wymieniali ukradkowe spojrzenia pełne chciwości i pychy. Przewodnik wyjaśnił, że to aukcja niewolników, a kobiety nie mają na nią wstępu. Maude nie lubiła go; był zbyt wyniosły jak na człowieka o tak ograniczonych horyzontach. Zignorowała jego ostrzeżenie i weszła do środka, żeby się rozejrzeć.

Minęła niewolników, którzy stali wyprostowani i pewni siebie z rękami założonymi na piersiach i lekceważącym wyrazem twarzy. Inna grupa miała rany na twarzach i spętane kostki, więc wszyscy chwiali się lekko. Śmiech

budził wysoki, szczupły mężczyzna, który skakał na jednej nodze, usiłując utrzymać równowagę. Podsłuchując przez chwilę toczące się wokół rozmowy, Maude dowiedziała się, że urodził się jako niewolnik, ale uciekł. Właściciel schwytał go i przywiózł za karę na tę upokarzającą aukcję. Niewolnik został wychłostany, a na prawej łydce miał głęboką, ropiejącą ranę, przez którą nie mógł ustać na tej nodze.

– Ty głupcze. Może teraz zrozumiesz, że należała mi się większa wdzięczność? – Mężczyzna, który go sprzedawał, był młody i przystojny, ale miał złośliwy wyraz twarzy. – Nikt nie kupi kulawego niewolnika. Umrzesz w tej jaskini jak pies, bo ja cię z niej nie zabiorę. – Wymierzył niewolnikowi kopniaka, po którym ranny mężczyzna wyładował na pośladkach w piachu. Wyglądał na ponad trzydzieści lat, a gdy podniósł oczy na właściciela, Maude zobaczyła w ich dystygowanym spojrzeniu mieszaninę oporu i rezygnacji, która natychmiast wzbudziła w niej sympatię.

– Ile za tego człowieka? – zapytała ostro.

Dalsza podróż przebiegała powoli ze względu na rany Abdullaha. Traktowała go jak służącego, nie jak niewolnika, a szybko zaczęła widzieć w nim również przyjaciela. Był inteligentny, pracowity i biła od niego aura spokoju, którego tak potrzebowała. Zatrzymali się w Tanufie, żeby miał czas wydobrzeć. Maude spodobały się rozłożyste tamaryndowce, rzucające cień, i odkryty faladż, w którym dzieci bawiły się z radosnym piskiem. Ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że znalazła idealne miejsce na odpoczynek. Domy we wsi wciskały się w masywną, urwistą skałę jak dziecko wtulające się w ciało matki. Skórzaste liście daktylowców w pobliskim lesie szumiały na wietrze. Kobiety kryły twarz pod materiałem, ale często się śmiały. Maude zdjęła chłopięce przebranie, włożyła zasłonę i wyprosiła audiencję u szejka ibn Himjara, który nadał sobie tytuł Władcy Zielonej Góry. Podczas spotkania opowiedziała mu zmyśloną historię o mężu zamordowanym przez złodziei za murami Nizwy i błagała go o schronienie do czasu porodu. Jej wiarygodność podniósł spory stos talarów Marii Teresy. Nim nadszedł moment rozwiązania, ona i Abdullah

zdążyli już wrosnąć w życie wioski. Nigdy nie zostali z niej wyproszeni.

Maude nazwała nowo narodzonego syna Salim, bo w jej oczach był idealną całością. Pierwszy raz od powrotu z pustyni poczuła się znów w pełni sobą. Szukała w jego twarzy rysów Nathaniela, ale nie znalazła ich – w końcu ciemne oczy i włosy mógł odziedziczyć po dziadku. Później tego samego roku wybrała się do Maskatu, żeby załatwić kilka spraw w lokalnym oddziale Banku Brytyjskiego i nadać telegram do domu. W ten sposób dowiedziała się o śmierci ojca i o swoim spadku. Została więc w Tanufie i wychowywała Salima.

Spacerowała po pagórkach i wzgórzach wokół wsi, a od czasu do czasu szła jednym z jarów biegnących do masywu centralnego i wpatrywała się w płaskowyż. Ale nigdy nie spróbowała wspiąć się wyżej. Tykanie zegara wreszcie ucichło. Jak wiele innych aspektów jej życia nie przetrwało wyprawy na pustynię. Maude czuła bliskość wierzchołka góry i drogi prowadzącej na szczyt; przyciągały jej wzrok jak ruch dostrzegany kącikiem oka, ale pragnienie, by ruszyć przed siebie i zdobyć płaskowyż, należało do osoby, której już nie znała.

Po zmroku wychodziła sama przed dom i wpatrywała się w gwiazdy. Nie walczyła z tym nowym życiem ani z kobietą, którą się stała. Wciąż tkwiła w niej ta sama ciemność – odnajdywała ją w sobie z łatwością. Ale nienawidziła jej – bała się myśli, którymi ją napawała; uczucia wściekłości, rozbicia, załamania. Miała wrażenie, że zatruwają ją te emocje. Dlatego pozwoliła sobie pokochać Salima i nigdy nie mówiła mu o jego ojcu; starała się o nim nie myśleć, chociaż było to trudne. Patrzyła, jak gwiazdy toczą się wolno ponad górami swoim odwiecznym szlakiem, i przez lata świadomie nie zadawała sobie pytania, na co czeka.

Spała głęboko i śniła o pustyni. Śniła o niej każdej nocy.

Maskat, grudzień 1958 i styczeń 1959

Fregata marynarki wojennej była zbyt duża, żeby wpłynąć do przystani, więc kotwiczyła przed nią. Połowa załogi dostała się na brzeg mniejszymi łodziami i rozproszyła po mieście, żeby napić się kawy i kupić pamiątki, przestrzegając zakazu palenia w miejscach publicznych. Joan wciąż zauważała kątem oka potężny okręt – lśniący kadłub z bladoszarego metalu i gąszcz kominów, dział i anten na górnych pokładach. Nie pasował do małych statków, brązowych skał i kamiennych budynków na pierwszym planie. Był zdecydowanie za duży, za czysty i za nowoczesny, a poza tym nieustannie przypominał jej o świecie, do którego miała już wkrótce wrócić.

Przechodząc obok otwartego okna, Joan zawsze przystawała, by spojrzeć na fregatę, a później na Al-Dżalali, Merani i jego działa oraz ogromne graffiti na murze przystani, złożone z nazw statków z całego świata, które przez wieki zawinęły do Maskatu. Teraz lepiej rozumiała, dlaczego tylu marynarzy podejmowało niebezpieczną wspinaczkę w tak niewdzięcznej misji. W tym miejscu człowiek miał ochotę pozostawić po sobie ślad na dowód, że w nie dotarł, że odkrył i podziwiał jego piękno – i zdołał to przetrwać. Wiązało się to w jakiś sposób z tym, że Oman nadal krył się przed resztą świata. Każdy mógł odnieść wrażenie, że natknął się na prawdziwy skarb, i było w tym coś magicznego. Joan też pragnęła wypisać swoje imię na murze przystani, w końcu czuła się tak, jakby to państwo odcisnęło na niej niezatarte piętno. Doszła jednak do wniosku, że to jej wystarcza.

Było to najdziwniejsze i najspokojniejsze Boże Narodzenie w życiu Joan. Rano poszła nadać do matki telegram, w którym obiecała, że wkrótce się zobaczą. Rozwieszane przez służących dekoracje wyglądały smutno i nie na miejscu. Nie było żadnych prezentów, prócz skromnych podarunków, jakimi

wymienili się Gibsonowie, i kopert, które rozdali służbie. Marian robiła, co w jej mocy, żeby ich rozweselić – puszczała muzykę z płyt i bardzo wczesnie podała aperitify, ale brak wiadomości o Charliem tak ciążył Joan, że nie potrafiła się nawet uśmiechnąć. Kucharze w Rezydencji przyrządzili coś na kształt tradycyjnego bożonarodzeniowego lunchu w postaci perliczki, rzadkiego sosu i przywiedłych warzyw. Joan i Rory usiedli do niego z Robertem i Marian oraz kilkoma pracownikami firmy naftowej i Banku Brytyjskiego, którzy nie wrócili na święta do domu. Mało się odzywali. Joan miała zdrętwiały język i ścisnęło ją w żołądku. Żałowała, że nie może spędzić świąt z Danielem, chociaż z pewnością zadawałby jej trudne pytania. Przynajmniej wiedziała, że jest bezpieczny – jadł bożonarodzeniowy lunch ze swoją jednostką w Nizwie. Przypomniała sobie prostą radość świąt w Bedford w dzieciństwie i uświadomiła sobie, że chociaż już dawno weszła w dorosłość, dopiero teraz ten czas stracił dla niej swoją magię.

Nie mogła nikomu wytłumaczyć, dlaczego tak przerażała ją myśl, że Salim miałby skrzywdzić Charliego. Musiałaby się przyznać, jak dobrze poznała Salima i co zaszło między nią a Charliem – oraz że przez jej milczenie on i jego koledzy wpadli w ręce wroga. Nie miała jak wyjaśnić bliskim, że czuje się za to odpowiedzialna. W głowie huczało jej ze zdenerwowania, a wszystko inne zeszło na dalszy plan.

Drugiego dnia świąt Roberta oderwał od śniadania telefon. Joan patrzyła, jak odchodzi. Ogarnął ją paniczny lęk, że znaleziono ciała żołnierzy SAS. Opuściła widelec z brzękiem i zacisnęła dłoń na obrusie, a Marian wyciągnęła rękę i ścisnęła ją za ramię.

– Jeszcze nic nie wiadomo. Poczekaj – rzekła uspokajająco.

Słyszając kroki na korytarzu, Joan wstrzymała oddech. Miała ochotę uciec od stołu, ale Robert wszedł do jadalni z uśmiechem. Fala ulgi była tak potężna, że Joan dostała zawrotów głowy, a pokój rozmył jej się przed oczami.

– Nic im nie jest, wrócili do bazy – powiedział Robert.

– Wszyscy? – upewniła się Joan.

– Co do jednego. Okazuje się, że przyszli do Nizwy pieszo, wycieńczeni pragnieniem, ale cali i zdrowi. Szli bite dwa dni bez jedzenia ani wody. Najwyraźniej zostali uwolnieni tuż po przyjeździe Nathaniela Elliota: buntownicy musieli się o nim w jakiś sposób dowiedzieć. Może zobaczyli, jak jego samolot ląduje. Tak czy inaczej, staruszka blefowała!

– Och, dzięki Bogu! – zawołała Joan, czując w oczach piekące łzy.

– No widzisz? Mówiłam, że wszystko się ułoży, prawda? – uśmiechnęła się Marian, ale Joan była zbyt poruszona, żeby jej odpowiedzieć.

Długo siedziała w milczeniu, słuchając toczących się wokół rozmów. Robert poszedł na piętro zawiadomić Nathaniela, że jego syn jest bezpieczny, a kiedy wrócił, Joan wzięła go na stronę. Była jeszcze jedna rzecz, która ją trapiła.

– Powiedziałeś, że zostali uwolnieni? Tak po prostu, bez żadnej walki? Bez... przemocy?

– Bez cienia przemocy. Bóg raczy wiedzieć, gdzie znajduje się teraz ibn Shahin i jego szajka – odpowiedział Robert. Joan zamknęła na chwilę oczy. W tym momencie wszyscy trzej byli bezpieczni: Daniel, Charlie i Salim. Zniknęło napięcie, w którym dotąd trwała, i zrobiło jej się słabo. – Spodziewam się, że młody Charles niedługo odwiedzi swojego ojca. Oczywiście po kilku dniach odpoczynku – dodał Robert.

Nathaniel Elliot zatrzymał się w Rezydencji, żeby dojść do siebie po trudach nieoczekiwanej podróży i szokującej intrydze Maude. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, gdzie zanoszono mu posiłki na tacy.

– Pewnie się wstydzi, biedaczyna – powiedziała Marian. – Doprawdy, chciałabym, żeby dało się go jakoś przekonać, że nikogo nie interesuje, co się wydarzyło przed laty.

– Nie jestem pewny, czy to do końca prawda, Marian – skomentował Robert.

Wstrząsnęło nim zachowanie Maude, ale był też pod wrażeniem nowych informacji. Wyraźnie nie wiedział, jak ma traktować ofiarę tak ogromnej krzywdy – i jej rozbijającego krzywdziciela. Jednak podszedł do tej sprawy bardzo poważnie. Tylko dzięki jego zdecydowanej interwencji u sułtana

Sa'ida i gubernatora Shahaba Maude nie została natychmiast wtrącona do Al-Dżalali, tylko czekała na deportację. Dopóki znajdowała się w Omanie, w każdej chwili mogła ją osiągnąć zemsta sułtana. Wojskowi umyli ręce i wrócili do Nizwy. Maude milczała od chwili, gdy udało jej się wydobyć z Nathaniela wyznanie, na które tak długo czekała. Nie przyjmowała żadnych gości i sprawiała wrażenie, jakby nie obawiała się kary ze strony omańskiego rządu lub jego brytyjskiego odpowiednika. Kiedy Joan zapytała Roberta o zarzuty, jakie mogą jej zostać postawione, ten wzruszył tylko ramionami.

– Wątpię, by rząd Jej Królewskiej Mości miał ochotę wyciągać wobec niej konsekwencje, kiedy wszystkie okoliczności staną się znane – powiedział niepewnym głosem. – Wojsko się do tego nie pali, skoro żołnierze wrócili bezpiecznie.

Niechęć Maude do gości obejmowała również Joan, a ona nie mogła się z tym pogodzić. Gdy usłyszała, że wszystko, co czytała na temat Maude i Nathaniela, okazało się kłamstwem, zaniemówiła z zaskoczenia. Tkwiła oniemiała na swoim krześle i nie zareagowała w żaden sposób. Marzyła, żeby to naprawić i przekazać Maude, że teraz rozumie chociaż w niewielkim stopniu, jaka spotkała ją niesprawiedliwość.

Joan nie miała pojęcia, co jej powiedzieć. Podejrzewała, że w tej sytuacji żadne słowa nie mogą pomóc, ale chciała w jakiś sposób wyrazić swoje współczucie. Kilka razy poszła odwiedzić Nathaniela. Pukała do jego drzwi pełna obaw, ale wpuszczał ją i był wobec niej uprzejmy, chociaż nie chciał rozmawiać o tym, co wydarzyło się wiele lat wcześniej na pustyni. On również często wyglądał przez okno na morze i statki na przystani. W jego oczach lśniły promienie słońca.

– Nie sądziłem, że wrócę jeszcze do Maskatu – stwierdził nieobecny głosem. – Nigdy tego nie chciałem.

Joan próbowała być na niego zła, ale nie potrafiła. Chciała oburzyć się w imieniu swojej mistrzyni i poczuć satysfakcję, że prawda wreszcie wyszła na jaw. Takie emocje ogarniały ją, kiedy zamykała oczy i stawiała się na

miejscu Maude, myśląc o jej długim, samotnym życiu i wszystkim, co straciła. Ale to oburzenie i zawziętość zniknęły, gdy stała twarzą w twarz z Nathanielem. Zdała sobie sprawę, że jego też mocno doświadczyło życie. Nie było w nim złośliwości – ani cienia pychy.

– To wszystko przez wstyd, rozumie pani – rzucił niespodziewanie pewnego popołudnia, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, grając w tryktraka. – Wstydziałem się przyznać, co zrobiłem. Byłem na to zbyt wielkim tchórzem. A im więcej mijало czasu, tym większy czułem wstyd.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że zwycięstwo nie jest powodem do dumy, jeśli się oszukiwało – powiedziała Joan, a Nathaniel uśmiechnął się smutno.

– Tego samego uczyłem swoje dzieci, bo to szczerą prawdą.

Późnym popołudniem w Sylwestra Joan udało się wreszcie przekonać zatroskanego Abdullaha, żeby ją wpuścił, chociaż Maude krzyknęła z góry:

– Powiedziałam: żadnych gości! – Jej głos brzmiał płacząco i staro.

– Za późno! – zawołała w odpowiedzi Joan, ruszając po schodach na górę.

Tym razem nie zastała Maude w jej fotelu; staruszka siedziała wsparta na poduszkach przy jednym z niskich okien, wyglądając na wschód. Mrużyła oczy na słońcu, a twarz miała mokrą od łez. Joan usiadła obok niej po turecku i odczekała chwilę. Płacz Maude wytrącił ją z równowagi, chociaż nietrudno było się domyślić przyczyn jej smutku.

– Co pani zrobi po powrocie? – zapytała w końcu.

– Anglia – rzuciła Maude, pociągając nosem. – Ostatni raz widziałam ją w 1909 roku. Pewnie trochę się tam zmieniło.

– Rzeczywiście – przyznała Joan. – Boi się pani?

– A ty byś się nie bała?

– Na pewno bym się bała – odpowiedziała Joan z uśmiechem. – Ale pani nigdy nie pozwoliła, żeby powstrzymał panią strach, prawda, panno Vickery?

– Nie wiem – westchnęła Maude. – Nie pamiętam. Chyba... chyba już nie pamiętam, kim właściwie jestem. I nie pamiętam Anglii, zapomniałam, jak się tam żyje. Nie pamiętam jej zapachu... ani ludzi. – Pokręciła głową. – Nie

pasuję tam. Nie jestem pewna, czy pasowałam tam przed laty, a teraz...

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. Słońce chyliło się w kierunku skał, a po niebie krążyło stado rozkrzyczanych mew. Joan nie chciała denerwować Maude jeszcze bardziej, ale miała tyle pytań, tyle refleksji, że musiała przerwać ciszę.

– Kapitan Elliot jest bezpieczny. Jego ludzie też. Są już w drodze do Maskatu z Nizwy. Okazało się, że kiedy Nathaniel stawiał się na spotkanie z panią, oni schodzili już z góry. Ale podejrzewam, że dobrze pani o tym wiedziała.

– Oczywiście – potwierdziła Maude. – Przecież nigdy nie miałam zamiaru skrzywdzić tego chłopaka. A gdyby nie moja interwencja, prawdopodobnie wszyscy zostaliby zastrzeleni zaraz po wejściu do jaru. Po prostu... chciałam przestraszyć Nathaniela. Rozumiesz? Chciałam, żeby poczuł chociaż cień tego cierpienia, które mi zadał...

– Nie mogę uwierzyć, że tak panią potraktował, panno Vickery. Nie mogę uwierzyć, że panią w ten sposób zdradził – powiedziała Joan.

Maude cmoknęła z niecierpliwością i zaczerpnęła powietrza.

– Ja też nie mogłam w to wtedy uwierzyć. Ale... teraz rozumiem ludzi trochę lepiej. Niektórzy nie potrafią się pogodzić z tym, że ktoś im pomógł, że ich uratował. Ten dług wdzięczności wywołuje w nich furję, coś w rodzaju obłądzenia, który w końcu przeradza się w nienawiść. A wówczas są zdolni do wszystkiego.

– Ale... pani dała mu wygrać, panno Vickery – stwierdziła Joan. – Zaraz po waszej wyprawie i przez kilka pierwszych lat, gdy wciąż mogła pani coś zmienić... dała mu pani wygrać. Nie rozumiem, dlaczego pani to zrobiła.

Maude wzięła głęboki oddech i pokręciła głową.

– Nikt by mi nie uwierzył. Przerysował moją mapę i przepisał mój dziennik swoim charakterem pisma. I był mężczyzną. W tamtych czasach ludzie nie mieli zielonego pojęcia, do czego jest zdolna kobieta.

– Może by pani wysłuchali, gdyby narobiła pani wokół sprawy dużo szumu? W końcu zdobyła pani prawdziwy autorytet, nosiła pani znane nazwisko...

– Nosилаm też nieślubne dziecko w łonie. Być może w latach pięćdziesiątych coś takiego nie budzi dezaprobaty, ale w tamtych czasach to była katastrofa.

– Dziś też wzbudziłoby to dezaprobatę – przyznała Joan. – Ale... nie tylko w ten sposób dała mu pani wygrać. Myślałam, że podjęła pani decyzję, żeby tu zamieszkać. Ale nie zrobiła pani tego z wyboru, prawda? To było wygnanie, na które sama się pani skazała. Przez zdradę Nathaniela wygnała się pani z własnego życia. Mogła pani poczekać, aż Salim dorosnie na tyle, żeby mogli się nim zająć pani przyjaciele, niania albo Abdullah i dalej podróżować, odkrywać nowe miejsca, pisać. Mogła pani dalej żyć. A ty dałaś mu wygrać, Maude. Pod każdym możliwym względem. – Pokręciła głową.

Maude odwróciła się do Joan i spojrzała na nią oczyma pełnymi bólu i zmęczenia.

– Tak – powiedziała cicho. – Tak. Straciłam przez niego serce do walki. – Otarła twarz i wydmuchała nos. – Przynajmniej teraz wszyscy poznają prawdę. Dopilnujesz, żeby ją poznali, prawda, Joan?

– Tak, obiecuję. Ale... – urwała, szukając właściwych słów. Prawie powtórzyła za Nathanielem, że to nie ma już większego znaczenia, ale ugryzła się w język. Po chwili milczenia chwyciła dłoń Maude i ścisnęła ją. – A ten szalony plan, który obmyśliłaś, żeby ściągnąć tu Nathaniela i zmusić go do konfrontacji... dlaczego czekałaś z nim tak długo? Przecież teraz jest już za późno, nie możesz więcej podróżować. Dlaczego pozwoliłaś, żeby całe twoje życie minęło, żeby ludzie o tobie zapomnieli?

– Dlatego, że pierwszy raz nadarzyła się do tego okazja – odpowiedziała Maude, odwracając się, żeby spojrzeć na zacierający się w słońcu horyzont. – Dostałam swoją pierwszą i jedyną szansę, gdy przyjechałaś tu i mnie odnalazłaś, Joan. To ty mi ją dałaś. I nawet nie zdawałaś sobie z tego sprawy, kochanie.

Kiedy Maude zapadła w drzemkę, Joan pomogła Abdullahowi przenieść ją na łóżko.

– Pojedziesz z nią? Będiesz jej towarzyszył w Anglii? – wyszeptała Joan do

starca, gdy ułożyli ją do snu.

Abdullah przytaknął.

– Pozostanę u boku pani, niezależnie od tego, dokąd się uda.

– Oczywiście, ja też będę ją wspierać. Przynajmniej na początku. Pomogę we wszystkim, w czym tylko zdołam.

Abdullah znów skinął głową i zamknął za nią drzwi z enigmatycznym wyrazem twarzy, który wyglądał niemal jak uśmiech.

Joan poszła na bulwar nadmorski i usiadła na murku przed budynkiem służby celnej, gdzie na załadunek czekały skrzynie z suszonymi rybami, daktylami i drewnem na opał. Na wybrzeżu unosił się zapach ryb i wodorostów, spotęgowany jeszcze upalnym dniem. Joan patrzyła na niewielkie kraby, biegające po plaży, i bezpańskiego psa, który tarzał się w piasku. Myślała o Maude Vickery. Przyszło jej do głowy, że sprowadzając tu Nathaniela i wydobywając wreszcie prawdę na światło dzienne, Maude znów wszystko straciła: miejsce, które stało się jej domem, i jakąkolwiek szansę na ponowne spotkanie z synem. Joan nie potrafiła rozstrzygnąć, czy prawda była tego warta, czy może Maude mimowolnie pozwoliła Nathanielowi raz jeszcze zrujnować sobie życie. Zalała ją fala niejasnego smutku, a po chwili zastanowienia zrozumiała jego źródło: nie była w stanie niczego zmienić, nie mogła w żaden sposób naprawić tej sytuacji. Szlak życia Maude Vickery został wytyczony raz na zawsze; i ona musiała nim podążyć. Przestała być pionierką.

Nathaniel wyszedł ze swojego pokoju w Nowy Rok, gdy do Rezydencji przyjechał jego syn. Joan poczuła dziwny ucisk w sercu, gdy Charlie wmaszerował do budynku w czystym i schludnym mundurze tropikalnym. Był świeżo ogolony, a przetykane złotem włosy miał zaczesane gładko w tył. Joan jeszcze nigdy nie widziała go z tak porządną fryzurą. Uświadomiła sobie, że wyszykował się na spotkanie z ojcem, i uśmiechnęła się do siebie. Na czole miał ranę z trzema małymi, czarnymi szwami, a otaczający ją siniak rozlał mu się na lewe oko. Poza tym wyszedł z pobytu na górze bez szwanku. Joan czuła się spokojna, chociaż miała przyspieszone tętno, czego na szczęście nikt nie

mógł zobaczyć ani usłyszeć. Uznała, że to przede wszystkim ulga. Kamień spadł jej z serca, że Charlie wrócił bezpiecznie, a jej kłamstwo nie wyrządziło krzywdy ani jemu, ani pozostałym żołnierzom. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby sprawy nie ułożyły się tak pomyślnie. Wystarczyłoby, że Maude spełni swoją groźbę, a Joan miałyby krew tych ludzi na rękach. Uświadomiła sobie wtedy, jak łatwo jest podjąć złą decyzję pod wpływem chwili, popełniając błąd, który zmieni wszystko na zawsze. Próbowwała po prostu znaleźć najlepsze możliwe wyjście w trudnych okolicznościach, a i tak miała wrażenie, że o włos uniknęła wielkiego nieszczęścia.

Nathaniel nie krył łez, ściskając syna.

– Paskudna sprawa – powiedział, a Joan nie była pewna, czy ma na myśli ranę na głowie Charliego, czy całą sytuację. – Przykro mi, chłopcze. Wygląda na to, że wpakowałem cię w prawdziwe tarapaty.

– Nic podobnego! – Charlie uśmiechnął się szeroko. – Sam się w nie wpakowałem, wszedłem prosto w ich zasadzkę. Nic się nie stało.

– Nie byłbym tego taki pewny – odparł Nathaniel, kręcąc głową. Charlie zaczął mówić coś jeszcze, ale po chwili urwał, a jego uśmiech nieco przygasł.

– Zapraszam wszystkich na taras – odezwała się Marian, zanim cisza stała się napięta. – Jest kawa mrożona i coś mocniejszego, gdyby ktoś potrzebował. Ja się chyba skuszę.

Charlie i Nathaniel długo rozmawiali we dwójkę, siedząc z głowami blisko siebie. Joan zwróciła uwagę na wszystkie łączące ich podobieństwa – od postury i gestów aż po szerokość czoła i kształt oczu. Zastanawiała się, czy oprócz jasnych włosów Charlie odziedziczył coś po matce. Przyglądając mu się, dostrzegła w nim również drobne ślady Salima, które miał w sobie zawsze, choć nie rzucały się w oczy: linię podbródka, wąski grzbiet nosa, kwadratowe ramiona. Joan nie śmiała zapytać nikogo o to, co się stało z Salimem. Chciała poruszyć ten temat z Charliem i wiedziała, że Nathaniel zwrócił się do Singera i Burke'a-Bromleyego, by spróbowali jakimś

sposobem przekazać na górę wiadomość do mężczyzny, z którym walczyli – jego syna.

Gdy wyczerpany Nathaniel wrócił do swojego pokoju, żeby odpocząć przed kolacją, Joan postanowiła wykorzystać okazję i dopadła Charliego na tarasie.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Joan.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Charlie – odparła. – Dobrze cię widzieć. To znaczy, cieszę się, że jesteś cały i zdrowy. Mam nadzieję... Podejrzewam, że już słyszałeś, co się wydarzyło przed laty między twoim ojcem a Maude? – Charliemu zrzędała mina, ale skinął głową. – Odwiedzałam go. Myślałam, że będzie bardziej... dumny z siebie. Ale może to nie moment na dumę.

– Nie, on zawsze się tak zachowuje. Jest powściągliwy z natury – sprostował Charlie. – W młodości zrobił coś potwornego, ale, na Boga, bardzo tego żałuje. Nigdy nie widziałem go w tak opłakanym stanie... ale to nie wszystko. Sprawia wrażenie, jakby mu niemal użyło, że został zdemaskowany. Jakby pozbył się jakiegoś ciężaru, rozumiesz? Teraz widzę, że zawsze był... ponurym człowiekiem. Niechętnie świętował dawne osiągnięcia. – Joan nie odzywała się przez chwilę, a Charlie zmarszczył brwi. – Chyba nie sądziłaś, że stracę o nim dobre zdanie z tego powodu?

– Nie! Nie, tylko...

– A ty byś straciła? Kochałabyś swojego ojca mniej, gdybyś się dowiedziała, że miał swoje tajemnice albo że zrobił coś, z czego nie jest dumny? – Wpatrywał się w nią uważnie, a Joan przełknęła ślinę.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Nie kochałabym go mniej.

Charlie zamrugał i wziął duży łyk ze swojego kieliszka.

– No właśnie – skwitował. Zastanawiał się przez moment, a potem pokręcił głową. – Nienawidzę tajemnic, ale... nie jestem pewny, ile powinienem powiedzieć mojej matce. Jest bardzo wrażliwa... Nie chciałbym sprawić jej przykrości.

– Może być wstrząśnięta, że przed ich ślubem twój ojciec poprosił o rękę inną kobietę. I że ma z nią syna.

- I że prawie ją zabił. Na pewno będzie wstrząśnięta. Ty byś nie była?
 - Rozumiem, że to szokująca wiadomość, ale... to sprawa sprzed wielu lat. Twoi rodzice zdążyli spędzić razem całe życie.
 - Salim ibn Shahin nie jest sprawą sprzed wielu lat. Istnieje tu i teraz.
 - Tak, to prawda – przyznała Joan. – Ale czy to nie twój ojciec powinien zdecydować, ile powie twojej matce? I kiedy? W końcu to jego tajemnice.
 - Rzeczywiście – zgodził się Charlie.
 - Twój najstarszy brat miał na imię Elias, prawda? Wiedziałaś, że został tak nazwany na cześć ojca Maude, Eliasa Vickery’ego? Słyszałam, jak twój tata to powiedział. Najwyraźniej myślał o Vickerych i o Maude. Przez cały ten czas.
 - Tak – szepnął Charlie. – Na to wygląda.
- Umilkli na chwilę. Joan cisnęło się na usta mnóstwo słów, ale w jej myśli wdarł się głos Charliego.
- W każdym razie jesteś mi winna długą i szczegółową opowieść o tym, jak trafiłaś na górę, Joan. Singer dał sobie z tobą spokój. Podobno trzymasz język za zębami.
 - To chyba najlepsze wyjście – wyjaśniła Joan. – Nie mam żadnych przydatnych informacji, a teraz, kiedy zszedłeś bezpiecznie na dół... – Urwała.
 - Mam tylko nadzieję, że nie będzie się mścił na Danie. I... chciałam cię przeprosić.
 - Cóż za żarliwość. – Charlie znów zmarszczył brwi z zastanowieniem. – Ciekawe, za co miałabyś mnie przeproszać. Chyba że... Zdziwiło mnie, z jaką łatwością dopadła nas ta banda. Zupełnie jakby wiedzieli, że będziemy się wspinać tym jarem i kim jesteśmy. W dodatku bardzo uważali, żeby nas nie postrzelić. Myślę sobie, że może nie tylko poganiacze mułów grali na dwa fronty. – Przyjrzał się jej bacznie, a Joan poczuła, jak się rumieni.
 - To nie było... umyślnie. Nie zdradziłam ani słowem, kim jesteście – zapewniła. – Z drugiej strony... obawiam się, że opowiedziałam Maude o SAS i wspomniałam, że należysz do tej jednostki. Nie miałam pojęcia, że wykorzysta tę informację. A Salim chyba wiedział, że wyślę was na pomoc

Danowi. I najwyraźniej domyślił się, że zauważycie jar. Widzisz, zakładałam, że po akcji wszyscy od razu zejdziecie na dół.

– Kogo próbowałaś chronić? Jego czy nas?

– Was obu. Was wszystkich.

– Interesujące. A ja po prostu... nadal nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, że jest moim bratem.

– Rozumiem. Sama za późno się domyśliłam... Nie mogłam powiedzieć Salimowi.

– Myślisz, że to by zrobiło jakąś różnicę?

– Na pewno. Nie skrzywdziłby kogoś, z kim łączą go więzy krwi. Jestem o tym przekonana.

– Może masz rację, chociaż mnie nie wydaje się to takie oczywiste: jest wytrawnym żołnierzem. Ale zrobił na mnie dobre wrażenie. Zdecydowany, konsekwentny, wyraźnie inteligentny. – Charlie wyszczerzył zęby. – Właściwie, nawet go polubiłem, a to nie byle co, zważywszy na okoliczności.

– Ja też go lubię – odpowiedziała Joan. – Co się między wami wydarzyło, kiedy was złapali?

– Niewiele. Arabowie, kiedy chcą, potrafią poruszać się jak koty. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z ich obecności, dopóki nas nie otoczyli. Zaprowadzili wszystkich do jaskini, gdzie byliśmy pod ciągłą strażą. Słyszeliśmy, jak przelatują nad nami samoloty, ale nie mogliśmy dać im żadnego sygnału. Buntownicy nie mówili nam, co się dzieje, ale zakładałam, że wcześniej czy później pójdziemy pod nóż. – Wzruszył ramionami, a jego twarz na sekundę zasnuł cień strachu. – Ale karmili nas i nie sponiewierali nikogo bardziej, niż to było konieczne...

– W takim razie jak rozciąłeś sobie głowę?

– To sprawa mojego brata – uśmiechnął się znów Charlie. – Znokautował mnie, bo zdołałem się uwolnić i zacząłem uciekać. Ocknąłem się z największym bólem głowy w życiu, ale przynajmniej mnie nie zastrzelił... i dopilnował, żeby nie zrobił tego żaden z jego kumpli. – Wziął głęboki

oddech. – A potem nas wypuścili. Tak po prostu, bez słowa wyjaśnienia. Pokazali, w którym kierunku jest Nizwa, i kazali nam tam iść. Myślałem, że zaraz dostanę kulkę w plecy... – Wzruszył ramionami. – Ale wróciłem cały i zdrowy z pierwszego i prawdopodobnie jedynego spotkania z moim starszym bratem, Salimem. Moim bratem. Kiedy pułkownik mi o tym powiedział, w pierwszym momencie nie mogłem w to uwierzyć. Przyzwyczailem się, że nie mam już żadnych braci.

– To musi być... bardzo dziwne uczucie – zauważyła Joan łagodnym tonem.

– Dziwne to mało powiedziane. Chciałbym go poznać, ale nie bardzo widzę taką możliwość.

– Może okazja się pojawi... po wojnie. – Nawet mówiąc te słowa, Joan zdawała sobie sprawę, że to mało prawdopodobne.

Smutny uśmiech Charliego powiedział jej, że on też jest tego świadomy.

– No cóż, przynajmniej wszedłem na płaskowyż, co? – rzucił, wzruszając ramionami.

– Tak, ale ja byłem tam pierwsza – wytknęła mu Joan z uśmiechem.

Chciała zobaczyć się jeszcze raz również z Salimem. Istniała na to nadzieja, ale niewielka. Joan wiedziała, że po zwycięstwie nad imamem armia planowała zdobyć serca i umysły mieszkańców interioru – samoloty SAF rzuciły więcej ulotek z pojedynczymi hasłami niż bomb – ale nie miała pewności, czy ten plan obejmował przywódców i kapitanów buntowników. Salim nie był jednak zwykłym kapitanem imama. Chociaż jeszcze o tym nie wiedział, płynęła w nim brytyjska krew. Joan miała nadzieję, że udałoby się pociągnąć za sznurki, żeby poprawić jego sytuację. Ale po przegranej wojnie Salim prawdopodobnie rozpułynałby się bez śladu, a to nie wydawało jej się takie złe. Nie mogła tylko znieść myśli, że miałby kiedykolwiek wrócić do Al-Dżalali.

Z zadumy wyrwał ją głos Charliego.

– Któregoś dnia, i to już niedługo, usiądziemy z butelką wina, a ty opowiesz mi wszystko, od początku do końca. Nalegam. – Próbował brzmieć surowo,

ale oczy lśniły mu łobuzersko.

– Dobrze – zgodziła się Joan. – Któregoś dnia ci opowiem.

Uświadomiła sobie, że będzie czekała na tę rozmowę. Niewielu osobom mogłaby zdradzić ze szczegółami, co ją spotkało, a nie chciała, żeby najważniejszy moment jej życia odszedł w zapomnienie. Nie zamierzała trzymać go w tajemnicy, zachowując prawdę tylko dla siebie aż do późnej starości jak Maude.

Weszli do środka na kolację. Dołączyli do nich komandor porucznik i pierwszy oficer fregaty marynarki wojennej, a Rory usiadł najdalej od Charliego Elliota, jak to było możliwe przy ośmiu osobach przy stole.

– Coś mi mówi, że twój narzeczony za mną nie przepada – rzucił Charlie cicho do Joan.

– Za mną też chwilowo nie przepada – odpowiedziała. – I nie jest już moim narzeczonym. – Oparła lewą dłoń na stole i zobaczyła, że Charlie zerka na jej palce.

– Aha. I powiedziałaś mu, że zrywasz zaręczyny, bo szaleńczo zakochałaś się we mnie? Nic dziwnego, że się wściekł. – Trącił ją ramieniem i uśmiechnął się, patrząc na nią tak, że straciła ochotę na ciętą ripostę.

Zamiast tego odwzajemniła jego uśmiech i przewróciła dyskretnie oczami.

Później Charlie zatopił się w rozmowie z ojcem, który wrócił ze swojego pokoju, a Joan pozwoliła im cieszyć się swoją obecnością. Próbowwała złapać spojrzeniem Rory'ego, ale tkwił wpatrzony w swój talerz, podnosząc wzrok jedynie po to, żeby nie wydać się nieuprzejmym wobec Marian, która siedziała naprzeciwko niego. Praktycznie nie skomentował rewelacji na temat Maude i Nathaniela – ani roli, jaką Joan odegrała w tej historii. Przeważnie jej unikał i patrzył na nią tak, jakby się nie znali. Joan dręczyło poczucie, że zostało im jeszcze wiele spraw do omówienia, ale kiedy zaczynała się nad tym zastanawiać, żadna nie przychodziła jej do głowy. Pewnie powinni uzgodnić powód zerwania, ale to wszystko – i mogli się tym zająć w samolocie. Więcej do ustalenia miał z Danielem, chociaż trudno byłoby im znaleźć do tego

okazję. Joan zastanawiała się, czy jej potrzeba rozmowy Rorym nie wynikała głównie z przyzwyczajenia, ale czuła, że to nie wszystko. Przez wiele lat był jej najlepszym przyjacielem, a teraz pojawił się między nimi dystans. Miała wrażenie, że rozdzieliła ich głęboka przepaść. Nie bała się już życia bez Rory'ego, ale chciała mu powiedzieć, że wolałaby, żeby całkiem z niego nie zniknął. Pomyślała, że może z czasem sam to zobaczy – poza tym decyzja nie zależała tylko od niej.

Joan została z mężczyznami po kolacji, nie przejmując się urażonym spojrzeniem komandora porucznika ani faktem, że Rory wymknął się do łóżka z niemal bezgłośnym „Dobranoc”.

Marian też postanowiła dotrzymać im towarzystwa.

– Słusznie, Joan – stwierdziła. – Nie tylko mężczyźni lubią brandy.

Robert usiadł obok Joan, otoczył ręką jej ramiona i ścisnął je, póki nie pisnęła z bólu.

– Będę za tobą strasznie tęsknił, moja mała Joan – powiedział. Twarz miał zarumienioną od wina, a oczy lśniły mu szczerością. – Bez ciebie znów zrobi się tu bardzo spokojnie i... urzędowo.

– Ja też będę za tobą tęskniła – odpowiedziała. – A myślę, że w Bedford będzie jeszcze spokojniej. Albo wręcz nudno.

Na myśl o wyjeździe ogarniała ją lekka panika. Musiała zostawić Daniela, Charliego, Salima, pustynię i góry. Miała powody, by wrócić do domu – chciała zobaczyć się z matką i sprawdzić, jak będzie wyglądało jej nowe życie – ale było też wiele powodów, żeby zostać tu na zawsze. Przynajmniej teraz wiedziała, że jej życie się zmieni. Nie mogłaby pojechać do Anglii tylko po to, żeby tkwić w tym samym zaślepieniu co wcześniej.

– Wyobrażam sobie, że to spora zmiana – zauważył zyczliwie Robert.

– Na szczęście będę mogła pracować nad wspomnieniami Maude. – Zapisane kartki leżały ukryte bezpiecznie w torebce Joan w jej sypialni. – Muszę znaleźć dla nich wydawcę, ale nie sądzę, bym miała z tym problem. Myślę, że Maude Vickery czeka nowa fala sławy. Czy Rory ci mówił, że nie

dostałam pracy w muzeum?

– Tak, wspomniał o tym. Bardzo mi przykro, Joan.

– Nie, dobrze się stało. Teraz wydaje mi się, że ta posada by do mnie nie pasowała. Za to... nie mogę się doczekać spotkania z mamą – przyznała.

A równocześnie miała przed nim tremę. Spodziewała się, że rozmowa, która je czeka, będzie zupełnie inna od wszystkich poprzednich. Ale przypomniała sobie, z jakim lekceważeniem mówiła o swojej matce Maude, jaką obojętnością darzyła Antoinette w chwili jej śmierci. Joan postanowiła zrobić wszystko, żeby naprawić relację z Olivią.

Obie z Maude bardziej podziwiałały ojców, ale Joan kochała matkę i nie zamierzała pozwolić na to, żeby pojawił się między nimi dystans nie do pokonania.

– Czuję się tak, jakbym jej nie widziała całe lata – dodała.

– Ciekawe, czy cię pozna – powiedział Robert, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem. Zaskoczona Joan umilkła, zastanawiając się, ile zauważył. – Jesteś taka opalona i szczupła – wyjaśnił, popijając brandy. – Wyglądasz bardzo dorośle. Chyba muszę przestać cię nazywać moją małą Joan.

– Nie musisz, wujku Bobby – uśmiechnęła się Joan. – Nigdy nie przestawaj.

– Więc podobało ci się w Arabii?

– To były najpiękniejsze chwile mojego życia – odpowiedziała szczerze.

– No cóż, na pewno będziesz się chciała nacieszyć powrotem do domu. Ale później proponuję, żebyś do mnie napisała albo zatelefonowała. Właśnie się dowiedziałem, że w konsulacie w Adenie szukają kogoś do pracy. Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty zgłosić swojej kandydatury. – Robert obserwował ją bacznie, a gdy na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie, skwitował to uśmiechem.

– Naprawdę?

– Spokojnie, nie ekscytuj się tak. Chodzi o stanowisko trzeciej młodszej pomocnicy asystentki *attaché* czy coś w tym rodzaju. Zajmowałabyś się głównie parzeniem herbaty i przekładaniem ton dokumentów z miejsca na

miejsce. Ale kto wie, może dokądś by cię to zaprowadziło.

– Biorę tę pracę! – oświadczyła Joan natychmiast. Radość przeszła jej ciało niczym impuls elektryczny. – To znaczy, bardzo chciałabym się o nią ubiegać – poprawiła się, żeby zabrzmiało to uprzejmiej, a Robert parsknął śmiechem.

Ostatniego ranka Joan poszła do Maude sprawdzić, czy staruszka nie potrzebuje pomocy przed zbiórką na wyjazd do Bait al-Faladz. Samolot wojskowy lądował w Adenie, gdzie czekała ich przesiadka do Kairu, skąd liniami BOAC mieli pokonać ostatni odcinek trasy z finiszem w Londynie. W chłodnym porannym powietrzu Joan zapukała do akacjowych drzwi, a po chwili zrobiła to ponownie, tym razem mocniej. Próbowwała nie myśleć o powrocie do domu i nie rozglądać się wokół, by zapamiętać każdy szczegół. Byłoby jej z tym zbyt ciężko. Usiłowała nie wybiegać myślą w przyszłość, chociaż nie mogła się powstrzymać przed marzeniami o pracy w Adenie i możliwościach, jakie przed nią otwierała. Miała wrażenie, że stoi na rozstaju dróg. Myśl o tej posadzie napawała ją niesłabnącą radością.

– Abdullah?! – zawołała, przykładając ucho do drzwi. Nie dobiegał zza nich żaden dźwięk. Zapukała jeszcze raz, a potem sfrustrowana nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się przed nią szeroko. – Panno Vickery?! Maude?! Abdullah?! – krzyknęła w głąb ciemnego wnętrza.

Weszła do środka ze ściśniętym żołądkiem, zaciągnęła się zapachem starego dymu i amoniaku, a potem ruszyła na górę. Wiedziała, co tam zastanie, choć nie mogła w to jeszcze uwierzyć. W domu panowała charakterystyczna, nieuchwytna atmosfera pustki.

Maude zniknęła, tak samo jak gazela i Abdullah z tacą, na której wnosił herbatę. Zostały jedynie charty, które na jej widok wstały i przeciągnęły się, jakby przygotowywały się do wyjścia. Łóżko Maude było porządnie zasłane, a jej książki i dzienniki stały na półkach. Porzucony fotel inwalidzki tkwił przy biurku, a na blacie lśnił pierścionek z lazurytem, który po spotkaniu Maude z Nathanielem został porzucony na dywanie. Obok pierścionka leżała kartka papieru – list do Joan:

Joan, dziękuję Ci za pomoc, choć chwilami była ona bezwiedna. Uczyni dobry użytek z moich pism i proszę, znajdź nowy dom dla psów, są zbyt stare na podróże. Z pierścionkiem zrób, co zechcesz. Serdeczne pozdrowienia i szerokiej drogi, MVV.

Joan zakręciły się w oczach łzy, choć nie wiedziała, czy wyrażają radość czy smutek. Pewnie jedno i drugie. Z jakiegoś powodu nie była zaskoczona takim obrotem sprawy. Nie umiała wyobrazić sobie Maude ani Abdullaha w Anglii. „Pozostanę u boku pani, niezależnie od tego, dokąd się uda”, powiedział starzec przy ich ostatnim spotkaniu. Przypomniała sobie jego tajemniczy uśmiech i zrozumiała, że nigdy nie zamierzali opuścić Omanu.

Niemal słyszała rozdrażniony głos Singera: „Gdzie ona się podziała, do diabła ciężkiego?”. Maude nie zostawiła żadnych wskazówek co do swojego miejsca pobytu, ale Joan miała nadzieję, że je odgadła. Staruszka mogła wejść na górę i dołączyć do Salima, zasłonić głowę i twarz i ukryć się wśród ludzi, z którymi mieszkała wcześniej. Ale może – Joan zacisnęła powieki, marząc, żeby to była prawda – może jakimś sposobem uda jej się wrócić na pustynię i zniknąć w tym wszechogarniającym, hipnotyzującym spokoju, za którym tak tęskniła. Joan z paniką uświadomiła sobie, że właściwie nie ma żadnych dowodów na to, że w ogóle poznała Maude Vickery i zdołała się z nią zaprzyjaźnić. A potem przypomniała sobie zdjęcie, które Abdullah zrobił im razem nad morzem. Film leżał bezpiecznie w swoim metalowym pojemniku, czekając na wywołanie. Joan została jeszcze przez chwilę w pustym pokoju, słuchając bzyczenia much i szumu wiatru za oknem. Blask słońca był olśniewający i bezlitosny. Zupełnie jak Maude. Joan wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy. W końcu gwizdnęła na psy, znalazła ich smycze i wyszła z dwoma chartami deptającymi jej po piętach.

– Nietrudno będzie ją znaleźć – stwierdził Robert kategorycznie, kiedy Joan powiedziała mu, co się stało. – W końcu ledwo chodzi, a ten jej niewolnik jest kilkadziesiąt centymetrów wyższy niż większość mężczyzn w okolicy. Naprawdę, odszukanie panny Vickery przyjdzie nam z łatwością.

Pokręcił głową i przeczesał włosy palcami, a Joan nic nie odpowiedziała,

wiedząc w głębi duszy, że odnajdą Maude tylko wtedy, gdy da im się odnaleźć.

– Och, co za cuda! – wykrzyknęła Marian na widok chartów perskich. – Jak ona mogła je zostawić?

– Potrzebują nowego domu – powiedziała Joan i z uśmiechem wręczyła Marian smycze.

– Och! – powtórzyła zaskoczona Marian. Na chwilę zmarszczyła brwi, a potem odwzajemniła uśmiech Joan. – Wspaniale.

– Pułkownik Singer dostanie apopleksji. To samo gubernator. I sułtan. Piekło i szatani! Niech diabli wezmą tę kobietę – wycedził Robert.

– Nic podobnego – rzuciła Marian beztroskim głosem. – Nic tak ich nie cieszy jak pretekst, żeby się nadać z oburzenia. Skoro tak im na niej zależało, mogli ustawić straż przed jej domem.

– Pewnie nie sądzili, że drobna staruszka na wózku inwalidzkim podejmie próbę ucieczki.

– Właśnie – skwitowała znacząco Marian, kucając, żeby podrapać charty za uszami. – Dała wam wszystkim nauczkę. Tak się dzieje, kiedy nie docenicie kobiet, jak to macie w zwyczaju.

Joan mimo wszystko miała nadzieję, że Daniel przyjdzie na lądowisko w Bait al-Faladz, żeby się z nimi pożegnać, ale oczywiście było to niemożliwe – wciąż pełnił czynną służbę w Nizwie. Pojawił się za to Singer z nachmurzoną miną. Najwyraźniej chciał dopilnować, żeby nikt więcej nie zbiegł przed odlotem. Odmówił odpowiedzi na pytanie, czy szukają Maude. Joan uściskała Roberta i Marian, która zdawała się zupełnie nie przejmować, że jej nieskazitelną białą marynarkę pokrywa długa jasna sierść. Joan rozejrzała się po opuszczonym piaszczystym terenie. Poczuła dziwny ból na myśl, że wszystko wokół będzie się toczyło dalej bez niej.

Zbierała się właśnie na odwagę, żeby poprosić pułkownika o przekazanie listu Danielowi, kiedy z baraków wyłoniła się wysoka, gibka postać, ratując ją przed tym upokorzeniem. Trudno się było dziwić, że Charlie postanowił pożegnać się z ojcem, ale Joan i tak nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Poważnie? – jęknął kwaśno Rory, gdy mrużąc powieki, podążył za jej spojrzeniem. – Strasznie mi działa na nerwy ten bufon.

Joan spojrzała na niego z zaskoczeniem. W pierwszej chwili poczuła się winna i nie wiedziała, jak zareagować ani co odpowiedzieć.

– Nie jest taki zły. Chociaż nie znam go zbyt dobrze – stwierdziła powściągliwie.

Nim kapitan Elliot zdążył do nich podejść, Rory zniknął już na pokładzie. Nathaniel mocno przytulił syna. Charlie pomógł ojcu pokonać schody do samolotu, wykorzystując ten czas na cichą rozmowę, a później stanął przed Joan.

– No to cześć – rzucił

– Cześć – odpowiedziała. – Zastanawiam się, czy nie mógłbyś wyświadczyć mi drobnej przysługi. Oddasz to Danielowi, kiedy się z nim zobaczysz? Miałam poprosić pułkownika Singera, ale wygląda, jakby wolał trzepnąć mnie w ucho, niż spełnić jakąkolwiek moją prośbę.

– Pewnie, przekażę mu twój list. – Charlie wziął od niej złożoną kopertę i przez moment wpatrywał się w nią ze zmarszczonymi brwiami. – Szkoda, że musisz wyjechać – dodał cicho. – Ciężko tu o rozrywki. – Uśmiechnął się, ale w jego słowach słychać było powagę.

– Właściwie to mam widoki na pracę w Adenie. Może się okazać, że za kilka tygodni wrócę w te strony, tym razem bardziej na stałe.

– Naprawdę? – Charlie powiódł wzrokiem po jałowym krajobrazie, zwieńczonym złowrogą górą. – Czyś ty kompletnie oszalała? – Joan uśmiechnęła się do niego przelotnie. – No cóż, wciąż jesteś mi winna drinka i opowieść o swoich przygodach. Może cię tam odwiedzę – powiedział.

– W porządku. Miło było cię poznać, Charlie. – Ponad jego ramieniem dostrzegła gniewną twarz pułkownika Singera. – Lepiej wejdę już na pokład, inaczej Singer sam wepchnie mnie do samolotu.

– Ciebie też miło było poznać. – Charlie wyciągnął do niej rękę, a kiedy Joan uścisnęła jego dłoń, przyciągnął ją bliżej i złożył na jej policzku mocny

pocałunek. Mrowienie, które poczuła na skórze, wytrąciło ją z równowagi, ale nie było nieprzyjemne. – Może znajdziesz chwilę, żeby i do mnie od czasu do czasu napisać? Dostaję listy tylko od matki, która przeważnie przypomina mi, żebym wkładał czyste skarpety.

– Dobrze. – Joan od razu spodobał się ten pomysł. – Dobrze, napiszę do ciebie. Ale ostrzegam, listy z Bedford mogą okazać się niezbyt ekscytujące.

– Ekscytująca będzie świadomość, że to ty je napisałaś – wyznał z rozbrajającą szczerością, a potem uśmiechnął się i wypuścił ją z uścisku. – Szczęśliwej podróży, Joan Seabrook. Napisz mi, jakie masz plany, żebyśmy mogli się umówić na tego drinka. – Cofnął się, żeby wpuścić ją na schodki, a Joan przez sekundę miała ochotę zrobić krok naprzód i znów znaleźć się blisko niego.

Charlie stanął obok Roberta i Marian, a silniki samolotu obudziły się do życia z terkotem i maszyna zaczęła wolno kołować na początek pasa startowego.

Nathaniel Elliot oparł głowę na siedzeniu i zamknął oczy. Wyglądał na wyczerpanego. Zanim zasnął, Joan dotknęła lekko jego ramienia. Na wyciągniętej dłoni miała pierścionek z lazurytem.

– Maude go zostawiła. Chyba należy do pana. – Nathaniel spojrział na niego z niewysłowionym smutkiem, a potem pokręcił głową.

– Nie chcę go. Może pani z nim zrobić, co pani chce, panno Seabrook. Proszę go zatrzymać, jeśli ma pani ochotę. – Zamknął znów oczy.

Joan na próbę wsunęła pierścionek na mały palec prawej dłoni. Pasował idealnie. Nie wiedziała, czy powinna go nosić – ani czy tego chce – ale na razie go tam zostawiła. Gdy wychyliła się na siedzeniu, żeby pomachać Robertowi, Marian i Charliemu, zobaczyła, jak młody kapitan wsuwa list do Daniela do kieszeni koszuli. Ucieszyła się, że brat go dostanie.

Napisała mu, że zamierza wyprowadzić się z domu niezależnie od tego, czy dostanie pracę w Adenie czy nie. Napisała mu, że już wie, co zaszło między nim a matką, a Rory powiedział jej, jakie słowa padły podczas ich kłótni.

Napisała mu, że jeśli matka nie zmieni zdania, to straci nie tylko Daniela, lecz także ją. Brzmiało to dramatycznie; w rzeczywistości chyba nie potraktowałyby Olive równie surowo, ale tak to czuła. Wciąż stanowili dla siebie najbliższą rodzinę, a gdyby Joan nie udało się doprowadzić do pojednania za pomocą perswazji, była gotowa użyć siły. Przede wszystkim chciała przekazać Danielowi, że jeśli o nią chodzi, to nic się między nimi nie zmieniło. Miała nadzieję, że mimo jej skandalicznej ingerencji w jego życie zawodowe, on czuje to samo. Napisała: *Nie zapomnij mi pomachać, kiedy wejdiesz na szczyt Al-Dżabal al-Achdar*. Próbowała nie myśleć o tym, co ten moment mógł oznaczać dla Salima.

Gdy samolot poderwał się w powietrze, ludzie na ziemi zniknęli w chmurze pyłu. Widać było tylko morze, niebo i góry, a Joan przesuwiała po nich wzrokiem, żeby wryły się w jej pamięć. Na kolanach czuła ciężar swojej torby z rękopisem Maude. Pomyślała, że kiedy go opracuje, mogłaby dodać w posłowniu, jaką rolę odegrała w tych wydarzeniach, w jaki sposób prawda wyszła na jaw i jak Maude po osiągnięciu swojego celu rozplynęła się bez śladu niczym dżimn. Joan uświadomiła sobie, że musi poczekać z tym do końca wojny. Dopiero wtedy będzie mogła opowiedzieć swoją historię, choć pewne szczegóły nigdy nie powinny ukazać się drukiem. Postanowiła zachować w tajemnicy swoje wizyty w Al-Dżalali i znajomość z Salimem. Ale nie zamierzała popełnić błędu Maude i pozwolić, żeby jej prawda została pogrzebana. Przypomniała sobie słowa staruszki, że Joan stała się dla niej szansą, żeby wszystko zmienić. Zrozumiała, że ona zawdzięcza Maude to samo. Przekonując Joan do odwiedzin w Al-Dżalali, nakłoniła ją do przełamania strachu, którym dziewczyna kierowała się dotąd przez całe życie. Gdyby nie to, Joan z pewnością już dawno wróciłaby do domu, nadal byłaby zaręczona z Rorem i wciąż tkwiłaby w swoich utartych koleinach. Żałowała, że nie zdążyła podziękować za to Maude. Najdłużej patrzyła na górę, która nikała w tyle w oparach mgły. Al-Dżabal al-Achdar, Zielona Góra, potężna przeszkoda, którą Joan pokonała jako pierwsza osoba z Zachodu. Uspione

wzniesienie śniło dalej, nieświadome jej wyczynu. Po chwili oderwała od niego wzrok i zwróciła się przodem ku reszcie podróży, bo poczuła się na nią gotowa. Szerokiej drogi, pomyślała.

Od autorki

Ta powieść nie została pomyślana jako kronika wojny o Al-Dżabal al-Achdar toczonej w latach 1958–1959 ani dokładny opis jej walk i biorących w nich udział żołnierzy. Prawdziwe wydarzenia tej kampanii stanowią jednak ważne tło mojej książki, dlatego mam nadzieję, że opisana historia wiernie oddaje jej czas, miejsce i misję. Wszyscy bohaterowie z rolami mówionymi są całkowicie fikcyjni – jedynym wyjątkiem jest sułtan Fajsal ibn Turki. Postać pułkownika Singera zainspirował pułkownik David Smiley, ówczesny szef sztabu sułtana. Trudno uwierzyć, by oficerowie SAF mieli czas albo ochotę na obiady w Rezydencji Brytyjskiej czy wycieczki do obozu nacierzy – chociaż nigdy nie wiadomo. Wiele szczegółów i sytuacji zostało odtworzonych zgodnie z obecną wiedzą historyczną, ale to ja ponoszę odpowiedzialność za wszelkie nieścisłości, błędy i wymysły.

W dniu 9 stycznia 1959 roku Szwadron A jednostki SAS dołączył w Omanie do Szwadronu D. Po kilku tygodniach zwiadów i planowania ostateczny atak połączonych sił SAS i SAF pułkownika Simleya został zaplanowany na noc 25 stycznia, by wykorzystać pełnię księżyca.

Imam Ghalib, jego brat Talib, Sulejman ibn Himjar i ich żołnierze zostali skutecznie wprowadzeni w błąd, gdyż Brytyjczycy przekazali fałszywe informacje gadatliwym miejscowym przewodnikom i poganiaczom mułów. W ten sposób ów ostateczny atak – wykańczająca dziewięciogodzinna wspinaczka trasą uznawaną wcześniej za niemożliwą do pokonania – nie spotkał się z niemal żadnym oporem. O świcie samoloty RAF zaczęły zrzucać zapasy i broń dla żołnierzy SAS, którzy dotarli na płaskowyż, co buntownicy prawdopodobnie wzięli za atak powietrzny. Być może z tego powodu Talib, ibn Himjar i ich zwolennicy po prostu zniknęli z góry. Dzbanki do kawy w opustoszałych jaskiniach były wciąż ciepłe, gdy weszli tam Brytyjczycy.

Większość buntowników przepadła bez śladu i nigdy nie została ujęta. Część prowadziła wiejskie życie pod rządami sułtana. SAS straciło dwóch ludzi, szeregowych Cartera i Bembridge'a, kiedy zbłąkana kula przypadkiem trafiła i zdetonowała granat w plecaku innego żołnierza. Byli jedynymi ofiarami ostatecznego szturmu na Al-Dżabal al-Achdar. Wcześniej, w listopadzie 1958 roku, niedługo po przybyciu Szwadronu D SAS do Omanu, kapral Douglas „Duke” Swindells został zastrzelony przez snajpera, gdy wspinał się wąwozem. To jego śmierć sprawiła, że kolejne operacje prowadzono przeważnie nocą. Siły brytyjskie, w tym SAS, opuściły Oman przed szczytem ONZ poświęconym Bliskiemu Wschodowi w kwietniu 1959 roku, ale wróciły na początku lat siedemdziesiątych, żeby pomóc sułtanowi w stłumieniu kolejnego powstania, tym razem w południowym regionie Zufar.

Maude i Nathaniel mogli zostać pierwszymi i najszlachetniejszymi podróżnikami, którzy przemierzali Pusty Kwartał Omanu, bo wymazałam z podręczników historii kilku bohaterów mających na koncie podróże po tym niezbadanym wcześniej pustkowiu, takich jak James Welsted w latach trzydziestych XIX wieku; Bertram Sidney Thomas, który w 1930 roku pierwszy przemierzył interior Ar-Rab al-Chali, obierając jako punkt startowy Salalę; Harry St John Philby, który w 1932 roku wyruszył na południe z Arabii Saudyjskiej; i oczywiście Wilfred Thesiger, znany jako ostatni z wielkich odkrywców, który przekroczył Pusty Kwartał dwukrotnie, w latach 1947 i 1948. Fort Dżabrin w rzeczywistości został „odkryty” i zbadany w latach dwudziestych XX wieku przez majora R. E. Cheesmana, który opisał swoje podróże w książce *Unknown Arabia* (Macmillan, 1926). W życiorysie Nathaniela Elliota wykorzystałam kilka szczegółów z kariery Wilfreda Thesigera, na przykład jego posadę w Służbie Politycznej Sudanu i misję śledzenia ruchów szarańczy; natomiast edukację i wczesne podróże Maude Vickery oparłam luźno na doświadczeniach Gertrude Bell.

Wszystkim zainteresowanym wojną o Al-Dżabal al-Achdar i historią Omanu polecam wspaniałą książkę pułkownika Davida Smileya *Arabian Assignment*

(Leo Cooper, 1975), w której wspomina okres, gdy pełnił funkcję szefa sztabu sułtana. Była dla mnie nieocenionym źródłem wiedzy przy pracy nad tą powieścią, podobnie jak tom *Warlords of Oman* (A. S. Barnes and Co., 1968) autorstwa innego brytyjskiego oficera SAF, P. S. Alfree'a; a także pozycja *Sultan in Oman* Jana Morrisa (Faber & Faber, 1957), który towarzyszył sułtanowi Sa'idowi ibn Taimurowi w jego triumfalnym przejeździe przez pustynię w kawalkadzie motocykli w roku 1955. Artykuł o Maskacie z magazynu „The Fortnightly Review”, który Maude czyta w dzieciństwie, to *Under British Protection* J. Theodore'a Benta; w rzeczywistości ukazał się nieco później, w 1893 roku.

W 1963 roku w Fahudzie i na innych terenach odwiertów poszukiwawczych w Omanie odkryto ropę. Pierwszy raz omańską ropę eksportowano w lipcu 1967 roku, a w lipcu 1970 jego wysokość sułtan Qaboos zastąpił swojego ojca, sułtana Sa'ida ibn Taimura, na stanowisku władcy Omanu. Sułtan Qaboos, absolwent Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst i zwolennik nowoczesności, szybko zaczął wykorzystywać zyski z handlu ropą naftową, żeby wprowadzić swój kraj w XXI wiek. Pozostaje u władzy do dziś i cieszy się wielką popularnością. Współczesny Oman to bogate, stabilne państwo, które fascynuje zwiedzających. Pusty Kwartal arabskiej pustyni jest obecnie mniej pusty niż dawniej, ale pozostaje niezwykle interesującym miejscem.

Poniższe książki również okazały się bardzo pomocne, kiedy zbierałam materiały do mojej powieści, i polecam je każdemu, kto chce się dowiedzieć więcej na poruszone tu tematy.

W.D. Peyton, *Old Oman*, Stacey International, 1983 – książka pełna cudownych starych fotografii.

Tony Geraghty, *Who Dares Wins. The Story of the SAS 1950–1980*, Fontana 1981.

Wilfred Thesiger, *Arabian Sands*, Longmans, Green, 1959.

The Selected Letters of Gertrude Bell, Penguin, 1953.

Freya Stark, *The Southern Gates of Arabia*, Penguin, 1936.

W. B. Seabrook, *Adventures in Arabia*, George G. Harrup & Co. Ltd, 1928.

Bertram Thomas, *Arabia Felix*, Readers' Union/Jonathan Cape, 1938.

Janet Wallach, *Desert Queen. The Extraordinary Life of Gertrude Bell: Adventurer, Advisor to Kings, Ally of Lawrence of Arabia*, Weidenfeld & Nicolson, 1996.

Podziękowania

Jak zwykle dziękuję wspaniałemu zespołowi wydawnictwa Orion za ciężką pracę, entuzjazm i wysokie kompetencje. Na szczególną wdzięczność zasługują Susan Lamb, Juliet Ewers i Laura Gerrard oraz, rzecz jasna, moja redaktorka Genevieve Pegg za uważne i życzliwe pochylenie się nad rękopisem i za radość, jaką mi sprawia nasza współpraca. Bardzo dziękuję Nicoli Barr, mojej cudownej agentce, za jej mądrość, inteligencję i nieustające wsparcie. Dee, Chuck, Chris, Libby, Jackie i Peki – wielkie dzięki! Muszę też podziękować Ahmedowi al Zadjaliemu i Khalidowi Alsinawiemu za profesjonalną pomoc w Omanie i ludowe opowieści przy obozowym ognisku.